PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO" *Ps. 143.*

ROK XLIX. Tom 194.

KWIECIEŃ — MAJ — CZERWIEC

1932

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO"

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Człowiek a wszechświat w świetle nauki i wiary.

Wiadomo, jak zasadniczo się zmienił nasz światopogląd od czasów Kopernika. Powoli poznaliśmy niepojętą wielkość wszechświata, granice jego gubią się w nieskończoności. Przesunęły się też ogromnie wstecz granice czasu, tak samo jak się rozszerzyły granice przestrzeni. Dziś obliczają wiek wszechświata na setki i tysiące miljonów lat.

Wielkość wszechświata jest odblaskiem i obrazem wielkości Stwórcy. Na widok firmamentu samorzutnie budzi się uczucie religijne i nie dziwić się temu, że astronomowie z taką czcią mówią o Bogu. Z drugiej strony jednakowoż właśnie szeroki światopogląd nowoczesnej astronomji może się stać źródłem poważnych trudności dla wiary religijnej. Albowiem wobec tej nieskończoności czem jest nasza ziemia, a czem jest człowiek? Jak wobec tego ostoi się nauka wiary o godności człowieka i o stosunku jego do wszechświata?

Prosty przykład pouczy o tem, jak pod wrażeniem tej znikomości człowieka zachwiać się może wiara. Pewien młodzieniec wskutek życia niemoralnego i niemniej pod wpływem bezbożnej literatury stracił wiarę. Gdy matka stroskana zapytała go o stan duszy, wyznał otwarcie prawdę, a dla usprawiedliwienia swej niewiary powiedział tylko to jedno: Wierz mi matko, człowiek jest niczem! Chciał przez to powiedzieć: Ty troszczysz się o duszę moją. A jednak człowiek nie ma wcale duszy nieśmiertelnej, człowiek jest prochem, jest niczem wobec wszechświata. Czło-

wiek dziś jest, jutro go nie będzie, wieczną jest tylko przyroda.

To przykład z życia wzięty. Ale i poważna nauka podnosi zarzut, że wiara chrześcijańska, oparta na przedkopernikowskim poglądzie geocentrycznym z nim straciła swą podstawę. Kopernik, ten pobożny kapłan, rzekomo teorją swą zburzył mimowoli fundament wiary. W dosyć rozpowszechnionem dziele pisze szwedzki uczony Troels-Lund: „Kościół słusznie uważał teorję Kopernika za światopogląd, który sprzeczny jest nie tylko ze słowami Starego Testamentu, lecz koniecznie podkopać musiał naukę samego Kościoła. Chrześcijańska mitologja o odkupieniu ludzkości przez Syna Bożego polegała na założeniu, że ziemia jest ośrodkiem wszechświata, około którego wszystko się obraca".[1]) Zarzuca się, że stosunek człowieka do wszechświata inaczej pojmuje wiara, a zupełnie inaczej nauka nowoczesna. Podług Pisma św. ziemia i człowiek zajmują miejsca pierwszorzędne w wszechświecie. Ziemia jest ośrodkiem, a człowiek najdoskonalszem stworzeniem wszechświata. Na ziemi stał się największy cud łaski, wcielenie Syna Bożego. Dla człowieka stworzone jest wszystko, a gdy się skończą dzieje ludzkości, skończą się dzieje całego świata. Jakże inaczej przedstawia się stosunek ten w świetle nauki nowoczesnej! Człowiek jest marnem tylko stworzeniem na jednem z najmniejszych ciał niebieskich, ziemia sama jest tylko pyłkiem w przepaściach przestrzeni. Dzieje ludzkości nie odgrywają żadnej roli w wszechświecie. Gdyby cała ziemia wskutek zderzenia z inną planetą została zniszczona, katastrofa przeszłaby prawie bez śladu dla całokształtu wszechświata.

Czy nie zachodzi tu oczywista sprzeczność pomiędzy wiarą i wiedzą? Na to pytanie szukamy odpowiedzi, badając bliżej stosunek człowieka do wszechświata w świetle nauki i wiary.

1. Nikłość i znikomość człowieka.

Rozważając stosunek człowieka do wszechświata, stajemy wobec dziwnej antynomji: z jednej strony objawia

[1]) Troels-Lund, *Weltbild und Weltanschauung*. Leipzig 1929, str. 239

się rzeczywiście przygnębiająca wprost nikłość i znikomość, z drugiej strony pomimo to zadziwiająca wielkość człowieka.

Nikłość człowieka uwydatnia się zarówno czy przykładamy miarę przestrzenną lub czasową.

Jak maleńką jest ta postać ludzka już w stosunku do rozmiarów ziemi! Jak słabą moc ludzka wobec potęgi przyrody! Gdy burza gwałtowna lub trzęsienie ziemi w okamgnieniu niszczą, co praca ludzka mozolnie stworzyła, człowiek bezsilny i bezradny bolesnie odczuwa swą niemoc i nicość. Ale nie potrzeba nawet żywiołowej katastrofy, drobnostka często już wystarcza, by kres położyć życiu naszemu, bo chociaż organizm ludzki może być nadzwyczaj odporny, to jednakowoż już mała rana może być powodem śmierci.

Marnem więc jest człowiek stworzeniem ziemskiem, nikłą tylko cząstką ziemi. A czem jest ziemia w stosunku do wszechświata, albo choć tylko w stosunku do słońca! W starożytności nawet uczeni nie mieli pojęcia o wielkości słońca. Gdy pewien grecki uczony twierdził, że słońce jest tak wielkie, jak Peloponez, wyśmiewano się z niego. Grecki astronom Arystarch, który jako jeden z pierwszych doszedł do wniosku, że ziemia krąży około słońca, obliczył, że słońce jest siedm razy większe niż cała ziemia. Dziś wiemy, że słońce jest przeszło miljon razy większe od ziemi. Każda gwiazda stała jest podobnem słońcem i niektóre gwiazdy przewyższają wielkością nasze słońce sto i tysiąc razy. Gołem okiem widzimy na niebie gwiazd około 6—7000. Największemi teleskopami stwierdzono, że istnieją tysiące miljonów gwiazd. Około tysiąc miljonów należy do naszej drogi mlecznej i takich systemów prawdopodobnie istnieje większa ilość. A jak ogromna odległość tych ciał niebieskich! Przeciętna odległość słońca od ziemi wynosi 150 miljonów km, odległość najbliższej gwiazdy stałej ok. cztery lata świetlne, t. j. ok. 40 biljonów km. Są gwiazdy i mgławice oddalone od nas kilka, a może nawet kilkaset miljonów lat świetlnych. Im dalej sięga wzrok nasz, tem więcej uciekają granice wszechświata w potworną otchłań kosmiczną.

Czem wobec tego jest ziemia, czem jest człowiek?

Ten sam stosunek powtarza się pod względem czasowym. Znikomem okazuje się życie ludzkie, gdy przykładamy doń miarę okresów kosmicznych. Życie organiczne na ziemi istnieje kilkaset miljonów lat, ziemia sama istnieje tysiąc, może dwa tysiące miljonów lat, cały wszechświat znacznie dłużej. Czem są wobec tego krótkie lata naszego życia! Całe dzieje ludzkości, dla nas pełnia życia, szczęścia i nieszczęścia, są w rozwoju wszechświata, i nawet w rozwoju ziemi, krótkim tylko epizodem. Rosyjski poeta Turgenjew w pewnym poemacie oddaje rozmowę dwóch niebotycznych gór alpejskich. Budząc się ze snu wieczystego, widzą na ziemi jakieś dziwne nowe zjawisko, małe, prędko poruszające się punkciki, niby mrówki. Czy to są ludzie? Tak, to są ludzie. Znów zasypiają góry, i śpią, i śpią. Znów się budzą. Co widzisz na ziemi? Ziemia pokryta jest śniegiem i lodem. Ludzi niema? Już ich niema. Dobrze tak, teraz możemy spać spokojnie, nikt nam przeszkadzać nie będzie. Tak się przedstawiają dzieje ludzkości z wyżyn gór alpejskich. Tą samą myślą przejęty był Krasiński, kiedy w obliczu góry Montblanc napisał te słowa: „Ona zawsze jest wielka, wspaniała i nieruchoma. I dniem i nocą zawsze jest bliska niebios. Na wiosnę śnieg wieczny błyszczy na jej czole i harmonja sfer umiera na jej skałach niewzruszonych, które na tyle pokoleń patrzyły, mrących u ich stóp. A z tych pokoleń zaledwo niektórzy śmiertelnicy dosięgli jej czoła; są to liście uniesione wiatrem zimowym, podczas gdy tyle tysięcy innych więdnie na dole".

2. Wielkość człowieka.

Więc człowiek jest niczem? Pod pewnym względem prawie tak jest. Ale pogląd nasz dotychczasowy oczywiście był jednostronny. Rozważyliśmy stan rzeczy z stanowiska przyrodniczego, uwzględniając tylko materjalną istotę człowieka, a i z tego stanowiska ocena nasza była niezupełna i nieścisła. To ciało ludzkie, tak nikłe wobec wszechświata, samo w sobie jest jednak arcydziełem, zawierającem niepojęte dziwy i tajemnice bytu. Nauka nowoczesna, która wykazała nieskończoność wszechświata, wobec którego cała ziemia jest pyłkiem, odkryła też nowy świat

jestestw nieskończenie małych, wobec których ciało ludzkie jest istotą olbrzymią. Mikroskopem odkryto mikroorganizmy. Są to organizmy jednokomórkowe, gdy tymczasem ciało ludzkie składa się z ok. 30 biljonów komórek. Za najmniejsze cząsteczki materjalne uważano przez długi czas atomy, których jeden kubiczny milimetr tlenu zawiera ok. 100.000 biljonów, dziś wiemy, że atomy składają się z elektronów i w każdym atomie powtarza się dziwnym sposobem układ systemu słonecznego: jądro — niby słońce — stanowi elektron dodatni, około jądra zaś wirują — niby planety — elektrony ujemne.

Człowiek więc zajmuje co do ciała miejsce pośrednie pomiędzy nieskończoną wielkością wszechświata i światem stworzeń niższego rodzaju, które stopniowo zbliżają się do granicy nieskończenie drobnych rozmiarów.

Do prawdziwej zaś wielkości wzrasta człowiek, gdy uwzględniamy d u s z ę jego i tę duszę przeciwstawiamy światu materjalnemu. Tu stan rzeczy zmienia się zasadniczo. Jako istota materjalna człowiek jest tylko cząstką przyrody, z której się rodzi i w której znów ginie prawie bez śladu. Dusza zaś sama w sobie jest światem o niezrównanej wielkości, piękności i wartości. O niej mówi już Heraklit: „Dna duszy nie zgłębisz, ani dojdziesz do jej granic, choćbyś przebiegł wszystkie drogi; tak nieograniczona jest istota duszy". Nietylko dusza ludzi genjalnych, lecz dusza każdego i najprostszego człowieka jest prawdziwym mikrokosmem, a jej przeżycia są ciekawsze i cenniejsze niż dzieje wszechświata. Znany utwór Boecklina przedstawia ruiny na wybrzeżu morskiem: wybrzeże puste, jedna tam tylko postać kobieca, oparta na skale, nieruchoma, patrząca na dalekie morze. Piękny krajobraz! A jednak mimowoli uwaga nasza skupia się w postaci ludzkiej: Co się dzieje w tej duszy? Cała przyroda — to tylko tło jej psychicznych przeżyć.

Trzy są główne władze, na których naturalna wielkość duszy polega. Trzy bowiem odróżniamy główne rodzaje faktów psychicznych: akty poznania, woli i uczucia.

Przyroda jest wielka, ale nieświadoma swej wielkości. W duszy ludzkiej zabłysło światło r o z u m u. Przez a k t p o z n a n i a dziwnie rozszerza się dusza. Jakże to dziwne,

że słaby nasz wzrok sięga prawie w nieskończoność i rozum ludzki wynalazł środki do badania tej nieskończoności! Poznając wszystko, mówi Arystoteles, dusza niejako staje się wszystkiem. Rozum daje człowiekowi poza tem możność opanowania przyrody. „Tantum possumus, quantum scimus. Ile wiedzy, tyle siły". Wiedzą swą człowiek zmusza siły przyrody, by jemu służyły. Człowiek stał się panem ziemi, a wobec nowoczesnych środków komunikacji ziemia już jest za ciasną dla niego. Słabą swą ręką człowiek kieruje wszystkiem, a gdy przemawia słabym swym głosem, głos ten słyszą po całej ziemi.

Rozumem więc człowiek przenika i w znacznej mierze opanowuje świat niewidzialny. Ale zdolność poznania prowadzi go jeszcze dalej. Przed okiem jego duchowem otwiera się inny świat, wyższy, nadzmysłowy, boski świat idei, prawdy, dobra i piękna. Człowiek przez to staje się obywatelem dwóch światów: jedyne stworzenie ziemskie, które, krocząc wyprostowane, oczy ma zwrócone ku niebu.

Z aktem poznania łączą się akty woli i uczucia. Przyroda jest nieczuła i dlatego bez litości wobec cierpień. Zwierzęta znają tylko żądze zmysłowe. Człowiek, powołany do wyższych celów, zdolen jest do najszlachetniejszych aktów woli i uczuć moralnych: obowiązkowości, sprawiedliwości, miłości i heroicznego poświęcenia życia. Ta godność istoty moralnej daje duszy wartość niezrównaną, przewyższającą świat cały. Stąd słowa Pisma św.: „Cóż pomoże człowiekowi, jeśliby wszystek świat zyskał, a na duszy swej szkodę podjął? Albo co za odmianę da człowiek za duszę swoją?" (Mt. 16, 26).

Tak samo jak dusza godnością swą przewyższa przestrzenną wielkość wszechświata, tak samo ona przełamuje ogólne prawo znikomości czasu. Chociaż życie jego ziemskie jest chwilką tylko, duchem swym człowiek sięga po wieczność i nieśmiertelność.

Podziwu godne, jak człowiek pomimo krótkiego stosunkowo życia już tu na ziemi pracą swą tworzy sobie rodzaj nieśmiertelności. Dzieła wielkich genjuszów, bohaterów i świętych trwają przez lat tysiące; ich świetlane postacie, myśli, czyny żyją pomiędzy nami wiecznie świeże i młode.

Na skrzyni, w której umieszczono serce Woltera, czyta się napis: „Tu spoczywa serce Woltera, duch jego jest wszędzie". Z większem prawem stosować można te słowa do innych genjuszów, wobec których Wolter był tylko fenomenem przejściowym, nie mówiąc już o tym, który o sobie powiedział: „Niebo i ziemia przeminą, ale słowa moje nie przeminą". Mało wprawdzie jest powołanych do nieśmiertelności ludzi genjalnych, imię prostego człowieka prędko idzie w zapomnienie. Czyny jednak każdego człowieka działają nadal bezimiennie.

Ale nietylko dziełem i czynem, lecz także bytem swoim człowiek przeżyje chwilę śmierci. Jest coś w istocie jego, co nie podlega prawu śmierci. „Non omnis moriar. Nie umrę całkowicie". Wiemy, że ogromna większość ludzkości zawsze wierzyła i wierzy jeszcze w życie pozagrobowe, że nietylko najrozmaitsze wyznania religijne, lecz prawie wszystkie poważniejsze systemy filozoficzne w jakiej bądź formie człowiekowi zapewniają życie wieczne i to pomimo że pozornie życie całkowicie gaśnie w chwili śmierci. Nie zachowałaby się ta wiara, gdyby nie była głęboko zakorzeniona w sercu i duchu ludzkim. Są naukowe dowody na nieśmiertelność duszy, ale wystarcza zwykle już proste rozumowanie. Gdy stoję nad świeżą mogiłą drogiej mi osoby, nieznośna i nie do pomyślenia byłaby dla mnie myśl, że trup martwy przedstawia wszystko, co z tego życia i z tej istoty zostało. Było tam przecież jeszcze co innego, ten duch, to serce czułe, szlachetne, to właśnie, co tak ceniłem i kochałem. Z tego wynika dla nas pewność, że nie kładziemy do trumny tego, co najszlachetniejsze, że ono żyje jeszcze i dalej żyć będzie.

Takim więc jest stosunek człowieka do wszechświata. Jako istota materjalna, człowiek pod względem przestrzennym i czasowym jest znikomem tylko stworzeniem. Duchem zaś przewyższa cały świat widzialny i przeżyje dzieje wszechświata. Tego stanu rzeczy nie zmieniła, tej wielkości nie odebrała człowiekowi nauka nowoczesna. Słusznie powiedział Schell: Nie człowiek, lecz tylko ziemia zmalała.

3. Wiedza i wiara.

Wróćmy teraz do pierwotnego zagadnienia! Poznawszy stosunek człowieka do wszechświata w świetle nauki, pytamy się, czy rzeczywiście nie zachodzi tu sprzeczność pomiędzy wiedzą i wiarą?

Głównem twierdzeniem wiary jest to, że człowiek posiada duszę nieśmiertelną o nieskończonej wartości. To twierdzenie oczywiście bynajmniej nie jest zakwestjonowane lub zagrożone przez nowoczesny światopogląd astronomiczny. Nauka nowoczesna wykazała tylko, że człowiek jako jestestwo materjalne jest prawie niczem w stosunku do wielkości wszechświata i życie jego ziemskie jest prawie niczem w porównaniu do okresów kosmicznych. Tego znów wiara nie zaprzecza, wiara owszem sama podkreśla znikomość i marność rzeczy ziemskich.

Tem jednak sprawa nie załatwiona. Poważne trudności powstają stąd, że religja chrześcijańska poza tem zdaje się utrzymywać zdanie, iż ziemia zajmuje jakieś centralne stanowisko w wszechświecie, a ludzkość główną w nim odgrywa rolę, gdy tymczasem astronomja stosunek ziemi do wszechświata zupełnie inaczej pojmuje.

Krótko wspominamy tylko o zagadnieniu, które raz kiedyś było przedmiotem ożywionych dyskusyj; czy uważać należy za prawdę objawioną, że ziemia jest nieruchomym ośrodkiem wszechświata. Ponieważ z Pisma św. przemawia do nas geocentryczny pogląd starożytnej astronomji, z początku teologowie katoliccy, tak samo jak protestanccy, byli zdania, że teorję Kopernika należy odrzucić, jako sprzeczną z wiarą. Dzieło Kopernika umieszczono na indeksie książek zakazanych i Galileuszowi, najgorliwszemu zwolennikowi Kopernika, kongregacja rzymska nałożyła obowiązek milczenia o nowej teorji. Nigdy jednak nauka Kopernika nie była przez Kościół potępiona jako heretycka, a teologja później uznała, że w sprawie tej nie wolno powoływać się na Pismo św., które przecież nie poucza o rzeczach przyrodniczych i mówi o nich tylko w sposób popularny.

Co do tego zagadnienia obecnie więc niema już trudności. Ale chociaż religja chrześcijańska żadną miarą nie

twierdzi, że ziemia jest punktem środkowym całego świata, to jednakowoż zdaje się przypisywać ziemi ze względu na ludzkość zupełnie wyjątkowe i dominujące znaczenie w wszechświecie.

Czy wobec tego, że istnieją setki miljonów słońc i planet, nie trzeba poważnie liczyć się z tem, że na innych ciałach niebieskich żyją także istoty zmysłowo-rozumne, podobne do nas? Tyle wiemy, że na wielu planetach życie organiczne jest, albo było, albo będzie kiedyś przynajmniej możliwe. Jeżeli zaś jest możliwe, to prawdopodobnie istnieje też życie, a może istnieją też istoty rozumne. Trudno przypuszczać, że cały wszechświat stworzony jest wyłącznie dla człowieka, który większą ilość gwiazd widzi tylko jako punkty świecące, lub wcale ich nie dostrzega. Przypuszczalnie więc inne części wszechświata mają swych mieszkańców, podobnie jak ziemia.

Czy twierdzenie to sprzeciwia się nauce wiary? Teologowie zwykle odpowiadają, że sprzeczności tu niema. Pomimo to przyznać należy, że są pewne trudności i łatwiej pogodzić naszą teologję z teorją geocentryczną, niż z nowoczesną astronomją. Winę jednak ponosi nie nauka objawiona, lecz zbyt ciasny sposób tłumaczenia nauki wiary. Dwie są szczególnie trudności. Jedna wynika z chrystologji wzgl. soterjologji, druga z eschatologji.

Podług nauki wiary, Syn Boży stał się człowiekiem, by nas odkupić. Że ten największy cud stał się właśnie na ziemi, tłumaczy się łatwo pod warunkiem, że w całym wszechświecie niema nigdzie stworzeń podobnych do człowieka. Jeżeli zaś przypuścimy, że po wielu innych planetach istnieją także istoty rozumne, nasuwa się pytanie: dlaczego właśnie ziemia jest jedynem miejscem wybranem opatrzności boskiej? Pytamy się poza tem: w jaki sposób w razie grzechu nastąpiło odkupienie na innych ciałach niebieskich, jeżeli Boski Zbawiciel ukazał się tylko na ziemi?

Odpowiadając najprzód na drugie pytanie, możemy wskazać na kilka możliwości. Problem odkupienia nie stałby się wcale aktualnym, gdyby na innych planetach ciężkiego upadku moralnego nie było. To jest możliwe, ale naogół mało prawdopodobne, bo przecież nawet aniołowie zgrze-

szyli. W razie zaś grzechu, odkupienie mogło nastąpić innym sposobem jak tu na ziemi. Dogmatyka nie przyjmuje twierdzenia św. Anzelma, że wcielenie Syna Bożego było jedynym i koniecznym środkiem odkupienia. Mógł nas odkupić tylko Syn Boży, o ile Bóg żądał zupełnego zadośćuczynienia za grzech, bo grzech jako obraza nieskończonego majestatu bożego, zawierając nieskończoną, winę wymaga zadośćuczynienia o nieskończonej wartości przechodzącego siły ludzkie. Ale mógł się Bóg zadowolić pokutą o skończonej wartości, lub też prostym aktem szczerego żalu. Więc nie z konieczności, lecz z boskiej miłości Syn Boży stał się człowiekiem.

Czy ten cud boskiej miłości zdarzył się raz tylko, stanowiąc wyjątkowy zupełnie przywilej ludzkości na ziemi, o tem wiara św. nic nie mówi. Jest rzeczą możliwą, że druga osoba w Bóstwie, podobnie jak przyjęła naturę ludzką, złączyła ze sobą drogą unji hypostatycznej także naturę innych istot rozumnych, albo innemi słowy, że i na innej planecie nastąpiło stopniowe objawienie boskie, aż wreszcie i tam ukazał się człowiek, „przeznaczony Synem Bożym w mocy" (Rzym 1, 4), który wzniesiony do unji hypostatycznej z osobą boską torował braciom swoim drogę do Ojca niebieskiego. My nie mamy pojęcia o tem, jakie cuda opatrzności boskiej faktycznie się działy poza ziemią, ale rzecz jasna, że można dopuścić tam różne możliwości objawienia boskiego.

Druga, poważniejsza trudność powstaje z istnienia istot rozumnych na innych planetach dla e s c h a t o l o g j i, t. j. dla nauki o rzeczach ostatecznych, przynajmniej w zwykłem ujęciu. Zwykle rzecz tak się przedstawia, że dzień ostateczny, który zakończy dzieje ludzkości, połączony będzie z katastrofą wszechświatową i zdaje się to być jasną nauką Pisma św. Chrystus Pan powiedział, że w owym dniu „słońce się zaćmi i księżyc nie da światłości swojej, a gwiazdy będą padać z nieba i mocy niebieskie poruszone będą" (Mat. 24, 29). Częściej powtarza Pismo św., że w dniu ostatecznym przeminie „kształt tego świata" i odnowią się niebo i ziemia. „Dzień Pański przyjdzie jako złodziej, w którym niebiosa z wielkim szumem przeminą,

a żywioły od gorąca rozpuszczą się, a ziemia i dzieła, które na niej są, popalone będą" (2 Piotr. 3, 10). „Widziałem niebo nowe i ziemię nową; albowiem pierwsze niebo i pierwsza ziemia przeszła" (Objaw. 21, 1).

Oczywista, że katastrofa nie pociągnie za sobą katastrofy wszechświatowej naturalnym sposobem, że stałoby się to tylko za osobnem zrządzeniem samego Boga. Trudno jednak przypuszczać zrządzenie takie, jeżeli istoty rozumne istnieją na wielu planetach. Rozwój rozmaitych ludzkości nie może być równoległy, gdyż planety przecież ogromnie się różnią wiekiem i stopniem rozwoju. Na wielu planetach życie, jeżeli było, już dawno wygasło, na innych może dopiero się rozpocznie, gdy dzieje ludzkości ziemskiej już dobiegną końca. Wspólne więc zakończenie dziejów wszechświata ogólną katastrofą zdaje się nie odpowiadać ani mądrości, ani sprawiedliwości boskiej.

By katastrofę tego rodzaju wytłumaczyć, możnaby wskazać na katastrofy ziemskie, niszczące całe miejscowości bez względu na wiek i usposobienie poszczególnych mieszkańców. Życie ludzkie często się kończy przedwcześnie lub trwa jeszcze, gdy już wydaje się być bezcelowem i ciężarem tylko. Mógłby los ten, który spotyka tyle jednostek, spotkać i całe ludzkości. Zachodzi tu jednak zasadnicza różnica. Wspólny los katastrofalny większej ilości ludzi bez względu na stopień ich rozwoju tłumaczy się tem, że wszyscy należą do tego samego społeczeństwa i mieszkają w miejscu katastrofy, tak iż wspólnie giną prawem natury. Mieszkańców zaś rozmaitych planet nie łączą węzły społeczne, ani też katastrofa jednej planety nie przenosi się prawem przyrody na wszystkie inne. Z jakiej więc racji miałby Bóg w niestosownym czasie kłaść kres życiu na wszystkich planetach? Z objawienia wiemy, że na ziemi dzień ostateczny dopiero nastąpi, gdy spełnią się wszystkie przepowiednie boskie i „ewangelja będzie przepowiadana po wszystkiej ziemi". Nie można przypuścić, że Bóg tak celowo działa tylko na ziemi, a na innych planetach nie uwzględni stopnia ich rozwoju.

Wobec takich trudności pytamy się, czy wiara chrześcijańska głosi to rzeczywiście jako dogmat, że dzień osta-

teczny ma znaczenie wszechświatowe? Dogmatyka naogół mało się zajmuje tem obecnie bądź co bądź aktualnem zagadnieniem. Uważam jednak, że dogmatysta, chociaż zwykle dzień ostateczny przedstawia jako koniec świata, po głębszem zastanowieniu się odpowie, iż to twierdzenie do artykułów wiary nie należy[1]). Mówiąc o odnowieniu nieba i ziemi, które nastąpi po dniu ostatecznym, F. Diekamp w swej dogmatyce tak się wyraża, powołując się przytem na św. Tomasza: „Wielu teologów uważa to za prawdopodobne, że tylko ziemia z atmosferycznem niebem się przekształci. Inni rozciągają proces przekształcenia na cały wszechświat. Jedno i drugie zdanie powołać się może na Pismo św., pewności co do tego nie mamy. Jeszcze mniej wiemy o jakości nowej ziemi i nowego nieba. Quantitas autem ut et modus meliorationis illi soli cognita est, qui erit meliorationis auctor. (Summa Theol. Suppl. qu. 91, a. 3)".[2])

Pismo św. tylko o tyle poucza nas o dziejach wszechświata, o ile one odnoszą się do człowieka i mówi o tem zawsze ze stanowiska geocentrycznego. Odpowiednio do tego należy rozumieć i słowa Chrystusa Pana o dniu ostatecznym. Słowa: „gwiazdy padać będą z nieba i mocy niebieskie poruszone będą" są oczywiście wyrażeniem obrazowem. Proroctwo Izajaszowe (Iz. 13, 10), skąd przejęte są słowa Chrystusowe, mówi o gwiazdach tylko to samo, co o słońcu i księżycu, mianowicie, że „nie rozpuszczą światła swego". Słowa te mają niezawodnie wyrazić tylko to, że nastąpią na ziemi katastrofy tak ogromne, iż nie będzie widać ani słońca, ani księżyca, ani gwiazd na niebie: koniec świata — dla naszej ziemi i naszej ludzkości! Jest więc rzeczą możliwą i prawdopodobną, że każda ludzkość, gdziekolwiek jaka istnieje, będzie miała swój własny dzień i sąd ostateczny. Tak tu na ziemi co chwilę ludzie umierają, może podobnie w wszechświecie, chociaż nie co sekundę, co godzinę, ale może co rok kończą się dzieje, już nie jednostki, lecz całego rodu ludzkiego, i tak powoli wszystkie ludzkości,

---

[1]) Gdy zdanie to wyraziłem w tak poważnem czasopiśmie, jak *Teologische Revue*, żadnego sprzeciwu nie było.

[2]) F. Diekamp, *Katholische Dogmatik*. III[5], str. 403.

jedna po drugiej, przechodzą w zaświaty do wiecznego królestwa bożego.

W świetle takiego światopoglądu otwiera się przed nami obraz wszechświata i Boskiego Stwórcy o porywającej wielkości. A jeżeli człowiek maleje przez to, że już nie jest jedyną i najdoskonalszą istotą rozumną wszechświata, to znów wzrasta przez to, że powołany jest do uczestnictwa w tak olbrzymiem królestwie duchów. Z wszechświatem rozszerzają się też zaświaty. Za ciasne były dotychczasowe nasze pojęcia i pod tym względem. Wyobrażamy sobie niebo w ten sposób, że z Bogiem królować tam będą aniołowie i wybrani z naszej ziemi. Prawdopodobnie zaś ludzkość ziemska stanowi tylko skromną cząstkę królestwa bożego, wejdą do niego poza tem niezliczone zastępy świętych z miljonów innych planet. To dopiero królestwo godne nieskończonego majestatu bożego!

Ks. Dr. F. Sawicki.

Pieśń bezimiennego krzyżowca.

1. *„BÓG TAKO CHCE!"*

Oto moje serce na ostrzu mego miecza
i moja pieśń — w trzepocie mego szfandaru!
JERUZALEM! JERUZALEM!! JERUZALEM!!!

święta tęsknico człowiecza
idę ku Tobie wśród słoty i wśród żaru
przez góry, przez puszcze, przez morza,
w głodzie, chłodzie, szyderstwie,
dostojny ino wiarą,
bogaty ducha zapałem —
W PANA CHRYSTUSA rycerstwie!

2. *Wiera! Rozsądniejci za ladą*
łokciem mierzyć brokaty,
ważyć migdałki i tureckie pieprze,
a w mieszku trześć dukaty...

Trzeźwa to rzecz, — legać w puchowej pierzynie,
żłopiąc małmazję ze dzbana,
a gdy za oknem wichura i śnieg —
gęśliczek słuchać...

Wiera! Lepiejci w księgach zasuszyć się po uszy,
wertować Justyniana, —
Horacych w dwornej łacinie
dukać...
I bogać, — że przytomniej
smażyć ołowie w tyglu

na złoto...
Wybaczą.
To nie szaleństwo!

Ale wziąć krzyż na młodą pierś,
ale miłować ogromniej,
ale bieżać w jassyr, w męczeństwo!!!
i szukać co jest wzgórze —
Ba! czyste ano błazeństwo!...

3. *Iście! Szaleńce my!*
Chcemy czuć niebo nad głową
tak pewno,
jak ziemię pod stopami!
A miast w turniejach szukać liści laurowych
witych białemi rączkami,
wolej nam szukać śladów Pana Jezusowych
nad brzegami Jordanu, —
(które — mówicie, — dawno zwiał już wiatr)
wolej nam szukać Graala na Sionie,
(miasto chwały Olimpu...)
a najpewniej, — koron cierniowych,

Sursum corda!
Chwała! — Chwała Panu!

4. *Nic to!*
BÓG TAKO CHCE!

Sprawa nasza — sprawa Boga!
Szaleńce my Boga!
A Bóg nasz — ni Mamona, ni Wiedza, ni Zbytek,
ni Wenera, ni Sztuka, ni Wolność, ni Pożytek;
Bóg nasz — to MIŁOŚĆ,
która się dawa w ofierze!
Bóg nasz — to Płomię,
co szuka stoga,
by gorzeć!
Bóg nasz — to Zbawca,
co szuka krzyża — by umrzeć!

5. *Miłość — to jeszcze nie gęśl w księżycomodrą noc*
a sen umiłowanej...
Miłość — to jeszcze nie rwanie listków
z nadobnej różyczki...
Miłość — to nawet nie śloza czuła na nieszporze,
gdzieś w zakamarku kapliczki...
Miłość, to nie pożądanie, —
Miłość, — jak śmierć jej moc! —
Miłość — to OCHFIAROWANIE!!!

6. *BÓG TAKO CHCE!*
Nie lża nam smaczno spać,
kiedy nieprawość hula,
ni biadać, ni trześć głową, że Jeruzalem wzięte!
Męska rzecz chwycić za kord, —
niewiasta niech się rozczula!
Klęska, — jeszcze nie kres,
— to dzieło rozpoczęte,
trąba, — co budzi o północku zmożone,
płatnerz najlepszy, — bo kuje odsieczne oręże!
NA ZWYCIĘSTWO, — dziś nasze miecze toczone!
BÓG TAKO CHCE!!!
Otośmy!
Idziem — męże!

7. *W duszach larum nam grają*
dzwony hańbionych kościołów,
w sercach — kwili nam płacz
rzezanych niewiniątek...
Czujem — nad sobą — w wichrach —
szum skrzydeł archaniołów,
i wid się jawi nam —
— MISTERJUM w WIELKI PIĄTEK. —
JERUZALEM!
JERUZALEM!!
JERUZALEM!!!
Oto ku tobie wyciągamy ręce, —
oczy myjemy łzami,
by na cię godnie pojrzeć, — miasto Chrystusowe...

8. A rozewrzesz ty nam brony, — oswobodzona?
A nasycisz, — plastrem miodu Samsona?
A nakarmisz ty nas manną — swojego chleba?
A napoisz — winnem gronem Jozuego? —
A masz ty dla nas grób — w bliżu grobu Pańskiego?!
A będziesz ty nam progiem — do nieba? —
JERUZALEM! JERUZALEM!! JERUZALEM!!!
BÓG TAKO CHCE! Żywie Pan Chrystus! Kyrie elejson!

Jan Art.

Chrześcijańskie postulaty prawne.

Z całego świata dochodzą skargi przeciw szerzącemu się bezprawiu, zaniku poczuciu prawa, lekceważeniu praworządności i t. p. objawom, odczuwanym jako złe, bo społecznie szkodliwym i powiedzmy odrazu wysoce niebezpiecznym. Podobnie jak przy innych przejawach przesilenia, które obecnie ludzkość przechodzi i w tym wypadku mamy również do czynienia z zjawiskiem powszechnem, światowem, przybierającem nawet w pewnych krajach, do niedawna jeszcze szczycących się kultem praworządności, nieoczekiwane i groźniejsze rozmiary, aniżeli u nas.

Kryzys prawa i praworządności, odgrywających tak poczesną rolę w życiu społecznem, zniewalają do dokładnego i bezstronnego zastanowienia się i rozważenia zarówno powodów, jak i środków zaradczych, zapomocą których, możnaby przynajmniej ograniczyć skutki tych ujemnych objawów. Prawo nie jest przecież wzorem chemji, lub matematyki, przedmiotem obchodzącym wyłącznie niemal specjalistów. Jest ono dobrem społecznem, w najściślejszem tego słowa znaczeniu, dobrem nieodzownem, bez którego żaden ustrój, ani tworzące go grupy istniećby nie mogły.

Aby jednak zorjentować się w naszym problemie, potrzeba oddzielnie zastanowić się nad poszczególnemi pytaniami, a to dotyczącemi społecznych celów prawa, roli ustawodawcy i warunków realizacji praworządności.

I.

Już pierwsze zagadnienie nastręcza niemałych trudności. Zwykła bowiem odpowiedź, że celem prawa jest dobro powszechne, przedstawia się tak ogólnikowo, że na jej pod-

stawie są możliwe wręcz sprzeczne interpretacje i zrozumienia. Podobnie się sprawa przedstawia, gdy przypomniemy sobie starorzymskie określenie prawa, jako *ars boni et aequi*, sztukę dobra i słuszności, a naukę prawa, jako *divinarum atque humanarum rerum notitia, iusti atque iniusti scientia.* W myśl ostatniego określenia, nauka prawa, a jest to i dla jego istoty i celu rzeczą ważną, wyjaśniającą i uzupełniającą tezę dobra powszechnego, obejmowałaby znajomość rzeczy boskich i ludzkich, świadomość tego, co dla życia społecznego jest dobrem lub złem, czyli sprawiedliwem i niesprawiedliwem.

Pojęcie sprawiedliwości staje się tem samem ośrodkiem całego zagadnienia, które bez jego zrozumienia, musi pozostać niejasnem. Że zresztą w świadomości, a nawet podświadomości ogółu odgrywa ono dużą rolę, tego dowodem, że słowo sprawiedliwość odbija się stale o nasze uszy. Zarówno w życiu prywatnem, jak i publicznem wiecznie ten wyraz słyszymy. Przy ocenie ludzi i wypadków, posiada on oddawna pierwszorzędne znaczenie. Mówi się, że sprawiedliwość jest kamieniem węgielnym państw *(iustitia fundamentum regnorum)*, a nawet, że dopiero ona nadaje im godne poszanowania znamię, w myśl bezwątpienia słusznego powiedzenia św. Augustyna: „Jeżeli się odrzuci sprawiedliwość, czemże są królestwa, jeśli nie wielką szajką rozbójników; przecież i szajki czemże są, jeżeli nie małemi królestwami?“ [1]) Gdy mowa o jednostce, powiedzenie „człowiek sprawiedliwy“ oznacza największą pochwałę, nadaje tem mianem obdarzonemu niezwykłą powagę i autorytet, jakie nie są udziałem mądrości, uczoności, i t. p. Urzeczywistnienie sprawiedliwości uważa się nadto za rzecz niezwykłej wagi społecznej, bodaj nawet za najważniejsze, co znajduje swój wyraz w powszechnie znanem przysłowiu *pereat mundus fiat iustitia* niechaj się stanie zadość sprawiedliwości, chociażby strop nieba się zawalił.

Wśród sporów i walk politycznych, zarówno wewnętrznych, jak i międzynarodowych, ogólnie ucieka się pod skrzydła sprawiedliwości, usiłując stwierdzić, często z wielkim

[1]) *De Civitate Dei* IV. 4.

nakładem pracy i wysiłku, że jej służba jest wyłącznym celem i pragnieniem. Wielcy myśliciele, wskazujący drogi ludzkości, Platon, Sokrates, Arystoteles, Cycero, Seneka, Marek Aureljusz i tylu innych w starożytności,[1]) a za ich przykładem liczne rzesze następców, szeroko się nad nią rozwodzą, wynosząc jej niezwykłe znaczenie dla życia społecznego. W cudownem Kazaniu na Górze, poruszając problem sprawiedliwości zapowiada Chrystus: „Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem będą nasyceni... Błogosławieni, którzy cierpią prześladowania dla sprawiedliwości; albowiem ich jest Królestwo niebieskie". [2]) Chrześcijaństwo zaliczało sprawiedliwość do cnót kardynalnych, przyznając stanowisko przodujące, gdyż jak powiada św. Tomasz: „Ponieważ sprawiedliwość tak moralna, jak prawna jest cnotą istniejącą w woli, i która porządkuje stosunek człowieka do drugich, jest ona najwyższą ze wszystkich cnót moralnych". [3])

Odwieczna jednomyślność w ocenie znaczenia sprawiedliwości, została dopiero przerwaną w ostatnich czasach, przez niektórych zwolenników skrajnego materjalizmu, uznających w stosunkach ludzkich tylko brutalny egoizm i przemoc. Jednakże takie zapatrywanie spotykało się z bezwzględną i niedającą się osłabić krytyką, ze strony wyznających zresztą różne światopoglądy historyków, prawników i socjologów, z pośród których wspomnę tylko przykładowo Durkheima, [4]) L. Levy-Brühla, [5]) Alberta Bayet [6]) i A. Lalande'a. [7]) Nawiasem zaznaczam, że przytaczam tu z rozmysłu uczonych, którzy nie zaliczają się bynajmniej do zwolenników Kościoła katolickiego. Słusznie też Jean Izoulet, którego głębokie uwagi w całokształcie aktualnych proble-

[1]) Naprz. Cycero w *De republica* III, 17; *De legibus* I, 5; *Oratio pro Milone* IV. Inna rzecz, że to wysokie, filozoficzne pojęcie sprawiedliwości nie wywarło nigdy decydującego wpływu na prawo rzymskie.

[2]) Mat. 5, 6 i 10.

[3]) *Summa Theol.* II, II q. 58 art. 12;

[4]) *De la division du travail social* (4 wyd. Paryż 1922) str. 22 i n.; *La morale fonction de la société* (Paryż 1924); *L'Education morale* (Paryż 1925).

[5]) *La morale et la science des moeurs* (7 wyd. Paryż) str. 116—192.

[6]) *La science des faits moraux* (Paryż 1925).

[7]) *Précis raisonné de morale pratique* (2 wyd. Paryż 1930) str. 27 i n.

mów społecznych i usiłowania skonstruowania ustroju przyszłości, zasługują na baczną uwagę, nazywa sprawiedliwość tajemniczą i niepokonalną siłą dodając: *La force a beau sévir, se déchainer, et faire rage: jamais la justice n'abdique. Heurtée, renversée, foulée, piétinée, elle proteste encore, elle proteste toujours, inextinguiblement, à travers ses sanglots, ses spasmes et ses rales. Or cela qui proteste et qui résiste ainsi, cela qui est insubjugable et, en fin de compte, invincible, cela peut-il n'être rien? Et la supreme puissance peut-elle donc appartenir à ce qui ne serait qu'un fantome, une chimère, une ombre?* [1])

Zdawałoby się, że pojęcie posiadające od czasów zamierzchłych bogatą literaturę, odgrywające stale doniosłą rolę praktyczną, pozostające ciągle na wszystkich ustach, jest jasne, proste i powszechnie zrozumiałe. Tymczasem bynajmniej tak nie jest. O ile szacunek dla sprawiedliwości, nieraz może nie całkiem szczery i jej pragnienie należą do objawów codziennych, to zgoła inaczej się sprawa przedstawia, gdy chodzi o rozumienie jej treści i istoty. Ujawnia się tu dziwny i pozornie niezrozumiały chaos zdań i zapatrywań, przybierający w naszych czasach wysoce niepokojącą postać. Możemy wprost mówić o kryzysie pojęcia sprawiedliwości, rodzącym zarówno w stosunkach prywatnych, jak i politycznych poważne objawy ujemne, zwiększające niepewność, powszechnie we wszystkich dziedzinach od r. 1914 odczuwaną. Ten objaw jest tem ważniejszym, że przecież czynami ludzi kierują momenty psychiczne, poglądy i przekonania na to, co jest dobre i złe, godziwe i niegodziwe. [2])

---

[1]) *Pages choisies de la cité moderne* (Paryż 1930) str. 325.

[2]) Zwraca na to ponownie uwagę w sposób bardzo zajmujący i przystępny G. Le Bon, *Bases scientifiques d'une philosophie de l'Histoire* (Paryż 1931) str. 139—215; wiele ciekawych refleksyj, w związku z naszym tematem, nasuwają także: książka pułkownika Munson'a *Le maniement des hommes* (Paryż 1929), jak również i prace wielkiego historyka G. Ferrery, który ustawicznie podkreśla znaczenie tych momentów, tak w swoich pracach z dziejów cesarstwa rzymskiego, jak i w ogólnych rozważaniach na temat doby współczesnej, Na szczególną uwagę zasługują, istniejące także w przekładzie polskim, *Między przeszłością a tem co nas czeka* i *Przemowy do głuchych* (Poznań, R. Wegner).

W tym związku treść pojęcia sprawiedliwości wywiera nie dający się wprawdzie dokładnie ocenić, w każdym razie niepomierny, wpływ na kształtowanie się stosunków, na ustrój, na ogół form życia społecznego. Zapewne mogą istnieć i zawsze istnieli i istnieją ludzie, którzy starają się nadużywać pojęcia sprawiedliwości dla obcych jej zgoła celów. Życie prywatne, karjery osobiste nastręczają nam licznych tego rodzaju przykładów. Wiemy, że właśnie takie postępowanie ułatwia nieraz w znacznym stopniu powodzenie. Coprawda, jeszcze częściej można stwierdzić, zwłaszcza obserwując t. zw. karjery polityczne, że właśnie z tego powodu nie bywa ono stałe i długotrwałe. Ale o ile zatrata poczucia sprawiedliwości, lub jej lekceważenie jest ryzykownem dla jednostki, która dzięki krótkiemu okresowi swego życia, może przy sprzyjających okolicznościach być niedosiągniętą przez Nemezis swoich czynów, to inaczej się sprawa przedstawia ze społeczeństwami. Nie można wprawdzie mówić, jakoby one żyły wiecznie, w każdym razie jednak żyją normalnie dość długo, by dotkliwie odczuć, że zarówno dobro, jak i zło nie mija bez pozostawienia brzemiennych następstw. Zatrucie duszy narodu, t. zn. pozbawienia jego psychiki elementów etycznie dodatnich, zastąpienia ujemnymi, mści się krwawo i boleśnie w dziejach, często może dopiero po jednej, lub dwóch generacjach, gdyż bezwzględnie społecznie słuszną jest stara, znana już Staremu Testamentowi prawda, że czyny ojców mszczą się na synach.

Naturalnie reguła ta nie jest w tem znaczeniu bezwzględną, jakoby przeciwko niej nie było środków zaradczych. Prawa historyczne nie działają mechanicznie i z logiką praw przyrodniczych. Zemsta dziejowa dosięga tylko wtedy następne pokolenia, jeżeli korzystają one biernie z owoców win przodków, gdyż nie odzyskują wielkiego, utraconego przez poprzedników, kapitału moralnego, którego podstawą i źródłem — sprawiedliwość. Uniknięcie skutków czynów przodków jest więc zasadniczo możliwe, wymaga jednak należytego zadośćuczynienia krzywd, wyrządzonych w przeszłości, czy to innym społeczeństwom, czy też pewnym grupom, lub stanom. Takie zadośćuczynienie nie może się obejść bez ofiar, nieraz bardzo poważnych i dotkliwych, na

które tem trudniej się zdobyć, im bardziej przyzwyczajono się pewne fakta, rzecz obojętna jakiej natury, powstałe i ustalone z naruszeniem zasad etycznych, uważać jako przedawnieniem usankcjonowane, a tem samem już sprawiedliwe.

Nasuwa się jednak tutaj odrazu pytanie o treść sprawiedliwości, a następnie czy możemy w wyższem tego słowa znaczeniu przyjąć, że jest ona nieodmienną?

Zaraz na początku studjów, dowiadują się studenci prawa, że podług definicji Ulpiana, *iustitia est constans et perpetua voluntas, ius suum cuique tribuens,* sprawiedliwość jest stałą i trwałą wolą, przyznającą każdemu jego prawa. Najczęściej ta formuła, wraz z drugą o nakazach prawa, zalecającą „Żyć uczciwie, drugiego nie krzywdzić, każdemu oddać, co jest jego", są poczytywane przez prawników i myślące koła społeczeństwa, jako w zupełności wyczerpujące przedmiot. Tak tymczasem bynajmniej nie jest. Oba te, wzajemnie się uzupełniające zdania, nazwałbym raczej ramami, ale nie obrazem sprawiedliwości. Nie mówią one bowiem nic o jej istocie, o jej treści. Ta zaś zależy od tego, co się uznaje za czyjeś prawo, za należne drugiemu. Nie zapominajmy, że wyzysk słabszych społecznie [1]) mógł się odbywać w ciągu wieków z zachowaniem i głoszeniem tych określeń, w których sprawiedliwość jest podporządkowana prawu, a nie prawo sprawiedliwości.

I tutaj dochodzimy do źródła obecnego kryzysu pojęcia sprawiedliwości, wraz z wszelkiemi tego następstwami.

W referacie „Eucharystja pełnią życia jednostki", wygłoszonym na zeszłorocznym Kongresie Eucharystycznym w Poznaniu, [2]) poruszyłem krótko i ten problem. Podkreśliłem wtedy, że: „często spotyka się z... przekonaniem, że dostatecznie spełnia obowiązki wobec bliźnich... przestrzegający przepisów obowiązujących praw państwowych. Pogląd ten głęboko się zakorzenił od czasu zarzucenia chrześcijańskiej, a powrotu do pogańskiej myśli prawniczej, reprezentowanej przez prawo rzymskie. Renesans prawa rzymskiego wypaczył w społeczeństwach pojęcie sprawiedliwości, zmienił

[1]) Podkreśla to ostatnio także L. Levy-Brühl;

[2]) Wyd. Tow. im. P. Skargi we Lwowie 1930, str. 12 i n.

jego treść. Sprawiedliwym stał się ponownie wyznawca litery a nie ducha, ten, kto nie żąda więcej, jak mu prawo przyznaje i nie świadczy innym mniej, aniżeli się im podług przepisów należy. Czy zaś samo prawo jest słusznem, to człowieka sprawiedliwego według wzoru pogańskiego nie obchodzi. Te pozbawione serca, egoistyczne i aspołeczne zasady, wydają jednak gorzkie owoce. Sprawiedliwość formalną łączy się bowiem z tem przeświadczeniem, że jej treść może ulegać dowolnej zmianie, zależnie od woli prawodawcy. Znajduje to swój wyraz, w zwalczanej przez najlepsze umysły Kościoła, między innymi św. Tomasza, regule: „Co się spodobało władcy, posiada moc prawa", regule, która w konsekwencji wiedzie do utożsamienia siły z prawem i sprawiedliwością. W przeciwieństwie do izolowanej, egoistycznej sprawiedliwości pogańskiej, przyczem jest obojętnem, czy chodzi o stosunki między jednostkami, warstwami, lub narodami, zgoła inną jest treść chrześcijańskiej, nierozerwalnie związanej z miłością. Opiera się ona na przykazaniu ogłoszonem przez Chrystusa: „Czyńcie tedy drugim to wszystko, co chcecie, żeby wam ludzie czynili, w tem bowiem streszcza się Zakon i Prorocy".

Nauka katolicka oddawna też uzupełniła definicję prawa rzymskiego. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, że tylko wspomnę św. Ambrożego, św. Augustyna, Grzegorza Wielkiego, św. Tomasza, poświęcali zawsze baczną uwagę pojęciu sprawiedliwości. Rzymskie określenie im nie wystarczało i wystarczać nie mogło, nie zawierało bowiem obowiązku czynnej miłości bliźniego, wyższości nieodmiennych przewodni etycznych, nad zmiennemi przepisami prawa ludzkiego, które są nierozerwalnie złączone i stanowią właściwą treść chrześcijańskiego pojęcia sprawiedliwości. To też św. Ambroży, zgodnie z zrozumieniem chrześcijańskiem ujął sprawę w sposób odmienny, przyjęty i przez wieki następne głosząc: „Sprawiedliwością jest oddawanie każdemu co się mu należy, niepożądanie cudzego; zaniedbywanie korzyści własnych, strzeżenie powszechnej słuszności". [1]) Przypomnę tutaj, jako jasno odzwierciedlające istotę tej myśli, słowa

[1]) *De offic.* lib. I. cap. 24 i. fine;

św. Jana: „Przez to jawni są synowie boży i synowie djabelscy. Wszelki, który nie jest sprawiedliwy, nie jest z Boga i który nie miłuje brata swego. Albowiem to jest opowiadanie, któreście słyszeli od początku, abyście jeden drugiego miłowali. W tem poznaliście miłość bożą, iż On duszę Swą za nas położył i myśmy winni kłaść duszę za braci. Synaczkowie moi nie miłujmy słowem ani językiem, ale uczynkiem i prawdą.[1])

Sprawiedliwość płynąca z miłości i miłosierdzia, sprawiedliwość zgodna z duchem Ewangelji, nie zaś związana literą i do niej się ograniczająca, to jest ideał chrześcijański. „Prawo bowiem jest dobrem, jeżeli się go w prawy sposób używa", poucza św. Augustyn,[2]) lub jak wyraża się innym razem: „Gdzie niema prawdziwej sprawiedliwości i prawa być nie może".

Z tego, cośmy dotychczas powiedzieli, widzimy, że mamy, do czynienia z dwoma, zgoła różnemi pojęciami sprawiedliwości. „Pierwszą cechuje, że się tak wyrażę, charakter defensywny, egoistyczny, bronienie prawa, bez względu czy jego pochodzenie i treść są zgodne z etyką, bez obowiązku uwzględniania położenia innych, ich krzywd, bolów, lub potrzeb. Przeciwnie z sprawiedliwością chrześcijańską... w odróżnieniu od pogańskiej defensywnej i egoistycznej, znamionuje ją ekspansywność, altruizm, miłość społeczna i miłosierdzie".[3])

W chrześcijańskiem słowa znaczeniu może zatem uchodzić za sprawiedliwego tylko przestrzegający napomnienia, tak wzniośle ujętego przez Krasińskiego:

W ciągłej przykładu i słowa postaci
Rozdawaj siebie samego swej braci!
Mnóż ty się jeden przez czyny żyjące,
A będą z ciebie jednego — tysiące!
Bądź i w kajdanach niestrudzonym trudem!
Niech ból cię każden choć boli, nie boli!
W jednej twej piersi — bądź twym całym ludem!
Bądź niebo z ziemią spajającym cudem.

(Resurrecturis)

[1]) I. Jana 3, w. 10, 11, 16 i 18.
[2]) *De Spiritu et litera*, c. X, 16.
[3]) *Eucharystja pełnią życia* etc. str. 13, 14;

Zapoznawszy się z istotą obu ideałów sprawiedliwości, pogańskiej i chrześcijańskiej, zdając sobie sprawę ze znaczenia, jakie one w życiu odgrywają, musimy powrócić do pytania, czy możemy przyjąć istnienie bezwzględnie pewnych i nieodmiennych, społecznie twórczych pojęć?

Muszę na to odpowiedzieć, że po pierwsze ich potrzeba jest bezwzględnie odczuwaną,[1]) że w mojem przekonaniu są niemi niezaprzeczenie ideały chrześcijańskie, co potwierdza całe nasze długowieczne doświadczenie historyczne. Ilekroć bowiem zasada pogańska bierze górę, jak się to stało ostatecznie i bezwzględnie za naszych czasów, to po stosunkowo krótkim okresie pozornego powodzenia gromadzą się zawsze potężne złoża krzywd i nienawiści, grożące niechybnym rozstrojem i katastrofą. Następuje powszechny kryzys zaufania, zachwianie wszelkich instytucyj społecznych, a wobec tych objawów, środki mechaniczne i materjalne, pozostające w rękach państwa i jego kierowników, okażą się wkońcu zawsze zawodne. Tani i krótkowzroczny sprycik polityków zła nie usunie i usunąć nie może. Nie podoła zadaniu również trud jednej, lub kilku jednostek, chociażby najenergiczniejszych i jasno oceniających położenie. Poprawa może nastąpić tylko dzięki świadomej pracy możliwie szerokich warstw społeczeństwa, zmierzającej przedewszystkiem do usunięcia chaosu pojęć, a następnie realizacji wielkiego i jasnego ideału sprawiedliwości. Bez tego zaś niema mowy o stworzeniu systemu prawnego, budzącego poszanowanie przepisów i zniewalającego do ich przestrzegania. Praworządność jest tylko do pomyślenia, jeżeli ustawy posiadają sankcję moralną społeczeństwa, to znaczy jeżeli są wynikiem nie przypadkowej woli prawodawcy, lecz odpowiadają i służą tym ideałom etycznym, które nazywamy sprawiedliwością.

II.

Uwagi poprzednie pozwoliły nam na podkreślenie znaczenia problemu sprawiedliwości i jego stosunku do prawa.

[1]) O społecznej potrzebie stałych zasad, niezależnych od woli państwa mówi także czerpiący niejedno z pojęć chrześcijańskich J. Charmont, *La renaissance du droit naturel* (II, wyd. Paryż 1927).

Zaznaczono nieodzowność jasnego zdawania sobie sprawy z jej istoty i zwrócono uwagę, że mamy pod tą samą nazwą do czynienia z dwoma sprzecznemi ideałami, a mianowicie pogańskim, w którym sprawiedliwość jest podporządkowaną, sługą prawa, oraz chrześcijańskim. W drugim wypadku staje się ona jego panią, a prawo tylko wtedy uchodzi za słuszne, jeżeli jest zgodne z jej nakazami, lub przynajmniej nie pozostaje z niemi w sprzeczności. Jak bowiem zauważył już św. Augustyn: „W prawie doczesnem nic nie jest sprawiedliwem i prawnem, czego z wiecznego prawa ludzie sobie nie wywiedli". [1])

Teorje oparte na starorzymskiej zasadzie wszechmocy państwa przyznają tylko jemu i to bez żadnego ograniczenia władzę ustawodawczą. Wszelkie normy przez państwo wydane, lub uznane i wyposażone w egzekutywę, uchodzą za prawo, bez względu na ich wartość moralną. Skłaniając głowę przed normami etycznemi, podnosząc niekiedy wyraźnie znaczenie sankcyj moralnych dla przestrzegania przepisów państwowych, równocześnie jednak nie sądzi się, żeby musiały, a nawet mogły one stanowczo krępować ustawodawcę. Wspomina się wprawdzie również, że celem prawa jest dobro ogólne, sprawiedliwość i t. p. Czy jednak ta okoliczność zachodzi, pozostawia się swobodnej, nie mogącej być prawnie kwestjonowanej ocenie, ustawodawczych organów państwa. W tem rozumieniu ważną jest wyłącznie treść, należycie ogłoszonego przepisu, posiadającego zapewnioną egzekutywę i niema naprz. zastosowania wynikająca z społecznego celu prawa reguła: *cessante ratione cessat lex ipsa,* z ustaniem powodów wydania ustawy przestaje obowiązywać i ona sama. [2])

Temu skrajnemu zapatrywaniu, które pozostawia posiadającemu w danym ustroju faktyczną siłę niczem nieskrępowaną możność rozstrzygania o treści obowiązujących przepisów przeciwstawia się chrześcijańska myśl prawnicza. Cel prawa, dobro ogólne nabierają w niej istotnego i po-

---

[1]) *De lib. arbitrio* I. c. 6;

[2]) p. np. G. Jellinek, *Allgemeine Staatslehre* (liczne wydania); E. Roguin, *La science juridique pure* (Lozanna 1923) tom I. str. 132—5.

ważnego znaczenia, krępują swobodę ustawodawcy. Nader szczęśliwie ujął nasz problem zmarły w r. 636 św. Izydor, który określiwszy należycie jego istotę, pozostawił stałą wytyczną wiekom późniejszym. Opierali się też na niej, że przykładowo wymienię Iwon, Gracjan, św. Tomasz, Suarez i inni. Według św. Izydora: „Ustawy zostały zatem wprowadzone, żeby obawa przed niemi hamowała bezczelność ludzi, by wśród nieprawych bezpieczną pozostawała niewinność, a możność szkodzenia ze strony nieuczciwych była ograniczoną strachem przed karą". [1]) „Ustawa winna zatem być uczciwą, sprawiedliwą, wykonalną, odpowiadającą naturze, odpowiadającą zwyczajom ojczystym, przystosowaną do miejsca i czasu, konieczną, pożyteczną i zrozumiałą, żeby wskutek niejasności nie zawierała czegoś niewłaściwego; nie pisana dla czyjejś prywatnej wygody, lecz dla wspólnej korzyści obywateli". [2]) Tylko ustawa odpowiadająca tym wszystkim wymogom staje się prawem, to jest takiem, któremu należy się bezwzględny posłuch, obowiązujący obywateli nietylko zewnętrznie, ale i wewnętrznie pod grzechem. [3]) O ile zaś tych warunków nie dostaje, „ustawa jest tyrańską, ponieważ nie odpowiada rozsądkowi, nie jest w ścisłem tego słowa znaczeniu ustawą, lecz raczej pewnego rodzaju deprawacją prawa". [4])

Nawiasem zaznaczę, że zgodności przepisów z poczuciem etycznem społeczeństwa, bo o to tutaj między innemi chodzi, przyjmując przytem często wyraźnie moralność chrześcijańską, jako najwyższy jej wyraz, domaga się wielu uczonych, należących zresztą do różnych obozów jak np. Durkheim, [5]) Duguit [6]) i wielu innych. Nadto niejedno ciekawe spostrzeżenie i cenną praktyczną w tym względzie uwagę, można znaleźć w dziełach wielkiego socjologa prawa Euge-

---

[1]) *Origin. seu Etymolog.* V. 20; Gratian, 1 D. IV.

[2]) *Etym.* V. 21; Ivo. *Decr.* IV. 168; *Panor.* II. 142; *Coll. fr. part.* III. 6, 10; Gratian 2 D. IV; św. Tomasz *Summa theologiae* I, II. q. 95 art. 3.

[3]) *Summa theol.* I, II, q. 96 art. 4.

[4]) Ib. I, II. q. 92 art. 1 in fine.

[5]) *De la division* etc. str. 28—31.

[6]) *Traité du droit constitutionel* (Paryż 1924) T. I. str. 17 i n.

njusza Ehrlicha,[1]) D. Belleť'a,[2]) J. Cruet,[3]) A. Connson'a[4]) i innych.

U nas postulat zerwania z pogańską zasadą wszechmocy ustawodawcy, żądając zdecydowanego powrotu do stałych norm zasadniczych, opartych na ideologji chrześcijańskiej, wysunął ostatnio ś. p. Wł. Jaworski w art. 1. swego wydanego w r. 1928 Projektu konstytucji. Nie przesądzając, czy to sformułowanie czyni zadość wszelkim wymogom praktycznym, stwierdzam jednak z radością ten fakt, tak wysoce charakterystyczny, dla ujawniających się dzisiaj prądów Jest przytem niezmiernie znamiennem, że nie chodzi tu tylko o wypadek wyjątkowy, lecz że podobnym zapatrywaniom hołdują i inni nasi uczeni, wśród których nie brak ludzi o głośnych nazwiskach i ustalonym w Rzeczypospolitej autorytecie. Ten objaw zasługuje tem bardziej na podkreślenie, gdyż zgoła jeszcze niedawno wręcz odmienne zapatrywania przeważały w nauce, które wśród szerokich rzesz katolików, posiadających wykształcenie prawnicze, a nie obeznanych z nowemi prądami i dzisiaj jeszcze musimy uważać za panujące.

Tę pomyślną zmianę, odwrotu od doktryny pogańskiej, a wyraźnego, choć może niezawsze całkiem zdecydowanego powrotu do nauki katolickiej, spowodowały nieabstrakcyjne, obce rzeczywistości rozmyślania i dociekania, ale spostrzeżenia nad rozgrywającemi się wkoło nas wypadkami. I w tym względzie nader pouczające są uwagi Prof. Estreichera, który omawiając myśl ś. p. Jaworskiego, wywodzi: „Problem oparcia życia państwowego na jakim trwałym fundamencie, któryby zapewnił prawu możliwą powagę i stałość, zajmuje świat od niesłychanie dawnych czasów. Jaworski w ciągu swoich wieloletnich rozmyślań nad tym problemem doszedł do przekonania, iż nasz dzisiejszy porządek, opierający prawo na woli ogólnej ludu, nie daje żadnych gwarancyj niezmienności i sprawiedliwości, to też że należy oprzeć

---

[1]) Naprz. *Grundlegung der Soziologie des Rechts* (Monachjum—Lipsk 1913) i inne.

[2]) *Le mépris des lois et ses conséquences sociales* (Paryż E. Flammarion).

[3]) *La vie du droit et l'impuissance des lois* (Paryż VI. wyd.)

[4]) *La civilisation, action de la science sur la loi* (Paryż 1929).

prawo na absolutnej moralności, a taką jest tylko moralność religijna, wywodząca się z nauki Chrystusowej. W zdaniu tem utwierdziła go lektura pism dwóch wielkich pisarzy chrześcijańskich... św. Augustyna *(Civitas Dei)* i św. Tomasza *(Summa Teologiae)*".[1])

Inna rzecz, że projektowane przez ś. p. Jaworskiego rozwiązanie, ujęte w formułę: „władzę wykonywa prezydent państwa wedle zasad moralności Chrystusowej i nie może być w tem żadną normą ograniczony", nasuwa niejedną wątpliwość. Prof. Estreicher jasno je ocenia i po naszkicowaniu doświadczeń i prób historycznych z podobnem ujęciem naszego zagadnienia w przeszłości, kończy swoje wywody słuszną uwagą: „W prawie bożem, moralności chrześcijańskiej szuka ś. p. Jaworski lekarstwa na inną chorobę, niźli szukał Orzechowski i inni. Tamci widzieli w niem środek na skrępowanie suwerena-monarchy, dążącego, lub mogącego dążyć do władzy absolutnej. Dla Jaworskiego jest prawo boże lekarstwem przeciwko nowoczesnemu suwerenowi, przeciw zwierzchniczej władzy mas wyborczych, a raczej suwerennym aspiracjom posłów, zasłaniających się wolą mas. Różnicy tej nie przeczę, owszem pragnę ją podkreślić — ale bynajmniej ona, mojem zdaniem, nie usuwa trudności, która była tak charakterystyczną dla wieków średnich, a mianowicie pytania: czy głowa państwa, związana moralnością chrześcijańską i nieograniczona w tem żadną normą prawną, ma swobodę w jej wykładni, czy też związaną jest w pojmowaniu moralności interpretacją władzy duchownej, będącej z natury rzeczy komentatorem prawa bożego i władzą uprawnioną do jego rozwijania w kanonicznych przepisach".[2])

Z tego co dotychczas powiedziano widzimy, że za powód zjawiska, które na wstępie określiliśmy, jako kryzys prawa i praworządności, musimy uważać niejasność poglądów co do ich celu i istoty, spowodowanych brakiem stałych zasad, zastąpionych wiarą w wszechmoc państwa, względnie ustawodawcy i jego woli, objawionej w formie

[1]) Stan. Estreicher, *Wedle zasad moralności Chrystusowej* (Kraków 1930) str. 4, 5.

[2]) Ib. str. 14, 15;

obowiązujących przepisów.[1]) Ta zaś wola, zależy od ustawicznie zmiennego układu siły i nastrojów, wśród których naczelne postulaty, nadające treść hasłu „dobro ogółu", są narażone na lekceważenie. Następstwa, powodowane wiarą w wszechmoc państwa i ustawodawcy, ukazały się pod każdym względem niezwykle szkodliwe. Niemal bez różnicy stopnia wykształcenia przyjęły i przyjmują ją szerokie masy, jako pewnik i to bezkrytycznie i bez zastrzeżeń. Wierzy się, że o ile tylko uda się znaleźć odpowiednią definicję prawną, nadać jej formę ustawy i ogłosić w dzienniku urzędowym, w takim razie muszą nastąpić wszelkie pomyślne i pożądane skutki, kładące kres odczuwanym dolegliwościom społecznym. Jeżeli zaś rzeczywistość zawiedzie oczekiwania, co w współczesnych warunkach tak często się zdarza, w takim razie, winę przypisuje się nieudolności ustawodawcy, który nie potrafił stworzyć odpowiedniej zbawiennej formuły magicznej. Szuka się ciągle jakichś formuł, możliwie krótkich, któreby posiadały moc cudotwórczą, zaradzenia wszelkiemu złu. A ponieważ się ich nie znajduje, bo znaleźć nie można, wysnuwa się stąd dwa rodzaje wniosków, albo przypisując winę pewnym w danej chwili pozostającym przy władzy osobom, kwestjonując, często zresztą słusznie, ich kwalifikacje, albo co jest jeszcze bardziej niebezpieczne, dochodzi do przekonania, że współczesny kryzys jest chorobą nieuleczalną.

Naturalnie, dałoby się pomyśleć, że znajdujemy się właśnie w tem ostatniem stadjum. Nie wykluczonem także byłoby przypuszczenie, że błędy wszystkich rządów, wielkich państw świata powodują objawy ujemne. Czy jednak naprawdę te dwie ewentualności wyczerpują ogół możliwości? Czy nie istnieją inne? Zwróćmy przedewszystkiem uwagę na pierwszą.

Pesymiści, na czele z wybitnym uczonym niemieckim Sprenglerem, twierdzą, że ludzkość przechodzi podobny okres, jak na przełomie świata starożytnego i średniowiecza. Objawy wykazują rzeczywiście wiele analogij, z czego się wnioskuje, że i skutki muszą być podobne. Nie przeczę

[1]) p. t. Ferrero, *Przemowy do głuchych*; *Fala dyktatur* str. 93 i n.

bynajmniej słuszności pierwszej części tej tezy.[1]) Zawiera ona wiele prawdy, nie wierzę jednak i nie sądzę, żeby to już samo przez się bezwzględnie przesądzało dalsze koleje rozwoju dziejowego. O ile znamy bowiem historję tej epoki, o ile możemy na podstawie niezawsze zresztą dostatecznych wiadomości źródłowych sądzić, to t. zw. świat starożytny nie był zgoła zgóry skazany na zagładę. Choroba, jaka trawiła państwo rzymskie nie była bynajmniej nieuleczalną, stała się nią dopiero i to po upływie długiego czasu, wskutek zachowania się całego społeczeństwa, a zwłaszcza jego warstw przodujących. Świat starożytny posiadał nietylko wielkie skarby kulturalne, które po dzień dzisiejszy nie utraciły swej wartości, ale i poważne siły twórcze. Te ostatnie były zaś tak potężne, że po wieku V-tym, odpowiednio przeobrażone przez chrześcijaństwo, mogły wywierać nader poważny wpływ na kształtowanie się życia społecznego i politycznego Europy zachodniej.

Twierdzenie zaś, że chrześcijaństwo nie uratowało państwa rzymskiego, przytaczane jako dowód beznadziejności jego stanu, jest w tym związku zupełnie powierzchowne. Trzeba z całym naciskiem podkreślić, że chrystjanizacja po roku 313, była nader połowiczną, w wielkiej mierze zewnętrzną i pozorną. Realizacji ideałów chrześcijańskich w dziedzinie życia państwowego i społecznego stawiano bezwzględny opór, z którym daremnie walczą największe i najlepsze postacie, jak św. Hieronim, św. Ambroży, św. Augustyn, czy św. Jan Chryzostom. Poważni mężowie stanu Rzymu i Bizancjum, oraz popierająca ich szeroka opinja publiczna, broni usilnie dawnych urządzeń i zwyczajów, pragnąc mimo zmiany wiary, zachować wszystkie te elementy życia społecznego, które właśnie powodowały rozkład. Nie mamy też żadnych podstaw do mówienia o uwiądzie starczym, w znaczeniu biologicznem, zarówno świata starożytnego, jak i współczesnego. Przesilenie powodują nagromadzone od generacyj wady i błędy w poglądach i urządzeniach, będące tworem rąk ludzkich, a tem samem mogące być przez ludzi przezwyciężone.

---

[1]) Leon Homo, *Problèmes sociaux de jadis et d'à present* (Paryż 1932).

Jeszcze mniej jestem skłonnym przypisywać winę za obecne położenie temu, czy innemu rządowi. Nie chcę naturalnie tem samem rozgrzeszać je za istotne przewinienia, ani nie myślę twierdzić, jakoby dobór jednostek, powołanych do kierownictwa nawą państwową, był rzeczą obojętną. Posiada on bardzo doniosłe znaczenie, nie wolno się jednak łudzić, jakoby rząd, nawet złożony z najgenjalniejszych jednostek, mógł rzeczywiście nadawać kierunek całokształtowi życia społecznego. Rząd może wśród danych okoliczności lepiej, lub gorzej, opierając się na społeczeństwie i czerpiąc zeń swą siłę, wykorzystywać nadarzające się możliwości i w pewnej mierze ochronić ogół przed szkodami. Jeżeli jednak zawiedzie go nadzieja w współpracę przynajmniej znacznej części społeczeństwa, przyczem ta współpraca bynajmniej nie przedstawia stosunku między podwładnym a przełożonym, w takim razie nawet najlepsze i owiane najszczytniejszą wolą jednostki okażą się na dłuższą metę bezsilne. Cmentarzysko historji zalegają rzesze tragicznych wielkich postaci, które się starły w kierownictwie sprawami publicznemi, z powodu bierności swoich społeczeństw.

Winniśmy też stale pamiętać, że nadmierne nadzieje i żądania pod adresem państwa i prawa są wysoce szkodliwe i miast ułatwiać wybrnięcie z przeżywanego chaosu, tylko go potęgują. [1]) Zarówno rola prawa, jak i państwa w życiu społecznem jest ograniczona. Bezwątpienia nie istnieją pod tym względem stałe granice. W każdej epoce muszą być one ponownie znalezione, stwierdzone i zakreślone, jednak zawsze pozostaje niezmienną prawdą, że nadmierne przeciążenie państwa niewłaściwemi zadaniami, okazuje się wkońcu szkodliwem, nie wzmacnia go, ale osłabia, jak niemniej, iż bez wytężonej pracy całego społeczeństwa, najlepszy ustawodawca będzie bezsilnym. Trzeba wreszcie zrozumieć, że państwo nie jest jakimś, stanowiącym antytezę społeczeństwa nadczłowiekiem, lecz tylko jego organem, który może spełniać pożytecznie pewne jego zadania, ale bynajmniej nie wszystkie, niezbędne do współżycia ludzi i pomyślnego kul-

[1]) W tym względzie Kościół katolicki stale wypowiada się zdecydowanie; por. encykliki „Rerum Novarum", lub „Quadragesimo anno".

turalnego i gospodarczego rozwoju kraju. Najlepszy aparat państwowy może odgrywać tylko rolę regulatora, ale nie twórcy życia. Żądać od niego więcej, jak to obecnie stało się powszechnem zjawiskiem, znaczy żądać rzeczy niemożliwych.

III.

Obok już wspomnianych, z wiary w wszechmoc państwa i odnośnego psychicznego nastawienia społeczeństwa, wypływają jeszcze i inne szkody, a mianowicie lekceważenie prawa i praworządności.

Te następstwa, paraliżujące egzekutywę praw, mogą się w pierwszej chwili wydawać dziwne i nielogiczne, występują jednak w całej pełni. Przesadne nadzieje, rozszerzanie działalności państwa poza jego możność, wywołują istny potop ustaw i przepisów, pod względem formalnym często źle zredagowanych, a co ważniejsza pozostających nieraz z sobą w jaskrawej sprzeczności. Złą redakcję, niejasność i sprzeczność usprawiedliwia nieraz brak czasu ustawodawcy, gwałtowne żądania opinji, odczuwającej boleśnie pewne objawy życia, wobec których jedyne lekarstwo upatruje się w nowych przepisach. Powoduje to konsekwentnie faktyczną niemożność przestrzegania nieskończonej ilości norm nawet przez najbardziej sumiennych obywateli, zarówno z powodu zachodzących sprzeczności, jak i niemożności zaznajomienia się z niemi. I nic nie pomoże głoszenie, że nieznajomością prawa tłumaczyć się nie wolno, gdyż żeby ta zasada mogła się stać podwaliną praworządności, nieodzowną jest faktyczna możliwość nabycia takiej świadomości. Doszliśmy przecież dzisiaj do tego, że śmiało i otwarcie trzeba wyznać, że niema prawnika, któryby mógł o sobie powiedzieć, że opanowuje należycie ogłoszone, a więc obowiązujące przepisy. Skargi na brak znajomości prawa, nawet przez jego powołanych wykonawców, są też bezsprzecznie uzasadnione. Tylko, że winę należy przypisywać nietyle ludziom, ile właśnie kilkakrotnie już wspomnianej wierze w wszechmoc państwa i ustawodawcy.

Wszelkie wołanie o praworządność, to znaczy o przestrzeganie w życiu prawa, pozostanie nierealnem pragnie-

niem, jak długo będzie istnieć sytuacja, uniemożliwiająca nawet fachowcom, jego poznanie.[1]) Nie ulega wątpliwości, że niszczenie poczucia praworządności, w tych warunkach nieuniknione, jest wielkiem złem, ale powiedzmy sobie, że o ile nie ulegną zmianie dotychczasowe nastroje i poglądy, to musimy się liczyć jeszcze ze znacznem pogorszeniem położenia.

Praworządność w pełnem tego słowa znaczeniu jest niewątpliwie koniecznością społeczną i państwową. Słusznie też, w czasie kiedy począł się rozkładać organizm dawnej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, wołał Skarga w kazaniu O prawach niesprawiedliwych: „Tak potrzebne są statuty w każdej rzeczypospolitej, jako potrzebne są oczy w ciele... Co u łódki sternik i woźnica u wozu i wódz u wojska, to prawo jest w rzeczypospolitej, którem rząd się wszystek zatrzymywa i ludzki się pokój i dobre rozmnaża. I lepiej być miastu bez murów... niźli bez praw, bo ochronić się jakiem wojskiem może, a bez praw trwać i stać nie może".

IV.

Rozumiejąc znaczenie praworządności i prawa, trzeba dążyć do wzbudzenia w społeczeństwie odpowiedniego zrozumienia ich celów i istoty, bez czego o przełamaniu przesilenia w tych dziedzinach mowy być nie może.

Praca musi się odbywać zarówno w kierunku wzmacniania poczucia etyki chrześcijańskiej i to bez ograniczeń i kompromisów, jak też w mozolnej rewizji istniejących przepisów i instytucyj prawnych, któremi w tak wybitnej mierze włada duch sprawiedliwości pogańskiej. Mamy bowiem do wyboru, albo nadal obciążać państwo, poza jego możność, wszystkiemi dziedzinami życia, zmuszać je do wydawania nieskończonej ilości norm, których braki i trudności w wykonaniu, z konieczności będą się zwiększać i zrezygnować z praworządności, albo też pragnąc szczerze jej realizacji, zmienić gruntownie nasze zapatrywania i nasze

[1]) Szczegóły patrz: moja praca *Znaczenie nieznajomości prawa w kanonistyce* (Księga pamiątkowa dla Wł. Abrahama, Lwów 1930 T. I). Prof. Dr. Stanisław Glaser: *Ignorantia iuris w prawie karnem* (Kraków 1931).

zachowanie się. Nie przeczę, że jest to zadanie trudne. Wymaga bowiem samodzielnego myślenia, cierpliwości, wytrwałości i poczucia odpowiedzialności, zwłaszcza wśród warstw, które chcą przodować społeczeństwu. Potrzeba nadto szczerego, szerokiego, a nie zaściankowego, pełnego miłości i poświęcenia zmysłu społecznego.

Nie można jednak przytem dość często podkreślać, że bez wpojenia w społeczeństwo podstawowych zasad etycznych, najlepiej obmyślane ustawy będą zawodzić i ponownie sprawdzi się głęboka uwaga Horacego, który obserwując bezowocne wysiłki Augusta, zaradzenia zapomocą przepisów państwowych rodzącemu się rozprzężeniu wołał pełen zwątpienia:

Quid leges sine moribus
Vanae proficiunt.
Czegoż dokażą puste prawa bez obyczajów?

Oczywiście wszystkie te usiłowania, nie są niczem innem, jak walką o sprawiedliwość, która jak i wszelka walka ze złem jest obowiązkiem chrześcijańskim, bez względu na grożące z tego powodu konsekwencje. Wymaga ona jednak szczególniejszego postępowania. Przystępując do niej, należy zawsze pamiętać, że zła nie wolno zwalczać jego własną bronią,[1]) gdyż środki, jakiemi się posługuje, nie są bynajmniej obojętne. Odpowiadanie gwałtem na gwałt, może doprowadzić tylko, jeżeli chodzi naprz. o państwo, do zdobycia władzy, zmiany osób, ale nie zmiany na lepsze ogólnego położenia. Nie zmniejszy, ale jeszcze zwiększy odczuwane dolegliwości.

Wiem, że to twierdzenie uchodzi w dzisiejszych czasach za nierealny idealizm, podobnie jak i żądanie stanowczego i jasnego zerwania z straszną spuścizną epoki materjalistycznego światopoglądu. Muszę jednak zaznaczyć, że tego rodzaju zarzut, czy krytyka zgoła mnie nie przeraża, ani nie przekonywuje. Za mojej pamięci, jako wysoce nierealne, fantastyczne i utopijne, uchodziło w ostatnich latach przedwojennych dążenie i wiara młodzieży w odzyskanie niepodległości. Wszyscy niemal poważni i poważani, do-

[1]) Por. moje *Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach* (Poznań 1929) str. 55 i n.;

świadczeni i wytrawni politycy, godni szacunku i zaufania mężowie, traktowali ruch niepodległościowy, jako wytwór dziecinnych marzycieli, z których może wyrosną ostatecznie kiedyś ludzie, gdy wywietrzeją im z głowy podobne mrzonki. Zapewne cyfry, statystyki i t. p., przemawiały bezwzględnie za głosami potępienia, uzasadniając pewnemi napozór argumentami, przekonanie o niemożności odbudowania Rzeczypospolitej. Tym wszystkim zarzutom i wywodom druga strona mogła naprawdę przeciwstawić tylko opartą na intuicji wiarę. Podobnie się sprawa przedstawia, gdy od spraw naszych przeniesiemy wzrok na inne ludy. Wszędzie stwierdzamy rozwój stosunków i zmiany, uchodzące w niedalekiej jeszcze przeszłości, za niemożliwe. Przeżywamy obecnie okres realizacji wczorajszych utopij i przekreślenia uczonych, za nieomylne uchodzących rachub, opartych na dogmatyce i metodzie materjalistycznego światopoglądu. Przeżywamy walenie się realnego, onegdaj jeszcze potężnego i zdawało się nieziszczalnego ustroju, wniesionego po wyparciu prawa boskiego w zaświaty, na egoistycznej sprawiedliwości, będącej sługą ustawodawcy, a nie jego panią.

I daremnie chwalcy dnia wczorajszego oburzają się, gdy ich zasady zwracają się przeciwko nim, jak się to dzieje, w najjaskrawszej postaci, w Sowietach. Sprawiedliwość bolszewicka jest w zasadzie, w swojej istocie identyczną z burżuazyjną, opartą na omówionych już podstawach. Ona również polega na oddawaniu każdemu, co mu się według prawa należy, a o treści tego ostatniego rozstrzyga bezapelacyjnie, nieskrępowany i nie mogący być suwerenny ustawodawca. Inna rzecz, że tym razem stał się nim pierwotny barbarzyńca, wczorajszy niewolnik, któremu z natury rzeczy obcem jest wszelkie poszanowanie godności ludzkiej, ponieważ przez długie wieki nigdy się z niem nie spotkał. Właśnie to doświadczenie, nietylko uzmysławia nam, że istnieją zasadniczo nieodmienne i podstawowe normy współżycia społecznego, ale również, jakie następstwa powoduje ich lekceważenie.

Nie będę się tutaj dalej rozwodził, nad stroną etyczno-społeczną naszego zagadnienia i jej stosunku do chrześcijańskich postulatów prawnych, odsyłając ciekawych do dzieł

specjalnych.[1]) Wspomnę tylko, że konieczność powrotu do podstaw chrześcijańskich, w poglądach na państwo i prawo, była i w zeszłym wieku niejednokrotnie, chociaż bez większego wpływu na opinję i życie podkreślaną. Głęboki znawca spraw społecznych i ekonomicznych Adam H. Müller napisał między innemi krótką rozprawę: *Von der Notwendigkeit einer theologischen Grundlage der gesamten Staatswissenschaften u. der Staatswirtschaft insbesondere.* Jego praca, podobnie zresztą jak i niezmiernie ciekawa książka wybitnego kanonisty Ernesta barona Moy de Sons p. t. *Grundlinien einer Philosophie des Rechts aus katholischen Standpunkte*[2]) i i., zostały, co jest zresztą zrozumiałe, przez współczesnych zlekceważone.

Dzisiaj w świetle zmienionych nastrojów i konsekwencyj linji rozwojowej wieku poprzedniego, te same poglądy i postulaty wymienionych poprzednio uczonych i niektórych innych, zyskują niespodziewane znaczenie i stają się podstawą odradzającej się myśli prawniczej chrześcijańskiej. Ostatnie twierdzenie może zaskoczyć i widzę się zmuszonym jaśniej tę rzecz wytłumaczyć. Oczywiście zasady społeczne i prawne myśli chrześcijańskiej, są niezmiennie ustalone w Nowym Testamencie, doktrynalnie wyjaśnione i opracowane przez wielkich nauczycieli Kościoła, jak św. Ambroży, św. Chryzostom, św. Augustyn, św. Izydor, św. Grzegorz Wielki, a za nimi przez Innocentego III, św. Rajmunda z Pennafort, Innocentego IV, św. Tomasza, później wielkiego Suareza, św. Alfonsa de Liguori i wielu innych, nie mówiąc już o niezwykłej wartości o wskazówkach i rozstrzygnięciach zawartych w Encyklikach Leona XIII, Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI. Należy jednak pamiętać, że co innego ujęcie zasad i przewodni chrześcijańskich, a co innego ich realizacja, która w każdym kraju nastręcza wiele

[1]) E. Chénon *Le role social de l'Eglise* (Paryż 1924). Z dawniejszych G. Ratzinger, *Die Volkswirtschaft in ihren sittlichen Grundlagen* (I wyd. 1881), z literatury polskiej Ks. Biskup Kubina, *Akcja katolicka a akcja społeczna* (Poznań 1930); Ks. Dr. A. Szymański, *Akcja katolicka a działalność gospodarczo-społeczna* (Poznań 1930); moje, *Społeczne ideały chrześcijaństwa.*

[2]) T. I. Wiedeń 1854, Tom 2 Wiedeń 1857.

odmiennych problemów. Obstając stanowczo i wiernie przy Zakonie, co do którego wiemy, że niezmienne pozostaną zawsze jego litery, równocześnie zdajemy sobie sprawę, że każda epoka ma swoje szczególne potrzeby, które każą na odmiennych nieraz drogach szukać możliwości urzeczywistnienia odwiecznych prawd i ideałów. W tej zaś pracy doświadczenia i usiłowania współczesne, lub niedawnej przeszłości są dla nas niezwykle cenne i nieodzowne, jeżeli chcemy, żeby nauka stała się życiem.

V.

Dążąc też rzeczywiście do lepszego jutra, pragnąc, by prawo oparte o etykę chrześcijańską stało się czynnikiem konstruktywnym przyszłości, musimy sobie jasno uprzytomnić podstawowe wytyczne i uświadomić w jakim kierunku winny się one rozwijać.

a) Jako postulat naczelny wysuwa się oczywiście zarzucenie teorji wszechmocy państwa i ustawodawcy i wyraźne przyjęcie jako granicy ich autonomji prawa boskiego i naturalnego.[1])

By jednak tego rodzaju ograniczenie ustawodawcy, — przyczem jest obojętnem, kto w danym ustroju nim będzie, — nie powodowało poważniejszych, znanych nam z historji tarć, wspomnianych i przez prof. Estreichera, jest konieczne, by przynajmniej tworzący i wykonawcy prawa, stali na wysokim poziomie moralnym i posiadali wynikający stąd autorytet, którego nikomu nadać nie można. Niezbędnym warunkiem rechrystjanizacji prawa jest moralne wzmocnienie przynajmniej warstw wykształconych. Ponownie muszę w tym związku przypomnieć słowa Skargi, tem bardziej, że od czasu odzyskania niepodległości, podobnie jak czasu rozkładu dawnej Rzeczypospolitej, idą w zapomnienie: „A tak nielada jako do stawienia praw przystępujcie, nie lada komu pisać ich zlecajcie. Nie pospólstwu, nie oraczom, nie prostym i nieuczo-

---

[1]) por. ponownie pracę Charmont'a *La renaissence* i podaną tam literaturę; oraz dzieła Hauriou, Duguit, Chénon'a i in.

nym, nie złym i podejrzanym w cnocie, nie oziębłym w nabożeństwie ku Bogu: ale tym, którzyby, wszystkie potrzeby umiejętności praw mając i pobożność miłując, godnymi byli przybytkami Ducha".

Dalszemi postulatami prawnemi są:

b) równe podleganie prawu przez wszystkich, i

c) wyższa odpowiedzialność karna w razie jego naruszenia, w miarę wyższej godności, majątku, stanowiska społecznego, oraz stopnia wykształcenia.[1])

O ile pierwsze żądanie jest powszechnie zrozumiałem i naogół, przynajmniej formalnie, obowiązujące, to odmiennie jest z drugiem. Przedstawia się ono jednak jako konieczność, jeżeli piękne zasadnicze hasło równouprawnienia z r. 1789, którego genezy nie będziemy tutaj omawiać, ma naprawdę obowiązywać. Zarówno moralistyka, jak i myś prawnicza chrześcijańska przyswoiły sobie od niepamiętnych czasów tę prawdę, bez której praworządność, w naszem zrozumieniu jednoznaczna ze sprawiedliwością, nie jest do pomyślenia. Opiera się ona na słowach Chrystusa: „Ale który nie wiedział, a czynił co godnego karania, mało będzie karany. A od każdego, któremu wiele dano, wiele żądać będą: a któremu wiele zlecono, więcej będą chcieć od niego".[2]) Zapewne pełnienie t. zw. wyższych funkcyj społecznych, przyczem zawsze jednak należy pamiętać, że wszystkie bez względu na ich formalną hierarchję, są narówni dla dobra ogólnego nieodzowne, wymaga często szczególnych uprawnień. Nie mogą one jednak wyradzać w społecznie nieuzasadnionych przywilejów, stawiać pełniących je ponad prawem, zwalniać z jego więzów. Dotyczy to zarówno nadużycia władzy, powierzonej jednostkom, jako służba i obowiązek dla dobra ludzi; jak i nadużywania prawa własności, które legitymuje i usprawiedliwia jego

---

[1]) por. moją pracę *Zwiększenie odpowiedzialności karnej w prawie kanonicznem, z powodu wyższej społecznej godności winowajcy* (Lwów *Przegląd Teologiczny* 1928 z. 1.).

[2]) Łuk. 12, 48.

funkcja społeczna, z wykluczeniem tak drogiej kapitalizmowi, pogańskiej zasady, niczem nie krępowanego używania i nadużywania. Takie pojęcie jest z natury obce prawu rzymskiemu i jego sprawiedliwości i tem się tłumaczy ich ubóstwianie przez aspołeczny egoizm czcicieli złotego cielca. Tylko, że niestety doświadczenie wykazało, że stojąc na tym realnym gruncie, nie można sobie bynajmniej zapewnić, spokojnego używania. Egoizm posiadających, o czem niejednokrotnie wspomina i Leon XIII i Pius XI, a którego psychoza wbrew wszystkiemu, co się koło nas dzieje, i dzisiaj nie jest przezwyciężoną, musiał z konieczności wywołać i podtrzymuje inne egoizmy, egoizmy coraz szerszych warstw wydziedziczonych.

d) Szczególną troską należy otaczać słabszych społecznie.

W tej dziedzinie prawo będzie oczywiście zawsze tylko jednym z czynników i to niewyłącznym, a nawet głównym. Najlepsze ustawy pozostaną, tak jak i są bezsilne, jeżeli w dalszym ciągu niedostatecznym będzie duch miłości.[1]) Nieodzownem jest zrozumienie i odczucie, że niesienie pomocy, wspieranie bliźnich, obojętna w jakiej formie, nie jest ze strony świadczącego aktem łaski, lecz tylko i wyłącznie obowiązkiem. Z opieką nad słabszymi społecznie, t. zn. takiem unormowaniem stosunków, w którem możność krzywdzenia bliźnich, zarówno w znaczeniu materjalnem, jak i moralnem byłaby, jeżeli nie wykluczoną, to przynajmniej jak najbardziej ograniczoną, łączy się przedmiotowo, bo oparta również na wielkiem przykazaniu miłości bliźniego, sprawa:

e) bezwzględnego poszanowania godności ludzkiej.

Jej naruszanie, obojętna wśród jakich okoliczności i pod jakiemi pozorami, musi być szczególnie potępione, jako sprzeczne z prawem boskiem. Przypominam, jak stanowczo w tym właśnie wypadku wyraża się Chrystus: „A ja wam powiadam, iż każdy, który się gniewa na brata swego,

---

[1]) Na znaczenie ducha miłości, ponownie zwraca z naciskiem uwagę encyklika „Quadragesimo anno".

będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swojemu Raka: będzie winien rady. A ktoby rzekł: głupcze, będzie winien ognia piekielnego". [1]) Chodzi tu o obronę czci, ochronę przed oszczerstwami, których rozpowszechnienie tak bardzo zatruwa życie współczesne, chodzi jednak i o coś więcej, o usuwanie wszystkiego, co tamuje i ogranicza pełny rozwój indywidualności ludzkiej. Poszanowanie godności, to przecież nietylko postulat negatywny, ale i pozytywny. Wymaga nietylko zaniechania pewnych czynów, ale podobnie jak przepis o miłości bliźniego, z którym jest tak ściśle związany, czynnego działania.

f) Wszelka praca, zarówno fizyczna, jak i umysłowa, będąca podstawą życia i rozwoju społeczeństwa, winna być chroniona przed wyzyskiem. [2])

Pracownicy muszą mieć zapewnione należyte i odpowiednie zabezpieczenie. Ponadto godność pracy jako zasadniczej funkcji społecznej musi w pełni znaleźć swój wyraz w ustawodawstwie. Społeczeństwa chrześcijańskiego nie można sobie inaczej pomyśleć, jak tylko jako społeczeństwa pracy, przyznającego pełnię praw obywatelskich, wyłącznie pożytecznym swoim członkom. Powszechny obowiązek pracy jest zarówno koniecznością etyczną, jak i gospodarczą.

g) Wzmocnienie rodziny i małżeństwa zgodnie z nakazami wiary i potrzebami życia społecznego należy do koniecznych i szczytnych zadań ustawodawcy.

Szczegółowe i wyczerpujące wskazania praktyczne zawierają encykliki „Arcanum" z 10 lutego 1880 r. i „Casti Connubii" z 29 grudnia 1929 r. Nadto wiele istotnych pouczeń znajdujemy, nie mówiąc już o odnośnej literaturze, w wszystkich niemal encyklikach ostatnich 50 lat, które poruszają sprawy społeczne, że tylko wspomnę „Rerum Novarum" i „Quadragesimo anno".

h) Niemniej ważnem i istotnem jest zapewnienie jed-

---

[1]) Mat. 5, 22.

[2]) por. Encykliki „Rerum Novarum" i „Quadragesimo anno".

nostkom tego stopnia wolności, który jest nieodzownym do pełnego życia, a nie pozostaje w sprzeczności z solidaryzmem. Bez szerokich i stałych praw wolnościowych jednostki, zdrowe życie społeczne jest wykluczone, podobnie jak jest niemożliwem, gdy granice swobody są zbyt szerokie i lekkomyślnie zakreślone i ułatwiają naruszanie zasad powszechnej sprawiedliwości.

Jest oczywiście rzeczą niemożliwą, sformułowanie w ramach niniejszych uwag, szczegółowego prawnego programu katolickiego. Z konieczności trzeba się było ograniczyć do zwrócenia uwagi na podstawowe i szczególnie ważne problemy, wyróżniające chrześcijańską, od materjalistycznej myśli prawniczej. Ich urzeczywistnienie spowodowałoby oczywiście daleko idące zmiany w wszystkich dziedzinach prawa, czy to prywatnego, handlowego i karnego, czy też politycznego i administracyjnego.

Reasumując nasze wywody, stwierdzamy ponownie, że chodzi o: 1) odmienne pojmowanie władzy państwowej i jej granic, zarzucenie ubóstwiania państwa, zrozumienie, że jest ono cennem, ważnem i potrzebnem, ale tylko organem społeczeństwa, o określonych celach; 2) nowe określenie roli i obowiązków własności, którą chrześcijaństwo uznaje, jako opartą na prawie naturalnem i obowiązaną do pełnienia ważnych funkcyj społecznych, odrzucając egoistyczne i anarchiczne pojęcie pogańskie;[1]) 3) poszanowanie praw istotnych jednostki, należnych jej nieodmiennie według prawa boskiego, a więc godności ludzkiej, ochrony przed wszelką krzywdą, w chrześcijańskiem tego słowa znaczeniu, oraz umożliwienie przez uprzystępnienie każdemu, korzystania w miarę zdolności z wszelkich zdobyczy kulturalnych, pełnego rozwoju uzyskanych od Opatrzności darów przyrodzonych; 4) zapewnienie pracy, odpowiadającego jej godności znaczenia w społeczeństwie; 5) zapewnienie równo-

[1]) por. Ratzinger, Chenon str. 235 i n. O. Schilling, *Der Kirchliche Eigentumsbegriff* (Fryburg w Br. II. wyd. 1930); Ks. Biskup Kubina str. 46 i n.; moje prace *Lichwa w nauce i prawie kościelnem* (Lwów 1926) i *Społeczne ideały* str. 71 i n.; Anton Orel, *Oeconomiia perennis die Wirtschaftslehre der Menschheits Überlieferung* etc. Tom I i II. (Moguncja, Mathias-Grunewald Verlag).

wagi między prawami jednostek i społeczeństwa, zgodnie z zasadami solidaryzmu.

Kończąc nasze rozważania, musimy jednak ponownie przypomnieć, że wszelka praca i wysiłki nad rechrystjanizacją prawa, upragnionego skutku nie osiągną, bez przepojenia całego życia zasadami społecznej etyki chrześcijańskiej. Gdyby oczekiwania w tym względzie zawiodły, w takim razie formalne zwycięstwo, przyjęcie przez ustawodawcę postulatów chrześcijańskich, zawiedzie oczekiwania. Same prawa bez nowego ducha, lub przy utrzymaniu ducha dotychczasowego, pozostaną zawsze tylko literą, której szablon wykonawców, w ujemnem tego słowa znaczeniu i opór społeczeństwa odbiorą rychło wszelką moc i siłę. Praworządność wymaga przepisów, ale przepisów dobrych, jasnych i zrozumiałych, jednem słowem, prawego prawa. Równocześnie jednak moralnego poparcia ogółu, który przynajmniej narówni, jeżeli nie w wyższym stopniu, aniżeli organa państwowe, jest jego stróżem i wykonawcą. Braku, że się tak wyrażę, egzekutywy społecznej, nie zastąpi zwiększanie aparatu państwowego i jego kompetencji. Trzeba pamiętać, że ten aparat jest złożony tylko z ludzi, złączonych ściśle w życiu codziennem z resztą obywateli i ulegających tym samym wpływom i nastrojom.

Zdając sobie sprawę, że po nieudałych próbach utrzymania dotychczasowego ustroju ateistyczno - liberalnego, a stworzenia lepszego, nowego, na podstawach materjalistycznych u naszego wschodniego sąsiada, widzimy, że pozostają nam w chwili obecnej, jako niezużyte, tylko społeczne i prawne ideały chrześcijańskie. Przedstawiają one już dzisiaj jedyną realną i możliwą drogę, po której, wśród trudu i walki można dotrzeć do lepszej przyszłości. Nie przeczę, że ideologja chrześcijańska, chroniąc jednostkę przed samowolą i gwałtem, wymaga dla swojej realizacji oddania się jej całego człowieka. Daje mu jednak wiele, daleko więcej, aniżeli pozornie hojniejsza jej pogańska antyteza, szczodrobliwa pani tylko dla możnych i potężnych tego świata, zarówno w ustroju liberalnym, jak i komunistycznym. W żadnej zresztą dziedzinie chrześcijaństwo nie wymaga wyrzeczenia się osobowości na rzecz mitycznego

częstokroć i nieokreślonego interesu ogólnego. Obowiązki jednostki wobec całości znajdują swój pełny i ścisły odpowiednik w jej prawach wobec ogółu, obowiązkach społeczeństwa, wobec jego poszczególnych członków. Sprawiedliwość chrześcijańska zdołała w sposób logiczny i konsekwentny utrwalić indywidualizm, w połączeniu z solidaryzmem społecznym.[1]) Jednostka nie znika w społeczeństwie, społeczeństwo nie zostaje rozbite na niezależne i izolowane jednostki, nie zostaje zanarchizowane.

I w tej chwili cisną się pod pióro słowa deklaracji programowej Mickiewicza, ułożonej w chwili tworzenia legjonów w Rzymie r. 1848, dla owej epoki przedwczesne, niezrozumiałe, a które miały stanowić wytyczną roli i pracy Polski w świecie:

„Duch chrześcijański, w wierze świętej katolickiej, jawiony czynami wolnemi".

„Słowo boże w Ewangelji zwiastowane, prawem narodów, ojczystem i społecznem".

„Ojczyzna pole życia słowu bożemu na ziemi".

---

[1]) p. C. Bouglé, *Le solidarisme* (Paryż Giard et Briere); oraz odznaczający się wielką dokładnością i wszechstronnością L. Caro, *Solidaryzm* (Lwów 1930), gdzie podano wyczerpującą literaturę.

Leon Halban.

Ogień i łzy Wertera.

Cierpienia młodego Wertera! Któż zdołałby odgadnąć, ile one łez wycisnęły z oczu nadobnych i pociesznych wykwintniś, ile westchnień wywołały z piersi roztkliwionych Adonisów! Ta niewielka objętościowo książka Goethego ma dla dziejów europejskiej uczuciowości romansowej znaczenie niemniej przełomowe, jak *Nowa Heloiza* Jana Jakóba Rousseau'a. Urok jej promieniował daleko poza Niemcy. Między innemi przedostał się również do krainy Sarmatów, owych Sarmatów, na których Sienkiewicz utyskiwał, że war miłosny wystudzili bezustannem zwracaniem serc swoich ku wojnie i ku rzeczom publicznym. Cierpienia Wertera są przecież zaprawą czwartej części *Dziadów*, gdzie po rubasznościach siedmnastowiecza i po rokokowych umizgach z czasów Stanisławowskich ukazała się po raz pierwszy żywiołowa miłość kobiety, nasiąknięta bólem i łzami, a odtworzona z niesłychanym dotychczas w Polsce artyzmem i potęgą namiętności.

Powieść Goethego przenosi nas w dziedzinę zgoła inną, niż rzeczywista. Tutaj, naprzekór doświadczeniu, zaczerpniętemu z warunków codziennych, jakiś dobry bożek wygładza wszelkie trudności, usuwa na bok wszelkie sprzeciwy realnego bytu, zawiesza surowe prawa, rządzące rzeczywistością, aby mogła rozkwitnąć bujna, chorobliwa, namiętna miłość. Cała osnowa ściąga się do jednego: kochał, a złowrogie okoliczności nie dozwoliły mu posiąść ukochanej. Tak, bo to jest romans nie życie, chwytające nas w matnię najróżnorodniejszych powikłań; romans, który celowo życie upraszcza, aby móc je ogarnąć. To odcięcie porywów

miłosnych od mnóstwa innych, co najmniej współrzędnych czynników — jest sporą dawką u ł u d y l i t e r a c k i e j, po której czytelnik gotów wierzyć w nieprawdopodobieństwa. Zapewne, iż do zakresu ciekawych możliwości — należy miłość niepoczytalna, obłąkańcza, druzgocząca po drodze wszystkie zapory zdrowego rozsądku, powiedzmy wręcz — m i ł o ś ć W e r t e r o w s k a, ale czy rzeczywistość będzie się z nią tak cackać, jak to się dzieje w romansie Goethego? Wielki znak pytania. Jeżeli ktokolwiek snop promieni słonecznych przepuści przez soczewkę, otrzyma jeden punkt drobny lecz nad podziw wyrazisty. Jeżeli pisarz niewyczerpaną w swej istocie rzeczywistość przepuści przez soczewkę chorej na pesymizm miłości, uzyska obraz nieco jednostronny, lecz niezmiernie dosadny. *Cierpienia młodego Wertera* są właśnie takim zwężonym a jaskrawym obrazem świata. Można je zaliczyć do rzędu p o w i e ś c i s t y l i z o w a n y c h. W danym razie styl ten polega na ostrej przesadzie czucia i myślenia, bez której nie byłoby ani bohatera, ani utworu. Wprawdzie wątku dostarczyło życie. A trudno je posądzać o umyślną przesadę. Lecz sztuka jest równie odwzorem, jak wzorem. I któż zaręczy, zali więcej było takich życiowych cierpiętników, jak Jeruzalem, czy takich literackich, co naczytawszy się Goethego, palili sobie w łeb z pistoletu, bo tak postąpił Werter? Na przeciwnym biegunie znajduje się p o w i e ś ć r e a l i s t y c z n a, wchłaniająca rzeczywistość z równą żarłocznością, jak wielki piec huty żelaznej wchłania brudną rudę, aby ją następnie przetopić w czysty metal. Powieść stylizowana d o b i e r a wypadki do danego zjawiska. Powieść realistyczna o p i s u j e wypadki jako pojedyncze zjawiska niewymiennej potęgi życia. Powieść stylizowana upraszcza rzeczywistość. Powieść realistyczna zatapia się w jej bezładzie. Powieść stylizowaną określamy bądźto jako romans miłosny, bądźto jako romans przygód i t. p. Wobec powieści realistycznej wszelkie określenia stają się bezradne. *Cierpienia młodego Wertera* są powieścią stylizowaną, gdzie cały prawie wszechświat kurczy się do dziejów jednej duszy, toczonej przez raka pesymizmu i gdzie obok tego rozwija się obraz szczególnych sposobów kochania, *ars amandi* z końca XVIII w.

Miłość przywdziewa tutaj swe niezwyczajne, osobliwe stroje, podobnie, jak ludzie ówcześni wdziewali na głowę peruki, na ramiona fraczki, na nogi atłasowe spodeńki, jedwabne pończochy i lakierowane czółenka.

Treść opowieści o Werterze waha się między prawdą a zmyśleniem. Wcale nie chodzi nam o prawdę estetyczną, ani o taką prawdę, którą zajmuje się teorja poznania. Mamy poprostu na myśli pewne zdarzenia, jakie zaszły i jakie dostarczyły Goethemu wątku do romansu. Było zaś tak. Młody i piękny, jak grecki bożek, poeta, latem 1772 r. poznał Szarlottę Buff, córkę rządcy zakwaterowanego opodal Wetzlaru. Poznał, rzec można, ni stąd ni zowąd, jadąc z nią wspólnie na bal do Wolpertshausen. W czasie drogi nawiązała się pogawędka, lekka próba własnych upodobań i skłonności, pełna jedwabnej galanterji, z której Goethe słynął. Zwolna wynikł wzajemny pociąg. Szarlotta miała lat dziewiętnaście, oczy niebieskie, włosy blond i dużo wdzięku. Goethe zaś żywił podówczas niemałą ciekawość do kobiet. Bawiono się świetnie. Poufne, samowtór czynione przechadzki zbliżały ich coraz bardziej. Jedna okoliczność psuła sielankę: narzeczeństwo Szarlotty. Istniał bowiem na nieszczęście, zrazu owiany mgłą oddalenia, potem coraz bliższy narzeczony — niejaki Kestner, radca poselstwa w Hannowerze, człowiek co się zowie stateczny. Ten od czasu do czasu odwiedzał swoją wybrankę, acz pierścionków jeszcze nie zamieniono. Goethe zaznajomił się z nim i bardzo go poważał. Kestner również odnosił się bardzo przychylnie do młodego czciciela Muz i niestety wyznawcy wspólnej bogini. Rychło jednak nastąpiło wyjaśnienie położenia. Ostrzeżony ubocznie przez obustronnego znajomka Born'a, że są tacy, którzy mogą krzywo patrzeć na jego zaloty względem panny Buff, Goethe wyjechał. I już w kwietniu 1773 r. dowiedział się o zaślubinach dwojga młodych przyjaciół, z któremi tak niefortunnie się rozstał. Zdaje się, że przyjął wiadomość z lekkiem sercem. Jeszcze mu nie opadł ze skrzydeł złoty pyłek rokokowego wietrznictwa. A teraz inne zdarzenia równej wagi dla powstania *Cierpień młodego Wertera*. Gdy tak oto Goethe rozkoszował się zakazanym powabem Szarlotty, nagle wstrząsnął mieszkańcami Wetzlaru

potężny dramat. Mieszkał tam wtedy Karol Wilhelm Jeruzalem, syn brunświckiego opata, pełniący obowiązki attaché w rodzinnem poselstwie, młodzieniec skryty, marzycielski i uczuciowy. Był on wysoce przygnębiony warunkami swojej pracy, zwłaszcza, że poseł, bezpośredni zwierzchnik, dawał się mu dość często we znaki. Nadomiar wszystkich niepowodzeń jakaś złośliwa igraszka losu kazała mu zakochać się bez pamięci w żonie dostojnika palatyńskiego poselstwa — Herdta. Miłość wzięła tragiczny obrót. Gdy natarczywość Jeruzalema wzrosła, pani Herdt pokazała mu drzwi, donosząc zarazem mężowi o swoim, wątpliwej snać wartości, podboju. Upokorzony do głębi i smagany wstydem młodzian wystrzałem z pistoletu położył kres bolesnemu istnieniu, pożyczając na dobitkę broni od Kestnera, rzekomo dla bezpiecznego odbycia pewnej, oddawna zamierzonej podróży. Działo się to w nocy z 29 na 30 października 1772 r. Samobójca nie umarł odrazu, lecz kilka godzin dogorywał. Za pogrzebem szła garstka przyjaciół. Duchownego nie było.

To jest rzeczywistość. Zajrzyjmy do powieści.

Młody Werter, uzdolniony malarz, tęskniąc za samotnością i chcąc pozbyć się umizgów niejakiej Eleonory, osiedla się w pewnej rajskiej okolicy. Przyroda i zbliżenie się do gminu napawają go rzetelną radością. Włóczy się po sąsiednich wioskach, rysuje dziatwę, gawędzi z dziewczętami przy studni. Razu jednego otrzymał zaproszenie na bal. Jedzie w towarzystwie jakiejś, obojętnej mu zresztą panienki i po drodze zabiera dziewiętnastoletnią Lottę, córkę rządcy S... Zaczyna się gawęda o przedmiotach lekkich, miłych, potocznych. Znienacka urok owłada Werterem, słodki urok tej szczerej, prostej, a jednocześnie wykwintnej dziewczyny. Rozstrzelała mu serce uśmiechami, zagarnęła duszę siecią niezwalczonego powabu: „Jakżeż w czasie rozmowy tonąłem spojrzeniem w jej czarnych oczach, jakżeż pociągały całą moją duszę jej żywe usta i jej świeże, rzeźwe policzki, jakżeż pogrążyłem się we wspaniałej treści jej mowy, choć często nie słyszałem słów, zapomocą których ona ją wyrażała". [1]) Z balu Werter wraca zupełnie rozkochany. Niewy-

[1]) *Goethes Werke*, Stuttgart 1867, t. VII, str. 21 (tłum. własne).

słowiona radość przelewa się w nim, jak bujna woda w górskich strumieniach na wiosnę. Szczęśliwiec dzieli się swem uczuciem z przyrodą, z obłokami, z wichrem, z roztoczą wód i z ziemią macierzą. Młodość wydaje teraz wspaniałą ucztę — miłości. Werter dochodzi w swym zapale do tych granic, gdzie już świadome działanie ustaje, a zjawia się bierna uległość nakazom mocy nieznanej, pozaświadomej. Cóż robi? Niewiele! I to znamienne, że dał się całkowicie porwać wzburzonemu prądowi, który go niesie, gdzie chce. Zapaleniec całemi dniami przesiaduje u Lotty. Bawi jej młodsze rodzeństwo, stroiąc różne wesołe krotochwile, prowadzi rozmowy ze starym rządcą, chodzi w odwiedziny (oczywiście z Lottą) do chorych, wałęsa się po okolicznych pustkowiach (oczywiście samotnie), czyta Homera, Osjana, Klopstocka. Wszystko to zaś ma jedno znaczenie: oto kocha ją coraz bardziej, coraz zapamiętalej, aż do utraty poczucia swej odrębności. A ona? Ona grywa mu na klawikordzie i śpiewa stare piosenki, tak dziwnie wymowne i urocze. Ona czasem tak postępuje, jakby zapomniała o narzeczonym. Ją oszałamia i upaja płomienna miłość Wertera. Bezwiednie, z zamkniętemi niejako oczyma idzie w pęta idealnego czaru i sama wydziela czar. Ale któż będzie obwiniał kwiaty, że wydzielają zapach? Oboje są tedy niby zaczadzeni i cokolwiek nieprzytomni, chociaż Lotta, biorąc rzecz ściśle, najdrobniejszym uczynkiem nie złamała narzeczeńskiej wierności. Wszystko odbywa się w krainie idealnej, której tu w „podsłonecznym nie bywało świecie", jak powiada godny następca Wertera — Gustaw z *Dziadów* IV.

Przypomnieniem surowej rzeczywistości staje się osoba Alberta. Dotąd go nie było, lecz załatwiwszy pomyślnie wszystkie sprawy, przyjechał, aby zająć należne miejsce u boku i w sercu ślicznej Lotty. Teraz dopiero wątek naprawdę się wikła. Dwóch wielbicieli u stóp jednej kobiety. Przytem jeden z niebyle jakiemi prawami, a drugi z niebyle jakiem napięciem uczuć. Gdyby Lotta była kokietką, obu trzymałaby w sidłach. Gdyby Albert był ślamazarą, możeby stracił pewność. A gdyby Werter był żartkim paliwodą, mogłoby się zdarzyć smutne krwi rozlanie. Ale tak nie jest. Lotta wyraźnie zdąża drogą obowiązku i bez zastrzeżeń

myśli o ślubie z Albertem. Ten zaś posiada niezłomną wolę, bystry rozum i prawdziwie męski spokój zarówno w czynach, jak w uczuciach. Tylko jeden Werter gnie się pod uciskiem tragicznej doli, niby rozpalone żelazo pod ciosami kowalskiego młota. Stosunek Alberta do Lotty rozdziera mu duszę. A jednak nie ma dość siły, aby oderwać się od widoku ukochanej, aby ją pożegnać na zawsze. Robi jakąś krótkotrwałą wycieczkę w dalsze strony. Uzyskuje posadę, wcale dogodną, w poselstwie. Zawiera przyjaźń z hrabią C... Bywa w licznych towarzystwach. Ale wszędzie wlecze ze sobą oścień nieszczęsnej miłości. Rzuca posadę. Odbywa romantyczną włóczęgę. Drogie wspomnienia z lat chłopięcych prowadzą go do rodzinnego zakątka. Tutaj rozrzewnia się, oglądając stare domy i stare drzewa. Wkońcu rozbity duchowo, sterany walką uczucia z rozsądkiem i nie mogąc nigdzie znaleźć spokoju, Werter zjawia się zpowrotem u Lotty. Stopniowo otwiera się przepaść, która go pochłonie. Liczbę udręczeń nieobliczalnego szaleńca powiększa nadomiar i to, że obecnie Albert staje przed nim, jako uprawomocniony posiadacz Lotty, jako jej małżonek. Jeżeli się oceni i weźmie pod uwagę wrodzoną zmysłowość Wertera, przeświecającą gdzieniegdzie żywym ogniem pożądania wskróś mgieł górnej, idealistycznej retoryki, to męka tego Laokoona miłości nabierze barw jeszcze posępniejszych. Dławi go zabójczemi splotami rozpacz i namiętność. Werter, nurzając się w samotnictwie, karmi swą wyobraźnię zawsze głodną wizerunkiem pieszczot z Lottą i czytaniem Osjana. Błąka się poomacku nad brzegiem zatracenia. To już człowiek przepadły. To lampa, która się dopala. Kilka gwałtownych wybuchów, a potem zupełna ciemność.

Jeden z takich wybuchów następuje w zetknięciu ze zbrodniczym postępkiem człowieka, pochodzącego z gminu. Był to wieśniak, zakochany w swojej chlebodawczyni. Werter podziwiał czystość i szlachetność jego uczuć. Obecnie wieśniak ten, opętany szałem rozpaczy, zabił swego rywala. Dokonał krwawej pomsty za nieludzkie krwawe katusze, jakie przecierpiał. Krew wyzwoliła go przynajmniej z tortur zazdrości. Werter spostrzegł w dziejach tego biedaka odbicie własnych dziejów. Ale płomień współczucia rychło

wygasł, powlekając duszę gryzącym dymem beznadziejnego pogorzeliska. Werter przesiaduje u Lotty, zatruwając się dobrowolnie jej czarem. Mijają dnie całe w głuchem zapamiętaniu. Lotta go ostrzega, Lotta mówi mu o szerokim świecie, o nauce, przyjaciołach i cnocie, o możliwości pokochania innej kobiety. A jednak w godzinach samotnej zadumy Lotta wie, że pragnęłaby zachować Wertera wyłącznie dla siebie. Mimo to zabrania mu zbyt często bywać w swym domu. Werter łamie zakaz. W cichy grudniowy wieczór przekracza, wiedziony ręką Fatum, próg zakazanej alkowy. Zastaje Lottę samą, dziwnie wzburzoną jego widokiem. Czyta jej własny przekład Osjana. Potem niewiadomo jak i kiedy usta ich spotykają się nawzajem. „Padł przed Lottą na kolana w rozpaczy... Opuściły ją zmysły: ściskała mu dłonie, przycisnęła je do swej piersi, nachyliła się ku niemu żałosnym ruchem i, — oto spotkały się ich płonące policzki. Świat zginął z przed ich oczu. Werter wziął ją w ramiona, przycisnął do piersi i jął wściekłemi pocałunkami pokrywać jej drżące i jękliwe wargi. Odwracając się od niego, Werterze, wołała stłumionym głosem, Werterze“.[1]) Werter odchodzi z postanowieniem samobójstwa. Lotta czeka na przybycie Alberta, który wyjechał dla załatwienia spraw urzędowych. Gdy ten wraca, czuje cały ogrom mimowolnej winy, w jaką się zaplątała bez ratunku. Krążą nad nią, niby złowieszcze ptaki, straszne domysły i przeczucia. Na drugi dzień przychodzi od Wertera chłopiec i wręcza Albertowi bilet, gdzie wyrażona jest prośba o pożyczenie na czas jakiś pistoletu, rzekomo dla bezpiecznego odbycia przedsięwziętej podróży. Lotta własnoręcznie podaje chłopcu narzędzie śmierci, lubo serce jej omal nie pęknie z trwogi. Tymczasem Werter błąka się po okolicy, jak upiór nieczuły na wicher i słotę. Trop w trop idzie za nim miłość. Dobrnąwszy późną nocą do swego mieszkania, zrozpaczeniec rzuca się na łóżko i zasypia kamiennym snem. Obudziwszy się, porządkuje rzeczy i papiery. Kreśli pożegnalny list do Lotty, przyczem wypija dużo wina. Na noc zamyka się w swym pokoju, odprawia służącego i o godzi-

[1]) *Goethes Werke*, str. 116, tłum. P. Choynowskiego, B. U. L. (II. 158).

nie dwunastej popełnia samobójstwo. Huk wystrzału nie zwrócił niczyjej uwagi. Dopiero nazajutrz służący znajduje swego pana, ubroczonego we krwi, w stanie, wyłączającym wszelką nadzieję. Wzywa lekarzy. Biegnie z wiadomością do Alberta. Lotta pada bez przytomności. Stary rządca, Albert i dziatwa udają się do kwatery nieszczęśliwca. Jeszcze żył. Dzieci, ze szlochem całują współuczestnika swych zabaw i psot, odchodzącego już na zawsze. Po kilku godzinach Werter umiera. Za pogrzebem szła garstka przyjaciół. „Z duchowieństwa nie było nikogo". [1])

Niemoc wobec rozpętanego uczucia przy jednoczesnem uwiądzie woli i wrodzonych skłonnościach do pesymizmu — oto jest Werteryzm, zaraźliwa choroba wieku i bita droga do zguby. Takim dorobkiem duchowym zasila nas powieść Goethego, chociaż jej urok działał szkodliwie na niektóre słabsze jednostki, dopatrujące się w cierpieniach Wertera — pochwały nieukróconych porywów i samobójczej miłości.

Z przytoczonej osnowy romansu widać, że Goethe wiele korzystał z wypadków rzeczywistych. Przeżycia własne w stosunku do Szarlotty Buff stopił z tragedją Jeruzalema, tworząc postać Wertera. Kestner ukazał się w powieści jako Albert, dziedzicząc po swym pierwowzorze siłę woli, stateczność, powagę i trzeźwy rozsądek. Błękitnooka Lotta Buff przeistoczyła się w czarnooką Lottę S... Stary rządca Buff poznałby na pewno siebie w starym rządcy S..., też owdowiałym i też sùto zaopatrzonym w łaskę Bożą co do dzieci. Są inne, drobniejsze zbieżności: Werter, jak Jeruzalem, pracuje w poselstwie, narzekając na podłe warunki pracy, Werter, jak Jeruzalem, spotyka się z chłodnem przyjęciem w towarzystwie t. zw. doborowem, nakoniec Werter, jak Jeruzalem, strzela się z pożyczonego pistoletu. A dalej: Werter, jak Goethe, poznaje Lottę, jadąc na bal, Werter, jak Goethe, uprawia grę w „trójkąt narzeczeński" i Werter, jak Goethe, kipi wewnętrzną poezją. Dotąd sięga rzeczywistość. Wszystko pozostałe jest zmyśleniem: styl, szczegóły zawikłań, opisy stanów duchowych, rozmowy poszcze-

[1]) *Goethes Werke*, str. 126.

gólnych osób i t. p. Raczej nie zmyśleniem, a wynalazkiem poetyckiego genjuszu.

Dzięki temu genjuszowi *Cierpienia młodego Wertera* stały się jedną z najbardziej czytanych na świecie książek. Przekładano je z zapałem na wszystkie niemal języki. Młodzież chciwie piła smutny czar tej tragicznej miłości, od której mąciło się w głowach, jak po tęgim trunku. Goethe zaś rozumiał dokładnie, jakie skutki może wywołać naśladowanie Wertera przez niezrównoważonych młokosów. Aby ich cokolwiek otrzeźwić napisał krótki wiersz: *Z cierpień młodego Wertera* (1775).

Każdy młodzieniec pragnie tak miłować,
Każda dziewczyna miłość taką wzywa.
Ach, ten najświętszy ze wszystkich popędów,
Czemu stąd płynie nędza tak straszliwa?
Płacz po nim, kochaj go, duszo wybrana,
Lecz chroń jestestwo swoje od zagłady.
Spójrz, to duch jego woła cię z otchłani:
Bądźże mężczyzną i nie idź w me ślady! [1])

Mimo to namnożyło się wielu żółtodzióbych potomków Wertera, którzy wprawdzie nie okazywali zbytniego pochopu do samobójstwa, ale zato z przesadą, godną lepszej sprawy, dręczyli swe wybranki rozpaczliwie ponuremi listami, wprawiając przytem świat w osłupienie bladością oblicza i głuchym uporem „tragicznej" namiętności.

Cierpienia młodego Wertera, przeniesione do obrębu doli powszedniej, ściągnęły na ówczesne pokolenie istną plagę literackiego wydwarzania w życiu. Ale i to dowodzi potęgi genjuszu, zawartej w przełomowem dziele Goethego. Dzieło mierne nie poruszyłoby tak tłumu czytelników. A wszakże podziwiał je i gorliwie czytał mocarz tej miary, co Napoleon. To jedno imię starczy za całe setki innych. W roku 1806 wielki korsykanin po raz pierwszy zagościł w Weimarze. Szła za nim hucząca sława orężna. Cesarz wśród ognia bitew, niekiedy na bębnie dobosza — pisywał rozkazy, będące według znawców i smakoszów języka francuskiego (Gustaw Lanson) arcydziełem zwięzłości oraz krasomówstwa. Jak widać oprócz Bellony, wielce dlań łaskawej,

[1]) *Ibid.* t. II, str. 84, *Aus den Leiden des jungen Werthers* (tłum. włas.).

darzyły go przychylnością inne jeszcze boginie, usposobione bardziej pokojowo. Napoleon lubił trawić samotność w towarzystwie wielkich poetów i myślicieli. Skoro tedy w Erfurcie 1808 r., tocząc z carem Aleksandrem tajemne rozprawy o przeznaczeniu drobnych państw, dowiedział się za pośrednictwem Mareťa, iż dworowi księcia weimarskiego, Karola Augusta, towarzyszy Goethe, natychmiast wydał zlecenie, aby mu go przedstawiono. Ciekawe to posłuchanie trwało niemal godzinę. Czas — nad podziw długi, jeśli uwzględnimy wir zajęć, z jakim cesarz, zdobywca połowy Europy, ustawicznie się porał. O *Cierpieniach młodego Wertera* Napoleon powiedział, że czytał je siedm razy. I aby tego dowieść, zagłębił się w rozbiór charakteru Wertera, w którym widział mieszaninę chorobliwej dumy i namiętnej miłości. Przyczem, zdaniem jego, obrażona duma przyćmiewa w czytelniku wrażenie siły porywów miłosnych, każąc podejrzewać kochanka Lotty o zbytek zarozumiałych uroszczeń i o swoiste, niesmaczne sobkostwo uczuć, gwałtownie narzuconych słabej, chwiejnej, lecz czystej kobiecie. Cokolwiek Goethe miał na usprawiedliwienie — wolał zamilczeć. Dworzanin wziął górę nad miłośnikiem bezwzględnej jasności wszelkich sądów.

Czas, który spłodził dziwaczną, zawiłą, naprzemian ckliwą, naprzemian ognistą, a zawsze opaczną postać miłosnego wykolejeńca, był c z a s e m s c h y ł k o w y m. Jesteśmy w samym środku okresu burzy i naporu. Przeróżne żądze, pobudki, dążenia, skłonności, zachcianki, poglądy, groźby, umizgi, pieniactwa, wolterjanizmy i russoizmy — przewalają się z hukiem przez ówczesną Europę, tworząc djabelski zaczyn ostatecznego przewrotu (1789 r.). Tyle zaprzeczeń nagromadziło się w mocniejszych i uprzywilejowanych głowach, a z drugiej strony tyle uświadomienia, płynącego zgóry, na nizinach, że nikt zgoła, nawet najtęższy mędrzec, nie zdołałby wyciągnąć z obu tych przesłanek: wyżyny i niziny, wniosku pośredniego między starym a nowym porządkiem rzeczy. Rozstrzygnięcie musiało spaść nagle, wyrzucone z wnętrza *ancien regime*'u jakimś zasobem ukrytych sił wulkanicznych. Skoro bowiem usiłowano dowieść, że zachowując dotychczasowy ład cywilizacyjny, zachowujemy religję

jako oszustwo i wyzysk ciemnoty pospólstwa, ustrój społeczny jako krzywdę i niesprawiedliwość, kulturę jako zgniłą strawę najgorszych popędów i jako podłe jarzmo, tłoczące pierwotną nienawiść, a moralność jako pokrywkę wyuzdanego porubstwa — to jakie właściwie nastręczało się wyjście? Niemcy atoli, nawet Niemcy południowo-zachodnie, owa kolebka Wertera, stały cokolwiek na uboczu od zagadnień społecznych. Tutaj stosunki, między górą a dołem nie doszły jeszcze do skrajnego napięcia. Tutaj wrzenie ogarnęło głównie dziedziny pracy umysłowej i twórczości poetyckiej. Niemiecki okres burzy i naporu dał światu nową poezję i nową filozofję, Francja zaś dała mu przedewszystkiem nowe podstawy bytu społecznego. Bądź co bądź znamieniem owej doby jest wszędzie żywiołowe, natarczywe parcie naprzód.

Zjawisko to może nawet cokolwiek zaskoczyło starych, wypróbowanych mistrzów Oświecenia. Albowiem sławiony przez nich rozum, który miał rozsiać do cna mroki niewiedzy i udoskonalić ród ludzki, jął, zamiast utwierdzać, podmywać wszelką pewność we wszelkich dziedzinach życia, a następnie, zapowiadając raj na ziemi, byleby tylko więcej światła i, niestety, zawodząc podniecone nadzieje ogółu, bardzo wielu zniechęcił do siebie. Dla tych manną z nieba stał się pogląd Jana Jakóba Rousseau'a, że szczęścia i doskonałości trzeba szukać w stanie pierwotnym, nieskażonym wymysłami cywilizacji, gdzie człowiek rządzi się nietyle rozumem, ile wrodzonym mu, szlachetnym popędem.

Nadto Rousseau wyśpiewał niebotyczny hymn na cześć potęgi uczucia, chcąc tym sposobem przełamać dotychczasową czołobitność względem pierwiastków umysłowych i dzięki temu zapoczątkował odrodzeńczy ruch w zakresie psychologji. Teraz bowiem całkiem jawnie przyznano uczuciom miejsce niezależne, jako całościom samoistnym, godnym osobnego badania, gdy przedtem mieniono je cząstką t. zw. ciemnej strony życia duchowego, uchwytnej raczej dla spostrzeżeń naukowych. Za podnietą Jana Jakóba i mnogich sielankopisarzy ludzie do szpiku kości wysuszeni z wszelkich uczuć, raptem poczęli zawzięcie pielęgnować czułość, tkliwość, naiwność, i wszystkie cnoty pasterskie. Wtedy do-

piero się pokazało, jak bezlitośnie zniekształca pełnię człowieczeństwa jednostronny rozkwit władz poznawczych. Oto bowiem jednostki wykwintne, doskonale oświecone, pełne smaku, błyszczące świetnemi zaletami umysłu, jednostki o dowcipie giętkim i ostrym, jak sztylet wenecki, — wpadały w śmieszne dziwactwo, w grubą nieporadność, gdy towarzyski nakaz chwili zmusił je do pielęgnacji uczucia. Słowa, które miały tchnąć żarem, były ckliwe, postępki niedołężnie zabawne.

Ta niewspółmierność dążeń i wyników jeszcze bardziej rozpalała tęsknotę za pełnym wyrazem mało znanych, a tak długo więzionych żywiołów. Niedostatek rzeczywistych bohaterów uczucia musieli zastąpić b o h a t e r o w i e u r o j e n i. Dostarczyło ich piśmiennictwo. Jednym z takich bohaterów był Werter. Wpływ Rousseau'a wtargnął do Niemiec dosyć wcześnie i rozlał się szeroką falą. Przeistoczył on aż do rdzenia psychologję oraz estetykę. Psychologja tego okresu, idąc za Leibnizem, opierała się przeważnie na rozróżnieniu ciemnych i jasnych stanów duchowych. Oczywiście stany ciemne uchodziły za mniej wartościowe, podobnie jak bezład niższy jest od ładu. Ale przypisując władzom umysłowym cudotwórczą niemal potęgę, wierzono, iż stopniowo wszelka ciemność zostanie wyparta przez jasność. Rozwój człowieka osobniczy i społeczny zależy tylko od wzrostu oświecenia. Wiedza tępi zabobon, zbrodnię, krzywdę... Wiedza znakomicie wygładza nierówności. Wiedza — to ostoja szczęścia i dobra. Rychło jednak zlekceważone uczucie upomniało się o swoje prawa. Zwolennicy psychologji racjonalistycznej w wielu razach daremnie starali się łatać wątpliwości — przypuszczeniem, że to, co dzisiaj jest ciemne, więc niedoskonałe, zniknie po upływie stuleci. Bo wszak na stulecia liczyć trzeba rozwój ludzkości. Marna to była pociecha, bo najpierw zauważono, iż postęp w kierunku oświecenia jest nader nikły i mozolny, przyczem nie zawsze równoznaczny z doskonaleniem się moralnem, a następnie nikt nie miał ochoty wyzbywać się niektórych „ciemnych" skłonności (np. wrażeń estetycznych), aby dogodzić uroszczeniom zacietrzewionych oświeceńców. Przeciwnie znaleźli się tacy, którzy stanowczo potępiali gwałt, zadany isto-

cie ludzkiej przez skrępowanie jej powijakami wzorowych z doświadczenia i zdrowego rozumu wyciągniętych prawideł oraz przepisów. Shaftesbury, Hutcheson, Rousseau, a w Niemczech Sulzer, Mendelssohn, Jacobi — opowiedzieli się za samoistnością uczucia, jako składnika zjawisk psychicznych. Zczasem nawet wyjaskrawiono znaczenie ciemnych popędów w stosunku do celowych działań umysłu. I znowu Werter, człowiek owładnięty przez ślepą żądzę miłosną i ginący wskutek niemożności zahamowania jej naporu, dokładnie odzwierciadla przełom w zapatrywaniach na granice oświecenia. Wszak pamiętamy, że ten dziwak i zapaleniec, spotkawszy w swojej „rajskiej okolicy" — młodego V... gawędzi z nim o Winkelmannie, Batteux, Sulzer'ze: „Gdy usłyszał, że ja wiele rysuję i umiem po grecku (dwa meteory w tym zakątku), zwrócił się do mnie i wytrząsnął sporo wiedzy — od Batteux do Wooda, od Pilesa do Winkelmanna i zapewniał mnie, że przeczytał całą pierwszą część teorji Sulzera, i że posiada rękopis Heynena o badaniu starożytności. Uznałem to za dobre". [1])

W tem, pobieżnem zresztą, wyliczeniu różnych nazwisk, zwłaszcza uderza oczy nazwisko Sulzera. Bojownicy nowych poglądów lubili powoływać się na niego i w gorętszych chwilach walki używali go jako taranu przeciw, zacofanej ich zdaniem, estetyce obozu zachowawczego, który w Niemczech skupiał się przeważnie około Wolffa. Zwolennik Wolffa, A. G. Baumgarten, ma tę niezaprzeczoną zasługę, że w dziele *Aesthetica* (1750 r.) określił estetykę jako odrębną naukę o pięknie i przez to umożliwił dalszy jej rozwój, a już co najmniej — przyśpieszył. Baumgarten jest przeniknięty duchem Oświecenia, sądzi więc, że estetyka winna przepisywać dokładne prawidła ciemnemu wyobrażaniu, to znaczy najpośledniejszej części władz poznawczych, jak skądinąd logika przepisuje szczegółowe prawidła jasnemu wyobrażaniu, to znaczy najwyższej części władz poznawczych. Sulzer rozbił i niejako rozproszkował tę nawskróś racjonalistyczną jedność świadomości, naruszył przytem wszechmoc czynników umysłowych, wy-

1) *Ibid.* t. VII, str. 10 (tłum. własne).

stąpiwszy z twierdzeniem, że uczucia posiadają wartość samodzielną, że rola ich nie da się sprowadzić do stanów biernych i uszczuplających się w miarę, jak światło wiedzy zatacza coraz szersze kręgi. Dotyczy to również uczuć estetycznych, któremi Sulzer zajmuje się w *Ogólnej teorji sztuk pięknych.* Dziełu temu Goethe poświęcił nieco uwagi w *Gońcu frankfurckim,* czem widocznie zaskarbił odrobinę względów u myśliciela, który już za berlińskich czasów Lessinga przestarzał się i obecnie zaczynał dźwigać szósty krzyżyk pracowitego żywota (ur. w 1720 r.). Sulzer w dzienniczku ze swej podróży do Nicei wyraził się o młodym poecie z zastrzeżeniami, ale nader pochlebnie. Takim obrotem rzeczy imię Sulzera zabłądziło na karty romansu o rozpaczliwej, prawie wyuzdanej w swem szaleństwie miłości niemieckiego młodzieńca z okresu burzy i naporu. Werter ziścił wymagania nowej estetyki, dowodząc swym przykładem namacalnie, ile potęgi mieści się w uczuciach i zarazem, jak bezsilny jest wobec nich rozum.

Sam Goethe, chociaż jest twórcą powieści tyloma nićmi związanej z jego własnem życiem, stoi jednak poza burzliwą treścią swego dzieła i patrzy chłodnem okiem artysty na zamęt tragicznych wydarzeń. Boskie to wejrzenie oczyszcza rzeczywistość i wydobywa z niej wszystko, co najcenniejsze, uśmierzając zarazem nawałnicę pobocznych, zbyt nachalnych i krzykliwych wzruszeń, któreby mogły skazić kryształową przejrzystość — artystycznego wykonania. A ileż to romansów, zwłaszcza tych czułych, tkliwych romansów kaleczy nam smak gmatwaniną szczegółów i licho skleconą osnową. Wiek XVIII słynął niemi! Lecz *Cierpienia młodego Wertera* są zbudowane bez zarzutu. Goethe umiał bezład namiętności zamknąć w klasycznym ładzie poetyckiej architektoniki.

Wypadki rozwijają się z iście dramatyczną logiką. Najpierw poeta maluje s t a n w e w n ę t r z n y Wertera: jego mgliste dążenia i nieokreślone tęsknoty. Bohater czegoś pragnie, ku czemuś się wyrywa, jest dziwnie rozstrojony, dziwnie życzliwy dla wszystkich i dla wszystkiego. A gdyby tak na to serce zleciała niewiadomo skąd złotopióra m i ł o ś ć? I miłość zlatuje. Natychmiast domyślamy się, co z tego wyniknie: niebotyczność zachwytów, bezmiar uniesień, po-

top tkliwości, słowem tęczowa szecherezada zielonych lat młodych. A coby się stało, gdyby teraz zakradł się jakiś zgrzyt? I z g r z y t się zakrada. Lotta ma narzeczonego. Akt pierwszy skończony, zaczyna się drugi. Wertera znamy dobrze, bo go nam Goethe mistrzowsko pokazał. Wiemy, że nie zdoła pokonać swych uczuć. Na to trzeba żelaznej, prawdziwie męskiej woli. A Werter pławi się w bezwoli i pesymiźmie. Nie zdobędzie się też na jakiś czyn okropny, aby posiąść Lottę. Na to również trzeba woli. On tymczasem przesiaduje u stóp swej bogini, przesłaniając sobie oczy na rzeczywistość kadzielnemi dymami ubóstwienia. Ale Werter jest szlachetny i dumny. Pojmuje niestosowność swych uczynków. Miłość pcha go w objęcia Lotty, a duma i szlachetność każą mu ją pożegnać na zawsze. Trudny wybór dla tak chwiejnej jednostki. Mimo to Werter wyjeżdża. I mimo to zaraz na owym tarasie, oblanym srebrną jaśnicą księżyca, gdzie się kochankowie rozstają, przeczuwamy rychły powrót kochanka. Akt drugi skończony, zaczyna się akt trzeci. Werter tuła się po świecie. Do jego obuwia przystaje dużo pyłu z różnych gościńców. Daleko odnosi swoje serce, przejęte boleścią kosmiczną *(Weltschmerz)*. Lecz znając jego brak woli, jesteśmy przeświadczeni, że wróci do miejsca swych katowskich udręczeń miłosnych. Jakoż wraca. Fortuna rzuca ostatnie kości. Rozgrywka naprzód wiadoma. Lotta została żoną Alberta. Werter grzęźnie coraz głębiej w bagnie chorobliwych podnieceń. W jego schorzałej duszy kiełkuje postanowienie samobójstwa. Okoliczności przyśpieszają dojrzewanie zamiaru. Wkrótce przeobraża się on w pewność. „Ja chcę umrzeć" — powiada Werter. Nie dziwimy się tej chęci, bo cały mechanizm duchowy bohatera romansu leży przed nami, po mistrzowsku rozebrany na części. Widoczne są najsłabsze kółka i sprężyny. Pada strzał samobójczy. To nie przypadek, to nie ozdobnie rozdzierające zamknięcie treści, to rzetelna konieczność! Akt trzeci skończony.

Tak tedy w dziele, przedstawiającem rozterkę, wikłaninę i ciemnotę popędów, wszystko jest proste, jasne, zrozumiałe i łatwe do przewidzenia, wszystko bowiem trzyma w karbach doskonały zmysł artystyczny Goethego: zimny,

ścisły i przytomny nawet w zetknięciu z ogniem i żywiołem. Osnowa przechodzi wyraźnie przez trzy okresy: zawiązanie (początkowe chwile miłości Wertera do Lotty); rozwinięcie (zawikłania z narzeczonym, wyjazd); zakończenie (powtórny napływ szału i śmierć jako nieodwołalny skutek powikłań). Uwaga Adama Mickiewicza, że Goethe „znajdował rozkosz w nowych coraz przedmiotach i w ich kunsztownem wydaniu“ [1]) musi zastanowić, jeśli zważymy w jak wielorakiej postaci zjawia się miłość w różnych utworach tego pisarza. Dla przykładu postawmy obok siebie — skrzydlatą, niebiańską, seraficzną miłość Wertera i zmysłową, jędrną, soczystą, nieco swawolną miłość „północnego barbarzyńcy“ w *Elegjach rzymskich*. To są dwa bieguny, co się zowie! To tak wygląda, jakby ktoś posąg Madonny umieścił przy rzeźbie bachantki.

Powiedzieliśmy: na taką jednostkę, jak Werter, musiały się złożyć szczególne warunki. Istotnie — trudno przypuścić, żeby w zwykłych warunkach mogło tak pasorzytniczo, tak przygłuszająco rozkrzewić się, kosztem innych pierwiastków duchowych, samo uczucie, opętane przez chorą wyobraźnię. Zdrowy byt społeczny ma to do siebie, że zmusza do równomiernego natężania sił we wszystkich kierunkach, przez co uchyla niebezpieczeństwo zwyrodnień. Rozum, wola i uczucie działają wtedy sprawnie, celowo i sprężyście. W zdrowym ustroju każda komórka rozwija się zdrowo. Społeczeństwo zaś wycieńczone i schorzałe, społeczeństwo, w którem soki życiowe krążą nieprawidłowo, rodzi schorzałe, wątłe, bezwolne jednostki. Rzućmy okiem na datę listów Wertera. Rok 1771! A więc za ośmnaście lat wybuchnie wielka Rewolucja Francuska. Tymczasem wszystko, całe ogromne brzemię cywilizacji znajduje się na pochylni, wiodącej w przepaść. Stosunki polityczne, religijne, społeczne, kulturalne ciążą ku rozkładowi. Najprzedniejsi pisarze zwracają głównie swój zapał ku czynnościom burzycielskim. Zabójcza krytyka wszelkich wartości w imię nagiego rozumu, a jak u Rousseau'a w imię pierwotnych, nieskończonych uczuć — budzi wrażenie rychłej zagłady.

[1]) *Poezje A. Mickiewicza*, Warsz. 1900 r. t. IV str. 247.

Skrajne przeciwieństwa w wyborze środków zaradczych, miotanie się od trzeźwej, często grubej, realistyki do mrzonek idealistycznych — wskazują na bliski koniec. Są to podrzuty konającego ustroju. Dodajmy zdzierstwo poborców rządowych, nędzę motłochu i żądzę użycia w warstwach górnych, a mrok jeszcze bardziej się zgęści. I raptem damy, które oprócz uszu nic czystego nie miały, zaczynają bawić się w pasterstwo, rozczulać gminną prostotą i hołdować macierzyństwu w sposób, powiedzmy, doraźny, bo karmiąc dostojną piersią niemowlęta przed licznie zebranemi gośćmi. Panowie oschli, samolubni, gładcy, wyrachowani rozpływają się nad tym rzewnym obrazkiem i chętnie giną z czułemi pasterkami w zaciszu zielonej dąbrowy, opasanej mruczącym strumykiem, lub z atłasowym wdziękiem toną w smętnościach Osjanowych. Młode dziewczyny przy żółtym blasku świecy wypłakują oczy nad romansami Richardsona i Rousseau'a. Miłość wkłada szaty czułostkowości. Tak się też nam ukaże w *Cierpieniach młodego Wertera*, gdzie niejedna stronnica jest szczodrze zmoczona łzami. Kochanek Lotty płacze często i jakże często gubi się w obłąkaniach wylewnego roztkliwienia, szukając np. śladów ukochanej w martwych przedmiotach, choćby ich tylko przelotnie dotknęły jej oczy. Ale potężniejsze zmysły zasępiały się widokiem tego bezładu mierzchnącej cywilizacji i tych igrzysk pozoru na wulkanie rzyczywistości. Płynęło stąd głębokie zniechęcenie do życia, zespolone z nieprzepartą tęsknotą za nową, doskonalszą postacią bytu. I tak się wylęgła kosmiczna boleść Wertera.

Gdybyśmy nawet spuścili zasłonę na dolegliwości społeczne, jątrzące się podówczas, niby oporny do wygojenia ropień, w piśmiennictwie francuskiem, gdybyśmy tak uczynili przez wzgląd na tymczasowy spokój Niemiec, drzemiących w objęciach — patrjarchalnych rządów drobnych książąt, to i tak nie moglibyśmy uznać społeczeństwa, jakie oglądamy w *Cierpieniach młodego Wertera* za całkiem stateczne, umiarkowane i pozbawione energji wybuchowej. Gospodarz z pod „złotego lwa", gderliwy aptekarz i rozumny pastor mogą sobie w *Hermanie i Dorocie* dobrotliwie gwarzyć przy kieliszku reńskiego wina, gdy opodal przewala się burza

dziejowa, bo dziarski Herman a z nim tysiące innych zdrowych, krzepkich młodzieńców zapowiadają, iż murem własnych piersi odgrodzą miłą Ojczyznę od naporu rozszalałej Francji. Ale, czy rządca S..., czy Lotta i szlachetny hrabia C... mogliby równie polegać na Werterze? Bardzo wątpliwe. Werter rozkoszuje się ślicznym widokiem dziewcząt wiejskich, śpieszących od studni z wiadrami, pełnemi wody. Werter jednej z nich pomaga w tych czarownie ujmujących czynnościach. Werter wdaje się w rozmowy z dziećmi prostaków. Werter słucha chciwie wynurzeń parobka, co zgładził swego współzalotnika. Werter ubolewa nad złem obejściem się członków t. zw. towarzystwa z przedstawicielami gminu. Werter podziwia szczerość i głębię uczuć, kwitnących wśród ludu. Wertera bądź co bądź korci zagadnienie nierówności. Werter powiada: „tem żywiej odczuwam to, co nieraz spostrzegałem, że ludzie pewnego stanu zawsze będą stykać się z prostym ludem na zimną odległość, jakgdyby mniemali, że zbliżając się do niego mogą coś stracić; nadto są trzpioci i złośliwi sowizdrzali, co pozornie zniżając się, tem dotkliwiej dają następnie odczuć biednemu ludowi swoją przewagę. Wiem dobrze, iż nie jesteśmy i nie możemy być równi, ale sądzę, że ten, kto uważa za konieczne unikać t. zw. pospólstwa, aby zachować u niego powagę, jest tak samo godzien nagany, jak tchórz, co kryje się przed wrogiem w obawie porażki.[1])

Nie jesteśmy i nie możemy być równi! Orzeczenie cokolwiek ryzykowne zwłaszcza w ustach człowieka, co tak gorąco potępiał pychę stanową i taką poufałością darzył kmiotków. Świadczy ono o głęboko zakorzenionych poglądach dogorywającej epoki w zapalnym, jak proch i saletra, mózgu „przewrotowca mimowoli". I pod tym względem Werter stanowi zlepek sprzecznych dążności. Wygłasza zdania, które widać prześcigają własne jego chęci. Robi więc potem zastrzeżenia mniej lub więcej udatne. Porównanie ludu z wrogiem, który ma zadać porażkę — jakże znamienne! chociaż niewiadomo, czy świadome? Naogół Werter, pochłonięty życiem umysłowem i wewnętrzną rozterką mało

[1]) *Goethes Werke*, j. w. t. VII, str. 118. (tłum. własne).

troszczy się o takie lub owakie rozwiązanie niesnasek społecznych. Jest poniekąd szczęśliwszy, niż jego poprzednik z *Nowej Heloizy*, St. Preux, zmuszony, okrom wielu innych, zwalczać jeszcze przesąd niskiego pochodzenia. Lecz dla St. Preux i cnota Julji stała się wkrótce przesądem. Tam bardzo szybko obkrusza się polepa idealizmu. Werter zaś i Lotta są biali nieskazitelnie, biali, jak najbielsze jagnięta. Ale i w rewolucji wielce zdają się dziwaki, powiada ks. Robak w *Panu Tadeuszu*.

A przecież Werter zupełnie otwarcie wstępuje w zatarg z ustalonym ładem prawnym, uniewinniając samobójców i zaciekle broniąc mordercy, który dokonał zbrodni w przystępie rozpaczy. To są dwa jego słynne oświadczenia, wałkowane setki razy przez rozlicznych badaczy. Jesteśmy wśród kilkunastu kartek z końca powieści. Rozgorączkowany Werter pod karczmą wiejską spotyka gromadę ludzi zbrojnych, wiodących nieszczęsnego złoczyńcę. — Cóżeś biedaku uczynił — woła do przestępcy głęboko wstrząśnięty przybysz. A tamten rzecze chełpliwie: — Nikt jej nie będzie już posiadał. — Werter biegnie w stronę domu łowieckiego: „Gdy wkroczył do pokoju zastał tam Alberta, to go onieśmieliło, ale wnet się opanował i z ogniem przedstawił rządcy swoje zdanie. Ten pokiwał głową i chociaż Werter z największem uniesieniem, współczuciem i prawdą przytaczał wszystko, cokolwiek człowiek może powiedzieć w obronie innego człowieka, jednak, jak łatwo się domyślić, rządca nie był tem zbytnio wzruszony. Nie dał się mu nawet całkowicie wypowiedzieć, gniewnie się mu przeciwstawiał i ganił go, że broni zabójcy, dowodził przytem, że w ten sposób wszelkie prawo byłoby zniweczone, a byt państwa zachwiany. Wkońcu nadmienił, że bez surowej odpowiedzialności nie może się w nie wdawać, że wszystko musi iść zwykłym trybem, według nakazu prawa". [1]) Mamy więc w duszy Wertera zaczyn przewrotu. Narazie burzliwy kochanek Lotty chce uwolnić z więzów skrzydlate porywy jednostki, chce wydobyć z pieczar upośledzenia „czucie i wiarę", wzgardzone w oziębłem stuleciu „szkiełka i oka". Ale jaki motyl

[1]) *Goethes Werke*, t. VII str. 96, 97. (tłum. własne).

wykłuje się z tej poczwarki marzycielskich rojeń? Wiadomo, że poza swobodą jednostki leży swoboda tłumu. A ta najlepiej, najistotniej wypowie się w nadchodzącej rewolucji, która już kołacze mocną pięścią do wrót — Historji.

Głównym przedmiotem, około którego skupia się cały romans, jest miłość, skojarzona z bezgranicznie smutną, do głębi pesymistyczną myślą. Już sama styczność ze światem wznieca ból w Werterze, ból rozpatrywany później skrzętnie w związku z ogólnym ustrojem kosmicznym. Oto noga przechodnia roztrąca i niszczy mrowisko, jednem kopnięciem pozbawiając życia tysiące maleńkich stworzeń. Oto młoda dziewczyna zaufała ponętnym obietnicom łajdaka, który uwiódłszy, rzucił ją na pastwę ludzkiej bezlitości. Oto poczciwa kobieta, oczekując męża, który miał przybyć z grubym spadkiem, doczekała się nędzy i śmierci najdroższego dziecięcia. Oto jakiś szaleniec wałęsa się po górach i rozmyśla o kochance, zbierając dla niej kwiecie, dla niej, co go strąciła w dół obłąkania i powszechnej wzgardy. Oto i drugi, ów parobek, miłujący wdowę, osaczony przez ciżbę zbrojną, jako zabójca rywala. Oto sam Werter nakoniec, ujęty w potrzask niebiańskiej rozkoszy i piekielnej męczarni. Poco to i dla kogo? Jaki cel przyświeca tej marnej igraszce bytu i śmierci? Ach, zdaje się, że przyroda jest poprostu wiecznie przeżuwającą i wiecznie głodną paszczęką.[1]) Z nieubłaganem okrucieństwem miażdży ona wszystkie stwory, każąc się im zarazem plenić na świeżych cmentarzyskach. U Wertera miłość łączy się ściśle z tem poczuciem cierpkiej nicości. Dopóki młodość szumi w złotej, platońskiej czarze, upajamy się istnieniem. Zdobywając mało, liczymy na obfity plon dalszych zdobyczy. Wabi nas daleka przestrzeń. Tęsknota wiedzie na szerokie, nieznane gościńce. Werter nazywa siebie błędnym wędrowcem, po którym pierwszy lepszy wiatr zatrze ślady. Toczy go od serca robak smutku. Czujna myśl odkrywa mnóstwo bolesnych nieporozumień, mnóstwo zgubnych, zaiste potwornych omyłek w metafizycznym rachunku świata. Taką omyłką

[1]) *Goethes Werke*, str. 51, właściwie: „wiecznie chłonącym i wiecznie przeżuwającym potworem", „als ein ewig verschlingendes, ewig wiederkaüendes Ungeheuer".

w życiu Wertera jest miłość; ta miłość, co jako żywiołowy popęd nie zna granic i nie zna wędzidła, i ta miłość, co, jako cząstka spiżowych, obojętnych potęg istnienia, tworzy jednakowo hojnie rozkosz i ból.

Przyczyny własnej klęski Werter miał w sobie. Ale tu nie chodzi o wybór, tylko o przeznaczenie. Drogi do klęski były wskazane ręką bezwzględnej konieczności. Zwolna spostrzegamy, jak miłość zabarwia się mistyką. Rozpala się w niej ten sam zielony płomień, który z wiotkich pędów wiosennych czyni wiekuiste wcielenie tajemnicy życia i śmierci i zmartwychwstania. Werter przez miłość współżyje z całą przyrodą, uczuciami swemi wchodzi w istotę bytu, gdzie rzeczy materjalne nasiąkają blaskiem uduchowienia. Każdy poranek, każda noc, każdy zmierzch, każde zjawisko — zawiera w sobie, oprócz własnej treści, jeszcze dziedzictwo uczuć Wertera: „Podchodzę do okna, moja najdroższa, i widzę, widzę jeszcze przez burzliwe, przepływające obłoki niektóre gwiazdy wieczystego nieba! Nie! wy nie spadniecie! Wiekuisty nosi was w sercu swojem, was i mnie. Widzę naczelne gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy, najbardziej ulubione ze wszystkich. Gdy nocą wychodziłem od ciebie, gdym minął bramę, one zjawiały się naprzeciw mnie. Z jakiemże upojeniem oglądałem je, wyciągniętemi rękoma czyniąc z nich znak, święty głaz graniczny mojej obecnej szczęśliwości". [1])

Przez miłość Wertera płynie tedy strumień religijności, ale religijności swoistej, niejako panteistycznej, wielce pokrewnej temu uczuciu, jakie Goethe wyraził w *Prometeuszu* i pierwszej części *Fausta*, gdzie Gretchen, zgorszona słowami kochanka o Bogu, mówi mu, że on nie jest chrześcijaninem. Wtenczas Goethemu już na dobre mistrzował Spinoza. Co do Wertera, to ten, aczkolwiek pokłada ufność w Bogu osobowym, którego mianuje ojcem swoim i ojcem Lotty [2]) i który ma zesłać pociechę w krainie zaziemskiej, to przecież tkwi w nim zadatek na panteistę. Werter z niejaką ulgą roztapia swą jaźń obolałą w znieczulającym ogromie

[1]) *Goethes Werke*, str. 123. (tłum. własne).
[2]) *Ibid.* str. 118 (tłum. własne).

wszechświata: „Od nieprzebytych gór, poprzez pustynie, której niczyja stopa nie tknęła aż do krańca nieznanego Oceanu przewiewa duch wiecznego twórcy i cieszy się każdym pyłem, który go pojmuje i który żyje. Ach, wówczas jakże często tęskniłem, aby na skrzydłach żórawia, przelatującego nade mną, dostać się na wybrzeże nieznanego morza, aby pić z szumiącego puharu nieskończoności pieniącą się rozkosz życia i przez jedną chwilę, w miarę ograniczonych sił mego jestestwa, czuć drobinę szczęścia tej istoty, która działa we wszystkiem i przez wszystko". [1]) Cały stosunek Wertera do przyrody, do zła i dobra, do odpowiedzialności za grzechy i wszelkie uczynki ludzkie po tamtej stronie bytu — sprzeciwia się pojęciom chrześcijańskim. Głównie zaś pogląd na samobójstwo i oczywiście dokonanie samobójstwa. Dlatego w żałosnym pogrzebie Wertera „z duchowieństwa nikt nie wziął udziału".

Udręczeniec kazał się pochować na odludziu: „W dziedzińcu kościelnym są dwie lipy, w kącie od pola; tam pragnę spocząć. Nie chcę zamącać spokoju pobożnym chrześcijanom, nie chcę, aby składali swoje ciała obok mnie — biednego nieszczęśliwca. Ach, życzyłbym sobie, żebyście mię pochowali przy drodze, lub w samotnej dolinie tak, aby kapłan i Lewita mijali mnie, żegnając się przy grobowym kamieniu i aby Samarytanin tam zapłakał". [2]) Łatwo można spostrzec, iż te przedzgonne zlecenia suto są pociągnięte pokostem literackiego zdobnictwa. Dolina samotna, rozdroże, kamień grobowy owiany klechdą, pełną grozy, wędrowiec, roniący łzy nad zapomnianą mogiłą — wszystko to powtarza się bezustannie w staroświeckich romansach tego czasu. Oddychano wtedy tkliwością, jak powietrzem. W dziejach miłości Wertera, obok metafizycznych, religijnych i osobistych, dadzą się wykryć p i e r w i a s t k i r d z e n n i e l i t e r a c k i e. Homer ściera się z Osjanem. Pierwszy każe wzdychać do patrjarchalnych obyczajów, kiedy to królewne same chodziły po wodę i same prały bieliznę. Drugi przenosi wyobraźnię w głuche, skaliste

[1]) *Goethes Werke*, str. 50 (tłum. własne).
[2]) *Ibid.* str. 123, 124 (tłum. własne).

pustkowia, srebrne od jaśni miesięcznej i załamujące w sobie grzmoty fal morskich, gdy w chmurach wiszą duchy przodków, żądne chwalebnych wspominków. I Osjan wkońcu zwycięża, jako pokarm bardziej odpowiedni dla gorzkich dumań Wertera: „Osjan wycisnął z mego serca Homera. Co to za świat, dokąd mię ten bożek wprowadził". [1])

Czytanie Osjana było tym małym napozór ciężarkiem, tą nikłą śróciną, co ostatecznie przechyliła wezbrane serce Lotty ku Werterowi, wbrew jej sumieniu i wbrew jej woli. Opuściły ją wtenczas zmysły i dała usta do całowania. Żałosnym ruchem zgięła się ku niemu, jak trzcina za wiatrem. Świat zginął im z oczu. Już przedtem Werter lubował się w nocnych krajobrazach. A gdy raz ujrzał księżyc, zalegający na czarnych zwaliskach chmur i gdy w dole usłyszał huczący pogłos, wyrwanej odwilżą ze snu zimowego, rzeki — spadła nań trwoga, a zarazem tęsknota. Pragnął rzucić się w przepaść. Teraz, po odtrąceniu przez Lottę, błądzi samopas wśród skał. Szuka zapomnienia. Boryka się z wichrem. Dużą część słotnej nocy spędza poza domem. Żali się nie wiedzieć komu. Może chmurom, może Bogu, może sam sobie. A może bezwiednie szepcze skargę opuszczonej Kolmy, tej Kolmy, której świetną pieśń czytał Lotcie w pamiętny wieczór: „Jest noc, a ja tu sama, porzucona na burzliwem wzgórzu. Wicher szumi w górach. Strumień, jęcząc opada ze skał. Nie mam schronienia od deszczu, ja, porzucona na burzliwem wzgórzu". [2]) Nie wątpimy w szczerość rozpaczy Wertera. Cały świat ją podziwiał. Bądź co bądź jego wygląd i zachowanie się nastręczają podejrzenia osjaniczne. I tak ciągle nad werterowskim stylem życia rozpyla się jeszcze literacka stylizacja. Czyto, gdy Werter ucieka z Homerem w ręku od jarmarku ludzkiej próżności, aby samotnie pogrążyć się w rozmyślaniach o niemiłosierdziu praw, kierujących bytem; czyto, gdy Lotta maluje rozkosze przebywania w świecie romansów; czyto, gdy oboje, śladem czarownych potępieńców Dantejskich, łączą swe usta nad kartami ulubionej książki, tym razem

[1]) *Goethes Werke*, str. 81 (tłum. własne).
[2]) *Ibid.* str. 109 (tłum. własne).

pieśni Osjana; czyto, gdy on sam, cierpko usposobiony względem szarzyzny dzisiejszej, sławi odległe wieki wędrówek Ulissesa po ziemi, nieograbionej wtedy jeszcze przez wiedzę z tajemniczych uroków; czyto, gdy Lotta oprawna w świetlistą ramę okienną, mżąca szafirową poświatą wczesnego ranka, słucha dalekich przypomnień i sieje łzy brylantowe nad odą Klopstocka. Wszędzie tu przez dusze bohaterów mówią nadomiar dusze wielkich poetów: „Stanęliśmy w oknie, jeszcze stronami grzmiało, a rozkoszny deszcz szumiał nad ziemią, orzeźwiająca, dobroczynna woń przesyciła swą treścią łagodne powietrze. Lotta stała, oparta na łokciu; jej wzrok błądził po okolicy, patrzyła na niebo i na mnie, spostrzegłem, że oczy jej pełne są łez, dotknęła mej ręki i rzekła: Klopstock! Natychmiast przypomniałem sobie tę wspaniałą odę, którą miała na myśli i która pogrążyła ją w takiem wzruszeniu, dając mu upust, przelała je na mnie. Nie mogłem się opanować, schyliłem się do jej ręki i całowałem ją wśród łez, brzemiennym zachwytem, i znowu zagłębiłem się w jej oczach. Szlachetny poeto, gdybyś widział swoje ubóstwienie w tem wejrzeniu!“ [1])

Cierpienia młodego Wertera obiegły prawie całą kulę ziemską. Dotarły aż do Chin. Od przekładów i naśladownictw europejskich wprost się roiło. Rozpowiada o tem J. W. Appel w gruntownej, chociaż już cokolwiek leciwej pracy: *Werther und seine Zeit* (Lipsk 1865 wyd. 2). Dzieje Wertera w Polsce wybornie skreślił Konstanty Wojciechowski, (*Werter w Polsce* wyd. *Zakł. Narod. im. Ossolińskich,* wyd. 2, 1925 r.). Pierwsze tłumaczenie polskie głośnego romansu dał zasłużony krzewiciel nowej treści w naszem piśmiennictwie, Kazimierz Brodziński. Pojawiło się ono w obiegu księgarskim w 1821 r., chociaż na okładce widnieje data: 1822 r. Pełny nagłówek opiewał: *Cierpienia młodego Wertera. Z niemieckiego P. Goethe. Część pierwsza i druga. W Warszawie, nakładem Glücksberga, Księgarza Typografa Uniwersytetu MDCCCXXII.* Mickiewicz, który w okresie rozpaczy po Maryli zatapiał się w Werterze, odzywał się o tym przekładzie z wyraźnym przekąsem: „Co większa,

[1]) *Goethes Werke,* str. 25 (tłum. własne).

pisał do Maryli 24 lutego 1822 r., zamyślam *Wertera* tłumaczyć, bo warszawskie tłumaczenie niedobre i niewierne".[1]) Na długi wszakże czas był to przekład jedyny. Dopiero nie tak dawno ukazały się trzy inne: Staffa, Mirandoli, oraz Choynowskiego. Konstanty Wojciechowski, podsumowawszy wyniki swych badań dochodzi do wniosku, że: „W zestawieniu z zagranicą prąd werterowski przedstawia się u nas jako znacznie słabszy. Dość spojrzeć okiem na ogromną ilość samych tytułów werterjanów niemieckich, francuskich, angielskich, by dojść do takiego wyniku. Rozciągłość jego jest u nas znaczna: ćwierć wieku, ale zrazu mamy do czynienia tylko z Werterem - kochankiem, Werter, zmagany bólem wszechświatowym, zjawia się dopiero w latach trzydziestych, a wnet po roku czterdziestym znika bez śladu. Pełnego wyrazu „Weltschmerzu" nie ma u nas wcale i to jest jeden z najciekawszych może rezultatów, do których doszliśmy w tej pracy. Natura polska odepchnęła od siebie filozofję pesymizmu i płynące z niej gorycz i ból".[2])

Dopiero pod koniec zeszłego stulecia urodził się z u p e ł n y W e r t e r p o l s k i. Jest nim Płoszowski z *Bez dogmatu* Henryka Sienkiewicza. Ale gdzie Werter zaczyna, tam Płoszowski już kończy. Werter zaczął rozważać nędzę, bezcelowość i nicość bytu, — Płoszowski grzęźnie w tem po uszy. Werter zaczął gorzknieć pod wpływem zawiedzionej miłości, zgorzkniały Płoszowski szuka w miłości osłody. Werter zaczął przeklinać rozum i ład na nim oparty, jako katowanie uczuć, Płoszowski zgóry ogłasza bezsilność, martwotę i płonność rozumu. Werter zaczął o wszystkiem boleśnie powątpiewać, Płoszowski z zamiłowaniem pławi się w epikurejskiem wątpieniu. Werter zaczął upiększać życie literacką złudą, nieobliczalnem marzycielstwem, Płoszowski stroi się na codzień w kosztowny estetyzm. Werter zaczął ubolewać nad koniecznością pracy, nad głupią krzątaniną ludzką, aby mieć co włożyć do ust, Płoszowski czyni poniekąd zasadę ze swego nieróbstwa i z siedmiu dni tygodnia wymazuje sześć powszednich. Werter zaczął przy-

[1]) *Koresp. Filom.* IV 157/8.

[2]) *Werter w Polsce.* Nakł. Ossolineum, wyd. 2, str. 182.

puszczać, że po „tamtej stronie" może być pustka, Płoszowski czasem wmawia w siebie, że tam może coś jest. Werter zastrzelił się między innemi dlatego, że pokochał fatalnie i omyłkowo cudzą narzeczoną, Płoszowski zastrzelił się, bo tak splątał wzajemną, swobodną miłość, że wynikło stąd piekło udręczeń. Płoszowski uzupełnił Wertera w jego krańcowościach, ale obaj są różni, całkowicie różni. Obaj stanowią rumowisko kruszącej się cywilizacji, ale w każdym z nich osypały się inne jej pokłady. Werter kipi młodością, pnie się ku zawrotnym wyżynom swobód duchowych, otwiera serce dla głosów przyrody, zniża się do gminu, lituje się nad dolą maluczkich i uciśnionych, zwalcza zawzięcie wadliwe prawodawstwo, które warzy w człowieku szlachetne popędy, jak mróz warzy liście na drzewach. Jego pesymizm zionie przeraźliwym bólem, a jego ból ogarnia wszechstworzenie. Płoszowski żyje w okresie, kiedy wszystkie te dobra, o jakie tak wyzywająco dobijał się Werter, po większej części już zdobyto i przetrawiono, a niektóre z nich zgoła się przejadły. Nasz Werter młodość ma za sobą. A co do swobód duchowych, to wszak stale przebywa w letniej kąpieli estetyzmu, wymyślnych zachcianek, wietrznych nastrojów i krnąbrnej przekory. Widokami przyrody otacza się chętnie, bawiąc wzrok ich opalizacją i zdobiąc tą grą świateł swój byt lżejszy od puchu, a tęczowy, jak bańka mydlana, choć czasem w jego mniej oględnych, błyskotliwych powiedzeniach zabrzmi coś grobowego, jakby znienacka zagadał nieboszczyk Werter: „Miłość zwycięża nawet śmierć, ale chroni przed nią tylko gatunek. A co mi z tego, że gatunek będzie zachowany, gdy ja, ten właśnie osobnik, który miłość odczuwa, skazany jestem na nieubłaganą i niechybną zatratę? Nie jestże raczej wyrafinowanem okrucieństwem taki układ, z mocy którego to uczucie, które może być odczuwane wyłącznie przez indywiduum, służy i przydaje się na coś wyłącznie gatunkowi?" [1]) Od szarego motłochu Płoszowski jest daleki na cały bezmiar swej pańskości. Do tarasu, na którym w noce księżycowe prowadzi wytworne rozmowy o kobiecie, o czarach miłosnych, o filo-

[1]) *Bez dogmatu*, Warsz. 1899, t. I, str. 130.

zofji i o sztuce, ledwie, ledwie dolatuje gdzieś z nizin złowróżbny pomruk gawiedzi. Uczynki miłosierne spełnia Płoszowski zazwyczaj z pobudek samolubnych, dla dogodzenia Anielce. Wreszcie ten zagorzały stronnik wszystkich pesymistów ceni własny pesymizm dość lekko, jako powabne, mile łechcące uszy nowinkarstwo, jako tarcie o siebie słów w dowcipnych sprzeczkach, jako błękitny dymek poobiednich cygar: „Pesymizm nasz jest wprawdzie nikły i lekki, jak dym naszych hawańskich cygar, niemniej jednak przesłania nam on dalsze widnokręgi. W tych przesłonach, w tym dymie tworzymy świat oddzielny, oderwany od ogromu wszechżycia, zamknięty w sobie, trochę czczy i senny". [1]) A gdy się ten człowiek spalił, zetlił, spopielił — co po nim zostało? Gryzący czad sceptycyzmu: „Nie wiem, czy tam jest nicość, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wicher międzyplanetarny nosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia; nie wiem, czy tam jest niezmierny Niepokój, czy Spokój równie niezmierny, a tak doskonały, jaki tylko Wszechmoc i Wszechdobroć dać może. A jeśliś Ty przez moje nie wiem umarła — jakże ja mam tu zostać i żyć". [2]) Ani źdźbła jakiejkolwiek wiary. Nic a nic, okrom rozwiązłego sceptycyzmu. Werter w porównaniu z Płoszowskim zakrawa na żarliwego wyznawcę, na apostoła, choć także wahał się, wątpił, niepokoił i błąkał: „Odchodzę stąd, odchodzę do mego Ojca, do twego Ojca. Jemu się żalić będę i On mnie pocieszy, aż ty przyjdziesz i wylecę naprzeciw ciebie i wezmę cię w objęcia i tak zostanę w obliczu Nieskończonego w wieczystem zespoleniu. Ja nie śnię, ja się nie łudzę. Im bliżej grobu, tem to dla mnie jaśniejsze! my żyć będziemy, my się spotkamy". [3])

Jeżeli werteryzm można było określić, jako niemoc wobec rozpętanego uczucia przy jednoczesnym uwiądzie woli i wrodzonych skłonnościach do pesymizmu, to choroba Płoszowskiego tkwi głównie w niemocy wobec rozpętanego wątpienia, przy jednoczes-

[1]) *Bez dogmatu,* str. 126.
[2]) *Ibid.* t. III str. 258.
[3]) *Goethes Werke,* j. w. t. VII str. 118 (tłum. własne).

nym uwiądzie woli i wrodzonych skłonnościach do pesymizmu. W obu wypadkach wskutek dotknięcia zarazą wiotczeje wola. Dalsze objawy zakażenia są różne. Werter pogrąża się w rozpuście uczuć, pomiatając rozumem i stąd wpada w przepaść, zepchnięty tam przez rozkiełznane szaleństwo. Płoszowski, jak topielec, czepia się rozpaczliwie uczucia, które w nim się rozkłada pod działaniem przeczulonej samowiedzy, zatrutej w dodatku jadem sceptycyzmu; stąd jego ustawiczne karkołomne wyczyny, godne linoskoczka, stąd wreszcie klęska bezwzględna i miażdżąca. Po klęsce jednostki musi nadejść klęska ogółu, bo przepełniła się już miara czasów: „Fala, która nas spłucze z powierzchni ziemi, zabierze więcej, niż ta, która spłukała świat pudrowanych peruk i żabotów". [1])

Werter i Płoszowski to są owoce przejrzałej cywilizacji, zrodzone z niejakiem wysileniem, a dochodzące swej pełni w warunkach cieplarnianych. Nic im nie wróży zbytniej trwałości, ani ich stan wewnętrzny, ani czynniki zewnętrzne. Obaj ci schyłkowcy giną wskutek nadmiaru wartości, które wzięte osobno i we właściwym stosunku mogłyby stworzyć całość wysoce chlubną dla człowieczeństwa. Ale to jest niemożliwe. Wyłonił ich bowiem tragiczny mus pewnych czasów i obyczajów. Ukazanie się takich jednostek, na widnokręgu jakiejś doby prawie zawsze zwiastuje burze i przewroty. Jakoż w piętnaście lat po wyjściu maleńkiej książki Goethego (1774 r.) — wielka Rewolucja Francuska zmiotła stary porządek rzeczy, zdmuchnęła, jak pył znikomy, upudrowany wdzięk Rokoka. A mniej więcej we dwadzieścia pięć lat po samobójstwie Płoszowskiego Europa wpadła w potworny zamęt wojenny, w którym straciła doszczętnie swe dawne znamiona, stając u wrót nowej epoki dziejów. Bezwarunkowo i ta epoka wyda kiedyś swój krańcowy okaz, a piśmiennictwo z wrodzoną sobie mocą przekaże go w całem bogactwie szczegółów pamięci mnogich pokoleń. Co to będzie? Niewiadomo. Życie toczy się wartko. Odsłaniają się coraz inne widoki i możliwości. Narazie zyskał wzięcie człowiek mocny, któremu nie szczędzą

[1]) *Bez dogmatu*, j. w. T. I. str. 127.

oklasków współcześni powieściopisarze; człowiek zdobywczy, kipiący tężyzną cielesną i duchową, oddany bujnej doczesności, chciwy przygód, drapieżny, raczej prostacki, niż wykwintny i raczej zaborczy, niż ofiarny. I on to bodaj jest obecnie bożyszczem tłumu.

Zygmunt Falkowski.

Psychoanaliza w literaturze polskiej.

(Dokończenie).

IV.

Dziełu Bychowskiego poświęcił życzliwą ocenę znakomity twórca monografji o Słowackim, Juljusz Kleiner.[1]) Świetny krytyk zarzuca wprawdzie literaturze psychoanalitycznej, że jest „w znacznej części małowartościowa, grzesząca sztucznością i naciąganiem, zbyt łatwo rozwiązująca trudne zagadnienia, zbyt upraszczająca zjawiska nazbyt skomplikowane", ale pracę Bychowskiego wyróżnia jako dzieło, „które z wnikliwością subtelną i z pełnym taktu umiarem zmierza do wizerunku duszy poety". Poważnych zastrzeżeń niewiele. Aczkolwiek przedstawienie stosunku poety do ojca, zasłużonej doznało krytyki, to jednak powiązanie z matką spotkało się z zupełnem uznaniem: „wystarczyłyby — powiada Kleiner — karty poświęcone znaczeniu matki w twórczości poety, aby nadać trwałą wartość dziełu i — uprawnić metodę psychoanalityczną".

Do niedomagań pracy należy, że „zbyt mało uwagi poświęca badacz (za przykładem innych psychoanalityków) czynnikom intelektualnym. Rezygnuje z całkowitego przeglądu zjawisk psychicznych, do jakiego dąży dzisiaj opis naukowy psychiki indywidualnej", wreszcie „daje się czasem odczuć, że teorja Freuda, tłumacząc skomplikowanie psychiki, upraszcza ją nadmiernie, że się nie liczy z tem, coby nazwać można wielością jaźni w poecie, co on sam wyraził swą biografją metampsychiczną". Ogólny sąd wy-

[1]) J. Kleiner: *Słowacki w świetle psychoanalizy*, l. c.

pada bardzo pochlebnie: „Dr. Gustaw Bychowski, kreśląc wizerunek duszy poety, zachował jej piękno i tchnienie wyżyn". [1])

Dłuższą recenzję książki Bychowskiego umieścił M. Giergielewicz w *Ruchu Literackim* Wrzesień 1931. I on przyznaje, że „wzięte w całość studjum dr. Bychowskiego posiada dużą siłę sugestywną i rzuca światło na szereg tych zagadnień, które dotychczas albo uchodziły uwagi, albo z konieczności były usuwane w cień nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca w układanych łańcuchach przyczynowych zjawisk", a za najcelniejszą pozycję pracy uważa tak jak Kleiner komentarze do okresu mistycznego. Aby uzyskać odpowiednie kryterjum trzeba zdaniem recenzenta „rozpatrzeć zgodność wyników psychoanalitycznych z faktami, oraz ocenić, czy dostarczane przez nią wyjaśnienia stwarzają system skoordynowany i wolny od sprzeczności, a w każdym razie — czy stanowią komentarz twórczości bardziej pragmatyczny i konsekwentny od tego jaki zdobywano na innych drogach". Drugiej sprawy krytyk nie rozstrzyga, gdyż „badacz nie mógł całkowicie rozwinąć wszystkich konsekwencyj swoich założeń", co do pierwszej posiada pewne zastrzeżenia: „Psychoanaliza okazuje się najpłodniejsza przy badaniu pewnych zasadniczych kompleksów, natomiast w stosunku do złożonych konfliktów życiowych, jak się okazuje, wypada nieraz uciec się do zwykłego psychologizowania".

Żąda również, aby „w interesie bezstronności stanowiska poznawczego" posługiwać się jakiemś innem kryterjum, aniżeli metoda psychoanalityczna, która „z natury rzeczy koncentruje uwagę na momentach życia i twórczości, posiadających zabarwienie erotyczne (w szerokiem znaczeniu), lub zbliżonych w ten czy w inny sposób do psycho-

---

[1]) W cytowanej recenzji twierdzi Kleiner, że wizerunek duchowy nakreślony przez Bychowskiego „przekonywa tem bardziej, że nieraz pełniej tylko uwydatnia i precyzuje rysy ustalone już w poglądach dotychczasowych". A więc egotyzm rozszerza się tutaj w analizę narcyzmu, a mechanizm kompensacyjny dopomaga znowu „w ujęciu znanej cechy romantyków — dopełniania życia, zaspokojenia fikcją życzeń niziszczonych, czy nieziszczalnych". Tylko czy ta freudowska terminologja naprawdę zawsze pomaga w lepszem zrozumieniu zjawisk?

patologji". Pogląd Bychowskiego na determinizm genjalności, skrystalizowany w zdaniu: „w życiu genjusza niemasz właściwie żadnych wypadków, gdyż wszystko wypływa z najgłębszej konieczności jego istoty", uważa Giergielewicz — i chyba zupełnie trafnie za mocno ryzykowny.

Tak recenzja Kleinera jak i Giergielewicza nie zajęły się dokładnie stosunkiem psychoanalizy do badań literackich, gdyż problem ten był zbyt szeroki i zbyt skomplikowany, by go można poruszyć w ramach szczupłego artykułu. „Do dziś dnia — pisze nestor historyków literatury G. Korbut — nie znaleziono kryterjum nieomylnego, któreby można ze skutkiem stosować do analizy psychologicznej", a zdanie to odnosi i do psychoanalizy, gdyż „nie daje (ona) pewnego kryterjum, któreby można stosować do każdego dzieła literackiego". [1]) Jeżeli Korbut zajął wobec metody psychoanalitycznej stanowisko negatywne to T. Grabowski odniósł się do niej we „Wstępie do nauki literatury" całkiem przychylnie. Ponieważ wzmiankowanemu problemowi autor poświęcił tylko kilka stron, raczej go tylko w ogólnych zarysach szkicując, nie przeprowadził więc krytyki tego zagadnienia, wskazał tylko na możliwość zastosowania psychoanalizy z pożytkiem do literatury, analizując z tego punktu widzenia w ogólnych zarysach postać Słowackiego, w czem — rzecz znamienna — uprzedził monografję Bychowskiego. [2])

Drobna wzmianka należy się uwagom cytowanego już Z. Aleksandrowicza. Autor nie ograniczył się w recenzji do przedstawienia słabych stron pracy S. Baleya, ale podał jeszcze kilka wytycznych na przyszłość wskazówek. W studjach psychoanalityczno-literackich wysuwa autor na czoło teorję życzeń niespełnionych, ale zmodyfikowaną „w kierunku rozszerzenia mechanizmu stłumienia na całą sferę możliwości życiowych i ograniczenia roli infantylizmu". Nie doszukiwanie się dyspozycyj trwałych, gdyż dla swej typowości nie posiadają takiej wartości, ale „wyjaśnienię i ustalenie mechanizmu motywów i tematów literackich ich od-

---

[1]) G. Korbut, *Wstęp do literatury polskiej* Warszawa 1924, str. 48.

[2]) T. Grabowski; *Wstęp do nauki literatury*, Lwów 1927. R. VII. Krytyka genetyczna - Psychoanaliza w krytyce.

mian, oraz momentów genezy na podstawie — zawartej także w freudyźmie — zasady kompleksów aktualnych, które w toku życia mogą pojawiać się, jako następstwa stłumień okresu dojrzałego, późniejszego, nie-infantylnego" uważa Aleksandrowicz za najważniejsze zadanie. [1])

Najobszerniejszą jak dotąd pracą, która dotyczy stosunku psychoanalizy do literatury, jest przytoczona powyżej rozprawa prof. Szumana. Jest to nie tyle krytyka, czy ocena książki Bychowskiego „ile dyskusja z autorem na temat samego zagadnienia psychoanalizy". Autorowi chodzi nię o to, jakie stanowisko zajmował Bychowski wobec psychoanalizy, ale o to, jakie wartości przedstawia jej stosowanie w literaturze i w tym celu poddaje monografję Bychowskiego systematycznemu rozbiorowi. Analizując erotyczne kompleksy Słowackiego, przyznaje krytyk, „że opisując stosunek Słowackiego do matki, autor (t. j. Bychowski) ma za sobą wyraźne fakty z życia Słowackiego. Związanie syna z matką było w istocie bardzo intensywne, niezwykle, mimo oddalenia, czy też właśnie wskutek niego, bliskie, i można rzec śmiało, jakieś przesadne i sentymentalne", ale nadawanie temu stosunkowi charakteru seksualnego, nie znajduje żadnego oparcia w faktach, a biograf dla przeprowadzenia tego twierdzenia nadużywa interpretacji obrazów i wyrażeń poetyckich, które tłumaczy dosłownie, tudzież dwuznaczności terminu *libido*.

Drugiego kompleksu, t. j. kompleksu Edypowego, ani fakty z życia poety, ani też naogół jego twórczość nie potwierdza, gdyż konflikt syna wobec ojca (względnie jego

[1]) Z. Aleksandrowicz: *Recenzja z pracy S. Baleya* l. c. Nie możemy tutaj uzasadniać słuszności tego spostrzeżenia, pragniemy tylko podać interesujący przykład. Bychowski poświęca w swej monografji dużo miejsca postaci Pychy, w której upatruje zaślepiony ambicją egotyzm uczuciowy matki". Oda zaś i Dobrawna „to właściwie obie siostry jedna z nich (Oda) ma w sobie ...niewątpliwie dużo z elementów matki" Już po wydaniu książki Bychowskiego ukazała się rozprawa X. K. Kantaka p. t. *Xawera Deyblówna w poezji Słowackiego.* Ruch Literacki, Luty 1931, w której autor w sposób bardzo przekonywujący i z niemałem prawdopodobieństwem udowadnia, że tak Pycha jak i Oda stanowią transpozycję, agentki Towiańskiego X. Deyblówny, która swój zmysłowy urok rzucała i na Słowackiego, czego ślady możemy znaleźć nietylko w *Królu Duchu*, ale i w *Księdzu Marku*. Oto teorja i rzeczywistość.!

symboli), znajduje swoje wytłumaczenie jużto w literaturze jako pospolity motyw, jużto daje się wytłumaczyć zupełnie inaczej. „Antagonizm między synem a ojcem, między rodzicami a dziećmi, występuje jaskrawo w okresie młodzieńczym. Wtedy to dojrzewająca psychicznie młodzież staje się samodzielną, wytwarza własne młodzieńcze ideały, zapatruje się krytycznie na pokolenie starsze. Następuje oddalenie a nie rozłam".

Rozpatrując drugi ważny moment postawy psychicznej Słowackiego — jego stosunek do rzeczywistości, zwraca uwagę Szuman, że źródeł konfliktu poety z rzeczywistością nie potrzeba sprowadzać do erotycznego wczesnodziecięcego kompleksu (t. zw. narcyzmu). Konflikt ten wynikał z „potrójnej wrogiej rzeczywistości": 1) z niedocenienia jego twórczości, 2) z niezaspokojonego pragnienia miłości — („znalazł on u matki jedynie jedną z form miłości, której szuka mężczyzna"), 3) z rzeczywistości niewoli narodowej. Zgoda na to, że rekompensaty za wrogą rzeczywistość szukał poeta w marzeniach i w poezji, która „w pewnej mierze jest marzeniem spisywanem, jest realizacją w sferze sztuki tego, co się nie da zrealizować w życiu, tylko, że podkreślić należy — w pewnej mierze". Twórczość bowiem artystyczna jest również i dążeniem do ideału i ta też była przyczyna, że Słowacki, nietylko nie mógł, ale i nie chciał pogodzić się z rzeczywistością, że ją usiłował przezwyciężyć.

Podobnie i jego czystość jest przezwyciężeniem zmysłowej rzeczywistości, a nietylko skutkiem kompleksów wczesnodziecięcych. Również i „światopogląd mistyczny, jako wynik twórczości Słowackiego, był nietylko regresją w dziedzinie prelogicznego, magicznego, animistycznego myślenia, jak twierdzi autor, lecz stworzeniem wyższej choć idealnej, to jednak faktycznej, niesolipsystycznej, autystycznej, lecz udzielającej się, przekonywującej filozoficznie rzeczywistości". Pogląd Słowackiego na wszechożywienie natury nie jest wcale koncepcją prymitywną, ale reprezentowały go różne stare i nowe systemy, podobnie jak i wykluczenie ze świata przypadkowości. Uważać tę myśl za dowód regresji można tylko stojąc zgóry na stanowisku wyłącznie przyrodniczem.

Osobny rozdział poświęca Szuman metodzie interpretacji Bychowskiego. Naprzód atakuje posługiwanie się metodą zgóry już określonych przez psychoanalizę symbolów, gdzie różnym obrazom przypisuje się pewne znaczenie seksualne, względnie są ściśle związane ze sferą erotyczną. Wyjaśnianie różnych znanych z literatury konfliktów (np. między Lucyferem a Bogiem) jest „szukaniem racji dla rzeczy wyjaśnionych, a jeżeli chodzi o psychologję Słowackiego bardziej dowodzi, że psychoanalizę można stosować wszędzie, jeżeli się chce, niż że ją do wszystkiego stosować należy". Nie bierze natomiast Bychowski pod uwagę „innych możliwych w danym wypadku interpretacyj". Poezji nie można przecież uważać jedynie czynność leczniczą neurotyka, bo ma ona i inne źródła, jak świadomość własnych zdolności i dążność do przemiany potencjalności w aktualność, a nadewszystko jest ona „walką o urzeczywistnienie głębokich utajonych treści... przezwyciężeniem rzeczywistości światopoglądem poetycznym, uduchowionym, idealnym".

Zarzuty prof. Szumana nie kierują się, jak widzieliśmy, przeciw osobie Bychowskiego ani nawet przeciw psychoanalizie, tylko przeciw właściwej freudystom metodzie. Umiarkowaną metodę psychoanalityczną uważa autor za bardzo właściwą przy wyjaśnieniu niektórych skomplikowanych zjawisk psychicznych, jak powiązania poety z matką. „To wymaga interpretacji psychoanalitycznej i właśnie psychoanalityczna interpretacja wyjaśnia te zjawiska chyba najlepiej i najgłębiej, tylko — zdaniem mojem — należy unikać interpretacji dosłownie erotycznej i jej skrajności". Podkreślenie aktywności naszej psychiki, która u freudystów zdaje się być zdeterminowanym przez podświadomość mechanizmem i wystąpienie zdecydowane przeciw panseksualizmowi Mistrza, oto najważniejsze punkty świetnej krytyki Szumana. Jak dotąd ukazała się tylko jedna rozprawa w całości czyniąca tym postulatom zadość. [1])

---

[1]) Na tem miejscu należy się jeszcze wzmianka szkicowanej próbie zastosowania psychoanalizy do badań nad twórczością Krasińskiego, T. Piniego: *Krasiński. Życie i twórczość.* Wydawnictwo Polskie. Poznań str. 119—121. Autor przypuszcza, że w scenie sądu *Nieboskiej Komedji*

V.

Umyślnie pominęliśmy niezmiernie interesującą pracę Rafała Blütha: *Psychogeneza „Snu w Dreźnie"* (*Przegląd Współczesny* 1925 N. 37), aczkolwiek datą swego powstania znacznie wyprzedza studjum Bychowskiego. Uczyniliśmy to dlatego, że artykuł Blütha zarówno tematem jak i stosowaną metodą zupełnie odbiega od prac wymienionego poprzednio typu. Temat został zamknięty w wąskich granicach, niemniej chodziło o przedsięwzięcie całkiem śmiałe: wytłumaczenie snu Mickiewicza z dn. 23/III 1832 w Dreźnie, o którym się sam poeta wyraził, że „ciemny i dla mnie niezrozumiały". Autor opiera się wprawdzie na dziele Freuda: „Senne marzenia", ale nie trzyma się go niewolniczo, owszem usiłuje podjąć próbę — i to powiedzmy odrazu — bardzo szczęśliwą rozszerzenia psychoanalizy Freuda, w kierunku uchrześcijanienia jego koncepcyj.

Nawiązując do znanych założeń psychoanalizy o cenzurze zwraca Blüth uwagę na rolę, jaką ona odgrywa w życiu moralnem człowieka. Przypominamy tutaj, że cenzura podług definicji Dryjskiego jest to „zespół wyobrażeń uczuć i dążności, które wywierają wpływ hamujący na inne zespoły tego rodzaju... jest wykładnikiem gry mechanicznej różnych dążności przeciwnych świadomych i nieświadomych". Otóż wyobrażenia afektywne, które przedostają się do świadomości, napotykają na cenzurę, a więc zespół norm, i zależnie od jej sprawności zostają odrzucane. Jednakże niezawsze cenzura odgrywa rolę uszlachetniającą, gdyż nie-

---

hr. Henryk jest tu równocześnie Krasińskim i jego ojcem, Krasiński zaś równocześnie Orciem i hr. Henrykiem, przyczem „nie oznacza to tego znanego aż nadto dobrze faktu, że poeta zaobserwowane na sobie samym właściwości psychiczne rozdziela pomiędzy kilku bohaterów", ale raczej, „że był w tym cel jakiś, że Krasiński potępiając siebie, potępił równocześnie swego ojca, który także „nic nie kochał, nic nie czcił, prócz siebie", że przynajmniej w tej fikcji poetyckiej wypowiedział swemu ojcu słowa straszliwej prawdy, które w rozmowach z nim nie mogły mu przejść przez usta"... Jeżeli chodzi o zbadanie dróg, któremi chadza genjusz poetycki „freudowska teorja kompleksów życiowych mogłaby tu — zdaniem autora — wiele powiedzieć, a *Nie-Boska Komedja* nadaje się dla niej wybornie jak(o) nader interesujący przedmiot badań".

kiedy afekty nasze jakby podstępnie same dla siebie wytwarzają cenzurę hamującą własne nasze dobre dążności. „Wiedział o tem dobrze Stwórca duszy ludzkiej i dlatego w Boskiej Swej Opatrzności ustanowił Sakrament pokuty. Podstawą jej jest nietylko psychoanaliza czyli spowiedź z grzechów, ale właśnie na pokorze wsparte oddanie się Bogu, to znaczy psychologicznie rzecz biorąc poddanie kontroli własnego systemu normatywnego". Cenzura nietylko odrzuca wyobrażenia, ale je przetwarza, uwzniośla. „Przenosi punkt ciężkości afektu, nadając mu bądź to inny cel, bądź też inny kierunek. I na tem wspiera się w religijnym systemie wychowania duszy psychiczna wartość modlitwy „czyli celowych marzeń" o Bogu i Świętych, (cały zespół religijnego naśladownictwa)". Stąd też „kto wie czy nie najważniejszym czynnikiem systemu normatywnego głęboko moralnej jednostki jest system ideałów". Dzięki temu mechanizmowi powstaje „jakby klapa bezpieczeństwa dla naszej psychiki... Ma słuszność Freud, gdy stwierdza, że bez sennych marzeń, nie wytrzymalibyśmy naporu owych wypartych wyobrażeń na próg świadomości. Ale tę tezę należałoby może rozszerzyć, dodając: bez miłości, sztuki modlitwy, czy wogóle bez życia duchowego".

Ludzie przeciętni, którzy w twórczości nie mogą znaleźć drogi do rozbrojeń podświadomych wyobrażeń afektywnych, znajdują właśnie we śnie do tego sposobność. „Na tem właśnie polega „życie duszy" podczas snu". Zależnie od „mocy nakazodawczej naszych norm" wyobrażenia, przedostają się z większą lub mniejszą siłą. Warto przecież podnieść, że jednostki świątobliwe są nawet we snach czujne — „ich sny zawierają silniejsze tylko pokusy a nie spełniające się grzechy". Blüth występuje przeciw dawniejszemu twierdzeniu Freuda (później zmodyfikowanemu), że „wszystkie sny są symbolicznem spełnianiem pragnienia". „O tem, iż są sny „o rozkoszy i o kaźni" mówi Mickiewicz. Jakże sobie to wytłumaczyć? Tem chyba, że u natur umysłowo zdrowych, moralnych i duchowo wyrobionych, sumienie choć w zmienionej formie działa przy zawieszeniu świadomości; jednostronność Freuda na tem polegała, że podświadomość i świadomość ujmował jako dwie *à priori* sobie

wrogie instancje"... Śnimy nietylko poto, „aby zaspokoić ukradkiem nielegalne pożądanie... Śnimy może również, by wydobyć nawierzch wiele z tego, co stanowi pokusę grzechową, czyli śnimy właśnie poto, by dopomóc cenzurze, a nie oszukać ją i podejść. Psychjatrzy znają pewien typ snów tego rodzaju, snów diagnostycznych. I pod względem moralnym istnieją chyba takie sny diagnostyczne". Otóż właśnie za taki sen uważa autor sen Mickiewicza w Dreźnie.

Streściliśmy w ogólnych przynajmniej zarysach poglądy psychoanalityka-literata. Blüth bowiem, jedyny z wszystkich przytoczonych psychoanalityków, jest historykiem literatury, znakomitym badaczem Mickiewicza, — gdyż zdaje się nam, że potwierdzają one naszą przy rozbiorze pracy Bychowskiego wypowiedzianą tezę, że zagadnienie psychoanalitycznych metod w moralności nie było nigdy w praktyce katolicyzmowi obce, a teraz tylko uzyskało psychologiczne oświetlenie i naukową nomenklaturę.

Nie mając żadnych komentarzy do snu, bada Blüth szczegóły biograficzne dotyczące okresu, w którym poeta miał sen, oraz czasu, w którym sen zapisał (r. 1840). Korespondencja z pierwszego okresu wykazuje „motywy istotne, które mogłyby stanowić tematy dla sennych wyobrażeń. Do jednej *idée fixe* pragnienia powrotu do Włoch (czyli do Ewy) przyznaje się M. Wołkońskiej; w listach do Lelewela, Grocholskiej i brata — występuje druga idea silnie afektywna i to negatywnie — wspomnienie bezczynności podczas powstania... Myślą przewodnią *Snu w Dreźnie* jest rachunek sumienia z grzechów: narodowego i osobistych". Przypomnienie snu po latach wywołały dwie rzeczy: a) sen jako cudzy utwór literacki, który wpłynął na wywołanie wspomnień o analogicznej próbie naszego poety; b) sen o podobnym motywie życzeniowym na tęsknocie za ukochaną wsparty".

Nie możemy tutaj niestety przedstawiać subtelnej analizy Blütha, musimy się ograniczyć do uchwycenia głównych tylko zarysów. We śnie wyróżnia Blüth dwie fazy. Jedna pozostająca w związku z obrazem procesji dotyczy uchylenia się poety od powstania, niby to dlatego, że nie mógł wyjechać, gdyż pieniądze zabrał mu bez jego wiedzy

Garczyński. „Sumienie Mickiewiczowi wyrzuca, że mu się wtedy wcale nie chciały mieć pieniędzy", gdyż myślał o wyjeździe nie do Polski, ale do Włoch do ukochanej. Pierwszy obraz kończy się rozgrzeszeniem, którego udziela poecie ofiarna niewiasta — autor się w niej domyśla Emilji Plater, — ale „nie kończy się jeszcze „spowiedź". Pozostały inne grzechy".

Powraca wspomnienie przeżycia podróży szwajcarskiej z Ankwiczami, lecz nie jest to jakby się zdawać mogło „typowe spełnienie fikcyjnego marzenia, które spełnione na jawie nie było" gdyż „senna fantazja nie podsuwa poecie owego obrazu dla rozbrojenia pożądań — wręcz przeciwnie... Sumienie poprzez te obrazy mówi do Mickiewicza: Tak prawda, szczere przyznanie się do miłości dla Ewy możeby Cię wytłumaczyło z bierności listopadowej, ale... by miłość ta mogła być czynnikiem rehabilitacyjnym... musiałbyś być godnym takiej czystej miłości. Ewa była czystą, mogła być przez Ciebie uważana za zesłanego przez Boga Anioła Stróża, strzegącego Cię przed zatraceniem się w powstaniu — ale czy ty byłeś przedtem czystym i wiernym kochankiem, i czy wytrwałeś w wierności dla niej po rozstaniu?" Odpowiedź niestety musiała wypaść przecząco. I „sen Mickiewicza odwraca tezę Freuda"; poeta ujmuje Ewę za ręce jak siostrę. „Senna cenzura Mickiewicza jest sprawniejsza od jawnej. Krótko trwa walka. Na ostatnim bastjonie zwycięża czystość". Wyrzut Ewy jest dla poety potępieniem — „powołanie się na opatrznościowe zesłanie snu Ewy w momencie wymaganego od niego czynu — pada i traci moc rehabilitacyjną" — wieszcz budzi się spłakany, ze złożonemi rękoma. Echa tej spowiedzi dopatruje się autor, chyba zupełnie słusznie, w spowiedzi Robaka.

Tego rodzaju studjum nie jest z pewnością dla poznania Mickiewicza bez wartości. Ostateczny jego rezultat można zamknąć w tych słowach autora: „Podziwiając wielki hart duchowy w jego t. j. Mickiewicza utworach, dziwić się nie możemy, że i jego podświadomość posiadała te same cechy, że miał rozwinięty instynkt moralny".

Zestawienie metody psychoanalitycznej u Blütha a u By-

chowskiego wykazuje znamienne różnice. Bychowski przeprowadza w swojej monografji znaną już nam analizę *Snu Srebrnego Salomei*, w którym biograf dopatruje się „procesu uwolnienia się poety od własnych w znacznej mierze nieświadomych fantazyj, które być może znajdowały swój wyraz w marzeniach sennych". A więc „zemsta Leona, męczarnie, na jakie skazuje Salomeę, odpowiadałyby dziwnym, posępnym fantazjom poety w stosunku do matki, przedewszystkiem pragnienie oswobodzenia się od jej przemożnego wpływu, między innemi poto, ażeby uzyskać możność wewnętrzną zdobycia innego objektu miłości". Wydanie Salomei przez Leona za mąż za swego sługę, można uważać jako zemstę za odtrącenie. Jest to aluzja do drugiego zamążpójścia matki poety „dobrowolne jej małżeństwo zostało przetworzone na narzuconą jej udrękę. Nie ona opuściła Słowackiego — Leona to on właśnie ją porzucił".

Interpretacja ta zdaniem autora, „ma dosyć dużo pozorów prawdopodobieństwa", a to dlatego, że odpowiada dwóm zasadniczym kryterjom, któremi są: 1) zgodność ze znanemi skądinąd zasadami psychoanalizy, 2) zgodność z całością psychiki twórcy, którego dzieła analizujemy. Otóż obydwa postulaty, według słusznej uwagi prof. Szumana, nie wytrzymują krytyki. Pierwszy jest żądaniem zupełnie apriorycznem, brak natomiast sprzeczności jest tylko negatywnem kryterjum. „Typową słabą stroną argumentacji jest to, że nie wyodrębnia ona nigdy i nie bierze w rachubę kilku możliwych w danym wypadku interpretacyj, lecz że szuka poprostu odrazu znanego jakiegoś z psychoanalizy kompleksu". [1])

Nic podobnego u Blütha. Naprzód ogromnie rozszerzone zadanie snu, który się nie ogranicza do wypełnienia niespełnionych życzeń, ale wykonuje nawet pewną moralną funkcję; dalej ścisłe powiązanie obrazów sennych z naczelnemi przeżyciami śniącego oraz nawiązanie do wypadków ostatnich czasów poprzedzających sen, wreszcie wysoce naturalna i co za tem idzie prawdopodobna interpretacja — oto niewątpliwe zalety jasno dowodzące, że z należytą ostroż-

[1]) Szuman l. c.

nością można bardzo owocnie stosować do badań literackich metody psychoanalityczne. [1])

Ostrożność tę bardzo skrupulatnie zachował badacz skoro się z wzorową przedmiotowością zastrzega: „Naszej konstrukcji wyjaśniającej nie przypisujemy wartości prawdy objektywnej. Psychoanalityk nie fanatyk wie doskonale, że praca jego przypomina pracę odczytywaczy palimpsestów. Czy mu się uda z pod pokrywy napisu późniejszego dokładnie odczytać zatarte zgłoski pierwotne, zależy to w znacznej mierze od jego przenikliwości intuicyjnej, ale także i od tego, czy napisy nie wykluczały możliwości wtórnego odcyfrowania".

Jak z naszych wywodów w najtreściwszym skrócie wynika, zarysowuje się u nas już od kilku lat tendencja zastosowania wyników psychoanalizy do literatury. Prace owiane tym duchem są coraz bardziej skrystalizowane pod względem doskonałości formy i subtelności metod, manierują się jednak przeważnie — jak tego dowodzi choćby (cenna skądinąd) monografja Bychowskiego — w zaułkach freudyzmu. Jest to rzeczą ciekawą, że teorja Adlera jak dotąd jeszcze wcale na literackie badania nie wpłynęła, teorja zaś Abramowskiego oddziałała pobudzająco na jednego tylko badacza. Aczkolwiek stosowanie metody szkoły freudowskiej musi wywołać poważne sprzeciwy, to jednak sam pomysł zastosowania psychoanalizy do badań literackich jest nietylko słuszny, ale też pozostaje w związku z dzisiejszem przewartościowaniem metod humanistycznych.

Dyskusja wywołana dziełem Bychowskiego zakreśliła przynajmniej negatywnie granice nowej metody; na tych

---

[1]) Zarówno Blüth jak i Bychowski posługują się przy analizie snu ustalonemi przez Freuda mechanizmami, w które dają się ująć manewry sennej myśli, zmierzającej do ominięcia cenzury. Najważniejszą rolę odgrywają tutaj mechanizm „zgęszczenia" obrazu i „przesunięcia" głównego motywu. Dla braku miejsca nie poruszamy tych zagadnień bogato uwzględnianych w każdej psychoanalizie, chodzi nam tylko o zaznaczenie, że zasadnicza różnica między wspomnianymi autorami, polega nietyle na odmiennej metodzie analizy snu, ale na tem, w jaki ją sposób w konkretnych wypadkach stosują.

uczonych, którzy łączą zamiłowania psychologiczne z literackiemi, ciąży obecnie trud podjęcia się takiej pracy, któraby dla tych obu tak niewątpliwie spokrewnionych dziedzin wynalazła jakiś *modus vivendi*. Książka Bychowskiego może być uważana za rzucenie rękawicy. Można ją krytykować, można ją pomijać milczeniem, ale jedyną godną odpowiedzią, byłaby prawdziwa, pozbawiona patologicznych właściwości freudyzmu psychoanaliza Słowackiego.

Dr. Józef Marjan Święcicki.

Motywy Delille'a w Panu Tadeuszu.

I.

Pisząc o romantyźmie francuskim XVIII w., dochodzi Mornet do wniosku, że Rousseau nie stworzył nic nowego nad te motywy, które były drogie romantykom XVIII w., tylko zmienił ich oświetlenie [1]). Oczywiście, że właśnie całość obrazu ukazanego w innem świetle decyduje o wyrazie i oddziaływaniu dzieła sztuki; jeżeli jednak chodzi o same tematy czy motywy literackie i ich recepcję, dokonywaną przez ówczesnych czytelników, to stwierdzenie francuskiego uczonego pozwala jaśniej postawić sprawę przemiany gustu estetycznego, dokonywującego się w ciągu pokoleń i śledzić stare elementy na nowo zorganizowane pod władzą innego na świat poglądu.

W ten sposób ujęta ocena wpływu i podniet wychodzących od autora *Nowej Heloizy* zmienia także pogląd na zlekceważonych a nawet potępionych poetów opisujących naturę, [2]) owych autorów *Ogrodów* czy *Pór roku,* popularnych pod koniec XVIII i z początkiem XIX w. niezmiernie. Potępienie dokonane z naszego punktu patrzenia na przyrodę jest zrozumiałe, gdyż romantyzm tak rozległe otworzył przed nami horyzonty i w motywach i, co ważniejsze, w swej ideologji i w ekspresji, że nie odczuwamy zupełnie żadnych wzruszeń, gdy czytamy opisy ogrodów równie ciasne, jak one same, i równie ubogie w obrazowaniu. Ale zapominamy, że właśnie ten ciasny i mały wykrawek natury, jakim

---

[1]) D. Mornet: *Le romantisme en France au XVIII siècle,* Paris 1912, str. 270.

[2]) Por. G. Charlier: *Le sentiment de la nature chez les romantiques français,* Paris 1912, ch. II.

jest ogród, był w swoim czasie najbliższym i jedynym dla ludzi XVIII w., i że właśnie u tych pisarzy, względnie pod ich wpływem, zaczynał się zmieniać powoli w przedsionek wielkiej świątyni, wolnej, nieujarzmionej, potężnej przyrody. Przecież i u samego Rousseau'a ogródek pani Wolmar zaspokaja jej potrzeby uczuciowe, jak później „świątynia dumania" będzie tłem rozmyślań sentymentalnej Telimeny. Ciekawe to jednak, że położenie „Świątyni" w gaju możemy uznać za symboliczne. Człowiek XVIII w. pod wpływem t. zw. angielskiego ogrodu przechodzi już granicę między swoim, przez siebie urządzonym ogrodem i wchodzi w dziki, niehodowany las. Raz przełamawszy szranki „pięknej przyrody", zacznie swobodnie rozglądać się na wszystkie strony i uczyć się odczuwać cały krajobraz, cały park przyrody.

W Polsce powstawanie pewnych predylekcyj artystycznych, któreby można nazwać preromantycznemi, jest wyraźne już w w. XVIII i właśnie w związku z Delille'm i Thompsonem dokonywuje się interesująca i dla literatury nieobojętna przemiana w uczuciowości polskiej: „Sztuka ogrodnicza wysubtelniła zmysł artystyczny w znaczeniu wzmożonego, intensywniejszego odczuwania widoków natury. W krajobrazach przestano widzieć tylko jego charakter moralny i aczkolwiek z postępem objektywizacji obrazu w ogrodnictwie, charakter poetycki jego pozostawał przytomny w świadomości twórcy, to jednak wynikał on już nie z rozważań metafizycznych czy filozoficznych, często i u nas o zabarwieniu deistycznem, ale z wartości jego realnych".[1])

Popularność Delille'a w Polsce stała się zaraz po wydaniu *Les Jardins* (1780) tak wielka, że księżna Izabela Czartoryska pragnęła w ogrodzie puławskim wystawić popiersie rozgłośnego pisarza. Z dumą pisał on potem w *L'homme des champs*:

> Ale oto już moje życzenia spełniono:
> Bohaterów, Piękności, Mędrców świetne grono,
> Wykształceni Sarmatów potomkowie bitnych,
> Będący chlubą krain Lecha starożytnych,
> Chcą wznieść dla mnie na pięknych ogrodów swych łonie
> Pomnik przy Sę-Lambercie, Popie i Tompsonie.[2])

Kółku pań puławskich zawdzięczamy, że śpiewak Justyny wspólnie z księżniczką Zofją przełożył *Ogrody*, aby jak pisze,

[1]) L. Komarnicki: *Studjum o rozwoju poczucia piękna natury w polskiej literaturze romantycznej. Przegląd humanistyczny*, r. 1922, str. 242.

[2]) A. Feliński: *Pisma*, Warszawa 1816, str. 258.

uczennica wprawiała się w języku polskim.[1]) Ale co w utworze znalazł poetycznego, sam „oddał potem wierszem polskim".

Później, gdy sława Delille'a nadmiernie wzrosła, mamy z początkiem XIX w. wielką liczbę przekładów, zwłaszcza *L'homme de champs* [2]) i *Imagination;* [3]) *Ziemianin*, znalazł licznych tłumaczy (F. X. Dmochowski, Fr. Chomiński, C. Godebski, A. Feliński), a poemat o imaginacji wywarł poważny wpływ na naszą poetykę sentymentalną, wpływ zresztą jeszcze nieopracowany.[4]) Tylokrotne przekłady i to przez tak cenionych pisarzy, jak Karpiński czy Feliński, umocniły rozgłos i autorytet pisarza, który właśnie wtedy umiera w glorji wielkiego poety (1813).

Nie mogli nie ulec wpływowi otaczającej ich opinji młodzi studenci wileńscy, zwłaszcza wtedy, gdy jeszcze nie zanosiło się na brytano-manję. Nie dziwimy się, że żartobliwy Pietraszkiewicz, ubolewając nad tem, iż Czeczot zaniedbuje swą Muzę, jednem tchnieniem wymienia studjowanych przezeń, zarówno autora, jak i przekładcę *Eneidy*:

Napróżno przekładałem
Poprzestań Waść gałdy,
Chwyć się lutni z zapałem,
Przysiedź trochę fałdy
I oddaj mi Wirgilich, Delillich [5])

Widocznie Filomaci nie lenili się w studjach literackich mających być propedeutyką dla własnej twórczości. Nie lenił się też i Mickiewicz; Delille'a studjował, rzecz można, z ołówkiem w ręce. Już z Kowna odpisuje Czeczotowi na jego zapytanie w sprawie reguł tłumaczenia. „Co do reguł tłómaczenia i nauczek, ani ich wiele dać mogę, ani ich ode mnie potrzebujesz. Jednemu się tylko przeciwię mniemaniu: Chcesz, żeby tłómacz zbliżał się, jak mogąc w wyrazach nawet do wzoru; jest to fałszem... Dobrze mówi Delil: „Tłómacz pożycza piękności; powinien je oddać w tejże ilości, choć różną zupełnie monetą". Nie przytaczam tego na obronę mego tłómaczenia (chodzi tu o prze-

---

[1]) *Pamiętniki Franciszka Karpińskiego*, Lwów 1849, str. 190.
[2]) Wyd. w. r. 1802.
[3]) Wyd. w r. 1806.
[4]) J. Kleiner: *Studja z literatury i filozofji*, Warszawa 1925, str. 262.
[5]) *Korespondencja Filomatów* I, 149.

kład Horacego Ody II, 2), gdyż znam całą jego niedołężność, ale, że myśl Delila zdaje się być prawdziwą".[1])

Ten cytat z przedmowy Delille'a do przekładu *Georgik* Wergilego dowodzi, że Mickiewicz w okresie swych studjów i prac uniwersyteckich szukał w Delille'u praktycznych rad, jakie młodemu poecie przydać się mogą. Studjował zresztą *Ziemianina* Delille'a w przekładzie A. Felińskiego,[2]) co odbiło się na języku poematu o *Kartofli*; nie wystarczy jednak wzmianka J. Kallenbacha o podobieństwie obrazowania, jakie tu zauważyć się daje. Gdy bowiem zastanowimy się nad zasadniczym motywem „poemka w czterech pieśniach", to zauważymy dziwną zbieżność z mocno uczonym poematem Delille'a: *Les trois règnes de la nature* (1809). Mówiąc o królestwie roślin nie wahał się ten gorliwy czytelnik Buffona opisywać pożytecznych roślin, jak ryżu, pszenicy, krzewu kawowego i herbacianego. Zakończył ten ustęp epizodem o Kolumbie, który mimo buntu marynarzy trwa w swym zamiarze i wreszcie po długiej wędrówce dostrzega nowy ląd.[3]) Jeśli dodamy, że przecież właśnie sławny Turgot, jako generalny kontroler dóbr królewskich, zwrócił uwagę na uprawę ryżu i ziemniaków, jeżeli przypomnimy, że *Ziemianin* Delille'a pozostaje w ścisłym związku z dążeniami ówczesnych fizjokratów, popularnemi także i w Polsce, (co spowodowało także liczne polskie przekłady tego utworu) to dorzuci nam trochę światła do genezy *Kartofli*. Jasnem się staje, że pierwszy wiersz „poemka" („Gdy poeta rośliny sławi i zaleca") odnosi się do Delille'a i jego przyrodniczego poematu o trzech królestwach natury; podobnie cały pomysł epopei o pożytecznej roślinie z rodziny psinkowatych, w którym zasadniczy temat stanowi podróż Kolumba, mająca w rezultacie obdarzyć starą Europę kartoflami, zwiążemy z zapomnianym poematem Delille'a i jeszcze z jedną, tak znamienną ideą wieku Oświecenia, jaką był utylitaryzm.

Niezaprzeczalne zajęcie się Mickiewicza twórczością uczonego poety miało później jeszcze inny powód; zaciekawienie, które miał jako poeta, łączyło się u młodego nauczyciela studjującego teorję literatury (Bouterweka, Echenburga) z interesem

---

[1]) *Kor. Fil.* I, 214, 215.

[2]) J. Kallenbach: *A. Mickiewicz.* Lwów 1926, str. 52.

[3]) Delille: *Le trois règues*, ch. VI.

badawczym, i to przedewszystkiem dla *Imaginacji*. Poza tem sumienny wydawca *Sofjówki* Trembeckiego musiał się żywiej zająć *Ogrodami*, przypuszczalnie w przekładzie tak przezeń cenionego Karpińskiego. Delille był bowiem zwolennikiem nowych pomysłów w dziedzinie urządzania ogrodów; dbając o złoty środek, pisał wprawdzie:

> I jam się wahał Gryn-park zwiedzając wspaniały,
> Czy ich Kent, czy nasz Le-Notr większej godzień chwały,
> Lecz zręcznych naśladowań uznając pożytek,
> Pochwalałem tę wolność, ganiłem jej zbytek, [1])

ale właściwie wszędzie oświadcza się za ideami angielskiego architekty i malarza, który stał się patronem nowego sposobu urządzania ogrodów, [2]) dążącego do zatarcia sztuczności przyrody ogrodowej. Tak intelektualistyczny pisarz, jakim był Delille, miał jednak szczery sentyment dla wsi, gdyż był wieśniakiem z pochodzenia:

> Ach! pola chcąc malować, pola kochać trzeba!
> Lecz nieraz, nienatchnięta świętym ogniem Feba,
> Muza mało wieśniacza miejskiego poety
> Wsi nie znając, nie lubiąc, śpiewa ją, niestety! [3])

Zwłaszcza wspomnienia rodzinnej wsi żywe obudzały uczucia w duszy poety:

> . . . W tem się to starożytnem otwarły mieszkaniu
> Oczy moje dnia światłu, a serce kochaniu,
> Wówczas pamiątek słodkich tłum obudzasz we mnie,
> Gdym sam odwiedzał miejsca, w których wziąłem życie. [4])

Te odwiedziny domu i okolic rodzinnych *Limanji* nie były jakimś zwrotem sztucznym. W poemacie *Imaginacja*, znanym dobrze Wilnianom, [5]) księga czwarta ma tytuł *Impressions des lieux*. Zaraz na pierwszem jej miejscu, poeta wspomina znów tę chwilę, gdy po dwudziestu latach nieobecności wraca do folwarku, gdzie się urodził i odwiedza z pietyzmem każdy kąt:

---

[1]) *Ziemianin*, przekład A. Felińskiego (Pisma 1816, I, 282).

[2]) K. Rimpler: *J. Delille als beschreibend-didaktischer Dichter*, 1913.

[3]) *Ziemianin*, op. c. str. 339.

[4]) op. c. str. 353.

[5]) Zan w liście do Maryli (2, X, 1822), *Kor. Fil.* IV, 277; E. Słowacki przełożył początek pieśni V.

Ici, sans cesse allant, revenant sur ma trace,
Je murmurais les vers de Virgile et d'Horace.
Là, nos voix pour prier venaient se reunir;
Plus loin... Ah'mon coeur bat à ce seul souvenir!
Je remportai la palme, et la douce victorie
Pour la première fois me fit goûter la gloire. [1])

Dziś wiemy, że *Dziadów, cz. IV* ma jeszcze dużo pamiątek sentymentalizmu, [2]) więc nie dziwi nas podobieństwo wspomnienia francuskiego poety i interpolacji literackiej, jaką znajdujemy w opowiadaniu Gustawa po opisie odwiedzin domu nieboszczki matki; tam to wspomina, że do gaju chodził, „by odwiedzić Homera, rozmówić się z Tassem".

W każdym razie widać, że były pewne punkty w poezji sentymentalnego epika, które budziły bezpośredni żywy oddźwięk w duszy poety, który po latach tułaczki wyznał szczerze to, co tkwiło mocno w jego sercu prawie zawsze: „im dalej od granic powiatów nowogrodzkiego i lidzkiego, tem gorzej". [3])

II

Tymczasem życie poety tak się potoczyło, że od krajobrazu ojczystej ziemi, uwiecznionego w *Balladach* czy *Dziadach*, został przemocą oderwany; ale zdobywając świetnie dla literatury naszej i naszego odczuwania egzotyczny krajobraz krymski, pamięta o „szumiących lasach Litwy", wspomina rzewnie te chwile, kiedy „deptał jej trzęsawice", *(Pielgrzym)*. Potężny swą pieśnią Wajdelota-Mickiewicz widzi się na tle „lasów i ojczystych gór". Chociaż już wtedy „tuli się w domową zaciszę", to jednak zbyt silnie rozrasta się w nim pragnienie czynu, by mógł zdobyć się na epicki spokój malarza tej ukochanej krainy. Zdobywca coraz nowych dziedzin życia duchowego bliższy jest patosowi wielkich dążeń i czynów niż pogodzie i humorowi spokojnego spostrzegacza. Wódz narodu, twórca *Dziadów* drezdeńskich i *Ksiąg pielgrzymstwa* musiał przeżyć w Paryżu rozczarowanie w stosunku do tych, któremi chciał przewodzić, rozczarowanie widocznie w drobnych wierszach satyrycznych, by potem, z czystem sumieniem mógł wrócić do spokoju, harmonji i humoru epika. Ten humor

---

[1]) J. Delille: *L'imagination*. Paris 1806, str. 209.
[2]) H. Schipper: *Sentymentalizm w twórczości Mickiewicza*. Lwów 1926.
[3]) Korespondencja A. M. Paryż 1870 t. I, 149.

pojawia się już właśnie w wyżej wspomnianych wierszykach o demagogach emigracyjnych. Było to swoiste przezwyciężenie dynamicznego pędu romantycznego twórcy działacza, pozwalające na pełne wypowiedzenie się artysty, który inne, piękniejsze od otaczających pod każdym względem, obrazy życia Polaków zachował w sanctuarium swej wielkiej duszy. Świat paryski pod każdym względem był mu obcy; świat Nowogródczyzny był dlań nasz, „własny" tak, „jak świat jest Boży". Dopiero w tej domowej zaciszy mógł żyć i opisywać w pełni artystycznej harmonji.

I w listach i w „Epilogu" podkreśla Mickiewicz ważność krajobrazu, tego krajobrazu, który nam we fragmentach pokazał dawniej. Już poprzednio zaznaczyliśmy i w miarę możności uzasadniliśmy nasz pogląd, że spojrzenie Mickiewicza na krajobraz i przyrodę wogóle podkształcił w młodości Delille. On ośmielił go do traktowania prozaicznych tematów przyrodniczo-gospodarczych, on dał — choć nie jedyny — sankcję artystyczną obrazom folwarku. Bo trzeba zaznaczyć, że „czułe" odnoszenie się autora *Ogrodów* do życia folwarku wiejskiego i odkrycie jego poezji leżało poza ramami programowych opisów; do czwartej pieśni *Ogrodów* dostało się ono trochę chyłkiem, właśnie jako ustępstwo dla serdecznych wspomnień dość oschłego zresztą Francuza.

Wypadnie nam nieco cofnąć się wstecz i przypomnieć, że wartość *Ogrodów* musiał podnieść w oczach Mickiewicza fakt, iż zaraz po ukazaniu się oryginału, polskiej mowie przyswoił go „czuły" śpiewak Justyny; wiadomo bowiem powszechnie, jak mocno podkreślił Mickiewicz wpływ Karpińskiego na powstanie ballad [1]) i jak później historję szlachecką chciał widzieć w repertuarze najpopularniejszej lektury polskiej obok *Justyny i Wiesława*. Zresztą został Karpińskiemu wierny i po latach tyle mu serdecznej uwagi miał poświęcić w *Prelekcjach*. Tam dowiódł, że anegdotyczna strona życia Karpińskiego była mu dobrze znana. Omówiwszy bowiem powody popularności piewcy *Laury i Filona* dodaje: „wymuszono prawie na nim, że się wziął tłumaczyć niektórych pisarzy francuskich, Delille'a, naprzykład" [2]). Dziś znamy ten szczegół, bez wzmianki o „wymuszeniu" z *Pamiętników*, ale

[1]) Wł. Mickiewicz: *Żywot A. M.*, t. I, 247.

[2]) *Wykłady o literaturze słowiańskiej*, Poznań 1865, t. II, 206.

te wyszły w Poznaniu dopiero w r. 1844. Widocznie Mickiewicz znał go z tradycji ustnej, gdyż mniej prawdopodobnem zdaje się studjum rękopisu wspomnień Karpińskiego.

Sam przekład jest o tyle ciekawy, że ustępy bardziej poetyczne przekładane są — jak wyżej wspomniano — wierszem i mieszczą się wśród prozy. Mickiewiczowi owe epizody wierszowane z natury rzeczy wydały się ciekawsze i bardziej wartościowe; pewne obrazy, natrafiające na bogatszą masę asocjacyjną, tak głęboko utkwiły w wyobraźni Mickiewicza, że odezwały się jeszcze w Paryżu, przy pracy nad *Panem Tadeuszem*.

Jak już wspomniano, Delille posiadał naturalne odczucie artystycznej wartości obrazów folwarku. Własnemi patrzy nań oczyma i dlatego w ks. IV *Ogrodów* doradza wyrzucenie zeń wszelkich nalotów mody, mieszaniny architektonicznej itp. Cieszy go życie folwarku i dlatego czule go apostrofuje:

Folwarku! Na to imie i żniwa i sady
I pasterskie starania i bydląt gromady
Te dobra wieków złotych, w pamięci mi żywyi (!)
Stanęły, gdym w dzieciństwie lat moich szczęśliwy,
To nad wszystko przekładał! Dziś na zamian cały
Same mi tylko po nich żale pozostały.
Folwarku! stań mi teraz; zda mi się, że twego
Słyszę już wdzięczne głosy ptactwa domowego;
Szum wozów, które żniwo do gumna prowadzi,
I łoskot tylu biczów wesołej czeladzi. [1])

Malując te obrazki kochane, bolał później poeta, że musi przebywać w mieście:

Niestety! czemuż niebios niezbłaganych wola,
Mnie, który uczę zdobić i użyźniać pola,
Nie dozwoli na własnym odpocząć zagonie!
O wsi! kiedyż cię ujrzę? Kiedyż na twem łonie
Będę mógł, to się pismy starożytnych bawiąc,
To swobodnie godziny nienagląee trawiąc,
To słodko snem bezpiecznym zasypiając w cieniu,
W upragnionym od zgiełku i trosk oddaleniu.
Żyć zapomniawszy ludzi, od nich zapomniany! [2])

Ucieczka Delille'a do „gospodarstwa" była napewno mniej tragiczna, niż ta, o której marzył Mickiewicz w Paryżu, zatrza-

[1]) *Ogrody* — poema — przez l'albè Delille'a, 1783, str. 111.
[2]) *Ziemianin*, op. c. str. 356.

snąwszy drzwi od Europy hałasów. Ale widocznie już na Litwie nauczył się Mickiewicz widzieć piękno swej codziennej, nowogrodzkiej — używając *pars pro toto* — rzeczywistości.

Bo oto dydaktyczny Francuz w życiu folwarku szczególnie lubi ptaki. Interesują go „familje, rzeczpospolite, królestwo ptasie"; uważa, że nietylko ich „igrzyska, walki, nienawiści, ale i ich obiady miło jest oglądać" i na dowód maluje nam taki wdzięczny obrazek z folwarku:

Opatrzna gospodyni ledwie wyjdzie z chaty
Opałkę mając w ręku; wnet naród szkrzydlaty,
Z wierzchołka swych kurników, z dachów, każdej strony,
Zlatuje się w nierządnym tłumie zgromadzony,
Wkoło niej się naciśnie tłok chciwy obłowu,
Te zawsze odganiane powracają znowu;
Z rąk samych, gdy opałkę z zbożem obsiadają
Zuchwałe stołowniki ziarna wydzierają. [1])

Niewątpliwie opis Zosi karmiącej ptactwo (w piątej księdze Pana Tadeusza) pozostanie arcydziełem niezrównanem; już sama Zosia, symbol uroczej młodości, to nie prozaiczna gospodyni — wydaje się jednak, że sentymentalny autor *Ogrodów*, w których tylko nad program znalazł się ten wdzięczny obrazek podwórza folwarcznego, otworzył oczy młodemu Mickiewiczowi na piękno codzienności wiejskiej. Potwierdza to mały drobiazg; i Delille i Mickiewicz dołączają na koniec prozaiczną pochwałę krup jęczmiennych.

Jeżeli obrazki życia ptaków należą do najpiękniejszych w ks. III i V, a częściowo także w ks. VI *Pana Tadeusza*, gdy patrzymy na Maćka karmiącego wróble, to sympatje Mickiewicza idą tu za entuzjastą skrzydlatego narodu, jakim był Delille.

Wiadomo, że autor *Trois règnes* miał żyłkę przyrodniczą, która nieraz bardzo szkodliwie oddziaływała na zawartość jego dzieł; przytem jednak odrobina realizmu wieśniaka ratowała go czasem przed oschłym dydaktyzmem. Widzieliśmy to wtedy, gdy szło o przedstawienie folwarku, a podobne, więcej bezpośredne uczucie możemy zaobserwować w stosunku do drzew i lasów. Zwolennik złotego środka w doborze drzew, mających tworzyć krajobraz, nie gardzi drzewami egzotycznemi, ale równocześnie przestrzega:

---

[1]) *Ogrody*, op. c. str. 113 i 114.

Lecz nie idź w ślad za trzpioty płocho gardzącemi
Wszystkiem, co się zrodziło na ojczystej ziemi;
Najokazalsze drzewo małej u nich ceny,
Jeśli nie wyszło z Limy albo z Kartagieny. [1])

Nadewszystko jednak zajmują go nie drzewa celowo sadzone, ale lasy (znowu — poza programem „Ogrodów"!) W grupach drzew dostrzega on stosunki rodzinne:

Ale kiedy dąb wieczny, albo iawór w lesie,
Ten puszczy patryarcha głowę swoją wzniesie,
Niech go wokoło otoczy ród jego zdaleka,
Usunie się przez względy i rozkazów czeka. [2])

Widzi on, podobnie jak później Mickiewicz, ruch wśród drzew gaju. „Dalej rozproszywszy po gruncie liście swe lekkie, drzewa rozrzucone po pięknej polance, jedne pochylające się ku drugim, a wzajemnie dotknąć nieśmieiące się, zdawać się będą razem i szukać i uciekać od siebie. [3]) Mickiewicz dał nam niezwykle śmiały w swej fantastyczności obraz, gdzie to „głóg w objęciu kalin, ożyna czarne usta tuląca do malin", aż wreszcie wszystkie drzewa i krzewy otoczą parę małżonków kręgiem tanecznym.

Zdziwić nas może stwierdzenie, że nieśmiało, ale jednak dość wyraźnie zaznacza Delille, iż odczuwa piękno, a nawet grozę puszczy. „Ja chcę las widzieć, chcę przejść w głąb jego i patrzeć na drzewa różne, rosnące razem; jedne czerstwe i młodości pełne, inne zgrzybiałe i ze starości sękowate; te przy ziemi czołgające się, insze pyszne tyrany lasu z soku żywiącego ogołacające poddaństwo drzewek przyległych; Widok ten obszerny, gdzie myśl moja, obyczajów, życia i wieków obrazy z rozkoszą rozeznawa". [4])

Wspomnienia osobiste wiele zaważyły na tem, że stosunek uczuciowy poety do puszczy był tak żywy; pięknie wyraża swą wdzięczność za natchnienia, jakim go darzyły. Wita je w ks. II *Ogrodów* z entuzjazmem:

Lasy wspaniałe witam. Wasze dziś sklepienia
Nie słyszą Bardów dawnych dzikiego nucenia;

[1]) Ziemianin, op. c. str. 281.
[2]) *Ogrody*, str. 38.
[3]) *Ogrody*, str. 40.
[4]) *Ogrody*, str. 42.

Słodkie zmamienie tylko ciągnie pustyniami,
I lochy wasze ieszcze uczą nas wierszami.
Wy mnie wierszem natchnęły, cieniom waszym dzięki;
Przyimiycie dziś powinną szanującey ręki
Ofiarę iakąś dla was! chcieycie mię sposobić,
Jak bez zniewagi waszej mam was przyozdobić.[1])

„Słodkie znamienie", t. j. ułuda nie pozwoliła Delille'owi na realistyczny wyraz przeżyć własnych. Nie słysząc jednak przedhistorycznych bardów, poeta śmiało sięga do wspomnień historycznych. Bolejąc nad ruiną wersalskich gajów ożywia je postacią wielkiego króla założyciela. „Już siekiera do korzenia iest przyłożona i wasza godzina przyszła!... Już upadły te lasy, których postać poważna zasłaniała wielkiego Ludwika czoło zwycięskie. Te lasy, gdzie naysłodsze zwycięstwo obchodząc nayokazaley, przemysł rozkoszny pomnażał ieszcze uroczystości.

Mickiewicz, apostrofując puszcze litewskie, nawiązywał do przeżyć Gustawa z *Dziadów*, który niejedno zawdzięczał im natchnienie, ale knieje uświęcił przedewszystkiem wspomnieniem Jagiellonów, a zwłaszcza ostatniego z nich, i serdecznie bolał nad zniszczeniem tych „pomników naszych". I tu Delille poprzedził go, a może i zachęcił do tej serdecznej obrony, swą pełną oburzenia apostrofą do niszczycieli lasów:

Świętokradzcy! Szanuycie te pniaki czcigodne,
I kiedy im grubość i wzrosty dorodne
Wiek rozdał ich rówiennik, dał ieszcze i wdzięki;
Na poważną ich starość nie podnoście ręki.
Przyidzie czas, że tym drzewom laty nadpsowanym,
Ustąpić trzeba będzie drzewkom młodocianym,
Gdy padną pod żelazem i ich pyszna głowa
W marnym popiele dawną chwałą swoią schowa.[3])

Kilka motywów spokrewnia Mickiewicza z Delillem t. j. przenoszenie na drzewa stosunków międzyludzkich, zarówno rodzinnych jak hierarchicznych, podziwianie wnętrza puszczy i związane z tem tło historyczne, a wreszcie osobisty stosunek do lasów, które darzą poetów natchnieniem. Za tem, że Mickiewicz lekturą *Ogrodów* zajmował się gruntownie, przemawiają nietylko szczegóły anegdotyczne, przytoczone na początku i zesta-

[1]) *Ogrody* str. 39 i 40.
[2]) *Ogrody*, str. 45.
[3]) *Ogrody*, str. 44 i 45.

wienia tekstualne, które z ekspresją językową polską Karpińskiego, a także Felińskiego wykazują uderzające podobieństwa (np. ogromnie rzadko zdarzający się „równiennik"), ale także zupełnie nieoczekiwane analogje psychiczne. Delille, kończąc swego *L'homme de champs,* powtarza za Emilem J. Rousseau'a surowy osąd Paryża:

O miasto, wołał, pełne wrzawy, dymu błota,
G d z i e k o b i e t o m w s t y d o b c y, a m ę ż c z y z n o m c n o t a
Szczęśliwy! kto w ustroniu mogąc żyć swobodnie
Nie patrzy na twój przepych i na twoje zbrodnie. [1])

Mickiewicz, jak wiadomo, nie lubił Paryża, przedewszystkiem jako wielkiego miasta, a natomiast tęsknił do Litwy, gdzie to był dlań kraj serdeczny ludzi pielęgnujących wszelkie tkliwe i czułe stosunki.

Tam, gdzie do pana przywiązańszy sługa,
Niż w innych krajach małżonka do męża,
Gdzie żołnierz dłużej żałuje oręża,
Niż tu syn ojca; po psie płaczą szczerze
I dłużej, niż tu lud po bohaterze.

Pan Tadeusz (Epilog)

Te „inne kraje" i owo „tu" to przecież Paryż i jego mieszkańcy, a płacz szczery i długi po stracie psa z pewnego punktu widzenia, sam w sobie, może się nam wydać sentymentalizmem.

Wiadomo, że uczuciowość Mickiewicza w stosunku do kraju lat dziecinnych była specyficznie zabarwiona; jeżeli zaś w czasach pobytu w Wilnie, właśnie ten moment stosunku do stron rodzinnych, objawiający się w pismach Delille'a, był dla Mickiewicza powodem zbliżenia uczuciowego do tego poety, jeżeli autor *Ogrodów* właśnie w tej dziedzinie przekraczał ramy swych dydaktycznych poematów, to znajdował w Mickiewiczu wrażliwego i uczuciowym resonansem darzącego słuchacza. Charakterystyczną bowiem jest ta zbieżność w dziedzinie dwóch motywów „pozaogrodowych", folwarku i lasu. Przytłoczony intellektualizmem poeta francuski tu właśnie mówił szczerzej i cieplej; gdzieindziej mówił o sztuce poprawiającej naturę, tu mówił o prostej, swobodnej przyrodzie wiejskiej doskonale znanej, codziennej dla mieszkańca wsi litewskiej. Wydaje się nam słuszne

[1]) Z i e m i a n i n, op. cit. str. 356.

przypuszczenie, że te przeżycia młodociane, jakie Mickiewicz serdecznie zapamiętał, znalazły bardzo wczas, bo w okresie studjów uniwersyteckich sankcję literacką Delille'a i ulubionego Karpińskiego. Wielki malarz konkretnej rzeczywistości, nie lubiący krajów, których niema na mapie i królów, których niema w historji, czytał bliskie mu materjałem i nastrojem ustępy *Ogrodów* w przekładzie Karpińskiego, a także *Ziemianina* w przekładzie Felińskiego, jako ożywione własne przeżycia o silnym tonie emocjonalnym. Odezwały się one najpierw słabo (gdyż poeta był blisko przedmiotu swego ukochania) w słowach Gustawa; tkwiły jednak mocno jako zwarty zespół uczuciowy w świadomości Mickiewicza i później, gdy przez tęsknotę oddalenia patrzył na krajobraz litewski, odezwały się one tak silnie, tylko uświetnione prawdziwie klasycznym genjuszem artysty w pewnych opisach „historji szlacheckiej". Stawały się i osobiście i kulturalnie łącznikiem między dawnemi i młodszemi laty.

Franciszek Bielak.

Przegląd piśmiennictwa.

St. Kętrzyński: Na marginesie genealogji Piastów (*Przegląd Historyczny* t. IX zesz. 2 str. 159—209).

Tytuł pracy odnosi się tylko do drugiej jej części, zawierającej przyczynki do drugiego wydania pomnikowego dzieła prof. O. Balzera i mogącej zająć tylko specjalistów z zakresu genealogji rodu Piastów. Ale w pierwszej części znajduje się rozdział p. t. „Narodziny Bolesława Krzywoustego — stosunek tego faktu do sprawy Bolesława Śmiałego i Św. Stanisława — Anonim Gall i jego kronika" i ten to rozdział może zainteresować czytelników *Przeglądu Powszechnego*. Nadto autor pociągnął piszącego sam za pióro, przesyłając mu odbitkę rzeczonej rozprawki z dedykacją: „Zasłużonemu badaczowi sprawy św. Stanisława".

Dziękując za to uznanie, muszę odrazu wyrazić zdziwienie, że autor poruszając kwestje, które piszący krytycznie, aczkolwiek w odmiennem oświetleniu przedstawił, przeszedł nad tem odmiennem oświetleniem całkiem do porządku dziennego. Metoda naukowa przecież wymaga te same kwestje, poruszone przez poprzednich badaczy, albo aprobująco uwzględnić, albo jeżeli je poczytuje za błędne, błąd wykazać i krytycznie błąd ten udowodnić. Przemilczenie odmiennych poglądów naukowych może być wygodne, ale nie prowadzi do naukowej prawdy, do stwierdzenia istoty rzeczy. I to właśnie jest zasadniczy błąd pracy prof. Stan. Kętrzyńskiego, która mimo, że nic nowego nie przynosi w olbrzymiej literaturze w kwestji Bolesława Śmiałego i św. Stanisława biskupa, mimo to zasługuje na uwagę, dlatego, że wytworzonej przez T. Wojciechowskiego „kombinacji" o rzekomym buncie juniora Władysława Hermana przeciw bratu Bolesławowi Śmiałemu kłam zadał, a tem samem oczyścił św. Stanisława biskupa z zarzutu zdrady, na rzecz juniora popełnionej. Autor nasz posługuje się przytem argumentami już przez prof. Smolkę nadmienionemi twierdząc, że między braćmi Bolesławem Śmiałym a Władysławem Hermanem nie było sporu o tron, że Władysław dzielił poglądy brata i pamięć jego uczcił, dając synowi swemu młodszemu imię bohaterskiego stryja. Zdaniem mojem Władysław Herman,

wedle samego Galla, był tak niedołężnym, iż nie stać go było na bunt przeciw Bolesławowi Śmiałemu.

Stwierdzając fakt ten, dlatego z uznaniem podnoszę zbijanie hipotezy prof. T. Wojciechowskiego ze strony St. Kętrzyńskiego, że hipoteza ta, mimo ankiety w sprawie św. Stanisława najwybitniejszych naszych badaczy średniowiecza, mimo ponownego wydania tej ankiety przed laty, wciąż jeszcze pokutuje w naszej literaturze naukowej, pokutuje co gorsza, nawet w literaturze podręcznikowej, aby pouczać młodzież o zdradzieckim biskupie, pokaranym sprawiedliwie sądowym wyrokiem, którego mimo to Kościół policzył w poczet świętych. Jaka to wygodna sposobność pod płaszczykiem naukowości, opromienionej rzekomo autorytetem najwyższej instytucji naukowej w Polsce, do podkopywania zasad religijnych w Polsce!

Prof. St. Kętrzyński, idąc śladem swego znakomitego ojca Wojciecha, pierwszorzędnego badacza, do tej tendencyjnej, w każdym razie co najmniej lekkomyślnej i nienaukowej roboty, ręki nie przyłożył i stanął bez wahania w szeregu pohańbionego przez T. Wojciechowskiego plemienia Kadłubka. Poważny badacz, jakim jest p. St. Kętrzyński, nie mógł stanąć w przeciwnym obozie oskarżycieli św. Stanisława o zdradę z Czechami; uporał się raz na zawsze z „kombinacją" T. Wojciechowskiego o zdradzie biskupa na rzecz juniora. Cóż, kiedy przerażony wielką klątwą T. Wojciechowskiego na obrońców, w imię prawdy dziejowej św. Stanisława i wersji Kadłubka, — „nie ma zamiaru zajmować się całą sprawą św. Stanisława, uważa ją z każdego punktu widzenia, jak mówi T. Wojciechowski, za straconą". „Posiadamy do tego zagadnienienia, zdaniem St. Kętrzyńskiego, tylko jedno jedyne źródło prawne współczesne, t. j. kronikę Anonima Galla. Rozmaicie jest oceniana wiarogodność tego źródła, dla mnie jest Anonim Gall pisarzem godnym zaufania. Odbija on w swej kronice ówczesną opinję publiczną w Polsce (str. 174). Opinję publiczną stanowili zdaniem autora dwór z księciem na czele, episkopat, nieliczne duchowieństwo świeckie i zakonne. Za takie odzwierciedlenie opinji publicznej musi p. Kętrzyński uważać to, co pisze w swej kronice o sprawach polskich Anonim Gall.

Podziwiam wprost łatwowierność autora. Nie ma zamiaru zajmować się straconą sprawą św. Stanisława. Tego nie bierzemy mu za złe. Ale on zajmuje się wiarogodnością Galla. — Twierdzi sam, że rozmaicie jest oceniana wiarogodność jego źródła. Przechodzi jednak nad tą odmienną oceną do porządku dziennego i każe nam wierzyć bezwzględnie w tę wiarogodność, mimo, że przyznaje, że badania nad kroniką Galla są zaledwie zapoczątkowane.

Przed 30 laty w *Przegl. Powszechnym* wystąpiłem z całkiem odmienną oceną kroniki Galla. Wobec nienaukowego zignorowania odmiennych opinij wybitnych badaczy w wiarogodność faktów,

podanych przez Galla, nie wypada mi nic innego uczynić, jak odesłać czytelnika do moich argumentów, publikowanych w pracy z r. 1902 p. t. Św. Stanisław Biskup w świetle źródeł. Rozdział II „Kronika Galla", a zwróconych po części przeciw argumentacji p. St. Kętrzyńskiego w jego pracy p. t. „Gall Anonym i jego kronika". Przed 30 laty podziwiałem naiwną wiarę młodzieńczego wówczas badacza w wiarogodność Galla, obecnie stwierdzić muszę, że ta młodzieńcza wiara po 30 latach go nie opuściła i że z młodzieńczym tupetem przechodzi nad opinją przeciwną, nad elementarnemi postulatami krytyki naukowej do porządku dziennego. Nie stara się argumentami przekonać, rozkazuje nam wierzyć w swój autorytet i na tem kwita. Stwierdziwszy to nienaukowe stanowisko mimo wszystko poważnego przecież badacza, mógłbym, idąc śladem p. Kętrzyńskiego, na tem zakończyć recenzję jego pracy, zbytnio atoli cenię jego wnikliwe badania genealogiczne, uzupełniające badania prof. Balzera, aby nie wykazać kruchych podstaw jego argumentacji.

Przypatrzmy się też opinji publicznej w Polsce Bolesława Krzywoustego, której rzekomym wyrazem, wedle p. Kętrzyńskiego, ma być kronika Galla.

Zważmy, w jakiej to chwili pisze Gall Anonim swe dzieło. Było to wtedy, kiedy Bolesław Krzywousty nietylko sławnego brata przyrodniego, którego zwie bastardem, pozbawił przydzielonej przez ojca dzielnicy, ale wiarołomnie, wbrew układom i obietnicom, dokonał na nim bezbronnym gwałtu i bratobójstwa, które tak dosadnie piętnuje współczesny Kosmas. Zważmy, że arcybiskupa Marcina, broniącego praw słusznych Zbigniewa, Bolesław miesiące całe trzymał w więzieniu, by w takich okolicznościach, wobec takiego księcia, którego Pomorzanie zowią „wilczym synem", czy obcy literat, pragnący się wkraść w łaski takiego władcy, odważyłby się nazwać rzecz po imieniu? Czy zatem można to, co ten Gall podaje, nazwać ówczesną opinją publiczną?

Czy można dalej do sprawy św. Stanisława kronikę Galla uważać za jedyne źródło prawdy? Czy p. Kętrzyński nie zna współczesnych niemal wypadkom zapisek rocznikarskich o męczeństwie biskupa Stanisława, o jego świętości i jego translacji, którą nawet T. Wojciechowski pierwotnie za wstęp do kanonizacji poczytuje? Czy p. Kętrzyński wszystkie te zapiski za Gumplowiczem poczytuje za fałszerstwo Wincentego Kadłubka w tym celu do roczników dopisane, aby sprokurować per fas i nefas kanonizację polskiego świętego dla katedry krakowskiej? Nie posądzamy p. St. Kętrzyńskiego o tę fanatyczną nienawiść, jaką zionie socjalista i semita do Kościoła. Fakt jednak, że przechodzi nad tradycją Wincentego Kadłubka i żywociarzy św. Stanisława do porządku dziennego, nie wykazawszy poprzednio, że fakta przez nich podane są zmyślone, są fałszowaniem prawdy,

daje dużo do myślenia. Jeżeli bowiem sam twierdzi, że badania nad kroniką Galla są dopiero zapoczątkowane, to cóż dopiero mówić o badaniach nad kroniką Mistrza Wincentego, z której tyle kruszcu prawdy wydobył przecież T. Wojciechowski w swych licznych pracach.

Przyznaję, że w kwestjach spornych, jaką jest kwestja św. Stanisława lub choćby kwestja wiarogodności Galla, wygodnem jest przejść do porządku dziennego nad źródłami lub opinjami przeciwnemi, ale czy takie postępowanie nazwać można wszechstronnem badaniem prawdy? Czy twierdzenie, że tylko Gallowa wersja podaje rzeczywistą prawdę, nie trzeba nazwać jednostronnem i nienaukowem? Stanowisko takie, aczkolwiek wydaje się bezstronnem, i drapuje się w togę naukowości, jest w gruncie rzeczy zamaskowaną bronią przeciw prawdzie dziejowej dlatego, że ta prawda świadczy o świętości Kościoła. „Św. Stanisław popełnił zdradę i to kilkakrotną, bł. Kadłubek popełnił fałszerstwo dla celów klerykalnych, aby Kraków uzyskał kult swojego świętego", tak głosił Gumplowicz, ceniony wysoko przez T. Wojciechowskiego, jako badacz i historyk. Nie tak brutalnie ocenił tradycje Wincentego Kadłubka o św. Stanisławie sam T. Wojciechowski, twierdząc, że bł. Kadłubek już wierzył w krzywdę św. Stanisława, a przynajmniej rozumiał, że tak jest dobrze i to pomagało do wiary (*Szkice* str. 341). St. Kętrzyński przechodzi nad tradycją Mistrza Wincentego do porządku dziennego, tylko Gall jest wiarogodny, gdy mówi o zdradzie biskupa i o pokaraniu go przez króla Bolesława.

Przypuśćmy, że p. St. Kętrzyński ma rację, że jedynem wiarogodnem źródłem do zatargu między królem a biskupem jest Gall. W tym wypadku wedle Galla jest to zatarg między „Krystem a Krystem", między pomazańcem a pomazańcem, chodzi o zbrodnię zdrady, dokonanej rzekomo przez jednego pomazańca na drugim. Jest to zatem spór między władzą świecką a duchowną, a wybuchły w chwili właśnie, kiedy spór między temi władzami stał się hasłem powszechnem, stał się dominantą wszystkich wypadków dziejowych od połowy XI do połowy XIII wieku. Taki spór, bezsprzecznie kościelny, usiłowała nauka polska z małym wyjątkiem dotąd wyjaśniać z partykularza polskich stosunków politycznych na tej błędnej podstawie, że w Polsce niema śladu reformy gregorjańskiej do początków XIII wieku.[1]) Prawdą jest, że ferment reformy gregorjańskiej nie odniósł zwycięstwa u nas w XII wieku, ale kwestjonować, aby w katolickiej Polsce ten ferment nie istniał w chwili, kiedy on wstrząsał całem społeczeństwem chrześcijańskiem, świadczy o nieznajomości stosun-

[1]) Jaka walka toczyła się w Polsce na tle reformy gregorjańskiej w pierwszej połowie XII wieku, wykazałem w broszurze p. t. O łacińskim panegiryku na cześć Bolesława Śmiałego, Kraków 1904.

ków średniowiecznych kościelnych. Gdyby p. St. Kętrzyński był się rozejrzał w źródłach europejskich XII wieku, rozpatrzył się w takich np. „Libelli de lite" lub „Regesta Pontificum" znalazłby i Gallowego Christa in Christum i Gallowego „traditora" czy „proditora". Wtedy musiałby uznać w Gallu Anonimie zwolennika nietylko laudis ale „omnipotencji principum" a przeciwnika reformy gregorjańskiej, która godziła właśnie w omnipotencję książąt nad Kościołem. Że nasz Gall wtedy, kiedy pisał swą kronikę, takie, a nie inne zajmował stanowisko, nie można się dziwić, zważywszy, że papież ówczesny Paschalis II uznał r. 1111 tę omnipotencję książęcą, wzięty do niewoli przez zdradzieckiego Henryka V, nie bez presji episkopatu niemieckiego, który nie chciał się zrzec, jak papież, dóbr kościelnych, aby uratować niepodległość Kościoła.

Nie uwzględniając wszystkiego, p. Kętrzyński stanął na stanowisku prof. Wojciechowskiego, poczytując sprawę św. Stanisława za straconą, a kronikę Galla za jedyne do tej sprawy miarodajne źródło. Bunt Władysława Hermana przeciw bratu, a zatem zdradę biskupa na rzecz juniora, nazwał niefortunną kombinacją prof. Wojciechowskiego, ale zgodnie z nim „sprawę świętego biskupa za straconą", a tem samem zajął defetystyczne stanowisko wobec prawdy dziejowej.

Może twardym wyda się sąd ten o pracy poważnego badacza, którego już przed 30 laty cenić się nauczyłem. Tu chodzi jednak o zasłanianie prawdy pozorami bezstronności i uczoności — a to bałamuci opinję i szkodzi społeczeństwu. Nie wątpię też, że nauka polska po szerszem, gruntownem rozejrzeniu się w źródłach europejskich XII wieku przyjdzie do innych niż prof. Wojciechowski, niż p. St. Kętrzyński wniosków i nie uzna sprawy św. Stanisława za straconą, nie zlęknie się tchórzliwie klątwy, rzuconej przez T. Wojciechowskiego i obecnych badaczy na „plemię Kadłubka".

Dr. K. Krotoski.

Polska. (Odbitka z XIII tomu Wielkiej Ilustrowanej Encyklopedji Powszechnej). Wydawnictwo „Gutenberga" Kraków. (1931). Str. 335, 2 mapy, 5 tablic barwnych i 16 tablic czarnych.

Wydawnictwo znanej Encyklopedji Gutenberga zebrało wiadomości o Polsce w jeden odrębny, o sporych rozmiarach tom, mający w ten sposób stać się *sui generis* monografją tak Polski współczesnej, jak i jej historyczno-kulturalnego rozwoju. Inicjatywa to bezwątpienia pożyteczna, należy jednak zauważyć, że jeżeli Wydawnictwo rezygnowało z alfabetycznego porządku ujęcia zagadnień, a przyjęło podział rzeczowy, to należało w w tomie tym umieścić już całokształt „rzeczy polskich", nie odsyłając czytelnika do innych tomów w kwestjach specjalnych, jak np. bibljo-

teki, czasopisma, księgarstwo (str. 120). Znalazłyby się również przeoczenia i braki takich dziedzin życia Polski, jak np. nauka współczesna i jej przedstawiciele, historja polskiego przemysłu, rolnictwa i parę innych. Podział dzieła na cztery części ma uzmysłowić Polskę współczesną (część I), jej dzieje (część II), kulturę w najszerszem tego słowa znaczeniu (część III), oraz Polonję zagraniczną (część IV).

Nie wchodząc w treść poszczególnych działów i artykułów, opracowanych przez wybitnych specjalistów danej dziedziny, których same nazwiska dają gwarancję, że znajdzie się w nich ostatni dorobek badań w danym zakresie, poczynić należy szereg zastrzeżeń. Już sam podział treści nie zawsze został szczęśliwie przeprowadzony. Czy nie należało w części pierwszej omówić specjalnie fauny i flory polskiej z punktu widzenia przyrodniczego, gdyż doskonale skreślone uwagi, obejmujące trzy kolumny druku podają tylko geografję roślin i zwierząt, z właściwej zaś przyrody nie ma Encyklopedja wcale wiadomości. Omawiając stosunki ludnościowe, prawne, gospodarskie, komunikacyjne, zdrowotne, i t. d., czy nie należałoby również omówić specjalnie, tak ważnych dla życia współczesnego stosunków religijnych, a nie ścieśniać ich do artykuliku jednokolumnowego, w którym siłą faktu, dla braku miejsca nie mogły znaleźć się tak podstawowe wiadomości, jak np. liczba diecezyj rzymsko- czy grecko-katolickich, cyfra ogólnej wyznawców sekty żydowskiej karaitów i inne. Pytań podobnych możnaby postawić więcej, natomiast z uznaniem podkreślić należy, że niektóre z działów (np. stosunki sanitarne) operują nadzwyczaj bogatym materjałem cyfrowo-statystycznym, dając szeroki obraz działalności polskiej w odnośnej dziedzinie. Bez zarzutu również opracowane zostały „Dzieje" (część II) i to tak pod względem rzeczowym, jak i rozmieszczenia materjału, tworząc doskonały skrót historyczny, który z prawdziwym pożytkiem przeczyta każdy inteligentny Polak, pragnący odświeżyć sobie wiadomości z dziejów ojczystych. Odnośnie do działów III i IV powracają naogół zastrzeżenia z części I, a przedewszystkiem zarzut o brakach encyklopedycznych szczegółów. Dotyczy to zwłaszcza działu historji literatury, gdzie np. o Długoszu, czy Kochanowskim znajduje się kilka zaledwie ogólników, charakteryzujących ich twórczość literacką, bez podania dat biograficznych, czy tytułów wszystkich ważniejszych utworów, (niema nawet tytułu dramatu Kochanowskiego „Odprawa posłów greckich"). A przecież celem encyklopedji nie jest podręcznikowy skrót wiadomości, lecz zebranie suchego nawet wykazu nazwisk, cyfr i dat. Pewne zastrzeżenia nasuwa wreszcie materjał ilustracyjny. O doborze tych, czy innych zdjęć decyduje indywidualny gust i z tego nikomu zarzutu czynić nie można, natomiast żądać należy, by ryciny były tak wykonane, żeby przedstawiały przedmiot jasno, wyraźnie i nie były dołem lub górą obcięte.

Bezwzględnie. że omawiana publikacja przyniesie znaczne korzyści czerpiącemu z niej ogółowi. Życzyć sobie jednak należy, by nowe wydanie rozszerzyło materjał w kierunku dokładności szczegółów i poddało rewizji rzeczowy układ jej treści.

Dr. Marjan Pelczar.

Wiadomości Numizmatyczno-Archeologiczne Tom XII. Rocznik 1928 i 1929 pod redakcją Ludwika Piotrowicza i Władysława Semkowicza. Kraków 1930. Str. 164. Tom XIII. Rocznik 1930 pod red. Marjana Gumowskiego. Kraków 1931, str. 128.

Ostatnie dwa tomy, zasłużonego czasopisma naukowego świadczą, że mimo kryzysu ekonomicznego i ciężkich dla nauki polskiej czasów, szczupłe grono miłośników numizmatyki kontynuuje wytrwale swe wysiłki nad naukowemi badaniami i szerzeniem znajomości mennictwa polskiego, oraz pokrewnych mu nauk. Oba tomy *Wiadomości Num.-Arch.* przynoszą szereg cennych rozpraw, mogących zainteresować nietylko fachowego numizmatyka, czy archeologa, lecz każdego komu nie jest obcą polska, historyczna kultura i jej rozwój. Poprzedza je na początku tomu XII zwięzły obraz działalności Towarzystwa Numizmatycznego w Krakowie w latach 1889—1929, skreślony przez Karola Piotrowicza.

Dziedziny starożytnego mennictwa dotyczą obszerniejsze prace M. Gumowskiego, L. Piotrowicza i St. Gąsiorowskiego o znaleziskach monet rzymskich na terenie Krakowa, Podhajczyk, Wołynia. Sposobom badań monet średniowiecznych poświęca swą pracę Zygm. Zakrzewski, czasów zaś nowożytnych dotyczy praca Wład. Terleckiego. Z zakresu sfragistyki znajdujemy pracę Wład. Semkowicza o sfragistyce Witolda. Bardzo interesujące zwłaszcza dla heraldyka są prace Bol. Namysłowskiego i Wład. Semkowicza o popisie wojska polskiego z lat 1561—1564. Szerszy ogół historyków zainteresuje niezawodnie rozprawa Silvio Mikuckiego o genezie orła polskiego. Poza tem znajdujemy w obu tomach archeologiczne szkice Włodz. Antoniewicza, oraz cały szereg drobniejszych przyczynków z ruchu numizmatycznego.

Dr. Marjan Pelczar.

Wierchy: Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie. Rok IX. Kraków, 1931. str. VI+222+XCIX, 4 tablice i mapa.

Dziewiąty rocznik Wierchów, zasłużonej dla polskiej turystyki publikacji rozpoczyna zbiorowa monografja Beskidu Śląskiego, której zadaniem jest krótkie, a wszechstronne opracowanie tego uroczego zakątka gór polskich. Autorzy wywiązali się w zupełności ze swego zadania. Piórem ich kierowało umiłowanie śląskiej ziemi, której „urodę", ciekawe zwyczaje, legendy i rodzinną sztukę ludową przedstawił barwnie

Gustaw Morcinek. Szkic przyrody śląskiej podał K. Grimm. Warunki turystyki omawia wyczerpująco Jan Galicz, a nadzwyczaj ciekawy opis prześlicznego letniska śląskiego Istebnej, pióra Pawła Zawady, zachęca do zainteresowania się tą częścią Beskidu. Opis śląskiego Beskidu poprzedza wstęp Kazimierza Sosnowskiego, a 36 pięknych ilustracyj i 2 tablice są nader zachęcającym momentem do zwiedzenia resztek śląskiej ziemicy.

Inny charakter ma praca prof. Jana Gwalberta Pawlikowskiego, p. t. „O styl zakopiański w budownictwie Zakopanego i Podhala". Autor w przekonywujący sposób wykazuje piękno willi Witkiewiczowskich, harmonizujących z rodzimą sztuką góralską, których sylwetki tworzą malowniczą całość z podhalańskim krajobrazem. Niestety coraz więcej pojawia się w Zakopanem i w okolicy nowych budowli, które psują harmonję i szpecą krajobraz. Walka o przymus budowlany, w stylu zakopiańskim dla Podhala i Zakopanego jest w toku, a zorjentować w niej mogą wyniki ankiety, rozpisanej w tym celu, której rezultaty w postaci odpowiedzi 15 najwybitniejszych polskich architektów prof. Pawlikowski na końcu swej pracy przytacza.

Dalszą część rocznika wypełnia bogata kronika, której poszczególne działy omawiają szereg problemów, ściśle związanych z górami — jak ochronę przyrody, problem parków narodowych, turystyka, wyniki górskich badań naukowych, piśmiennictwo regjonalne i t. d. — oraz działalności Pol. Tstwa Tatrzańskiego. Całość posiada trwałą wartość dzieła naukowo-literackiego, mogącego zdobić każdą bibljotekę kulturalnego domu.

Dr. Marjan Pelczar.

Paul de Jaegher S. J.: Confiance, Méditatios, Louvain 1931, Musaeum Lessianum, str. 305 i 318.

Drogi życia wewnętrznego, jeśli się niemi naprawdę idzie naprzód, a nie drepce w miejscu, wymagają wielu ofiar i wysiłków. Czyha na nich wśród wielu wrogów jeden bardzo niebezpieczny, któremu na imię zniechęcenie. Na widok częstych upadków, w poczuciu głębokiej słabości wobec wysokich wymagań doskonałości chrześcijańskiej, to zniechęcenie może człowieka zupełnie zawrócić z drogi postępu.

Potrzeba więc sercu ludzkiemu raz po razu wzmocnienia, pociechy, zachęty. Ten właśnie cel postawił sobie autor w swej dwutomowej *Confiance*. „Pocieszyć, zachęcić dusze, wzmocnić w nich, o ile to tylko możliwe, tę cnotę tak drogocenną i tak konieczną, jaką jest ufność — oto pierwszorzędna moja troska przy pisaniu tych stronic", czytamy w *Avant-propos*. Ukazuje nam autor krzepiącą cnotę ufności w przeróżnych odmianach i naświetleniach. Żeby się zorjentować w materjale i w sposobie jego ujęcia, przytoczmy parę rozdziałów: „Korzyści ufności, —

Ufność prawdziwa i fałszywa, — Stosunek ufności do Jezusa jako Mistrza, do Jezusa w Eucharystji, do Najśw. Serca i t. d." Drugi tom omawia w pierwszych pięciu rozdziałach bardzo instruktywne i praktyczne dla życia wewnętrznego tematy, jak: „Ufność w oschłości — w pokusach — w cierpieniach mistycznych — ufność mimo upadków — mimo naszej bezsilności". Kończą książkę rozdziały o ufności w Matce Najśw. i o św. Teresie od Dzieciątka Jezus jako wzorze tej cnoty.

Dziełko niniejsze można polecić grzesznikom i świętym, a przedewszystkiem duszom dzielnym spragnionym wzrostu w Bożej miłości. Gdyby w niektórych rozdziałach było bardziej treściwe, a w refleksjach mniej koronkowe — przypadłoby bardziej niżej podpisanemu do gustu. Być jednak może, że właśnie dla tych właściwości innym czytelnikom szczególniej podobać się będzie.

Ks. J. Andrasz

Brat Jan de Caulibus: Rozmyślania o życiu Jezusa Chrystusa. Katowice, Wydawnictwo Św. Augustyna, 1932, stron VII+306.

Muszę rozpocząć od tych słów, które położyłem na czele polskiego wydania tych „Rozmyślań": z całą siłą narzuca się pytanie dlaczego i poco wydajemy książkę z przed sześciu wieków? Czy może liczyć na czytelników, dziś, dzieło, mające za sobą kilkaset lat? Żyjemy przecież w pościgu za nowością i sensacją. Z całą świadomością jednak w takiej właśnie chwili dziejowej, kiedy olbrzymia większość ludzi żyje „na powierzchni", przychodzimy... z rozmyślaniami, z zaproszeniem do zastanowienia się i wstąpienia w głąb własnej duszy.

Pierwszorzędnym przedmiotem rozmyślania jest i będzie zawsze życie Chrystusa Pana, ta najpotrzebniejsza lekcja biednej duszy współczesnej, dręczonej niepewnością i szarpanej sprzecznemi prądami. Sięgnęliśmy do skarbca dalekiej przeszłości po książkę, która długie lata była „spiżarnią duchową" dla całych pokoleń. Była ona w średniowieczu książką modlitewną ludu, powszechnie używaną i cenioną „jakoby piąta Ewangelja". Była stale przepisywaną i tłumaczoną na wszystkie kulturalne języki, a później, po wynalezieniu druku, wydawaną niezliczone razy. Wszyscy pisarze religijni średniowiecza, a zwłaszcza kaznodzieje znają to dzieło i korzystają z niego jako ze źródła niewyczerpanego. Również dwa późniejsze najwybitniejsze opisy życia P. Jezusa: Ludolfa z Saksonji i Marcina z Kochem oparte są na Rozmyślaniach Jana de Caulibus. Rozmyślania te dostarczyły wątku średniowiecznym dramatom religijnym, zwłaszcza przedstawieniom pasyjnym. Również malarstwo i rzeźbiarstwo średniowieczne pozostaje pod silnym wpływem tych Rozmyślań jak dowiódł Gillet.

Rozmyślania Jana de Caulibus obejmują 93 rozdziały. Mimo, że tchną wszystkie dziwną i uderzającą prostotą, płynącą z żywej wiary dziecięcej, nie pozbawione są głębi, która pobudzić może do zastanowienia — nietylko prostaczka.

Bardzo często cytuje Autor (Brat Jan de Caulibus, pochodzący z San Geminiano we Włoszech, Franciszkanin) swego ulubionego Św. Bernarda, wraca doń ustawicznie i aż się usprawiedliwia (na str. 132) z tego powodu przed S. Klaryską, dla której napisał tę książkę. Mówi tam o św. Bernardzie: „był to przecież potężny mówca, opromieniony mądrością Ducha Swiętego i jaśniejący świętością". Wobec dobrego doboru i wobec wartości wewnętrznej podawanych wyjątków z dzieł Św. Bernarda — cytaty te ani nie rażą, ani nie nużą.

Zewnętrzna szata książki wspaniała! Oprawa piękna, 16 cennych ilustracyj według mistrzów malarstwa i rzeźby, którzy (mniej lub więcej) pozostawali pod wpływem Rozmyślań Brata Jana, ale przedewszystkiem bezkonkurencyjne wydanie typograficzne, które przynosi chlubę prawdziwą znanej drukarni W. L. Anczyca w Krakowie.

Oto walory dzieła, które musimy nazwać „świętem ryzykiem" w okresie stagnacji na rynku księgarskim. Wydawcy liczą na zrozumienie wartości nieprzeciętnych, które żywem echem biją z pod patyny wieków.

Ks. Henryk Weryński.

Ks. R. Mäder: W i e l k a T a j e m n i c a, odczyty na temat Encykliki Piusa XI *Casti connubii*, z przedmową J. E. Ks. Bisk. St. Adamskiego Tłum. ks. A. S. Katowice, Księgarnia Katolicka. Str. 71.

W aktualnej ciągle sprawie obrony katolickiego małżeństwa i uświadomienia najszerszych sfer naszego społeczeństwa przybywa z pomocą nowa broszura znanego ze swych prac ks. prał. Mädera z Bazylei. W szeregu zwięzłych, rzeczowych, jasno i przekonywująco skreślonych rozdziałów przechodzi on najważniejsze zagadnienia: znaczenie i świętość małżeństwa, rola i wzajemny stosunek małżonków chrześcijańskich, przygotowanie do małżeństwa dalsze, zwłaszcza przez czystość, i bliższe w okresie narzeczeństwa, niebezpieczeństwa małżeństw mieszanych, uprawnienia państwa; wezwaniem do powrotu do Boga kończy autor swą pożyteczną broszurę. Całość oparta jest na ostatniej Encyklice o małżeństwie chrześcijańskiem i nawiązuje do Orędzia Episkopatu Polski z dn. 10 XI 1931 r., z okazji projektu naszej Komisji Kod. W pięknej przedmowie J. E. Ks. St. Adamski, biskup śląski, piętnuje ów projekt, uzasadnia, dlaczego Kościół jest powołany do zabrania głosu w tej sprawie i wzywa katolików do obrony katolickiego prawa małżeńskiego w Polsce.

Ks. St. Podoleński.

Józef St. Czarnecki: Zmysły na licytacji, szkice pod ostrym kątem. Warszawa 1932. Str. 104.

W rzeczach, dotyczących życia płciowego, ogół nigdy nie był skłonny do głębszego zastanawiania się, a i myślący w sporej części kończyli tylko na myśleniu. Ten stan rzeczy, spotęgowany jeszcze po wojnie, wyzyskują różni niepowołani propagatorzy reform seksualnych, piszą nie podług wymagań rzeczy i logiki, lecz stylem, jaki trafia do płytkiej zmysłowości i przyziemnych uczuć; i znajdują uznanie, choćby wskazać na Boy'a. Toteż i po przeciwnej stronie zbudziła się myśl, czyby nie było korzystnem, podobną metodą „mocnego stylu", tylko w dobrym duchu, przemówić do dzisiejszego społeczeństwa. Tem tłumaczę sobie poczęści charakter powyższej broszury. Osobiście taki sposób pisania i ujmowania sprawy, siłą rzeczy nie wszędzie pozwalający na ścisłość i wiodący do użycia różnych frazesów, nie podoba mi się, i nie potrafiłbym tak pisać. Wiem jednak, że książka p. Czarneckiego spodobała się wielu i że spotkała się z pochlebnemi recenzjami; zapewne więc przyczyni się do dobra sprawy, zwłaszcza, że autor, znany już z występów w różnych poważnych czasopismach, jest wyrazicielem zdrowych zasad z zakresu moralności seksualnej i rodzinnej, które to zagadnienia głównie tu porusza. Podnieść należy też aktualność tematów (omawiany jest także projekt prawa małżeńskiego) i uwzględnienie sporej najświeższej literatury.

Ks. St. Podoleński.

Kardinal Faulhaber: Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart. Gesammelte Reden, Predigten, Hirtenbriefe. Herder, Freiburg in Br. 1931. Str. 480.

Kiedy przed 20 laty kardynał Faulhaber został kreowany na biskupa wybrał takie hasło: *Vox temporis — vox Dei.* Hasłu temu zostaje rzeczywiście wierny. Przez 20 lat słowem czy piórem, na zjazdach diecezjalnych czy katolickich, w listach pasterskich czy kazaniach stoi na straży czasu, nawiązuje myśl bożą do spraw aktualnych. Zasadą jednak naczelną, jaką się kieruje jest zasada Pawłowa: *Nolite conformari huic saeculo, sed reformamini...* (Rzym. XII 2.) Tak jak w swoim poprzednim dziele, wydanem w roku 1915: „Zeitfragen und Zeitaufgaben", tak i w obecnem wprowadza trzy zasadnicze działy: 1) Fragen der religiösen Ordnung, 2) Fragen der sittlichen Ordnung, i 3) Fragen der kirchlichen Ordnung. Oto niektóre tytuły świadczące o aktualności tematu: Religion Privatsache?, Der Religionskrieg in Russland, Elterngewissen, Die katholische Aktion, Orientmission, Die Presse, Weltkirche und Weltfriede. Kto miał sposobność zapoznać się z przemowami kard. Faulhabera wie, że cechuje je jasność myśli i pojęć, plastyka i jędrność w przedstawieniu,

a przedewszystkiem bogactwo antytez i ścisłe oparcie tematu na Piśmie św., które nadaje przemowom siłę, namaszczenie i piękno.

Spodziewać się należy, że te „Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart" nie będą bez echa. Przynajmniej kaznodzieje, mówcy duchowni czy świeccy znajdą w nich podkład, materjał i wzór do swoich kazań i przemów na czasie.

J. G.

Obertyński Zdzisław Ks.: Pontificale Arcybiskupa lwowskiego Jana Rzeszowskiego w Bibljotece Kapitulnej w Gnieźnie. Wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Lwów 1930, str. XIII, 358 i tablic rotograwiurowych 11.

Udział Polski w naukowych badaniach i w wydawnictwach źródeł historji liturgji był dotąd minimalny, a właściwie żaden, jeżeli pominiemy pewne studja zwłaszcza z dziedziny archeologji starochrześcijańskiej ubocznie zaczepiające o liturgję. Pierwszem poważnem przedsięwzięciem jest wymienione w tytule wydanie Pontyfikału arcybiskupa lwowskiego Jana Rzeszowskiego, wydanie będące równocześnie wyczerpującem, może nawet czasem za drobiazgowem, jeśli idzie o materjał porównawczy, opracowaniem graficznej, ikonograficznej i artystycznej strony samego kodeksu. Ściśle rzecz biorąc, to ten drugi punkt widzenia został przedewszystkiem uwzględniony w opracowaniu Pontyfikału. Autor z niesłychaną sumiennością i dokładnością, opierając się na bardzo bogatej i rozległej literaturze przedmiotu i olbrzymim materjale porównawczym, przeprowadza analizę całego kodeksu, jego pisma, minjatur, inicjałów, ornamentyki, ikonografji i treści, aby w ostatecznym wyniku określić czas powstania kodeksu na koniec XIII w., a jako miejsce wyznaczyć Apulję włoską, diecezję Bisceglie, po łacinie Vigiliensis. Zaletom samego dzieła odpowiada w zupełności jego strona techniczna, graficzna. Nie ustępuje ono pod tym względem najpoważniejszym wydawnictwom zagranicznym. Jest to już zasługa wydawcy Narodowego Zakładu im. Ossolińskich we Lwowie. Razem z autorem odczuwamy brak reprodukcyj barwnych, tak ważnych dla wyrobienia sobie pojęcia o charakterze i artyzmie minjatur i inicjałów. Niestety, *iniquitas temporum*, która już w r. 1930 dawała się odczuwać, nie pozwoliła na ten „luksus".

S. B.

Powieściowe Wydawnictwa Księgarni Św. Wojciecha

S. Jeleńskiego Hallelu Jah i Henrjety Brey Józef Ben Dawid należą do serji popularnych wydawnictw św. Wojciecha, wychodzących w kolekcji t. zw. „Dla wszystkich". Jest to kolekcja o miłym, zgrabnym formacie, ładnej winiecie okładkowej,

wydawana starannie i po cenach przystępnych. Obie wymienione książki należą do rzędu t. zw. opowiadań ewangelicznych. Pierwsza to historja Łazarza i jego sióstr, druga to życie św. Józefa. Obie książki pisane przystępnie i żywo nadają się do szerokiego popularyzowania, do wszelkich czytelń i bibljotek ludowych. Mogą też z korzyścią być czytane przez sfery inteligentniejsze.

Zofja Kossak-Szczucka wydała u św. Wojciecha powieść dla młodzieży: K u s w o i m. Jest to opowiadanie osnute na tle stosunków bolszewickich. Jak wszystkie dzieła doskonałej tej autorki i ta książka pisana jest żywo, ładnie, z dużem zacięciem epickiem. Fabuła jest interesująca, miejscami wprost przejmująca. Duch książki doskonały. Wydanie ładnie ozdobione licznemi rysunkami.

B i a ł a k s i e n i z W o r c e s t e r Florencji Barclay zaplątała się niepotrzebnie w tak zawsze godne polecenia wydawnictwa św. Wojciecha. Cała ta historja mniszki zwolnionej ze ślubów przez Ojca św., aby mogła wyjść za swego dawnego narzeczonego jest conajmniej dziwna, obrazy z życia klasztoru średniowiecznego miejscami karykaturalne, a już cała historja z udanem objawieniem Matki Boskiej wprost w wysokim stopniu niesmaczna. Wplatanie w powieść elementów nadprzyrodzonych jest zawsze niebezpieczne, a w tym wypadku dało rezultaty fatalne, i choć przypuszczam, że nie leżało to w intencjach autorki, całość może być wzięta za wyszydzenie życia klasztornego, a nawet nadprzyrodzonego. Zresztą powieść dziwnie słaba. Przekład p. Nawratilowej poprawny.

Jana Murona W y s p a H i s p a n o l a, powieść tłumaczona z niemieckiego, to historja pierwszych czasów kolonizacji ziem odkrytych przez Kolumba, historja walk z Indjanami, wewnętrznych niezgód przybywających do Ameryki Hiszpanów. Wiele w niej ciekawych szczegółów historycznych, wiele ciekawych wiadomości o obyczajach pierwotnych mieszkańców tych ziem, wiele też smutnego światła rzuca dzieło Murona na barbarzyński i nieludzki sposób obchodzenia się białych z czerwonoskórymi i na zaiste mało chrześcijański sposób, w jaki chcieli prawdziwą wiarę wśród pogan rozszerzać. Autor zapowiada przy końcu ciąg dalszy tej powieści, który ma się ukazać p. t. „Admirał Oceanu".

C z y j a r ę k a? Ronalda A. Knoxa jest powieścią detektywistyczną. Chodzi w niej o to, czy Motram wysoko ubezpieczony na życie popełnił samobójstwo, na którego wypadek Towarzystwo polisy nie wypłaci, czy też został przez zaintresowanych w spadku zamordowany. Przez całą książkę czytelnik nie może się domyśleć prawdy, poszlaki co do obu ewentualnośei są równie prawdopodobne. Na końcu okazuje się niespodziewanie, że obie hipotezy są fałszywe i że bohater uległ poprostu nieszczęśliwemu wypadkowi. Wobec tego wszyscy są od ciążących na nich podejrzeń uwolnieni, a przez to zakończenie książka jest niejako

oczyszczona z przykrej i niezdrowej zawsze w tego rodzaju powieściach atmosfery zbrodni. Każdy, kto lubi emocjonować się splątaną intrygą i śledzić zawiłe kombinacje detektywów przeczyta tę książkę z zainteresowaniem. Może ona być dana w każde ręce. Tłumaczenie poprawne, wydanie staranne.

Wyspa fok Edisona Marshalla to powieść egzotyczna i sensacyjna. Akcja jej rozgrywa się na dalekiej północy na Aleutach, a obraca się dookoła polowania na foki. Foki, niemiłosiernie tępione przez poszukiwaczy cennych futer, podlegają ochronie prawnej. Banda korsarzy chce uśpić czujność straży i zawładnąć wyspą, na której koczują tysiące fok. Po przeróżnych walkach, intrygach, buntach marynarzy i t. d. prawo zwycięża, wielkie focze rodziny będą żyć w spokoju, a bohater powieści zamiast łupu futer znajdzie na dalekiej wyspie piękną jasnowłosą Hildę i majątek w postaci wielkich pokładów kłów morsów. W tej powieści zręcznie i żywo pisanej ciekawe są opisy życia i zwyczajów fok, a opisy dalekich wysp Aleuckich nie są pozbawione pewnej poezji; to też jako lekką, rozrywkową lekturę można „Wyspę fok" — starannie przez Jerzego Marlicza przetłumaczoną — polecić każdemu.

Z. St. M.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakł. Księgarni św. Wojciecha, Poznań:

Ks. Arcybiskup Józef Teodorowicz: Od Betleem do Nazaretu. (Tom II dzieła „Jezus Chrystus"). Str. XV + 358.

Dr. Paweł Wilhelm Keppler, biskup: Więcej radości. Przetł. Ks. A. Kuleszo. Wyd. III. Str. 230.

Encyklika o małżeństwie chrześcijańskiem. (Tekst encykliki z wstępem i objaśnieniami). Str. 149.

Ks. Józef Kłos: Dwie ofiary. Sześć kazań pasyjnych, z dod. kazania na Wielkanoc. Str. 113.

Stefanja M. Posadzowa: Pan Jezus i dzieci. Opowiadania ewangeliczne. Str. 75.

K. H. Rostworowski: Zygzaki. Poezje. Str. 66.

Wanda Miłaszewska: Na cztery wiatry. Powieść: Str. 276.

Janina Antoniewiczówna: Mały ogródek. (Bibljoteka przyrodnicza). Z 22 rycinami, str. 115.

Helena Grotowska: Mali mieszkańcy dużego domu. (Bibljoteka przyrodnicza). Z 21 ryc., str. 64.

Nakładem różnych:

Emil Fiedler Defensive oder Ofensive? (Kathol. Aktion). I Bd.: von den Sünden unserer Väter. Wiesbaden 1930, Hermann Rauch. Str. 131.

Ks. kard. A. Hlond: O zadaniach katolicyzmu wobec walki z Bogiem. List pasterski. Sfr. 7 in 4^0.

Ks. Nikodem L. Cieszyński: Roczniki katolickie na r. 1932. Nakładem autora, Poznań. Str. 470.

A. Auffray: Pedagogja Świętego. Przekład A. Zahorskiej. Wydawnictwa Salezjańskie, Warszawa 1932, str. 120.

A. Syski: Ostatni śpiew. Powieść misyjna. Z angielskiego. Wyd. Młodzieży misyjnej, Warszawa, 1932, str. 117.

Inż. Z. Wojnicz-Sianożęcki: Zbiorowa obrona przeciwgazowa większych skupień ludzkich. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, Warszawa 1932, str. 110.

Caritas polska. Bibl. „Ruchu charytatywnego" tom 6. Poznań 1932, str. 24.

Józef Relidzyński: Miłość Renaty Jazłowieckiej. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Str. 232.

Antoni Marczyński: Straszna noc. Powieść morska. (Bibljoteka „Dziennika Poznańskiego"). Poznań 1932, str. 200.

Ks. Charszewski: Palec Boży w nowożytnych katastrofach żywiołowych. Wyd. 2. Księgarnia Katolicka, Katowice 1932. Str. 117.

Rozbiór krytyczny projektu prawa małżeńskiego, uchwalonego przez K. K. Praca zbiorowa pod red. ks. Dr. J. Wiślickiego. Lublin, Uniwersytet, 1932, str. 151.

Dr. Bohdan Rutkiewicz: Indywidualizacja, Ewolucja i Finalizm Biologiczny. Lublin, Uniwersytet, 1932, str. VIII + 124.

Fr. Pistol: Misja nawracania żydów. Wydawn. Misyj wewnętrz. archid. wileńskiej. Wilno 1932, str. 31.

Nauka Polska. Jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XV. W 50-lecie kasy im. Mianowskiego. Wydawn. tejże Kasy, Warszawa. Str. 449.

Herman Diamand: Przemówienia w Sejmie Rzeczypospolitej. Wstęp i uwagi A. Kriegera. Nakł. Księgarni Robotniczej, Warszawa. Str. 556.

Gen. Marjusz Zaruski: Nawigacja. Krótki podręcznik do użytku na jachtach morskich. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy. Str. 126.

Ludwik Domański. O małżeństwie. Studjum społeczno-prawne. Warszawa, 1932, str. 160.

Ks. Józef Tuszowski: O. Marjan Morawski T. J. (1845-1901). Wydawnictwo Ks. Jezuitów, Kraków 1932, str. 446.

Ks. Jan Piwowarczyk: Kryzys społeczno-gospodarczy, w świetle katolickich zasad, Kraków, skład główny w Księgarni Krakowskiej, 1932, str. 160.

Dr. Antoni Peretiatkowicz: Wstęp do nauk prawnych. Wyd. 2 Poznań 1932, str. 79.

Pierre Goemaere: Soleils de minuit. Wyd. Desclée de Brouwer et C-ie. Paris — Bruges, str. 157.

Antoni Waśkowski: Szela. Sceny dramatyczne. Miejsce Piastowe 1931, Wyd. Tow. św. Michała Arch. Str. 105.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Z okazji ustawy o świadczeniach na rzecz Kościoła katolickiego. — Jeszcze o obrządku „bizantyńskim".

W pierwszej połowie marca r. b. nasze izby prawodawcze były widownią roztrząsań, które zdolne są zdezorjentować do reszty obywatela polskiego (tem bardziej postronnych ludzi!), pytającego: kto z kim przeciwko komu — zwłaszcza na terenie zagadnień polityczno-kościelnych.

Działo się to z okazji przedłożenia o składkach na rzecz Kościoła katolickiego. Przedłożenie to przyszło pod obrady dość niespodziewanie dla ogółu i dla prasy nawet, bo nie poprzedzone żadną publicystyczną dyskusją. Wpłynęło od rządu, tego rządu, który, według dość rozpowszechnionego przekonania, ulega wpływom masońskim i szuka sposobności do zwady z Kościołem. Do wniesienia tej ustawy rząd — według komentarza posła księcia Janusza Radziwiłła — nie był obowiązany z tytułu obowiązującego Konkordatu, wniósł ją wszakże do sejmu — według tegoż zapewnienia — bo „stoi na stanowisku ścisłej, intymnej i przyjaznej współpracy z najwyższym czynnikiem moralnym, którym dla olbrzymiej większości narodu polskiego, wyznającej religję katolicką, jest Kościół katolicki." Projekt ustawy o świadczeniach był podobno uzgodniony uprzednio z władzami kościelnemi i niewątpliwie dla Kościoła jest korzystny, jakkolwiek w szczegółach mógłby być doskonalszy. Wprowadza on ustawowo możność obciążania obywateli wyznania katolickiego — w pewnym maksymalnie oznaczonym stosunku do płaconych przez nich podatków bezpośrednich — daniną na potrzeby Kościoła. Nie chodzi tu wcale o utrzymanie duchowieństwa, ale o utrzymanie budynków kościelnych i służby kościelnej, której położenie materjalne w pewnych częściach kraju jest wprost opłakane. Takie obciążenia ist-

niały już dotąd na podstawie ustaw niemieckich w województwach zachodnich; obecnie mają być rozciągnięte na terytorjum całej Rzeczypospolitej. Uchwalanie wysokości tych przymusowych świadczeń należeć ma do zebrań parafjalnych, gospodarowanie zaś osiągniętemi funduszami powierza się komisjom parafjalnym. Ustawa ma zacząć obowiązywać dopiero od 1 stycznia 1934 r.

Przywykliśmy już do tego, że wobec przedłożeń rządowych opozycja zarówno z prawej, jak i z lewej strony ustosunkowuje się negatywnie. Tym razem doznaliśmy przyjemnej niespodzianki: Stronnictwa opozycyjne z prawicy (Stronn. Narodowe i Chrześc. Demokracja) ustosunkowały się do sprawy czysto rzeczowo i projekt rządowy poparły, usiłując tylko wprowadzić pewne poprawki. Wobec tego akcesu części opozycji można było spokojnie wysłuchać pewnych pomruków przeciwko Kościołowi na lewicowych ławach opozycyjnych i stereotypowej „zasadniczej" harangi posła Czapińskiego imieniem partji socjalistycznej o zakusach klerykalizmu, o rozdziale Kościoła od państwa i t. d. To można mu darować, takie wystąpienia są nawet o tyle pożyteczne, że nie pozwalają pewnym optymistom z obozu katolickiego zapomnieć o zasadniczo wrogim stosunku socjalizmu do Kościoła.

Ale jeśli stanowisko stronnictw z prawicy zasługuje na uznanie, a stanowisko opozycyjnej lewicy na wytłumaczenie, to przykry zgrzyt w tej debacie stanowiły wystąpienia kilku posłów z bloku pro-rządowego. Stosunek B. B. W. R. do rządu obowiązuje do popierania wszystkich przedłożeń rządowych i temu obowiązkowi uczyniono zadość. Ale pewne żywioły dały upust swym animozjom do kleru, i nie mogąc zwalczać omawianej ustawy, wypowiedziały się w oskarżeniach księży o uprawianie antyrządowej polityki i w rezolucji, wzywającej rząd, by temu „politykowaniu" kres położył. Otóż te wystąpienia posłów B. B., a zwłaszcza uchwalenie przez cały klub rzeczonej rezolucji (połączonej potem w jedną z innemi rezolucjami, częściowo słusznemi) trudno uważać za krok zręczny i szczęśliwy. Powstrzymujemy się tutaj od sądu czy zarzuty, wymierzone przeciwko duchowieństwu, były słuszne czy nie, jak również czy księża, uprawiający „antyrządową", albo jak inni się wyrażają „antypaństwową" politykę, stanowią aż 85% ogółu polskiego duchowieństwa, jak to twierdzono w jednem oskarżeniu — do wydawania o tej sprawie sądu nie czujemy kompetencji, ani nie posiadamy dostatecznego materjału. Dużo tu zależy od tego, co się zechce zrozumieć pod „polityką", pod „interesem państwa" itp. Wyrażamy wszakże obawę, że tego rodzaju rezolucje, jak ta, o której mowa, jeśli ją rząd wziąłby

na serjo, nie posłużyłaby do utrzymania się rządu „na stanowisku ścisłej, intymnej i przyjaznej współpracy z Kościołem", o jakiej zapewniał książe Radziwiłł. Zwłaszcza wydaje się ona nie na miejscu w związku z ustawą o świadczeniach na rzecz Kościoła, ustawą nie dotyczącą samego kleru. Wiązanie tych dwóch różnych spraw, chociażby tylko zapomocą ubocznej rezolucji, czyni wrażenie jakoby rzeczywiście w bloku prorządowym przeważało zapatrywanie, że uchwalone świadczenia są „prezentem" dla kleru, danym wszakże jednocześnie z groźbą jakichś represyj, jeśli obdarowani księża nie będą się sprawowali grzecznie. Nie chcemy zbytnio dramatyzować znaczenia uchwalonej rezolucji, nie możemy się wszakże oprzeć wrażeniu, że na drodze zgodnego współżycia Kościoła i państwa w Polsce rzuca ona jeden nowy, niepotrzebny, kamień. Warto go z drogi usunąć.

Niektórzy tancerze zaczynają taniec „od komina". Nasi parlamentarzyści debaty nad sprawami kościelnemi muszą kończyć na „bizantyńskim" obrządku. Tak było przy omawianiu budżetu, to samo powtórzyło się przy ustawie o składkach na rzecz Kościoła. Komisja administracyjna sejmu wzywała rząd, aby „w związku z działalnością Komisji *pro Russia* „pro negotiis extraordinariis"(?) na wschodnich terenach Rzeczypospolitej uzgodnił sprawę ze Stolicą Apostolską w ramach konkordatu i w myśl interesów państwa".

Rezolucja ta właściwie już dla tego samego była niepotrzebną, ponieważ dwa miesiące temu w sprawie akcji unijnej na Kresach wypowiedział się p. minister Jędrzejewicz w nieprzychylny dla tej akcji sposób. Uchwalenie obecnie takiej rezolucji głosami wszystkich w Komisji reprezentowanych stronnictw ujawniało, że w negatywnym stosunku do akcji unijnej i jej obrządku panuje idealna zgoda między rządem a całym sejmem. Na plenum rezolucja ta została połączona w jedną z innemi, dotyczącemi zupełnie innych spraw, w tem „politykowania" księży, co skłoniło pewną część opozycji do wycofania swych głosów. Ostrze jej łagodziły słowa o uzgodnieniu tej sprawy ze Stolicą Apostolską, sens jej wszakże jest dość jasny — niechęć do omawianej akcji Kościoła na Kresach.

W stosunku do tej akcji owładnęło politykami i publicystyką usposobienie, graniczące z psychozą. Z działalności religijnej, dążącej do rozszerzenia Kościoła katolickiego wśród dysydentów wschodnich, usiłuje się koniecznie zrobić sprawę polityczną. Kiedy prawosławie zapuszcza swe zagony wśród unitów na Łemkowszczyźnie, to wszystko jest w porządku; nie słyszeliśmy żadnej z tego powodu reklamacji

w sejmie, nie czytaliśmy żadnego memorjału żadnego Towarzystwa opieki nad Kresami. To zwyczajny prozelityzm, korzystający z zasady tolerancji religijnej w Polsce. Inna sprawa, kiedy chodzi o nawracanie prawosławnych na unję — to już jest kwestja polityczna, w którą państwo (katolickie!) może i powinno wkroczyć z swą kontrolą czy nawet hamulcem! Zaiste, trudno nie ironizować. I trudno się nie dziwić temu, że takie stanowisko popierane jest także przez polityków, którzy przy innych okazjach występują w roli obrońców Kościoła przed próbami ingerencji i kontroli ze strony rządu.

Przed dwoma miesiącami przytoczone były na tem miejscu oświadczenia p. ministra Jędrzejewicza, złożone w sejmie w sprawie „obrządku bizantyńskiego" i powody, dla których na zdanie jego trudno się zgodzić. Nieco później, przy omawianiu budżetu w senacie, p. minister ponowił swoje oświadczenia, dodając, że dowodzenie jakoby ów obrządek przewidziany był w konkordacie nie jest przekonywujące. Pomimo tak stanowczego oświadczenia pozwolimy sobie pozostać przy swojem zdaniu, że wolność zapewniona Kościołowi katolickiemu „bez różnicy obrządków" w art. 1-ym konkordatu niewątpliwie rozciąga się i na obrządek grecko-słowiański (choćby pod nazwą bizantyńskiego), nawet gdyby się go chciało uważać prawnie za różny od obrządku grecko-katolickiego, czy grecko-rusińskiego, które to odróżnienie w rzeczywistości pozbawione jest podstawy. Dodamy tutaj jeszcze tę okoliczność, że w chwili zawierania konkordatu ze Stolicą Świętą (r. 1925) akcja unijna na Kresach już się rozwijała; pierwsze parafje wschodnio-katolickie w diecezji podlaskiej datują się z lipca 1924 r.; w tymże czasie zakładany był Albertyn, wprowadzany obrządek wschodni do kościoła po-augustjańskiego w Wilnie, dokonywały się pierwsze nawrócenia na Wołyniu. Rząd, zawierając konkordat z Kościołem, musiał chyba o tem wiedzieć i zapewne zawierał konkordat z Kościołem takim, jakim on był podówczas w Polsce, a zatem z formuły „bez różnicy obrządków" nie wykluczył chyba tego jednego obrządku. A panom posłom z prawicy może dobrze będzie przypomnieć, że twórcą konkordatu ze strony państwa był nie kto inny, jak minister Stan. Grabski.

Kiedy pisałem ostatni raz o tej sprawie (luty 1932), przygotowywał się memorjał Towarzystwa Opieki nad Kresami, ogłoszony w *Gazecie Warszawskiej* z dnia 1 lutego 1932 i następnie komentowany niemal przez całą prasę polską. Memorjał został złożony Episkopatowi polskiemu z wyraźnym zamiarem uzyskania od władz kościelnych zahamowania akcji unijnej we wschodnim obrządku. Memorjał

ten, natchniony ideologją nacjonalistyczną, traktuje Kresy jako objekt polonizacji, i akcję unijną zwalcza przedewszystkiem dlatego, że w niej upatruje przeszkodę do swego celu. Powstał ów memorjał pod widocznym wpływem artykułów p. Jeśmana, drukowanych już wcześniej w dziennikach Stronnictwa Narodowego. Szczegółowe rozpatrywanie tego dokumentu pomijamy wobec tego, że punkt wyjścia jego jest nie do przyjęcia w Kościele katolickim. Możemy tylko wyrazić zdziwienie, że autorzy „memorjału" nie postarali się lepiej ukryć swego stanowiska, które może ich dążenia tylko skompromitować. Co się tyczy przytoczonego w memorjale „faktycznego" materjału (wziętego także od p. Jeśmana), to ten składa się z plotek, insynuacyj, nieznajomości faktów, co doskonale wykazał świeżo p. Jeśmanowi i innemu jeszcze krytykowi przełożony misji wschodniej OO. Jezuitów, Ks. Włodzimierz Piątkiewicz, w broszurze „Prawda o Albertynie". [1]) Tę broszurę polecamy gorąco naszym czytelnikom, zwłaszcza jeśli chcą się dowiedzieć ile jest prawdy w powtarzanym wciąż zarzucie, jakoby obrządek wschodnio-katolicki był narzędziem niebezpiecznej dla państwa rusyfikacji ludności kresowej.

W zwalczaniu akcji unijnej powoływano się także na autorytet ks. biskupa Chomyszyna z Stanisławowa, który w swoim liście „o bizantyniźmie" traktował obrządek nowej akcji unijnej jako odrębny od obrządku grecko-katolickiego w Małopolsce i wypowiedział kilka krytycznych o nim uwag. Obecnie, w liście, ogłoszonym przez Kat. Agencję Prasową z dn. 10 marca 1932 r., ks. biskup Chomyszyn wyjaśnia, że rozróżnienie tych obrządków pochodzi nie od niego, lecz od pewnych sfer, które tę różnicę podkreślały i nową nazwę akcji unijnej nadawały, „żeby w ten sposób postawić kordon między obrządkiem grecko-katolickim w b. Galicji, a obrządkiem poza b. Galicją". Ks. Biskup wyraża „swoje przykre zdziwienie, że te same sfery, które przedtem tak silnie podkreślały tę różnicę, teraz zaczynają jednak głosić, że niema różnicy, że to ten sam obrządek". Przyjemnie nam tutaj stwierdzić, że tych „sfer" nie reprezentował *Przegląd Powszechny*, który zdania o różności tych obrządków nigdy nie podzielał. Wyjaśnienia swoje kończy Ks. Biskup „wykreśleniem" z swego listu o bizantyniźmie tych ustępów, które odnoszą się do akcji unijnej w byłym zaborze rosyjskim.

Kiedy chodzi o wschodni obrządek, to łatwo przyjmuje się i rozszerza każda plotka, choćby najniedorzeczniejsza. Posiadamy całą wspaniałą kolekcję wycinków z gazet, którą

[1]) Wydawnictwo Ks. Jezuitów w Krakowie, cena egz. 60 gr.

możnaby nazwać kolekcją fantazyj i niedorzeczności. Jedno pismo w całej akcji unijnej na Kresach widzi intrygę polityczną niemiecką, która odsunęła od tej pracy Polaków, a na ich miejsce nasłała Flamandów (sic!), inny dziennik doszukał się źródła intrygi w Czechach. Jeszcze inny, popularny w Polsce organ, w pogoni za sensacją na temat bizantyńskiego obrządku, padł nawet sam ofiarą prostej mistyfikacji ze strony jakiegoś pomysłowego reportera. Ten wymyślił reorganizację Komisji pro Russia, z zamianą jej tytułu na „pro negotiis extraordinariis", odgrzebał jakiś referat niejakiego ks. Siemiackiego z przed dziesięciu lat, który rzekomo miał się stać programem dla akcji Watykanu, z ks. profesora Petrani'ego uczynił specjalnie wysłanego na Kresy rusyfikatora wchodniego seminarjum w Pińsku i t. d. i t. d. Kat. Agencja Prasowa już sprostowała pogłoski, dotyczące Komisji pro Russia, a ks. Biskup Łoziński — plotki o ks. Petranim i nieistniejącem seminarjum wschodniem w Pińsku. [1]) Oby te sprostowania nauczyły większej ostrożności i krytycyzmu nasze redakcje! Wymaga tego zarówno powaga sprawy jak i prawo czytelników... do prawdy.

[1]) Już po napisaniu tych słów doszła nas bolesna wiadomość o zgonie świątobliwego Biskupa — wyznawcy.

Ks. Jan Urban T. J.

„Iuventus Christiana".

Potężne odrodzenie uczuć religijnych w dobie powojennej nie uwidoczniło się może nigdzie tak dobitnie, jak w dziedzinie życia akademickiego. Przed wojną akademik był niemal synonimem wolnomyśliciela „obnoszącego się ostentacyjnie ze swym sceptycyzmem i indyferentyzmem religijnym, jako znamieniem wyższości, dojrzałości i niezależności umysłowej. Przywiązanie do wiary ojców, do tradycyj religijnych poczytywano powszechnie za dowód słabości charakteru, niewyrobienia i pewnej ograniczoności intelektualnej. Istniały wprawdzie akademickie stowarzyszenia katolickie, niektóre prosperowały nawet dobrze, jak naprz. krakowska Sodalicja Marjańska akademików pod długoletniem, świetnem kierownictwem Ks. Bratkowskiego T. J., jednakowoż związki te nie były zbyt liczne i nie mogły wybić się na pierwszy plan w życiu młodzieży akademickiej, a choć formalnie równouprawnione, faktycznie były przez ogół traktowane trochę z góry, protekcjonalnie, jako *quantité negligeable*. Żywiołowe wstrząsy światowej zawieruchy wojennej zmieniły znacznie stosunek społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży do zagadnień religijnych. Nikt

nie potrzebuje się teraz kryć ze swemi wierzeniami i praktykami, czapki studenckie na nabożeństwach nie należą do rzadkości, rekolekcje studenckie (rzecz nie do pomyślenia przed wojną) gromadzą istne tłumy młodzieży obojga płci; w Warszawie zeszłego roku było 3000 osób, w Krakowie frekwencję obliczano na 50% akademików-katolików i do 80% akademiczek-katoliczek. Ożywiło się też naturalnie życie organizacyjne wśród młodzieży katolickiej. Dawne przedwojenne stowarzyszenia po okresie rozbicia wojennego powróciły do pracy wzmocnione liczebnie i duchowo, nadto powstały nowe organizacje, przynoszące ze sobą świeży zapał i nowe metody pracy. Do takich właśnie tworów epoki powojennej należy warszawskie stowarzyszenie młodzieży akademickiej „Iuventus Christiana", które 8 grudnia ub. roku obchodziło 10-lecie swego istnienia.

Założycielem i duszą tej nowej organizacji jest ks. rektor Edward Szwejnic. Niesłychanie to sympatyczna i ujmująca postać. Kresowiak urodzony w Mińsku w r. 1887, człowiek o szerokim rozmachu działania i wybitnych zdolnościach organizacyjnych, już jako młody kapłan pracował gorliwie nad młodzieżą polską na Kresach i w głębi Rosji. W r. 1919 próbuje organizować wśród uczniów gimnazjalnych w Mińsku stowarzyszenie „Iuventus Christiana", które miało w zasadach Chrystusowych szukać oparcia przeciw groźnemu zalewowi ideologji bolszewickiej. Wypadki wojenne unicestwiły te zbożne zamiary. Dopiero po zawarciu pokoju ks. Szwejnic, osiadłszy w Warszawie, zaczął realizować swe pomysły teraz już wśród młodzieży akademickiej. Pierwsze nieliczne grono osób zgromadził u siebie 8 grudnia 1921 r.; stało się ono zawiązkiem pierwszego koła imienia św. Augustyna. Odtąd organizacja rozrasta się szybko i liczy obecnie 14 kół, oraz około 250 członków w samej Warszawie, nadto po jednem kole w Poznaniu i Wilnie. Głównym celem związku jest pogłębienie ducha religijnego wśród członków przez rozszerzenie wiedzy religijnej, samowykształcenie i samowychowanie na zasadach Chrystusowych, oraz przygotowanie kadr przyszłej elity katolickiej; zaprawianie się do pracy społecznej stoi raczej na drugim planie. Nie trzeba dodawać, że „Iuventus" unika troskliwie wdawania się w jakiekolwiek walki partyjne, strzegąc ściśle swego apolitycznego charakteru. Cele związku zbliżają się tedy do tych, jakie posiada np. Sodalicja Marjańska lub „Odrodzenie", ale metody są odmienne, przyznać należy, że bardzo racjonalne i owocne.

Działalność stowarzyszenia ogniskuje się głównie w poszczególnych kołach. Koła te skupiają nieliczne grona (najwyżej 20) osób, które schodzą się co tydzień, zazwyczaj w prywatnem mieszkaniu księdza doradcy lub jednego z członków. Pierwszą część programu wypełnia czytanie i komentowanie Nowego Testamentu, najczęściej ewangelji; obowiązek objaśniania tekstu należy do przewodniczącego, który za każdym razem się zmienia. Druga

część zebrania zawiera referat na różne tematy aktualne, religijno-naukowe i społeczne, sprawozdania z literatury, czasopism (wśród których często figuruje *Przegląd Powszechny*) oraz dyskusja. Tematy referatów dla każdego koła są układane zgóry na cały rok i dobierane tak, by stanowiły pewną ideową całość. Jedne koła obrabiają tematy filozoficzne, inne dogmatyczne, eschatologiczne, społeczne, psychologiczne i t. p. Nadto każde koło posiada t. zw. teczkę zapytań, gdzie członkowie pisemnie przedstawiają swe pytania i wątpliwości z najróżnorodniejszych dziedzin, dotyczących religji, etyki i życia społecznego. Wątpliwości te są później dyskutowane na zebraniach koła i dostarczają nieraz tematów do nowych referatów. Każde koło posiada kierownika duchownego w postaci ks. doradcy, każde też obiera sobie za patrona jakiego świętego lub inną wybitną osobistość. Powyższa praca w nielicznem gronie osób daje bardzo dobre rezultaty. Naprzód każdy musi pracować, brać czynny udział w zebraniach, dyskusjach, niema członków martwych, jacy zawsze trafiają się, a nawet częstokroć przeważają w stowarzyszeniach licznych, gdzie niewielka garstka dźwiga cały ciężar pracy, a reszta zachowuje się biernie. Następnie ludzie w nielicznych kołach zżywają się ze sobą, przez ciągłą wymianę myśli poznają się wzajemnie i zbliżają do siebie, łącząc się serdecznemi węzłami koleżeństwa i zażyłości. Wytwarza się ciepła, jakby rodzinna atmosfera szczerości i zdrowego humoru, która ludzi pociąga do stowarzyszenia i zespala z niem duchowo. Powyższa ujmująca, ożywcza i zbawienna atmosfera środowiska to jeden z największych sukcesów organizacji, a zarazem doniosły i skuteczny środek pedagogiczny w jej ręku. Poszczególne koła odgrywają w życiu stowarzyszenia podobną rolę, jak seminarja w dziedzinie studjów uniwersyteckich t. zn. są ośrodkiem, gdzie koncentruje się praca naintensywniejsza i najbardziej owocna.

Zebrania programowe ogólne całego stowarzyszenia trafiają się rzadziej. Kilka razy do roku są zebrania dyskusyjne, na których zabierają głos starsi członkowie, poczem następuje część towarzyska. Pozatem ogół juventusiaków zbiera się raz na miesiąc na wspólne nabożeństwo w kościele św. Anny, a dwa razy na rok na wspólne uroczystości związkowe, które wypadają na święto Niepokalanego Poczęcia N. P. Marji (8 grudnia) i na Zielone Świątki. Tę ostatnią uroczystość poprzedzają wspólne, trzydniowe rekolekcje, poczem wszyscy gremjalnie przystępują do Stołu Pańskiego. Po południu tegoż dnia odbywa się tradycyjna, wspólna wycieczka.

Przepisy Iuventus nie nakładają na członków obowiązku częstego przystępowania do Sakramentów świętych, pozostawiając to prywatnej gorliwości poszczególnych jednostek, mimo to efekt w tym kierunku jest zadowalający. Podobnież bez nakazu spieszą juventusiacy gromadnie co niedzielę na akademicką mszę św.

w kościele św. Anny o godz. 10'30, poczem zbierają się samorzutnie u swego naczelnego przewodnika duchownego, ks. Szwejnica, gdzie przy herbatce spędza się chwilę czasu wesoło i załatwia różne sprawy organizacyjne. Podobna beztroska swoboda i wesołość cechują inne towarzyskie imprezy stowarzyszenia, czy to będzie choinka, połączona z humorystyczną szopką, czy „Andrzejki", czy imieniny dwóch głównych kierowników duchownych, ks. Szwejnica i ks. Detkensa, którzy dziwnym trafem noszą to samo imię Edwarda, czy wycieczki niedzielne poza miasto (nie obowiązujące, przychodzi, kto ma czas) i t. p. Na szczególną uwagę zasługuje obóz letni w Pomiechówku pod Modlinem. Na niewielkiej polance koczuje grupa juwentusiaków, złożona z 40—50 osób obojga płci. Za mieszkanie służą namioty, dwa przeznaczone dla akademiczek, jeden dla akademików i po jednym na świetlicę i kuchnię. Skład obozowy ulega ciągłej zmianie; prócz stałych bywalców pojawiają się także goście, którzy przybywają na kilka dni lub dojeżdżają na niedzielę z pobliskiej Warszawy. W ten sposób podtrzymuje się łączność duchową między członkami organizacji nawet w okresie wakacyjnym.

Idei samowychowania, która przyświeca stowarzyszeniu jako jeden z głównych jego celów, służą na szerszej arenie Tygodnie religijno-wychowawcze, aranżowane co roku przez „Iuventus Christiana". Uproszeni wybitni prelegenci, częstokroć profesorowie wyższych uczelni, omawiają w tygodniowym cyklu referatów różne zagadnienia pedagogiczne, przyczem każdy cykl tworzy pewną zamkniętą całość, np. trzeci Tydzień poświęcony był wychowaniu religijno-narodowemu, tegoroczny czwarty Tydzień zajmuje się kształceniem woli. Odczyty powyższe cieszą się znaczną frekwencją gości, przeważnie młodzieży akademickiej.

„Iuventus Christiana" zaprawia również swych członków do akcji społecznej, aczkolwiek przeważnie pośrednio, zalecając im współpracę w innych odpowiednich stowarzyszeniach. Najintensywniej pomagają juventusiacy akademickiej organizacji charytatywnej „Pomoc Bliźniemu", która prowadzi obecnie 9 świetlic, przeznaczonych na opiekę pozaszkolną dla 300 dzieci ze szkół powszechnych; nadto stowarzyszenie przychodzi z pomocą kilkudziesięciu rodzinom według metod, przyjętych w konferencjach św. Wincentego à Paulo. Dalej młodzież juwentusowa pracuje gorliwie w Patronacie (osobna sekcja w Tow. Opieki nad ociemniałymi), który prowadzi obecnie dwie świetlice dla ciemnych, starając się umilić trochę życie tym nieszczęśliwym kalekom. W tym roku wszyscy juwentusiacy wzięli obowiązkowo udział w akcji pomocy dla bezrobotnych, zainicjowanej przez Najprz. Ks. Biskupów.

Rolę łącznika duchowego między członkami organizacji starszymi i młodszymi odgrywa wspólny organ „Iuventus Christiana", wydawany dwa razy do roku w formie broszury wcale

dużego formatu. Na treść składają się artykuły literacko-naukowe w duchu ideologji stowarzyszenia, pisane przez jego członków; przeważnie czasopismo zajmuje się sprawami związku, podaje sprawozdania z dotychczasowej działalności i programu pracy na przyszłość.

Ustrój stowarzyszenia dostosowany jest do jego działalności. Każde Koło, prowadzące odrębne życie, posiada własny zarząd, wybierany na przeciąg roku akademickiego. Prezesi Kół wraz z księżmi doradcami i prezesem Zarządu Głównego tworzą Radę Naczelną, organ opinjodawczy, który zbiera się cztery razy do roku. Władzę wykonawczą nad całem stowarzyszeniem sprawuje Zarząd Główny, wybierany na przeciąg roku przez walne zebranie wszystkich członków zwyczajnych. Akademicy, wstępujący do stowarzyszenia, są początkowo członkami junjorami. Junjorów zaprawiają do pracy w organizacji starsi koledzy t. zw. instruktorzy; każde koło posiada przynajmniej jednego instruktora, względnie instruktorkę. Instruktorzy tworzą ponadto osobne koło, w którem pod kierunkiem samego ks. Swejnica omawiają sprawy, dotyczące wychowania i urobienia narastającego pokolenia juwentusiaków. Myśli się również o zorganizowaniu w osobny Związek senjorów, których liczba powiększa się ciągle w miarę kończenia studjów przez członków „Iuventus"; pierwsze koło senjorów utworzono już w Białej Podlaskiej.

Przegląd ogólny działalności stowarzyszenia „Iuventus Christiana" wykazuje, że zbliża się ono ideologicznie i strukturalnie może najbardziej do „Odrodzenia", różni się natomiast od niego po części kierunkiem (silniejsze akcentowanie samowychowania i samowykształcenia), oraz metodą pracy w nielicznem lecz umiejętnie dobranem gronie osób. Powyższy nadzwyczaj owocny system studjów stanowi główne „novum", jakie „Iuventus" wniosła do życia katolickiej młodzieży uniwersyteckiej w Polsce. Przyczynia się on w dużej mierze do pomyślnego rozwoju organizacji nie tyle co do rozrostu liczebnego, ile co do wartości wewnętrznej. Praca stowarzyszenia odpowiada doskonale aktualnym potrzebom naszej inteligencji katolickiej, której struktura duchowa wymaga koniecznie pogłębienia zarówno w kierunku moralnym, jak intelektualnym. Konieczność uzupełnienia nabytego w szkole wykształcenia religijnego jest postulatem tak oczywistym i powszechnie uznanym, że rozwodzić się nad nim dłużej trąciłoby zaiste truizmem. To też wolno wyrazić życzenie, aby organizacja ta zapuściła korzenie również w innych ośrodkach akademickich, które dotąd jej nie znają, t. j. w Krakowie, Lwowie i Lublinie.

Żywotność warszawskiej „Iuventus" opiera się nietylko na trafnem ujęciu potrzeb katolickiej młodzieży akademickiej i umiejętnych metodach ich zaspokajania; powodzenie swe zawdzięcza ta organizacja w znacznej mierze szczęśliwemu kierownictwu. Ks. rektor Szwejnic okazał się w całej pełni właściwym człowie-

kiem na właściwem miejscu. Doskonały znawca młodej duszy potrafił podbić sobie serca młodzieży i pozyskać jej zaufanie, to też nadawał się, jak nikt inny, do pracy apostolskiej wśród młodych umysłów. W trafnem rozpoznaniu tych jego zalet władza kościelna poruczyła mu w r. 1927 stanowisko duszpasterza przy parafji akademickiej św. Anny. Odtąd skromny dom proboszcza na Krakowskiem Przedmieściu stał się ośrodkiem, koło którego skupia się cały ruch katolicki na wyższych uczelniach warszawskich. Duszpasterz akademicki starał się przedewszystkiem nadać temu ruchowi jednolitą organizację. Z jego inicjatywy podjęto starania o utworzenie Związku wszystkich katolickich stowarzyszeń akademickich. Po czterech latach rokowań usiłowania te zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem. W październiku ub. roku utworzono Związek Akademickich Stowarzyszeń katolickich w Warszawie, do którego przystąpiły następujące organizacje: Iuventus Christiana, Katolicka Młodzież Narodowa, Koło Teologiczne S. U. W., Pomoc Bliźniemu, Sodalicje Marjańskie Akademików i Akademiczek, Akad. Chór „Ambrosianum" i Studjum Filozoficzno-Religijne S. U. W. „Odrodzenie" zajęło wobec Związku stanowisko życzliwe i przypuszczalnie przyłączy się do niego w przyszłości po pokonaniu pewnych trudności natury formalnej. Powstanie powyższego Związku posiada doniosłe znaczenie dla katolickiego ruchu na wyższych uczelniach warszawskich; usuwa on bowiem niebezpieczeństwo zbytniego rozproszkowania akcji wskutek równoczesnego istnienia większej liczby stowarzyszeń akademickich o pokrewnych zadaniach. Teraz poszczególne organizacje mogą swobodnie rozwijać działalność każda w swojem kółku, pielęgnować swe odrębne tradycje i stosować odmienne metody, gdyż w razie potrzeby wszystkie staną razem do wspólnej akcji pod jednolitem kierownictwem. Dlatego życzyćby sobie należało gorąco, aby również inne środowiska uniwersyteckie poszły niebawem za przykładem stolicy i utworzyły podobne lokalne Związki, które z czasem mogłyby się połączyć w jeden potężny, ogólno-polski Związek wszystkich katolickich stowarzyszeń akademickich.

Mieczysław Niwiński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 1 kwietnia 1932.

Ideologja bolszewizmu

Już piętnasty rok świat zdumiony patrzy na olbrzymi swemi rozmiarami eksperyment bolszewickiej przebudowy Rosji. Nieraz wieszczono temu eksperymentowi rychły a żałosny koniec. Najpierw spodziewano się, że tej uzurpacji politycznych awanturników położy koniec odruch zdrowej części społeczeństwa rosyjskiego, innemi słowy — kontrrewolucja wewnętrzna; jednocześnie próbowano — nie na wielką zresztą skalę — zorganizować interwencję obcych mocarstw. Potem liczono na załamanie się bolszewizmu pod ciężarem gospodarczych zawodów i niepowodzeń, lub pocieszano się, że bolszewizm stopniowo sam przejdzie ewolucję we wstecznym kierunku, przekonawszy się o utopijności swoich celów, — ta nadzieja była szczególnie pielęgnowana w epoce tak zwanego Nepu, t. j. „nowej ekonomicznej polityki" Sowietów.

Zawiodły wszakże rachuby na kontrrewolucję, na zbrojną interwencję obcych, na krach gospodarczy i na ewolucjonizm wsteczny bolszewickiego eksperymentu. Sławetny „nep" okazał się tylko taktycznym manewrem, odpoczynkiem „pieredyszką", jak go scharakteryzował sam jego inicjator Lenin, poczem w odróżnieniu od pierwszej negatywno-burzycielskiej fazy rewolucji nastąpiła jej faza konstruktywna, w której bolszewizm usiłuje zrealizować utopję całkowitego kolektywizmu. Plan pięcioletni, który zakreślił zlikwidowanie indywidualnej prywatnej, nawet drobno chłopskiej, gospodarki rolnej na rzecz gospodarstw kolektywnych (kołchozy) i państwowych (sowchozy), jako też potężną industrjalizację kraju czyli rozbudowy państwowego kapitalizmu — ten plan jest

w toku realizacji, a już nowy, jeszcze bardziej olbrzymi, przygotowuje się.

Jakiś czas „piatiletka" była przedmiotem żartów w innych krajach, lecz wkrótce poczęła budzić pewien niepokój i popłoch. A co będzie, jeśli się powiedzie? Czy świat kapitalistyczny wytrzyma współzawodnictwo przemysłu i uprzemysłowionego rolnictwa bolszewickiego? Próby dumpingu, jakie Moskwa poczęła stosować w różnych krajach, ukazywały niewesołą perspektywę, że może przyjść czas, kiedy bolszewizm zupełnie zdezorganizuje produkcję krajów innych, że te kraje doprowadzi do ubóstwa, a tym sposobem przygotuje świat do rewolucji skuteczniej, niż to czynił przez swoją propagandę, z której zresztą także nie rezygnuje.

I świat kapitalistyczny wobec „piatiletki" i wobec „dumpingu" zajął pewną postawę. Jaką? Czy może zorganizowanej i zgodnej obrony? Niechaj odpowiedzą fakty. „Piatiletka" w zniszczonym przez pierwszą fazę rewolucji kraju nie była możliwa do zrealizowania bez pomocy obcego kapitału, owszem — obcych ludzi. Zarówno ludzi, jak kapitału począł dostarczać Sowietom świat kapitalistyczny. Z Niemiec, z Ameryki, a częściowo z innych krajów pociągnęły do Rosji, jak do Ziemi obiecanej, tysiące inżynierów, podejmujących się zbudowania i puszczenia w ruch olbrzymich przedsiębiorstw przemysłowych, jako też instruktorów, mających wykształcić techniczny personel w samej Rosji.[1]) Maszyn do wyposażenia budujących się fabryk dostarczył także przemysł kapitalistyczny. Płacono mu za nie walutami, wyciąganemi na miejscu przez dumpingową sprzedaż towarów sowieckich, lub brano maszyny na kredyt, który gwarantowały sameż kapitalistyczne państwa. Zadłużenie Sowietów u innych państw z tego tytułu wzrasta i wątpliwe, czy Sowiety z tych długów uiszczą się. Jeśli przekreślą te długi, jak przekreśliły długi Rosji carskiej, w takim razie za maszyny dostarczone dla zrealizowania piatiletki kraje kapitalistyczne zapłacą sobie z własnej kieszeni. Ratują się przed tą ewentualnością ułatwieniem Sowietom przywozu towarów

[1]) Przypominamy drukowany u nas artykuł Inż. Micewicza: *Plan pięciolecia w Związku Sowietów. Przegl. Powsz.* marzec 1932.

sowieckich do siebie. Włosi spożywają już wielkie ilości makaronów, wyrabianych z pszenicy rosyjskiej, palą w swych kuchniach i lokomotywach sowiecką naftą, której olbrzymie cysterny stoją już w Sawonie, zbudowane przez samych bolszewików. Francja opala naftą kaukaską pono całą swoją marynarkę wojenną. Anglja sprowadza rosyjskie drzewo, a płaci za nie maszynami włókienniczemi, które będą wyrabiały materjały dla Indyj i Chin, dotychczasowego rynku zbytu kurczącego się przemysłu manchesterskiego. Chwytam tylko parę przykładów tej dziwnej „walki z czerwonym handlem", jak stosunki handlowe z Sowietami ironicznie nazwał świeżo amerykański komiwojażer.[1]) Patrząc na stanowisko względem Sowietów, zajęte przez ów skazany przez nie na zagładę świat kapitalistyczno-burżuazyjny, nie można tego nazwać inaczej jak szaleństwem ludzi, kręcących pętle na własne szyje. Przytem widać nawet wyraźny wyścig w tem kręceniu sznura, jakby w bojaźni, by ktoś inny w tej robocie nie ubiegł skazańca: przecież lepiej, że przed zaduszeniem jeszcze ja zarobię coś za ten sznur, a nie mój sąsiad, a wisieć czy tak czy inaczej trzeba będzie...[2])

Jeżeli pozwoliłem sobie na ten przydłuższy nieco wstęp, nie mający zdawałoby się prostego związku z wziętym do opracowania tematem, to pozwoliłem sobie na to, by uprzytomnić, że dla trwałości Sowietów, dla powodzenia ich planów pracuje cały świat. I że w tem popieraniu przez Europę i Amerykę swego śmiertelnego wroga nie gra żadnej roli jakaś wyższa myśl, jakaś misja na rzecz tak podkreślanej „cywilizacji i kultury europejskiej" czy czegoś podobnego, nawet nie obmyślany mądrze interes materjalny na dalszą metę; występuje tu raczej jakiś defetyzm w obliczu zbliżającego się fatalnego końca, defetyzm skazańca, którego ideałem ostatnim jest zjeść jeszcze sutą kolację. Przedewszystkiem w tej postawie zadziwia brak jakiejkolwiek so-

[1]) Rewelacyjna książka H. R. Knickerbockera, *Walka z czerwonym handlem*, przełożona przez prof. Z. Szymanowskiego, Warszawa 1932.

[2]) Tak charakteryzuje postawę Europy wobec Sowietów poważny francuski miesięcznik *Le Correspondant* (z dn. 10 kwietnia 1932) w artykule Rochefort'a (zapewne pseudonim) p. t. *L'Europe en folie devant l'Invasion.*

lidarności krajów zachodnich wobec grożącej zachłanności komunizmu, nieumiejętność zorganizowania jakiejkolwiek obrony, owszem wzajemne szkodzenie sobie: nie mój sąsiad, ale ja niechaj jeszcze coś zarobię na stosunkach z Sowietami, on niechaj straci...

Ten defetyzm, ten brak wyższej myśli i idealizmu w kapitalistycznym świecie, będzie może dobrem tłem, na którem wystąpi tem wyraziściej groza bolszewickiej ideologji, o której chcę tutaj pomówić. Bo jeśli świat zachodni nie posiada jednej, konsekwentnej ideologji, którąby przenikała całe jego życie gospodarcze i cementowała w solidarny organizm wszystkie jego członki, wszystkie gałęzie produkcji i wszystkie kraje — to bolszewizm taką ideologję posiada. Ideologją tą niewiele zajmuje się publicystyka innych krajów,[1]) za mało bowiem ją zną, albo zbyt nisko szacuje jej wpływ na czynną politykę Sowietów. Faktycznie jednak ta ideologja robi swoje, w niej wychowuje się całe młode pokolenie wszystkich ludów 160-miljonowego Związku Sowieckiego. St. Mackiewicz w swojej książce „Myśl w obcęgach" nie bez racji stwierdza, że każdy rok, w miarę jak schodzą do grobu starzy, przedrewolucyjni ludzie, a wychowują się młodzi, pracuje na korzyść systemu sowieckiego — właśnie dzięki przenikaniu się ideologją bolszewicką i terminologją jej coraz szerszych zastępów.

Jaką jest ideologja bolszewizmu?

Bolszewicy sami określają ją w dwóch wyrazach: materjalizm dialektyczny. Ta nazwa, przejęta od marksistów zachodnich, streszcza w sobie cały światopogląd, a zarazem metodę praktycznego działania bolszewizmu. Opracowane przez Lenina pojęcie materjalizmu dialektycznego jest niezmiernie skomplikowane i stanowi dzisiaj w bolszewizmie przedmiot szczegółowych studjów i akademickich wykładów. Postarajmy się wniknąć w jego treść.

a) Materjalizm dialektyczny przeciwstawiany jest przedewszystkiem wszelkim idealistycznym teorjom pozna-

[1]) Zwracamy wszakże uwagę na dwie ważne publikacje z tej dziedziny: 1. René Fülöp-Miller *Geist und Gesicht des Bolschewismus*, Amalthea-Verlag, Zürich - Leipzig - Wien, wyd. 2 z r. 1928; 2. Waldemar Gurian, *Der Bolschewismus*, nakł. Herdera, Freiburg 1930.

nia. Wyklucza więc — co możnaby poczytać mu za zasługę — subjektywistyczne pojmowanie poznania, t. j. jakoby człowiek poznawał bezpośrednio jedynie własne wrażenia bez możności dotarcia do objektywnej prawdy, tworzył sobie obraz świata bez możności sprawdzenia czy ten obraz odpowiada objektywnej rzeczywistości. Subjektywistyczne teorje poznania, prowadzące w ostatecznej konsekwencji do sceptycyzmu w kwestji objektywnej prawdy, a nawet do solipsyzmu w rodzaju teorji Berkeley'a, są bezlitośnie zwalczane przez filozofów bolszewickich jako chorobliwy objaw i sybarytyzm umysłowych burżuazyjnych próżniaków. Zwalczane są też wszystkie kierunki filozoficzne, nawiązujące do krytycyzmu Kanta, jak naprz. empirio-krytycyzm Macha i Avenariusa. Dla Lenina i jego uczniów nie istnieje żadne powątpiewanie o istnieniu zewnętrznego materjalnego świata ani o tem, że świat ten odbija się wiernie na umyśle poznającego, jak na płycie fotograficznej. Jest to, jak widzimy, stanowisko określane w filozofji jako „naiwny realizm"; tylko taka filozofja — według bolszewików — odpowiada klasie pracującej, która nietylko kontempluje, ale we własnych rękach obrabia materję. Idealizm jest odrzucany przez bolszewików jeszcze z innego powodu: mianowicie jest on, według nich, zakapturzoną religją. W idealiźmie czai się ukryta jakaś teleologja, świat zmierza w swym rozwoju do jakiegoś celu, do coraz wyższego doskonalenia się. Lecz celowość suponuje kogoś, kto ten cel zakłada, a więc jakiegoś Boga, chociażby „wykąpanego w wodach filozoficznej spekulacji".[1]) A właśnie Boga bolszewizm za nic w świecie uznać nie chce. I oto przychodzimy do drugiego składnika pojęcia materjalizmu dialektycznego:

b) Jest nim zaprzeczenie wszelkiego spirytualizmu, czyli materjalizm metafizyczny. Niema Boga, niema świata duchów, niema odrębnej od ciała duszy w człowieku. Człowiek poznaje świat objektywny, ale wśród tego świata nie spotyka

1) „Wszelkie rozważania idealistyczne prowadzą wkońcu do jakiegoś pojęcia Boga i dlatego w oczach marksisty są prostą niedorzecznością. Nawet Hegel przecież dostrzegł w Bogu konkretną formę Dobra i Rozumu, które rządzą światem..." Bucharin, cyt. u. Fülöp-Millera, str. 73.

się z żadnym duchem. Duch to wytwór fantazji pod wpływem patrjarchalnego, feudalnego i kapitalistycznego ustroju gospodarczego. Wiadomo, że Marx religję narówni z filozofją, prawem, sztuką i t. d. poczytał tylko za nadbudowę ustroju ekonomicznego, za refleks takich czy innych stosunków i warunków gospodarczych. Ta jego teza jest uważana w bolszewizmie za dogmat, nie podlegający żadnej rewizji ani dyskusji.

Ten materjalizm metafizyczny nie odrazu stał się obowiązującym w bolszewizmie. W pierwszych latach swojej działalności rewolucyjnej Lenin — osobiście zawsze ateusz — mało przykładał znaczenia do kwestji czy istnieje Bóg, czy nie. Jeszcze po rozłamie rosyjskiej socjalnej demokracji na dwa obozy, bolszewików i mienszewików, w pierwszych latach obecnego stulecia, światopogląd zdecydowanie materjalistyczny propagowany był raczej w obozie mienszewickim przez Plechanowa, podczas gdy w szeregach bolszewickich rozwijał pewne poglądy religijne Bogdanow, ideowy przeciwnik Plechanowa.[1]) Do sporu wmieszał się Lenin, który poświęciwszy jakiś czas w Londynie studjom filozoficznym doszedł do przekonania, że jedynie dopuszczalnym dla pracującego proletarjatu światopoglądem może być materjalizm i ateizm. Przeniknął się on do głębi maksymą Marxa, że religja, wiara w Boga, to „opium ludu", narkotyk usypiający i niszczący rewolucyjność proletarjatu; dostrzegł on także ścisły związek między materjalizmem dziejowym, wykrytym przez Marxa, a materjalizmem metafizycznym, związek, podawany niekiedy w wątpliwość przez samych marksistów (u nas naprz. przez M. Niedziałkowskiego).

Rozstrzygnąwszy spór na korzyść przedstawiciela wrogiego sobie skądinąd mienszewizmu, Lenin uczynił materjalizm metafizyczny wraz z ateizmem kanonem prawowiernej marksowskiej myśli. Zatem istnieje tylko materja. Jak niegdyś Mojżesz do ludu wybranego zwracał się ze słowami: „Słuchaj, Izraelu, Jahwe Bóg nasz, jedyny Pan jest", tak bolszewizm odzywa się do swych wyznawców: „Jest materja,

---

[1]) Zob. Th. Masaryk, *Zur russischen Geschichts- und Religionsphilosophie.* Jena 1913, tom II, str. 278—353.

i ona jedynie jest". Jest tylko materja i jej przemiany. Dusza to tylko zespół pewnych objawów materji, to funkcja materji. „Jest to suma wszystkich refleksów względnych i bezwzględnych, wywołanych oddziaływaniem bodźców zewnętrznych i wewnętrznych na nasz systym nerwowy i mózgowy" — tak określa duszę pewien bolszewik Polak.[1]) Myślenie nie jest jakąś funkcją niematerjalną; według bolszewickiej metafizyki jest to tylko najsubtelniejszy objaw działania materji, produkt materji w sposób najwyższy zorganizowanej. Nie sprawiają bolszewickim filozofom kłopotu nawet pojęcia ogólne, pojmowania relacyj etc., właściwe myśleniu ludzkiemu. I one są „nadbudową" produkcji gospodarczej. Według cytowanego już Przybyszewskiego, „ogólne pojęcia" są odpowiednikami pewnych wyrazów mowy, a mowa wytworzyła się z pierwotnych okrzyków, towarzyszących produkcji i używaniu przy niej pewnych narzędzi. Wyrazy są symbolami, któremi myślimy, lecz one same są materjalne.

Oczywiście jeśli duszy niema, to niema miejsca w metafizyce bolszewickiej i dla wolnej woli. Bolszewizm wyznaje najzupełniejszy determinizm. Chcenia człowieka są bez reszty objaśniane przez działanie bodźców zewnętrznych, sprawiających w człowieku określone zmiany fizjologiczne, chemiczne i fizyczne. Nawet idea jakaś, zapadająca w umysł człowieka, powoduje podobne zmiany w ciele człowieka i determinuje jego reakcje w postaci chcenia i działania.

c) Trzeci składnik pojęcia materjalizmu dialektycznego odróżnia go od materjalizmu Oświecenia 18 wieku i materjalizmu przyrodników 19 stulecia. Tamtych materjalistów zajmowała tylko „przyroda", chociażby łącznie z człowiekiem, ale człowiek brany był jako jednostka, posiadająca pewną określoną naturę. Materjalizm dialektyczny, idąc za Marxem, rozszerza krąg zainteresowań, wciągając także życie gospodarcze, będące najwyższym objawem procesów w prze-

[1]) B. Przybyszewski, *Religja i nauka*, Moskwa, str. 79. Posługuje się on słownictwem i pojęciami („refleksy względne i bezwzględne" t. j. nabyte i wrodzone) rosyjskiego psychologa i fizjologa Pawłowa. Psychologja Pawłowa, kontynuowana przez Bechtierewa, przeszczepiona na grunt amerykański, otrzymała nazwę „behavioryzmu"; głównym jego przedstawicielem jest J. O. Watson.

mianie materji. Tem samem, zamiast charakteru statycznego, jaki cechował materjalizm przyrodniczy, materjalizm bolszewicki przybiera cechę dynamiczną, usprawiedliwiającą nazwę „dialektyczny". Materjalizm dialektyczny przeto, o ile jest teorją poznawania, jest poznawaniem objektywnej rzeczywistości w jej ruchu, w jej stawaniu się, w jej ustawicznej przemianie. Materjalizm dialektyczny chwyta jakby *in flagranti* czynniki tego ruchu i przemian, jakiemi są środki produkcji gospodarczej, t. j. rozwijająca się jej technika, poza tem walka klas i t. d. Materjalizm dialektyczny jest odwróceniem idealizmu dialektycznego Hegla; tam rzeczywistość objektywnego rozwoju świata była tylko refleksem wtórnym dialektycznego rozwoju idei, tutaj ideologja, poznanie, jest wierną fotografją objektywnego rozwoju materjalnego świata. Tego odwrócenia dokonał już kiedyś Feuerbach, o którym mówiono, że odwrócił Hegla do góry nogami, albo lepiej — postawił go na nogi, gdyż poprzednio stał na głowie.

d) Wreszcie czwarty składnik pojęcia materjalizmu dialektycznego, który może najbardziej jest podkreślany przez teoretyków bolszewizmu, polega na tem, że jest on nie pustą, choćby prawdziwą, teorją, nie samem poznaniem rzeczywistości w jej rozwoju, lecz jednocześnie staje się narzędziem nowych przemian w owej objektywnej rzeczywistości. Dla bolszewizmu wstrętny jest bezpłodny „scientyfizm", chociażby w postaci materjalistycznego światopoglądu. Materjalistyczne poznawanie świata to prawdziwie rewolucyjny czyn pracującego proletarjatu, to ideologiczna broń w jego ręku w klasowej walce o byt, narzędzie w tworzeniu socjalistycznej formy gospodarki. Według bolszewickiego profesora Timiriaziewa,[1]) wartość wszelkiego badania naukowego i wszelkiej pracy poznawczej należy oceniać jedynie według tego czy się da ono praktycznie zastosować, technicznie w produkcji wyzyskać. Zdaje się Lenin ujął tę cechę materjalizmu dialektycznego w formułę: jedność teorji i praktyki, należącą do najczęściej i z naciskiem powtarzanych dogmatów bolszewizmu współczesnego. Ta jedność jest logiczną konse-

[1]) Cyt. u Fülöp-Millera str. 84.

kwencją metafizyki materjalistycznej, nie uznającej wolnej woli człowieka. W konsekwentnym• determiniźmie „myśl", zdobyta badaniem (bezpośredniem czy książkowem) rzeczywistości, jest wyrazem, pokrywającym pewien zespół bodźców zewnętrznych, które z konieczności wywołują pewne odruchy w poznającym podmiocie, odruchy, nazywane potem „działaniem" człowieka. Poznawanie, myśli, które nie są zdolne służyć bezpośrednio dalszemu kształtowaniu rzeczywistości i to jedynie w kierunku budowy socjalistycznego ustroju gospodarki, takie poznawanie, takie myśli, muszą być bezwzględnie tępione, jako chorobliwe objawy organizmu, jako szkodliwe chwasty, zagłuszające pożyteczną roślinność.

Usiłowałem jak najprzystępniej wyłożyć istotę ideologji bolszewizmu. Widzieliśmy, że ta ideologja nie jest pozbawiona pewnej wielkości, polegającej na usiłowaniu zawarcia wszystkiego w jednej formule, powiązania wszystkich zagadnień teoretycznych i praktycznych w jeden konsekwentny system. Nic dziwnego, że bolszewizm jest dumny z tej swojej ideologji, że jest tak jej pewny, iż tę pewność można porównać chyba jedynie z pewnością, jaką o swojej wierze posiadają ludzie głęboko religijni. Dlatego w oczach wielu postronnych badaczy bolszewizm występuje, jako s w e g o r o d z a j u n o w a r e l i g j a. Religja bez Bóstwa transcendentalnego, ponadświatowego, zatem religja ateistyczna, ale religja, posiadająca swój absolut — materję, swoje konieczności przeznaczenia — kształtowanie się materji aż do końcowego etapu — komunistycznego ustroju gospodarki i produkcji. W służbę tym koniecznym przeznaczeniom wciągnięty jest także człowiek-proletarjusz, jedyny świadomy chociaż bezwolny współpracownik kosmicznego procesu. To jest jego jedyny kult religijny, jeśli tak wolno się wyrazić.

Tej religji nie wolno podawać w żadną wątpliwość, ani nad dogmatami jej dyskutować. Wolność słowa i myśli (jeśli o wolności jakiejś może być mowa przy metafizycznym materjaliźmie) dotyczą jedynie drugorzędnych szczegółów, a właściwie tylko tego, czy te dogmaty — ta „generalna linja", jak się wyrażają bolszewicy, jest całkowicie stosowana w życiu, czy niema uchyleń od niej, „ukłonów", które są

piętnowane jako zdrada interesów proletarjatu, jako kompromisy z obcym burżuazyjnym światem. Na straży tej wiary, niby trybunał inkwizycyjny, stoją partyjne władze, stoi osławione G. P. U., które nie zadawalnia się wykrywaniem czynnej „kontrrewolucji", ale wgląda w umysły członków własnej partji, wychowawców młodego pokolenia, pracowników nauki. Wiadomo, że niema w Rosji bolszewickiej miejsca na niezależną prasę, na jakąś „opinję publiczną". W szkołach sama ucząca się młodzież jest upoważniona i powołana do czuwania nad materjalistyczną prawowiernością swoich wychowawców i profesorów; najmniejsze uchylenie się od pionu tej prawowierności pociąga za sobą smutne dla heretyków skutki: sądy młodzieży nad nauczycielami, bojkot ich wykładów, donosy do władz wyższych, wreszcie „czystkę", czyli usuwanie nieprawomyślnych elementów. To samo dotyczy takich ciał naukowych, jak Akademja Nauk i różne towarzystwa naukowe: miejsca w nich niema dla ludzi o innym sposobie myślenia i innym światopoglądzie, niż oficjalnie obowiązujący materjalizm dialektyczny. Uczeni nawet największej miary, ale o innym typie umysłowym, zostali skrzętnie wyłowieni, pousuwani, powypędzani zagranicę, lub wloką nędzny głodny żywot. Nic dziwnego, że w takich warunkach także cała produkcja literacka i artystyczna musi stać w usługach materjalistycznego światopoglądu i „socjalistycznego budowania". Bolszewizm zostawia łaskawie miejsce dla poezji, teatru i sztuk plastycznych, ale pod warunkiem, że będą czystem odbiciem komunistycznej ekonomiki i jednocześnie narzędziem do dalszej jej rozbudowy. Czy ten materjalizm w „artystycznej twórczości" zawsze jest szczery, czy nie przemyca się tą drogą pewnej kryktyki samych materjalistycznych założeń — to inne pytanie; faktem wszakże pozostaje, że i nad artystyczną twórczością czuwa pilne oko, że często utwory, wczoraj jeszcze uznawane za prawowierne, dzisiaj, po pilniejszem zestawieniu ich z panującą „generalną linją" politycznego areopagu, dostają się na indeks, wycofywane są z bibljotek i odsyłane do fabryk na papier. Stosunkowo jeszcze najbardziej niezależnie trzyma się muzyka, chociaż nie brakło prób stworzenia muzyki typowo-proletarjackiej,

w której rolę instrumentów muzycznych odgrywały między innemi syreny fabryk. [1])

Ta pewność, z jaką umysłowi menerzy bolszewizmu odnoszą się do swojej ideologji, znajduje u nich teoretyczne objaśnienie. Wszelki sceptycyzm i towarzyszący mu pesymizm to znamiona dekadencji, a dla dekadencji jest miejsce tylko w umysłowości burżuazyjnej. Mohikanie ginącego kapitalistycznego świata przeczuwają śmierć ustroju, w którym tkwią, to zaś musi wytwarzać w nich pesymizm i zwątpienie o wartości ludzkiego umysłu i życia. Przeciwnie, komunista, proletarjusz, współtwórca w dialektycznym rozwoju świata wie, że do niego należy przyszłość, dlatego z konieczności jest on optymistą i pewnym siebie i swojej ideologji. Umysł jego, nie zatruty zwątpieniem, śmiało patrzy w rzeczywistość i prawdę, prawdę jedynie istniejącej materji, której on sam jest cząstką najszlachetniejszą i którą on też przekształca według immanentnych jej praw.

Jeżeli w bolszewizmie jest jeszcze jakieś miejsce, chociaż bardzo ograniczone, dla nauki i dla twórczości artystycznej, to niema już w nim żadnego miejsca dla religji, religji właściwej, uznającej Boga i jego prawo nad ludźmi. Niechaj nas nie łudzą pozory, że komiwojażer europejski zauważy jeszcze w Rosji sowieckiej pewną liczbę otwartych kościołów, a w nich tłumy modlącego się ludu, że od czasu do czasu czytamy zapewnienia rządu bolszewickiego, a chociażby jakiegoś hierarchy prawosławnego, że w Sowietach panuje zupełna wolność religijna. Badajmy sprawę w świetle ideologji bolszewickiej, a przekonamy się, że w Rosji istnieje i istnieć musi w permanencji prześladowanie religji, gdyż religja, religja wszelka poza religją materji, skazana jest na nieuniknioną zagładę. Zapewnienia o „tolerancji" są ogłaszane dla zagranicy; tolerowanie pewnej ilości miejsc kultu religijnego jest rzeczą taktyki, która woli stopniowo dojść do zamierzonego celu. Faktem jest, że liczba owych miejsc, t. j. świątyń, podobnie jak liczba duchowieństwa wszelkich wyznań, maleje z roku na rok (to tłumaczy także przepełnienie świątyń pozostałych), że równolegle do „piatiletki"

[1]) Zob. Fülöp-Miller, str. 235 i nast.

gospodarczej istnieje opracowany pięcioletni plan walki z religją, podług którego w r. 1934 mają być zamknięte ostatnie przybytki czci Bożej. Wolność religijna, proklamowana w początkach rewolucji, otrzymała niebawem cyniczny komentarz: „walczyliśmy o wolność, której nie było, t. j. o wolność dla siebie, dla bezbożników, a nie dla religji, szkodliwej dla narodu." Dlatego w nowej (z r. 1929) ustawie, dotyczącej kultów religijnych, znikła dawna koncesja na prowadzenie religijnej propagandy; dziś toleruje się jedynie „wyznawanie" religji (i to nie w obozie komunistycznym), lecz nie jej rozszerzanie lub obrona. Propaganda i prozelityzm są przywilejem wyłącznym ateizmu, podczas gdy walka przeciwko ateizmowi jest kwalifikowana jako czyn kontrrewolucyjny i jako taki surowo karana. Wiedzą o tem więzienia, mieszczące tysiące kapłanów, wie o tem gehenna naszych czasów, Sołowiecka kolonja skazańców. Zresztą środki propagandy religji już dawno zostały zniszczone: niema żadnych uczelni teologicznych, podczas kiedy pootwierano osobne instytuty dla kształcenia apostołów ateizmu; niema żadnej prasy ani książek treści religijnej, podczas gdy „Bezbożnik" rozchodzi się w paru miljonach egzemplarzy, we wszystkich używanych w Związku sowieckim językach. Jeśli kiedyś historyk zestawi i porówna dzisiejszą inkwizycję bolszewicką z inkwizycją średniowieczną lub hiszpańską, jakże pochlebnie będzie musiało wypaść dla tych ostatnich takie porównanie!

Likwidacja religji postępuje z zastraszającą i wciąż rosnącą szybkością. Już Lenin uważał ją za jedno z najważniejszych zadań komunizmu. Religja w jego pojęciu to chorobliwy refleks prywatno-kapitalistycznego ustroju i wraz z nim zniknąć musi, ale nie znaczy to, według niego, by ją pozostawiać w spokoju w nadziei, że zniknie ona sama przez się w nowych gospodarczych warunkach. Likwidacja jej winna się odbywać równolegle z urzeczywistnianiem ustroju socjalistycznego, bo ona jest jednym z momentów tego urzeczywistniania. Przypomnijmy sobie czwarty składnik pojęcia materjalizmu dialektycznego: poznanie staje się narzędziem nowej przemiany; w zastosowaniu do religji znaczy to: uświadamianie jej iluzoryczności i szkodliwości musi się odrazu zamieniać na czynną z nią walkę. Dlatego

widzimy w Rosji bolszewickiej niesamowite zjawisko ścisłego połączenia zarządzeń natury gospodarczej z zarządzeniami, dotyczącemi kultu religijnego. Kiedy się przeprowadza kolektywizację gospodarstw prywatnych, jednocześnie działa ustawa, zabraniająca kolektywom, „kołchozom" jakichkolwiek świadczeń na utrzymanie kultu religijnego. „Związek komunistycznej młodzieży", „komsomoł", stawia sobie za jeden z najpierwszych celów czynną walkę przeciwko religji zapomocą odczytów, radja, maskarad z nabożeństw kościelnych; z drugiej strony „Związek wojujących bezbożników" do metod swej walki z religją zalicza popieranie w postaci tak zwanych „szturmowych brygad pracy" — przeprowadzania kolektywizacji i nieprzerwanej pracy po fabrykach.

Łatwo zrozumieć, jak ta ideologja bolszewicka uboży ludzkiego ducha. Ujęta w ciasne ramki materjalistycznych formułek, stworzyła ona sobie odrębny język, zakrzepłą terminologję, która powtarzana wszędzie i zawsze, padając na umysły nie karmione żadną inną strawą, wytwarza stan jakiejś masowej sugestji i ten stan pewności i zadowolenia z siebie, jakim się szczycą bolszewicy. Warto posłuchać radja bolszewickiego, przerzucać czasopisma bolszewickie, by spostrzec przeraźliwą jednostronność i ubóstwo myśli, zainteresowań i słownictwa bolszewickiego. Nic, tylko produkcja, realizacja piątiletki, budownictwo socjalistycznego ustroju, leninizm, marksizm, materjalizm dialektyczny, walka klas, niszczenie burżujów, tępienie „ukłonów" (odchyleń) we własnej partji i t. d. Cała ta edukacja bolszewicka przedstawia jakiś cheder starozakonny, gdzie nauka polega na wbijaniu w pamięć gotowych formuł i rozwiązań Talmudu. Dla jakiegokolwiek rozszerzenia horyzontów myślowych poza zaklęte szranki materjalizmu dialektycznego, dla samodzielnego myślenia niema żadnych warunków; przeszkadzają temu ścisła cenzura, żelazna dyscyplina partyjna, [1])

[1]) Charakterystyczną dla ostatnich lat historji bolszewizmu jest walka przeciwko owym „ukłonom" we własnej partji; już prawie wszyscy bezpośredni pomocnicy Lenina w rewolucyjnym przewrocie, Trockij, Zinowiew, Radek, Kamieniew, Joffe, padli ofiarą tej walki i usunięci zostali z pola. Walczy się dalej przeciwko resztkom „trockizmu", „luxemburgizmu" (od Róży Luxemburg), podejrzany jest już podobno o brak prawo-

odgrodzenie od zachodniego świata, a w rezultacie wytwarza się w wychowanem już przez bolszewizm pokoleniu ta tępa pewność, że się posiadło kamień filozoficzny prawdziwej mądrości.

Próżnem byłoby dowodzić bolszewikom, że taka ich ideologja i taka pedagogja sprzeciwiają się naturze człowieka, zubożają ją. W materjaliźmie dialektycznym i na taki zarzut znajduje się gotowa odpowiedź. Materjalizm dialektyczny nie zna i znać nie może jakiejś natury człowieka niezmiennej, której to lub owo sprzeciwiałoby się. Właśnie materjalizm dialektyczny odkrywa zmienność wszystkiego, nie wyjmując natury ludzkiej. Właśnie rewolucja proletarjacka nie ogranicza się do przemiany stosunków ekonomicznych, ustroju gospodarczego, ona zmienia samego człowieka, ona jest pedagogją kształtującą nową jego naturę. Ta pedagogja nie poprzestaje na ukazywaniu jedynie jakichś unoszących się w idealnym świecie zasad; ona polega na wewnętrznej przemianie istoty człowieka. Oparta o materjalistyczne pojmowanie procesów wytwórczych w gospodarstwie, wdraża ona w człowieka odbicie tych procesów, utrwala je w jego mózgu, nerwach, mięśniach i gruczołach, w składzie chemicznym jego krwi, stwarza w nim nowe upodobania, instynkty, słowem nową dopasowaną do nowych warunków naturę.

Faktycznie obserwacja pokolenia, wychowanego w szkole, w ideologji, w żargonie mowy bolszewickiej, jakoby potwierdzała słuszność tego materjalistycznego rozumowania. W Rosji bolszewickiej powstaje nowy typ człowieka, inna rzecz czy wyższy, ale nowy, inny, niż jakim się szczyciła cywilizacja zachodnia. Typ człowieka-materjalisty do szpiku kości, typ człowieka-maszyny roboczej bez żadnych dodatków. My nazwiemy to niesłychanem pokrzywdzeniem, okaleczeniem natury ludzkiej, on sam szczycić się będzie swą trzeźwością, wyzwoleniem się z „idealistycznych mrzonek". My i on jesteśmy pono równie logiczni, tylko każdy w obrębie swoich założeń i swoich najgłębszych przekonań. Dla-

---

wierności nawet Jarosławskij, przywódca „Związku wojujących bezbożników".

tego próżnem wydaje mi się usiłowanie ideowego zwalczania bolszewizmu ze stanowiska naszych chrześcijańskich czy poprostu spirytualistycznych lub idealistycznych założeń. One chyba służyć mogą tylko za bodziec do walki o sprawę, o wartość człowieka pełnego, ale nie jako sylogistyczna broń do przekonania przeciwnika. Tem mniej skuteczną bronią przeciwko niemu byłoby jedynie wypowiadanie oburzenia na jego brak etyki i na jego zbrodnie, okrucieństwa. W jego ideologji materjalnej na etykę i na wartościowania moralne czynów niema miejsca. A wszakże jakaś walka przeciwko temu, idącemu od wschodu chamstwu jest konieczna. Walka przeciwko ideologji także, a nietylko przeciwko takim czy innym politycznym lub handlowym posunięciom Sowietów. I walka przeciwko ideologji bolszewickiej staje się tem potrzebniejszą i bardziej naglącą, im bardziej załamuje się walka na frontach gospodarczym i politycznym. Jak tę walkę prowadzić — zaiste rzecz godna głębokiego przemyślenia. Ale dzisiaj nad tem myśleć nie będziemy. Na dzisiaj, na jeden raz, dosyć postawić problem w całej jego grozie przejmującej.

Ks. Jan Urban T. J.

Mickiewicz jako krytyk pseudo-klasyczny.

I.

Bogaty i wszechstronny talent Mickiewicza nie ograniczał się wyłącznie do poezji. Wychodził poza jej zakres, podążał w inne dziedziny twórczości. Jedno z nich, w której poczynił próby tylko, było dziejopisarstwo, drugą praca estetyczno-krytyczna.

Zamiłowanie do niej odegrało w rozwoju jego umysłowości, w życiu nawet, rolę poważną. Ono to, gdy wystąpił jako wódz i teoretyk romantyzmu, wzbogaciło jego rozprawy polemiczne siłą argumentów niełatwych do odparcia i umożliwiło mu w przyszłości objęcie wykładów w Lozannie i Paryżu. Dzięki niemu także zdobył jedno z wybitniejszych miejsc w historji krytyki polskiej. Dość chyba będzie przypomnieć znaczenie jego przedmowy o poezji romantycznej i przełomowe skutki rozprawy: *Do krytyków i recenzentów warszawskich*, która nietylko rozgromiła obóz pseudo-klasyczny, ale sąd swój o nim narzuciła nam na lat kilkadziesiąt.

Jako estetyk wystąpił wcześniej niż jako poeta. Jeszcze przed wydaniem pierwszego tomu poezyj ogłosił drukiem *Uwagi nad Jagiellonidą* i komentarz do *Zofjówki*. W dwadzieścia kilka lat później, gdy twórczość rymowaną zaniedbał już oddawna, wykładał jeszcze historję literatury.

Działalność jego do r. 1822 miała iść na obu polach mniej więcej równolegle. Potem, gdy jako mistrz poezji wysyłał czytelnikom tomik za tomikiem, rozprawy jego służyły

przedewszystkiem nowej sztuce za poparcie. Skłonność dawna pozostała w nim jednak. Dowodem tego stały się artykuły o Goethem i Byronie, Puszkinie, malarstwie niemieckiem, liczne wzmianki w korespondencji i oceny późniejsze, wkońcu wykłady uniwersyteckie.

Wszystkie te artykuły, oceny i prelekcje przewyższyły wielokrotnie ilością zapisanych kart jego dorobek poetycki, wywołały nieraz niemałe poruszenie, były omawiane za i przeciw, a nietylko dopomagały mu często do zwycięstwa, ale i zawierały wiele głębokich, mądrych prawd, które i teraz godzi się przypomnieć.

Rozważając je możemy tem jaśniej rozświetlić tajemnicę rozwoju twórczości wodza romantyzmu. Czy był nim zawsze? Czy przeczuł nowy kierunek, przewidział go od kolebki, bodaj od lat szkolnych? Czy też przeciwnie, jako syn własnego społeczeństwa, pilny uczeń swych nauczycieli, chodził przez czas pewien w więzach szablonu i rutyny, nim wzbogacony wiedzą, a wzmocniony przekonaniem wystąpił do walki? I czy początku niezwykłej drogi swej nie zawdzięczał przedewszystkiem własnej samodzielności sądu i świeżości odczuwania, z jakiemi wypowiedział zachwyt na widok nowych i wielkich przykładów, choć sam jeszcze wówczas jako estetyk był wychowankiem starej szkoły?

Na pierwsze z tych pytań zwłaszcza dały odpowiedź ogłoszone dopiero w roku 1910 *Nieznane pisma Adama Mickiewicza*, które odsłoniły w sposób niemal nie przewidywany młodzieńcze studja poety. To jednak właśnie, że ujawniły nam jego psychiczny, młodzieńczy związek z pojęciami współczesnych, iż pozwalają nam przy pomocy badań żmudnych, lecz ciekawych zaznaczyć każdy jego krok naprzód na nowej drodze, nadało im znaczenie przełomowe.

Mickiewicz nie odrazu walczył o nową sztukę, nie bez zastanowienia się burzył świat dawnych pojęć. Wychował się w nich, zapoznał się z niemi dokładnie. Pozostawał przez czas pewien pod wpływem klasyków francuskich, zwłaszcza rozgłośnego jeszcze Woltera, i klasyków polskich, przedewszystkiem sławnego Trembeckiego. W utworach krytycznych czerpał, jak się przekonamy, z Delille'a, Domairona, Boileau'a i Laharpe'a, choć chętniej jeszcze przy-

swajał sobie to, co znalazł w książkach lub wykładach uczonych i estetyków polskich, począwszy od Golańskiego i Dmochowskiego. A gdy wreszcie zerwał z nimi zupełnie, stał się tem silniejszym, iż na głębokiem rozważeniu się opierał, tem pewniejszym zwycięstwa, iż poznał najpierw to, z czem potem walczył.

Próżno byłoby starać się wysnuć ze wszystkich dzieł jakąś skończoną w sobie i jednolitą „estetykę Mickiewicza". Przeciwnie, poglądy jego w kilku okresach życia wykazywały zmiany poważne. Nie przeszkadzało to jednak istnieniu w niej pewnych stałych cech wrodzonych. Stanowiły je prócz innych szczerość w wypowiadaniu się, wielka wiedza i wzrok, otwarty na piękno.

Zalety te ujawniał Mickiewicz i wówczas już, gdy nie poszukiwał jeszcze nowych dróg, ballad nie pisał, a miał lat dopiero dziewiętnaście.

Dowodów na to dostarczyło nam także archiwum „studenckiego" kółka Filomatów.

* * *

Dobry zwyczaj wprowadzili koledzy przyszłego twórcy *Pana Tadeusza,* że wzajemnie oceniali swe utwory. Wzrok obcy łatwiej wyróżni zalety i dostrzeże błędy, przyjaźń światła i życzliwa nieraz dobrych rad udzieli. Było to w czasach od końca 1817 roku, gdy Mickiewicz jako poeta naśladował jeszcze Woltera. Od października tego roku zgłosił na posiedzenia Filomatów *Mieszka, księcia Nowogródka, Pannę Anielę* i próby tłumaczenia *Pucelle.*

Jedna jednak tylko z dochowanych recenzyj poprzedziła znane nam dawniej *Uwagi nad Jagiellonidą.* Były to *Uwagi nad Dumaniem u rozwalin zamku Giedymina* pióra Onufrego Pietraszkiewicza, odczytane w dniu 11 listopada 1817 roku.

Twórca „Mieszka" oddawał się wówczas krytyce z zamiłowaniem, równem przynajmniej, jeśli nie większem niż pracy poetyckiej. Zapisali przecież Filomaci, iż w końcu 1817 i w początkach 1818 roku oceniał na zebraniach cały szereg dzieł literackich. Były niemi najczęściej utwory jego kolegów. Krytykował więc Jeżowskiego przekład wierszem:

Śmierć Achillesa z Kalabra, Malewskiego *O początku moralności tudzież o potrzebie nauki moralnej,* Nowickiego artykuł *Upadek Rzymu,* Poluszyńskiego *Rozbiór romansu: Dziennik K. Engelmana,* Lafontaine'a nowy wiersz Pietraszkiewicza *Odjazd Haliny,* oraz tłumaczenie Zana *Początek i postęp poezji dramatycznej.* Sam natomiast podał wiadomość o poemacie *Pucelle* oraz rozbiór tragedji *Germanik* d'Arnauda. [1])

Z prac tych z wyjątkiem oceny *Dumania* Pietraszkiecza nie dochowała się żadna. Prócz tytułów zaginęły dla nas bez śladu. Łatwo jednak możemy dziś wnioskować, iż były bardzo wszechstronne, gdy zajmowały się poezją, historją, filozofją moralną i przechodziły od młodocianych dzieł kolegów do typowej pseudoklasycznej *Pucelle* oraz do tragedji klasyka z XVIII wieku, autora *Les épreuves du sentiment* d'Arnauda. Natomiast nie zajmowały się jeszcze żadnym utworem poezji t. zw. romantycznej.

Jedna jeszcze dochowana wiadomość rzuca na tę działalność młodego krytyka - poety ciekawe światło. W cztery lata później doniósł Adamowi ks. Czartoryskiemu, iż opracowuje książkę elementarną, w którą chce włączyć retorykę, poetykę i początki estetyki. Otóż podział taki na rodzaje był dowodem wpływu szablonów krytyki ówczesnej, gdyż krytyka romantyczna ustaliła rozbiór piśmiennictwa nie według działów, ale epok historycznych. Tak uczynił już Brodziński w rozprawie z 1818 r., a śladem jego pójść miał i sam Mickiewicz w przedmowie do pierwszego tomu poezyj.

Uwagi o *Dumaniu* Pietraszkiewicza, pisane w r. 1817, nie wybiegły oczywiście śmiałością metody ponad inne, nieco późniejsze prace ich autora. Należały do tych surowych i drobiazgowych ocen koleżeńskich, które badały przedewszystkiem styl i język, poważnie i z erudycją osądzały utwory młodociane, jakby dzieła o większem znaczeniu literackiem, starały się podciągnąć je pod jakiś rodzaj estetyczny i zastanawiały się, czy przepisom jego czynią zadość.

Owa dbałość o umieszczenie nad omawianym wierszem

[1]) Józef Kallenbach: *Lata uniwersyteckie Mickiewicza. Bibl. Warsz.* r. 1910, t. I, str. 228—249 i 455—473.

odpowiedniej etykiety i ocenianie przedewszystkiem formy nadawały od tej pory charakterystyczne piętno wszystkim recenzjom Mickiewicza w ciągu dwu lat najbliższych, a nawet łącznie ze zwróceniem uwagi na wartości stylowe i językowe powtórzyły się jeszcze do pewnego stopnia w komentarzu do *Zofjówki.*

Młody krytyk określił utwór Pietraszkiewicza jako „dumę", lecz nie podał narazie obszerniejszej jej definicji. Uczynić miał to w rok później i przy innej sposobności. Zaznaczył teraz jedynie, iż pisanie utworu tego typu jest „przytrudne" i stosowne dla „wprawnego" już „pisarza". Wysłał myśl na poszukiwanie wzorów, z któremi omawiane dzieło mógłby zestawić. Znalazł ich dwa, jeden: popularne wówczas *Dumania żołnierza w Hiszpanji, w starożytnym zamku Maurów nad Tagiem* Kantorberego Tymowskiego, którego wpływ odkrył, i drugi — głośniejsze jeszcze i nowsze: *Śpiewy historyczne* Niemcewicza. Choć przedewszystkiem zajął się zagadnieniem czysto formalnem, nie zaniedbał uchwycić zasadniczej wady wiersza przyjaciela. Osądza trafnie, iż lepiej byłoby związać go z jakimś wypadkiem historycznym, aniżeli opisywać miejsca znane, do czego „trzeba myśli nowych, zwrotów niepospolitych", co „ile do wykonania jest trudnem", każdy czuje zapewne. Spowodowało to Pietraszkiewicza, podobnie jak Tymowskiego zresztą, do „klejenia myśli i obrazów, mały z sobą mających związek".

Po uchwyceniu tak istotnej wady oceniał utwór szczegółowo, wiersz po wierszu. Przypominają nam się przytem owe uroczyste nakazy Franc. Ksaw. Dmochowskiego, który polecał, parafrazując niektóre przepisy Horacego:

> Prawy krytyk sędziego dopełnia urzędu
> I żadnego w twem dziele nie przepuści błędu.
> Wytknie, co zaniedbane, oświeci niejasne,
> Myślom, nieco zmieszanym, wskaże miejsca własne.
> Od męskich ozdób zwodne odłączy błyskoty,
> Zgani zbytnią wytworność, obce zmaże zwroty.
> Tak poczyna w krytyce przyjaciel prawdziwy. [1])

Mickiewicz nie zaniedbał przepisanej sumienności i drobiazgowości. Jako wzór stylu przytoczył Trembeckiego, któ-

[1]) Sztuka rymotwórcza, wyd. z 1820 r., str. 26.

rego język przez czas bardzo długi jeszcze wysoko będzie cenił, oraz Lukrecjusza. Prostował wyrażenie „las masztów", gdy *Historja* Stryjkowskiego „o trzech tylko nawach krzyżackich wspomina". Okazywał w ten sposób swe zamiłowanie do ścisłości. Domagał się dalej nieco pedantycznie rozwinięcia niedość jasnego zwrotu „gmachy, stawiane dumnego najeźdźcy dłonią", a z żądaniem jasności połączył też dążenie do plastyki w wyrażeniach, co zaznaczył najsilniej, potępiając wyrazy zbyt fizyczne, a domagając się zmysłowości obrazów bez zapuszczania się w rozumowania naukowe.

Skąd wziął to ostatnie, tak ciekawe określenie, mówić będziemy szerzej przy *Uwagach nad Jagiellonidą*, które miał napisać po upływie zaledwie kilku miesięcy. W „Uwagach" tych, wobec których obecna recenzja była tylko drobnym fragmentem, wspomnianego wyrażenia użyje jeszcze nieraz, tak, jak potępi w nich podobnie jak tutaj pewne śmieszności pseudoklasyczne na tle dziejowem, polegające na tem, iż Pietraszkiewicz „nie wiem dlaczego ochrzcił Litwinów Sarmatami, kiedy te narody zwłaszcza w tamtych wiekach nic z sobą wspólnego nie miały".

Nie pominął także i innych, drobniejszych już spostrzeżeń, dotyczących zwłaszcza stylu i języka, złego łączenia wierszy lub powtarzania obrazów. Ułatwił w ten sposób Pietraszkiewiczowi poprawienie utworu, a sam dał poznać kilka zalet, chlubnie o jego zmyśle krytycznym świadczących. Odkrył wadę w samem ujęciu, postawił żądanie jedności, plastyczności oraz prawdy historycznej, porównał z kilku poetami, z których dwóch było polskich, a trzeci klasyk łaciński. Podciągając jednak utwór pod „rodzaj" w myśl zwyczajów poetyki pseudoklasycznej, zasad jej wcale nie obalał, a poza tem wytykając bardzo szczegółowo uchybienia językowe i stylistyczne, na uboczu pozostawił treść uczuciową.

Równocześnie w końcu 1817 i w początkach następnego roku zajmował się organizowaniem towarzystwa Filomatów. Zgłosił pisma: *O potrzebie tajemnego urzędnika n. p. Efora*, o organizacji nowego związku oraz liczne recenzje, które wymieniliśmy już jako zaginione. Natomiast dnia 15

kwietnia 1818 r. razem z oceną krytyczną pracy Kowalewskiego p. t. *Wiadomość o Herodocie* przedstawił drugą ze swych ocen dochowanych, początek *Uwag nad Jagiellonidą*, poematem Dyzmasa Bończy Tomaszewskiego, których czytanie w dniu 5 maja zakończył.

O pracy tej przypuszczał Chmielowski [1]), iż ona to stanowiła ową rozprawę konkursową, którą Mickiewicz wręczył swemu profesorowi Leonowi Borowskiemu w połowie 1818 r. Dnia 30 czerwca ogłoszono wyrok uniwersytecki. Z pomiędzy pięciu kandydatów dwóch otrzymało nagrodę pieniężną (Zygmunt Bartoszewicz i Bolesław Hryniewicz), Mickiewiczowi i Aleksandrowi Bohatkiewiczowi przyznano jedynie „accessit", piąty kandydat nawet tego stopnia nie uzyskał.

Ponieważ dziś wiemy dokładnie, kiedy „Uwagi" o poemacie Tomaszewskiego pojawiły się w kółku filomackiem, a brak jest śladu jakiejkolwiek innej większej pracy Mickiewicza z tej epoki, gdy znalazły się nawet fragmenty kowieńskich sekstern ów, więc przypuszczenie Chmielowskiego zostało dostatecznie potwierdzonem.

W trzy i pół miesiąca później, w dniu 15 października 1818 r. uniwersytet wileński uwieńczył bardzo zaszczytnie dzieło Tomaszewskiego, czyniąc jego autora swym członkiem honorowym. Uwydatniło to w sposób bardzo jaskrawy rozbieżność poglądów kształcącego się ucznia, który małą wartość *Jagiellonidy* ocenił, a naukowych sfer, które wyróżniły miernego poetę. To też, jak przypuszcza Chmielowski, skłoniło młodego krytyka do wysłania na ręce Lelewela gotowej już recenzji, która pojawiła się w roku następnym w zeszycie styczniowym *Pamiętnika Warszawskiego*, redagowanym przez Feliksa Bentkowskiego.

Mickiewicz w późniejszej swej przemowie *Do krytyków i recenzentów warszawskich*, przyznawał ironicznie, iż recenzja jego, drukowana za czasów studenckich w *Pamiętniku Warszawskim*, tchnęła klasycznością, oraz iż „przytaczał" w niej „obficie list do Pizonów i kurs Laharpa". Za-

[1]) *Estetyka Mickiewicza*. Lwów 1898 r., str. 7—8 oraz Chmielowski *Adam Mickiewicz*, Warszawa, 1898, t. I str. 110 i 112.

znaczył w ten sposób, jak sam tkwił jeszcze ongi w zasadach szkoły, którą później potępił. Lecz wtedy, gdy drukował swą rozprawę w czas dłuższy po jej powstaniu i wśród wymienionych okoliczności, dał dowód, iż uważał zdanie swe za słuszne i przy poglądach swych obstawał.

Jaką jednak wartość istotnie miała *Jagiellonida?* Dziś zapomniana, wiązała się ongi ze szczytnemi usiłowaniami poetów polskich w początkach XIX wieku, by na wzór podziwianej jeszcze *Henrjady* Woltera, a śladem Krasickiego *Wojny Chocimskiej* stworzyć poemat narodowy. Miała niewątpliwie więcej zalet literackich niż *Pułtawa* ks. Muśnickiego, która była jedynie rymowaną kroniką wypadków dziejowych, opisanych przez Woltera w *Histoire du Charles XII, roi de Suède.*

Krytyków ówczesnych uwiódł zapewne temat *Jagiellonidy* oraz jej wiersz, brzmiący nieraz wcale potoczyście. Zasugestjonował ich może i pierwszy zapał, z jakim obwieścił jej powstanie po przeczytaniu rękopisu Jan Gwalbert Styczyński w *Dzienniku Wileńskim* (sierpień 1817 r.). Mimo to poemat Tomaszewskiego pozostał tylko słabem naśladowaniem *Henrjady* i jej wzoru *Enejdy.* Z *Henrjadą* zwłaszcza okazywał rażące, choć przeważnie formalne podobieństwa. Z niej przejął alegoryczne postacie Wieści, Zawiści, Niezgody i św. pustelnika. Zgubniejszym jeszcze okazał się wpływ *Enejdy,* gdyż sięgnął bardzo głęboko. Tomaszewski tak przejął się duchem swego łacińskiego mistrza, iż w opis Litwy z końca XIV wieku wprowadził rzymskie świątynie, obyczaje i obchody.

„Potrzeba ostrzec czytelnika — pisał Mickiewicz ironicznie, — iż Litwini u naszego poety są religji starych Rzymian". Ironiczność jego uwagi, wyrażonej tak oględnie, zrozumiemy tem łatwiej, gdy przypomnimy sobie, z jak drobiazgową ścisłością prostował poprzednio „las masztów" Pietraszkiewicza, gdy Stryjkowski o „trzech" tylko „nawach krzyżackich" wspominał.

Główną zaletą dziewiętnastoletniego recenzenta była śmiałość, z jaką przeciw pochlebnej opinji o przechwalonym poemacie występował. Zarzuty, które czynił, były sformułowane ostrożnie, niemniej słuszne i rzeczowe, a kończyły się

wątpliwą pochwałą, iż choć zbliżenie się do wyższych wzorów nadałoby i Jagiellonidzie też „daleko wyższą wartość", to jednak dzieło to i dziś „jako pamiątka znamienitych czynów narodu naszego z przyjemnością od ziomków czytane będzie".

Jak rozwinął w krytyce swą metodę? Szerzej z większą erudycją, lecz podobnie, jak przy osądzaniu *Dumania* Pietraszkiewicza. Ocenił najpierw poemat na tle reguł, uczynił następnie szereg porównań do utworów, które znał z czytania, wreszcie badał język, by wykazać swe trafne odczucie mowy poetyckiej i błędów pospolitych w utworach pseudoklasycznych.

Nie wolno mu było, nie wypadało być gołosłownym. Przeciwnie, w rozprawie, oddanej uniwersytetowi, a potem ogłoszonej, musiał dać dowód, że przepisy zna dokładnie. Przyswoił je sobie przecież z wykładów Borowskiego jako jego uczeń, miał w ręku dzieła jego poprzednika na katedrze Euzebjusza Słowackiego, nim drukiem zostały wydane, nieobce mu były wreszcie i inne współczesne podręczniki i recenzje, umieszczane w pismach literackich. Na tle tego wszystkiego dał poznać pierwsze swe poglądy na zagadnienia „akcji", „bohatera" i „machiny" czyli „dziwności epicznej".

Od akcji nie mógł oczywiście nie wymagać „jedności". Gdyby *Jagiellonida* była utworem dramatycznym, zażądałby niewątpliwie jedności nietylko „działania", ale i „czasu" oraz „miejsca". I tego ostatniego postulatu jednak w zarzutach nie pominął, zwracając uwagę, iż Tomaszewski dzieje swego poematu przenosił to do Polski, to na Litwę. Niedość wreszcie, by akcja była „jedna", należy uczynić ją również „ważną" i „interesującą". Wszystkie wydarzenia, nawet mniej znaczące, winny wypływać z jednego punktu, wikłać się i rozplątywać nareszcie, przyczem epizody i opisy choć dodają rozmaitości i wdzięku oraz są odpoczynkiem dla czytelnika, same przez się poematu stanowić nie mogą. Zasadę tę częściowo pięknie rozwinął już Boileau:

C'est peu qu'en un ouvrage où les fautes fourmillent
Des trait d'esprit semés, de temps en temps petillent!

Il faut que chaque chose y soit mise en son lieu;
Que le début, la fin, répondent au milieu;
Que d'un art délicat les pièces assorties
N'y forment qu'un seul tout de diverses parties. [1])

Wiele wymagał także Mickiewicz od sposobu przedstawienia samego bohatera, który zdaniem jego, musiał być najważniejszą osobą, charakterem i dziełami, wybijającą się nad inne. Autor winien pokazać go nie z kilku już, ale ze wszystkich stron, a postacie inne męskością, czy też ofiarnością, a więc zaletami swemi nie powinny go zaćmiewać.

„Machiną", „dziwem" lub „dziwnością" za Borowskim [2]) nazywali wówczas estetycy wpływ bóstw lub sił nadziemskich na działanie epopei, co uważano za jej warunek niemal nieodzowny. Za wzór stawiali zwykle *Iljadę* lub *Enejdę*, lecz starali się niekiedy pogańskich bogów zmodernizować. Zagadnieniem tem śladem Boileau'a, Batteux i innych zajmowały się wszystkie poetyki polskie tej epoki.

Golański dozwalał wprowadzenie Boga chrześcijańskiego, [3]) Dmochowski opinjował, że zamiast „bajek pogańskich w rzeczy przedsięwziętej można poruszyć piekło". [4]) Karpiński wyraźnie oburzał się na wprowadzenie „bożyszcz pogańskich" [5]) uważając, iż tam, gdzie, jak w poematach, obejść się bez tego nie można i „potrzebne bywają machiny czyli cudotwory jakieś, ściągane od poety na podźwignienie i wsparcie bohaterów swoich" — „miasto dawnych bogiń i bogów albo też i naszych świętych" dusze z nieba czy z piekieł sprowadzać można". [6]) Znał on już zresztą przykłady Tassa, Miltona i Woltera, którzy „prawdziwego do swoich poematów Boga wprowadzili".

Z estetyków obcych odmienne zdanie wyrażał Sulzer,

---

[1]) *Art poétique* I.

[2]) Nekrolog Euz. Słowackiego, por. Życzyński: *Ad. Mickiewicza Pisma estetyczno-krytyczne*, str. 12.

[3]) *O wymowie i poezji*, str. 451—453.

[4]) *Sztuka rymotwórcza*, wyd. z r. 1820, str. 65.

[5]) *O wymowie w prozie albo wierszu* (1784). Karpiński: *Dzieła* r. 1830, str. 310.

[6]) j. w. str. 310—311.

który w artykule o wierszu bohaterskim powątpiewał wogóle o konieczności wprowadzania sił nadprzyrodzonych.[1]) Nie zgodził się z tem zapatrywaniem Euzebjusz Słowacki, który wymienił dwa źródła dziwności: religję i alegorję, a za wzorem *Jerozolimy Wyzwolonej* Tassa radził wprowadzić „mniemania o czarach i czarnoksiężnikach i cały układ złych duchów, przeciwników nieba".[2])

Mickiewicz nie poszedł za przykładem Sulzera, skoro zarzucił Tomaszewskiemu, iż wszelką dziwność z poematu usunął, zdawał się natomiast polemizować wyraźnie ze Słowackim, skoro twierdził, iż „magja, dawno na Wschodzie w poemata rycerskie wprowadzona", „za zmianą publicznej całego oświeceńszego świata opinji na nic teraz przydać się może". Za lat kilka miało się zmienić zupełnie zdanie o tem twórcy *Ballad!* Teraz wskazał jako wzór Miltona i Tassa, którzy wprowadzili w dzieła swoje „machinę chrześcijańską". Bardzo słusznie uznał za nierozsądek absurdalne umieszczanie bożków starożytnych w akcji na tle średniowiecza, a radził zastąpić ich świętymi, których Kościół wyznaje i czci, przyczem odwołał się do przykładu „jednego z największych przeszłego wieku poetów", który „chociaż w nagannym sposobie, ale zostawił drogę talentom traktowania tego przedmiotu z taką godnością, jakiej poema bohaterskie wyciąga". Miał na myśli oczywiście postacie św. Dionizego w *Pucelle*, a równocześnie św. Ludwika w *Henrjadzie*. Zachęcając do wprowadzania świętych chrześcijańskich, a nawet patronów krajowych, nie ulegał ślepo żadnemu z poprzedników, lecz jedynie wcielał w teorję ukazany przez się wzór poematu Woltera i rozwijał samoistnie myśl, którą mógł znaleźć w poetyce francuskiej Domairona.[3])

---

[1]) *Allg. Theorie der schönen Künste*, 1778—1779: „Wir wollen nicht schlechterdings verlangen, dass er (der Dichter) seine Handlung durch Einführung höherer Mächte übernatürlich und wunderbar machen soll..." „Das, was die Götter in Ilias thun, ist nicht das Wunderbareste; man kann es wegnehmen und doch wird alles gross bleiben. Wenn aber ein Dichter von gemeinem Genie seiner Handlung durch übernatürliche Mächte oder gar durch allegorische Personen den Anstrich des Wunderbaren geben will, so wird er eher frostig als gross".

[2]) *Dzieła*, t. II, str. 104.

[3]) Chmielowski: *Estetyka Mickiewicza*, str. 21.

Po wyłożeniu głównych zasad udowadniał, iż *Jagiellonida* od wymagań ich odbiegła. Wprawdzie poruszone mimochodem żądanie „jedności" miejsca sam następnie osłabił, skoro dozwalał na częste jego zmienianie, gdy „ciąg akcji koniecznie zmiany takowej wymaga", przyczem wspomniał o *Odyssei, Enejdzie* i *Luizjadzie*, niemniej przenoszenie w *Jagiellonidzie* działania z Litwy do Polski i zpowrotem ocenił jako niedogodne i niezręczne. Zganił wiele „zgoła niepotrzebnych epizodów", drugorzędną rolę Jagiełły i zastąpienie dziwności „nienajszczęśliwszej" wprowadzeniem postaci cudownego pustelnika oraz alegorycznych: Wieści, Zawiści, Niezgody, Fanatyzmu i Jędzy.[1]) Wytknął też sytuacje zbyt powikłane, a całej ozdoby poematu dopatrywał się w obrazkach, zalecających się „czułością i naturalnością" i — takiemi to przedmiotami — zdaniem jego „talent poety mógłby się szczęśliwiej zająć". Ponieważ zaś epopeja według ściśle sformułowanych zasad wymagała przedewszystkiem nie czułości, ale przeciwnie „mocy" i „wielkości", więc krytyk postawił i tutaj zarzut bardzo ciężki i dla współczesnych doskonale zrozumiały.

Nietylko reguły estetyczne jednak stosował, lecz popierał je także dość obszernem oczytaniem literackiem. Wśród dzieł i autorów, które znał i wymieniał, znajdowały się *Iljada, Odyssea, Luzjada, Metamorfozy* Owidjusza, Tasso, Dryden, Wolter, Bojard, Fenelon, Florian i Krasicki. Wśród romansów awanturniczych przytoczył także powieści perskie *Tysiąc i jeden dzień*. W ten sposób wchodził na drogę trafnych porównań osobistych, które pomagały mu tam, gdzie nie potrzebował odwoływać się do utartych przepisów, chroniły przed zaślepieniem, pospolitem w kołach pseudoklasycznych i zaostrzały jego zmysł krytyczny. Nie dał się

[1]) P. Fr. Stopa w ciekawem zestawieniu p. t. *Wpływ J. G. Sulzera na Uwagi Mickiewicza nad Jagiellonidą* (Sprawozd. dyr. gimn. w Nowym Sączu, r. 1914) cytuje w pewnem miejscu słowa Mickiewicza: „Co do przenoszenia się z miejsca na miejsce, o tem nie wspominamy" (str. 12). W rzeczywistości Mick. po zacytowaniu odpowiednich słów z przedmowy Tomaszewskiego wyraził się: O tem niżej wspomniemy. Zwracam na to uwagę, gdyż p. Stopa przy słowach tych zbliżał myśli autora „Uwag" do poglądów Sulzera.

dzięki temu zbałamucić entuzjastycznej wzmiance Styczyńskiego ani uczczeniu Tomaszewskiego przez przodujący zresztą wiedzą uniwersytet wileński.

Poza zasadniczą jednak, osobistą oceną Mickiewicza, było także w *Uwagach* kilka reguł, dotyczących epopei. Wykazano zgodność ich ze sztuką rymotwórczą Fr. Ksaw. Dmochowskiego, z dziełem Filipa Nerjusza Golańskiego *O wymowie i poezji* i z rozprawą Karpińskiego *O wymowie w prozie albo w wierszu.*[1]) Nie była także krytykowi obca recenzja *Pułtawy.*[2]) Zgodność tę można jednak wykazać tylko w zestawieniach poszczególnych, tymczasem wszystkie niemal te zasady mamy zgrupowane w dziele, którego tom I wyszedł z druku dopiero w 1824 r., a tom II w r. 1826, ale już wcześniej naszemu poecie było dostępne i wcześniej jeszcze poszło w świat z katedry uniwersyteckiej. Twórcą jego był autor bardziej nowożytny od Osińskiego i St. Potockiego, choć zmarły już, profesor uniwersytetu wileńskiego Euzebjusz Słowacki.

Wydane w *Muzeum* w r. 1898 fragmenty z wykładów kowieńskich Mickiewicza przekonały nas dowodnie, iż twórca ich na cztery lata przed wydaniem „Dzieł" Euz. Słowackiego już rękopis ich posiadał i czynił z niego niekiedy wobec uczniów dosłowne cytaty. Najprawdopodobniej jako jeden z najzdolniejszych słuchaczy uniwersytetu otrzymał go w całości lub w części wprost od Leona Borowskiego lub może korzystał z notowanych przez starszego kolegę wykładów.

Otóż według Słowackiego, a zwłaszcza ustępu jego „Dzieł" o epopei akcja jej musiała być „jedną", a przedmiot wielki i ważny. Więc „dla dodania potrzebnej rozmaitości, bez której, jakeśmy już powiedzieli, nic pięknem i przywiązującem uwagę być nie może, poeta może czynić ustępy, wprowadzać epizody, ale te, wynikając z rzeczy celniejszych, nie powinny odrywać od niej uwagi, owszem pomagać do jej świetlejszego i żywszego wystawienia". Więc najwięcej usilności rymotwórca przykładać po-

[1]) Chmielowski: *Estetyka Mickiewicza*, str. 9—26.
[2]) j. w. str. 13 i 30.

winien w dokładnem i szlachetnem odmalowaniu charakteru głównego bohatera".[1])

Zestawmy to z tem, co pisał autor *Uwag nad Jagiellonidą*, a samo nagromadzenie jego zasadniczych poglądów w wykładzie Euz. Słowackiego o epopei, podczas gdy u Sulzera rozrzucone były i podane mniej dosłownie w szeregu rozdziałów, (jak np. „Fabel" 359—360), „Handlung" (511), „Heldengedicht" (332), „Episode" (330) i t. d.),[2]) a przez żadnego z poprzednich polskich estetyków nie były podane w równie ścisłem zestawieniu, każą nam przypuszczać, że Mickiewicz posługiwał się raczej dziełem wileńskiego profesora, choć sam miał w pół roku później podać projekt zbiorowego tłumaczenia dzieła Sulzera i choć nie ulega wątpliwości, iż Słowacki, jak to stwierdzono,[3]) sam przejął bardzo wiele poglądów niemieckiego uczonego. Co więcej, gdy młody krytyk poruszył polemicznie wprowadzanie do epopei magji średniowiecznej, to postulatu tego nie mógł znaleźć w dziele Sulzera, natomiast wyczytał go w swoim polskim wzorze.[4])

Nietylko jednak wymienione już zasadnicze warunki dobrej epopei, ale także szereg innych teoryj pochodził niewątpliwie od Słowackiego. Przypomnijmy sobie co recenzent *Dumań* powiedział już w r. 1817, iż „pierwszą poety powinnością jest rzecz zmysłowie malować i nawet „w traktowaniu dydaktycznem" „język powinien być, ile możności, zmysłowym".

Było to hasło bardzo rozsądne, gdyż przypominało, iż między językiem poetyckim a filozoficznym jest różnica ogromna, więc poeta powinien pojęcia oderwane nawet przedstawiać w obrazach, narzucających się oczom, a za-

---

[1]) Euz. Słowacki, *Dzieła z pośmiertnych rękopisów*. Wilno, t. II, str. 98—102.

[2]) Stopa, *Wpływ J. G. Sulzera na Mickiewicza, Uwagi nad Jagiellonidą*, str. 8, 12, 15 i t. d.

[3]) *Pamiętnik Literacki*, t. VII.

[4]) O możliwości wpływu Euz. Słowackiego na młodzieńcze krytyki Mick. pisałem już w rozprawie: *Mickiewicz jako krytyk literatury współczesnej* (*Przewodnik lit.-nauk.* Lwów 1910) oraz w ocenie pracy Stopy, zamieszczonej w *Pam. Liter.*

czerpniętych ze świata, zmysłom dostępnego. Rozwijało talent malarski, którym celował później zawsze autor *Krymskich sonetów,* i na twórczość jego wpłynęło niewątpliwie w kierunku bardzo dodatnim.

Wspomniał o tej zasadzie Mickiewicz w ocenie wiersza Pietraszkiewicza, nie pominął jej przy *Jagiellonidzie,* [1]) potwierdził ją w komentarzu do *Zofjówki.* To powtarzanie jej dobitne w okresie czterech i pół roku i przytaczanie w formie pewnika dowiodło, iż głęboko w nią wierzył, a późniejsza twórczość jego stwierdziła, że wiernym jej pozostał. Weźmy za przykład jego metafizyczną, a tak plastyczną *Rozmowę wieczorną.*

Otóż obowiązek poety „zmysłowego" malowania nawet pojęć oderwanych stwierdzał Słowacki w tych słowach pierwszy u nas, a bardzo często i stanowczo, czyto oceniając jako zaletę *Wojny Chocimskiej* Krasickiego, iż autor jej „wyobrażenie umysłowe" wystawiał w „obrazie z m y s ł o w y m, [2]) czy też domagając się od poety i mówcy, by malowali swoją rzecz w „najdoskonalszem zmysłowem wystawieniu". [3]) Wskazywał przytem sam na źródło tego żądania, pisząc: „Szkole Baumgartena winniśmy nazwisko estetyki..." „Zamiast naśladowania pięknej natury najwyższą zmysłową doskonałość, przez sztukę wystawioną i udzieloną przedmiotom naszego czucia, wzięto za zasadę sztuk i nauk pięknych". [4]) Choć więc Słowacki zgadzał się w tem z Sulzerem, określenia obu wypływały niewątpliwie z jednego źródła, którem była głośna ongi definicja piękna przez Baumgartena, jako „das Vollkommene der sinnlichen Erkenntnis". Mickiewicz miał więc w dziełach zmarłego przedwcześnie profesora źródło bliższe, niż Delille.

Tycząca również języka, ale błędna już krytyka wyrażeń „płaskich i prozaicznych", albo „błahych i niegodnych epopei" u autora, który już w cztery lata później sam chęt-

[1]) „Każdy czuje, iż daleko lepiej byłoby, idąc w ślady Wergiljusza kształt wieści z m y s ł o w i e przedstawić, aniżeli wyliczać jej zatrudnienia, gdyż to żadnego nie czyni o b r a z u".

[2]) t. I. str. 298.

[3]) t. I. str. 39, por. t. II str. 55 i 56.

[4]) t. III, str. 440—441.

nie będzie wyróżniać wyrazy gminne, jakie odkryje w *Zofiówce*, schodziła się nietylko z żądaniem Euzebjusza Słowackiego, iż w epopei „nic błahego, nic płaskiego i żartobliwego" znajdować się nie może, ale także wprost z rozdziałem jego dzieł „O przyzwoitości stylu co do wyboru wyrazów", w którym ów opinjował, iż mogą być nietylko wyrazy niewłaściwie użyte, ale bywają jeszcze „podłe i błahe" (*Dzieła*, t. I str. 266). Niekiedy mogą być nawet „obrzydliwe, podłe i błahe" (t. III, str. 460).

Nie odbiegał też od estetyki pseudoklasycznej błąd, jaki Mickiewicz popełnił, zarzucając, iż męstwo, stałość i czyny bohaterskie „daleko właściwiej przystoją Kloryndzie" (z poematu Tassa), „aniżeli podłej niewolnicy, wziętej jasyrem od Kozaków".

Uwaga ta, pozornie arystokratyczna, nie wykwitła tym razem na gruncie społecznym. Dostrzegł błędność jej obrońca *Jagiellonidy*, który polemizując co do pewnych sądów z Mickiewiczem w *Pamiętniku Warszawskim* w r. 1819 pisał: „że samej tylko krwi królewskiej przystoi męstwo, tego jeszcze prawidła nie znaliśmy". [1])

Czy godziło się osoby niskiego pochodzenia przyozdabiać znamieniem bohaterstwa, odpowiadał na to również Euz. Słowacki, który w dwóch swych pozostawionych dramatach bohaterami uczynił Mendoga „króla litewskiego" i Wandę „córkę królewską", a pouczał w rozdziale o poezji pasterskiej, że skoro w niej osobami działającemi są pasterze i rolnicy, a zatem charaktery ich winny być „dalekie" wprawdzie „od podłości i grubjaństwa", lecz też „n i e z b y t w y n i e s i o n e, naturalne, a natomiast „wielkie namiętności" im „nie przystoją", ale zawsze mają być „słodkie i łagodne". [2])

Po uwadze takiej łatwo dostrzec, jakie błędy jeszcze profesor uniwersytetu wileńskiego popełniał. Nie należy jednak zapomnieć i o tem także, iż wykłady jego, które Mickiewicz znał przed ich wydaniem, a słyszał o nich przed zaczęciem swych studjów uniwersyteckich, były wielkiem posunięciem się naprzód od teorji Golańskiego i Dmochow-

[1]) C h m i e l o w s k i: *Estetyka Mickiewicza* str. 31.
[2]) T. III, str. 141.

skiego oraz świeżem a ożywczem tchnieniem w atmosferze zwartych przepisów. Nie mogły jeszcze wywieść młodego autora zupełnie poza obręb starej szkoły, ale ułatwiały mu do tego drogę. Gdyż twórca Mendoga i Wandy, tłumacz Horacego, Wergiljusza, Propercjusza i Henrjady, choć wyrażał jeszcze zdanie: „Boileau ogarnia wszystko!", [1]) zarzucając mu jedynie niesprawiedliwość względem Lafontaine'a i Tassa, choć wyróżnił obok teatru klasycznego tylko francuski, a nowych wzorów szukał również tylko w ojczyźnie J. Rousseau i zdawał się nie wiedzieć o Goethem i Schillerze, to jednak w teorjach swych niósł pierwiastki nowe, wiódł umysły ku nowej granicy. Stało się to z przyczyny jego pociągu do historyczności, któremu dawał nieraz wyraz w wykładach, i w zamiarze napisania historji literatury polskiej, którąby nie była „katalogicznem wyliczeniem sławnych pisarzów z pochwałami mniej lub więcej zasłużonemi", co współcześnie uczynił Bentkowski, ale podziałem „historji nauk na pewne okresy" .i wejściem „w rozbiór każdego dzieła" z przyłączeniem „biografji pisarza". [2])

Czytanie jego dzieł było pożyteczne i dlatego także, iż podkopywał ową obronę szańców pseudoklasycznych, którą obwarowywał na nowo Stanisław Potocki, tę krytyczną straż „świątyni" dzieł, regułami uznanych. Dokonywał tego przez wyrażanie często myśli, iż krytyka jest omylna i błądzi, stosując nawet najlepsze prawidła, kłóci się z sobą często, grzeszy nieczułością lub obojętnością, „fałszywą delikatnością smaku" lub też osłabieniem jego wrażliwości przez „wprawę" i „przywyknienie". [3])

Równocześnie stwierdzał z większą siłą u nas niż jego poprzednicy prawa genjuszu, jako „twórcy wszystkiego, co jest wielkiem i pięknem" rolę entuzjazmu, znaczenie „idealnego wzoru", jako „źródła wszelkiej piękności", podziw dla nowości i znaczenie jej konieczności. [4]) On także wygłosił to dziwne zdanie, jakgdyby zaprawione zazdrością, iż „przy-

[1]) T. I, str. 439.
[2]) T. I, str. XV i t. II str. 193.
[3]) T. I, str. 135—136, t. I, str. 125, t. I. str. 112, t. I. str. 122, t. I. str. 115.
[4]) T. I. str. 15 i 67.

czyną wiele wpływającą do przyśpieszenia nauk w Grecji był szczęśliwy przywilej tego ludu, wyłączający go od potrzeby uczenia się dawnych wzorów,[1]) gdyż „żadne granice nie określały lotu ich imaginacji". W ten sposób kierował myśl ku obaleniu wogóle prawideł.

Równocześnie jednak wielbiciel Woltera, Boileau'a, Popax i Delille'a, choć już w r. 1808 miał zawołać: „Kogóż nie zdumiewa nadzwyczajny Szekspir",[2]) później, zaliczył go do autorów w Anglji najsławniejszych, dodał czysto pseudoklasyczny przypisek: „W tragedjach jego można mieć przykład, co wielki genjusz bez nauki dokazać zdoła. Są to mieszaniny części różnorodnych, wielkich myśli i płaskich konceptów, górności i podłości, szlachetności i grubjaństwa".[3])

Słowacki akcentował również często i dobitnie zasadę prawdziwą estetycznie, głęboką, zaczerpniętą wprost lub pośrednio z Herdera, powtórzoną później przez Borowskiego, a rozwiniętą w „Uwagach" przez młodego poetę. Było nią żądanie, by, jak pisał później Mickiewicz, poeta, opiewając zdarzenia wielkie „trafiał w ówczesny duch wieku, stosował się do dawnych wyobrażeń, obyczajów i charakterów".

Znaczenie tego żądania zrozumiemy, gdy przypomnimy sobie, iż brak poczucia historyczności był główną wadą i źródłem wielu nonsensów w poemacie Tomaszewskiego, a mimo to nie przeszkodził uznaniu dlań estetyków współczesnych, oraz iż wszystkie dramaty tak cenionego wówczas Woltera przechodziły nad tem zagadnieniem obojętnie i rozgrywając się w Turcji, Grecji, Francji, Rzymie lub wśród Indjan amerykańskich niczem nie odtwarzały miejscowego kolorytu, tak że Wolter zmieniał niekiedy tylko nazwiska i tytuł i przenosił akcję tego samego dramatu w inne czasy i inne kraje.

Euzebjusz Słowacki zaznaczał ten punkt widzenia bardzo często i w słowach, bardzo do Mickiewicza zbliżonych,

[1]) t. III, str. 314.
[2]) t. III str. 339.
[3]) t. II str. 71 i 149.

przy użyciu metafory w tłumaczeniu, (t. I, str. 229)[1]) przy epopei, w przedmowie *O przekładaniu z obcych języków na język ojczysty*,[2]) w rozdziale o komedji[3]) i nieraz jeszcze. Zasadę tę następnie głosił także Borowski.

Mógłby ktoś przypomnieć, iż i dawniejsi autorowie pseudoklasyczni zajmowali się tem zagadnieniem. Niewątpliwie. Bliżej jednak słów Mickiewicza stało to, co pisał Słowacki: „Stosować się w tym razie należy do położenia, obyczajów i sposobu życia narodu, którego mową piszemy", niż wiersz Dmochowskiego. „Inne dziś obyczaje, a inne za Piasta".[4]) Jak zaś ów tę zasadę w praktyce stosował, może świadczyć, iż w poemacie swym nieco później pozwalał, by „Minos dalej winowajcom szalą sądów groził" oraz „piekielny żeglarz umarłych przewoził". „Na to tylko powstajem, na to tylko walczym, by w wierszu chrześcijanin nie był bałwochwalczym".[5]) Profesor wileńskiego uniwersytetu bardziej był konsekwentnym.

Krytyk *Jagiellonidy* myśl, wziętą od Euz. Słowackiego i Borowskiego, przejął w całej pełni. Z niej przy jego osobistem zamiłowaniu do ścisłości historycznej wypłynęły wszystkie zarzuty, odnoszące się do ciągłych klasycznych przypomnień w poemacie Tomaszewskiego. Uwaga ironiczna, iż Litwini u naszego poety są religji starych Rzymian i wszystkie jej obrządki zachowują, nie była odosobniona. Zdumiewał się uczeń Lelewela, iż mieszkańcy Litwy za czasów Jagiełły „biegłymi byli w mitologji i historji", że Witold opowiadał swej żonie „zdarzenia Altei, wyjęte z Przemian

---

[4]) „Charaktery osób, działających w epopei, których rozmaitość wynika z okoliczności właściwych ich ojczyźnie, powołaniu, wiekowi i osobistemu sposobowi myślenia powinny być roztropnie obrane..." (t. II, str. 101).

[2]) „Tłumaczenie nakoniec osięgnie wyższy doskonałości stopień, jeżeli we wszystkich innych względach zbliżając się do swojego wzoru, zachowa jeszcze postać i że tak powiem, fizjonomję czasu i narodu, w którym oryginalne dzieło wydane było" (t. III, str. 463).

[3]) „Aby więc akcja komedji była zarazem zabawną i uczącą, poeta obrać powinien takie zdarzenie, któreby było malowidłem obyczajów tego towarzystwa i czasu, w którym żyje" (t. II, str. 126).

[4]) *Sztuka rymotwórcza*, wyd. t. r. 1820, str. 54.

[5]) j. w. str. 67.

Owidjusza", że Lisdor, wieszcz Feba „opiewa podróż Bachusa do wyspy Naxos", z tych Przemian „znajomą", że rycerze średniowieczni, za przykładem Achillesów, „kopje na siebie zdaleka wyrzucają". Odkrył w ostatniej pieśni obraz cały naśladowany, a nawet w wielu wierszach tłumaczony z *Enejdy*. Zwrócił uwagę na niewłaściwość gonitwy wozów czterokonnych, nie szczędząc autorowi nauki, iż wprowadził je snać „dawnym zwyczajem greckim, gdyż w kronikach litewskich trudno coś podobnego wynaleźć",[1]) a piętnując je między „niewłaściwościami i grubemi omyłkami".

Znalazł się wśród tego zarzut, w którym, jedynym z „Uwag" możnaby znaleźć pokrewieństwo z myślą pani de Staël z książki *O Niemczech* (1810), jeśliby Mickiewicz ją był znał już wówczas. Kryło się w nim żądanie popularności poezji: „Równać swoich bohaterów do osób, a wypadki poematu do faktów historycznych lub mitologicznych bajek" „jest to pisać tylko dla ludzi uczonych".[2]) Niemniej uwaga ta, jakby przedświt tego, czemu miał dać wyraz tak silny w przedmowie o poezji romantycznej, ginęła narazie wśród tła, bladła wśród zasad innych.

Z Euz. Słowackim zgadzał się jeszcze w szeregu twierdzeń drobnych, które oczywiście trudno byłoby uważać za reminiscencje, gdyż mogły poprostu wypływać ze zdrowego sądu przy stosowaniu fałszywych nieraz reguł, a młody autor i w tej rozprawie często poznać go dawał. Zaznaczymy

---

[1]) „Należy więc tutaj sprostować słowa Chmielowskiego (*Estetyka Mickiewicza* str. 25), że Mickiewicz ani słowa nie wspomniał o takich np. niestosownościach, jak całkiem fałszywy obraz cywilizacji Litwy, gdzie pod koniec w. XIV Tomaszewski ukazywał wspaniałe świątynie (Pallady, Jowisza i t. d.)".

[2]) „Popularność" nie była bynajmniej postulatem estetyki pseudoklasycznej. Musieli odrzucić żądanie jej pisarze, którzy przyznawali prawo do sądu o swoich dziełach tylko ludziom o „smaku ukształconym". Odrywało to poezję od życia i społeczeństwa, gubiąc ją wreszcie i prowadząc do zmarnienia. Wyraz „popularność" znał jednak i użył go Piramowicz, który nie wahał się także mimo wszystko napisać, iż „W wolnym narodzie" „temu, który chce dobrą radą, dobremi sprawami być pożytecznym ojczyźnie swojej, trzeba mieć sprzyjanie ludu". („Wymowa i poezja dla szkół narodowych, r. 1792, str. 453 i 454).

tylko gwoli ścisłości, iż zarzut braku artystycznego skupienia wypadków historycznych, stwierdzenie swobody kompozycyjnej poety, nie sprzeciwiał się sądowi, który wygłosił także Słowacki przy epopei: „Nie jest jednakże obowiązkiem poety iść ślepo za podaniem historycznem i trzymać się ściśle porządku dziejów". [1])

Zarzutem pośpiechu szermowano często w owej epoce, która chętnie usilnej pracy przypisywała doskonałość dzieła. Za przykładem Horacego powtórzył go już dawno Boileau.[2]) Mickiewicz zarzucił pośpiech Tomaszewskiemu, twórca Wandy i Mendoga — Krasickiemu w *Wojnie Chocimskiej*, [3]) a Ludwik Osiński Wężykowi w *Glińskim*. [4])

Recenzent *Jagiellonidy* zasad uznanych nie obalał jeszcze, przeciwnie sam popierał swe uwagi zdaniem: „według prawideł..." Stosowanie pojęć współczesnych do tego samego rodzaju poetyckiego musiało też dawać podobne wyniki. Nie dowodziło więc również reminiscencji ubolewanie, iż Jagiełło jako bohater niekiedy jest „ledwie ubocznie wspomniany", to znów mało lub wcale się nie ukazuje, — choć i autor *Teorji smaku* zarzucił jako „wadę w układzie" *Wojny Chocimskiej*, iż „Chodkiewicz rzadko się kiedy ukazuje, rzadko działa..." [5]) Poprostu wykształcenie na tych samych zasadach podsuwało pod oczy te same błędy.

Wiadomo jednak, że poza zestawianiem tych cegiełek poglądów pseudoklasycznych kryć się za niemi musiała dusza budowniczego, a stanowił ją jego własny sąd o Jagiellonidzie.

---

[1]) t. I. str. 98.

[2]) Zasadę tę wysnuto z Horacego: „Jeżelibyś jednak co kiedy napisał, niech to pójdzie pod rozsądek Mecjusza, ojca twojego i nasz nawet i niech do dziesiątego roku zachowane będzie". Wypłynął z tego sławny ongi wiersz Boileau'a:

„H â t e z-v o u s l e n t e m e n t! et sans perdre courage
V i n g t f o i s sur le métier remettez votre ouvrage.
Polissez — le sans cesse et le r e p o l i s s e z..." (Art poétique I)

Powtórzył to u nas i Dmochowski: „Rzadki ten, kto i prędko i dobrze napisze; Śpiesz zwolna, pierwszych myśli ślepo się nie chwytaj, zostaw czas jaki i znowu odczytaj" wyd. z r. 1820, str. 24 i 25).

[3]) t. III, str. 184.

[4]) *Dzieła*, r. 1861 t. IV str. 380.

[5]) Euz. S ł o w a c k i, *Dzieła*, t. III str. 181.

Nie mylił się Mickiewicz, gdy w jedenaście lat później w przedmowie „do krytyków i recenzentów warszawskich" charakteryzował pracę swoją ze studenckich czasów jako „tchnącą klasycznością". Zamilczał jednak, albo też już sam tego nie dostrzegł, iż jedynie wśród współczesnych walczył bronią współczesną, lecz zdrowe, tkwiące w jego duszy poczucie rzeczywistości i prawdy umożliwiło mu ocenianie małej wartości *Jagiellonidy*.

Czyż nie zwraca to uwagi, iż krytykując zachwalony utwór pseudoklasyczny, choć z poetyką współczesną nie zerwał jeszcze, osądzał go jednak ujemnie, stawiał się do niego bądź co bądź w stosunku polemicznym. Jako wzór autorowi ukazał dzieła wybitne, w tłumaczeniach dostępne, jak *Jerozolimę Wyzwoloną* i *Iljadę*, polską *Wojnę Chocimską* oraz poezje Trembeckiego, których daleko wyższą, a istotną wartość rozumiał i odczuwał.

(Dokończenie nastąpi).

Mieczysław Smolarski.

Eugenika dzisiejsza, jej drogi i bezdroża.

W poprzednim artykule o eugenice [1]) przedstawiliśmy genezę tej nowej gałęzi wiedzy, jej istotne założenia i cele, które znalazły tak żywy oddźwięk wśród społeczeństw Zachodu i dały początek potężnemu ruchowi eugenicznemu. W różnych krajach, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych Am. Pn., w Anglji i w Niemczech powstała na ten temat rozległa literatura naukowa i propagandowa, stworzono szereg organizacyj, które popierają studja w tym kierunku i prowadzą czynną akcję w rozlicznych instytutach, pracowniach i poradniach. Wywieszone na sztandarze hasło: odrodzenia zagrożonej zwyrodnieniem ludzkości, działa dalej z magiczną siłą, budzi sympatję dla ruchu i wciąga do współpracy ludzi rozmaitych przekonań.

Ta jednomyślność w ustosunkowaniu się do eugeniki dotyczy wszakże tylko naczelnej jej idei; z chwilą zejścia do szczegółów przychodzą różnice zdań i drogi dotychczasowych sprzymierzeńców rozchodzą się niejednokrotnie. Jest to zresztą zupełnie zrozumiałe. Eugenika jest gałęzią wiedzy stosunkowo nową, a pewne podstawowe jej założenia, zwłaszcza nauka o rozwoju i dziedziczności, znajdują się w odniesieniu do człowieka dopiero w zawiązkach. Powtóre, rozpiętość postawionego celu pozwala na włączanie w jego ramy coraz to nowych zadań, oraz metod i środków do ich osiągnięcia; różnica poglądów jest tu więc trudna do uniknienia, zwłaszcza że w grę wchodzi również moment etyczny, który między innemi doprowadził do całkowitego rozbicia

[1]) *Przegląd Powszechny* marzec 1932 str. 319.

pomiędzy obozem katolickim a pozostałym. Niestety właśnie ten ostatni obóz, mający główne swe oparcie w krajach anglosaskich i rozporządzający największemi zasobami, jest dziś wyłącznym prawie przedstawicielem ruchu eugenicznego w świecie, a jego program można uważać za oficjalny wszędzie tam, gdzie mówi się o eugenice.

Jak przedstawiają się zasadnicze wytyczne tego programu?

Znamy już przewodnią myśl eugeniki: opierając się na prawach dziedziczności, chce ona ratować ludzkość przed zwyrodnieniem drogą planowego regulowania jej rozrodu, by w ten sposób stopniowo doskonalić przyszłe pokolenia. Dąży więc do tego, żeby z powierzchni ziemi znikły zczasem jednostki obarczone poważnemi niedomaganiami, fizycznemi i duchowemi, zmalały ilościowo warstwy ludności pod tym względem małowartościowe, a natomiast wzrosły w liczbę osoby, posiadające cechy wysokowartościowe. Dopiero wtedy bowiem przygasną różne epidemje i choroby, które dziś stanowią klęskę społeczną i grożą zwyrodnieniem szerokim sferom, zmniejszy się przestępczość, zdrowie zaś i tężyzna, pomyślność i radość zakwitną na ziemi. Stan taki nie wyklucza wprawdzie możności nabycia wspomnianych chorób przez poszczególne jednostki, ścisła jednak kontrola eugeniczna, prowadzona przez odpowiednie organa i idąca w parze z opieką higjeniczną, będzie się starała przeszkodzić temu, a w każdym razie nie pozwolić na przekazywanie ujemnych tych cech dalszym generacjom.

Dwa więc zasadnicze zadania stają przed eugeniką: negatywne, polegające na usunięciu, względnie ograniczeniu rozrodu osób o cechach ujemnych, oraz pozytywne, dążące do utrzymania i spotęgowania rozrodczości jednostek, obdarzonych cechami dodatniemi. Stąd podział eugeniki na „pozytywną" i negatywną".

Jakie środki posiada do dyspozycji eugenika pozytywna? — Ponieważ chodzi o to, żeby każde dziecko przyszło na świat zdrowe i z możliwie korzystnemi przyrodzonemi właściwościami, przekazanemi mu przez rodziców, należy zwrócić główną uwagę na tych ostatnich, na ich dobór. Powinni to być ludzie zdrowi, silni, ile możności inteli-

gentni i materjalnie dobrze sytuowani. Co do sposobu dobierania ich i łączenia panują wśród eugenistów różne zdania i niejeden z nich chętnie zgodziłby się na metody, proponowane przez Platona lub niektórych komunistycznych (a niedawno także niemieckich narodowo-socjalistycznych) reformatorów moralności seksualnej. Ponieważ jednak projekty takie nie mają narazie widoków przyjęcia, przeto większość uważa za wskazane popieranie tej instytucji, która daje największą rękojmię doboru osób i kontroli nad jej funcjonowaniem, a którą jest małżeństwo monogamiczne i trwałe. „Instytucją społeczną — pisze Dr. Alfred Grotjahn — najważniejszą dla praktycznej eugeniki, jest małżeństwo. Jest ono głównym punktem zaczepienia wszelkiego planowego unormowania rozrodu"; rodzina zaś, oparta „na monogamicznem, trwałem małżeństwie", ma „rozstrzygające znaczenie dla praktycznej eugeniki, bo jedynie ona stwarza ramy, w których obrębie działać mogą prawa rozrodu", a przytem „jest obecnie najlepszą instytucją dla wychowania potomstwa". [1])

Nie trzeba jednak łudzić się, powiedzmy to mimochodem, jakoby to cenienie rodziny płynęło z jakiegoś pietyzmu dla niej, z uznania jej przyrodzonej godności i trwałości. Nie, eugeniści spoglądają na nią wyłącznie jako na instytucję, która narazie najlepiej zabezpiecza możność kontroli rozrodu i zapewnia opiekę dziecku, ale którą porzuci się bez skrupułu, skoro znajdzie się inny sposób osiągnięcia celu. Przytoczony powyżej A. Grotjahn, zmarły w ubiegłym roku profesor higjeny społecznej na uniwersytecie w Berlinie, uznaje za „małżeństwo" jedynie ten związek, który jest eugenicznie dodatnim i ma dzieci, a „trwałość" jego uważa za stan przejściowy, który w przyszłości „z pewnością" będzie ulegał zmianom.

Sam jednak, nawet najpomyślniejszy, dobór małżonków nie wystarczy do zrealizowania postulatów eugeniki, jeśli nie zechcą mieć dzieci i to w większej liczbie, którymby przekazali swe cechy dodatnie. Nakłonienie ich do spełnie-

---

[1]) Alfred Grotjahn: *Higjena ludzkiego rozrodu.* Zarys praktycznej eugeniki. Warszawa 1930. Str. 16, 17.

nia tego obowiązku jest więc rzeczą pierwszorzędnej wagi. Tymczasem obecnie jesteśmy właśnie świadkami powszechnej silnej rozrodczości niższych i eugenicznie małowartościowych sfer ludności, podczas gdy wyżej stojące i więcej wartościowe mają nieliczne potomstwo i zadawalają się zwyczajnie jednem lub dwojgiem dzieci. Należałoby więc odwrócić ten stan rzeczy i to za wszelką cenę, inaczej dalsze opadanie ogólnego poziomu będzie nieuchronne. Jeżeli chcemy poprawić naszą rasę — pisze Leonard Darwin, prezes *International Federation of Eugenic Organizations* — „powinniśmy już teraz chwycić się środków, które doprowadziłyby do tego, żeby osoby, posiadające cechy charakterystyczne z natury wyższe, miały więcej potomków, niż to ma miejsce obecnie; ci zaś, którzy posiadają cechy charakterystyczne bezsprzecznie niższe, żeby przekazywali je potomkom, o ile tylko możliwe, nielicznym". Wykonanie tego programu powinno być „głównym celem eugeniki". [1])

Jak to jednak przeprowadzić? — Tu zaczyna się najtrudniejszy etap, prawdziwy krzyż dla eugeniki.

Ponieważ do sfer więcej wartościowych zalicza się naogół ludzi intelektualnie i materjalnie wyżej stojących, przeto L. Darwin, chcąc ich zachęcić do większej rozrodczości, każe apelować do ich patrjotyzmu, poczucia obowiązku i honoru. Wstyd byłby, powiada, gdyby kierowali się pobudkami niewłaściwemi, jak „nieumiarkowaną żądzą rozkoszy", przesadną ambicją lub egoizmem. Nie wolno im się cofać przed poświęceniem; „eugenizm żąda od nas, byśmy patrzeli na wszystkich ludzi przyszłych pokoleń jako na naszych bliźnich, to znaczy jako na istoty, dla których umielibyśmy poświęcić nasz bezpośredni interes". [2])

Trzeźwiej patrzący eugeniści, między nimi i L. Darwin, czują jednak dobrze, że same tego rodzaju pobudki będą za słabe i dlatego starają się wzmocnić je dołączeniem innych doraźnych korzyści natury materjalnej, jakie w drodze ustawodawczej miałyby być zapewnione licznym rodzinom. Proponują więc, ażeby wszystkim rodzicom, bez względu

[1]) Leonard Darwin: *Qu'est-ce que l'Eugénique?* Paris 1931, str. 35, 105.

[2]) Tamże, str. 38, 117, 118.

na ich stan majątkowy, udzielać — zależnie od liczby dzieci — zapomóg lub pensyj na utrzymanie i kształcenie tychże, ulg podatkowych, przywilejów wyborczych oraz w służbie wojskowej i t. p. [1])

Jak widzimy, pozytywna część programu eugeniki — obejmująca spotęgowanie rozrodczości warstw kulturalnie wyżej stojących i eugenicznie bardziej wartościowych — nie znalazła dotychczas zadawalającego rozwiązania. Lecz gdyby nawet takie odkryto, nie pomoże ono wiele, jeżeli równocześnie nie zapobiegnie się rozradzaniu się mas pozostałych, o cechach wybitnie ujemnych. Trzeba więc koniecznie doprowadzić do tego, żeby osoby, których potomstwo według wszelkich przewidywań przyjdzie na świat obarczone poważnemi niedomaganiami, nie miały wogóle dzieci, reszta zaś, mianowicie szerokie sfery ludzi fizycznie słabo ukonstytuowanych a pod względem inteligencji i materjalnie licho uposażonych, ograniczyła się do minimalnej liczby dzieci. Wykonanie tej części programu stawia się jako zadanie eugeniki negatywnej.

Zadanie to wszakże trudne, zarówno samo w sobie, jak z powodu różnorodności środków możliwych do użycia. Naturalnie nie powinno się uciekać zaraz do przymusu, lecz należy rozpocząć od perswazji. Trzeba poradzić pierwszej z wymienionych powyżej kategoryj ludzi, żeby nie wstępowali w związki małżeńskie, a w każdym razie bezwzględnie powstrzymali się od stosunków płciowych; drugiej zaś, aby poprzestali na jak najmniejszej liczbie dzieci. Drogą najwłaściwszą do tego celu byłoby oczywiście zachowanie wstrzemięźliwości płciowej. Niestety, chociaż niektórzy eugeniści zgadzają się, że byłoby to najlepsze rozwiązanie, ogół wszakże odrzuca je, jako nieaktualne wobec konkretnych stosunków życiowych. Owszem nie brak i takich, którzy zachęcanie do wstrzemięźliwości płciowej uważają za szkodliwe dla celów eugeniki; sądzą bowiem, że przestrzegać ją będą jednostki więcej wartościowe, które

[1]) Do pewnego stopnia możnaby tu zaliczyć także, wprowadzone gdzieniegdzie w życie opodatkowanie bezżennych (narazie głównie mężczyzn); uzyskane stąd fundusze idą na wspieranie licznych rodzin.

powinnyby mieć dzieci, podczas gdy szerokie sfery, o ograniczenie rozrodczości których chodzi, nie zastosują się wcale do tego żądania i będą nadal rozradzały się silnie.

Toteż ogół eugenistów jest dziś zdania, że jedynem pewnem wyjściem będzie stosowanie sztucznych środków zapobiegających poczęciu czyli prewencyjnych. Przy obecnym poziomie techniki prewencyjnej dają one, ich zdaniem, dostateczną rękojmę bezpieczeństwa i skuteczności, a przytem posiadają tę „zaletę", że zostawiają ludziom możność zadowolenia erotycznego. Z tych wszystkich względów mogą one liczyć na chętne przyjęcie u ogółu, dzięki czemu zracjonalizowanie ludzkiego rozrodu i świadome macierzyństwo będą coraz bliższe urzeczywistnienia. Tem tłumaczy się, dlaczego technika zapobiegawcza zajmuje dziś najpocześniejsze chyba miejsce w programie eugeniki, a gdzieniegdzie, przedewszystkiem w Anglji, ruch eugeniczny zrósł się niemal całkowicie z ruchem neomaltuzjańskim. Tak głośna w krajach anglosaskich „kontrola urodzeń", *birth control* — ograniczanie urodzeń sztucznemi środkami — stanowi naczelny punkt działalności różnych towarzystw eugenicznych i neomaltuzjańskich w Anglji, a poczęści i w Stanach Zjedn. Am. Pn.; zapomocą licznych wydawnictw, czasopism, ulotek, poradni, klinik szerzy się wśród społeczeństwa znajomość tych metod, jako sposobu ograniczenia liczby urodzeń i podniesienia jakości rasy.

Poważniejsi przedstawiciele ruchu eugenicznego zdają sobie wprawdzie sprawę z niebezpieczeństwa, związanego z szerszą propagandą środków zapobiegawczych. Przyznają, że ułatwiają one niemoralne stosunki wśród ludzi, że mogą się stać mieczem obosiecznym i zamiast podnieść rasę, doprowadzą łatwo do „katastrofalnych następstw". Ażeby zaradzić tym niebezpieczeństwom, żądają podniesienia poziomu wychowania seksualnego młodzieży, oraz wielkiej oględności w rozszerzaniu znajomości metod prewencyjnych; owszem niektórzy pragną je ograniczyć tylko do osób, żyjących w stanie małżeńskim lub mającym wstąpić do niego. Ogół jednak eugenistów, nie znajdując w swym arsenale innych sposobów, uważa prewencję za środek niezbędny i najodpowiedniejszy dla uregulowania rozrodu.

Na obronę swego stanowiska wysuwają zresztą inną jeszcze rację. Oto dzięki technice prewencyjnej, powiadają, będzie można wyrugować zczasem sztuczne przerywanie ciąży, zawsze szkodliwe dla zdrowia, a często niebezpieczne dla życia kobiety. Prewencja, zapobiegając poczęciu, uczyni zbędnym powyższy zabieg i dlatego właśnie zasługuje na uznanie jako środek „bardziej ludzki". Narazie jednak przerywanie ciąży, jakkolwiek zasadniczo zwalczane przez eugenikę, mieści się w jej programie jako środek rezerwowy na wypadek nieużycia lub niedopisania metod prewencyjnych. Świadectwem tego jest fakt, że w silnej kampanji, prowadzonej dziś w różnych krajach za niekaralnością przerywania ciąży, powołuje się nieraz na racje eugeniczne.

Wspomniane dotychczas metody apelowały do dobrej woli, starały się drogą perswazji nakłonić osoby eugenicznie mniej wartościowe do powstrzymania się od rodzenia dzieci lub przynajmniej do możliwego ograniczenia ich liczby. Co jednak, jeśli te wszystkie zachęty i wezwania nie trafią do przekonania i pozostaną bezskuteczne? A tak będzie prawdopodobnie właśnie u jednostek najmniej wartościowych. — Wtedy, mówią eugeniści, pozostanie jedynie droga przymusu, popartego ustawą, bo inaczej wszystkie wysiłki pozostaną daremne i ludzkość nieuchronnie zbliżać się będzie ku zwyrodnieniu.

Pierwszym krokiem ma być utrudnienie zawierania małżeństwa wszystkim osobom eugenicznie zdyskwalifikowanym, przez wprowadzenie odpowiednich unieważniających przeszkód małżeńskich. Tak uczyniono w wielu Stanach Ameryki Pn., przyczem przeszkodą są ważniejsze choroby dziedziczne, alkoholizm lub przestępczość.

Drugim, bardziej popularnym i dziś szeroko propagowanym środkiem dopilnowania należytego doboru małżonków są przedślubne świadectwa zdrowia, w niektórych krajach już wprowadzone. Sprawa ta, pozornie jasna i prosta, jest jednak w rzeczywistości niesłychanie zawiłą, czego dowodem jest choćby ogromna ilość projektów, z których żaden nie przedstawia się zadawalająco. Istotą rzeczy jest tu zbadanie przez lekarza obu osób, mających zawrzeć

z sobą związek małżeński. Dalsza procedura, zalecana w poszczególnych przepisach czy projektach, bywa wszakże najrozmaitsza, poczynając od najłagodniejszej, poprzestającej na zakomunikowaniu każdej stronie przez dowolnie obranego lekarza ich stanu zdrowotnego, aż do najsurowszej, żądającej dokonania badania przez lekarza urzędowego i przedstawienia władzom cywilnym jego wyników w celu rozstrzygnięcia, czy danej osobie można pozwolić na zawarcie małżeństwa.

Sądząc z dotychczasowych doświadczeń, należy jednak znalezienie rzeczywiście praktycznego systemu świadectw przedślubnych i uregulowania doboru małżonków uważać za muzykę dalekiej przyszłości, o ile wogóle doczeka się powszechnego zastosowania. Zanim to nastąpi, trzeba więc liczyć się z faktem, że bardzo wiele związków małżeńskich będzie zawieranych między osobami o cechach ujemnych. Wobec tego dalej otwartem pozostaje pytanie, jak skłonić je do wystrzegania się rodzenia dzieci?

Eugeniści rozróżniają tu dwie kategorje ludzi. Pierwszą stanowią te jednostki, które podług wskazań eugeniki absolutnie nie powinny mieć dzieci, gdyż przekazałyby im (napewno lub najprawdopodobniej) cechy wybitnie ujemne, szkodliwe dla dobra rasy. Otóż co do tych osób istnieją tylko dwa środki do wyboru. Jeden z nich, dotychczas powszechnie stosowany, polega na uniemożliwieniu im obcowania płciowego przez przymusowe internowanie ich w szpitalach czy więzieniach, zależnie od tego czy w grę wchodzi choroba czy przestępczość. Drugim sposobem jest sterylizacja, czyli sztuczne obezpłodnienie. Polega ona na zabiegu operacyjnym, który czyni mężczyznę względnie kobietę niezdolnymi do funkcji rozrodczej, choć nie pozbawia ich instynktu płciowego ani możności zadowolenia go.

Sterylizacja ma bardzo wielu przeciwników. Jest ona nietylko dotkliwem w swoim rodzaju okaleczeniem człowieka, ale pociąga za sobą, jak coraz jaśniej wykazują nowsze badania, przykre następstwa fizjologicznej i psychicznej natury. Nie brak też eugenistów, którzy oświadczają się raczej za metodą internowania; większość jednak (zdaje się) skłania się ku sterylizacji i domaga się ustawowego jej

wprowadzenia, a różni się między sobą tylko w określaniu stopnia jej przymusu i rodzaju osób, jakie powinny mu podlegać. W Europie powodzenie ich jest narazie niewielkie; sterylizację uchwalono tu w r. 1928 w Szwajcarji, w kantonie de Vaud, dla nieuleczalnie umysłowo chorych. Jedynie w Stanach Zjedn. Am. Pn. przyjęto ją w latach 1907—1925 prawie w połowie Stanów, choć niektóre z nich cofnęły ją później, tak że ostatecznie pozostała w piętnastu czy szesnastu Stanach. Ogółem przeprowadzono w nich aż do r. 1926 sterylizację u 6.244 osób, z czego $^2/_3$ w samej Kalifornji.

Jeszcze trudniejszą, teoretycznie nawet, okazuje się sprawa przymusowego ograniczenia rozrodczości osób drugiej kategorji, obejmującej szerokie sfery ludności eugenicznie małowartościowej i które ze stanowiska dobra rasy powinnyby mieć jak najmniej dzieci, a tymczasem faktycznie posiadają ich najwięcej. Radykalizm eugeniki występuje tu w pełnem świetle. Warstwy owe, powiada L. Darwin, „nie mają nieograniczonego prawa rozradzania się. A więc państwo ma prawo przeszkodzić ustawicznemu złu, jakie wynika z przyjścia na świat licznego potomstwa w tej klasie". Kiedy jednak zaraz potem pyta, w jaki sposób państwo może wkroczyć w tę dziedzinę, nie znajduje odpowiedzi. Zastosowanie bezwzględnego przymusu okazuje się niepożądanem i niewykonalnem wobec tak szerokich mas ludności. Pozostaje jedynie droga wywierania pośredniego nacisku i to zależnie od okoliczności; tak naprz. osobom, chcącym korzystać z dobrodziejstw opieki społecznej, możnaby postawić jako warunek ograniczenie liczby dzieci.[1])

Tak przedstawia się w głównych zarysach i w systematycznem ujęciu program, przyjmowany dziś przez ogół czołowych przedstawicieli eugeniki. Wymienionemi w nim środkami spodziewają się wpłynąć korzystnie na rozrodczość jednostek eugenicznie wartościowych, a ograniczyć ją, lub nawet zniweczyć, u małowartościowych i szkodliwych. Tym sposobem, przy pomocy odpowiedniego ustawodawstwa, chcą „uregulować" ludzki rozród „na podstawie naukowej" i uratować ludzkość przed zwyrodnieniem.

---

[1]) *Qu'est-ce que l'Eugénique.* Str. 112.

Czy wyłuszczony powyżej program jest możliwy do przyjęcia ze stanowiska etyki katolickiej? Odpowiedź w tym względzie nie pozostawia najmniejszej wątpliwości.

Wspomnieliśmy już w poprzednim artykule, że Kościół katolicki ustosunkowuje się zasadniczo przychylnie do idei eugeniki, o czem świadczy nietylko zastęp katolickich uczonych, zajmujących się temi zagadnieniami, ale przedewszystkiem ostatnia Encyklika o małżeństwie chrześcijańskiem, *Casti connubii*. Papież Pius XI mówi w niej wyraźnie, że „wolno i powinno się mieć na względzie to wszystko, co przemawia za wskazaniami społecznemi i eugenicznemi"; tylko dodaje zaraz potem: „byleby się to osiągało środkami dozwolonemi, uczciwemi i w słusznych granicach". [1]) Ostatnie słowa dają nam więc normę, jakiej powinna się trzymać eugenika teoretyczna i praktyczna, a zarazem kryterjum dostateczne do ocenienia przyjmowanego dziś naogół jej programu, którego wytyczne przedstawiliśmy powyżej.

Niestety nawet pozytywna jego część nie jest wolna od poważnych zarzutów. Dodatnim wprawdzie objawem jest tu dążenie do popierania rodziny i ułatwienia jej wychowania zdrowego potomstwa, lecz widzieliśmy, że troskliwość ta płynie tylko z pobudek eugeniczno-utylitarnych. Małżeństwo monogamiczne i trwałe, oraz oparta na niem rodzina są dla eugeniki dziś najlepszem rozwiązaniem, w przyszłości może się jednak znaleźć inne lepsze. Nadto rodzina ma podług niej o tyle tylko znaczenie, o ile składa się z ludzi zdrowych, silnych i posiada więcej dzieci o cechach wartościowych; to jest w oczach eugenistów jedyna, a w każdym razie decydująca norma jej wartości. Lecz taka norma jest odpowiednia przy hodowli zwierząt rasowych — do której zresztą eugenicy, choć z pewnem zażenowaniem, ciągle się zwracają i każą korzystać z jej doświadczeń — ale nie jest właściwą dla ludzi. Prostą konsekwencją takiego poglądu są owe skrajne projekty doboru małżonków i „regulowania" ich rozrodczości, niejedno-

[1]) Por. polskie tłumaczenie Encykliki (Kraków, Wyd. Ks. Jezuitów) str. 36. — W oryginale jest: *licitis honestisque modis et infra debitos limites.*

krotnie już przedkładane w imię eugeniki. Wszystko to razem jest jednak sprzeczne z prawem przyrodzonem i chrześcijańską moralnością, jest zapoznaniem świętości związku małżeńskiego i jego najwyższych celów, jest poniewieraniem godności ludzkiej i rodzicielskiej.

Jeszcze bardziej rażącą jest ta niezgodność w programie eugeniki negatywnej. Wystarczy zestawić poszczególne jego punkta ze wskazaniami Encykliki *Casti connubii*, będącej streszczeniem nauki katolickiej w tej materji.

Nauka ta — wbrew twierdzeniom, szerzonym z ignorancji czy ze złej woli — nie nakazuje nikomu rodzić dzieci bez ograniczenia, zwłaszcza jeśliby w spadku po rodzicach miały odziedziczyć kalectwo lub ciężkie choroby; w tym ostatnim wypadku wprost każe odradzać takim osobom zawierania związku małżeńskiego, a w razie zawarcia go poleca wstrzymać się od obcowania płciowego przez „uczciwą wstrzemięźliwość". Tymczasem eugenika, jak widzieliśmy poprzednio, odrzuca to rozwiązanie, a w każdym razie rezygnuje z niego i wskazuje sposoby, które Encyklika nazywa „czynami zbrodniczemi".

Do czynów tych należy sztuczne zapobieganie poczęciu zapomocą techniki prewencyjnej. Encyklika zalicza je do czynów „w istocie swej nieuczciwych" i powiada, że „ktokolwiek użyje małżeństwa w ten sposób, by umyślnie udaremnić naturalną siłę rozrodczą, łamie prawo Boże oraz prawo przyrodzone i obciąża sumienie swoje grzechem ciężkim".

Co się tyczy przerywania ciąży, które eugeniści zasadniczo wprawdzie wykluczają, ale w praktyce zatrzymują lub przynajmniej tolerują, Encyklika nazywa je „zbrodnią" i „zabójstwem niewinnego dziecięcia". Oświadcza też, że do tego czynu nikt, ani ojciec ani matka, ani lekarz ani państwo nawet nie ma i „nigdy nie będzie miało prawa".

„Odrzucić" każe wreszcie Encyklika te dążenia, które dla celów eugenicznych chcą drogą przymusu wkraczać w prawa człowieka do małżeństwa i potomstwa. Potępia więc domaganie się, „by zawarcie małżeństwa z urzędu zabronionem było tym wszystkim, którzy według zasad i przewidywań naukowej eugeniki przez dziedziczność ułomne

i upośledzone mieć będą potomstwo"; takim wystarczy i „często powinno się odradzać małżeństwo". Stanowczo zaś wyklucza pozbawianie tych ludzi przez sterylizację naturalnej siły rozrodczej. Nie wolno tego czynić ani samemu człowiekowi, ani tem bardziej wbrew jego woli, „ani z wyroku sądowego za karę jakichś zbrodni, ani dla zapobieżenia przyszłym ich przestępstwom. Przypisywanie takiego prawa władzy świeckiej sprzeciwia się wszelkiemu prawu Bożemu i ludzkiemu i nigdy go ta władza nie miała, ani podług sprawiedliwości mieć nie może".

Zwięzłe powyższe zestawienie jest chyba dostatecznem świadectwem, że oficjalny program dzisiejszej eugeniki sprzeciwia się prawie we wszystkich zasadniczych swych punktach prawu przyrodzonemu i Bożemu. I dlatego zrozumiałem jest, dlaczego na pytanie, skierowane do Stolicy Św. w sprawie tak pojmowanej eugeniki, pozytywnej i negatywnej, Kongregacja św. Officium Dekretem z dn. 21 marca 1931 r. odpowiedziała, że teorję tę „trzeba całkowicie odrzucić i uważać ją za fałszywą i potępioną, jak to określono w Encyklice o małżeństwie chrześcijańskiem *Casti connubii*" z dn. 31 grudnia 1930 r.[1])

Inaczej być nie mogło. Przedstawiony powyżej program eugeniki nietylko zawiera praktyki, niezgodne z prawem przyrodzonem i bożem, ale także w założeniach swych suponuje światopogląd materjalistyczny. Pomija bowiem zupełnie wzgląd na duszę i ostateczne przeznaczenie człowieka, a u niektórych eugenistów wogóle na wartości duchowe i przepisy moralne, a równocześnie chce wchodzić we wszystkie niemal szczegóły życia jednostkowego i zbiorowego, by „uregulować" je dla celów rozrodczości, podług przyjętych przez siebie praw doboru i dziedziczności. Materjalizm ten przesłania eugenistom zasadniczą różnicę, jaka zachodzi pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, oraz warunkami ich życia i rozmnażania się, prowadzi do twierdzeń zbyt pośpiesznych i żądań kategorycznych, do jakich bynajmniej nie uprawnia wiedza obecna, a które w praktycznem zastosowaniu wkraczają głęboko w dziedzinę wolnej woli

[1]) *Acta Apostolicae Sedis* 1931 nr. 4 str. 118.

i praw człowieka. Można więc teoretykom i działaczom na polu eugeniki nie odmawiać dobrych chęci, przyznać troskliwość o dobro ludzkości, ale równocześnie musi się podkreślić, że dobro to pojęli zanadto jednostronnie i materjalistycznie, a proponowane przez nich metody i środki są w przeważającej części nie do przyjęcia. Wobec eugeniki dzisiejszej katolik musi więc zająć stanowisko negatywne.

Na tem wyjaśnieniu stanowiska Kościoła nie możemy jednak poprzestać. Ze strony jego przeciwników, a nawet nie uświadomionych należycie katolików, spotkałby go znowu zarzut nieustępliwości, nie liczenia się z potrzebami czasu i z postępem wiedzy. Uwag tego rodzaju nasłuchaliśmy się przecież dosyta w ostatnich miesiącach z okazji dyskusyj nad projektem prawa małżeńskiego i nowego kodeksu karnego. Ludzie nie orjentujący się nieraz dostatecznie w tych zagadnieniach i ich wielokrotnem powiązaniu z innemi doniosłemi problemami, zostali pasowani na rycerzy prawdy, a nawet obrońców kobiety i moralności (!) dlatego, że dowcipnym i ciętym stylem, oraz garstką prawdziwych czy wątpliwych faktów umieli apelować do uczucia i opinji jeszcze mniej w tych sprawach zorjentowanego ogółu. Przeciw podobnie płytkim a dla dobra społeczeństwa szkodliwym sądom pragniemy więc zawczasu stwierdzić, że w walce z programem dzisiejszej eugeniki Kościół występuje w imię racyj rzeczowych i nie jest bynajmniej odosobniony, lecz ma za sobą ludzi nauki.

Oczywiście w ramach niniejszego artykułu nie będziemy mogli udzielić obszerniejszych wyjaśnień, gdyż każda poszczególna kwestja wymagałaby osobnego omówienia, lecz ograniczymy się do uwag ogólnej natury i dotyczących najważniejszych punktów eugeniki. Nie będziemy również zabierali głosu osobiście w sprawach, przyrodniczych zwłaszcza i lekarskich, do których nie posiadamy dostatecznej kompetencji. Odwołamy się w nich do zdań specjalistów, którzy właśnie na podstawie ścisłych badań stawiają różne zastrzeżenia co do eugeniki obecnej.

Pierwszym i ze stanowiska naukowego najpoważniejszym zarzutem jest słabość i w dużej części niepewność teoretycznych założeń eugeniki, a równocześnie nieproporcjo-

nalnie apodyktyczne stawianie twierdzeń i programów, oraz pośpiech we wprowadzaniu ich w życie.

Olśnieni odkryciami, jakie zwłaszcza od czasów Darwina i Mendel'a poczyniła biologja w kwestji pochodzenia i dziedziczności, sądzili eugeniści, że znaleźli klucz do uregulowania społecznego życia człowieka i rozwiązania problemu ludnościowego. Przyszło im to tem łatwiej, że uznając pochodzenie człowieka od zwierzęcia, a tem samem ich pewne pokrewieństwo, nie mieli żadnej wątpliwości, iż uda im się z powodzeniem zastosować tu metody, wypróbowane przy hodowli zwierząt rasowych. Tymczasem radość ich była przedwczesna. Wyniki badań nad dziedzicznością są dotychczas bardzo skromne i cała ta dziedzina jest jeszcze pełną tajemnic. Pewnem jest tylko, że niektóre cechy rodziców przechodzą dziedzicznie na potomstwo, lecz które i czy zawsze rządzą tem prawa Mendel'a, pozostaje jeszcze pod znakiem zapytania i dziesiątki, a zdaniem niektórych przyrodników setki lat będą potrzebne do dokonania przekonywujących doświadczeń.[1]) Prawa owe zostały bowiem narazie wypróbowane na roślinach, lecz już niewiadomo, czy można je zastosować w całości do zwierząt, a tem bardziej do człowieka, gdzie wchodzi w grę tyle skomplikowanych czynników.

Lecz nawet gdyby rozstrzygnięto powyższą wątpliwość, pozostanie jeszcze szereg innych niejasności i uzasadnionych obaw. Większość eugenistów przyjmuje dziś jako pewnik prawo „nie-dziedziczenia własności nabytych" (niektórzy zacieśniają to: nabytych w ciągu życia rodziców). Tymczasem szereg innych uczonych nie podziela tego zapatrywania; doświadczenia w tym kierunku nie zostały, zdaniem ich, przeprowadzone dostatecznie nawet na zwierzętach, a tem mniej u ludzi. Powtóre, dołącza się tu jeszcze inna trudność. Oto każdy człowiek posiada w sobie pewną ilość cech „dziedzicznych" i „nabytych"; lecz niepodobieństwem

[1]) Do podstawowych praw dziedziczności zaliczają niektórzy, obok prawa Mendel'a, także p r a w o m u t a c j i czyli wyskoków. Sformułowane na podstawie badań botanika De Vries'a nad rośliną *Oenothera Lamarckiana*, odnosi się właściwie tylko do roślin, a i tu jest przez wielu przyrodników zwalczane.

niemal jest rozróżnić konkretnie, które z jego właściwości należą do pierwszej, a które do drugiej kategorji? To zaś byłoby właśnie koniecznem do planowego postępowania według praw dziedziczności.

A choćby nawet i ta trudność znikła, nie wiemy dotychczas, w jaki sposób można wpływać na dodatnie cechy dziedziczne; wiadomo jedynie, że ulegają one szkodliwym wpływom pewnych trucizn, jak chorobowych (syfilis i prawdopodobnie gruźlica) i alkoholu. Jednem słowem, skoro tylko zejdziemy do szczegółów, spotykamy na każdym prawie kroku zagadki i czekające dopiero na stwierdzenie hipotezy. Nie znamy dostatecznie praw dziedziczności w zastosowaniu do człowieka normalnego, a tem mniej w patologji lub w kwestji dziedziczenia skłonności, temperamentów, charakteru i t. p. Wszelkie obliczenia i prawa „naukowe", z takich przesłanek wyprowadzone, pozostają więc zawsze mniej lub więcej niepewne, a oparte na nich wnioski i wskazania eugenicznie nie mogą służyć za wystarczającą podstawę do działania.

Przypuśćmy jednak, że wszystkie prawa doboru i dziedziczności zostały przez naukę dostatecznie wyjaśnione i stwierdzone. Czy problem wykorzystania ich przez eugenikę jest już tem samem rozwiązany? — Nie, ponieważ ścisłe zastosowanie tych praw do człowieka jest w praktyce niepodobieństwem. Możliwą jest hodowla rasowych zwierząt, ponieważ można je zmusić do poddania się przepisanym warunkom bytowania i rozrodu, ale nie do pomyślenia jest przeniesienie tych metod na ludzi, których nie można przecież podobnie przymusowo odosobnić dla celów produkowania „doskonałej rasy". W konkretnych zaś warunkach, w jakich żyją, podlegają oni różnorodnym wpływom, zależnie od środowiska, a na kształtowanie się ich właściwości, fizycznych nawet, wpływają nietylko momenty biologiczno-fizjologiczne, jak u zwierząt, lecz także psychiczne i społeczne.

Wszelkie przymusowe i ubliżające godności człowieka metody w tym względzie — liczące niestety sporo zwolenników w obozie eugenistów — piętnuje dosadnemi słowami Dr. Aleksander Elster (Berlin). Prawdziwa eugenika, powiada: „w żadnym razie nie pokrywa się z polityką ho-

dowlaną, która na podstawie praw Mendel'a i orzeczeń zwolenników descendencji chciałaby zepchnąć politykę ludnościową do rzędu swoistej hodowli, nadzorowanej przez państwo".

Prawda, że powyższe słowa Elster'a odnoszą się do poglądów i wskazań skrajnych eugenistów, lecz nie zapominajmy, że idea „kontroli urodzeń", wciągająca siłą rzeczy w swój obręb pewien przymus i ograniczenia, jest wspólna wszystkim przedstawicielom dzisiejszej eugeniki. Nawet najbardziej umiarkowani z pośród nich domagają się jednak pewnego „uregulowania" rozrodu ludzkiego i ktokolwiek uważnie wczytuje się w ich pisma, wyczuwa wszędzie mniej lub więcej ukryte pragnienie stosowania przymusowych metod, hamowane jedynie niemożliwością przyjęcia ich przez dzisiejsze społeczeństwo. „Dlaczego — pyta każdy z nich z profesorem uniwersytetu w Genewie, Eugène Pittard'em — prawodawcy, którzy co chwilę przez najróżnorodniejsze poczynania umniejszają naszą wolność, pozostawiają ją w pełni i całkowicie najgorszym z pośród nas, mianowicie wolność stwarzania najgorszych potomków, produkowania w każdem pokoleniu istot szkodliwych dla bliźnich?"

Nadmienione powyżej i liczne inne jeszcze niedomagania sprawiły, że wielu ludzi nauki odnosi się nieprzychylnie do panującego dziś kierunku eugeniki i z dużym sceptycyzmem spogląda na jej praktyczne poczynania.

Jedni, gorący zresztą zwolennicy idei eugeniki, uważają za niewskazane budować gmach jej na niepewnych fundamentach praw dziedziczności i wolą szukać innego oparcia. A. Grotjahn przyznaje wprawdzie, że prawa Mendel'a umożliwiły wspaniały rozwój badań nad dziedzicznością, ale dodaje, że „odnośnie do praktycznego zastosowania do rodzaju ludzkiego nauki o dziedziczności, prowadzą raczej do sceptycyzmu, niż do nadziei, by kiedykolwiek można było wpływać na rozród człowieka w ten sam sposób, jak to udało się u niektórych roślin i zwierząt". Zdaniem jego „dziś jak i dawniej, najwięcej nadziei pokładać można w pośrednim wpływie na rozród ludności przez zmianę warunków społecznych, w których ona żyje".[1])

---

[1]) *Higjena ludzkiego rozrodu*, Str. 85—86 (Podkreślenia autora).

Szereg innych lekarzy i przyrodników, oceniających należycie ważność praw dziedziczności, uważa jednak za poważny błąd dzisiejszej eugeniki, że czyni z nich centralny punkt dla swej teorji i praktyki. Zgodnie z F. W. Foerster'em potępiają oni nieuzasadniony „terror dziedziczności", a wskazują, jak ważnemi czynnikami dla całości, fizycznego nawet, rozwoju człowieka jest środowisko, wychowanie i wogóle strona duchowa.

Najsilniej może wypowiada się w tej mierze Dr. Aleksander Elster. „Z pomyślnem urodzeniem się — powiada — jakkolwiek wielką jest jego waga, nie kończy się przecież wszystko" i nie wystarczy sama tężyzna ciała, lecz potrzebna jest również tężyzna ducha, a ta nie zależy tylko od czynników dziedzicznych. Może ktoś przyjść na świat z ujemnemi cechami, a jednak potem usunąć je lub przynajmniej wyrównać przez odpowiednie wychowanie i pracę nad sobą. Nie wolno również zapominać, że tylu wielkich ludzi, którzy więcej zdziałali dla kultury przyszłych pokoleń, niż „całe masy normatywnie zdrowych wiejskich chłopaków", było bardzo słabej nieraz konstytucji cielesnej, a niektórych z nich zalicza się nawet do degeneratów i psychopatów. Toteż Elster odmawia eugenice prawa do przypisywania sobie misji udoskonalenia ludzkości; pracy tej, powiada, może dokonać dopiero „biologja społeczna", w której eugenika zajmuje tylko rolę gałęzi pomocniczej i to nie najważniejszej. [1])

Przeciw przecenianiu znaczenia dziedziczności dla celów eugeniki wysuwa się również niemało innych rzeczowych racyj. Przedewszystkiem stwierdzonem zostało, że także wśród potomków ludzi zdrowych znajduje się spory odsetek osób dziedzicznie silnie obciążonych na punkcie chorób i alkoholizmu. Na fakt ten powołuje się m. i. Alb. Moll i A. Cramer, na podstawie statystyk Diem'a i Kollers'a. I przeciwnie zdarza się, że wbrew przewidywaniom z rodzi-

---

[1]) Dr. Alexander Elster: *Sozialbiologie. Bevölkerungswissenschaft und Gesellschaftshygiene.* Berlin 1923. — Zwłaszcza I część, oraz str. 124 nn. i 155 nn. Por. nadto obszerne jego rozprawy w zbiorowych dziełach społecznych i lekarskich.

ców chorych przychodzą na świat dzieci zdrowe, tak że nigdy nie można polegać tu w zupełności na wskazaniach eugeniki. Poza tem, powiada Alb. Moll, eugeniści dzisiejsi zapominają prawie całkowicie o potężnym czynniku regeneracji. Polega ona na tem, że naturalnym porządkiem rzeczy słabną ujemne cechy, chorobowe zwłaszcza, z biegiem następujących po sobie pokoleń i mogą nawet zczasem zupełnie zniknąć; gdyby tak nie było, to chyba wszyscy mieszkańcy Europy musieliby chorować na syfilis i prawdopodobnie ulegać nałogowi pijaństwa. W tych zresztą wypadkach, w których zwyrodnienie dochodzi do szczytu, natura radzi sobie sama; rodziny i całe narody, które wskutek tego stały się niezdolnemi do życia, wymierają zwykle, jak o tem świadczy historja.

Badania, przeprowadzane w różnych dziedzinach nauki w ostatnich czasach, demaskują wreszcie to hasło, które dzisiejszemu kierunkowi eugeniki zjednało szczególniejszą popularność w Anglji i w Stanach Zjedn. Am. Pn. Klęski prześladujące obecną ludzkość, głoszono tu, mają w dużej mierze swe źródło w nieopatrznej a wysokiej rozrodczości, jaka dotychczas panowała. Należy więc przeprowadzić tu rewizję, zmniejszyć ilość dzieci, a zato podnieść ich jakość; tą drogą usunie się mnóstwo dotyczasowych niedomagań, a podniesie ogólny poziom. W gęsto zaludnionej Anglji, która nadmiar swych ludzi musiała stale wysyłać do kolonij i w rosnącej ludnościowo, dzięki ogromnej immigracji Ameryce, hasło takie znalazło podatny grunt i tem tłumaczy się ścisłe zespolenie tamtejszego ruchu eugenicznego z neomaltuzjanizmem. Właściwy Amerykanom rozmach i optymizm potęgował jeszcze ten kierunek i przed oczyma ich majaczyła już wizja ludzkości szczęśliwej, wolnej od chorób i nieszczęść.

Doświadczenie ostatnich paru dziesiątków lat rozwiewa jednak zwolna te marzenia, a w świetle ścisłych badań cała rzecz zaczyna przybierać zgoła odmienny wygląd. „Ten argument — streszcza wyniki ich lekarz, prof. Jules Monges (Francja) — który przeciwstawia jakość ilości, jest z całą pewnością fałszywy. Wystarczy tylko spojrzeć na liczne

rodziny. Czyż nie w nich zastaje się zwykle najpiękniejsze dzieci?" Eugenika, powiadają zgodnie liczni lekarze i przyrodnicy, ma słuszność, kiedy chce się przyczynić do przyjścia na świat dzieci zdrowych i silnych, ale błędem jest twierdzić, że urodzenie ich zawisło od troski o samą „jakość", z pominięciem ilości. Wprost przeciwnie wszystko wskazuje na to, że w tym wypadku jakość jest funkcją ilości. Coraz częściej bowiem sprawdza się, że gdziekolwiek poświęca się ilość potomstwa dla jego jakości, tam zaprzepaszcza się stopniowo jedno i drugie.

Jasno tłumaczy to prof. Edouard Jordan, kiedy pisze o sprzecznościach dzisiejszego eugenizmu. Mamy powiada, przed sobą fakt, że najmniej urodzeń jest w sferach zamożniejszych, a najwięcej w uboższych. Czy jednak sprawdziło się, że ilość została tam zastąpiona jakością i że możemy liczyć na to, iż w przyszłości dzięki kontroli urodzeń będziemy mieli „elitę" dzieci? — I odpowiada, że gdyby nawet eugenistom udało się tą drogą wyprodukować „piękną rasę", nie osiągną trwałego rezultatu. Urodzenie się zdrowego dziecka nie wyklucza bowiem nabycia w późniejszem życiu ciężkiej choroby, którą przekaże swym potomkom. Powtóre, jeśli niższe warstwy społeczeństwa, które dziś uzupełniają luki urodzeń w wyższych, rozpoczną również ograniczać rozrodczość w imię podniesienia jakości, wówczas ludzkość nietylko się nie podniesie, lecz pocznie zbliżać się ku degeneracji. Dla braku bowiem dzieci niemożliwą stanie się selekcja, jaka zawsze dokonuje się tam, gdzie dzieci jest dużo. I wtedy położenie będzie bez wyjścia; bo jeśli się jeszcze wtedy, mimo małej liczby dzieci, zechce przebierać między wysoko a małowartościowemi, to ucierpi zanadto ilość, a jeśli nie będzie się przebierało, ucierpi jakość. [1])

Słusznie więc pisał lekarz, Raoul de Guchteneere, w swej cennej i tłumaczonej na różne języki pracy „O ograniczeniu urodzeń", że powoływanie się w tej materji na opozycję pomiędzy jakością a ilością „jest jednym z najbardziej podstępnych sofizmatów, jakie mógł wymyśleć *Birth*

[1]) Edouard Jordan: *Eugénisme et Morale*. Paris 1931. Str. 27—36.

Control". Nie można więc poświęcać ilości dla jakości, lecz trzeba dbać o jedno i drugie; wymagają tego zarówno względy eugeniczne, jak kulturalne, społeczno-gospodarcze, ludnościowe i polityczne.

I tak krok za krokiem możnaby wykazywać braki, sprzeczności i niewłaściwości w przyjmowanym dziś naogół programie eugeniki. Niedopisują zarówno jego teoretyczne podstawy i wnioski, jak praktyczne wskazania. Tego, co najważniejsze, pozytywnej strony zagadnienia, nie umie rozwiązać, lecz rzuca się cały ku negatywnej części zadania, chce tylko „zapobiegać, ograniczać, usuwać"; owszem i tu jeszcze okazuje brak rozwagi i cierpliwości, chciałby przeprowadzać wszystko jak najprędzej i radykalnie, nie oglądając się na niezawodność metod i na, decydującą w wielu razach, moralną ich godziwość. Szczegółowe rozpatrzenie tychże wykazałoby jeszcze jaśniej słuszność powyższych zarzutów.

Nic więc dziwnego, że dzisiejsza eugenika znajduje wielu przeciwników w świecie naukowym, że jedni chcą ją zreformować, drudzy sprowadzają ją do roli drugorzędnej, a inni lekceważą lub nawet odrzucają. Dr. Alb. Moll wogóle nie widzi dużego pożytku z obecnej eugeniki, gdyż nieliczne słuszne i pewne jej wskazania nie mają większego praktycznego znaczenia, a inne, daleko sięgające, jakie „niektórzy marzyciele chcą już dziś przyznać eugenice, mogą się nadawać do mów wiecowych, ale nie dla myślących uczonych i sumiennych prawodawców". Jeden zaś z najwybitniejszych higjenistów, Reibmayr, twierdzi, że dla zabezpieczenia rasy ludzkiej przed zwyrodnieniem można obejść się całkowicie bez pomocy eugeniki.

Przytoczone dotychczas racje wykazują chyba dostatecznie, że w potępieniu panującego dziś kierunku eugeniki Kościół katolicki kierował się czysto rzeczowemi względami, że miał na oku dobro nauki i ludzkości, że wystąpił przeciw najgorszej tyranji i upodleniu człowieka, jakie gotowano mu w jednostkowem, rodzinnem i społecznem życiu.

To zaś „okrucieństwo" obecnej eugeniki — jak się wyraża Ed. Jordan — jest w mniejszym lub większym stopniu wspólne wszystkim jej odcieniom. I jest ono zrozumiałe

i nieuniknione. Jak długo eugenika trzymać się będzie dotychczasowego programu, który poleca bezwzględnie „regulować" rozród i tępić wszystko, co niewartościowe, co należy do „rasy biedaków", do *sous-humain*, — tak długo idea gwałtu i okrucieństwa musi z nią być nierozerwalnie złączona.

Krytyka powyższa nie dotyczy eugeniki, tylko panującego dziś jej systemu.

Krytyka ta jest konieczną, tem bardziej że i w naszym kraju propaganda niedozwolonych praktyk poczyna się rozwijać pod płaszczykiem eugeniki. Należy więc demaskować tę robotę i uświadamiać szerokie sfery społeczeństwa, że pomiędzy jednem a drugiem niema bynajmniej koniecznego związku.

Na samem jednak potępieniu fałszywego kierunku nie wolno poprzestać, ale trzeba wystąpić z pozytywnym programem. Zasadnicza bowiem idea eugeniki jest słuszna i wiemy, że Kościół katolicki ustosunkowuje się do niej przychylnie. Należy tylko odrzucić to, co nie ma dostatecznego uzasadnienia rzeczowego i co sprzeciwia się prawu przyrodzonemu i bożemu. Trzeba zerwać z nieodpowiadającą celowi jednostronnością panującego systemu, a opracować wszechstronny i oparty na pewnych podstawach plan działania.

Program taki, w głównych zarysach już gotowy, potrzebuje tylko wykończenia w szczegółach. Rzeczą katolickich uczonych jest przyczynić się do tego dzieła. Będzie to program życia a nie niszczenia, będzie budować a nie burzyć, jak eugenizm obecny.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Goethe, poeta nąstroju.

Bliższe rozpatrzenie się w zjawisku, które określamy krótko słowem „Goethe", zdumiewa obrazem wszechstronności i rozpiętością skali. Psyche ta ma coś z rozpędu i siły żywiołu. Jakby na widok żywiołu pochylamy się pokłonem duszy przed pra-źródłem takiego bogactwa wyobraźni, zdolnej uplastycznić najbardziej oderwane pomysły metafizyczne, takiej lekkości i zwrotności artyzmu, takiej wrażliwości zmysłów i serca, takiej spiżowej potęgi myśli, danych z wspaniałą hojnością — zwykłemu człowiekowi. Bo czas byłoby skończyć z niemiecką legendą o jakiejś szczególnej niezwykłości Goethego jako człowieka t. j. jednostki świadomej siebie, świadomie siebie kształtującej. Nie widać w nim poza dążeniem do wszechstronnego, ale całkiem ziemskiego, nieraz oportunistycznego udoskonalenia jakiegoś heroicznego osobistego porywu wzwyż, nie dosięga on tego diapazonu moralnego, jaki łączymy z pojęciem „wielkich ludzi", daleko do tego napięcia walki o świętość, na miarę tej, w jakiej łamał się — poprzez wzloty i upadki — Mickiewicz. Potęga umysłu, sezam wyobraźni — to jakby dar olbrzymi, złożony w dwie proste ludzkie ręce, jakby ciężar bez miary, przygniatający dwoje zwykłych ludzkich bark. Zdawał sobie sprawę z tego może i sam ten człowiek, gdy mówił o rządzącym nim dajmonie. Stąd może, z tej dysproporcji właśnie między treścią a naczyniem, pochodzi owo wrażenie potężnej, nieświadomej siebie siły natury. Człowiek jest tu tylko naczyniem, przez które objawia się moc nadczłowiecza. Są jednostki, które do zesłanej im

wielkości usiłują w tragicznej i heroicznej walce dociągnąć te elementy swej jaźni, które od ich woli są zależne. Te budzą cześć, te świecą przed ludzkością jak pochodnie w ciemnościach drogi przewodnie, w własnym płomieniu same się pochłaniające.

Goethe do nich nie należy. Światło, jakie bije od niego — blask księżyca, światło przełamane w drodze od praźródła blasku, nie pochodnia w ciemnościach drogi przewodnia, w własnym płomieniu sama się pochłaniająca. Winną dań podziwu niesiemy tak jednomyślnie — jedni wiedząc o tem, drudzy nieświadomi — nie jemu, ale obcej mu mocy praźródła blasku. Cała jego wielkość jest w jego dziele. Rzecz szczególna jednak, że nawet słowa: „dzieło", „twórczość", brzmią fałszywym dźwiękiem, gdy mowa o Goethem. Do tego stopnia to, co wiążemy z jego imieniem sprawia wrażenie nieświadomego, żywiołowego wyzwolenia utajonych sił. Znamiennem jest, że dziś — po próbie setki lat — ostało się najżywiej to właśnie, w czem najmniej brała udziału świadoma twórczość. Klasycznie skrystalizowane, starannie szlifowane utwory Goethego z poitalskiej epoki jego życia, nie porwą dziś nikogo.[1]) Są, przy całem mistrzostwie, zbyt zamknięte w przeestetyzowanych granicach humanizmu. Natomiast i dziś jeszcze pociąga, czaruje, urzeka w dziele Goethego to, w czem poprzez ramy formy, poprzez zewnętrzną, barwną, przelewającą się życiem, szumiącą wszystkiemi głosami, błyszczącą wszystkiemi światłami, płonącą różnorakim ogniem, powierzchnię wydziera się tajemniczy, ciemny, bezkształtny i bezimienny — chaos. Najciekawszem może w dziele Goethego jest właśnie nie to, czem chciał, aby było, lecz to, co było przeciwne jego uświadomionym z biegiem lat dążeniom, to właśnie, co im stawało napoprzek. Wyjątek stanowi *Faust*, owo arcydzieło harmonji w dysharmonjach, owo jedyne w swym rodzaju

[1]) Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby moralna wartość tych dzieł, przepojonych do głębi szlachetnym humanitaryzmem, nie zasługiwała na wysokie uznanie i najsilniejsze podkreślenia. Idzie mi tylko o zaznaczenie, że utraciły już (a może i nigdy jej nie miały) siłę estetycznego oddziałania na przeciętny ogół kulturalny.

skojarzenie irracjonalnych mocy wyobraźni z jasnemi myślami filozoficznemi, ów arcy-owoc symbolistyki, okrywającej twarde ziarno metafizyczne.

Odczuwanie, a raczej przeczuwanie niejasne, niepokojące, niekiedy chwytające za gardło dreszczem obłędu, przepastnych, irracjonalnych dziedzin nieopanowanej podświadomości, a może i rzeczywistych groźnych tajemnic ziemi i kosmosu — oto, co drży na dnie najbardziej sugestywnych utworów Goethego, oto, co sprawia ich nieporównany — nastrój. Nie jego dojrzała mądrość życiowa, nawet nie jego wielka koncepcja metafizyczno-etyczna (zwycięstwo katolickiej idei zbawienia przez łaskę, jako odzew na pokutę i zasługę nad pogańską ideą ubóstwienia przez sam tylko czyn w „Fauście"), ale właśnie ów irracjonalny, nieskrystalizowany, mgławicowy świat, który u Goethego, po raz pierwszy może od chwili, gdy mowa ludzka ułożyła się w dźwięk poezji, wyłania się w drżącym, niepewnym półcieniu — to właśnie jest tem, co czyni go tak bardzo dzisiejszym, co nowe życie, nowy urok nadaje utworom, których rówieśne dawno zamieniły się w próchno i pył. Co więcej, dzisiejsze dopiero czasy, które mają poza sobą i romantyzm i impresjonizm i symbolizm, zdolne są ocenić irracjonalne wartości poezji Goethego i zdać sobie sprawę z tego, do jakiego stopnia czemś nowem i wyprzedzającem swoją epokę był Goethe — jako poeta nastroju. A i dziś jeszcze zdumiewa prostota środków, niemal ubóstwo materjału słownego, przy pomocy którego genjalna intuicja Goethego — o wiele częściej owa nieświadoma siebie intuicja, niż świadoma sztuka — umiała nastrój ten stworzyć.

Alles geben die Götter, die unendlichen
Ihren Lieblingen ganz.
Alle Freuden, die unendlichen,
Alle Schmerzen, die unendlichen, ganz.

Czy może być coś prostszego, niż te cztery wiersze, w których tylko 9 wyrazów się powtarza, w których nawet rymy stanowią wyrazy identyczne? A czyż zarazem łatwo znaleźć w poezji świata, obok tak głębokiego spostrzeżenia filozoficznego, równie nieskończoną melodję goryczy i bez-

nadziei? Tajemnica polega nie na czem innem, jak na powtórzeniu trzech prostych wyrazów: *Alle, unendlichen, ganz* w niezwykłej kombinacji, na doskonałości rymu właśnie dlatego, że zgodne są w s z y s t k i e zgłoski rymujących wyrazów, a nadto jeszcze jest rym wewnętrzny w ostatnim wierszu zgodny z rymami końcowemi wierszy poprzednich, na niezwykłej składni, na oryginalnej rytmice, na skutecznem zastosowaniu kontrastu między długością iloczasową w wyrazie *unendlichen,* a krótkością w *ganz,* a przedewszystkiem na wydobyciu całej muzyczności tych trzech przodujących i wiodących melodję wyrazów. Muzyczność ich wypływa z przewagi jasnych, otwartych samogłosek i płynnych spółgłosek, a przedewszystkiem ze śpiewnej długości wyrazu *unendlichen,* z intonacji i długości samogłoski „*e*", rozciągniętej jeszcze niejako przez następujące po niej sylaby, a wreszcie ze swoistej intonacyjnej i uczuciowej barwy wyrazu *unendlich.* Ale to wszystko wykrywa dopiero analiza. Nie myślał o niej napewno Goethe, gdy zapisał melodję, która brzmiała mu w duszy, nie myśli o niej słuchacz, gdy poddaje się kołysaniu tej melodji. Analiza zresztą nie wykryje wszystkiego. Zawsze pozostanie jakaś reszta niepoznawalna, która sprawia w nas wibrowanie uczucia, która stwarza ten podkład uczuciowy, niepodlegający analizie, niepochwytny niemal, który nazywamy nastrojem. Dlatego też wiersze Goethego są tak niezmiernie trudne do tłumaczenia. Jakże innym jest w języku polskim ten urywek, tak nieskomplikowany, o którym już niby wiemy, czemu zawdzięcza on swój urok:

Wszystko dały bóstwa nieskończone
Swym ulubieńcom, tak.
Wszystkie radości och! nieskończone,
Wszystkie boleści och! nieskończone, tak.

Mimo próby naśladowania wiersza Goethego w walorach dźwiękowych i rytmicznych, mimo wierności przekładu, czujemy, że to zgoła co innego i — opuszczamy bezradnie ręce.

Kto zdoła, mimo tylu przedsiębranych już prób, przetłumaczyć kongenjalnie ten wyraz nieskończonej, kosmicznej ciszy, jakim jest owych sześć wierszy:

Über allen Gipfeln
Ist Ruh;
In allen Wipfeln
Spürest du
Kaum einen Hauch;
Die Vögelein schweigen im Walde.
Warte nur, balde
Ruhest du auch.

I znów niema napozór nic w tych krótkich wierszach o prostych rymach i jednym rymie wewnętrznym, a jednak są one całe jednem głębokiem westchnieniem.

Czy zdoła kto z tłumaczy oddać zdyszany, pośpieszny, coraz radośniejszy, coraz bardziej gorączkowy, coraz bliższy, szerszy, wyższy, szybszy nastrój wiersza *Rastlose Liebe*, wybuchający w końcowym okrzyku szczęścia:

Krone des Lebens,
Glück ohne Ruh,
Liebe, bist du!

Mniejsza o myślową zawartość utworu, zapominamy o niej niemal zupełnie, poddajemy się w pełni nastrojowi uczucia.

Ile melodji i rytmu niemal tanecznego w refrenie *Heidenröslein*, mimo, a raczej wbrew pięknie pedagogicznemu sensowi tej pieśni! Jakim czarem nocy księżycowej oddycha *Die schöne Nacht* i *An den Mond*, jak łagodnie kołysze senna melodja ciemnej komnaty (wywołana powtarzaniem w refrenie kombinacji dźwięku „h" z dźwiękami wargowemi) w *Nachtgesang*, niezależnie od myślowych refleksyj, przez które spłacał poeta dań swojej epoce! Takich czarów, takich upajających mocy poezja przed Goethem nie znała.

Oto jak pisze o tych sprawach Fryderyk Gundolf swym stylem rozlewnym, barokowym, nie dość ścisłym, ale niezaprzeczenie pięknym: „Nowością u Goethego jest to, że to, co w nim śpiewa i drży, ów podniosły nastrój nie jest tylko pobudką, względnie przedmiotem jego wierszy, ale jest dla Goethego zarazem ich treścią i formą. Nie mówi on o swoim stanie ducha, jak poeci sentymentalni w rodzaju Schillera, nie wypowiada tego swego nastroju duchowego, jak poeci naiwni; ale nastrój ten sam się wypowiada, staje się mową, rytmem i barwą; pojedyncze symbole jak:

kochanka, krajobraz, bóstwo, podlegają mu najzupełniej, stają się tylko pojedynczemi falami tego nurtu wymowy, tylko iskrami tej łuny, tylko barwnemi punktami tego mglistego obszaru — tego nurtu, tej łuny, tej mgły, tego bezgranicznego i bezosobowego ruchu kosmicznego, który porwał poetę, w którym on drży i śpiewa: tak samo harfa Eola nie jest niczem innem, jak udźwięcznionym powiewem potrącającego ją wiatru. Podczas gdy dawniejsi poeci chcieli swoje nieskończone wzruszenie zamknąć w skończone kształty, irracjonalne nawet siły życiowe musieli krępować w granicach dostępnych zmysłom i rozumowi — udało się Goethemu dla irracjonalnego przeżycia, dla tych irracjonalnych wzruszeń i płomieni znaleźć irracjonalny wyraz. Udało mu się uniknąć transpozycji nastrojów uczuciowych w konkretne przedmioty i bezpośrednio ująć te nastroje w słowach, niezależnie od konkretnych obrazów". (*Goethe*, Berlin 1925, str. 98, 99). „Bezpośredniość wypowiedzenia się duszy jednostki w tem znaczeniu, że nie potrzebuje ona do tego wypowiedzenia się żadnych członków pośrednich, osiągnął rzeczywiście dopiero Goethe. Nie bezpośredniość przeżycia! Przeżycia Szekspira i Danta były tak samo bezpośrednie, a może nawet bardziej spontaniczne i głębsze; ale droga od duszy do słowa szła u nich poprzez obrazy i postaci, w których przeżycie to konkretyzowało się, stawało się monumentalnem. W liryce Goethego przeżycie staje się odrazu słowem, stawanie się zmienia się odrazu w mowę, uczucie nie potrzebuje obrazu, by stać się ciałem, trzeba mu tylko dźwięku. Było to możliwem jednak tylko dlatego, że Goethe, już tworząc, przeżywał twórczość i śpiewał, bo przeżycie jego miało już formę śpiewu" (str. 102). Pomijam tu dalsze „techniczne" uwagi wielkiego krytyka o tem, jakie były sposoby tego udźwięczniania nastroju duchowego, o tem, jak Goethe w języku swym umiał — zaiste w impresjoniczny, dodajmy, sposób — kojarzyć i przeplatać dziedziny z zakresu odczuwania różnych zmysłów, jak w samem słowotwórstwie umiał wyrażać wieczny ruch, wieczne falowanie świata, jak rozwiązał więzy formuł, krępujące język niemiecki. To są wszystko sprawy, których w każdym prawie języku dokonał u progu nowożytnych czasów jakiś wielki

poeta narodowy. Ale nie można zapominać o tem, że na całym obszarze literatury światowej Goethe był w sprawach tych chyba naprawdę pierwszym.

Jeśli w swych pieśniach rozdźwięczył Goethe pozarozumowe dziedziny duszy ludzkiej, to w jego balladach przyszedł do głosu silniej, niż kiedykolwiek dawniej, ów ciemny świat chaosu, zaszemrał w nich stłumionem echem dreszcz trwogi przed Nieznanem. I tu znów środki wywołania nastroju są bardzo proste. Żadnych wykrzykników, żadnych silnych wyrazów, żadnego gromadzenia efektów, jak we współczesnych dramatach grozy. Niekiedy nawet groteskowe igranie ze sprawami strasznemi. A przecież żadne sztuczne efekty nie wywołałyby tego wrażenia, jakie czyni urwany ostatni wiersz ballady *Der untreue Knabe!* Bezimienny niepokój ogarnia niewiernego kochanka na wieść o śmierci opuszczonej kochanki. Przez siedem dni i przez siedem nocy gna konno wśród burzy w coraz straszliwszym nastroju bezprzedmiotowego strachu. Siódmego dnia chroni się w niewiadomej ruinie; napół przytomny błądzi po zwaliskach: nagle zapada w jakieś okropne, nieznane podziemie. Tam tajemne światło wodzi go w ciemnościach, by przywieść wkońcu na ucztę szkieletów. Dostrzega wśród nich swą kochankę umarłą... i wtedy: „Die wendt sich —". Koniec. Co dalej nastąpiło podnosi włosy na głowie, ale dla tego właśnie, że nie wiemy, co to było, że rozkołysawszy nam wyobraźnię — poeta — opuszcza nas. Oto nastrój straszliwej tajemnicy, potęgowany stopniowo od pierwotnej beztroski w pierwszych strofach ballady, aż do obłąkanej grozy domysłów. Znana powszechnie jest nastrojowość ballady *Der Erlkönig*, znów wywołana tajemniczością przebiegu zdarzenia, *Der König in Thule* z jej mistyką miłości i śmierci, mniej znane są nastroje groteskowo-makabryczne w *Der Totentanz*, tej inspiracji Saint-Saënsa, i w *Hochzeitlied*, wydobyte, zwłaszcza w tej ostatniej balladzie, drogą onomatopeji.

Dwie wielkie ballady *(Der Gott und die Bajadere* i *Die Braut von Korinth)*, chociaż powstały już w epoce klasyczno-słonecznej twórczości Goethego, dowodzą, że i wtedy jeszcze zdolnym był do spojrzenia w „otchłanie chaosu", jak Mickiewicz nad przepaścią w Czufut-Kale, w otchłanie, jak

się wyraża Gundolf, p r a - g r o z y *(Urschauer)*. Bo właśnie ballada, prawdziwa ballada, wypływa z doświadczenia takich ciemnych pra-wiecznych uczuć pierwotnego człowieka, daje znać o istnieniu potęg drzemiących poza duszą.

W starości nie chciał Goethe poddawać się nastrojom. W rozmowach z Eckermannem wyraził się, że w wierszu lirycznym polega wszystko na dobrym motywie, a nie na pięknych uczuciach i dźwiękach. Ale i wtedy potęga podświadomości, choć miała to być tylko broń w ręku filozoficznej idei, raz po raz odnosiła zwycięstwo nad olimpijskim starcem, który świadomie ograniczał swój świat do nauki, sztuki i humanizmu. Dowodem tego cały szereg liryków czystej wody w *West-östlicher Divan*, jak choćby *Vollmondnacht* o gorąco zmysłowym nastroju południowej nocy, albo wizja upiorów w *Schlechter Trost*, albo telepatyczna idea w pieśni 50 *Księgi Zulejki*, albo niezwykły nastrój letniej nocy w *Sommernacht*. Dowodem jednak najlepszym druga część *Fausta*. Wystarczy uświadomić sobie niektóre sceny, by ogarnąć należycie ich walory uczuciowe i zdać sobie sprawę z całej dynamiki nastroju, (teraz już poddanej władztwu myśli), dyszącej w tem arcy-dziele. Nastrój porannego odrodzenia przyrody i ducha ludzkiego po ciemnej nocy przeżyć, świeżość stopniowego nasycania się światłem półmroku, ten nastrój jaki srebrzy się w początkowej scenie II części *Fausta* jest wprost nieporównany. A nie znam w literaturze świata, poza jedną może tylko *Boską Komedją* i poza wierszem Wyspiańskiego „Ach który jestem żywy", tak straszliwie realnej w swym mistycyźmie i tak nieubłaganie sugestywnej chwili, jak ta, gdy z Faustem wnikamy w ziemię, by z okiem wlepionem obłędnie w upiorny, ognisty trójkąt płynąć w czarne królestwo grozy, w niesamowitą ciemność pozaprzestrzennej i pozaczasowej dziedziny „pra-matek". Kogo przy czytaniu tego ustępu, symbolizującego tak potężnie metafizyczną koncepcję, nie chwyta za włosy strach, upiór, powstały z niczego, z prostych słów poety, kto owej grozy n i e w i d z i oczami nie z tego świata — ten nie jest zdolny pojąć Goethego, jako pierwszego i nieśmiertelnego poety nastroju.

Oto parę luźnych wrażeń z lektury Goethego, wrażeń

z tej ciemnej strony słonecznego poety, na którą może mniej zwraca się uwagę.[1]) Rzeczy to pewno nie nowe, czyż łatwo jednak, poza osobistą impresją, dorzucić coś formalnie nowego do tej niewyczerpanej kopalni, jaką jest już teraz literatura o wielkim poecie? A cóż mówić o wyczerpaniu wszystkiego, co jest w tej poezji tajemnic świata i duszy ludzkiej. Toteż każdy pojmuje tyle na ile starczy jego pojemności, jak mówili scholastycy: *Quidquid recipitur admodum recipientis recipitur.*

---

[1]) Raz jeszcze podkreślam, że zastanawiając się nad estetycznem oddziaływaniem „ciemnej" strony twórczości Goethego, jestem bardzo daleko od uważania jej absolutnej wartości za wyższą, niż strony „słonecznej". Mówiąc zaś o żywiołowości w twórczości Goethego, nie chcę zapominać o tem, że doprowadził on wiele swych dzieł do ostatnich granic przemyślenia i to nietylko w zakresie idei, ale i w zakresie „kształtu", o którym tak pięknie pisał z racji estetyki Goethego prof. Z. Łempicki.

Zofja Ciechanowska.

Z problemów afrykańskich.

Paryska wystawa kolonjalna i podróż Ghandiego do Londynu zwraca dzisiaj umysły europejczyka, dalej patrzącego, ku czarnemu lądowi Afryki.

Bo Afryka dawno przestała być kopalnią niewolników — ale dzisiaj przestaje być kopalnią wszelkiego rodzaju surowców dla wszechpotężnego jeszcze brytyjczyka — czem zaś będzie jutro?

Przecież niema już takiego kąta, dokądby nie doszły wpływy europejskiej kultury, a murzyn dzisiejszy chłonie pełną piersią kulturę europejską, zwykle ostatnie jej wydanie, jakie przysyłają skrzętni wysłańcy sowietów, co wyszukują adresy rozmaitych królików murzyńskich w zapadłej afrykańskiej dżungli, by tam posłać „swego człowieka“ lub swoją „bibułę“. To są fakty autentyczne.

Pod temi wpływami zmienia się murzyn, podobnie jak się zmienił już hindus.

Kwestja ta interesuje nawet Polaków, bo nieraz już otrzymywałem tutaj listy z zapytaniami tego rodzaju: „Jak się przedstawia murzyn pod względem duchowym?“ lub: „Bawi ksiądz w Afryce. Proszę się na miejscu przypatrzeć murzynom i napisać, jak też murzyn reaguje na te nasze zdobycze kulturalne? Ważne to nietylko z punktu psychologicznego, ale i ze względu na problem czysto społeczny“.

Toteż patrzę i pytam naokoło starych afrykańczyków misjonarzy, jakim ten murzyn jest, bo zgóry tego jestem świadom, że sam tak prędko sobie zdania nie wyrobię, za krótko bowiem tutaj jestem i tylko ze szczepami Bantu się stykam. Czarny nie zdradzi się tak prędko ze swemi poglądami przed białym. Zresztą co mogłem zauwa-

żyć? Że to lud dziki, nie dający się nagiąć do pewnej reguły życia, że miłuje swą wolność, że ten las go ciągnie jak u nas cygana jego włóczęga — że ma swoje bardzo racjonalne zwyczaje — uparty przy swojem — boi się białego, bo ten biały potrafi wszystko, i latać i pędzić szybko czy po lądzie czy wodzie — ale tego białego i nienawidzi, bo ten biały to umie, a czarny nie, bo biały ma białą skórę, a czarny nie.

Zauważyłem, że ten czarny też modli się bardzo chętnie — bo boi się P. Boga, bo chce pokazać, że on czemś wyższem już jest, potrafi w kościele śpiewać, widzi ładne aparaty i ołtarz jaskrawy — zresztą — trzeba się pomodlić... człowiek umrze, duch stanie przed sądem Bożym... boi się czarny...

Zauważyłem częste niezadowolenie z pracy czarnych, i nawzajem, że czarni nie byli zadowoleni z zapłaty za swą pracę, za jaką biały otrzymuje dziesięć razy więcej — widziałem, jak czarni śmieją się z naszych zwyczajów, a nas znowu do śmiechu pobudzały praktyki czarnych; gdym wyrażał swój wstręt, „jak to można takiego robaka, szczura ziemnego piec i jeść?" — a czarny mi mówi na to: „jak to można jeść wieprzowe mięso, przecież świnia tylko w błocie i gnoju siedzi!"...

Obrazków obyczajowych mogę nazbierać dużo, ale aby złożyć z nich całość i powiedzieć jakie zdanie o umysłowości czarnego, na to, zdaje mi się, nie mógłbym się zdobyć ani za rok, ani za kilka lat pobytu w Afryce. Właściwie tylko czarny wykształcony, inteligentny, człowiek mógłby scharakteryzować umysłowość czarnego. Jeden z takich, dr. W. B. Rubusana, murzyn urodzony w połud. Afryce (East London), człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem, tak opisywał umysł czarnego: „jest to dziwne połączenie podejrzliwości, zabobonu, prostoty dziecięcej i uporu jak u osła".

Aby jednak dać jakieś bodaj wyobrażenie o umysłowości czarnego, nie w kilku tylko słowach paradoksalnych, jak powyżej przytoczone zdanie, powołam się na opinję Ks. B. Huss'a, ze Zgrom. Misjonarzy z Marianhill (w Południowej Afryce), uznanego przez misjonarzy, rząd i świat

naukowy za dobrego znawcę i powagę w kwestji murzyńskiej. Poglądy swe ogłosił on w piśmie fachowem (*Africa* tom IV, str. 445, w r. 1931), organie międzynarodowego instytutu dla badań nad kulturą afrykańską. [1])

Stopień rozwoju umysłu czarnego jest dzisiaj bardzo rozmaity; wiemy z doświadczenia, że czarni mogą zajmować i zajmują już najpoważniejsze stanowiska. Trudność naszego o nich sądu polega na tem, że nie umiemy myśleć po czarnemu, a czarny jest przekonanym, że musi dopiero nauczyć się po białemu myśleć, a do tego nie ma ochoty, by rezygnować ze swej duchowości. Stąd powstają tylko wzajemne niechęci i uprzedzenia, jakich uniknąć będzie można tylko wtedy, jeśli się nawzajem pozna swą umysłowość, psychę. Europa zajmuje się tem, etnologiczne i antropologiczne studja są wstępem do poznania duszy czarnego — ale ponieważ te studja nie są jeszcze na ukończeniu, więc dlatego trudno na nich budować konstrukcję duszy czarnego. Ale na podstawie tego, co już wiemy starały się uniwersytety w Cape Town i Johannesburgu urządzać kursa wakacyjne „o Afryce", celem poznania kwestji murzyńskiej. Na kursa te mieli wstęp i czarni, aby nawzajem i czarny inteligent poznawał naukowo duszę swych ziomków.

Dzisiaj każdy farmer twierdzi, że „zna swego robotnika", każda angielka mówi: „znam swego służącego"... i tak samo mówi każdy urzędnik, każdy kupiec, może nawet każdy misjonarz — a dopiero, gdy się wydarzy jaki przykry „incydent" w guście rewolucji, zamordowania jakiegoś farmera, i t. p. mówią: „nikt nie wiedział, że..."

Ks. Huss pracuje nad czarnymi 34 lat, jako misjonarz, nauczyciel, farmer; przemawiał do nich o kwestji murzyńskiej, na bardzo popularnych i bardzo naukowych zebraniach (pracuje on w połud.-wschodniej Afryce) jest przedstawicielem tendencji uczłowieczenia, t. j. dania czarnym wszelkich praw, a za głoszenie tej zasady spotykał się i z wyrazami wdzięczności i uznania, i z zarzutami grubjańskiemi od tych samych czarnych. Dlaczego? Bo ten misjonarz, gło-

[1]) Uwagi ks. Huss'a, tu streszczone, odnoszą się też głównie do murzynów południowo-wschodniej, a nie całej, Afryki.

sząc równouprawnienie czarnych, tem samem zmuszał ich do pozbycia się starych murzyńskich zwyczajów. Albo kulturalne obyczaje białych, albo obyczaje czarnych — trudno, by nie umiejący podpisać się czarny, brał udział w życiu państwowem; ale tego szkopułu czarny umysł nie zawsze umie szczęśliwie przebyć.

Pod wpływem szkoły tworzy się dzisiaj „nowy murzyn" z nową umysłowością. Dodajmy, że pod wpływem tej „świeckiej kultury" tworzy się też nowy typ murzyna — tego „świeckiego" murzyna, co chodzi w lakierkach i krawatce, co jeździ autem, upija się szampanem, kradzionym swemu panu, co morduje białe kobiety etc... wogóle żyje i bawi się tak, — jak to czytamy w modnych egzotycznych romansach, — jakby to był jaki wyrzutek białego społeczeństwa, a nie murzyn.

Ale równocześnie, spotyka się misjonarz, uczący w wyższej szkole murzynów historji, z takiem pytaniem: „Dlaczego nas uczycie o dawnych dziejach europejskich — proszę nam coś opowiedzieć i nauczyć nas o dawnych dziejach naszych, afrykańskich. Przecież nas to więcej obchodzi!"

I te wszystkie poglądy i dążenia rodzą się w duszy czarnego, znajdują tam w jego umysłowości podatny dla siebie grunt. Co to za dziwaczna dusza?

A prawie wszyscy dotychczas mówią o wyższym poziomie białych, i że czarny nie może wznieść się na tak wysoki poziom!

Ks. Huss jest tego zdania, na podstawie długoletniego doświadczenia, że umysłowość czarnych da się znakomicie zastosować do wysokości t. zw. europejskiej kultury, ale z drugiej strony znowu, że umysłowość pierwotnych murzynów, tych, co jeszcze żyją wedle swych dawnych obyczajów, nie pozwala im tknąć się tych nowości... to dla nich tabu!

Umysł czarnego jest dostępny dla wszelkich zdobyczy kulturalnych — byle tylko te zdobycze przychodziły równomiernie, t. j. z kulturą materjalną i kulturą duchową. A tego niestety powiedzieć nie można.

Od czasów wojny rosyjsko-japońskiej, świat europejski mniej się interesuje czynnem krzewieniem kultury swej

na wschodzie, bo przekonano się właśnie podczas tej wojny, że Wschód ma swą kulturę i naszych „dobrodziejstw" nie chce. Więc całe zainteresowanie ludzkości zwróciło się tem intensywniej do rasy czarnej, do rozwiązania sfinksa afrykańskiego: europejczycy mówili czarnym, by zaprzestali walk, i swe zwyczaje wojenne zamienili na pokojowe prace, by w tym kierunku swą energję obrócili. A tymczasem z wybuchem wojny światowej przekonują się czarni, że europejczycy całą swą kulturalną twórczość obracają na to, aby się nawzajem niszczyć!

Tu poczęło się analizowanie i krytyka — czarni pomagali białym zdobywać Afrykę i eksploatować — a biali zabierali czarnym ich ziemię, ich skarby i spychają ich do rezerwatów, jak czerwonoskórych w Ameryce. A na wszelkie dowody, przytaczane przez białych, że to jest siła życia, że historja dowodzi, że narody jedne, niższe muszą ustępować wyższym, — albo się śmieją czarni, albo uważają nas za głupców (w swej prasie), albo też mówią to samo kulturalnym językiem, że „my czarni, jesteśmy inni, niż wy".

Ale często spotkać się można z uznaniem dla pracy misjonarzy, tam naturalnie, gdzie misjonarze prawdziwi nietylko kulturę materjalną, ale i duchową przynoszą w darze.

Wśród czarnych, myślących o przyszłości Afryki i rasy swej, możnaby rozróżnić dwa kierunki: gwałtu i przygotowania. Kierunek gwałtu ma oparcie głównie na amerykańskich murzynach i komunistach, a polega na drażnieniu czarnych, zwoływaniu meetyngów, podżeganiu hasłem: „czarnym czarna Afryka, białym biała Europa". Oni wysyłają deputacje do Anglji, podżegają do strajków i t. p.

Drugi kierunek stara się stworzyć atmosferę kooperacji obu ras: podnieść czarnych tak, aby byli zdolni pracować w obecnych kulturalnych warunkach. W niektórych miastach poł. Afryki istnieją nawet takie stowarzyszenia i rady, a duchowni przewodnicy czarnych przyznają słuszność temu kierunkowi. Pomoc czarnym okazywana, to przedewszystkiem kooperatywy rozmaitych form, pożyteczne bardzo, o ile czarni je rozumieją.

Nakoniec może kilka przykładów — dających obraz, jak rozmaitą jest ta umysłowość czarnych.

„Lewicowi" czyli kierunek gwałtu, nazywają swych przeciwników, co powoli drogą ewolucji chcą prowadzić murzyna do kultury — że to „uczciwi ludzie" czyli „niedołęgi", bo myślą, że murzyn bez europejczyka sobie rady nie da!

Inny taki przewódca, — inteligentny chyba, bo członek parlamentu afrykańskiego, mówi, że „prawdziwą kulturę mieli dawniej tylko ludy Bantu, a dzisiaj znaleźć ją można tylko w sowieckiej Rosji", i o ile on wie, to „tylko u sowietów i u mahometan, można znaleźć naukę Chrystusa, zamienioną w czyn".

Gdy skutkiem wielkiej akcji ks. Huss'a udało mu się wreszcie założyć pierwszą kooperatywę dla czarnych, jedno z pism (dla murzynów) nazwało to „chęcią sprzedania czarnym nowej zabawki". — Dodam, że we wielu okolicach Afryki system kooperatyw przyjęli czarni bardzo chętnie, i ciągną stąd wielkie korzyści. Inny czarny redaktor pisze o naszem nauczaniu i szkołach naszych, że „czarni to nie takie zakute pałki — oni poznają się na tych wilkach, co w owczej skórze przychodzą do nas..."; albo proponuje, aby założyć kooperatywy dla czarnych bez względu na religję, rasę i stan, ale „by ta kooperatywa była opartą nie na podstawach jakichś tam teoryj bankowych, ale na słowie honoru robotnika, że mu będzie chodzić tylko o dobro ogółu!!!"

Niczem frazesy, rzucane przez agitatorów sowieckich. Toteż niema się co dziwić, gdy w takich pismach spotyka się słowa powitania dla komunistów, gdyż „oni jedni są prawdziwymi przyjaciółmi czarnego, którzy mogą zaprowadzić spokój w Afryce... i zamienić ją na nowe Jeruzalem, istniejące tylko w Rosji...

Wystarczy?

Innym czarnym prowodyrom nie podoba się pomoc europejska w krzewieniu kultury — chcą wrócić do dawnej natury — i gdy ks. Huss w szeregu pism murzyńskich wskazywał im przykład z histroji, jak się rozwijały ludy przyjmujące kulturę łacińską, jeden czarny redaktor napisał: „My czarni przewodnicy duchowi murzynów chcemy grzecznie zwrócić uwagę Ojcu Huss, aby nam nie bredził jakichś tam bzdurstw i blagi w swych kazaniach — kazań nasłuchaliśmy się dość od sławnych Ojców Białych — dlatego

teraz tem bardziej podejrzywamy każde słowo, jakie od takich osób pochodzi".

Albo inny przykład na umysłowość czarnego. Pewien murzyn skończył uniwersytet, ma nawet stopień akademicki, i chciał sobie kupić jakich 1000 akrów ziemi i był przekonanym, że wykarmi tam 1000 sztuk bydła. (1000 akrów, to 404 i pół hektara, czyli niecałe 800 morgów), Gdy mu ks. Huss zwrócił uwagę, że nie wystarczy tej ziemi, i że przeciętnie trzeba rachować dobry mórg na jedną krowę, uczony murzyn wyśmiał go: „może to taka reguła jest dla was białych, ale nie dla nas czarnych".

Wszystko to są typy tych, jakich zaliczyć trzeba do do partji lewicowej, „zwolennicy gwałtu". Kompletnie zakute głowy. Przewódcy ich obiecują im pomoc od amerykańskich murzynów — dolary ich zrobią wszystko. Naturalnie na takim meetingu à conto przyszłej pomocy każdy z czarnych daje półtora szyllinga — stała taksa na agitację — a prowodyr jedzie dalej na następny meeting.

Obrazki tego rodzaju znane są nam w Polsce.

Na umysł murzyna wywiera czarowną siłę słowo „pieniądz" — kto ma pieniądze ten ma wszystko. — Podobno nietylko w Afryce myślą tak ludzie — ale materjalizm murzynów zmaterjalizowanych na cechę czysto murzyńską... Zbierają pieniądze — gromadzą je, bo widzą, że tak robią biali, i że potem ciągną stąd świetne zyski — ale, siedząc na pieniądzach, czekają aż-jakoś-coś-kiedyś-samo się stanie i te setki funtów zmienią się w tysiące. Tymczasem zaś jaki sprytny czarny oszust staje się „dyrektorem" tych pieniędzy i pewnego dnia znika z niemi. Takie wypadki są częstsze, niżby można przypuszczać. Czarnemu się zdaje, że tak jak ongiś chytrością i podstępem pobił swego wroga, tak teraz temiż sposobami robić może pieniądze.

Czasem tacy przewodnicy lewicowi rzucają hasło: „powrót do dawnych czasów", władzy królików, ich morderstw, wojen, niewoli... tylko że ci młodzi panowie murzyni, co takie hasła rzucają, nie wiedzą, jak to było dawniej — wydaje im się, że to był raj jakiś!

Te jednak teorje świadczą, że Rosja rzuca do Afryki

nietylko swe materjalne środki, aby podciąć handel, ale i sporo duchowego materjału wybuchowego.

W obozie umiarkowanym jest mnóstwo czarnych, którzy rozumieją, co Afryka zawdzięcza białym i coby się stało, gdyby brakło w Afryce tych białych. Ci pracują nad uspokojeniem rozagitowanych umysłów, tłumaczą że wiele jeszcze muszą się czarni nauczyć od białych; oni rozumieją, że konieczną rzeczą jest, by czarni przejęli się kulturą łacińską tak, jak to uczyniły kiedyś ludy całej Europy, nie drogą rewolucji, ale ewolucji.

Czarni dobrej woli są gotowi pracować razem z europejczykami dobrej woli, przygotowywać publiczną opinję i być jakby buforem, co łagodzi zderzenia między dwiema rasami, czarną i białą. A te zderzenia być muszą — bo to życie! Dodawać nie trzeba, że misjonarze katoliccy pracują w tym właśnie kierunku, i że oni właśnie mogą to najlepiej uczynić. Propagowanie kultury, nieopartej na zasadach ewangelji, przynosi duchowe bankructwo. — I warto, aby się temu bankructwu przypatrzyli tutaj w Afryce ci ludzie dobrej woli, którzy tam w Europie jeszcze wierzą w „laicyzację szkoły", czyli szerzenie kultury bez religijnych zasad. Ale dodać trzeba, że jeśli Afryka cała jest terenem, gdzie ścierają się te dwa prądy — które może i spowodują kiedy wybuch — to nam, co stoimy silnie w posiadaniu prawdziwej kultury, wiary katolickiej, chyba zależy na tem, by to światło w umysłach czarnych szerzyć i w tym celu popierać pracę misjonarzy.

Ks. K. Konopka T. J.
misjonarz w Rodezji.

Andrzej Thérive

albo *demonstratio per absurdum* w nowoczesnej literaturze francuskiej.

W geometrji elementarnej, której uczą się gimnaziści, istnieje, jak wiadomo, ciekawa teorja, *demonstratio per absurdum*, czyli po polsku „dowodzenie przez absurd". Aby dowieść, że pewna hipoteza jest słuszną i jedyną nadającą się do rozwiązania problematu, bierzemy inną hipotezę, wprost przeciwną, i posuwamy jej konsekwencje do ostatecznych granic, t. j. do absurdu, poczem konkludujemy zupełnie logicznie, że wobec tego pierwsza hipoteza była jedyną słuszną i prawdziwą *quod erat demonstrandum.*

W codziennem naszem życiu widzimy często podobny sposób dowodzenia, i podobne dowody, lecz podobnie jak Monsieur Jourdain, bohater komedji Molière'a, który mówił prozą od samego urodzenia, nie zdajemy sobie z tego sprawy.

A w literaturze? Prawdę powiedziawszy, nie widzi się często zastosowania tej teorji, starej wprawdzie, ale doskonałej. Autorzy katoliccy, lub wogóle religijni, wolą naogół pokazywać nam albo bohaterów powieści, mogących nam służyć za wzór, albo też innych, którzy walczą, ulegają pokusom, lecz później pokonywują je i osiągają najwyższą doskonałość moralną.

W literaturze francuskiej nowoczesnej spotykamy się z nią po raz pierwszy w powieściach znanego autora i krytyka, Andrzeja Thérive. Stosuje on *demonstratio per absurdum* w całej swej rozciągłości i w sposób nader oryginalny, pozostawiając ostatnie słowo samemu czytelnikowi, który sam ma wyciągnąć ostateczne wnioski, albo rozwiązać problemat, ale jednocześnie stawiając go w niemożności udzielenia innej odpowiedzi, jak ta którą podyk-

towała mu już sama książka. Wyobraźmy sobie człowieka, który idąc ulicą wchodzi w zaułek, kończący się ślepą i gładką ścianą. Choćby człowiek ten był najbardziej uparty, musi wkońcu zawrócić i wyznać, że zmylił drogę.

Zanim przyjrzymy się zbliska temu systemowi dowodzenia, dość nowemu w powieści, wypada powiedzieć parę słów o samym autorze. Andrzej Thérive, urodzony w r. 1892, należy do generacji literackiej powojennej. Jak prawie wszyscy z tej generacji przeszedł przez burzę wojenną, która pozostawiła na nim swoje ślady. Początkowo zamierzał poświęcić się pracy profesorskiej, lecz pociągnęła go szybko literatura. Jedna z jego najpierwszych powieści *Największy grzech* otrzymała nagrodę literacką i zwróciła uwagę krytyki i publiczności na autora. Za powieścią tą poszły inne, cieszące się niemniejszem powodzeniem. Po śmierci znanego krytyka literackiego z *Le Temps* paryskiego, Pawła Souday, Andrzej Thérive objął tę rubrykę, jedną z najpoważniejszych w Paryżu.

Poza powieścią „Największy grzech", gdzie Andrzej Thérive mówi nam o grzechu czysto duchowym, świadomym albo prawie świadomym, wszyscy prawie bohaterowie i bohaterki tego autora są to ludzie biedni, wchodzący w życie bez żadnej tarczy moralnej i bez żadnego przygotowania duchowego. Nie może go im dać ani rodzina, najczęściej nieistniejąca, ani szkoła, z której wygnano Boga, aby go zastąpić tak żwaną „świecką moralnością". Dawna, że się tak wyrażę, dyscyplina duchowa została usunięta, na jej miejsce nie dano nic nowego. Andrzej Thérive ukazuje nam zatem owe biedne zbłąkane łodzie, bez steru i kotwicy i zdaje się nam mówić:

„Uważajcie. Patrzcie teraz, jak one będą pływać z całym ich nowoczesnym bagażem".

Jak one będą pływać? Są bardzo lekkie. Ani skrupułów religijnych, ani nic zabronionego. A jednak kreślą żałosne zygzaki i rozbijają się o wszystkie napotkane skały. W tym świecie „bez duszy" (tytuł jednej z ostatnich powieści Andrzeja Thérive *Sans âme*) niema ani dobrych ani sprawiedliwych. Juljusz Verhaege znosi poniżający go wpływ wulgarnej Lucette i jej złośliwość, zresztą dosyć powierzchowną. Ale za to złamie małą Lydję, jedyną istotę zdolną do bezinteresownej dobroci i tkliwości, jaką spotkał na swojej drodze. W chwilach prawdziwego i wielkiego

cierpienia czuje on, że wszystko, co wie, jest bezużytecznem i szuka rozpaczliwie czegoś, czego sam nie rozumie, ale czego odczuwa bolesny, niczem niezapełniony brak. „Nie szukałbyś mnie, gdybyś mnie już nie znalazł", mówi Pascal ze swoją nieubłaganą logiką. Juljusz może jeszcze być uratowany, mimo swego pseudo-intelektualizmu. Co do innych „uczonych" i pseudo-uczonych, których autor maluje nam jaskrawemi barwami w powieści *Bez duszy*, ci już ugrzęźli zupełnie w głupocie, spłodzonej przez ich fałszywy intelektualizm i zapadają coraz głębiej, jak profesor Michel Comte i całe jego otoczenie.

W świecie „bez duszy" każdy ma tylko jednego boga i pana — swoją własną przyjemność i swój dobrobyt. Mniejsza o to za jaką cenę. Życie i społeczeństwo to postaw sukna czerwonego — powiedziałby Sienkiewicz — każdy ciągnie za jeden koniec, dbając jedynie o to, aby mu pozostał w zaciśniętej garści możliwie jak największy kawałek. Każdy dla siebie, nieprawdaż?

Kiedy Juljusz Verhaege, młody człowiek z dobrej rodziny, ale źle przygotowany do życia, spotyka Lucette w nędznym kinematografie, postanawia odrazu, że musi ona być jego kochanką. Ani serce tej dziewczyny, ani jej szczęście czy nieszczęście nie interesują go wcale. Wkrótce też Lucette, zimna, wyrachowana i wcale nie bezinteresowna, choć na sposób lojalna względem swego kochanka, zawładnie nim zupełnie. Jest to przeciętna drobna mieszczka, ale już bez cnót mieszczańskich i bez cienia wiary. Juljusz zupełnie przez nią opanowany napozór, staje się na czas pewien jej posłuszną ofiarą. Czy jest nią rzeczywiście? Bo przecież nie kocha Lucette i w każdej chwili mógłby się od niej oswobodzić.

Uczyni to jednak dopiero poznawszy kuzynkę Lucette, Lydję. Ta Lydja to jakby uśmiech w smutnej szarzyźnie życia. Łagodna, nieświadomie dobra, opiekuje się kotem Pompon, żółwiem i z ubogich zarobków podrzędnej tancerki pomaga starej ciotce. Jedno z tych serc, co się rodzą pełne dla wszystkich. A ma życie tak ciężkie, że serce to zamyka się, nie przestając kochać, ale bierze nieraz swą miłość za nienawiść. Ten wątły kwiat przedmieścia biedaków musi umrzeć, nie ma dość sił do życia. Lecz w chwili śmierci chwyta ją dziwna trwoga:

„Śmierć, dobrze, ja jej się nie boję... ale nie koniec... Rozumiesz?"

„Koniec? Dlaczego koniec?" pytał przerażony.

„Boję się. Oh, jak ja się boję! Czy jesteś tu?"

„Tak, wyszeptał przed jej zamkniętemi oczyma. Niema końca, wiesz. Jest dusza..."

„Ale nie koniec... powtarzał głos. Ale nie koniec. Ale nie koniec!"

U Lydji poczucie wieczności staje się czemś prawie namacalnem. I jeżeli umierająca woła do niej z taką rozpaczą, to dlatego, że ją czuje już bliską.

Bardziej zwierzęca, mniej subtelna, Lucetté, ma jednak także czasem jakieś niejasne przeczucia: boi się cmentarzy, umarłych i... kościołów. Drży, idąc raz wieczorem wzdłuż muru cmentarza Montparnasse.

„Wreszcie Juljusz zdziwiony zawołał:

„Ależ ty drżysz, ty się boisz? Czy to z powodu cmentarza?"

„Oh, tak, odrzekła. Nigdybym nie przeszła tędy sama. Zanadto mi strach...

Dokończył za nią:

„Machabeuszy (popularna nazwa trupów). A wiesz, że to zabawne. Taka jak ty kobieta. Zadziwiasz mnie, doprawdy zadziwiasz. Cóż ty myślisz, czy wierzysz w co?"

„Oh, odrzekła, ja w nic nie wierzę. Ale ludzie opowiadają dość, żeby napędzić strachu. U Lydji raz, naprzykład... Zresztą nie mówmy o tem. Ja się tak samo boję cmentarza, jak kościoła".

„Nie? a to dlaczego?"

„Dobry jesteś! zawołała. Z ich świecami, z ich posągami, z ich duszami!...".

Coś jakby cień własnej duszy ukazuje się tej wydziedziczonej, tej „bez duszy". Smutny produkt cywilizacji i świeckiej moralności.

Ten sam niepokój, to samo zaślepienie w jednej z ostatnich powieści Andrzeja Thérive, *Gorejący Węgiel*. Lecz tu podnosimy się już nieco wyżej: atmosfera zaczyna być możliwą do oddychania. Wyjąwszy smutnego przedstawiciela prowincjonalnej pseudo-inteligencji „wolnomyślnej" doktora Lardy, wszystkie postacie mają tu już jakieś zasady, jakieś początki wiary. Co do samej wiary, to śpi ona tak głęboko w ich duszach, że trzeba będzie bardzo bolesnych wstrząśnień moralnych, aby ją wreszcie obudzić.

W *Gorejącym Węglu*, mamy galerję portretów, odpowiadającą

mniej więcej galerji portretów z powieści *Bez Duszy*. Jan Soreau jest jakby bratem Juljusza Verhaege, lecz bratem, który już przeszedł pewną ewolucję. Mniej wykształcony, jest mimo to bardziej inteligentny, a zwłaszcza ma o wiele więcej woli i odwagi moralnej. Tam gdzie Verhaege stara się o ile możności opóźnić chwilę porachunku z samym sobą, Jan Soreau dąży zdecydowanie do tego porachunku, przystępuje do niego nie bez obawy, ale bez tchórzostwa. Otrzymane przez niego niegdyś chrześcijańskie wychowanie, niewidzialnie, nieznacznie, wycisnęło wieczne ślady na jego duszy, jest on katolikiem, choć zapomniał o tem. Tak więc otrzymał on więcej niż Juljusz Verhaege i można odeń wymagać więcej.

Z punktu widzenia czysto światowego Jan stoi niżej od Juljusza. Syn „nieznanego ojca", podrzędny urzędniczyna w banku, ma mniej wykształcenia i mniej pieniędzy niż Juljusz Verhaege. Ale pod względem duchowym stoi o wiele wyżej od Juljusza. Żona Jana Soreau, Emilja, jest równie sucha, zimna i wyrachowana, jak Lucette. Lecz należy do t. zw. przyzwoitej rodziny, z pewnemi pretensjami, ma więcej ogłady i wykształcenia niż kochanka Juljusza Verhaego. Inteligencja Emilji nie wznosi się wprawdzie ponad poziom tanich wydań popularnych i popularyzujących, pseudo-naukowych, ale ma ona pewne wrodzone poczucie honoru, o wiele wyższe niż u Lucette, choć należące do tej samej kategorji. Przez jakąś resztkę atawizmu, kobiety te chcą należeć do jednego tylko mężczyzny, inny może przyjść potem, ale nie uznają podziału. Dlatego Lucette rani szpilką Anglika, który próbuje zalecać się do niej zbyt natarczywie w kinematografie, a Emilja odpycha z oburzeniem doktora Lardy, którego bardzo chętnie przyjęłaby za męża, gdyby ją rozwiódł z Janem Soreau, ale nie chce za kochanka.

Sztywna Emilja powróci na swe dawne miejsce u ogniska rodzinnego, które porzuciła chwilowo, wyjeżdżając do swych rodziców. I wszystko znowu pójdzie zwykłym trybem, z wyjątkiem tej olbrzymiej różnicy, że Jan Soreau rozumie teraz użyteczność swego cierpienia, pozostając z niekochaną i niekochającą, obcą mu duchowo kobietą, że przyjmuje to cierpienie, jako świadomą pokutę za grzechy swych rodziców. Ciężko mu, ale jest w tem cierpieniu coś, co go pociąga:

„Patrzę sobie w twarz, i boję się tego, że się boję. Może

tchórzę przed tem wszystkiem. Ogólnie uważają mnie za tchórza. Jestem tchórzem. Ale moje tchórzostwo ma swój powód, którego ludzie nigdy nie zrozumieją. Powiedzieliby mi, że się kocham w cierpieniu, to absurd, ale ja czuję, że ono mnie woła, że mi jest potrzebne".

Jan Soreau doszedł także do ściany, zamykającej zaułek, i wie, co go czeka, gdy się cofnie zpowrotem, lecz mimo to zawróci. I może, cofając się, odnajdzie stare wspomnienia dzieciństwa, szmer modlitw, które odmawiał trochę machinalnie, jak to czasem czynią małe dzieci, i kto wie? może i prostą, naiwną wiarę lat dziecinnych, ową wiarę dziecka, tak piękną i jasną w swojej prostocie.

Ale tego już nam nie powie Andrzej Thérive w swojej powieści. Wierny teorji dowodzenia przez absurd doprowadził nas aż do muru, zamykającego zaułek. Pokazał nam, czem jest świat „bez duszy", świat ubogich i wydziedziczonych. Niby szeroką krwawiącą ranę, której krwi nie zatrzymuje i bólu nie łagodzi żaden opatrunek, ukazuje nam nędzę dusz ludzkich, pozbawionych Boga. A ci, którzy ją widzą, niech orzekną sami, jaki jest ratunek, ci którzy posłyszeli jęk tych dusz, zagłuszonych życiem brutalnem i pozbawionem wszelkiego ideału, niech starają się przyjść im z pomocą. Jego zadaniem było wykazać zło w sposób nowy, oryginalny i śmiały, oraz dowieść, że tak zwana „moralność świecka", bezreligijna, jest tu zupełnie bezsilna. A zatem trzeba szukać czego innego, co zresztą już znaleziono i to przed wiekami. *Quod erat demonstrandum,* jak mawiano dawniej.

Taką jest teorja Andrzeja Thérive. Nie wywieszając sztandaru, nie dowodząc wprost niczego, autor zachowuje się z dyskrecją, do której nie przyzwyczaili nas autorzy tak zwanych *romans à thèse,* niemniej jednak odtwarza nam z taką siłą i wyrazistością gorzką dolę warstw ludowych francuskich, że mimowoli, zamykając jedną z jego książek, ciśnie się na usta przedwiekowy, lecz zawsze prawdziwy krzyk żalu: *Misereor super turbam!*

Dr. M. Kasterska.

Materjały do biografji Stanisława Wyspiańskiego.

Pamiętnik ciotki Janiny Stankiewiczowej.

Koledzy nazywali Wyspiańskiego w gimnazjum „ciocią". [1]) Jak bowiem inni na rodziców, tak on powoływał się ciągle na swoją ciotkę, panią Stankiewiczową, która zastępowała mu matkę. Ona była jego opatrznością, on — jej ambicją. Pod opieką ojca, alkoholika, a raczej bez opieki, mógł się zmarnować, a kresem jego karjery stałoby się objęcie po ojcu pracowni rzemieślniczo-rzeźbiarskiej.

W domu wujostwa Stankiewiczów, w którym nie czuł się nigdy sierotą, znalazł odpowiednie środowisko dla swego rozwoju i mądrą wychowawczą dłoń. Wujostwo czuwają nieustannie nad chłopcem, biorą udział w każdem jego zainteresowaniu, zajmują się żywo każdem rodzącem się uzdolnieniem, któremu nie dają zatracić się, lecz przeciwnie dostarczają materjału dla jego swobodnego rozkwitu. Nawet ze stanowiska dzisiejszej pedagogji podziwiamy niejednokrotnie postępowanie pani Stankiewiczowej, które dyktowała jej przedziwna intuicja macierzyńskiego serca. Owe cudowne wędrówki po kościołach krakowskich i uczenie dziecka historji w obliczu zabytków — to przecież wskazanie nowoczesnej, poglądowej metody. A wszystko to bez przymusu, idąc tylko na rękę samorzutnie przejawionemu zainteresowaniu dziecka. Nowoczesną zasadę pozostawienia chłopakowi możliwie najszerszej samodzielności stosował jeszcze bardziej pan Stankiewicz; on, zdaje się, przewidział w nim genjusza artystycznego, podczas gdy ciotka obawiała się dlań karjery artysty, mając przed

[1]) Por. Jerzy Turnau: *Wyspiański w gimnazjum*, *Czas*, Nr. 25 z dn. 31 stycznia 1925 r.

oczami obraz dekadencji ojca i marzyła zczasem o fachu inżyniera architekty dla ukochanego siostrzeńca. Kierunek bardziej praktyczny widoczny jest w jej poczynaniach i nieustanna dbałość o to, by samodzielna, domowa praca nie szkodziła szkolnej. Niepokoiła ją zawsze wątła kompleksja wychowanka tak, że nieraz starała się powściągnąć szał pracowitości, wówczas już ogarniający Wyspiańskiego, a który stał się najznamienniejszą cechą jego tworzenia. Kładła jednakże sama silny nacisk na wychowanie religijne i patrjotyczne i kultywowała w dziecku wszystkie uczucia szlachetniejsze. Umiała rozniecić jego zapał dla wyzyskania go potem; tak było z nauką języka niemieckiego pod wpływem ballad Schillera i sztuk teatralnych niemieckich.

Pamiętniki ciotki Stankiewiczowej stanowią nieoceniony dokument dla poznania bogactwa świata wewnętrznego, objawiającego się już u dziecka, które nie szukało nigdy ruchowych rozrywek, ale żyło w świecie intelektualnym: książek, teatru, zabytków sztuki. Zczasem obserwujemy rosnącą bezradność zacnych wychowawców: już nie mogą opanować wielostronności jego duszy i jej porywów; nie mogą mu nadążyć. Stary, dobrotliwy wuj (widoczna jest ta pogoda i dobroć chociażby z jego portretów, rysowanych przez Wyspiańskiego) uległ chłopcu pierwszy. Nic w nim nie było starczego egoizmu i apodyktyczności człowieka, który nie miał własnych dzieci, wielka natomiast cierpliwość i wyrozumiałość dla fantazji wychowanka i otwarta kieszeń.

Głębokie przywiązanie Wyspiańskiego do wujostwa odbija się w tem, że czuł potrzebę dzielenia się z nimi każdem swojem wrażeniem i przeżyciem. Pamiętnik wyraźnie przedstawia dobry i serdeczny charakter chłopca, brak złych skłonności, któreby utrudniały wychowanie, żywotną natomiast pracowitość, pęd intelektualny do kształcenia się, do poznawania pogłębionego i ćwiczenia, usposobienie promienne, serce przepełnione szczerą wdzięcznością, tem najszlachetniejszem uczuciem, które jest prośbą serca.

Wyspiański lgnął szczególnie do wuja, gorącego patrjoty, który w burzliwych czasach przed rokiem 1848 brał żywy udział w działalności spiskowej. Porywała Wyspiańskiego bogata w czyny patrjotyczne przeszłość wuja i opromieniający go nimb więzienia austrjackiego w Kuffsteinie, gdzie przesiedział długi czas i zaprzyjaźnił się z Florjanem Ziemiałkowskim oraz późniejszym

kardynałem, Albinem Dunajewskim, nim wreszcie po wieloletniej tułaczce zagranicą, powrócił do Krakowa, w którym wystarano się dla niego o urząd w Kasie Oszczędności. Opowiadań wuja, szeroko wykształconego, słuchał Wyspiański zawsze z zaciekawieniem i dopytywał się o fotografje spiskowców i powstańców, które wuj przechowywał (jedna z nich znajduje się dziś w Muzeum Narodowem w Krakowie z daru pani Stankiewiczowej).

W domu państwa Stankiewiczów spotykało się ludzi, którzy w wypadkach rewolucyjnych odegrali rolę. Z drugiej strony bywali tam stale najwyżsi przedstawiciele świata nauki i sztuki: wieloletni przyjaciel wuja Stankiewicza — Jan Matejko, który portretował pana Stankiewicza jeszcze w r. 1857 (obraz w Domu Matejki. nr. 9. III p.) i Władysław Łuszczkiewicz, najlepszy znawca zabytków sztuki w Polsce i inni. Wysoce wartościowa atmosfera domu i salonu państwa Stankiewiczów sprzyjała wspaniałemu rozwojowi ducha i umysłu Wyspiańskiego.

Pamiętnik pani Stankiewiczowej, pisany przed rokiem 1912, którego jedna z kopij znajduje się w Muzeum Narodowem w Krakowie, urywa się na r. 1890, chociaż miał objąć i dalsze życie artysty.

Okres szkolny, ważny zawsze, a szczególnie w rozwoju Wyspiańskiego tak charakterystyczny, został w nim, na szczęście, całkowicie objęty. Wyspiański napisał w swoim pamiętniku o tych latach... „Odzywam się ze szkolnemi reminiscencjami, ale one zawsze mi będą miłe, wdzięcznem ich wspomnienie, bo tam zyskałem to wszystko, czego inni znaleźć nie umieją — to, co mi ułatwia sprawnie dążyć do rzeczy nowych". Szkoła więc spełniła wobec Wyspiańskiego swój nowoczesny cel idealny: obudziła w nim zamiłowanie i przygotowała do samodzielnej pracy. Ile w tem zasługi ucznia, ile szkoły, to rozsądzić trudno... Z pamiętnika ciotki Stankiewiczowej przekonywamy się raz jeszcze, że cały przyszły Wyspiański mieści się w swej młodości.

Krótkie notatki, jakie zebrałam z pobytu, wychowania i wykształcenia Stanisława Wyspiańskiego w naszym domu od 1874 r. po 1907.

Stanisław Wyspiański, syn Marji z Rogowskich, córki obywatela Miasta Krakowa i Franciszka Wyspiańskiego, artysty rzeźbiarza, urodził się dnia 15 stycznia 1869 roku w Krakowie,

w domu przy ulicy Krupniczej L. 14. Realność ta była własnością rodziców jego matki. [1])

Marja z Rogowskich Wyspiańska, osoba młoda, pełna wdzięku, urody, przytem rozumna, dowcipna, kochająca, pełna fantazji i inicjatywy nie zaznała szczęścia w tym związku małżeńskim, walka o byt wyczerpywała jej siły i zwolna, zwolna dogorywała, aż zgasło to młode życie w trzydziestym roku zaledwie. Umarła przy ulicy Kanoniczej, w dawnym domu Długosza, w Krakowie. [2]) Dom ten położony naprzeciw zamku królewskiego niedaleko Wisły. Śmierć jej nastąpiła dn. 18 sierpnia 1874 roku. Pozostały synek Stanisław, sześcioletnie pacholę, znalazł się naraz bez miłości matczynej, bez opieki, bo opieka ojca nie dawała żadnej gwarancji, aby dzieciak się nie zmarnował. Dla mnie śmierć najukochańszej siostry była wielkim ciosem. Ogromna miłość, jaka nas wspólnie łączyła, jej życie młode, nieszczęśliwe, choroba piersiowa, która się coraz bardziej rozwielmożniała, jej życzenie, aby, gdy jej już braknie, pamiętać o dziecku, czuwać nad niem i kochać je, wpłynęło odrazu na postanowienie, że wyrwę go z otoczenia, w jakiem się znajdował i zabiorę do swego domu.

Ojciec jego Franciszek, artysta-rzeźbiarz, człowiek nie zły, ale bez woli, bierny, sam potrzebował podpory moralnej, nie troszczył się o dziecko, sam sobie malec zostawiony, w nieodpowiedniem towarzystwie, bo tuż obok z chłopcami w pracowni rzeźbiarsko-kamieniarskiej, bardzo łatwo mógł się zmarnować. [3])

Ale tak zaraz po śmierci żony trudno było odbierać mu dziecko, trzeba było wyczekać parę miesięcy — z tą myślą go oswoić i przekonać, że źle nie chcę — owszem mam zamiar przyjść mu z pomocą, zająć się chłopcem i jemu troski ująć. [4])

---

[1]) A więc nie w domu Długosza, przy ul. Kanoniczej, jak podają w różnych monografjach i życiorysach. Dom, w którym Wyspiański się urodził, nie istnieje; na jego miejscu stoi kamieniczka późniejsza.

[2]) Uzdolniona literacko, pisywała wiersze, które, niestety, nie zachowały się.

[3]) Franciszek Michał Wyspiański (ur. w. r. 1836, zm. 10 listop. 1901 r.) artysta-rzeźbiarz, uczeń Henryka Kossowskiego w Instytucie Technicznym w Krakowie, był twórcą bardzo popularnego cyklu biustów królów polskich. Oprócz tego cyklu, wykonał cały szereg biustów historycznych: Kopernika, Długosza, św. Jana Kantego, Mickiewicza, Lelewela, Słowackiego i inne. Rzeźbił, podobnie jak później Stanisław Wyspiański portretował, współczesny sobie Kraków, zwłaszcza literacki i naukowy: biust prezydenta miasta Józefa Dietla, rektora uniwersytetu Girtlera, dyrektorów Bibljoteki Jagiell.: Józefa Muczkowskiego i Franciszka Strońskiego, Kajetana Florkiewicza (największe jego dzieło). Pozostawał pod wpływem klasycyzmu Thorwaldsena i neogotycyzmu, był przedstawicielem rzeźby jeszcze z okresu restauracji. — Wkońcu zeszedł do prac rzemieślniczych i rozpił się. Ze sfer inteligencji wrócił do sfery drobno mieszczańskiej, z której wyszedł, jako syn kupca, hurtownego handlarza owoców, przybysza z pod Warszawy.

[4]) Przez pewien czas po śmierci matki opiekowała się poetą inna ciotka, Balbina.

Z mężem moim poszło nadzwyczaj łatwo. Mąż mój Kazimierz Stankiewicz, urzędnik przy Kasie Oszczędności Miasta Krakowa, człowiek zacny, szlachetny, prawy, w młodych latach więzień stanu, przez lat ośm więziony po fortecach, skuty za miłość Ojczyzny jak zbrodzień, potajemnie wywieziony przez zacnych przyjaciół zagranicę, kochał nad życie kraj swój umiłowany, przeszłość Polski i żył ideą jej odrodzenia. Widział moją wielką miłość do siostry, do jej jedynego synka (drugi synek Tadeusz umarł, gdy miał 3 lata jeszcze za życia matki) moją boleść po jej stracie, lęk o tę wielką sierotę i udecydowaliśmy zaraz, aby jak najprędzej zabrać małego Stasia, zająć się jego wychowaniem, nauką i kochać go, jak własne dziecko.

Toteż z wejściem jego w dom nasz, a było to w miesiącu październiku 1874 r., dom nasz nabrał życia, rozweselał obecnością młodej duszyczki, gdyż był to chłopczyk wesoły, roztropny, myślący, chętny do nauki, pieszczotliwy. Malec już lubił oglądać obrazki, ilustracje, kazał sobie opowiadać, co który obrazek przedstawia, słuchał z wielką uwagą, utkwiwszy chabrowe oczęta w opowiadającego.[1]) Trzeba było często chować podobne książki, tak zanudzał, aby mu opowiadać. Gdy miał lat 6, zapisaliśmy go do szkoły przy seminarjum męskiem w domu Larischa, do tak zwanej szkoły ludowej. Czterdzieści chłopczyków, z rodzin przeważnie obywatelskich, kierunek dobrego, wyrutynowanego pedagoga wpływał na rozwój chłopca,[2]) nauczył się prędko czytać, pisać, opowiadał wszystko, co w klasie robili i z wielką chęcią szedł do szkoły. Początkowo kazałam go odprowadzać, a o 12-tej sama szłam przed bramę szkoły, aby go zabrać. Ale nie pozwolił na to długo, nie dał, aby kto go odprowadzał, sam szedł i służąca musiała się ukryć w innej bramie, aby jej nie widział i dopiero zdaleka za nim postępować. Już nie pomogły prośby i tłumaczenia, że konie mogą go przejechać, że pobłądzi; „trafię sam do szkoły i ze szkoły, nie trzeba posyłać". I tu objawiała się jego wola. Musieliśmy ustąpić, „bo i poco go drażnić, gdyż to natura z matki nerwowa", tak sobie perswadowaliśmy. Obserwacyjny umysł wiele w nim zauważyć mógł, taki to dzieciak był poetyczny. W owym to czasie plantacje nie były tak cudnym, sztucznym ogrodem, jak od wielu lat, zamiast gazonów, trawa sobie rosła i można było chodzić wzdłuż i wszerz. Gdy wracał ze szkoły do domu, przynosił zawsze wiązankę kwiatuszków polnych, które uzbierał po trawnikach i zaofiarował je wujowi: „To dla ciebie, wujusiu", mawiał. Tak przyzwyczailiśmy się do tego, że gdy się spieszył, lub była już pora bezkwietna, brakowało

[1]) Fotografja poety z tych lat, znajdująca się w Muzeum Narodowem w Krakowie, była reprodukowana w tygod. *Świat*, Nr. 48 z dnia 26 listop. 1910 r. Tam też fotografje rodziców. Fotografję ciotki Stankiewiczowej reprodukował *Świafowid*, nr. 48, z dn. 26 listop. 1927 r.

[2]) Był nim nauczyciel Karol Niemczyk.

nam tego jego dowodu pamięci i miłości. Dzieciak już bez ołówka w kieszonce się nie obszedł, rysował, próbował, odrysowywał obrazki, umiał się zająć i nie miał ochoty na żadne zabawy dziecinne i spacery. Biegał nad Wisłę — i nie pozwolił sobie, aby mu zakazać, żeby tam nie chodził, że może wpaść — „zdaleka — zdaleka patrzę, nie bójcie się, nie utopię się — ale na przyszły rok, to sam będę chodził". Co było poradzić — mąż mój był bezsilny wobec jego prośby i dogadzał małym zachciankom. Tak upływał czas jemu na szkolnej pracy i nauce, z której korzystał, przynosząc dobre świadectwa. W czasie rekreacji, która bywała wówczas w środę i sobotę po południu, prosił, aby mógł odwiedzić ojca, bo tam bezwiednie ciągnęła go sztuka. [1]) W pracowni mnóstwo rzeźb, biustów, czasami kuto całą figurę w kamieniu, np. figurę Florkiewicza, osobistość z sejmu, z czasów Stanisława Augusta, [2]) który to pomnik stoi w kościele św. Piotra w Krakowie, i młodych pracowników, więc chętnie szedł do nich. Tak ukończył czwartą klasę normalną, mając lat dziesięć. [3])

Ogromnie ciekawy i chciwy książek do czytania, nie można mu było zadość dostarczyć odpowiedniego pokarmu dla umysłu, nasza bibljoteczka miała dzieła poważne historyczne, kroniki, pamiętniki, klasyków i była literatura dramatyczna, poezje: Słowacki — Mickiewicz — Krasiński i lirnicy jak Syrokomla i t. d., bo mąż mój skupował przytem każde dzieło, wyszłe z pod uczonego pióra, więc Kalinki, Smolki, Kubali i któżby wyliczył te setki książek, dzieł cennych i znakomitych. Widząc co się dzieje, że nie zadługo zechce wyciągać nie odpowiednie dla lat dziesięciu książki i przeciążać umysł, a chłopczyk wątły, prawie przejrzysty, karmiony takim materjałem, nie przetrzyma tego nawału wiadomości i popadnie w chorobę mózgową, lub zupełnie się wyczerpie, chowałam bardzo starannie klucz od bibljoteki, aby tam się nie dostał.

Za to rysował każdą wolną od nauki chwilę, do wszystkiego, co czytał, zaraz tworzył obraz i uplastyczniał na papierze, więc pozostały foljały rysunków najróżnorodniejszej treści i ołówek coraz szybciej drgał w jego paluszkach. [4]) Do lat 10-ciu umiał na-

---

[1]) Wyznał to sam artysta w wierszu: „U stóp Walelu miał ojciec pracownię", drukowanym w II tomie *Pism Pośmiertnych*, p. t.: „Wiersze, fragmenty dramatyczne, uwagi". Kraków 1910, str. 24.

[2]) Kajetan Florkiewicz, mecenas Franciszka Wyspiańskiego, był posłem ale na sejm Księstwa Warszawskiego. Nie był też generałem, jak pisze T. Sinko, *Antyk Wyspiańskiego*. Wyd. II. Warszawa 1922, str. 11.

[3]) Notatki ciotki o latach szkoły normalnej Wyspiańskiego znakomicie uzupełnia artykuł: „Z dzieciństwa Stanisława Wyspiańskiego. Wspomnienia nauczyciela domowego, skreślone przez Wincentego Łabudę... korepetytora artysty w trzeciej i czwartej klasie szkoły powszechnej. *Nowa Reforma*, Kraków 28 czerwca 1924 r. Nr. 145.

[4]) Większa część z nich znajduje się w krakowskiem Muzeum Narodowem.

pamięć mnóstwo z „Pieśni Janusza" W. Pola, z Syrokomli, z ballad Mickiewicza, prawie każdego tygodnia czegoś się nauczył, za co ja musiałam wynagrodzić tę pilność, kupując fotografje i ilustracje z galerji, szczególnie naonczas całe wydanie Galerji drezdeńskiej. [1]) Toż to była uciecha i jak dziękował mojemu mężowi, jak się tulił a ściskał ten album, jak skakał z radości, to się aż cierpło na myśl, co ten chłopiec ukocha za prace, gdy się będzie rozwijał i pojmował wyraźniej te zaklęte w arcydziełach czary. A mąż mój młodniał z radości, patrząc na niego i bardzo prędko do tego doszło, że mąż go zabierał i skupował, co się Stasiowi podobało. Bardzo często tak zmęczony, upracowany chłopczyna, prawie omdlewał, składał te swoje rysunki i książki do szufladki swojej i kładł się na kanapę, jak bez tchu prawie. Patrząc na to, myślałam sobie: a to ci dogodziło, może chociaż tydzień sobie odpocznie i pójdzie na świeże powietrze pobiegać lub z nami przyjaciół odwiedzić. Taki stan jego duszyczki trwał dni parę i znów zaczął wyciągać papiery, ołówki, gumy i całe aparaty rysunkowe. Wtenczas mówiłam: „Stasiu, schowaj te rysunki, chodź ze mną się przejść, pójdę tam, gdzie ty mnie poprowadzisz. No dobrze, to pójdziemy na Wawel, na Zygmuntowską wieżę. Ale co ty prawisz, będę się... po karkołomnych schodach, jeszczebym spadła — nie pójdę! — To na Wawel, ciocia będzie w kościele, a ja sam pójdę, mnie tam znają, to mnie puszczą". — Boże — Boże — „Aniołom moim każę Cię pilnować", przyszły mi słowa psalmu na usta — i ta kruszynka ludzka nie boi się tam wspinać, aby poczuć rozkosz cudnego krajobrazu, który się stamtąd roztacza, ściskać i całować te Zygmuntowskie mury, na które oczy Zygmuntów patrzyły. I szliśmy. W Katedrze wiele razy byłam z nim, modlić się go uczyłam przed ukrzyżowanym Chrystusem: tu Stasiu, królowa Jadwiga, szesnaście lat mająca, klęczała, tu swój ból serca i miłość Ojczyzny składała. Do niej Chrystus przemówił. Ona bólem święta, pomódl się za nią — i mały chłopczyna klęczał, modlił się jak grzesznik i wpatrywał się w cudowny obraz, a mnie się serce na ten widok łamało i przylgnąwszy do zimnych marmurów, od łez i łkania powstrzymać się nie mogłam. Mrok Katedry — cisza — my dwoje i świątnik, jak cień łażący, robiło ogromne wrażenie, że trudno nam było oddalić się z tego jakiegoś majestatu przeszłości. Chodź Stasiu już do domu, bo wuj przyjdzie, toby się gniewał. „Jeszcze chwilkę maleńką, tak tu ślicznie". Będziemy tu chodzić co środę i sobotę, bo masz wolne, ja ci wszystko pokażę, nauczę cię, a pierwej kupię ci opis Katedry na Wawelu, abyś się przygotował i weźmiemy książeczkę z sobą, bo może ja co zapo-

[1]) Potwierdza to kopja Wyspiańskiego, z r. 1881, z obrazu w Galerji drezdeńskiej — Carla Cignani (1628—1719) przedstawiającego... Józefa i Putyfarę i kopja (z r. 1882) „Westalki" Angeliki Kauffmann.

mniałam. Nie uważając, że to schody świątyni, zawiesił rączęta drobne na szyi i całował mię serdecznie. No chodź, prędko chodźmy, bo świątnik patrzy i idzie z kluczami. „O nie, Ciociu, oni później zamykają". — I na drugi dzień była książka i szkolne zeszyty poszły na odpoczynek, a panował na stoliczku Wawel.

I tak rozpoczęliśmy wędrówki na Wawel, zwolna od kaplicy do kaplicy, od pomnika do pomnika, od ołtarza do ołtarza, uczyłam go poznawać, on czytał w domu i przy pomnikach opisywał aż doszliśmy do grobów królewskich. A nie były tak urządzone, jak są od lat dwudziestu kilku, można było zwiedzać kryptę S. Leonarda i kilka katakumb, dalszy pasaż do królewskich prochów był zamurowany, wchodzić można było innem wejściem i to jeszcze za pozwoleniem konsystorza. To jest wielka zasługa ś. p. Józefa Łepkowskiego, profesora archeologji przy Uniwersytecie Jagiellońskim, bo jego to staraniem groby królewskie odrestaurowano, urządzono, przebite zostało przejście do dalszych podziemi, gdzie spoczywały prochy królewskie, oświetlono i otwarto dla zwiedzającej publiki. Ja prowadziłam chłopczynę do krypty, gdzie spoczywa Tadeusz Kościuszko, król Jan Sobieski i tu go uczyłam, opowiadając o tych bohaterach. [1])

W uroczystość św. Stanisława, która rozpoczynała się 8 maja i trwała dni osiem, chodziliśmy na Skałkę, do kościoła, nad sadzawkę, widział mnóstwo ludzi, jak czerpali wodę z sadzawki, zieloną prawie, gęstą, do flaszek, która miała im służyć jako lek uzdrawiający. „Czy im ta brudna woda pomoże, Ciociu?" O tak, pomoże, bo ich wiara w nią uzdrowi, gdyby nie wierzyli, toby im nic nie pomogły. I nie chciał stamtąd odejść, tak to oddziaływało na niego, aż zabrać go musiałam, obiecując, że wrócimy brzegiem Wisły. Odtąd wymykał się z domu na Skałkę, nad Wisłę. W domu opowiadał mężowi, gdzie chodziliśmy, co widział, czego się nauczył, a tak opowiadał ślicznie, dziecinnie, słowo w słowo prawie co słyszał, że bylibyśmy go z radości ozłocili. „Za to kupi mi wujciu obrazki ze Skałki, sadzawkę i co będę chciał". Najszlachetniejszy mój mąż zabierał go co prędzej i szukali po księgarniach, aż odnaleźli, mąż mu kupił, co tylko mu się przytem upodobało. A radość w domu, a jak go oglądał, wpatrywał się i przerysowywał.

Jeden chłopczuś w domu, bo własnych dzieci nie mieliśmy, zabrał całą miłość, lęk o niego i troskę, aby go można wychować. W dziesiątym roku zapisany został jako student pierwszej klasy w gimnazjum św. Anny, pod dyrektorem Stawarskim. Chłopiec nad wiek swój rozwinięty umysłowo, grzeczny, cichy, wnet zjednał sobie sympatje profesorów, kochali go koledzy, których

[1]) W grobach królewskich znajduje się też na sarkofagu Zygmunta I. medaljon z portretem króla, dłuta Franciszka Wyspiańskiego. Uchodzi on za dzieło Padovany.

miał kilku ulubionych, jak Stanisław Estreicher, Henryk Opieński, Józef Mehoffer, Janek Nowicki, a kolegując od pierwszej normalnej, dalej razem się trzymali. Rozpoczęła się nauka na serjo, trzeba było pilnować przedmiotów szkolnych, uczyć się łaciny, matematyki i t. d., więc rysunki i czytanie książek trzeba było ograniczyć, aby ich kosztem nauka nie cierpiała. Ciężka to była sprawa ograniczyć go w rysunkach i czytaniu, bo już dopominał się, aby mu otworzyć szafy z książkami, bo przez szybki nie będzie na nie patrzył, ale niby to nieumyślnie rozbije. „Ciocia nie rozumie, na co jest książka — na to, aby była czytana, a nie zamknięta na klucz, proszę mi pozwolić obejrzeć i obrazki odrysować". To przeczuwałam, że raz pozwolę, już moja przegrana, bo ta rozgorączkowana duszyczka bez wyboru odpowiedniego czytać będzie. Szukałam drogi wyjścia. Dobrze Stasiu, zróbmy układ taki, jak się nauczysz lekcji i odpowiesz mi, weźmiesz sobie jedną książkę ilustrowaną do czytania i rysunków i klucz mi oddasz. Ale wolno ci będzie czytać po wypełnieniu przyrzeczenia.

Po takim pakcie otworzyłam i pierwszą książkę, którą wyciągnął była „Boska Komedja" Dantego i ilustrowana przez Doréego. Szczęśliwy traf — kilka miesięcy miałam spokoju, bo uczył się całych rozdziałów napamięć, deklamował, mnie opowiadał, jaką historję przedstawia każda ilustracja, słowem, żył w niej. [1]) Ja tylko pilnowałam, aby mi wydał zadaną lekcję i wolność mu zostawiłam, chyba, że zbyt się to długo w noc przeciągało. Nasyciwszy się dostatecznie, narysowawszy się bez miary, nastąpiła reakcja, książkę schował i uczył się pilnie lekcyj zadanych tak, że chociaż w czasie kursu w czem nie domagał, wychodził przy klasyfikacji z chlubą.

Następnie dobył z szafy dramata Szekspira, w tłumaczeniu Paszkowskiego i również ilustrowane i ten sam proces się odbywał z tą przymieszką, że gdy był wykazany na konferencji, książka za karę szła do szafy pod klucz. Mając lat 12-ście znał wybornie dramaty i tragedje Szekspira i co wieczór z godzinę każdą ilustrację nam tłumaczył i dramat cały opowiadał. Słuchaliśmy oboje tych wykładów i w duszy się ciesząc jego rozumieniem treści i piękna. „Ale wy już dawno znacie wszystkie dzieła Szekspira, bo nacóż kupować książki, a nie czytać, udajecie tylko, że nie wiecie". [2]) Już w trzeciej klasie chciałam wyzyskać jego zapał

[1]) Pisze o tem Tad. Sinko: *Wyspiańskiego wypiski z Dantego. Czas*, z dn. 8 kwietnia 1928 r. — Oprócz wyjątków z *Boskiej Komedji*, omówionych przez prof. Sinkę, znajdują się jeszcze inne w notatniku, opisanym przez Jana Dürra w *Zapomnianych autografach Wyspiańskiego w Muz. Nar.*, Kraków 1926, str. 33, nr. XXXIV.

[2]) W notatniku, nr. XXXIV znajdują się wypiski z Szekspira. Zachowały się też, oprócz innych wydań, resztki wspomnianego przez ciotkę wydania Szekspira, z pieczątkami bibljoteki Kazimierza Stankiewicza. (W biljotece poety w krak. Muz. Nar.)

i poddać mu, aby uczył się w języku niemieckim ballad Schillera lub wyjątków, raczej monologów z dramatów Goethego. W owym czasie występowała w teatrze krakowskim jako gość Modrzejewska, wysłaliśmy go na „Marję Stuart", aby nabrał ochoty i smaku do obcej literatury. Toteż po przedstawieniu uczył się trzeciego aktu „Marji Stuart" w oryginale i umiał go wybornie; toż z „Ifigenie auf Tauris" Goethego, cały pyszny początkowy monolog i zapanował po Szekspirze — Goethe i Schiller.[1]) Na nic się nie zdały prośby i przedstawienia, konfiskata książek, bo tak prosił, że sił brakło, aby mu czegokolwiek odmówić. Zawojował tak wuja, że ten zamiast iść ze mną ręka w rękę, razem z tym młodzieniaszkiem spiskowali na mnie i Staś robił bez zastrzeżenia co chciał. Nie zajmowały go zabawy rówieśników, żadne wycieczki, spacery, bo szkoda czasu tylko, chętnie szedł do tych kilku ulubionych kolegów.

Wnętrze jego młodej duszy było bardzo szlachetne, kochał nasz dom, szczególniej mego męża, jako swojego wuja, czasem uczucie to było tak rozczulające, jak np., mieszkaliśmy wówczas naprzeciw rondla florjańskiego, na Basztowej, gdy około dziewiątej wieczór męża nie było w domu, Staś ciągle przez okno patrzył i niespokojnie wybiegał. Gdzie ty idziesz, Stasiu? — Przed wuja, bo już późno, co się stać mogło i trwoga odbijała się w tych jasnych jak niebo oczach. Toteż mój mąż kochał go nad życie, czego tylko Staś zapragnął, jakąkolwiek najdziwniejszą fantazję objawił, już mąż spieszył, aby dogodzić i woli jego zadość uczynić.

Skupowali i znosili do domu książki, ale te już jego były własnością i żadna już nie mogła być konfiskowaną i przyszła epoka na pochłanianie Słowackiego, Krasińskiego, bo Mickiewicza już wiele razy czytał i wyuczył się pamięciowo. — Pojąć trudno, jak ten młody chłopiec z piątej klasy, wątły, podołał tej olbrzymiej pracy: i szkolnym obowiązkom i czytaniu dzieł, jak w tym okresie, poważnych, historycznych i oddawaniu się z wielkim zamiłowaniem rysunkom.

W owym czasie pisali i wydawali dzieła Smolka, ks. Kalinka, Kubala i inni uczeni. Niech którakolwiek z tych książek w domu się pojawiła, już Staś zabierał ją w swoje posiadanie i pierwej przeczytał, nim mąż się do nich zabrał. Więc „Sejm czteroletni" Kalinki, „Mieszko Stary" Smolki, „Szkice historyczne" Kubali, historja Schmitta,[2]) podówczas radcy szkolnego, historja powstania

---

[1]) Wypiski z Schillera i Goethego w tymże notatniku, nr. XXXIV potwierdzają słowa ciotki.

[2]) To jest: *Rys dziejów narodu polskiego* (1855/7) czy też *Dzieje Polski* XVIII i XIX w. (1866/8). W bibljotece swej posiadał Wyspiański (obecnie w Muz. Nar.) Schmitta: *Dzieje Stanisława Poniatowskiego*, 3 tomy, Lwów 1868/1880 i tegoż: *Źródła odnoszące się do pierwszego okresu panowania Stanisława Augusta po rok 1773*, Lwów 1884.

listopadowego Mochnackiego i Barzykowskiego, kroniki, najpoważniejsza książka była dla niego pełna interesu, jeżeli się odnosiła do przeszłości Polski. Śledził drogi, jakiemi naród szedł, rozwijał się, jak potężniał i co było przyczyną upadku. Któżby mógł wyliczyć i zapamiętać tych foljałów, które wertował i już wyciągi — lata — epokę notował. Nocy bezsennych, któżby naliczył. Przychodziło nieraz do konfliktu między mną a nim, bo ja reflektowałam, aby ukończył gimnazjum, zdał maturę, obrał sobie sam drogę pracy, do której go powołanie rwało, a rozdwojenie takie mogło być przeszkodą w nauce szkolnej, obowiązkowej. Wprawdzie nie był uczniem celującym, ale nie powtarzał żadnej klasy i mając lat osiemnaście ukończone, zdał maturę.

Jako student piętnasto-szesnastoletni każde święto, każdy dzień wolny, nieomal każdą godzinę poza obowiązkiem szkoły przepędzał w Muzeum Narodowem, którego dyrektorem był Władysław Łuszczkiewicz, zarazem i profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie. Przyjaciel mego męża chętnie się zajął młodym adeptem i pod jego kierunkiem Staś rysował portrety, zbroje, ozdoby, wszystko dla niego stało otworem, bo Dyrektor Łuszczkiewicz bardzo chętnie go tam widział, cieszył się jego zamiłowaniem przeszłości i poczuciem wielkiego piękna. Tak upływał czas wśród pracy szkolnej, Muzeum Narodowego i wieczornych i nocnych studjów. [1])

[1]) Zachował się szkicownik artysty z rysunkami zabytków w Muzeum Narodowem, przechowany w tem Muzeum, z daru ciotki; wspomniany w Dürra: *Zapomnianych autografach...* str. 34, nr. XXXV.

(Dokończenie nastąpi)

Podał *Jan Dürr.*

Przegląd piśmiennictwa.

Concilium Tridentinum, Tom III część I, Herder, 1931, in 4°, str. VIII i 762.

Monumentalne wydawnictwo dokumentów Trydenckich, którego przed 30 laty podjęło się Tow. Görresa, zbliża się do końca. Aby dać niejakie pojęcie tego bezmiaru pracy skonsolidowanej w 9 dotąd drukiem ogłoszonych tomach o przeszło 9000 stronach w czwórce, trzebaby chyba książkę napisać. Dla informacji wystarczy nadmienić, że wobec olbrzymiego w dziejach Kościoła, dyscypliny kościelnej i dogmatu, znaczenia tego Soboru reformy katolickiej, oddawna odczuwano konieczność takiego wydawnictwa. Dawniejsi historycy Soboru, jak nieprzychylny papiestwu P. Sarpi (*Historia del Concilio Tridentino* 1619), lub obrońca Soboru Sf. Pallavicino (*Istoria del Concilio di Trento* 1656/7) czerpali ze źródeł drugorzędnych lub w ograniczonej tylko mierze korzystać mogli z archiwów papieskich. Kontynuator Roczników Baronjusza, Raynald, w nielepszem był położeniu, a to samo powtórzyć można o ich następcach. Nowsze wydanie publikacji Theinera (1875), Döllngera (1876), Druffera i Brandiego (od 1884) i innych, zawierające częściowo Akta, Diarjusze, korespondencję dyplomatyczną, nie były dostateczne i nie zadawalniały. Historycy powtarzali za Rankiem, że dla wydania bezstronnego sądu trzeba całą robotę rozpocząć na nowo. Mogło się to stać dopiero dzięki wspaniałomyślności Leona XIII, który w r. 1883 otworzył dostęp do archiwów watykańskich oraz inicjatywie Towarzystwa Görresa, założonego w r. 1876 dla popierania studjów katolickich w Niemczech. Skutkiem ofiarnej pomocy tej instytucji udało się, przy współudziale całego sztabu uczonych, wydobyć z archiwów watykańskich, włoskich, hiszpańskich, francuskich, niemieckich, austrjackich, te źródła oryginalne, które składają się na niniejsze wydawnictwo.

Obejmuje ono Diarjusze, Akta, Listy i Traktaty, ogłaszane w miarę ukończenia niemałej zaiste pracy redakcyjnej, którą ocenić można, przeglądając wstępy historyczno-krytyczne do każdej zosobna części. Wydaniem Diarjuszów zajął się profesor

wircburski Sebastjan Markle; w przeciągu lat 30 ogłosił on 2 pełne tomy i I część trzeciego. W tomie I, wydanym w r. 1901, prócz wstępów zawierają się Diarjusze: Herkulesa Severoli, sięgający od 11 grudnia 1545 do 16 stycznia 1548, oraz głównego sekretarza Soboru Anioła Massarelli. W tomie II z r. 1911 znajdują się trzy ostatnie Diarjusze Massarellego wraz z niektóremi innemi dokumentami. Po 20 letniej przerwie ukazała się teraz wymieniona w tytule część I tomu III, obejmująca głównie zredagowane przez Gabrjela Paleotti Akta Soboru z lat 1562—1563, czyli sesje XVII do XXV. Następne tomy IV do IX zawierać będą Akta Soboru, szczególnie ważne dla teologa, dostarczają bowiem materjałów koniecznych do interpretacji dekretów dogmatycznych, jako to dyskusje teologiczne, rozprawy, narady Ojców Soboru. Wydanie Aktów powierzono Stefanowi Ehsesowi, długoletniemu prezesowi niemieckiego Instytutu historycznego w Rzymie. Zmarły w r. 1926 sędziwy uczony doczekał się tej pociechy, że mógł jeszcze oglądać wspaniały owoc wieloletnich swych trudów, któryby wskutek nędzy powojennej nie był dojrzał bez finansowego poparcia ze strony ś. p. Benedykta XV i Piusa XI oraz ruchliwej „Notgemeinschaft für deutsche Wissenschaft". Cztery tomy, jakie zawdzięczamy Ehsesowi, zkolei tom IV, V, VIII i IX całego wydawnictwa, obejmują 8 pierwszych sesyj trydenckich za Pawła III oraz sesje XVII—XXV za Piusa IV, brak natomiast sesyj bolońskich (IX i X) za Pawła III, oraz trydenckich za Juljusza III (sesja XI do ponownej przerwy w r. 1552), które pomieszczą się w tomie VI i VII. W szczególności tom VI czyli I część Aktów wydany w r. 1905 (str. CXLI i 619) zawiera różne dokumenty z lat 1536—1545, oraz Akta trzech pierwszych sesyj trydenckich. Tom V czyli II część Aktów z r. 1911 obejmuje następnych pięć sesyj trydenckich. W tomie VIII (część V) z r. 1919 ogłoszono sesje XVII do XXII, a ostatnie sesje Soboru do XXV w r. 1563, znajdują się w tomie IX (część VI, wydana w r. 1924). Następują Listy, których wydawnictwa podjął się G. Buschbell. I tom listów czyli X całego wydawnictwa z r. 1916, zawiera ich 2504, pisanych od marca 1545 do marca 1547. Korespondencja z lat 1547—1550 będzie ogłoszona w tomie XI. Wkońcu ukazał się w r. 1930 tom XII, zawierający I część Traktatów, rozpraw i przemów z czasów przedtrydenckich, za Leona X, Hadrjana VI, Klemensa VII i Pawła III oraz z pierwszych siedmiu sesyj trydenckich. Z wielkiej ilości traktatów rękopiśmiennych wybrano tylko znaczniejsze, a z drukowanych już poprzednio uwzględniono tylko trudno dostępne lub niestarannie wydane. Druga część Traktatów (tom XIII) obejmie czasy Juljusza III aż do zakończenia Soboru, podczas gdy traktaty z czasów sesyj bolońskich znajdą pomieszczenie w tomie odnośnych Aktów (tom VI całego wydawnictwa, jeszcze nieogłoszony). Brak zatem dotąd drugiej części tomu III, tomów VI i VII z aktami,

oraz tomów XI i XII z korespondencją i traktatami. Spodziewać się należy, że niedługo już czekać będziemy na skompletowanie tego wzorowego wydawnictwa. Tymczasem po Akta dotąd nieogłoszone (zwłaszcza ważne dla teologa akta sesyj XIII i XIV za Juljusza III) trzeba sięgnąć do poprzednich publikacyj Raynalda, le Plata, Theinera. Treść krótko zebrana w VI tomie Pastora i w IX historji soborów w wydaniu Rucharda (1930).

Wracając do wymienionego w nagłówku ostatniego tomu Soboru Trydenckiego, zaleca się on temi samemi przymiotami, co wszystkie inne. Dzięki współpracy wydawców redakcja jest zupełnie jednolita. Prócz aparatu krytycznego, liczne noty historyczne w dopiskach, dokładne cytaty biblijne i patrystyczne znakomicie ułatwiają orjentację w tej kopalni materjałów. W obecnym tomie brak jeszcze skorowidzów, które znajdą się w części wtórej. Indeksy imienno-rzeczowe i biblijne innych tomów odsyłają do ponumerowanych wierszy stron odnośnych, przez co wiele czasu się oszczędza, a że są dokładne, o tem próbka każdego przekona. — Z dokumentów tom niniejszy zawiera: Diarjusz Astulfa Servanzio z czasów Piusa IV, Epitome, sumarjusz i dokumenta soborowe, zebrane przez Filipa Musotti, relacje soborowe Filipa Geri do kard. Morone, oraz Akta sesyj XVII do końca przez Gabrjela Paleotti.

Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę, że niektóre dawniejsze tomy wydawnictwa można nabyć u Herdera po cenie znacznie zniżonej.

Ks. M. Morawski.

Władysław Konopczyński: Kazimierz Pułaski. Polska Akademja Umiej. Kraków 1931. Str. XII+420.

Jeszcze kilka lat temu obchodząc 150-ą rocznicę śmierci Kazimierza Pułaskiego, odczuwaliśmy przykro brak wyczerpującej monografji, informującej nas o losach tego, w którym dwa narody widzą swego bohatera narodowego. Brakowi temu zaradziła obecnie książka prof. Konopczyńskiego, pierwszego dziś znawcy czasów konfederacji barskiej.

Studja prowadzone przez autora od lat kilkunastu nad samą konfederacją barską pozwoliły mu obdarować naukę i publiczność polską dziełem niepospolitem. Książka bowiem o Kazimierzu Pułaskim została przez krytykę fachową zaliczoną pomiędzy najcelniejsze dzieła polskiej historjografji. Pułaski dotąd dla ogółu postać niemal tylko legendarna, symboliczna, dzięki wysiłkowi autora staje niemal jak żywa przed oczyma czytelników polskich.

Po krótkich wzmiankach o młodości bohatera kreśli autor skrupulatnie dzieje wojen tego Hektora konfederacji. Widzimy go jak zasłania pierwsze poczynania konfederatów na Ukrainie, broniąc Konstantynowa, czy Berdyczowa. Widzimy go walczącego

u krańców Rzplitej w Okopach św. Trójcy. Śledzimy jego drogę na Litwę, drogę znaczoną rozpalonemi ogniami konfederacji po województwach. Przeżywamy z nim razem sławną obronę Częstochowy, nieudałe ataki na Lwów, Poznań, Zamość, dziesiątki drobnych marszów i potyczek, by wkońcu asystować jego smutnej tułaczce i bohaterskiej śmierci na drugiej półkuli. W miarę czytania rośnie zainteresowanie a ostatnie rozdziały czyta się niemal jednym tchem.

Zapewne, że dla dzisiejszego czytelnika, zepsutego na modnych romansach biograficznych, poważna ta biografja może się wydawać trudną do czytania. Pewne trudności może wreszcie laik spotykać w związku z tem, że historja samej konfederacji, wobec tego iż autor myśli się nią zająć w osobnej książce, jest potraktowaną dość ogólnie. Poza tem jednak zrobiono dużo, by ułatwić czytelnikowi zaznajomienie się z treścią. Orjentację w wyprawach Pułaskiego ułatwiają doskonałe mapki, styl zaś opowiadania jest żywy i prosty.

Niełatwą do czytania może ta książka być raczej z innego względu. Oto czasy, wśród których działa K. Pułaski, dalekie są od tych, w których danem było działać Kościuszce i Poniatowskiemu. Pełno tu jeszcze wad niedawnego okresu saskiego. Jakże smutnie, ale jakże prawdziwie żali się biskup Krasiński: „Gdybym przez trzy lata koło umarłego pracował z tą niewygodą i z tą usilnością, jużbym go był dotychczas wskrzesił, tego jednak dokazać nie mogę, żeby naród więcej kochał całość ojczyzny i obronę wolności, aniżeli jakiś fałszywy punkt honoru i emulacje".

Samego wreszcie bohatera trzeba oglądać na tle epoki, by go móc należycie ocenić. Oglądany tak zbliska nie spada z piedestału ale też wykazuje poważne rysy. Autor, trzeba przyznać, przedstawia swego bohatera z całą bezwzględnością obnażając jego słabe strony, równocześnie jednak stara się wytłumaczyć a nawet usprawiedliwić pewne fakty. Czy zawsze przekonywująco? Zależy to od nastawienia czytelnika. Zauważyć trzeba tu, że wejście w głąb duszy K. P. jest bardzo utrudnionem, wobec małej ilości źródeł, w którychby K. P. mówił o sobie i o tem co w jego duszy się dzieje. Mówią to fakty. — To prawda, ale co zrobić w momencie, gdy ocena faktu zależy od tego, co się w duszy autora faktu działo?

Jedno zdaje się nie ulegać wątpliwości, że ten dziarski rycerz, to przedewszystkiem człowiek afektu. Uczucia zaś jego potrafią być nieraz silne i trwałe, nieraz jednak dziwią nas swą zmiennością. Nawet jego stosunek do Ojczyzny wykazuje w sobie cechy patrjotyzmu człowieka, który nie przeżył męki upadku Polski. Potrafi się on zaprzeć na chwilę Polski, kiedy Waszyngtonowi oświadczy, że jego dawna Ojczyzna nie istnieje więcej dla niego.

Jego żywa religijność ma w sobie też gorącość ale i płytkość właściwą epoce. Ten sam Pułaski, który krzyżem ku zbu-

dowaniu szlachty po kościołach leży, daje się potem bez trudu wciągnąć do masonerji a w Ameryce asystuje przy nabożeństwach heretyckich. Nawet jego głębokie poczucie honoru pozwala mu na posunięcia, które tylko duchem epoki wytłumaczyć można.

Z tem wszystkiem nie traci K. Pułaski naszej sympatji, ani jak podkreśliliśmy, nie przestaje być jednym z tych, którzy więcej niż inni zasłużyli się Ojczyźnie. Wdzięczni więc tem samem musimy być autorowi, że nam tego dość nieznanego bohatera pozwolił poznać i pokochać.

E. W.

Konstanty Symonolewicz: Miraże mandżurskie. Duża ósemka. str. 291+6 ndl. — Warszawa 1932. Główny Skład Gebethner i Wolff.

Z tą chwilą, kiedy w 1896 r. pierwszym wiceprezesem Towarzystwa Wschodnio-Chińskiej Kolei Żelaznej został polski inżynier Stanisław Kierbedź, a w roku następnym Adam Szydłowski, również polski inżynier, wybrał miejsce pod rozbudowę głośnego już dziś Charbina, bardzo odległa dotąd Mandżurja stała się nam odrazu znacznie bliższa, związaliśmy się z nią delikatną nicią sentymentu i dumy narodowej. Aż do wybuchu wojny światowej tę naszą duchową łączność z Mandżurją każdy niemal rok coraz bardziej zacieśniał.

W 1907 r. kolonja polska w Charbinie uzyskuje formalne zatwierdzenie statutu stowarzyszenia „Gospoda Polska", w rok później otwiera pierwszą początkową szkółkę polską, a rok 1909 pozostaje na zawsze pamiętny wykończeniem budowy własnego kościoła. Przy kościele zawiązuje się Towarzystwo Dobroczynności św. Wincentego a Paulo, które w r. 1912 zakłada drugą szkołę początkową. Zczasem Gospoda Polska staje się właścicielką piętrowego domu, a skromna szkółka Towarzystwa Dobroczynności rozwija się w gimnazjum, które również — już w czasie wojny 1917 r. — otrzymuje osobny gmach piętrowy.

Jaką rolę Mandżurja — a w szczególności Charbin odegrał w dziele powstania państwowości polskiej, niesposób rozwodzić się nad tem w krótkiej notatce sprawozdawczej. Wystarczy wspomnieć, że i tam działały polskie Komitety Wojskowe i Narodowe, że i tam nie żałowano dla wielkiej sprawy ani krwi, ani pieniędzy.

Przyczyn więc, natury uczuciowej, do dokładniejszego zainteresowania się literaturą Mandżurji nie brak dla polskiego czytelnika. W Polsce odrodzonej przybywa wzgląd nowy, bodaj czy nie ważniejszy, bo bardziej realny, a mianowicie ekonomiczny. Mandżurja, z każdym rokiem coraz bardziej się zaludniająca, Mandżurja z wielkiem bogactwem naturalnem lasów i różnych minerałów, musi zainteresować polski przemysł, szukający możliwych

dla siebie rynków zbytu. Mieszkający w Mandżurji przemysłowcy i kupcy polscy połączyli się już w związek osobny i mają nadzieję przekształcenia się w Polsko Chińską Izbę Handlową.

Mandżurja wreszcie, w ostatnich miesiącach, wskutek kłótni chińsko-japońskiej, stała się modną w prasie i rozmowach towarzyskich. A to również jedna racja więcej, żeby wziąć do ręki jakąś książkę o Mandżurji. Dzieła takie, jak dotąd, polska literatura krajoznawcza mogła bez trudu policzyć na palcach od jednej ręki: Doleżan, Jankowski, Sieroszewski, a w ostatnich miesiącach — Banasiński — oto mniej więcej wszyscy nasi teraźniejsi „mandżurolodzy". Publikacja p. Symonolewicza przychodzi w samą porę. „Złożyło się na nią — jak wyznaje autor we wstępie — ośmnaście lat życia w Chinach i w Mandżurji; w wyjątkowych warunkach pracy dyplomatycznej obcej i polskiej, poprzedzonych latami studjów wschodoznawczych".

Autor pracę swą podzielił na dwie części. W pierwszej mówi o Chińczykach, o ich wierzeniach i obyczajach i o Mandżurji w ogólności, o jej krajobrazie, historji i o kolonizacji chińskiej. W drugiej podaje opis i historję Kolei Wschodnio-Chińskiej. Tutaj także zamieszczono charakterystykę działalności Japonji i pierwszą próbę zwięzłej historji polskiej kolonji w Mandżurji.

Porównując różne listowne i ustne relacje o życiu Polonji w Mandżurji z opisem i osądem p. S. z przyjemnością stwierdzamy, że omawianą pracę znamionuje ogromny umiar i ostrożność w ocenie ludzi i faktów, a tem samem zapewnia jej wartość nieprzejściową, tem bardziej, że forma stylowa doskonale się zestraja z przedmiotem.

J. K.

Stephany Max: Konversion und Rekonversion in Livland. (Abhandlungen der Herder-Gesellschaft u. Herder Institut zu Riga). Riga. Verlag der Buchhandlung G. Löffler 1931, str. 56.

Drobne studjum o zakusach nawracania na prawosławie niemieckich protestantów w dzisiejszej Łotwie. Autor nie cytuje źródeł, coby wskazywało raczej na popularny charakter pracy. W poglądach jednostronny, ta jednostronność zaznacza się przedewszystkiem zarówno w odniesieniu do Polski, jak i do Kościoła katolickiego. W zakończeniu przechodzi już zupełnie na teren publicystyki wyznaniowej, kiedy pisze, że miejsce caratu, zajął inny wróg mniejszości niemiecko-protestanckiej na Łotwie. Tym wrogiem ma być Kościół katolicki, który wprawdzie inne stosuje metody, niż Rosja, ale również zmierza do nawracania niekatolików.

S. B.

Antoni Waśkowski: Szela. Sceny dramatyczne. (Miejsce Piastowe, Wydawnictwo Tow. Św. Michała Arch.), 1931.

Kiedy w tę dziwną, imaginacyjną noc bronowickiego wesela staremu chłopu widzi się widmo w złotym orderze na zgrzebnej płótniance, to widmo to uporczywie, monotonnym ruchem sennych widziadeł, usiłuje zetrzeć ze siebie jakieś plamy nieznośne i skarży się głosem dobytym z piekielnych czeluści: „ręce myć, suknie prać, nie będzie znać..." A że widmo to, to *imago* własnej duszy starca, przeto znaczy ono, że wielki poeta przypuszczał, iż rok 1846 jest dla duszy chłopskiej ciężką, męczącą, wstydliwą skazą... Antoni Waśkowski, aczkolwiek wychowany poetycko w najbliższym obrębie wpływów Wyspiańskiego, w swoim *Szeli* raczej przeciwstawia się tej koncepcji „rehabilitacyjnej", pokutnej: Szela wciąż drzemie w duszy chłopskiej. Coprawda, sprawa ta nie przedstawia się i jemu w sposób jednolity, owszem, jest to rzecz skomplikowana: świadomość ludowa, zwierzchnie, jasne warstwy sumienia wypierają się tej legendy 46 roku, walczą z nią i radeby wykląć szpetne widmo — ale cóż, w niedotartych sumieniem, głębszych czeluściach psychiki, wspomnienie pokuśne w Szeli usymbolizowane trwa niewzruszenie, jak głaz. Poetycko i plastycznie to się przedstawia tak: Szela zbudował sobie za złupione złoto własny dom. Scena ósma, końcowa, ukazuje go na tle domu w mroczny, posępny czas, kiedy się łyska na burzę. Wtem zewszechstron nadchodzą chłopi, ci sami, co rznęli pod jego przewodem. I zaczyna się rzecz, oparta na historycznem podłożu. Wszak po rzezi r. 1846 lud jej wyparł się. Świadectwem plon misyj, po których ks. Karol Antoniewicz powiedział, że „połowę nieba zajmą polscy chłopi", tyle widocznie skruchy rozpaczliwej wyczuli spowiednicy po konfesjonałach, świadectwem jeszcze bardziej naocznem legendy o pomście Boskiej, natenczas ulęgłe, legendy samym swym faktem świadczące, że się dusza chłopska czuła po tej nieczystej lubieży krwawej niedobrze... Toteż, powtórzmy, zgodnie z rzeczywistością historyczną. Wójt wzywa Szelę:

to jedno ino mawa rzec:
albo z chłopami ci krzyżowa droga
na klęckach —
. . . albo — ze wsi precl!

Szela wyrzuca im tchórzostwo „sumienie i Boga..." Replikuje, że napróżno krzywi mu są, napróżno wyganiają go:

jo we wsi wiecnie żywl
jo — zapalonyj słomy sterć,
Krwawe widziadło, pożoga
nad Polską!
— nie znam sumienia i Boga
i zawdy wrócę na swój czas!!!

Naprożno oni wołają „przeklęty, przeklęty", naprożno wywołują ze wsi tego, co jest im „strachem sumienia", Szela przyrzeka:

jo z wami po wiecny czas,
zawdy — i wsędy — i blisko —
niech kto zawoła nazwisko
a wrócę —
wrócę na inszy raz!!

Przerażeni, postanawiają siłą wygnać go ze wsi, dach mu zerwać nad głową, biorą się do drągów i osęków, aby się „pamięć czynów złych" unicestwiła i zdruzgotała:

niech to piekielne nazwisko
na wieki wieków pogrzebią
krzyże i Świętych Pańskich malowanki —

Niechaj matki co nad kołyską dziecinną pochylają się, odpędzą od dusz dziecinnych ten dopust hańby i wstydu, tę „śmierć co chłopów łapie", to nazwisko piekielne „co we grzesnej duszy posiadło wiecne siedlisko"; ale naprożno egzorcyzmują tego typowo chłopskiego szatana, którego znak brzmi S z e l a, nie pomaga nic:

szatańska szkarada
sumienie nasze obsiada.

Szela pozostaje „n i e p o r u s z o n y, s k a m i e n i a ł y..." A głos, który słyszą pośród nocy „wrócę na inszy czas!" jest głosem szatana, — tego samego, który w prologu poematu, wysyłając Szelę z kryminału w świat na rzeź, przyrzekał mu: „i zawdy wrócisz na swój czas!"

Tamto było r z e c z y w i s t e: przecież nietylko po 46 roku dusza chłopska żałowała, lecz i przecież od dziesiątków lat wszystko co dobre, lepsze i najlepsze z pośród ludu polskiego, pracuje nad zniweczeniem ordynarnych osadów „duszy pańszczyźnianej", wypiera się tego, czego symbolem Szela. Ale czy to r z e c z y w i s t e, że Szela s k a m i e n i a ł w tej psychice fatalnie, że chłopskiego djabła nie wykorzenić, że — „nie zginie w chłopie nigdy zło?"... Czy to prawda, że — prozą już powiedziawszy — stare zapasy klasowego resentymentu są, mimo wszystkie ogromne zmiany, co tymczasem zaszły od tamtej nieszczęsnej chwili i epoki — nieszczęsnej c h w i l i dla mordowanych i nieszczęsnej e p o k i dla morderców! — są jeszcze tak obfite, iż niech tylko zajdą odpowiednie okoliczności — a kraj gotów spłynąć krwią? Inaczej, czy drzemie w chłopie naszym przyczajona gotowość do jakiejś bolszewickiej rabacji?... Pytanie niedyskretne straszliwie, odpowiedzi nieznane i trzebaby być cierpkim pesymistą, zgoła hypochondrykiem, ażeby wyobrażać sobie, iż nadejdą okoliczności, w których odpowiedź padnie... Toteż wyznam otwarcie: nie bez głębokiej niechęci odcyfrowywałem ideę tego poematu, owszem sam siebie zapytywałem twardo, co właściwie, jaka przykra motywacja mogła

skłonić poetę do szukania artystycznego wyrazu dla takiej właśnie idei?... Kiedy tak myślałem, przypomniała mi się jedna rzecz, niestety rzeczywista. Ja sam znalazłem się mianowicie nie tak dawno pośród grona wykształconej młodzieży pochodzącej z włościan, gdzie nie bez namiętności dyskutowano nad ... rehabilitacją Szeli. Teza (większości — bo i mniejszość była, co zanotować godzi się!) — była ta, że rok 1846 był p o m s t ą za pańszczyźniane krzywdy, a skoro tak — ta była logika — to już jest „jedynym tytułem do chluby dla ludu polskiego" *(sic)*, — „szkoda, że wielu więcej nie poprzerzynali piłą" *(sic)*, — a nawet — jak z naiwną konsekwencją wnioskowała jedna, sympatyczna zresztą panienka — „Szela jako bohater ludowy powinien dostać się do czytanek szkolnych"... *(sic)*. Notuję przy sposobności ten fakt, jako przyczynek historyczny dla charakterystyki naszego czasu, nie biorąc go zresztą zbyt na serjo, bo mam nadzieję, że ta młodzież, z wiekiem, wszedłszy w rzeczywiste i odpowiedzialne koleje życia, nie bez lekkiego rumieńca wspomni te wyskoki młodości chmurnej — i... durnej...

Niemniej faktem jest, że emanacje bolszewickie są w naszej atmosferze powszechnej widać wcale gęste — (także i zapędy rewizjonistyczne) — skoro wpływają na takie enuncjacje, jakie w tych samych kołach młodzieży przedwojennej — (śmiało stwierdzić to mogę, znając dobrze to środowisko z lat akademickich) — były zgoła nie do pomyślenia. Dość, że myśląc o tych wypowiedzeniach z pod serca, rozgrzeszyłem Waśkowskiego z tej idei, która mię na pierwszy rzut uderzyła tak przykro, jako przykra insynuacja...

Natomiast nie zgodzę się już stanowczo tym razem z autorem *Szeli*, skoro idzie o symboliczne zobrazowanie reakcji społeczeństwa szlacheckiego na rzeź. Mianowicie Ewa, panna z wyrzniętego dworu, później przyłapana przez Szelę i obrócona przezeń w nałożnicę posępną, oszalała i włóczy się po wsiach i polach jako żywe widmo kary, zgrozy, pomoru, głodu, pomsty. To ostatnie jest histeryczne, to był czas jakiejś zbiorowej hipnozy i histerji — i łatwo się zwidywać mogły nieszczęsnym widma, łatwo też wyobrazić sobie, że ktoś ze spalonego i pomordowanego dworu zwarjował, włóczył się i chłopom jawił się, jakoby upiór jakiś. Łatwo też zrozumieć uczucie strasznej nienawiści u rodzin, których członkowie padli ofiarą nikczemnego mordu: „na gardziołku siędę, flaków wydobędę", — jak brzmiała ludowa z tego roku piosenka. I coś zostało po umysłach z tego czasu... Ale nie jest zgodne z historją, że społeczeństwo szlacheckie jako całość, jako grupa wyrażona przez wspólną opinję, zapragnęło mścić się na ludzie, jak to suponuje dramat w dialogu Widma z oszalałą Ewą.

Nie! Jest wysokiego podziwu godna i godną wielkiej chluby ówczesna postawa całej naszej opinji, nawet opinji najbliżej zainteresowanych, tych tak potwornie doświadczonych, ówczesnej

warstwy ziemiańskiej w Galicji, postawa tak rzetelnie chrześcijańska, widoczna w całej ówczesnej publicystyce i pamiętnikach, która kazała wybaczać zbłąkanym przez podłego wroga mordercom, własny raczej robić rachunek sumienia i śpiewać do Boga modlitwą, by „rękę karał nie ślepy miecz"... Dalibóg, to jest dobra pozycja naszej kultury i tradycji, godna zaiste, by się nad nią zastanowił niejeden z młodocianych demagogów! I dlatego postawę Waśkowskiego wobec tej sprawy należy uznać za niejakie cofnięcie się z tamtego wzniosłego osiągu. Jeśliby poeta replikował, że psychologicznie jest usprawiedliwionem, ażeby taka oszalała nieszczęśnica gorzała pragnieniem zemsty, wlanem jej przez widmo ukochanego, to przyznam, że tak; ale dodam, że te „sceny drastyczne" są w zamiarze swoim nie czysto-nastrojowym utworem na tle rzezi 46 r., ale są utworem ideowym, a jako taki musi liczyć się z faktyczną — i tak szlachetną! — ideologją owego czasu. Wolno nam przypuszczać, sądząc po żywych, że duchy nieszczęsnych ofiar potwornego zbiorowego obłędu, podsyconego przez austrjackich łotrów, nie były widmami szatańskiemi...

Czy w ogólności *Szela* Waśkowskiego jest utworem historycznym, a to w tem znaczeniu, aby mógł służyć niejako dydaktycznie, jako idealny przekrój owej rzeczywistości, rzeczywistości faktycznej? Sądzę, że nie — i że autor tego zamiaru nie miał. Wogóle utworu dramatycznego — w sensie może filmowym — któryby w skrócie dał całą naturę historycznych faktów owej tragicznej epoki, nie mamy — bo i *Turoń* Żeromskiego, aczkolwiek bardziej realistyczny i może cokolwiek obfitszy w rysy historycznie charakterystyczne, dalekim jest od takiego obrazu pełnego i realistycznego.

Przekrój historyczny — razem z tym dwulicowym żydkiem, okropnym agentem tajnym rzezi, ciągnącym z niej podły zysk, należy uznać za prawdziwy, choć raczej schematyczny. Waśkowski (zarówno jak i Żeromski) opiera się na przedstawieniu historycznem przedewszystkiem Ostaszewskiego-Barańskiego. Mam wrażenie, że pominięty został Ludwik Dębicki („Z dawnych wspomnień", 1904), przynoszący fakty tak ponętne artystycznie, jak pewien mistyczny nastrój Szeli (u Szeli Waśkowskiego, pijanego nagą nienawiścią klasową, tego rysu niema), albo takie np. dożynki w r. 1845 w Szczepanowicach u Chrząstowskich, gdzie państwo tego dworu i emisarjusze fraternizowali z ludem (istny, tragiczny wizerunek bronowickiego wesela, „pany, chłopy, chłopy, pany") — po których, w kilka miesięcy później, przyszło do wymordowania Chrząstowskich... Albo np. takie opowiadanie o parobku, który stojąc na gumnie przechwalał się, że wbrew temu, co mówią, iż morderców nagła śmierć spotyka, on choć 5 panów zamordował, cało chodzi i niczego się nie boi — a w tej chwili potknął się i złamał kark. Prawda, czy legenda, ale nada-

wałaby się do dramatycznego przekroju epoki. Wogóle, przekrój dramatyczny, prawdziwy historycznie, musiałby być wielce obfity w fakty, skomplikowany, niejednostronny; np. Chochołów musiałby być uwzględniony i t. p.; a musiałoby być też i coś — z pańszczyzny... A to wszystko nie pomieści się w symboliczno-nastrojowem uproszczeniu. Czemże więc są „Sceny dramatyczne" Waśkowskiego o Szeli? Pamiętać należy, że jest to dzieło liryka, który wstąpił w szranki teatralne. I z tego punktu należy w poemat wczuć się i oceniać go. Jest to poprostu wielka liryczno-dramatyczna metafora — metafora zgrozy, jaka przejęła poetę na myśl o r. 46. Myśl tę zaś snać napotkał, szukając dalszego punktu, na tej linji, na którą wstąpił z *Makryną* (1930). Dramat o Makrynie też wyniknął ze zgrozy, też jest szeroką metaforą zgrozy, jaka przejąć musiała poetę-romantyka wobec świeżych rewelacyj o Makrynie Mieczysławskiej ks. J. Urbana. Wywiązała się stąd myśl o pierwiastku demonicznym w dziejach Polski porozbiorowej. Jako drugi punkt na tej linji napotkał poeta Jakóba Szelę. Jaki jest punkt następny, dokąd linja dojdzie?...

Otóż jako wielka liryczno-dramatyczna metafora traktowany „Szela", uznany być musi za niezaprzeczony wyraz postępu twórczego w porównaniu z *Makryną*: Postacie fantastyczne, szatan, który w *Makrynie* niemal podpowiadał jej każde słowo, tutaj występuje tylko jako symboliczno-mistyczne nawiązanie sprawy, jako symboliczno-mistyczna wskazówka; ludzie działają już sami, szatana mają już w swem wnętrzu, skąd my go odcyfrowujemy, co jest bardziej zajmujące. Zostały też bardzo zredukowane efekty romantyczno-teatralne, a nadewszystko uzwięźlony język — język doskonały w swej szorstkiej acz stylizowanej zaprawie ludowej, pełen dźwięku w lapidarnych jambach lub trochejach, 8-zgłoskowcem rwącej jak bystra fala. I właśnie ta bystrość języka, oraz ten bystry bieg całej akcji, zawartej w kilku krótkich obrazach, doskonale wyrażają istotę właściwej treści. Przyszła ongiś nagle, jak nagła krwawa fala, straszna zgroza i zalała świat... Doskonałe połączenie ruchu ze słowem — zgodnie z wymogami teorji dramatu — wyda efektowne gesty sceniczne, a nad tem wszystkiem ta posępna, a rwąca naprzód muzyka słowa — każą przypuszczać, że *Szela* na scenie wystawiony okaże się prawdziwie zajmującym i wykaże, że wolno ważyć się transponować lirykę na ruch dramatyczny.

K. L. Koniński.

Helena Boguszewska: Świat po niewidomemu. Nakł. tygodnika *Kobieta współczesna*, Warszawa.

Książka Heleny Boguszewskiej jest w najwyższym stopniu wzruszająca. Są to obrazki z życia dzieci ociemniałych, wychowy-

wanych w Laskach pod Warszawą, przez Siostry ze zgromadzenia założonego przez Matkę Czacką.

Wchodzimy za autorką w świat nam nieznany a tak przeraźliwie smutny i bolesny, w świat ślepych dzieci. Dobre Siostry, które się niemi zajmują, robią co mogą, żeby im to kalectwo osłodzić a przedewszystkiem, żeby je o ile się da zwyciężyć. Z opowiadań p. Boguszewskiej wnioskować musimy, że w smutną tę pracę kładą nietylko całe serce, ale i wiele rozumu; z nigdy niewyczerpaną dobrocią i cierpliwością starają się niejako wprowadzić zpowrotem w świat i życie te biedne dzieci, które przez swoje kalectwo zostały od tego świata i życia odcięte. Dzięki tej umiejętnej opiece i mądremu systemowi, dzieci w Laskach nie są nawet takie smutne: umieją same chodzić i biegać po domu i ogrodzie, bawią się, uczą, mają swoje ogródki, przedstawienia, jasełka, dziewczynki szyją i robią robótki, chłopcy wyplatają koszyki. Mądremi wrażliwemi palcami rozpoznają swoje zabawki i sprzęty, palcami badają wzrost kwiatów, palcami „oglądają" wypchane zwierzęta i żywe kurczęta. Wszystko je interesuje. Pytają, pytają bez końca: czy widząca publiczność była bardzo zgorszona, że jeden z aniołków w jasełkach miał niebieskie skrzydła? przecież to musiało być ohydne. Czy koszyk z rafji czerwonej i czarnej będzie ładny? owszem zdaje się, że te kolory harmonizują ze sobą! Czy kolory lalczynej sukni są dobrane? Cały świat barw, którym się dziwnie zajmują musi się im objawiać przez słowo. A jak sobie radzą ludzie widzący? Po czem np. człowiek widzący poznaje, że tu już jest ogród? po płocie? to one też przecież po płocie rozpoznają! Nie można dostrzec polnego konika, który uciekł? Jakto nawet ta Pani, co widzi? Pocóż więc oczy, jeśli i tak nie można widzieć wszystkiego? W bezkompromisowym umyśle dziecięcym powstaje pytanie, jaka jest różnica między widzącym a niewidzącym i pewna jakby pociecha: wszystkiego nie widzi nikt! I troszczą się dzieci, że pani siedzi tak długo bez lampy, a przecież jak ktoś widzi, to mu źle w ciemności! Rozumieją, że szczenięta są ospałe i smutne, to dlatego, powiadają, że jeszcze są ślepe!..

Jest coś wprost rozdzierającego w tej beztroskiej wesołości, w tej pogodnej rezygnacji ślepych dzieci, w tem ich prostem poddawaniu się faktowi dokonanemu ich kalectwa. Starsze dziewczęta są o wiele smutniejsze. Są ciągle smutne, trudno je rozweselić. Ani barchanowy słoń, ani lalka w szarym kubraczku, ani liczenie pączków na krzaku nasturcji nie może już oderwać ich myśli od otaczającego je ciemnego nieszczęścia.

Czytając ten „Świat po niewidomemu" tak jesteśmy przejęci tematem, tak myślimy tylko o tych biednych ślepych dzieciach, że już nie mamy czasu ani ochoty zastanawiać się nad literacką wartością tej książki. Musi być pisana dobrze i z talentem, jeśli potrafi przenieść nas tak zupełnie do piaszczystych ogrodów

Lasek, jeśli nas tak potrafi przejąć litością i wzruszyć. Tu i ówdzie przypomina nam się Zofja Nałkowska i jej tak swoisty sposób pisania, czasem zasłyszymy słyszany już u niej zwrot czy wyrażenie, ale, jak mówi Helena Boguszewska, „te sprawy zupełnie nas nie obchodzą," nie obchodzą nas ani style ani sposoby pisania, obchodzą nas ślepe dzieci!

I właśnie dlatego, że ta smutna i wzruszająca książka zapoznaje nas tak żywo z niedolą ciemnych, a także z wielkiem dziełem miłosierdzia M. Czackiej, należy ją wszystkim polecać i jak najszerzej rozpowszechniać.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Hugo Wast: Kamienna pustynia. — Ta, która nie przebaczyła. — Kwiat duraceny. Wydawnictwo „Rój" Warszawa.

Trzy książki pisarza argentyńskiego, wydane w krótkim odstępie czasu, mogą nakarmić najbardziej snobistycznych zwolenników egzotyczności. „Kamienna pustynia" otrzymała wielką nagrodę państwową. Inne książki tego autora rozchodzą się w krajach europejskich.

Istotnie, świat z tamtej półkuli, który otwiera przed nami Wast, jest bujny, dziki, oryginalny. Nieznane nam jeszcze formy życia, pracy, obyczajów ukazują się przed nami. Formy bez porównania od naszych brutalniejsze, jak np. obrona młodej dziewczyny przed mężczyzną w ten sposób, że przyciśniętego drzwiami dźga nożyczkami póty, aż umiera.

We wszystkich trzech powieściach jest motyw, tak znany urbanistycznej Europie: przeciwstawienie wsi i miasta, życia czystego i prostego — zepsuciu i gorączce zysku. Czy to powieść wiejska francuska lub włoska, czy to wyhalucynowane wsie i mackowate miasta Verhaeren'a, czy to „Ziemia obiecana" Reymonta — wszędzie miasto jest olbrzymim terenem, na którym się odbywa upadek człowieka.

W „Kamiennej pustyni" wabi ono tylko człowieka słabego, manjaka, marzącego o zdobyciu miljonów, o aferach. Jakże odmiennym od niego jest ziemianin, który nosi zawsze od lat stare buty, bojąc się w swym konserwatyźmie, że włożenie nowoczesnego obuwia spowoduje śmierć.

Ale w „Kwiecie duraceny" miasto pochłania niewinne dziewczyny, zrywa je z rodzinnej grzędy, jak kwiaty, by zwiędłe i zadeptane odrzucić tam znowu. Tak zginęła słodka Ruża, tak zginęła Marja. Letnicy przyjeżdżający do górskiej wioseczki Dolores wnoszą tam tyleż zepsucia, co nasi kuracjusze do Zakopanego lub na Hel. Dlatego zacny ksiądz Filemon zakłada fabrykę przetworów owocowych, by dać dziewczynom zarobek i zatrzymać na miejscu.

Tak samo, jak w dwóch poprzednich powieściach, w „Tej, która nie przebaczyła" opisana jest wieś i przyroda argentyńska. I te opisy należą dla nas do najciekawszych miejsc w książce.

Wast, podobnie, jak nasz Reymont we wszystkich swych powieściach przed „Chłopami", jak Balzac kreśli postacie ludzi nie typowe, lecz indywidualne. Często bywają to zjawiska jedyne w swoim rodzaju, manjacy, dziwacy, osobowości bardzo oryginalne.

Zgęszczenie rysów rzeczywistości, wcielenie linij ogólnych w postać jakąś w celu satyrycznym, poznawczym, moralizatorskim lub czysto-estetycznym więcej przynosi dla myśli. Natomiast przewaga cech rzadkich, indywidualnych daje wrażenie większej żywotności i realności postaci powieściowej. Ale też jest tylko rozszerzeniem życia i powieleniem jego możliwości, a nie twórczem opanowaniem i opracowaniem. Po przeczytaniu całego Balzac'a zostajemy z przykrem poczuciem gry bolesnej i bezcelowej na całej przestrzeni „Komedji ludzkiej".

Ale Wast poza swemi postaciami bardzo indywidualnemi rzuca jakieś zagadnienie społeczne jakiś aksjomat etyczny.

Całe nastawienie jego jest zupełnie chrześcijańskie. Czy to wtedy, gdy demonstruje na losach mściwej Merceditas ideę przebaczenia, czy to wtedy, gdy opisuje miejscowe obrzędy religijne lub kreśli miłą sylwetkę dobroczynnego proboszcza, lubiącego używać w kazaniach zbyt dosadnych wyrażeń kreolskich.

Ujęcie Wasta jest czasem zbyt staromodne, zbyt tragiczne lub sentymentalne. Ale nas to nie razi w tej twórczości tak odmiennej, w obrazach tego nieznanego świata egzotycznego i okrutnego, gdzie poznajemy to polowanie na aligatory, to typy miejscowe, to emigrantów z Europy, widzianych okiem panów tego kraju.

Przyswojenie naszemu językowi tego autora jest dowodem, że można zainteresować publiczność, nie koniecznie dając jej pornografję albo amoralizm bezwyznaniowy.

A. Zahorska.

Emil Droonberg: Śmiejąca się woda. Wydawnictwo „Rój", Warszawa.

Autor ten jest tak samo kanadyjczykiem, jak Curwood. Nie obchodzi go tylko świat zwierzęcy tak, jak Curwood'a, tego doskonałego naśladowcy „Księgi Dżungli" i „Zewu krwi" Jack'a Londona. Bohaterami jego powieści są Indjanie i krzywda, wyrządzona im przez białych.

Jakże daleko odeszliśmy od romantyzmu Fenimore'a Cooper, apoteozującego coprawda szlachetność niektórych Indjan, rozumiejącego psychologję tępionego szczepu, ale bezkrytycznie patrzącego na brutalny pochód białych zdobywców! Droonberg byłby prawie tem, czem Beecher-Stowe w swoim czasie dla niewolników-murzynów, gdyby posiadał większy talent i oryginalność.

Książki te mogą jednak zwrócić uwagę humanitarystów całego świata ze względu na ostre i śmiałe potępienie zaborczości białych. Jeszcze tak niedawno London apoteozował w swych utworach z mórz południowych imperjalizm białego człowieka, przyznawał mu prawo do władzy z powodu wyższych wartości, które reprezentuje, zachwycał się morderczemi i despotycznemi wyczynami konkwistadorów.

Droonberg maluje tragedję wymierających czerwonoskórych, zamkniętych w swych rezerwatach, trujących się wyziewami rzekomej „cywilizacji". Krzywda silniejszych i rozumniejszych czyha zewsząd i osacza naiwnych dzikich. Nie krzywdzą ich i dają im schron tylko misjonarze.

Kiedy śliczna Indjanka Minnehaha — Śmiejąca się woda — otrzymawszy cywilizację w domu misjonarek, wraca do swoich, by pracować dla ich dobra, rozdźwięk między nią a plemieniem jest tak wielki, że jedyną ucieczką jej staje się — klasztor.

Jest to odwieczna tragedja człowieka z rasy niższej, odepchniętej przez rasę wyższą, sponiewieranej za kolor skóry przez tych, co duchowo i moralnie niekoniecznie więcej są warci. Minnehaha znajdzie ciszę i schron u stóp Tego, który nikogo nie odtrąca.

Dzieła Droonberga („Złoto mglistych gór", „Złoto Alaski" i t. d.) są jednym z tych głosów, coraz częstszych, które się podnoszą w obronie ras tępionych i wyzyskiwanych w brutalnym pochodzie zaborcy i handlarza europejskiego.

A. Zahorska.

Juljusz Verne: Hector Servadac. Wydanie Książnica-Atlas, Lwów-Warszawa.
Antoni Marczyński: Nowa Atlantyda, Wyd. M. Krzyżanowskiego.

Obie te książki, napisane dla młodzieży, są trochę zbliżone do siebie tematami, jakby można powiedzieć geologicznemi i kosmicznemi. W książce Verne'a, kawałek globu ziemskiego oddziela się pod wpływem jakiegoś kataklizmu od reszty ziemi i krąży w przestworzu, unosząc na sobie garstkę ludzi. Po wielu perypetjach odłamek ziemi ląduje zpowrotem na swoje miejsce. Fantastyczna ta historja, jak zawsze u Verne'a, jest pretekstem do wielu pouczających wykładów z dziedziny astronomji i fizyki.

U Marczyńskiego, polski statek żeglujący po morzach południowych jest świadkiem wyłaniania się z dna oceanu legendarnej Atlantydy. Historja zaś młodego kandydata na marynarza, znajdującego się na tym statku, jest znowu pretekstem do udzielania młodzieży wielu wiadomości z dziedziny żeglugi i trochę do robienia reklamy polskiej marynarce.

Trzeba jednak przyznać, że książka starego Juljusza Verne'a jest pisana żywiej, z większym dowcipem, (Anglicy grający z ca-

łym spokojem w szachy i z niezachwianą ufnością oczekujący rozkazów z Londynu, podczas gdy już oddawna nie znajdują się na ziemi, to obrazek prawdziwie zabawny) — książka ta jest lepiej zbudowana i bardziej w swych nieprawdopodobieństwach ścisła i logiczna.

Pod względem ideowym może wolelibyśmy, żeby w książkach dla młodzieży mniej swobodnie wspominano o pojedynkach, jako o rzeczy prostej i zwykłej, jak to ma miejsce w obu książkach (zwłaszcza u Verne'a) i by nie było jak w książce Marczyńskiego opisów walk morderczych i zabójstw, a także, by nuta patrjotyczna była mniej agresywna i nie polegała głównie na wzbudzaniu niechęci do innych narodów, tak jak to jest uczynione w „Nowej Atlantydzie".

Z. St. M.

Antoni Marczyński: Straszna noc. Bibljoteka „Dziennika Poznańskiego".

Na brzydkim papierze, brzydko, nieporządnie wydana książeczka, powieść arcysensacyjna, w której niema nic oprócz mordów, zbrodni, gwałtów, oszustw i uwiedzeń. Nie wiem, czy nawet amatorzy tego rodzaju książek w tej zasmakują, trudno mi sobie wyobrazić jak tego rodzaju książka może kogoś zająć. Jest to typowy przykład lektury może nie wprost złej, ale niezdrowej, płytkiej i bezwartościowej, tego co Francuzi nazywają „le roman feuilleton". Podobno, niestety, tego rodzaju książki mają u nas pokup i powodzenie.

Z. St. M.

Janusz Milski: Na odcinku. Trzyaktowa opowieść dramatyczna z 1920 r. Nakł. Zakładu nar. im. Ossolińskich, Lwów.

Trudno się domyśleć, jaki cel może mieć podobna sztuka, a zwłaszcza jaki cel miała tak poważna instytucja, jak Zakład Narodowy im. Ossolińskich wydając ją. Że autor miał zamiary szlachetne, że chciał przedstawić patryjotyzm, bohaterstwo, zwycięską walkę obowiązku z uczuciem i t. d. to nie ulega wątpliwości. Ale myśli te i uczucia ubrał niepotrzebnie w trudną formę dramatyczną, do której talent jego stanowczo nie dorósł. Rezultatem jest książka najzupełniej chybiona, mdła i naiwna, która nikogo nietylko nie przekona, ale nawet nie zajmie.

Z. St. M.

Józef Spillmann T. J.: Miłujcie nieprzyjaciół waszych! Nakł. „Bibljoteki religijnej" im. arc. Bilczewskiego, Lwów.

Książeczka ks. Spillmanna to powieść ludowa, popularna, mająca za tło walki białych z dzikimi mieszkańcami Nowej Zelandji,

Maorysami, a za motto chrześcijańskie przebaczenie nieprzyjaciołom i ewangeliczne odpłacanie dobrem za złe. Akcja jest urozmaicona, pełna dziwnych przygód i awantur. Dobrzy są nagrodzeni, źli się nawracają. Myślę, że i dzieci będą czytać tę powiastkę z zajęciem.

Z. St. M.

Ks. Jan Ślósarczyk: August Czartoryski Książę-salezjanin. Warszawa, nakł. Inspektoratu Ks. Salezjanów, 1932 (na okładce 1931), str. 367 i 8 ndl.

Książka napisana bez pretensji na literackość, stylem prostym, czasem naiwnym i zbyt namaszczonym, w duchu tradycyjnych „Żywotów".

Ale daje nam postać młodego polskiego arystokraty, poświęcającego się Bogu w Zgromadzeniu Ks. Salezjanów i tam przedwcześnie kończącego swój żywot w opinji świątobliwości. August Czartoryski, wnuk wielkiego emigranta Adama Czartoryskiego, pierworodny syn założyciela Muzeum im. Czartoryskich w Krakowie, a po matce wnuk królowej hiszpańskiej Marji Krystyny, ordynat na Sieniawie, już od wczesnego dzieciństwa zdradzał przyszłe powołanie. Słabowity, sensat, unika świata, chociaż bardzo wiele podróżuje po nim w poszukiwaniu zdrowia lub dla zaspokojenia swej pobożności. Biograf świadczy o nim, że kocha przyrodę i zachwyca się nią, jakkolwiek te swoje zachwyty wyraża w sposób nader umiarkowany i prosty, w rodzaju tego doniesienia: „wyspa Capri bardzo mi się podobała". Jest to natura skupiona przedewszystkiem w sobie i Bogu oddana. Pociągnięty urokiem świętości Don Bosco, po pewnych wahaniach, decyduje się, na wstąpienie do rozwijającego się świetnie we Włoszech Towarzystwa Salezjańskiego, mimo odradzań rodziny, zwłaszcza księcia-ojca, który jeszcze po ślubach zakonnych usiłuje wyrwać swego syna z zakonu, by, jak mu się zdawało, ratować skuteczniej jego zdrowie. August przezwycięża wszystkie te pokusy i trudności i pozostaje wierny swemu powołaniu. Kapłaństwem cieszy się zaledwie rok jeden; umiera mając lat 35. Pozostawił wszakże po sobie woń cichych lecz niepospolitych cnót zakonnych, a ofiarnością materjalną dopomógł do kształcenia się u Salezjanów wielu chłopcom z Polski, z pomiędzy których wyjdą i ci, co przeszczepią na polski grunt zbożne dzieło Świętego Wychowawcy biednej młodzieży z Turynu. Pośrednio więc można księdzu Augustowi przypisywać w pewnej mierze zasługę wprowadzenia Salezjanów do ojczystego kraju, w którym jemu samemu nie było sądzonem pracować.

Życiorys księcia Augusta Czartoryskiego rozsnuty jest na tle działalności obywatelskiej i politycznej jego rodziny, jak również historji początków Zgromadzenia Ks. Salezjanów, które

obecnie w życiu religijnem Polski tak wybitną odgrywa rolę i które dało ojczyźnie drugiego po jej odrodzeniu Prymasa.

Książkę zdobią liczne ilustracje.

Ks. J. Urban.

Illemo Camelli: Od socjalizmu do kapłaństwa. Z VI wyd. włoskiego przełożyła Krystyna Szczucka, Lwów, Tow. „Bibljoteka religijna im. arcyb. Bilczewskiego", 1931, str. VIII+216.

Książka niniejsza należy do rodzaju „Wyznań", zapoczątkowanego niegdyś przez św. Augustyna. Kreśli dzieje duszy samego autora, jednego z przywódców włoskiego socjalizmu, którego łaska Boża sprowadziła zpowrotem do Kościoła i wwiodła na stopnie ołtarza. Mamy tu do czynienia z naturą niezmiernie subtelną i czułą. Camelli bowiem jest artystą-malarzem, potem publicystą, redaktorem jednego z pism swojej partji. Do socjalizmu pociągnęło go to, co w nim jest dodatniego: zajęcie się dolą upośledzonych klas, oddaje mu się też z całem poświęceniem i ofiarą ze swej wolności, w miarę wszakże nabywanych doświadczeń przekonywa się o kruchości podstaw ideowych socjalizmu i o nieziszczalności jego zamierzeń. Rozczarowywa się wreszcie co do wartości ludzi, z którymi pracuje i dla których pracuje. Reszty dokonywa Bóg, odrywając przez zesłaną chorobę jego duszę od ziemi, od miłości ziemskich i spełnia się modlitwa nieżyjącej matki, która nad nim z za grobu czuwała. Od socjalizmu odchodzi z rozdartem sercem, ale w poczuciu obowiązku; unosi z niego życzliwe wspomnienia o wielu towarzyszach pracy; jeszcze jako ksiądz zjawia się wśród nich, witany życzliwie.

Mamy więc wnikliwą autoanalizę duszy autora, ujętą w szatę artystyczną. P. Krystyna Szczucka okazała się doskonałą jej tłumaczką. Ks. A. Bogdanowicz poprzedził książkę wstępem, wprowadzającym czytelnika w teologiczne zagadnienie działania łaski Bożej w duszy. Wszystko razem sprawia, że otrzymujemy książkę godną jak najszerszego rozpowszechnienia wśród polskiej inteligencji.

Ks. J. Urban.

Ks. Jan Piwowarczyk: Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad. Kraków 1932, Skład główny w Księgarni Krakowskiej. Str. 160.

Ks. Dr. Antoni Roszkowski: Katolicyzm społeczny. Poznań 1932, Skład gł. w Księgarni św. Wojciecha, Str. 206.

1. Tytuł książki ks. red. Piwowarczyka może wprowadzić czytelnika w błąd. Nie chodzi bowiem autorowi o ten konkretny kryzys bezrobocia, jaki przeżywamy; mówiłby on o „kryzysie" także w latach dużo lepszej gospodarczej konjunktury. Ks. Piwowarczyk poddaje krytyce ustrój społeczno-gospodarczy, oparty

na przewadze kapitalizmu. Rozpatruje go w świetle encykliki Leona XIII *Rerum novarum*, a zwłaszcza Piusa XI *Qudragesimo anno*. Omawia głównie dwa postulaty, których spełnienie mogłoby ustrój obecny gruntownie naprawić: postulat uwłaszczenia mas i postulat ustroju korporacyjnego. Dobrze zrobił autor, szkicując historję koncepcji ustroju korporacyjnego, by okazać, że ustrój taki nie jest dopiero wynalazkiem faszyzmu. Nie dość skrystalizowanem wydaje się zdanie, jakie autor ma o stosunku Kościoła do kolektywizmu: czy Kościół wyklucza zasadniczo kolektywizm państwowy, czy w pewnej mierze go dopuszcza i w jakiej? Zasługiwałaby na głębsze ujęcie i roztrząśnienie kwestja „uwłaszczenia mas". Za uwłaszczeniem przemawia naturalne prawo każdego człowieka do posiadania własności — tak, ale czy możliwem jest jakie powszechniejsze „uwłaszczenie" nie posiadających bez jednoczesnego „wywłaszczenia kogoś", t. j. bez nadwerężenia prawa własności? Odszkodowanie? A kto je pokryje, czy ci, którzy nic nie posiadają? I czy przy wypłaceniu odszkodowania tym, których się będzie „wywłaszczało", rozłoży się majątek ogólny równiej między ludzi, niż jest obecnie? Rozwiązanie tych trudności chyba byłoby bardzo na miejscu, kiedy się mówi o potrzebie przebudowy ustroju gospodarczego z zachowaniem podstawy własności prywatnej. Wolno chyba mieć nadzieję, że Szan. Autor, poświęci swą uwagę zbadaniu tego problemu.

2. Książka Ks. Dr. Roszkowskiego jest zwięzłą historją ruchu społeczno-katolickiego w 19 i 20 stuleciu, albo jak sam autor chce, „zarysem rozwoju poglądów społeczno-katolickich. Rzecz doprowadzona do encykliki *Quadragesimo anno*; jeden rozdział został specjalnie poświęcony „katolicyzmowi społecznemu w Polsce". Książka więc niewątpliwie może być pożyteczna dla tych, dla których dzieła obszerniejsze nie są z jakiegokolwiek powodu dostępne. Szkoda jednak, że streszczenia poglądów rozmaitych autorów nie są równe, że niekiedy brane są z drugiej ręki, że w staraniu o zwięzłość nie zawsze są jasne. Szkodzi książce także niedbała korekta zwłaszcza w wyrazach z obcych języków i w nazwiskach, niekiedy źle przepisanych albo i poprzekręcanych.

Ks. J. U.

Raoul Plus S. J.: Face au Mariage. Pour l'âge des fiançailles. Paris 1931. Editions Spes. Str. 128.

Książka powyższa, przeznaczona dla dorosłej młodzieży, męskiej i żeńskiej, pragnie jej dać pewne wprowadzenie w życie, zwłaszcza w związku z przygotowaniem do małżeństwa. W oparciu o Encyklikę *Casti connubii,* systematycznie i jasno — a autor posiada szczególniejszy dar w tym względzie — przedstawia jej znaczenie miłości i małżeństwa, tłumaczy jego zadania, warunki

niezbędne do ich spełnienia, potrzebę i sposób przygotowania się. Wskazówki te, szczególnie dotyczące wyboru przyszłego małżonka i wzajemnego stosunku w okresie narzeczeństwa, są praktyczne, trzeźwe, wolne od przesady, starają się rzecz ująć w duchu podniosłym, uwzględnić przyrodzoną i nadprzyrodzoną jej stronę. Liczne przykłady i cytaty stanowią pożądaną ilustrację i zarazem miłe urozmaicenie książki.

Ks. St. Podoleński.

Z wydawnictw Wojskowego Instytutu Naukowo-Wyd., Warszawa:
Olgierd Żukowski: Współczesne okręty wojenne. Str. VI+101 z ilustr. (2.90 zł.).
Marjusz Zaruski: Nawigacja. Krótki podręcznik do użytku na jachtach morskich. Str. VIII+128 ilustr. (5·—zł.).
Z. Wojnicz-Sianożęcki: Zbiorowa obrona przeciwgazowa większych skupień ludzkich. Str. IV+110 (1·80 zł.).
Władysław Nekrasz: Harcerze w bojach. Część II. Str. VIII+504 z ilustr. (obie części 14·50 zł.)

W związku z rosnącem zainteresowanych naszego społeczeństwa sprawami morza i marynarki, pojawiają się coraz nowe prace z tego działu. Do najnowszych należy zwięzła i pouczająca broszura porucznika marynarki, O. Żukowskiego o współczesnych okrętach wojennych. Po wstępnem omówieniu zadania ich w czasie wojny i pokoju, oraz krótkim szkicu historycznym, przedstawia autor obszerniej budowę tych okrętów, ich podział, przeznaczenie i uzbrojenie. Praca jego nadaje się do rozpowszechnienia wśród młodzieży i najszerszych sfer, zapozna ich z tym działem techniki i z fachowem słownictwem polskiem. Liczne ilustracje i gustowna, barwna okładka uzupełniają całość.

Książka gen. M. Zaruskiego o nawigacji — w dużym formacie i gustownie wydana — zawiera w rzeczywistości więcej, niż zapowiada sam jej tytuł. Podaje bowiem całokształt wiedzy nautycznej, wystarczający zupełnie dla polskiego jachtsmana, mającego narazie przed sobą otwarte dość ograniczone pole żeglugi. W trzech częściach ujął autor bogaty materjał: w pierwszej podaje wyjaśnienia wstępne i opisuje przyrządy i przybory nawigacyjne, w drugiej sposoby wyznaczania drogi okrętu, w trzeciej międzynarodowe przepisy o żegludze i sygnalizacji; nadto podaje zbiór komend i rozkazów, oraz wykaz literatury o morzu. Dwie tablice barwne i 31 ilustracyj ułatwia zrozumienie rzeczy.

Ciekawa i pożyteczna jest broszura podpułk. inż. Z. Wojnicza-Sianożęckiego o zbiorowej obronie przeciwgazowej większych skupień ludzkich. Autor wyjaśnia naprzód różnicę pomiędzy obroną indywidualną a zbiorową, uzasadnia potrzebę tej ostatniej, a potem zestawia szczegółowo jej technikę, przyczem najwięcej miejsca poświęca kwestji schronów. Wobec aktualnej zawsze groźby używania gazów trujących broszura powyższa, na-

pisana gruntownie z uwzględnieniem ostatnich wynalazków, powinna się znaleźć w ręku tych czynników i organizacyj, które są powołane lub mogą wziąść wtedy czynny udział w obronie.

Po przeszło rocznej przerwie ukazała się druga, bogato ilustrowana, część obszernej pracy inż. W. Nekrasza, zawierająca dalszy ciąg historji bohaterskich czynów młodzieży harcerskiej w walce o niepodległość Polski. Obejmuje ona głównie lata 1919-1921, jakkolwiek niektóre rozdziały, jak o harcerkach i ruchu na Śląsku Cieszyńskim, obejmują okres czasu od r. 1914. Na końcu znajdują się odznaczenia oraz Złota Księga harcerzy i harcerek, poległych za Ojczyznę; osobny alfabetyczny skorowidz ułatwia zorjentowanie się w szczegółach i nazwiskach. Autorowi należy się prawdziwa wdzięczność za przysługę, oddaną tej pięknej organizacji. Życzyć sobie należy, by jego praca znalazła się w rękach jak największej liczby młodzieży, zachęciła ją do wstępowania w szeregi harcerstwa i zapaliła do ofiarnej miłości Ojczyzny.

M.

H. G. Wells.: The country of the blind and other stories. Lwów-Warszawa 1932, Książnica-Atlas. Str. 107+48.

Chcąc ułatwić młodzieży i szerszym sferom nabycie znajomości języka angielskiego, rozpoczęła znana księgarnia Książnica-Atlas wydawanie nowej „Bibljoteczki angielskiej", przystosowanej do wymogów szkolnych na sposób analogicznych wydawnictw zagranicznych. Pierwszy jej tomik obejmuje cztery zajmujące nowele H. G. Wells'a: The country of the blind, The stolen bacillus, The flowering of the strange orchid, The door in the wall. Wstęp i zwięzłe informacje o autorze opracował prof. Rom. Dyboski, słowniczek zaś i komentarz, ułożone metodą kursoryczną, Dr. A. Kreusler i S. Stamm.

S.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem różnych:

Stanisław Gołąb: Polskie prawo małżeńskie w kodyfikacji. Warszawa, wyd. „Bibljoteka prawnicza", 1933. str. 135.

Marjan Zdziechowski: O honor w polityce. Odb. z *Herolda* Warszawa 1932, str. 7.

François Mauriac: Losy. Przeł. St. Kołaczkowski. Wyd. „Gutenberg" Fergo i Ska, Kraków 1932, str. 199.

O. Marjan Pirożyński: Pius XI papież robotników. Księg. św. Wojciccha 1932, str. 32.

Jerzy Liebert: Kołysanka jodłowa. Poezje. Wyd. J. Mortkowicza, Warszawa 1932, str. 64.

Franc Xav. Kortleitner: Cananaeorum auctoritas num ad religionem Izraelitarum aliqnid pertinuerit. Oeniponte 1932, Typis et sump. Felic. Rauch. Str. 90.

G. Dandoy S. I.: L'Ortologie du Vedanta. Paris, Desclée de Brouwer et Cie. 186.

Textus et documenta in usum exercitationum et praelectionum academicarum. Series Theologica I. De Spiritu Sancto — anima corporis mystyci, testimonia selecta e patribus graecis, collegit S. Tromp S. I.; II. Divi Augustini de Coneptione et Gratia. ed. C. Boger S. I.; III. De obligatione catholicorum perseverandi infile, documenta Concilii Vaticani, coll. H. Lennesz S. I. — Edidit Pontifica Universita Gregoriana, Roma 1932.

Joannes M. Hanssens S. I.: Institutiones liturgicae de ritibus orientalibus. Wyd. Papieskiego Uniwers-Gregor. Rzym, Tom II str. XL+514, Tom III, str. XII+646, Appendix str. 120.

Ks. Dr. Józef Umiński: Opinje o cnotach, świątobliwości i zasługach Stanisława Hozjusza. Lwów, nakł. „Funduszu Hozjańskiego", 1932, str. VIII+240.

Ks. Gracjan Tretkowski: Krótkie Homilje na niedziele całego roku. Pelplin, nakł. „Pielgrzyma", str. 106+IV.

Ks. Piotr Sosnowski; Królowa Korony Polskiej. Odczyty dla towarzystw marjańskich, Pelplin. nakł. „Pielgrzyma", str. 96.

Jan Dihm: Trzeci Maj. Kraków Wydawn. Literacko-Naukowe 1932, str. 56.

Sprawozdanie z czynności Arcybractwa Miłosierdzia i Banku Pobożnego w Krakowie za r. 1932. Str. 32.

Jerzy Kossowski: Biały folwark. Powieść. Kraków, Gebethner i Wolff. Str. 242.

Historia Residentiae et templi Societatis Iesu Piekarii. Fontes I, Katowice 1932, Tow. Przyjaciół Nauk na Śląsku. Str. VIII+53. (K. Miarka, Mikołów).

Zuzanna Rabska: W gospodzie pod bukami. Nowele. Poznań 1932. Biblj. „Dziennika Poznańskiego". Str. 168.

Olgierd Żukowski: Współczesne okręty wojenne. Warszawa 1932, Wojskowy Instytut Nauk. Wyd. Str. VI+101, z ilustr.

Ks. Stefan Biskupski: O nowe prawo małżeńskie w Polsce. Nakładem Djecezjalnego Instytutu Akcji Kat. Włocławek 1932 str. 112.

Rocznik Gdański. Organ Tow. Przyjaciół nauki i sztuki w Gdańsku. Tom IV i V za lata 1930 i 1931. Str. 331.

Ukraińska Bibljoteka Cerkownoho Zjednańnia. Wyd. protojereja P. Tabińskoho, Kremianeć na Wołyni. 1 i 2.

Ks. Franciszek Bączkowicz: Prawo kanoniczne. Tom I, wyd. 2. Przejrzał i uzupełnił ks. J. Baron C. M. Kraków 1932, nakł. Księży Misjonarzy. Str. XII+589.

Ks. Alojzy Bukowski: Najbardziej aktualny dogmat eschatologiczny. Śmierć kresem pielgrzymstwa człowieka. Odb. z *Areneum Kapł.* Włocławek 1932, str. 32.

Ks. Marjan Pirożyński: O powołaniu Kapłańskiem. Księgarnia św. Wojciecha, Poznań 1932, str. 32.

Stanislaus Pilch: De Polonorum Aeneide. Odb. z *Eos*, Lwów 1931, str. 20 (po łacinie).

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Niemieckie wybory a sprawy religji. — Śmierć ś. p. biskupa Łozińskiego

Przebieg tegorocznych wyborów politycznych w Niemczech, zarówno na prezydenta Rzeszy, jak i posłów do kilku sejmów krajowych, śledził świat cały z zapartym oddechem. Zdawano sobie sprawę z tego, że chodzi na ten raz nie wyłącznie o wewnętrzną sprawę niemiecką, ale o najbliższe losy powersalskiego politycznego ustroju Europy. W oczach świata wyrasta w Niemczech czynnik polityczny o niesłychanej dynamice a zuchwałych zamiarach — prowadzone przez Adolfa Hitlera stronnictwo narodowych socjalistów. „Hitlerowcy" rzucili radykalne hasła. W dziedzinie politycznej dążą oni do obalenia konstytucji wejmarskiej i demokratycznego ustroju Niemiec na rzecz dyktatury własnej partji na wzór faszyzmu włoskiego; rozdmuchują najstraszniejszy nacjonalizm i nienawiść plemienną, głosząc teorję wyższości rasy germańskiej nad wszelkiemi innemi; w dziedzinie gospodarczo-społecznej żądają upaństwowienia banków i wielu warsztatów wytwórczych a daleko sięgającej ingerencji państwa w całem życiu gospodarczem; w polityce zagranicznej zapowiadają przekreślenie traktatów, odmowę spłaty reparacyj wojennych i odebranie utraconych prowincyj. Jak widzimy, jest to program rozległy, grożący przewrotem wewnętrznym i widmem nowej wojny bodaj z całym światem.

Nie to byłoby groźnem, że taki program zrodził się w pobitych i kryzysem gospodarczym dotkniętych Niemczech; groźnem staje się to, że ten awanturniczy program znajduje coraz szerszy posłuch, ogarnia coraz większe masy Niemców. Hitler dąży do uzyskania dla niego absolutnej większości

i coraz bardziej a szybko do niej się zbliża. Czy w razie osiągnięcia jej stronnictwo Hitlera wstąpiłoby na drogę rozwagi i polityki trzeźwiejszej, jak to niektórzy obiecują, czy też wznieciłoby pożar wojny — oto tajemnica Bogu tylko wiadoma. Nie ulega wszakże wątpliwości, że wzrastające powodzenie swoje hitlerowcy zawdzięczają właśnie swoim radykalnym i awanturniczym hasłom, co musi złe stawiać horoskopy na przyszłość. Faktem jest także, że niektóre inne stronnictwa, by utrzymać resztki swej popularności, wchodzą częściowo same na drogę daleko idących zapowiedzi, naprz. o rewizji traktatów pokojowych. Wszystko więc razem świadczy, że Niemcy dzisiejsze bynajmniej nie mogą być uważane za gwaranta pokoju na podstawie istniejących umów międzynarodowych i istniejącego *status quo* politycznego. Czy przemawia tu poczucie realnej siły, czy jest to przejaw jakiegoś masowego samobójczego szaleństwa? Jest to pytanie, po sprawie bolszewizmu, największej dla świata wagi.

Odbyte świeżo wybory nie dały jeszcze narodowym socjalistom upragnionej absolutnej większości! Nie został Hitler prezydentem Rzeszy, ale symptomatycznem jest, że aby do tego nie dopuścić, potrzeba było skupić się przy dawnym cesarskim feldmarszałku, pasując go na obrońcę republiki i demokracji; tylko ze strachu przed Hitlerem głosowało na Hindenburga katolickie Centrum, które przed czterema laty zwalczało jego kandydaturę. Inaczej mówiąc, Centrum samo przesunęło się także znacznie na prawo. Przy wyborach do kilku sejmów krajowych, między temi i do pruskiego, narodowi socjaliści także nigdzie nie uzyskali większości absolutnej, któraby im pozwoliła legalnie uchwycić władzę bez sojuszów z innemi partjami; w każdym razie wybory te wysunęły ich w rzędzie stronnictw na pierwsze miejsce: w Prusach zdobyli 162 mandaty na 421 (dotąd mieli w Landtagu zaledwie 7 mandatów), w Bawarji 45 (poprzednio 9), w Würtembergu 23 (dotąd mieli 1), w Anhalt 15 na 36 mandatów. W sejmie pruskim, którego skład wpływa pośrednio na politykę całej Rzeszy, stało się niemożliwem utworzenie większości z innych stronnictw przeciw hitlerowcom. Powstała taka sytuacja, że łatwo będzie każdy rząd obalić, a trudno będzie utworzyć inny, oparty na stałej większości, a któryby stał na platformie konstytucji wejmarskiej. Przyszłość Prus, a z niemi i Rzeszy, przedstawia się wobec tego nader zagadkowo.

O wyborach niemieckich piszemy w „Sprawach Kościoła" z dwóch powodów. Po pierwsze, bo w ich świetle można ocenić obecny stan niemieckiego katolicyzmu; po drugie z powodu stosunku najsilniejszego stronnictwa

niemieckiego, narodowych socjalistów, do religji w ogólności.

Dzienniki centrowe wynik wyborów do sejmów krajowych oceniają jako sukces katolickiego Centrum. „Glänzender Erfolg des Zentrums", „Nicht ohne Zentrum" — takie tytuły widnieją ponad artykułami berlińskiej *Germanii*. „Sukces" polega na tem, że Centrum nigdzie nie utraciło nic ze stanu swego posiadania, nie oddało żadnego mandatu hitlerowcom. Owszem w liczbie oddanych głosów, w porównaniu z wyborami do parlamentu Rzeszy z r. 1930, wykazało nawet pewne zdobycze. I to do sukcesu należy, że bez udziału Centrum nie będzie możliwem utworzenie żadnej parlamentarnej większości. Trzeba jednak przyznać, że przynajmniej w Prusach znaczenie Centrum, jako czynnika politycznego, przez ostatnie wybory zostało pomniejszone.

Pomniejszenie to wynikło nie z porażki Centrum, ale z porażki dotychczasowych jego sojuszników w większości, socjalnych demokratów, na korzyść hitlerowców. Dotąd od Centrum zależało tworzenie koalicji już to centrowo-prawicowej, już to, jak faktycznie było, większości centrowo-lewicowej. Obecnie możliwość takiego wyboru znikła. Ponieważ przy wszelkiej kombinacji trzeba wyrzucić poza nawias komunistów, przeto utworzenie większości z Centrum i stojących na lewo od niego grup jest wykluczone. Pozostaje zatem tylko kombinacja centrowo-prawicowa. Bez Centrum hitlerowcy nawet wespół z niemiecko-narodowymi Hugenberga większości nie stanowią, ale Centrum nie ma wyboru i tylko do kombinacji prawicowej może się przyłączyć, jeśli chce ratować pozory parlamentarnego ustroju. Ta przymusowość znacznie osłabia pozycję Centrum, i zapewne hitlerowcy ją wyzyskają. Jeżeli nawet dojdzie do jakiegoś kompromisu, nie obejdzie się bez ciężkich ofiar. Co zaś Centrum ze swojego programu będzie musiało poświęcić dla ratowania reszty? Nad tem chyba poważnie zatroskać się muszą przywódcy stronnictwa. Czy utrzymają swoją dotychczasową politykę przynajmniej w sprawach religijnych i kościelnych?

Wybory pruskie odsłaniają nam istotne siły katolicyzmu w tym kraju. Według statystyki wyznaniowej katolicy stanowią 31% ogółu ludności Prus. Centrum, jeśli nie jest zasadniczo partją katolicką, to faktycznie jest partją katolików. Ale wynik wyborów (nie dopiero tych, ale i dawniejszych) dowodzi, że nie wszyscy katolicy stoją za Centrum. Stronnictwo zdobyło 68 mandatów, co stanowi niespełna szóstą część ogólnej liczby (421) wybranych posłów, a nie trzecią, jakby z ilości katolików należało się spodziewać. Znaczy to,

że połowa katolików pruskich oddała swoje głosy innym stronnictwom. Którym? Może być tu mowa o trzech tylko: hitlerowcach, socjalistach i komunistach, najsilniejszych obok Centrum. Czy dobrze to świadczy o katolickiem uświadomieniu tej drugiej połowy katolików? Prawda, że połowa pierwsza, stojąca przy sztandarze centrowym, karna, posłuszna wezwaniu episkopatu, stale wierna swym przywódcom, stanowi najpoważniejszy czynnik polityczny, czynnik trzeźwej rozwagi i względnego umiarkowania. Zapewne odegra on jeszcze dobroczynną rolę czynnika hamującego rozmaite radykalizmy, ale reszta katolików? Czy nie byłby czas do rewizji zbyt pochlebnych sądów o zwartości i karności niemieckiego katolicyzmu, jako całości?

Ci, którzy „idą" w Niemczech, to są narodowi socjaliści. Widzi się w nich żywioł, który może spowodować polityczną katastrofę. Mniej się mówi o tem, czem ich zwycięstwo grozi religji chrześcijańskiej, w szczególności katolicyzmowi. Jest to stronnictwo, które przynosi ze sobą także pewną ideologję religijną. Jeżeli komunizm głosi zagładę wszelkiej religji, jeżeli socjalna demokracja w zasadzie jest także bezbożna, chociaż w praktyce musiała trzymać się w granicach tolerancji względem religji, to hitleryzm usiłuje stworzyć własną religję, religję rasowo-niemiecką, która może zatrzyma nazwę chrześcijaństwa (nie wszyscy ją chcą zatrzymać), ale napełni ją zupełnie inną treścią, z chrześcijaństwem nic wspólnego nie mającą. Czci ona odrębnego germańskiego boga, boga pychy rasowej, nienawiści do obcych, domagającego się eksterminacji ich. Wskrzesza nawet kult przedchrześcijańskiego Wodana. Hitlerowskiemu poglądowi na świat są wstrętne idee powszechnego braterstwa ludów, nienawistne cnoty, które głosi katechizm chrześcijański. Hitleryzm znajduje zwolenników przedewszystkiem wśród protestantów, co dowodzi, że protestantyzm, jako organizacja kościelna, okazał się niezdolnym do oparcia się temu nowożytnemu pogaństwu i do sprawowania straży nad skarbem chrześcijańskiej prawdy. Tamę przeciwko zalewowi hitlerowskiego poganizmu stanowi jedynie Kościół katolicki i dlatego episkopat niemiecki niejednokrotnie stwierdzał publicznie, że żaden katolik nie może zapisać się do stronnictwa narodowych socjalistów. Połowa katolików rozumie ten zakaz, ale też przeciwko tej połowie, przeciwko Kościołowi i biskupom, zwraca się już dzisiaj hitleryzm z zapowiedzią nieubłaganej walki. Książęta Kościoła otrzymują listy z pogróżkami, jednemu z nich przesłano siekierę, jako symbol tego, co ich czeka. Jako pierwsza ofiara ich pogańskiego fanatyzmu, ma paść monachijski kardynał Faulhaber, duchowny wódz niemieckiego katolicyzmu. Żydzi, masoni i kato-

licy — oto trójca wrogów, których hitleryzm jednakowo postanawia zwalczać i unicestwić.[1])

Przyjście hitlerowców do władzy grozi nietylko pokojowi światowemu, ale także zapowiada nową „walkę kulturną", tem zaciętszą od Kulturkampfu bismarckowskiego, że wracać się będzie ona nietylko przeciwko zewnętrznej organizacji Kościoła, ale przeciwko temu, co w chrześcijaństwie jest najistotniejsze, przeciwko jego treści. A trzeba pamiętać, że w walce tej znajdą hitlerowcy sprzymierzeńców w obozach socjalistycznym i komunistycznym, które na innych frontach wrogie socjalizmowi narodowemu, na tym odcinku łatwo pogodzą się z nim. Przed katolicyzmem niemieckim, tą jego połową uświadomioną i zorganizowaną, staje wielkie zadanie: odparcia nowego pogaństwa prawdą i świętością Chrystusową. Czy już istnieje nowy Windthorst, który niemieckich katolików powiedzie do zwycięstwa?

Kościół katolicki w Polsce poniósł niepowetowaną stratę przez śmierć ś. p. biskupa pińskiego, ks. Zygmunta Łozińskiego, zmarłego 26 marca r. b.

Nie będziemy kreślić tutaj opisu życia tej niespospolitej postaci, ani układać zwykłego pośmiertnego panegiryku. Jedno i drugie zrobiła już niemal cała prasa polska, hołd cnotom Zmarłego złożyły najpierw tłumy ludności Pińska bez różnicy wyznania, najwymowniej zaś przemówił On sam w swoim „głosie z za grobu", tchnącym głęboką pokorą chrześcijańską i miłością Boga i dusz ludzkich. Chcielibyśmy tutaj jedynie uwypuklić pewien rys Jego duszy, który ustawicznie przejawiał się w kapłańskiej i biskupiej działalności Zmarłego, a niejednokrotnie dawał powód do mylnych i krzywdzących sądów, budził pewne animozje i namiętności.

Tym zasadniczym rysem duszy Zmarłego było patrzenie na wszystko i ocenianie wszystkiego ze stanowiska wiary, wiary wypowiadającej się konkretnie w tem, co św. Ignacy Loyola nazwał *sentire cum Ecclesia.* Gdzie wchodziła w grę jakaś zasada katolicka, gdzie w czemś wypowiedziała się Stolica Apostolska, gdzie czegoś wymagało zbawienie dusz, tam u Zmarłego nie było miejsca na wahanie się, na połowiczność, na kompromis, na wzgląd ludzki.

Na tę drogę katolickiej konsekwencji wstąpił Zygmunt

---

[1]) Kto ciekaw dowodów, że hitleryzm istotnie jest tak wrogo usposobiony do chrześcijaństwa i katolicyzmu, tego odsyłamy do zestawienia cytatów z literatury narodowych socjalistów w „Berichte zur Kultur- und Zeitgeschichte", wydawanych w Wiedniu przez Hovorkę, N 108—111, serję cytatów „Götter und Germanen". Dziwna rzecz, że tę stronę hitleryzmu zatuszowują u nas niektórzy „katolicy", a chwalą hitleryzm za jego walkę z Żydami i masonami.

Łoziński we wczesnej młodości, kiedy jako uczeń gimnazjum w Petersburgu odmówił chodzenia do prawosławnej cerkwi w dni galówek dworskich, narażając się na wydalenie ze szkoły. Jego stanowczość w posłuszeństwie wskazówkom Stolicy Świętej zaimponowała jednak władzom rosyjskim i przyczyniła się do zaniechania stosowania przez szkołę przymusu wobec uczniów katolików. Później, jako kapłan, niejednokrotnie będzie wypowiadał on swoje *non possum*, i powtarzał apostolskie: „trzeba słuchać raczej Boga niż ludzi". Akta policyjne i departamentu wyznań w Petersburgu dostarczą kiedyś historykowi bogatego pod tym względem materjału. Jeszcze później, jako biskup miński, Zmarły wytrwał na stanowisku pasterza, dopóki go z niego nie usunęła przemoc brutalna. Wynoszono pod niebiosa za to Jego patrjotyzm polski, pierś jego została ozdobiona najwyższą odznaką Orła Białego. Rzeczywiście patrjotą-polakiem był On niewątpliwie, wychowanym w tej samej tradycyjnej atmosferze nowogródzkiego ziemiaństwa, która przedtem wydała Mickiewicza i filomatów. Ale największą siłę, by spełnić swój obowiązek względem Polski, czerpał nie w dyrektywach politycznych grup, które w danej chwili występują w roli kaznodziejów patrjotyzmu, lecz w wierze, w prawie Bożem, w duchu katolickiego Kościoła. Tutaj też znalazł światło, by samemu wystąpić w roli nauczyciela patrjotyzmu, — Jego list pasterski „O miłości ojczyzny", niestety za mało znany po za diecezją, winienby być przyjęty jako podręcznik patrjotyzmu, pojętego w duchu iście chrześcijańskim.

Owe katolickie zasadniczość i konsekwencja, z jakiemi wypowiadał się zmarły Biskup i jakie w miarę możności wcielał w życie, wywoływały nieraz dezorjentację u ludzi, myślących jedynie kategorjami politycznemi i pytających zawsze i wszędzie: z kim on trzyma, z nami, czy z tamtymi? Trafiało się, że krytykowali go ci, którzy przedtem mieli dlań tylko słowa uwielbienia, dąsali się nań inni, którym wypowiedział trochę słów prawdy i pasterskiej przestrogi. Do takich krytyk i dąsów dochodziło, naprzykład, z powodu stanowiska Biskupa w sprawie białoruskiej, lub z powodu jego głośnego listu do oficerów. Trudno było ludziom zrozumieć tę prostą rzecz, że Biskup nie zmieniał się politycznie, nie trzymał raz z tymi, drugi raz z innymi, ale stał wiernie i wytrwale na tem stanowisku, jakie uważał za wskazane przez prawo Boże i sumienie pasterskie. Mamy nadzieję, że nad trumną świątobliwego Biskupa-ascety zrozumieli to wszyscy. Przecież wszyscy oddali hołd Jego prawości.

W szczególności chcemy zaznaczyć stosunek Biskupa

Łozińskiego do tak zw. akcji unijnej na Kresach. Jego pasterskie serce obejmowało wszystkich mieszkańców diecezji bez względu na ich wyznanie. Wiem, że bolał nad tem, iż w Polsce nic się nie czyni dla nawrócenia Żydów. Tem bliżsi byli mu prawosławni, których pragnął widzieć zjednoczonymi z Stolicą Piotrową i nad którymi już dawniej próbował pracować na obszarach Rosji. Stąd akcja unijna, zapoczątkowana na naszych wschodnich Kresach według wskazówek Stolicy Świętej, znalazła w nim gorącego opiekuna i protektora, pomimo że posiada tylu przeciwników. Pod kierownictwem ks. Biskupa Łozińskiego dzieło to w jego diecezji coraz piękniej rozwijało się, a sam Pińsk zgromadzał kilkakrotnie pracowników na tem polu i sympatyków unji na tak zwane konferencje unijne. Na kilka dni przed chorobą, która miała złożyć go do grobu, pisał Zmarły do niżej podpisanego, że zamierza ogłosić list pasterski, poświęcony odparciu zarzutów, z jakiemi w ostatnich czasach wystąpiła przeciwko akcji unijnej prasa polska i inne czynniki. Nie było mu danem uskutecznić ten zamiar, w każdym razie jego uprzednie czyny i słowa pozostaną drogowskazem dla tych, co idą po tej, tak u nas ciernistej, drodze.

Ks. Jan Urban T. J.

Przegląd współczesnej poezji rumuńskiej.

Niniejszy szkic umieszczamy w związku z świętem narodowem Rumunów, przypadającem na 10 maja, dając tym sposobem wyraz uczuciom dla zaprzyjaźnionego z Polską narodu. *Redakcja.*

Duchowy rozwój narodu rumuńskiego w dobie obecnej zwraca się przedewszystkiem w stronę jak największego i najszerszego usamodzielnienia. Zapoczątkował go przed około 20 laty dzisiejszy premjer Rumunji, prof. Mikołaj Jorga, którego dzieło w chwili obecnej jest nadal promieniejącym ośrodkiem współczesnego życia kulturalnego narodu rumuńskiego. Jorga był jednym z tych pierwszych, których głównem pragnieniem było własne, zdecydowane i niezależne stanowisko Rumunji w świecie kultury narodów. Ideę tę starali się wcielić w czyn swą pracą lirycy, zgrupowani obok czasopisma *Siewca*. Powstawały coraz to silniejsze roszczenia, z których niejedno zgasnąć musiało, zduszone twardą ręką wojny, ale i niejedno z nich po przejściu ogniowej próby zdołało się utrwalić i ustalić w swej szlachetnej formie.

Dzisiejsza literatura rumuńska nie jest więcej zależną od wpływów zagranicy niż inne, które jednak imponują Europie udrapowanej w swą powagę czy też w swój snobizm. Lirycy, jak Arghezi i Adrian Maniu, prozaicy, jak Sadoveanu i Bucuta, zasługują na bliższe zainteresowanie się nimi.

Jak na Zachodzie, tak też i w Rumunji trudzą się nad problematem wewnętrznego rozwoju — problematyką impulsu i tworzenia — praw ograniczających lecz równocześnie w pewnym sensie rozszerzających pole twórczości, nad tem wszystkiem, co pozostając czynnikiem prawie że nierozpoznawalnym, występuje jednak zawsze jako siła i motor twórczości. Wszystkim tym poszukiwaniom towarzyszy nadal nieodstępna tradycja. I tak obok twórczości nowoczesnej kwitnie dawna, wyhodowana w złotej kulturze Bizancjum i prawosławia. Równocześnie niektóre z najcharakterystyczniejszych dzisiaj utworów rumuńskich tkwią korzeniami we wciąż urodzajnem podłożu rumuńskiej poezji ludowej, która dla obrazu cechującego ciągły rozwój literatury rumuńskiej jest wciąż istotną.

Liryka pozostaje nadal tym terenem dla ducha Rumunji, na którym uwypukla się najdosadniej uzdolnienie i zamiłowanie Rumuna do sztuki ludowej, na którym znaczy się najwyraźniej współzależność twórczości rumuńskiej z pierwiastkiem ludowym.

Dzisiejsza — stojąca między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem życia — generacja poetycka, która skutecznie potrafiła dotrzymać pola Michałowi Eminescu, kierowana intuitywnem wyczuciem potrzeb własnej ziemi, coraz to bardziej zbliża się poglądami do Europy zachodniej, nie tworząc jednak nowej szkoły poetyckiej. Te, które istniały, pozostają nadal na uboczu. Jako pierwszego warto wymienić G. Bacovia, poetę zapadłej prowincji, jesieni i upadku, piewcę smutku, łączącego się z motywami prozaicznemi i trywjalnemi, poetę, u którego rzeczywistość śmierci przenika się z jednostajną płaszczyzną snu. Bacovia powtarza się w swych wierszach nieskończoną ilość razy, jest on, podobnie jak Ehrenstein powiedział o Traklu, niepoprawny, ale w szlachetnem znaczeniu. I zupełnie słusznie porównano go z Traklem, który to, co jest uchwytne w śmierci, podniósł do prawie nieuchwytnych wyżyn. Jedynie tylko ta różnica między nimi, że podczas gdy poecie austrjackiemu udało się osiągnąć przejrzystość i czystość wierszy Helderlina, Bacovia na te wyżyny jeszcze się nie wzniósł.

Całkiem innej, zupełnie odrębnej mentalności są zbite, jakgdyby wyrzeźbione wiersze Tudora Arghezi, którego liryka i proza posiada niespotykane we współczesnej literaturze rumuńskiej napięcie i rzadką sprężystość. Niektóre z jego wierszy można śmiało postawić obok najpiękniejszych Stefana Georga i Pawła Valery. Arghezi jest jednym z największych odrodzicieli

poezji rumuńskiej ostatnich lat, jednym z tych, którzy przeciwstawili się prądom romantycznym, mimo że niektóre z jego wcześniejszych wierszy byłoby trudno podporządkować innemu kierunkowi literackiemu. Od niego wywodzi się cała młoda generacja, którą potrafił poprowadzić dzięki swej rozległej głębokiej nie encyklopedycznej wiedzy, którą niejednokrotnie i tych którzy go znają wprawia w zdumienie i podziw. Pierwiastki fantazji współdziałają u Argheziego równorzędnie z elementami rzeczywistości, z ciężkim zapachem ziemi rumuńskiej.

Obok tego znakomitego liryka stoją: Nicifor Crainic, V. Voiculescu, Adrian Maniu, Lucjan Blaga, Jon Vinea i wielu innych. Wszyscy jako silnie zarysowane indywidualności, jednakże o zupełnie różnych przekrojach.

Nicifor Crainic, kierownik czasopisma *Gandirea*, grupującego od roku 1921 najlepszych pisarzy, jest nietylko głęboko patrzącym, problematycznym essaistą lecz i lirykiem wysokiej klasy, który prostem słowem potrafi otworzyć i sięgnąć w głąb wielkiej i mało komu dostępnej tajemnicy. Tuż obok niego stoi V. Voiculescu, którego trzeźwość i wolnomyślność przeciwstawia się mistycyzmowi. „Wiersze z aniołami" V. Voiculescu postawiły go w rzędzie najpierwszych. Potrafił on z pierwotnego języka ludowego wydobyć słowa, malujące obraz fantastyczny namacalnością farby użytej przez mistrza.

Poprzez tradycyjną lirykę Vasila Alexandri i dziecięcy światopogląd Franciszka Jommesa, dochodzimy do dzieła Jana Pillata, nawiązującego przeważnie do motywów rzezalnictwa i ceramiki ludowej.

Adrian Maniu, obok Arghezi, jest może jednym z najistotniejszych liryków. W początkach swej twórczości nawskroś impresjonista (był nim już wtedy kiedy np. w Niemczech nawet się nie śniło o ekspresjonizmie), daleki od błądzeń w irracjonaliźmie i abstrakcie, ciepły jak oddech wierszy rosyjskiego poety Sergeja Jessenina, którego wpływ nie kończy się tylko na Rumunji. Podobne posłannictwo, jak Adrian Maniu, spełniają po wojnie mimo diamentralnie sprzecznych założeń, poeci nowsi, mianowicie Lucjan Blaga i Jon Vinea.

Blaga, którego pierwsze utwory były nie do pomyślenia bez wpływów Nietzschego, Momberta i chińskiego poety Li-Tai-Pe, stał się bezwątpienia jednym z wielkich wskrzesicieli i twórców dramatu rumuńskiego. Jego ekspresjonizm teatralny jest pokrewny zachodniemu.

Poezję Jon Vinea ciemną, pełną wewnętrznego rozdarcia i zmagań, porównać można do przepojonych istotną treścią człowieka muzycznych utworów Beethovena.

Tak samo jak i na Zachodzie, ekspresjonizm rumuński doprowadził niektórych do histerycznego wałkowania słów i przelewania z pustego w próżne. Tak samo Rumunja przeżywa ten

dziwny objaw czasu, przeciwstawiając mu skutecznie walkę o nową treść i formę, o nowy klasycyzm. Jednym z tych, którzy wystąpili pierwsi z zimno zamkniętą w sobie spokojną i czystą formą, jest Stefan Nenitescu — nowa symbolika Niewypowiedzianego.

To, co czytelnikom Panait Istratiego wydaje się u niego najlepszem, jest dziwnym zbiegiem okoliczności wspólne całej współczesnej prozie rumuńskiej — przyziemność i pozorna nieliterackość. Nietyle artysta i twórca języka i stylu, lecz urodzony opowiadacz, zdradzający swą rozlewność liryczną, rozszerzającą jego możliwości twórcze. A właśnie tych twórców języka i stylu, wielkich epików może literatura rumuńska najbardziej potrzebuje. Krąg prozy rumuńskiej w ostatnich czasach rozszerzył się znacznie. Obok problemów ludowych problem społecznych warstw domaga się od społeczeństwa rzetelnych i twórczych piór.

Z pośród prozaików zasługuje na czołowe miejsce Michał Sadoveanu, którego dzieło czterdziestujednego lat zamyka się w czterdziestu tomach powieści, nowel, będących czemś w rodzaju encyklopedji, życiem chłopa, bojara i małomieszczanina. Zadziwiające dzieło człowieka, którego intuicja, docierająca zawsze do jądra rzeczy, do którego dobrać się trudno nawet świadomie pracującej inteligencji twórczej, musi każdego zadziwić swą pewnością.

Przeciwstawieniem Sadoveanu jest Gala Galaction, którego twórczość opiera się przedewszystkiem na bogatej w epizody fabule, zaczerpniętej z życia ludu, barwnej i obfitującej w niesamowite sytuacje, w których bierze górę zawsze zwycięski pierwiastek żywiołowy.

Inaczej postępuje Liwin Rebreanu, który z motywów ludowych chciałby stworzyć nową epikę rumuńską. Mimo tych usiłowań i chęci brak jednak Rumunji takiego twórcy, jak Władysław Reymont, piewca wsi polskiej i pomnik polskiego słowa. A jednak zdołał Rebreanu przez swe rozpowszechnione dzieła wytknąć drogę dla następców, którym przypadnie kiedyś to w udziale, co Reymontowi i Żeromskiemu w Polsce.

Czego brak Rebreanu i większości dzisiejszych epików rumuńskich, mianowicie czystości słowa i stylu, posiada w wielkiej mierze siedmiogrodczyk Emanuel Bucut. Jego nowa, nagrodzona na konkursie powieść „Przekleństwo Sefkisa" przedstawia życie Rumunów w Bułgarji, jest dziełem epika regjonalnego i subtelnego znawcy duszy ludzkiej, przypominającego w niektórych pociągnięciach genjalnego człowieka północy, Knuta Hamsuna.

Cesar Petresen, sceptyczny twórca popularnej powieści wojennej „Mrok", doskonały jest w swych studjach i nowelach, w których przeprowadza jednoplanową akcję zamiast wieloplanowej, rozpinającej jak łuk zwartość innych jego dzieł — prowadzi nas przez labirynt charakterów i ciernistą drogę wojny światowej.

Obiecującym pośród młodych prozaików jest J. Mihalescu, który kojarzy w sobie różnorodność wpływów, przetrawiając je i tworząc na swoisty sposób dzieła o cechach regjonalnych.

Teraźniejszy dramat rumuński dopiero w czasie powojennym wkroczył w okres rozkwitu dzięki, jak to już wspomniano, pracy Lucjana Blagi, wydobywającego ze sztolni życia to, co w niej jest najtragiczniejsze. Poza tem, tak samo jak i na Zachodzie, ogólne zubożenie w dziedzinie teatru, które uderza niemile przy porównaniu z twórczością liryczną lub prozaiczną. Zgrabne francuskie sztuczki, bulwarowe sztuczydła, Ibsen i niemieccy naturaliści wypychają w cień kulis prawdziwą i wielką twórczość, robiąc dobry interes na marnych bajeczkach i pseudohistorycznych koturnach. Niestety do dziś nie wystawiono dramatów Lucjana Blagi.

W dramatach Blagi mit i legendarny byt w teraźniejszości stopione są w jedną całość, przeciwstawiając się powierzchownej psychologji głębokością ujęcia procesów wewnętrznych. Dusza u niego to więcej niż anatomja funkcyj mózgowych, a rzeczywistość przekształca się w mit, mniejsza o to czy w pośrodku akcji znajduje się Bóg przodków czy też Budowa Katedry Curtea de Arges. Tragika leży tu w czemś nieuchwytnem, silnie z niem związana, będąca równocześnie siłą motoryczną, wyraża się słowem, które nigdy nie wykracza poza granice swej doskonałości. I przez ten prosty lecz pełen wyrazu gest rumuńskiej legendy, zawierającej w sobie to, co jest istotne dla danej ziemi, wyniesionej na płaszczyznę, na której wszystko staje się monumentalne, staje się nagle jasnem i zrozumiałem posłannictwo narodu, który jeżeli cierpi, to posiada pełną świadomość swego celu. Nie goniąc za konfliktem i nie gubiąc się w drobnostkach, jest Lucjan Blaga nietylko reprezentantem nowych dążeń w literaturze rumuńskiej, ale i tym, który żyjąc w Rumunji pracuje równocześnie i dla Europy.

Możnaby mówić jeszcze o wielu innych, lecz język którego używa zaledwie znikoma w świecie garstka kilku miljonów ludzi, jest jakgdyby chińskim murem, odgraniczającym od świata — murem, za którym wszakże kwitnie niejedno prawdziwe piękno, skrystalizowane w czystej formie.

Dusza Czara.

Harcerstwo w Polsce i w świecie.

Harcerstwo należy do tych organizacyj, które cieszą się u nas szczególną popularnością i zasłużonem uznaniem. Dziś zwłaszcza, w okresie panowania sportu, wartość jego wzrosła jeszcze. Podczas gdy sport młodzieży wyradza się bardzo łatwo w sport

widowiskowy, grożący ujemnemi następstwami młodym organizmom i charakterom, to harcerstwo jest wolne od tego niebezpieczeństwa. Z natury rzeczy łączy w sobie fizyczne, moralne i obywatelskie wychowanie, a prowadząc swych adeptów na łono przyrody, uszlachetnia ich, chroni nietylko przed pyłem ulicy ale i przed niezdrową atmosferą trybun. I dlatego samo pojawienie się harcerza czy harcerki budzi dla nich sympatję wszystkich; instynktownie każdy widzi w nich coś lepszego, więccj wartościowego, ludzi, na których można polegać.

Prawda, że wymagania jakie stawia harcerstwo, są dość wysokie. Tem tłumaczy się, dlaczego stosunkowo niewiele młodzieży zastajemy w jego szeregach. A szkoda wielka! Przyczyną tego jest jednak w sporej mierze fakt, że starsze społeczeństwo nie zna bliżej tej organizacji i stąd nie docenia należycie jej znaczenia i nie popiera rozwoju. — Oczywiście mówimy wyłącznie o tych organizacjach, które zgrupowane są w Związku Harcerstwa Polskiego (Z.H.P.).

Ostatnie sprawozdanie Naczelnej Rady Harcerskiej za okres od dnia 1 września 1930 r. do dnia 31 grudnia 1931 r. — zamieszczone w *Wiadomościach Urzędowych* Naczelnictwa Z. H. P. (kwiecień 1932 r.) — daje nam pocieszający obraz stanu organizacji. Pomimo ciężkich warunków materjalnych, pozostających w związku z ogólnym kryzysem gospodarczym i znacznem zmniejszeniem subwencyj, zdołano spłacić sporą część zalegających długów i uporządkować finanse Centrali. Pomogła w tem niemało reorganizacja jej biur, spowodowana względami oszczędnościowemi i potrzebą stopniowego przygotowania przebudowy Związku w myśl nowego statutu. Statut ten opracowano świeżo, zgodnie z poprawkami zgłoszonemi przez czynniki państwowe, pozostawiając jednak nienaruszone kwestje zasadnicze i przesłano władzom państwowym do legalizacji.

Nie będziemy tu wchodzili we wszystkie szczegóły, zamieszczone w Sprawozdaniu, nadmienimy wszakże, że ostatnio rozwinął Z.H.P. żywszą działalność na terenie zagranicznym. W zlocie skautów i skautek słowiańskich, który odbył się w Pradze z końcem czerwca i początkiem lipca 1931 r., wzięło udział 1.077 uczestników Z.H.P. Był to największy z dotychczasowych jego występów zagranicą. Drugą rzeczą, która zasługuje na wzmiankę, jest rozwój duszpasterstwa w Z.H.P. W roku sprawozdawczym na stanowiskach kapelanów środowisk, względnie drużyn pracowało przeszło 200 księży. Naczelnym Kapelanem Związku jest od listopada 1931 roku ks. Marjan Luzar; przedtem był nim ks. Józef Sobczyński. W lipcu 1931 r. urządzono w Łękawie 10-dniowy kurs dla księży kapelanów.

Statystyka i działalność Harcerstwa naszego została w Sprawozdaniu przedstawiona oddzielnie dla męskiej i żeńskiej jego

gałęzi. Jest to następstwem mądrej uchwały IX Zjazdu Walnego Z. H. P., który wprowadził ów rozdział. Zjazd — brzmi uchwała — „stojąc na stanowisku utrzymania jedności Z. H. P., uznaje potrzebę przebudowy Związku w kierunku stworzenia dwóch autonomicznych organizacyj (żeńskiej i męskiej) o wspólnej podstawie ideowej (przyrzeczenie, prawo, pozdrowienie, oznaka) i wspólnem duszpasterstwie, a całkowicie samodzielnych w zakresie programowym, organizacyjnym i gospodarczym".

Stan liczbowy harcerstwa żeńskiego wykazuje stały choć umiarkowany postęp. Dn. 1 stycznia 1932 r. liczyło ono (razem St. harcerek, harcerek i zuchów) 23.601 członkiń, prawie o $2^1/_2$ tysiąca więcej niż w roku poprzednim; do tej liczby można jeszcze dołączyć 540 Starszyzny, t. j. drużynowych po próbie i instruktorek. Liczba środowisk wynosiła 321, zrzeszeń, drużyn i gromad było łącznie 845. Poważnie przedstawiała się akcja obozowa latem 1931 r.; obozów i kolonij urządzono 321 z udziałem 5.325 harcerek. — Męskie harcerstwo, które dn. 1 stycznia 1932 r. liczyło ponad 45 tysięcy członków, wykazało również wzrost o przeszło 3 tysiące osób w porównaniu z rokiem ubiegłym. W ogólnej tej liczbie jest 14·2 % młodzieży pozaszkolnej, 11·3 % uczniów seminarjów i szkół zawodowych, 36·5 % uczniów szkół średnich, 38 % młodzieży szkół powszechnych. Zaznaczyć tu można wielki rozwój żeglarstwa; 1 stycznia 1932 r. należało do tego działu 1.611 harcerzy, prawie dwa razy tyle, co w roku ubiegłym. Harcerstwo „czuwa twarzą zwrócone ku morzu".

Tyle o harcerstwie polskiem. Czytelników zainteresuje jednak bezwątpienia statystyka harcerstwa w całym świecie, zestawiona w sprawozdaniu Biura Międzynarodowego na IV Konferencji międzynarodowej w Badenie. Korzystając z danych, zamieszczonych w miesięczniku Starszyzny harcerskiej *Harcmistrz* (kwiecień 1932 r. str. 37), podamy tu liczbę członków harcerstwa w ważniejszych krajach w r. 1931:

Argentyna *	5.290	Japonja	49.667
Austrja	5.498	Jugosławja	3.003
Belgja	8.073	Litwa	4.284
Brazylja *	3.460	Łotwa	4.693
Bułgarja	1.800	Norwegja	13.027
Chile	10.569	Persja	4.332
Czechosłowacja	22.683	Peru *	5.000
Danja	10.570	Portugalja *	998
Egipt	2.128	Rumunja	8.844
Estonja	1.920	Stany Zjednoczone Am. Pn.	871.406
Finlandja	5.653	Szwajcarja	8.918
Francja	37.585	Szwecja	14.194
Grecja	6.000	Węgry	30.402
Hiszpanja	8.385	W. Brytanja	756.883
Holandja	8.000		

*) Dane z roku 1929.

Całkowita liczba członków wszystkich organizacyj harcerskich w świecie w r. 1931 wynosiła podług powyższego sprawozdania 2,039.349 osób (w rzeczywistości będzie ich więcej, ponieważ pominięto Niemcy). Rzecz jednak znamienna, przeszło $^3/_4$ tej armji mieści się w dwóch tylko państwach, W. Brytanji i Stanach Zjedn. Am. Pn., a reszta dopiero rozdziela się pomiędzy pozostałe kraje. W gronie ich Polska, ze swemi 69 tysiącami harcerzy i harcerek, zajmuje zaszczytne stanowisko, stoi bowiem na pierwszem miejscu co do liczby członków (o ile nie zajmują go Niemcy). Nawet kraje mające znacznie więcej ludności, jak Francja i Japonja, stoją daleko poza nami. Możemy się z tego tylko cieszyć i życzyć, by Harcerstwo nasze utrzymało się w swym pierwotnym duchu i wciągało w swój obręb coraz szersze zastępy młodzieży!

P.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 30 kwietnia 1932.

Konferencja rozbrojeniowa w Genewie.

Wrażenia i refleksje.

Gdy 19 marca „Konferencja dla ograniczenia i zmniejszenia zbrojeń" przerwała — z powodu feryj wielkanocnych — swoje obrady, spotkał ją ze strony prasy zarzut, że w ciągu 46-dniowej sesji zdążyła zaledwie ustalić swój porządek dzienny. Sami uczestnicy Konferencji na komisji ogólnej w dniu 16 marca przyznali szczerze, że prace ich były zbyt powolne i mało wydajne, ale gdy jedni, usposobieni optymistycznie, powodów tego wolnego tempa szukali jużto w nieodpowiedniej metodzie prac (Tardieu, Gibson), jużto w okolicznościach zewnętrznych (Londonderry), to inni, więksi pesymiści a może tylko więksi realiści, przestrzegali opinję publiczną przed oddawaniem się iluzji, jakoby problemy rozbrojeniowe mogły być szybko załatwione. „W kwestjach rozbrojenia — mówił hiszpański minister Zulueta — trzeba nieraz iść wolno, by dojść szybko do celu". Rozważny zaś Hymans dodał: „Problemy te, rozległe i zawiłe, wymagają refleksji, a nie byłoby dobrze poświęcać refleksję na rzecz pośpiechu". Ostatecznie wszyscy mowcy zgodzili się z Tardieu'm, że „od obecnej metody analitycznej należy przejść do metody więcej syntetycznej", to znaczy — zamiast zajmować się szczegółami technicznemi rozbrojenia, załatwić najpierw kwestje zasadnicze. *„Il faut aborder courageusement les questions de principe"* — oświadczył francuski premjer, umiejący zawsze animować i ruszać z miejsca debaty, ilekroć na kilka dni zjechał z Paryża nad Leman. Od 11 kwietnia — po ferjach wielkanocnych — zaczęto więc w Genewie pracować „syntetycznie". Zabrano się odrazu

do zasad przyszłej konwencji rozbrojeniowej, to jest do tego, co jest najważniejsze ale zarazem najtrudniejsze i dla dalszego przebiegu Konferencji najniebezpieczniejsze.

Prace przygotowawcze.

Zasadami rozbrojenia zajmowały się organy Ligi Narodów już od lat 12, t. j. od czasu, gdy pierwsze Zgromadzenie L. N. w r. 1920 powołało do życia „tymczasową komisję mieszaną", złożoną z osobistości, posiadających autorytet w kwestjach politycznych, gospodarczych i wojskowych. Z komisji tej wyszedł plan lorda Eshera, mający na celu utworzenie wspólnej miary dla porównania — i w przyszłości zredukowania — sił zbrojnych różnych państw. Plan ten upadł, podobnie jak upadł opracowany przez tę komisję w r. 1923 traktat o wzajemnej pomocy i jak upadł uchwalony w r. 1924 przez Zgromadzenie L. N. Protokół genewski, który miał wejść w życie wraz z przewidywaną w nim konwencją rozbrojeniową. Po zawarciu układów w Locarno w październiku 1925 r. Rada Ligi utworzyła na miejsce „komisji mieszanej" nowy organ t. zw. Komisję Przygotowawczą (Commission préparatoire de la Conférence du Desarmément), w skład której weszli przedstawiciele wszystkich państw reprezentowanych w Radzie oraz tych państw, które odnośnie do rozbrojenia znajdują się w położeniu szczególnem. Do komisji należały Niemcy od samego początku, Stany Zjednoczone od r. 1927, Sowiety od r. 1928. Komisja ta, licząca 25 członków, odbyła od maja 1926 r. do grudnia 1930, sześć sesyj i wypracowała w tym czasie projekt „konwencji dla ograniczenia i zmniejszenia zbrojeń", złożony z 60 artykułów i kilku aneksów. Po zakończeniu jej prac Rada Ligi na sesji styczniowej r. 1931 zwołała na 2 lutego r. 1932 konferencję rozbrojeniową, zapraszając na nią wszystkie (64) państwa świata, a na sesji majowej zamianowała ówczesnego brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, Hendersona prezydentem tej Konferencji.

W ciągu owego okresu odbyły się ponadto trzy konferencje głównych mocarstw dla zmniejszenia zbrojeń morskich. Konferencja, zwołana w r. 1927 przez prez. Coolidge'a do Genewy, nie osiągnęła żadnych rezultatów, ale kon-

ferencje: waszyngtońska w r. 1922 i londyńska w r. 1930 doprowadziły do podpisania traktatów, które ograniczyły i ustaliły — na wcale wysokim zresztą poziomie — stosunek sił morskich między głównemi mocarstwami. Między Francją a Włochami stanęło tylko porozumienie w sprawie okrętów linjowych (Waszyngton).

Bezpieczeństwo i rozbrojenie.

Redukcję zbrojeń nakazuje art. 8 Paktu Ligi w słowach następujących:

„Członkowie Ligi uznają, że utrzymanie pokoju wymaga redukcji zbrojeń narodowych do minimum, dającego się pogodzić z bezpieczeństwem narodowem, oraz z wykonywaniem zobowiązań międzynarodowych, nakazanem przez udział we wspólnej akcji.

Rada, licząc się z sytuacją geograficzną i specjalnemi warunkami każdego państwa, opracuje plany takiej redukcji zbrojeń i przedłoży je poszczególnym rządom do rozważenia i decyzji".

Art. 8 uzależnia zmniejszenie zbrojeń od stopnia bezpieczeństwa, a zatem wysiłki Ligi szły w ciągu 12 lat także w tym kierunku, by zapomocą układów międzynarodowych, wzmacniających odnośne artykuły Paktu, zagwarantować państwom bezpieczeństwo w możliwie najwyższym stopniu. Wynik tych zabiegów nie był nadzwyczajny. Wspomniany już Protokół z r. 1924, obejmujący wszystkie państwa, upadł z powodu oporu W. Brytanji. Układ lokarneński jest tylko układem regjonalnym, w którym 5 państw zachodnich zagwarantowało obronę obecnej granicy francusko-niemieckiej i niemiecko-belgijskiej. Układ paryski Brianda-Kelloga z r. 1929, potępiający wojnę jako narzędzie polityki państwowej, pozbawiony jest zupełnie sankcji. Należy tu wymienić jeszcze układy regjonalne, mające charakter sojuszowy, jakie zawarła Francja z Polską i z państwami Małej Ententy. Ponadto uzyskały pewną ilość podpisów konwencje, opracowane przez Ligę Narodów, jak „Akt ogólny dla pokojowego załatwiania nieporozumień międzynarodowych" z r. 1928 (podpisany przez 19 państw), konwencja z r. 1931 o środkach prewencyjnych przeciw wojnie, konwencja z r.

1932 o pomocy finansowej dla państw napadniętych lub zagrożonych agresją i wreszcie klauzula fakultatywna, ustanawiająca przymusową jurysdykcję Trybunału Haskiego dla zatargów natury prawnej. Przystąpiło do niej 46 państw.

Jeśli do tych konwencyj i traktatów doliczymy pakty o nieagresji oraz liczne układy koncyljacyjne i arbitrażowe (dla spraw drugorzędnych), zawarte przez różne państwa, to otrzymamy cały mniej więcej obraz prawnych gwarancyj bezpieczeństwa, istniejących w chwili, gdy 2 lutego zbierali się w Genewie delegaci 60 państw (tylko 4 małe państwa Ameryki środkowej i południowej nie przysłały reprezentantów), reprezentujących — po raz pierwszy w dziejach — całą prawie ludzkość, t. j. prawie 1.700 miljonów ludzi.

Nastroje w dniu otwarcia.

Konferencja rozpoczęła obrady w chwili wyjątkowo niepomyślnej dla realizacji swych zadań. Jeśli przez „bezpieczeństwo" rozumie się wiarę w utrzymanie pokoju i w gwarancje Ligi Narodów, to w ostatnim roku przed zebraniem się konferencji zaszły wypadki, które tę wiarę musiały silnie poderwać i w stosunki międzynarodowe wnieść nowe podejrzenia i niechęci.

Przedewszystkiem u sąsiadów Niemiec powstało duże zaniepokojenie z powodu oszałamiających postępów ruchu hitlerowskiego. Różne lokalne wybory w Niemczech wskazywały, że ruch ten rośnie z szybkością lawiny, a oświadczenia Hitlera i jego podkomendnych nie pozostawiały żadnej wątpliwości, co do celów, jakie narodowi-socjaliści zamierzają w praktyce międzynarodowej realizować. Znajdujemy tam i odrzucenie odszkodowań, i swobodę zbrojeń, i dążenie do odzyskania Pomorza, Śląska, Gdańska, Kłajpedy, Alzacji-Lotaryngji... Jest jasnem, że w takich warunkach program pacyfistyczny i rozbrojeniowy kanclerza Brüninga, za którym szedł rosnący cień Hitlera, mało zdobywał po drugiej stronie Renu i nad Wisłą zwolenników. Zresztą bliskość wyborów Prezydenta Rzeszy i nowego sejmu pruskiego, hamowała swobodę działania samego kanclerza i naginać musiała jego politykę zagraniczną do wymagań taktyki wyborczej. Na Konferencji genewskiej delegaci Niemiec

strzec się muszą nawet cienia „ustępstw" wobec Francji, by nie zaszkodzić planom polityczno-wyborczym kanclerza i nie dać broni do rąk jego przeciwnikom. Rzeczą jest jasną, że w takich warunkach Konferencja, która z konieczności musi być serją uchwał kompromisowych, nie mogła ruszyć z miejsca.

Hamująco na jej prace działała również bliskość wyborów do francuskiej Izby Deputowanych, nie tyle może pozbawiając delegację francuską pełnej swobody działania, ile budząc nadzieje wśród jej partnerów genewskich na zwycięstwo lewicy, która ma być (i może nawet będzie) ustępliwszą wobec postulatów Niemiec, Włoch i Ameryki. Przecież, gdy w lutym zdawało się przez dwa dni, że przyjdzie gabinet Painleve'go do steru, widziało się w pawilonie szklanym w Genewie, gdzie obraduje Konferencja, twarze rozpromienione i słyszało się radosny szept: *Enfin la gauche arrive!* (nareszcie lewica przychodzi do władzy).

Również zatarg chińsko-japoński, który wybuchł we wrześniu r. 1931 i wystawił na ciężką próbę autorytet Ligi Narodów, nie mógł stworzyć w Genewie atmosfery zbyt korzystnej dla idei rozbrojenia. Zajął on Konferencji 9 dni na obrady Nadzwyczajnego Zgromadzenia L. N., w ciągu których członkowie Konferencji naocznie mogli stwierdzić bezsilność instytucji genewskiej wobec zatargu, mającego przecież charakter „wojny, choć bez nazwy wojny", i bezskuteczność gwarancji Paktu. Przykład słabych militarnie Chin, pozbawionych skutecznej pomocy w zatargu, w którym Liga jednomyślnie uznawała agresję Japonji, wywołał zwłaszcza wśród delegatów państw małych silną depresję. W ostatniej chwili Sekretarjat Ligi próbował odroczyć o kilka godzin otwarcie Konferencji w nadziei, że w międzyczasie stanie rozejm pod Szanghajem, ale telegramy przyszły niepomyślne i z tego pomysłowego poprawienia nastroju zrezygnowano. Cóż dziwnego, że wobec tego tragicznego zbiegu inauguracji genewskiej z uwerturą armat japońskich pod Wosung delegat boliwijski Costa du Rels zauważył melancholijnie: „Liga Narodów ofiaruje nam teksty, które chciały być środkami (moyens) i środki, które chciały być lekarstwami..."

Przebieg sesji i metoda pracy.

Przebieg przedświątecznej sesji znany z relacyj dziennikarskich, przyniósł zaledwie dyskusję ogólną, przekazanie wniosków do komisji i kilka posiedzeń komisyjnych, na których nic istotnego nie załatwiono.

Spodziewano się, że w dyskusji ogólnej znajdzie wyraz dalsze zbliżenie poglądów i stanowisk w stosunku do długotrwałych obrad Komisji Przygotowawczej. Nadzieje te zawiodły. Można nawet powiedzieć, że różnice poglądów na kwestje zasadnicze raczej się zaostrzyły, gdy delegat włoski Grandi w mowie z 10 lutego w sposób zdecydowany zajął stanowisko w obronie tez niemieckich (równość zbrojeń, rozbrojenie bez nowych gwarancyj bezpieczeństwa) i gdy delegacja francuska w dniu 5 lutego zgłosiła swe znane projekty, mające na celu „organizację pokoju" przez wyposażenie Ligi w siłę zbrojną. Projekty te przyjęte w mowach oficjalnych z chłodną grzecznością, spotkały się w prasie włoskiej, niemieckiej, amerykańskiej i w znacznej części angielskiej z ostrą a czasem nawet gwałtowną opozycją. W toku dyskusji krytykowali je obok Litwinowa i Tewfika Ruszdy'ego głównie delegaci dominjów brytyjskich, Aga Chan z Indji i sir Thomas Wilford z Nowej Zelandji.

Po zakończeniu dyskusji ogólnej, wszystkie zgłoszone wnioski oraz projekt konwencji przekazano do Komisji Generalnej, która składając się z szefów wszystkich delegacyj, jest właściwie Konferencją, obradującą w komitecie. Przewodniczący jej, sam prezydent Konferencji p. Henderson (zastępca: p. Politis, referent: p. Benesz). Komisja odrzuciła najpierw demagogiczną propozycję sowiecką, żądającą natychmiastowego i zupełnego rozbrojenia państw („zrównaniem przez zero" — nazwał to p. Tardieu) i uchwaliła za podstawę prac wziąć przygotowany przez komisję Ligi projekt konwencji rozbrojeniowej, przyczem jednak uwzględnione być mają wszystkie przez delegatów zgłoszone wnioski i poprawki. Dla przepracowania poszczególnych działów wybrano pięć komisyj technicznych: polityczną, lądową, morską, lotniczą i komisję wydatków na obronę narodową.

Metoda prac polegała na tem, że z przedstawionego przez referenta p. Benesza „obrazu synoptycznego", zawie-

rającego wszystkie zgłoszone wnioski, ugrupowane według artykułów konwencyj, do których się odnoszą — przydzielono odrazu komisjom technicznym złożonym z ekspertów te kwestje, które — jak sądzono — nie napotykają na zasadnicze objekcje. Są to sprawy „techniczne", np. określenie pojęć i liczebny stan wojsk, formacje zorganizowane wojskowo, kategorje okrętów (krążowniki, okręty linjowe i t. d.), publikowanie wydatków wojskowych, lat służby, stanu liczebnego i t. p. Wszystkie jednak problemy zasadnicze, które — pamiętać trzeba o tem ciągle! — są problemami spornemi, pozostawiono do uprzedniej decyzji Komisji Generalnej, t. j. szefom delegacyj. Ta zatem komisja stała się głównym organem Konferencji; w jej łonie bowiem wypracowane być mają kompromisy w każdej spornej sprawie.

Tymczasem Komisja Generalna odbyła dla dyskusji nad sprawami „zasadniczemi" zaledwie jedno posiedzenie (14 marca). Chodziło w tym wypadku o zadecydowanie, czy Komisja przyjmuje lub odrzuca zasadę umiędzynarodowienia lotnictwa cywilnego (projekt francuski). Zapytanie takie skierowała do Komisji Generalnej komisja lotnicza, wychodząc ze słusznego założenia, że niema potrzeby pracować technicznie nad projektem, który ze względów zasadniczych, t. j. politycznych, może być potem przez Komisję Generalną odrzuconym. Komisja Generalna nie zdobyła się jednak w swej odpowiedzi ani na: tak, ani na: nie; decyzję zasadniczą odroczyła, polecając równocześnie ekspertom lotniczym opracowanie techniczne internacjonalizacji lotnictwa. P. Tardieu nazwał tę procedurę ironicznie odrzuceniem piłki tennisowej (le jeu de la raquette). W tem to odsyłaniu z komisji do komisji projektu ujawniła się niezdolność głównego organu Konferencji do pchnięcia naprzód istotnej pracy. Komisja Generalna nie jest jeszcze zdolną do kompromisu. Szefowie delegacyj stoją ciągle na swych pozycjach. Jeszcze nie zeszli z nich, by spotkać się gdzieś w połowie drogi.

Związek rozbrojenia z bezpieczeństwem.

Odrzuciwszy teraz kwiaty krasomówstwa pacyfistycznego, tak popularnego w Genewie, spróbujmy na podstawie wy-

słuchanych mów i wniosków sformułować problemy, około których toczy się walka.

Stwierdzić najpierw trzeba, że jeden z głównych szkopułów, o które rozbijały się przedwojenne konferencje haskie (1899 i 1907 r.): zasada suwerenności państwowej, nie gra w dyskusji genewskiej żadnej roli. Kooperacja powojenna państw i działalność L. N. zrobiły swoje. Nawet tak skłócona z resztą świata Rosja Sowiecka oświadcza gotowość przyjęcia rozbrojenia i kontroli, ustalonych w konwencji powszechnej.

Ogólna zgoda panuje także na niepodnoszenie obecnego stanu zbrojeń. Idea ta znalazła już wyraz w zawartym we wrześniu ub. r. jednorocznym rozejmie zbrojeniowym. P. Tardieu wyraził obecnie gotowość Francji ustabilizowania swych zbrojeń na obecnym poziomie w ciągu szeregu lat. (Francja posiada dzisiaj 248 tys. żołnierzy w kolonjach, 401 tys. w metropoli, 628 tys. ton okrętów, 2.375 aparatów lotniczych, oraz roczny budżet 13 miljardów fr.).

Różnice między państwami zaczynają się, gdy dyskusja dotyka związku między bezpieczeństwem a ograniczeniem zbrojeń. Doktryna francuska, niezmienna od 12 lat głosi zależność zbrojenia od stanu bezpieczeństwa, zgodnie zresztą z art. 8 Paktu. Tyle rozbrojenia, ile bezpieczeństwa. Podzielają tę tezę na Konferencji głównie państwa Małej Ententy, Japonja, Polska, Grecja, Belgja, Egipt. Teoretycznych jej zwolenników jest więcej, ale wielu z nich sądzi, że już obecny stan bezpieczeństwa pozwala na znaczną redukcję budżetów i stanów wojskowych.

Tezie tej przeciwstawiają Niemcy, niektórzy neutralni i obecnie także Włosi zasadę, że samo rozbrojenie powiększa stopień bezpieczeństwa, usuwając wzajemne obawy i podejrzliwość między państwami. My, Polacy, którzy przeszliśmy w XVIII wieku przez okres rozbrojenia, moglibyśmy tym optymistom, którzy tezę ową z dobrą wiarą głoszą, przypomnieć, że rozbrojenie nasze stało się tylko dla naszych sąsiadów pokusą do napaści i do rozbiorów. Ale w Genewie, gdzie zagnieździła się specjalna mistyka pacyfistyczna, słychać zbyt często głosy, że tylko zbrojenia wywołują wojnę, i że rozbrojenie usunie na pewno to niebezpieczeństwo. Ten

pacyfizm znakomicie ułatwia pracę Niemiec. Słusznie jednak podniósł delegat Japonji p. Matsudaira, że „jak długo istnieć będą przyczyny niezadowoleń i nieporozumień, jak długo narody będą na się patrzeć z podejrzeniem, niechęcią i obawą, tak długo prawdziwe rozbrojenie nie będzie mogło być zrealizowane". Jeszcze dobitniej myśl tę przedstawił jugosłowiański minister Marinkowicz. „Tylko rozbrojenie moralne — mówił — zapewni pełne bezpieczeństwo i uczyni niepotrzebnemi wszelkie zbrojenia. Bez niego, nawet zupełne rozbrojenie materjalne nie powiększy bezpieczeństwa i nie zmniejszy szans wojny... Wojna istniała przed zbrojeniami i gdyby nie było wojen, to nie byłoby i zbrojeń; przeciwne twierdzenie nie jest niestety prawdziwem. Wojna jest możliwą nawet między dwoma państwami zupełnie rozbrojonemi, wystarczy, by istniała wola wojowania. Najsłynniejsze bitwy, od których zależał los świata, stoczone były bez pancerników, bez torpedowców, nawet bez armat. Niemniej miały one konsekwencje najfatalniejsze dla tych, którzy zostali pobici. Przy istnieniu obecnych środków technicznych, które się stale rozwijają, wojna nawet między państwami „rozbrojonemi" byłaby straszliwą, bardziej morderczą i bardziej niszczącą niż wojny czasów przeszłych, prowadzone przez wojska zorganizowane, wyćwiczone i na długo przedtem uzbrojone".

Zgodził się z opinją Marinkowicza Mahmud Fakry Pasza, przedstawiciel Egiptu, czerpiącego doświadczenie „z 10 tysięcy lat swej historji". „Ludy prymitywne — mówił wysłannik kraju faraonów — w braku broni walczyły na pięści, na długo przed wynalazkiem prochu i nawet przed nastaniem wieku żelaza". A rozważny p. Hymans, który opiera się znowu na niedawnem, a tak bolesnem doświadczeniu swego kraju, dodał: „Pokój jest operacją psychologiczną. Tylko obyczaje zrodzą bezpieczeństwo. Trzeba najpierw, by poszanowanie prawa wyryło się w sumieniach ludów". Najlapidarniej ujął problem Tardieu. „Rozbrojenie — oświadczył z mocą — bez organizacji pokoju, byłoby premją brutalną i niesprawiedliwą dla liczby i techniki".

Wśród zwolenników bezwarunkowego rozbrojenia rozróżnić trzeba kilka grup. Należą tu najpierw państwa po-

bite i w traktatach pokojowych już rozbrojone, które przez rozbrojenie swych zwycięzców pragną wzmocnić swą pozycję i — zapewne także — ułatwić sobie rewanż w przyszłości. Mowa tu głównie o Niemcach i Węgrach. Drugą kategorję tworzy Rosja Sowiecka i krocząca z nią stale Turcja. P. Litwinow ma na celu oczywiście nie pokój, ale tylko propagandę antykapitalistyczną, gdy stawia demagogiczne wnioski o zupełne i natychmiastowe rozbrojenie wszystkich. Do trzeciej grupy należą państwa neutralne, które oddawna już znajdują się na marginesie wielkiej polityki i wielkich interesów europejskich, są już tem samem zabezpieczone przed zachłannością państw silnych. Skandynawowie, zabezpieczeni ponadto Bałtykiem, Hiszpanie za Pirenejami, Szwajcarzy, zostający pod ochroną zagwarantowanej przez Europę neutralności, Holendrzy — oto najgorętsi i zapewne najszczersi pacyfiści w Europie. Oni też przemawiali najsilniej w Genewie za bezwarunkowem rozbrojeniem.

Osobno wymienić trzeba państwa zamorskie, żyjące w zupełnie odmiennych warunkach geograficznych i historycznych, niż państwa Europy. Nie mogą one zrozumieć naszych „kłótni domowych" i z uporem przeciwstawiają nam swoje mniej lub więcej idylliczne stosunki. Dowiedzieliśmy się więc z ust p. Matosa, delegata Guatemali, że już przed 9 laty pięć państw Ameryki centralnej podpisało konwencję rozbrojeniową, a od p. Escalante z Wenezueli, że „problemy rozbrojeniowe w Ameryce południowej nie istnieją", gdyż — jak to podniósł Boliwijczyk p. Costa du Rels — „bezpieczeństwo w Ameryce, gdzie narody łacińskie są dla siebie siostrami, polega na solidarności". P. Restrepo z Kolumbji wyznał z dumą: „Mój kraj nie ma ani wrogów, ani nawet przeciwników". P. Perleyowi z Kanady w mowie za bezwarunkowem rozbrojeniem, wyrwały się również słowa, że „dzięki szczęśliwej kombinacji warunków historycznych, politycznych i geograficznych" Kanada cieszy się zupełnem bezpieczeństwem. Jakież może być porównanie pod względem bezpieczeństwa między Kanadą, z trzech stron zamkniętą morzami, z czwartej zaś sąsiadującą z narodem tej samej, co i one rasy — a np. Polską, leżącą na przeciągu europejskim, między wielkiemi mocarstwami, bez granic

naturalnych i z terytorjami mieszanemi pod względem narodowym?

To samo niezrozumienie Europy przejawiają Stany Zjednoczone. P. Gibson oskarżał ją, że „nie mogła utrzymać pokoju i wywołała wojnę, w której zwycięzcy i zwyciężeni są ofiarami", ale dotąd rząd waszyngtoński bojkotuje Ligę i nie chce choćby w najmniejszej mierze wziąć udziału w zbiorowej gwarancji pokoju na naszym kontynencie.

Projekt francuski organizacji pokoju.

Francja nie ograniczyła się do obrony przed ofensywą zwolenników rozbrojenia *quand même,* ale sama przeszła do ataku. W dniu 5 lutego przedłożyła Konferencji obszerny i bardzo logicznie ujęty projekt „organizacji pokoju", a p. André Tardieu wygłosił 8 lutego w jego obronie świetne przemówienie, najlepsze jakie słyszano na Konferencji.

Projekt francuski buduje bezpieczeństwo na fundamencie Ligi Narodów, z której pragnie uczynić czynnik realnej siły, naprawdę zdolnej przeszkodzić naruszeniu pokoju, a napastnika ukarać. „Dopóki Lidze Narodów brakować będzie środków do zapewnienia egzekucji jej decyzji — twierdzi p. Tardieu — tak długo cofać się będzie ona przed decyzjami. Jeśli chcemy narodom dać ochronę pokoju i redukcję ciężarów wojskowych, to musimy stworzyć zobowiązania pewne, któreby podlegały egzekucji".

W tym celu, dla „egzekucji" owych zobowiązań, wyposaża projekt francuski Ligę w siłę zbrojną.

Liga rozporządzałaby — w myśl propozycji p. Tardieu:

1) międzynarodowem lotnictwem cywilnem, złożonem z aparatów o wielkim tonażu, oddanych jej przez państwa. Lotnictwo, to, powierzone w czasie pokoju organizacjom międzynarodowym (kontynentalnym, międzykontynentalnym i międzykolonjalnym) służyłoby pod auspicjami Ligi, która miałaby wobec tych aparatów prawo rekwizycji, transportom cywilnym. Tylko małe aeroplany cywilne pozostałyby w użytkowaniu państw;

2) aparatami wojskowemi o wysokim tonażu (ustalonym w osobnej konwencji), które tworzyłyby wojskową siłę powietrzną, zorganizowaną międzynarodowo, stacjonowaną i do-

wodzoną według wskazówek Ligi. Byłyby to aparaty bombonośne;

3) aparatami wojskowemi o średnim tonażu, które pozostałyby w posiadaniu państw, ale oddawane byłyby do dyspozycji Ligi na wypadek stosowania art. 16 Paktu i dla akcji wspólnej Ligi. Państwa rozporządzałyby na stałe tylko aparatami wojskowemi o małym tonażu. Na wypadek jednak napadu państwo napadnięte miałoby prawo użyć dla swej obrony wszystkich znajdujących się w jego dyspozycji statków powietrznych;

4) artylerją ciężką, okrętami linjowemi ponad 10.000 ton i uzbrojonemi artylerją o kalibrze ponad 203 mm, oraz podwodnemi łodziami o wysokim, ustalonym w specjalnej komisji tonażu;

5) stałą policją międzynarodową dla przeszkodzenia wojnie. Każde państwo oddałoby na ten cel pewien kontyngent sił lądowych, morskich i powietrznych. Francja przeznacza jedną brygadę mieszaną, jedną lekką dywizję morską i kombinowaną grupę lotniczą (obserwacyjno-myśliwską);

6) wreszcie pierwszą grupą sił represyjnych, które Liga posyłałaby na pomoc państwu napadniętemu. Wszystkie państwa zobowiązałyby się dostarczyć do tej grupy odpowiedni kontyngent, który byłby większy lub mniejszy w zależności od tego, czy konflikt rozgrywałby się w sąsiedztwie danego państwa, na tym samym kontynencie lub w innej części świata.

Ponadto Francja proponuje: 1) zakaz rzucania bomb zapalających oraz zawierających gazy, lub zarazki bakterjologiczne; 2) zakaz bombardowania miejscowości pozafrontowych z wyjątkiem aerodromów i stanowisk artylerji. Naruszenie tych przepisów stanowiłoby presumcję, że państwo naruszające uciekło się do wojny na podstawie art. 16 Paktu, co pociągnęłoby przeciw niemu sankcje ze strony Ligi.

Wreszcie znajdujemy w propozycjach francuskich — jako logiczne uzupełnienie poprzednich postanowień — przepisy, dotyczące: 1) definicji napastnika; 2) przymusowego arbitrażu; 3) gwarancji, że władza, dysponująca siłą, działać będzie szybko i 4) kontroli nad rozbrojeniem. Francja wraca tu zatem do słynnego Protokołu z r. 1924.

Podniesiono przeciw tym śmiałym i niemal rewolucyjnym koncepcjom poważne zarzuty. Zwrócono uwagę, że Stany Zjednoczone i Sowiety do Ligi nie należą i w przyszłości nie chcą wchodzić w skład ani Ligi, ani żadnej takiej organizacji międzynarodowej, któraby krępowała swobodę ich decyzji; bez tych zaś dwóch państw, zwłaszcza bez Stanów Zjednoczonych, władza Ligi byłaby niezupełną i słabą. Pytano, czy decyzje w sprawie użycia siły zbrojnej zapadałyby w Lidze większością głosów, czy też jednomyślnie, co przedstawiałoby duże trudności. Wyrażono wątpliwości, czy komenda, zostająca pod wpływem Ligi, działałaby sprawnie i szybko, i czy armja, nie ożywiona ideałem obrony ojczyzny, byłaby zdolną do poważnej walki. Wypowiadano także obawę, że decyzje Ligi (gdyby zapadały większością głosów) nie byłyby sprawiedliwe, i że posiadanie siły zbrojnej stałoby się dla państw, tworzących większość w Lidze, zachętą do nadużywania władzy. Włosi twierdzili nawet, że projekt dąży tylko do utrwalenia hegemonji francuskiej w Europie, gdyż Francja dotąd stale ma w Radzie Ligi większość, i dowódcą wojsk Ligi byłby Francuz (wymieniono już w prasie gen. Weyganda!). Może najpoważniejszą (i przez samego p. Tardieu częściowo przyznaną) była uwaga, że Liga, nie pozwalając państwom posługiwać się samopomocą, musiałaby z natury rzeczy objąć nad niemi nietylko władzę sądową (arbitraż) i wykonawczą (policję), ale i prawodawczą, to znaczy, że musiałaby otrzymać prawo zmieniania traktatów międzynarodowych, a zatem także prawo przesuwania granic. Byłaby to już świadoma organizacja dziejów.

Londyński *Times* uznał proponowaną przez Francuzów organizację Ligi jako „nadpaństwa" za sprzeczną z pojęciami brytyjskiemi. P. Garvin z *Observer* nazwał projekt francuski wręcz „manewrem, który, by uniknąć tego, co jest nieprzyjemnem, proponuje to, co jest niemożliwe". Rzeczą nieprzyjemną dla Francji ma być w tym wypadku rozbrojenie. Nowozelandczyk zaś Wilord oświadczył szorstko na Konferencji, że nie na to przyjechał, by uchwalać nowe wydatki na nową armję. P. Tardieu zastrzegł się jednak energicznie przeciw traktowaniu swego projektu jako manewru taktycznego, a jego mocne przemówienia na sesji poświą-

tecznej 11 i 12 kwietnia, przeciw propozycjom amerykańskim (które żądają zakazu gazów, bomb powietrznych i ciężkiej artylerji, ale bez kontroli i bez sankcji) świadczą, że zdecydowany jest bronić koncepcyj francuskich z właściwą mu wytrwałością. Trzeba też stwierdzić, że wypowiedziała się za niemi cała opinja francuska — z wyjątkiem germanofilskiej prasy socjalistycznej — i że przychylnie zaopinjował je *Conseil superieur de la guerre.* P. R. Pinon z *Revue d. D. Mondes* napisał, że projekt francuski jest portykiem, przez który musi przejść droga, prowadząca do rozbrojenia, p. Herriot uznał projekt ten za swe własne dziecko, a praca lewicowa przypomniała, że pomysł uzbrojenia Ligi wysunął już na Konferencji pokojowej Leon Bourgeois, wódz radykałów francuskich.

Trudno spodziewać się, by projekt Tardieu'go, zawierający jeszcze wiele luk i niedomówień, został już na obecnej Konferencji w całości lub w większej swej części przyjęty. P. Tardieu stawia go nadto jako blok, jako całość, z której nie można wyrywać kawałków. Na Konferencji spotkał się on z przychylnem przyjęciem, narazie tylko u przyjaciół i sojuszników Francji. W innych delegacjach jest przedmiotem studjów. Dopiero po ich ukończeniu odbędzie się nad nim debata w komisji politycznej.

W każdym razie projekt ten dał potężny impuls dyskusjom genewskim, zniewalając umysły dyplomatów do oswojenia się z nową koncepcją pokoju zorganizowanego i zabezpieczonego, pokoju z międzynarodowemi sądami, policją i żandarmami...

Wojna gazowa i bakterjologiczna.

Wszyscy delegaci wystąpili na Konferencji z żądaniem bezwzględnego zakazu używania w czasie wojny broni gazowej i bakterjologicznej. Uprawiano z tą t. zw. „humanizacją wojny" dużo demagogji. Niewątpliwie broń ta, która nosi nazwę „naukowej", jest najbardziej okrutną i nieludzką, gdyż godzi nietylko w kombatantów, ale i w ludność cywilną, w kobiety i dzieci i zamienia wojnę na ekspedycję eksterminacyjną. Ale przecież zakazy używania tej broni, istniejące już przed wojną, zostały wypisane wyraźnie w ostat-

nich traktatach pokojowych oraz w protokóle z 17 marca 1925 r. przyjętym przez 40 państw! Niestety „cała historja nas poucza — zauważył jeden z delegatów — że prawa wojny respektuje się tylko w czasie pokoju". By zakaz był w czasie wojny skutecznym, trzeba obostrzyć go ostremi sankcjami, jak to zrobił projekt francuski. W przeciwnym razie zakaz da narodom tylko iluzję bezpieczeństwa. „Będzie uczciwiej — mówił p. Marinkowicz — jeśli powiemy prawdę opinji publicznej świata i przyszłym ofiarom wojny gazowej, niż żebyśmy łudzić je mieli fałszywem bezpieczeństwem".

Istotnie, bez sankcyj zakaz taki byłby bez żadnego znaczenia. Chloru i fosgenu używa się w czasie pokoju do produkcji farmaceutycznej, nie można więc zakazać jego wytwarzania. Państwo, posiadające — jak Niemcy — wielki przemysł chemiczny, może w czasie wojny bez trudu uzyskać wielkie ilości tej straszliwej broni. Wyobraźmy sobie, że jego sąsiad, liczący na przestrzeganie zakazu używania broni gazowej i bakterjologicznej, zostaje przezeń napadniętym. Czyż napastnik, który popełnił zbrodnię już przez sam fakt agresji (przekroczenie Paktu Ligi i Paktu paryskiego), będzie miał skrupuły z używaniem gazów, jeśli nie będzie nad nim wisieć groźba represji ze strony „żandarma międzynarodowego", o którym mówił Tardieu?

Jednak Anglicy, Amerykanie, Niemcy, Włosi sankcji przeciw państwu, posługującemu się gazami, nie przewidują.

Rozbrojenie kwalitatywne.

Sir John Simons, był pierwszym, który użył wyrażenia: „broń agresywna" i „broń ofensywna", rozumiejąc przez nie te rodzaje narzędzi wojennych, jak ciężka artylerja, aeroplany bombonośne, czołgi i nawet łodzie podwodne, które rzekomo mają służyć celom „agresji" i z tego powodu winny być zakazane. Byłoby to t. zw. rozbrojenie kwalitatywne. Premjer francuski zauważył na to słusznie, że „ofensywa" jest pojęciem strategicznem, i że także państwo napadnięte musi w pewnej chwili przystąpić do ofensywy. Nie można go zatem pozbawiać pewnych rodzajów broni, zwłaszcza, że napastnik, złamawszy już raz prawo, złamie na pewno i za-

kaz używania broni „agresywnych". Projekt francuski przewiduje oddanie tych rodzajów broni do dyspozycji Ligi Narodów, któraby je następnie przekazała państwu napadniętemu. Inne projekty żądają tylko zakazu ich używania w czasie wojny.

Warto zauważyć, że W. Brytanja nawet łodzie podwodne, typową broń defensywną zaliczyła do „agresywnej", gdyż... Francja dysponuje aż 110 takiemi łodziami o pojemności 98.000 ton, nie uznała zaś za broń „agresywną" czy „ofensywną" aero-matek (porte-aeronefs, okręty służące za bazy dla hydroplanów). Podobnie Stany Zjednoczone. Oba państwa bowiem dysponują największą ilością tych ogromnych i kosztownych okrętów, które ofensywę powietrzną mogą zanieść w dalekie strony. Zato Włochy żądają zniesienia aero-matek, bo nie mają ani jednej, oraz łodzi podwodnych, bo Francja ma w nich przewagę. Ograniczenia tonażu wielkich okrętów do 10 tys. ton, żądają wszystkie państwa z wyjątkiem Ameryki i Anglji, które w kategorji okrętów linjowych od 20 do 30 tys. ton, posiadają niekwestjonowaną supremację. Stany Zjednoczone radeby widzieć zniszczenie artylerji ciężkiej lądowej, której nie potrzebują, ale nie wspominają o zmniejszeniu kalibru dział morskich na swych pancernikach. Wreszcie Niemcy, pozbawione w Traktacie Wersalskim prawa posiadania artylerji ciężkiej, awiacji wojskowej, okrętów ponad 10 tys. ton, łodzi podwodnych, aero-matek, czołgów, fortyfikacyj (częściowo), gazów i armji z ogólnego poboru, żądają zniesienia tego wszystkiego u wszystkich innych narodów. Zato oponują przeciw umiędzynarodowieniu lotnictwa cywilnego, gdyż w Niemczech lotnictwo to doszło do niesłychanego rozwoju.

Każdy więc chce rozbroić swych sąsiadów.

Przypomina się tu bajka opowiedziana przez p. Modariagę: Zebrały się raz zwierzęta, czy przeprowadzić rozbrojenie. Lew, spoglądając na orła, zaproponował zniesienie szponów. Orzeł, patrząc zukosa na byka, oświadczył, że trzeba obciąć rogi. Byk, kierując swe spojrzenie ku tygrysowi, zaryczał: trzeba usunąć łapy a przedewszystkiem pazury. Wkońcu zaś niedźwiedź zamruczał: trzeba zniszczyć wszystkie rodzaje broni. Wówczas będziemy się mogli wszyscy uścisnąć...

Wiadomo, kto byłby tym niedźwiedziem, któryby chciał rozbrojone bez żadnej gwarancji bezpieczeństwa narody „uścisnąć"!

P. Litwinow śmiał się serdecznie z anegdoty dowcipnego dyplomaty hiszpańskiego...

Zrównanie Niemiec z innemi państwami.

Art. 53 proponowanej konwencji rozbrojeniowej mówi: „Konwencja nie narusza w niczem przepisów traktatów poprzednich, w których państwa kontrahujące przyjęły ograniczenie swych zbrojeń lądowych, morskich i powietrznych".

Już w Komisji Przygotowawczej p. Bernsdorf zaprotestował przeciw temu przepisowi, który potwierdza ograniczenia zbrojeń, zawarte w traktatach pokojowych. Chodzi tu o cztery państwa pobite: Niemcy, Austrję, Węgry i Bułgarję. Niemcy czynią ze zniesienia tych ograniczeń główny przedmiot swych zainteresowań i główny warunek, od przyjęcia którego uzależniają nietylko podpisanie konwencji, ale — jak się poufnie mówi — i swój dalszy udział w pracach Konferencji. Kanclerz Brüning w swej mowie poruszył prawie wyłącznie zagadnienie zrównania Niemiec z innemi państwami pod względem zbrojeń, rzucając ponętną formułę: równe prawa i równe bezpieczeństwo dla wszystkich narodów. Niemcy powołują się na fakt, że wszyscy członkowie Ligi są równi. Zrównanie zbrojeń pragną przeprowadzić na tym poziomie, jakie im przepisał Traktat Wersalski (100 tys. żołnierzy z werbunku).

Wielką pomoc przyniósł im w ostatnim czasie zwrot w polityce zagranicznej Włoch. Delegat włoski na Konferencji popiera zarówno zasadę zrównania Niemiec, jak i żądanie radykalnego i bezwarunkowego zmniejszenia zbrojeń. Jeszcze w r. 1930 Mussolini mówił o „piękności karabinów maszynowych" i stawiał żądanie zrównania zbrojeń morskich Włoch nietylko z Francją, ale z „największą morską potęgą świata", ubolewając, że Włochy nie mają środków na realizację tego prawa — a obecnie kolportuje się w Genewie jego oświadczenie, że gotów jest zmniejszyć armję włoską do 10 tys. karabinów, jeśli i inne państwa to zrobią. Taktyka włoska w Genewie jest widoczną grą na zmuszenie

Francji do ustępstw w dziedzinie kolonjalnej, ale narazie przynosi pomoc tezie niemieckiej. Ze względu na delikatny charakter tego zagadnienia, dyskusja nad niem odracza się stale, mimo nalegań Niemców, w nadziei, że znajdzie się jakiś kompromis. O zrównaniu faktycznem Niemiec w każdym razie nie może być mowy. Stosunek sił w Europie uległby bowiem wtedy, zwłaszcza gdy się uwzględni wysoki *potentiel de guerre* Niemiec (liczba ludności, rozwinięty przemysł) tak radykalnej zmianie, że żaden polityk, nietylko francuski, ale i brytyjski i włoski, nie może myśleć o takiej groźnej w skutkach likwidacji zwycięstw z r. 1918.

Projekt konwencji rozbrojeniowej.

Projekt konwencji rozbrojeniowej nie zawiera żadnej cyfry. Podaje tylko metodę przeprowadzenia limitacji i redukcji zbrojeń. Cyfry ma wpisać dopiero Konferencja.

I co do niektórych szczegółów tej metody, panują wśród uczestników Konferencji różnice zdań. Projekt przewiduje np. ustalenie cyfrowego stanu wojska, powstałego z ogólnego poboru oraz ograniczenie lat służby pod bronią. Niemcy żądają jednak uwzględnienia w programie redukcji także wyćwiczonych rezerw, jakie istnieją w krajach o powszechnej służbie wojskowej, a których oni z powodu 12-letniej służby ochotniczej w tak wielkiej ilości nie posiadają. Projekt przewiduje dalej ograniczenie materjału wojskowego pośrednie, t. j. budżetowe (ograniczenie wydatków na materjał), tymczasem Niemcy, Sowiety i Stany Zjednoczone, żądają ograniczenia bezpośredniego, t. j. według kategorji i liczby. Niemcy protestują również przeciw temu, że ograniczenie awiacji wojskowej (według liczby i siły motorowej aparatów) obejmować ma tylko aparaty, pozostające w służbie czynnej i rezerwie, a wyklucza aparaty, jakie wszystkie państwa posiadają w stockach (zdemontowane). Rozbrojenie morskie polegać ma na ograniczeniu ilości okrętów według kategorji, ale Włochy nie wypowiedziały się wcale w tej sprawie, gdyż nie zostały ustalone dotąd proporcje posiadanego przez państwa maximum tonażu. Wiadomo, że Włochy dążą do zrównania się na morzach z Francją, i że dążenie to napotyka na trudności. Dalej, Stany Zjednoczone

odrzucają ograniczenie globalnej sumy wydatków na zbrojenia, przewidziane w konwencji, jako sprzeczne z zasadą suwerenności budżetowej państw. Również w sprawie organizacji kontroli międzynarodowej i wymiany informacyj o stanie zbrojeń, istnieją między delegacjami drobne różnice poglądów. Ponad wszystkiemi temi trudnościami górują jednak różnice stanowisk zasadniczych, o których wyżej pisałem.

Horoskopy.

„Świat — mówił we wstępnem przemówieniu p. Artur Henderson — domaga się rozbrojenia. Świat potrzebuje rozbrojenia. W naszej jest mocy ukształtować historję przyszłości. Ponad wszystkiemi zagadnieniami technicznemi, dotyczącemi cyfrowych stanów wojska, liczby armat, tonażu i t. d., postawić trzeba pomyślność ludzkości i przyszłości rozwoju naszej cywilizacji".

Podobnym głosem przemawiało 8 miljonów podpisów, które kobiety wszystkich krajów złożyły na stole Konferencji. Delegacje czują, że znajdują się pod kontrolą opinji publicznej świata i że w ich mocy leży spełnić lub zawieść wielką nadzieję ludzkości. Działa na nich nieustannie silny teror moralny opinji, śledzącej pilnie zwłaszcza na zachodzie debaty tej „konferencji bez precedensu w dziejach", tego — jak tylekroć zaznaczono — „najdonioślejszego zgromadzenia międzynarodowego, jakie zebrało się od końca wojny światowej".

Działa inny jeszcze teror: lęk przed niepowodzeniem. „Nie chcę nawet myśleć — mówił jeden z delegatów — o możliwości niepowodzenia, gdyż nikt nie może przepowiedzieć jego skutków..." Taki ostrożny dyplomata, jak Hymans, wypisał na ścianie nowe Mane, Tekel, Fares, trzy słowa: wojna, bankructwo, rewolucja, trzy katastrofy, które czekają ludkość, gdyby zbrojenia szły dalej w obecnym rytmie. Nawet Tardieu, urodzony optymista, oświadczył: „Jeśli rozejdziemy się z niczem, to będzie to upadek największej nadziei, jaką miała ludzkość, bankructwo misji bardzo jasnej i całkowicie realnej, jaką nam powierzono, słowem wielka katastrofa". A delegat Afryki Południowej

de Water, przewidując, że na ten wypadek państwa zamorskie będą szukały poza Europą „świata żyjącego w pokoju", prosił: „Nie odsuwajcie nas waszemi ambicjami od waszego progu, wbrew naszej woli!"...

Ta panika przed rozbiciem lub niepowodzeniem Konferencji, ułatwi niejeden trudny kompromis i nie dopuści, by delegacje rozjechały się z próżnemi rękami. *Possunt, quia posse videntur.* Jakaś konwencja, może tylko stabilizująca lub nieznacznie redukująca obecny poziom zbrojeń, zakazująca niektórych, szczególnie morderczych i nieludzkich narzędzi wojny, ustanawiająca kontrolę i przewidująca następną Konferenję w określonym terminie — dojdzie — trzeba się spodziewać — do skutku. Będzie to krok pierwszy na trudnej i nowej drodze. Każda konferencja będzie przygotowaniem drugiej, będzie zakończeniem jednego etapu i rozpoczęciem drugiego. Idea ograniczenia zbrojeń, nie zejdzie już z porządku dziennego. Nacisk opinji publicznej już teraz jest tak wielki, że mimo niepomyślnych warunków, w jakich zbierała się obecna Konferencja, żaden rząd nie miał odwagi zaproponować jej odroczenia. „Rendez-vous jest dane, musimy stanąć na miejscu" — oświadczył Briand, gdy podnosiły się głosy za odroczeniem. Wszystkie narody, wszystkie religje i wszystkie niemal stronnictwa — zwracają do Genewy swoje życzenia. Jakiś powiew idealizmu przechodzi przez 60 delegacyj, które dzieli zresztą tyle interesów, niechęci i uprzedzeń, jakiś głos woła je wszystkie do wspólnej walki o lepsze jutro świata, jakieś straszne wspomnienie nakazuje im usunąć z horyzontów przyszłości koszmar wojny. Może to głos instynktu, który szepcze, że nowa wojna mogłaby — jak wyraził się jeden z delegatów — wytępić rodzaj ludzki, a może to tylko przejściowa reakcja pokolenia, które nosi na sobie blizny wojenne? Oby to był głos z góry, poruszający sumienia, głos tak szczęśliwie przypomniany przez katolickiego prezydenta Szwajcarji, Mottę: „Błogosławieni pokój czyniący, albowiem nazwani będą Synami Bożymi".

Jan Matyasik.

O. Marjan Morawski.

(Z powodu książki o nim).[1])

Jeden z najznakomitszych w Kościele polskim mężów z drugiej połowy 19 stulecia czekał dobre trzydzieści lat na swoją biografję. Po śmierci O. Marjana Morawskiego, 6 maja 1901 r., poświęcono jego pięknej postaci wiele ciepłych wspomnień w bieżącej prasie, które, naturalnie, raz odczytane, poginęły w koszach; poza tem żył on w pamięci tych, co go osobiście znali, jego uczniów, współpracowników, rodziny, zatem koła ludzi z biegiem czasu wciąż malejącego; dorastające pokolenie, nawet duchowieństwo młodsze, zna znakomitego polskiego myśliciela już tylko jako autora kilku dotąd bardzo poczytnych książek.

Że książka o Marjanie Morawskim ukazała się tak późno, to trzeba wytłumaczyć i wyrozumieć. Mógł ją napisać tylko jeden z jego braci zakonnych, ktoś, kto na życie jego patrzał zbliska, kto z nim obcował, wreszcie kto w znajomości Instytutu Towarzystwa Jezusowego posiadł klucz do zrozumienia duchowej fizjognomji zmarłego, ukształtowanej w tej szkole. Słowem dobrą monografję O. Morawskiego napisać mógł jedynie Jezuita. Tymczasem (może to, co powiem, wydać się dziwnem) praca pisarska w polskiej prowincji Towarzystwa jest niezwykle utrudniona. Zakon w byłej Galicji, a obecnie na rozszerzonym terenie działalności w całej Polsce, przy swoich szczupłych szeregach, był i jest nastawiony przedewszystkiem na apostolstwo żywego słowa, roz-

[1]) Ks. Józef Tuszowski T. J.: *O. Marjan Morawski* (1845—1901). Kraków 1932, Wydawnictwo Księży Jezuitów, str. 446, ilustr.

rywany przez misje ludowe, mnożące się w nieskończoność rekolekcje, pracę w szkole. Praca pisarska zajmuje stanowisko podrzędne, przeważnie pomocnicze, skierowane na produkcję o charakterze bezpośrednio apostolskim. Niechaj to posłuży na usprawiedliwienie polskich Jezuitów, jeżeliby ktoś chciał porównywać ich pracę naukową piórem i zasługi na tem polu z pracą i zasługami tego rodzaju ich braci zakonnych w innych krajach. Zaryzykujemy twierdzenie, że ś. p. Ojciec Morawski nie byłby zajął takiej pozycji w polskiem piśmiennictwie katolickiem, gdyby mu Bóg nie był odmówił fizycznego zdrowia. Przy pełni sił byłaby jego gorliwość apostolska zaniosła go zapewne gdzieś do Japonji, jak o tem od początku swego powołania marzył, lub uczyniła z niego wędrownego konferencjonistę, — czy zaś miałby czas w takich warunkach, by wgłębiać się w zagadnienia filozofji i teologji, interesować się życiem publicznem społeczeństwa, jego literaturą i sztuką, a zwłaszcza by owoc swego myślenia piórem utrwalać? W podobnem położeniu znalazł się jego biograf. Praca na ambonie, wyjazdy z posługami duchownemi, wielokrotny zarząd domami zakonnemi i inne zajęcia rozpraszające wytrąciły O. Józefowi Tuszowskiemu na długo pióro z ręki, tak że dopiero zmęczony apostolską pracą, „u schyłku życia" jak sam pisze, podjął to pióro, by „zadość uczynić odczuwanej przez lat trzydzieści potrzebie serca", oddając hołd wyjątkowo pięknej i bogatej duszy O. Marjana, pod którego kierunkiem niegdyś do pisania się zaprawiał. Oto dlaczego książkę o ks. Morawskim otrzymujemy tak późno!

Dane do wywiązania się dobrze z postawionego sobie zadania miał autor niemałe. Pomińmy pietyzm osobisty dla O. Marjana: był mu ten pietyzm zachętą do pracy, ale autor bronił się, by wpływ jego nie zmącił mu objektywizmu sądu, nie przystroił postaci Zmarłego w idealizowaną legendę. Pomińmy, że w myśl postawionego wyżej postulatu autor jest Jezuitą, co pozwoliło mu zajrzeć w głąb duszy opisywanego Bohatera. Ale nadto O. Tuszowski pozostawał z O. Marjanem w ostatnich latach jego życia w najściślejszych stosunkach: pod jego kierunkiem współpracował w *Przeglądzie Powszechnym*, towarzyszył mu kilkakrotnie

w jego podróżach w poszukiwaniu zdrowia, czytywał z nim razem książki, słuchał jego o nich uwag, przyjmował zwierzenia z jego myśli i planów, czuwał w ostatnich dniach przy jego śmiertelnem łożu. Wreszcie O. Tuszowski zna jak rzadko kto owo środowisko społeczne, które wydało O. Marjana, kształtowało jego dzieciństwo i z którem Zmarły utrzymywał do końca życia bliskie stosunki. Wykształcenie ogólne, oczytanie przedewszystkiem w literaturze francuskiej, dokładna znajomość historji sztuki i subtelny zmysł estetyczny, wreszcie szerokie obycie w świecie ułatwiały autorowi chwytanie na żywo takich cech i upodobań O. Marjana, które byłyby uszły łatwo uwagi innego obserwatora. Na jedną zaś wielką trudność natrafił autor, trudność, z którą zresztą musiałby był spotkać się każdy inny biograf O. Marjana, mianowicie na brak materjału archiwalnego, któryby pozwolił objąć cały zasięg działalności Zmarłego i wpływów jego na współczesnych ludzi. Udało się wprawdzie O. Tuszowskiemu zgromadzić sporo listów, pisanych przez O. Marjana do kilku osób, ale to niechybnie jest zaledwie małą cząstką jego korespondencji, natomiast niema prawie żadnych listów, pisanych do O. Marjana, gdyż ten dziwnie bezpretensjonalny człowiek miał zwyczaj, niekoniecznie pochwały godny, rzucania do kosza wszelkiej korespondencji natychmiast po jej załatwieniu. Tacy mądrzy i dobrzy ludzie często wyrządzają podobne psoty swoim przyszłym biografom...

W ramach możliwości, jakiemi rozporządzał, wywiązał się O. Tuszowski z zadania... bardzo dobrze — żeby nie użyć silniejszej klasy i nie zostać posądzonym o pochlebstwo. Recenzent (podobnież czytelnik!) musi pamiętać, że ma przed oczami książkę autora, który tak długo nie używał pióra, chyba dla przygotowywania kazań i konferencyj lub pisania listów. Tem większej pochwały godną jest giętkość stylu, czystość języka, cała kulturalna i literacka kanwa i oprawa książki. Pierwsze rozdziały pracy mogą się jeszcze wydać nieco przeciążone mniej ważnemi szczegółami, pisane językiem nieco za rozlewnym, trochę przestarzałym, lecz w miarę posuwania się naprzód, autor, chociaż towarzyszy postępowi w latach swego bohatera, sam się widocznie odmładza, styl jego coraz bardziej jędrnieje, uwypukla się,

staje się zwięzły i prosty. Ostatnie dwa rozdziały czyta się już z pełnią estetycznego zadowolenia. Takie naprz. wspomnienia z podróży O. Marjana wraz z autorem po Egipcie i Grecji, chociaż odtworzone z pamięci po tylu latach, tchną świeżością barw i humorem rysunku. Wobec tego takie swoistości pióra autora, jak system interpunkcji (obfitość przecinków i średników), jak zbyteczna dokładność w cytowaniu książek (zaznacza nietylko rok wydania i firmę, ale często drukarnię!), jak obfitość genealogicznych wskazówek, jak pewne reminiscencje literackie i inne tym podobne drobiazgi, chętnie autorowi przebaczy nawet wymagający recenzent, który, jeśli je wymienia, to chyba tylko z nadmiaru posłuszeństwa szablonom swego rzemiosła.

Do najpoważniejszych zastrzeżeń, jakie możnaby poczynić co do budowy monografji, należałyby następujące: po pierwsze zbyt wielkie — w porównaniu do całości książki — rozmiary rozdziału pierwszego, opowiadającego o rodzicach i antenatach O. Marjana;[1]) następnie pewne przerzuty, jak umieszczenie w tymże pierwszym rozdziale odwiedzin przez ks. Marjana jego ojca ks. Wojciecha w ostatniej jego chorobie, co byłoby bardziej na miejscu w odpowiednim rozdziale właściwej biografji O. Marjana (rozdziale piątym); wreszcie wciągnięcie do tekstu niektórych dłuższych listów, które *in extenso* nie są potrzebne do uwypuklenia postaci opisywanej. Że trudno znaleźć poważniejsze zarzuty, to już to samo świadczy o literackiej wartości dzieła.

Ale przypatrzmy się już samej postaci O. Marjana Morawskiego, w ujęciu jej przez ks. J. Tuszowskiego.

Ramy zewnętrzne życia O. Marjana nie przedstawiają się jako bogate i złożone. Urodzony w r. 1845, traci w ósmym roku życia matkę i wkrótce wychowaniem jego, jak i nauką, zajmują się francuscy Jezuici, gdyż ojciec jego, po uporządkowaniu najpilniejszych spraw rodzinnych, poświęcił się sam stanowi duchownemu. W kolegjum jezuickiem w Metz, pod koniec nauk gimnazjalnych, zjawia się w młodzieńcu powo-

[1]) Swoją drogą bez tego czytelnik nie poznałby tak ciekawych postaci, jakiemi były ojciec ks. Marjana, ksiądz Wojciech Morawski, lub „babunia" Paula, którzy zapewne nie doczekają się osobnej książki.

łanie zakonne, któremu posłuszny, bez walk wewnętrznych, ani zewnętrznych trudności, wkrótce zamknie się w nowicjacie w Starejwsi. Tam także przejdzie kurs filozoficzny, a po nim teologję ukończy w Krakowie, wciąż w ramach zwyczajnych studjów swego Zakonu. Wyświęcony na kapłana, zazna pracy apostolskiej wśród jeńców francuskich w Poznaniu; po teologji odprawi w tejże Starejwsi rok trzeciej probacji, jakby powtórnego nowicjatu, i na kilka lat pozostanie tamże w charakterze profesora filozofji i wychowawcy zakonnej młodzieży. Po trzech latach jeszcze rektoratu w konwikcie tarnopolskim stanowisko jego się utrwala: zostaje wezwany do Krakowa, gdzie mu władza zakonna powierza zadanie założenia miesięcznika naukowego. Na stanowisku redaktora *Przeglądu Powszechnego* pozostaje przeszło siedemnaście lat aż do swojej przedwczesnej śmierci (1884—1901). Przez kilka lat zajmuje także katedrę teologji dogmatycznej na Uniwersytecie Jagiellońskim. Prawda, że jako redaktor *Przeglądu* dużo i często podróżuje, ale te podróże nie są podejmowane wprost z literackich czy naukowych zainteresowań, tylko z konieczności ratowania zdrowia, trapionego przewlekłą chorobą. Przemierza różnemi sposobami lokomocji przestrzenie od Helgolandu do katarakt nilowych, od rodzimego Podola do Algeru. Tym sposobem choroba staje się dlań pośrednio czynnikiem wzbogacającym umysł i wyobraźnię; gdyby nie ona, nie posiadalibyśmy takich pereł z pod jego pióra, jak *U stóp Sfinksa*, lub *Kilka dni u Kabylów*.

Jeszcze raz powtarzamy, że zewnętrzne ramy życia O. Marjana były proste, niezbyt urozmaicone. Wypływało to częściowo z charakteru zakonnego powołania, usuwającego swoich adeptów od udziału w wielkich sprawach publicznego życia. Ponadto ks. Morawski to Polak z epoki najsmutniejszej w dziejach swego narodu: czyż wielu współczesnych mu rodaków znalazło możność wszechstronnego rozwinięcia swoich talentów, zajaśnienia na niebie polityki czy kultury tak, by świat musiał ich zauważyć i słuchać? Ówczesny patrjotyzm musiał ograniczać się do cichej pracy nad zachowaniem, pomimo wrogich warunków, ocalonych z rozbicia narodowych i duchowych wartości. Wielką histo-

rję tworzyli wtedy inni, obcy ludzie. Zakon, do którego ks. Morawski należał, wykonywał w kraju taką właśnie cichą, niepozorną pracę nad zachowaniem i pogłębieniem religijności polskiego społeczeństwa. Otóż, o ile ta praca wyraziła się w pewnych śmiałych posunięciach, w stworzeniu pewnych trwalszych, a podpadających pod zmysły dzieł, nie obchodziło się to bez udziału ks. Marjana. Założenie takiego konwiktu chyrowskiego, który dał krajowi tylu pożytecznych pracowników, a zarazem katolików gorliwych, było urzeczywistnieniem jego marzeń i doszło do skutku częściowo dzięki wniesionemu przezeń do zakonu funduszowi z ojcowizny. Misja podlaska Jezuitów, która pomogła setkom tysięcy unitów ocalić wiarę ojców i doczekać się lepszego jutra, była owocem starań O. Marjana; on pierwszy w Zakonie powziął i wobec przełożonych forsował plan takiej misji, on się do niej wyrywał i nią się do końca interesował.

Największą, oczywiście, jego zasługą jest rozwinięcie w prowincji dzieła pisarskiego, o którem marzył jeszcze będąc klerykiem. Jako założyciel najpoważniejszego w prowincji czasopisma, długoletni jego redaktor i przełożony kolegjum pisarzy, O. Marjan to dzieło oparł na trwałych podstawach, wytknął mu kierunek i wytworzył tradycję. Ks. Tuszowski, stawiając O. Marjana wobec zadania założenia poważnego miesięcznika katolickiego, widzi go jakby w pośród ciemnego lasu trudności. Możeby jednak ową dantejską *selva selvaggia* zamienić raczej na obraz nieuprawionego stepu, na którym przyszło ks. Morawskiemu odwalać pierwsze bruzdy. Pomimo braku uprzedniego wyszkolenia, przy braku także doświadczonych współpracowników, ks. Morawski taką pewną ręką poprowadził chwycony pług, że założony przezeń *Przegląd Powszechny* rychło prześcignął powodzeniem nieliczne ówczesne miesięczniki polskie.[1]) Inne działy wydawnictwa Księży Jezuitów, dziś takiem cieszące się uznaniem, zostały także jużto zapoczątkowane, jużto pchnięte naprzód za jego kierownictwa.

---

[1]) Pewien humorysta krakowski wyraził powodzenie nowego pisma w rysunku, przedstawiającym zwycięski wyścig konny ks. Morawskiego z wydawcą *Przeglądu Polskiego*, prof. St. Tarnowskim.

Pisarstwo też okazało się właściwem powołaniem O. Morawskiego, w niem znalazł on sposób oddziaływania na współczesnych, czego nie było mu danem osiągnąć w zawodzie misyjnym. To też w książce O. Tuszowskiego występuje on na pierwszy plan jako pisarz, i głównie na podstawie jego pism uwypukla biograf rysy, charakteryzujące jego umysłowość i wogóle jego duszę.

Przedstawia go nam autor jako typowego humanistę-klasyka, jak tego rodzaju umysły opisze w trzydzieści lat po śmierci O. Marjana Wiktor Giraud w *Revue des Deux Mondes*. Wykształcona w szkole na wzorach starożytności myśl O. Morawskiego nabiera właściwych klasykom przymiotów: pogody, umiaru, jasności. Utwory O. Marjana właśnie temi zaletami pociągają. Posiadał on duszę wrażliwą na piękno (mniej znał się na muzyce — zauważa autor), był z natury uczuciowy, ale właśnie nad uczuciowością daje on prymat rozumowi, jemu każe panować nad wyobraźnią, ważyć, miarkować i porządkować wszystkie uczucia i zamieniać je na skrystalizowane myśli. Dlatego utwory jego są dziełami sztuki w szlachetnym klasycznym stylu, — są przedewszystkiem arcydziełami jasności. Posługujący się prawie od dzieciństwa i przez cały czas studjów więcej mową francuską (potem łacińską), niż językiem ojczystym, odczuwał długo trudności w posługiwaniu się polszczyzną i może pewnych jej subtelności nigdy nie opanował; mimo to jego książki i artykuły czyta się z największą estetyczną satysfakcją — właśnie dzięki klasycznej przejrzystości myśli. Spostrzega się niejednokrotnie, że ten lub ów wyraz, często pochodzeniem obcy, dałby się zamienić na bardziej swojski, że możnaby przebudować tu i ówdzie szyk wyrazów, ale niepodobna nigdy wyobrazić sobie, by się dało myśl autora wypowiedzieć prościej, krócej i przejrzyściej. Rozbiór faktury literackiej *Wieczorów nad Lemanem*, dokonany *con amore* przez autora, wykazuje czem ta książka tak pociąga i przykuwa do siebie czytelników. Obok doniosłości samej treści, pociąga ona tem, że ks. Morawski wprowadził do swego dialogu krótkie zewnętrzne charakterystyki osób dyskutujących, uprzedzając w tem Juljana Klaczkę z jego *Wieczorami Florenckiemi*. Czytelnik staje się odrazu jakby

współbiesiadnikiem żywych, mocno zarysowanych indywidualności.

Z tą klasycznością O. Morawskiego wiąże O. Tuszowski inny rys jego umysłowości — konstruktywność. Wykrywa ją w budowie najważniejszych utworów O. Marjana: w *Celowości w naturze*, w *Wieczorach nad Lemanem*, w *Świętych Obcowaniu*, w takiem omawianiu bieżących spraw, by z poszczególnych artykułów mogła się zczasem złożyć całość *Podstaw etyki i prawa*. Tę konstruktywność umożliwiało myślicielowi posiadanie granitowych zasad katolickiego światopoglądu, do których sprowadzał, z któremi zestawiał i w świetle których oceniał wszystkie bieżące wypadki. Takie też zadanie nakreślił był *Przeglądowi Powszechnemu* i taką swem piórem wyrobił redakcyjną tradycję.

Syntetyczno-konstruktywnej zdolności nie ustępowała wnikliwość, z jaką ks. Marjan umiał analizować cudze utwory i inne umysłowości. Ks. Tuszowski przytacza jako przykłady subtelności jego analizy artykuły o Renanie, Tołstoju, Sołowiewie, i o *Bez dogmatu* Sienkiewicza. Zwłaszcza artykuł *W czem tkwi siła Renana* może być zdaniem autora postawiona ponad wszystko, co napisano o umysłowości Renana i wyjaśnia zagadkę wielkiego powodzenia tego błyskotliwego choć płytkiego pisarza.

Inny rys, charakterystyczny już nietylko dla umysłowej ale i moralnej strony O. Morawskiego, polegał na tem, że nie lubił on polemiki i unikał jej, ile mógł, przekładając jasny, pogodny wykład swoich własnych myśli nad zbijanie cudzych. Atoli kilkakrotnie widział się zmuszonym odstąpić od tej zasady. Ks. Tuszowski omawia obszerniej polemikę O. Morawskiego z A. Mahrburgiem i z Stan. Witkiewiczem. Rozprawa z Mahrburgiem, który napadł na *Celowość w naturze*, zdaniem autora „jest najpiękniejszym wzorem filozoficznej polemiki, jaki wyszedł z pod polskiego pióra" i nie mniejszą ma wartość, niż książka, której broni. Przeciwko Witkiewiczowi wystąpił O. Morawski z powodu jego książki *Sztuka i krytyka u nas*, umieszczając w *Przeglądzie* trzy artykuły, objęte potem wspólnym tytułem: *W sprawie Sztuki*. Zapatrywania O. Marjana na sztukę wywołały gwałtowną replikę za strony Witkiewicza, traktują-

cego z wyniosłością i lekceważeniem zwłaszcza postulaty księdza redaktora co do sztuki religijnej. Na tę replikę, — O. Marjan wcale już nie odpowiedział. Poniekąd zastępuje go w tem obecnie jego biograf, prostując sądy Witkiewicza na podstawie poważnych francuskich krytyków sztuki, tudzież wykazując, że porozumienie wzajemne ks. Morawskiego i Witkiewicza nie mogło nastąpić z powodu braku u tego drugiego — wyczucia nadprzyrodzonych rzeczywistości. Przytoczone przez autora próbki polemicznych wystąpień O. Morawskiego odsłaniają subtelną delikatność jego duszy: zmuszony do odpierania błędnych zdań, unikał on wszystkiego, co mogłoby błądzących osobiście dotknąć, starał się wniknąć w ich pobudki i wyrozumieć ich.

Do ocenienia charakteru całej działalności pisarskiej O. Morawskiego, tak płodnej a rozmaitej, nie należy zapominać o pobudce, która nią kierowała. Jest nią gorliwość kapłana-jezuity, niedoszłego misjonarza Japonji i Podlasia. Praca piórem była w jego oczach tylko rodzajem apostolstwa, sposobem pozyskiwania umysłów dla katolickiej prawdy i serc dla Boga. Tem tłumaczy się zarówno dobór przedmiotów, które omawiał, jak i forma, w jaką swe myśli przybierał. Umysł wybitnie filozoficzny, poniechał wszakże zagadnień zbyt abstrakcyjnych, teoretycznych, od życia zbyt dalekich, a z predylekcją zwracał się do tematów, które narzucał duch czasu, a których katolickie oświetlenie mogło bezpośrednio wywrzeć wpływ. Filozofji dla samego filozofowania, jak sztuki dla sztuki, nie uznawał. Pomijając już luźne artykuły w *Przeglądzie*, w których dotykał aktualnych w danej chwili spraw, nawet największe jego dzieła, jak *Celowość*, *Wieczory* i *Świętych Obcowanie*, noszą piętno życiowości i praktyczności. W *Celowości* chodziło mu o rozwinięcie najpopularniejszego i najbardziej dostępnego dowodu istnienia Boga, *Wieczory* miały być kompendjum apologetyki przeciwko nowoczesnemu racjonalizmowi i sceptycyzmowi, nareszcie w *Obcowaniu* chciał zawrzeć samą istotę chrystjanizmu, jako związku ludzkości z Bogiem. Ks. Tuszowski przyrównywa całą działalność pisarską O. Marjana do nieprzerwanego górskiego łańcucha, w którym wymienione trzy utwory wznoszą się jako szczyty dominujące. Z tychże prak-

tycznych względów — obok omówionej wyżej klasycznej jasności — unikał przeciążania swoich utworów balastem erudycji, zapuszczania się w poboczne szczegóły, słowem całej owej niemieckiej „gruntowności", która czyni, że tak pisane dzieła dostępne są zaledwie dla garstki wtajemniczonych i cierpliwych fachowców. O. Morawski, w przedmowie do *Świętych Obcowania* wypowiedział się jasno pod tym względem: jego zdaniem, nawet o najgłębszych teologicznych zagadnieniach można pisać tak, że każdy inteligentny człowiek je zrozumie. I tak rzeczywiście pisał. Dlatego każda jego książka to nie tyle dzieło szkolarskiej uczoności, ile dzieło sztuki trafiania do umysłów.

Autor książki o ks. Morawskim zwraca uwagę na sposób, w jaki rozwijała się umysłowość O. Marjana. Bo że pewien rozwój w nim musiał być, to rzecz naturalna, przecież sam on patrzał w późniejszych latach na swoją książkę *Filozofja i jej zadanie*, tak zresztą cenioną przez innych, jako na „grzech swej młodości". Otóż cechą jego rozwoju była ciągłość bez żadnych przeskoków, bez zmian gwałtownych, nawracań się od jednych poglądów do wręcz przeciwnych. Był to — dodamy od siebie wślad za Wincentym z Liryny — rozwój normalny zdrowego myślowego organizmu wciąż w tym samym kierunku, *in eodem sensu et in eadem sententia*. Szkoda, że brak dokumentów, mianowicie wykładów na scholastykacie w Starejwsi i na Uniwersytecie Jagiellońskim, nie pozwolił autorowi prześledzić w szczegółach rozwoju filozoficznej myśli O. Marjana począwszy od jego pierwszej profesury aż do *Świętych Obcowania*, od atomizmu do idei mistycznej jedni świata, ludzi i Boga.

Zato lepiej dało się prześledzić i ustalić linję rozwojową życia wewnętrznego O. Marjana, od dzieciństwa począwszy aż do zgonu, bo tu szczęśliwie dochowało się stosunkowo wiele materjału w postaci zapisków duchownych i listów do różnych osób. Te właśnie materjały ks. Tuszowski znakomicie wyzyskał, wykazując nam tę samą spokojną ciągłość wzrostu duchowego swego bohatera od prostych zasad ignacjańskiej ascezy aż do wyżyn prawdziwego mistycyzmu, wzniosłego zarazem i dziecięco prostego. Mistyka jego wyrażała się w tem, że we wszystkiem, na co

patrzał, umiał wyczytać symbol myśli Bożej *(Niebo nocne a dzienne)*; w szczególności w *Świętych Obcowaniu* zamierzał przedstawić życie Boga w duszach ludzkich.

Ten wielki myśliciel i pisarz był przedewszystkiem człowiekiem w Bogu zatopionym, czego dawał dowody w całem swojem życiu zakonnem, w listach do swych duchownych córek, a przedewszystkiem w swojej cudnie prostej a rzewnej *Pielgrzymce życia*, osnutej na rozważaniach dziecięctwa Jezusowego. Rozdział ósmy książki O. Tuszowskiego, duchownej stronie O. Marjana poświęcony, wprowadza nas w samą głąb tej duszy czystej, prostej, szlachetnej, z Bogiem złączonej, ukazuje nam źródło, skąd pochodził cały czar jego obcowania z ludźmi, piękno jego pisarskiego stylu, powodzenie i owocność dokonanych dzieł, wreszcie rozległość zamierzeń, których urzeczywistnić już nie zdążył.

Bo O. Morawski pozostawił także niezrealizowane zamiary. Napisana przezeń część *Świętych Obcowania* to zaledwie cokół wspaniałej budowy, która się rysowała w jego artystycznym konstruktywnym umyśle. Miała ona objąć w jedno wszystkie kręgi Kościoła Chrystusowego: kościół cierpiący, walczący i triumfujący, sprowadzić do mistycznej jedni doczesność z wiecznością, odsłonić życie Boże w duszach rozumnych stworzeń. Książka O. Tuszowskiego, przypominając ten niespełniony program, stawia przed teologją w Polsce jakby zadanie do odrobienia, przekazane w testamencie przez najwybitniejszego jej przedstawiciela i mistrza.

Oczywiście to przypomnienie jest tylko poboczną zasługą książki O. Tuszowskiego. Większą jej zasługą jest to, że pomoże ona niejednemu czytelnikowi utworów O. Morawskiego zrozumieć je gruntowniej, a główną, że pozwoli nam obcować dalej z duszą, jedną z najpiękniejszych, jakie nawiedziły polską ziemię, uczyć się od niej cnót gruntownych i brać przykład i zachętę do zbożnej pracy nad szerzeniem Królestwa Chrystusowego.

Ks. Jan Urban T. J.

Stefan Duszan,
car Serbów i Greków.

Sześćset lat mija, jak na tron serbski wstąpił młodociany syn Stefana Deczańskiego, Duszan. Drogą zamachu wyniesiony w roku 1331 na czoło swego narodu, łączył on męską urodę z wielką energją i silną wolą. Szczęśliwy w walce, rozszerzył Stefan Duszan znacznie granice państwa, wydał słynny *Zakonnik*, najcenniejszą pamiątkę prawodawstwa jugosłowiańskiego i zapewnił bezpieczeństwo poddanym. Posiadając zdolność zjednywania sobie ludzi, otoczył się Duszan najwybitniejszymi wielmożami, na których oparł się w przedsięwziętych przez siebie reformach.

Zebrany przeze mnie poważny materjał źródłowy i literacki umożliwił mi przystąpienie do opracowania okresu panowania cara Stefana, tego najznakomitszego władcy pobratymczego nam narodu, współczesnego naszemu wielkiemu Piastowi. Dzięki współczesnym historykom bizantyjskim: Janowi Kantakuzenosowi i Niceforowi Gregorasowi, miałem możność przedstawienia polityki greckiej cara serbskiego. *Historia Byzantina* Kantakuzena w czterech tomach omawia szczegółowo wypadki bizantyjskie w latach od 1320—1357. W niej miał autor głównie na względzie przedstawienie działalności swojej. Starając się jednak przedstawić siebie w najlepszem świetle, Kantakuzen odnosi się często do swojej działalności bezkrytycznie i plącze chronologję. *Historia Byzantina* Gregorasa zaś specjalnie obszernie omawia stosunki za Stefana Duszana i jego podboje. Chronologja jej jest bardziej dokładna. Zresztą obaj historycy bizan-

tyjscy nie są objektywni w opowiadaniu tego, co się ich osobiście dotyczyło. Dlatego też, mojem zdaniem, trzeba korzystać z obu historyj jednocześnie, gdy obie uzupełniają się wzajemnie.

Wiele cennych materjałów znalazłem w wydawnictwie Ljubić'a *Monumenta spectantia historiam Slavorum meridionalium,* które zawiera liczne dokumenty, oświetlające stosunek cara Stefana do Wenecji.

Prace historyczne obywateli Dubrownika, Mauro Orbiniego i Jakóba Piotra Luccariego, dostarczyły mi wielu szczegółów z bośniacko-serbskich stosunków za Duszana.

Historja Orbiniego *In regno degli slavi oggi corrottamente detti Schiavoni* (drukowana w 1601 r. w Pesaro) przy bogactwie materjałów, zebranych przezeń przeważnie w bibljotekach jego patronów, książąt Urbini i Dubrownika, odznacza się brakiem krytycznym. Autor korzystał ze wszystkich dostępnych mu źródeł i wierzył im ślepo. W jego historji spotyka się ustawiczne sprzeczności; chronologja bywa poplątana, uwydatnia się brak systematyczności i kolejności w planie pracy. Stosunkowo mało miejsca poświęcił Orbini samej historji Dubrownika.

Historja Luccariego *Copioso ristretto degli annali di Rausa,* drukowana w 1605 r. w Wenecji, nacechowana jest bezkrytycznością i brakiem systemu. Luccari, mimo że posiadał do swego rozporządzenia bogate materjały, m. in. państwowe archiwum Dubrownika, czerpał wiadomości przeważnie z cudzoziemskich kronikarzy (Giovanni di Ravenna) i pisarzy, przeplatając je historycznemi opowiadaniami o narodach, z któremi Dubrownik pozostawał w bliższych lub dalszych stosunkach. Poza tem kilkakrotniekorzystał z dzieła *Životi Kraleva i archiepiskopa srpskich,* mówiącego wiele o ogólnej działalności Stefana Duszana.

Životi napisane zostały w latach 1325—1376 przez arcybiskupa Daniela II († 1336), jego ucznia diakona Daniela i nieznanego nazwiska przeora klasztoru deczańskiego. Posiadają one charakter panegiryczny i odznaczają się stronniczością. Znajdują się jednak w nich bardzo ważne dane historyczne.

Siła i tendencja państwowego rozwoju średniowiecznej Serbji uosobione są w trzech synach Nemanja. Stefan [1]) Pierwowienczanny (1196—1228) uosabia sobą centralistyczno-polityczne dążenia narodowej energji, dążącej ku państwowej sile, politycznej samodzielności i rozwoju państwa na wschód. Wukan jest wyrazicielem starych żupańskich (plemiennych) seperatystycznych tradycyj i dążeń ziem nadmorskich ku zachodowi nawet pod względem religijnym. Ażeby pozbawić tronu brata swego Stefana (wielkiego żupana Raszki) nawiązuje on ścisły kontakt z Węgrami, [2]) uznaje się lennikiem i wprowadza do Serbji katolicyzm, jako państwową religję. Najmłodszy św. Sawa, najbardziej utalentowany, słusznie zwany nauczycielem i prawodawcą narodu, [3]) uratował państwową jedność Serbji, pogodził braci, przywrócił Stefanowi władzę, kładąc tym sposobem kres wpływom węgierskim i odśrodkowym dążeniom poszczególnych żupanów, zagrażających dziełu Nemanji. Św. Sawa urzeczywistnił narodowe dążenie Serbów, zapewniwszy im kościelną i kulturalną niezależność.

Za panowania synów Stefana, mianowicie Radosława, Władysława i Stefana Urosza (1243—1276), potęga państwa serbskiego wzrosła. Najazdy tatarskich hord wpłynęły bardzo na osłabienie najbliższych sąsiadów Serbji, Węgier i Bułgarji, na Bałkanach wyrasta nowa potęga — państwo Nemanijów.

Za Urosza I pojawiają się w Serbji niemieccy górnicy, tak zwani Sasi, dają oni początek górnictwu krajowemu, które też w krótkim czasie bardzo się rozwinęło, przyczyniając się poważnie do wzrostu zasobów materjalnych państwa [4]). Rozwija się handel, powstaje silna armja.

Szybki rozwój Serbji umożliwił władcom Stefanowi Dra-

[1]) We wrześniu 1217 r. koronował się; jest to pierwszy władca Serbji, tytułujący się królem.

[2]) Podczas walk Wukana ze Stefanem zajęli Węgrzy Szrem i Maczwę.

[3]) Staraniem św. Sawy zostało przetłumaczone około r 1219 z greckiego na język serbski najnowsze wówczas w Bizancjum prawo, napisane przez Jana Zonara w r. 1158—1169 (Novaković, Zakonnik Stefana Duszana).

[4]) Brocard, *Directorium ad passagium faciendum.*

gutinowi (1276—1282), Uroszowi Milutynowi (1282—1321) i Stefanowi Uroszowi III Deczańskiemu (1321—1331) przedsięwzięcie ofensywy na ziemie bizantyjskie i zajęcie Macedonji aż po Strumicę.

W tym dziejowym pochodzie Serbji na wschód specjalnie zaznaczyło się w historji panowanie cara Stefana Duszana Silnego (1331—1355).

Stefan Duszan, syn Stefana Deczańskiego oraz królewny bułgarskiej Teodory, urodził się w 1308 roku.[1]) Już jako trzyletnie dziecko, był świadkiem strasznego nieszczęścia, które dotknęło rodzinę królewską. Przyczyną nieszczęścia było powstanie Stefana Deczańskiego przeciwko ojcu Milutynowi. Powstanie nie udało się i Stefan Deczański upokorzył się. Pomimo to Milutyn rozkazał syna zakuć w kajdany i odesłał do Skoplje, dokąd też przybyli zausznicy króla celem pozbawienia królewicza wzroku.[2]) Faktycznie jednak Stefan oślepiony został tylko na jedno oko. Ze Skoplje Stefan wraz z synem i żoną odesłany został do Bizancjum do cesarza Andronika i zamknięty w klasztorze Pantokratora.

Źródła tragedji królewskiej trzeba szukać w niezadowoleniu wielmożów serbskich z wpływów Bizancjum, które były bardzo silne na dworze królewskim od czasu ożenienia się Milutyna z cesarzówną Simonidą, córką Andronika. Wielmoże serbscy, przyzwyczajeni do władzy w kraju i niezadowoleni ze wzrostu wpływów greckiego elementu, podjudzali królewicza Stefana przeciwko ojcu.[3])

Siedm lat przebywał Stefan Deczański wraz z rodziną w Carogrodzie. Życie to zarówno w greckim klasztorze, jak na dworze cesarskim nie mogło nie odbić się na charakterze małoletniego Stefana Duszana. Widział ciężką niedolę rodziców, widział okrutne obejście się dziada z ojcem. A wśród otaczających go Greków spotykał się często ze zdaniem, iż postępowanie takie było konieczne i usprawiedliwione. To też w duszy dziecka musiały powstać moralne

[1]) Rok urodzenia Stefana Duszana, podany przez historyka bizantyjskiego Grigorasa.

[2]) Daniczić, *Životi kraleva i archipiskopa srpskich*, 125.

[3]) Ibid. 124.

sprzeczności, dzięki którym mógł on zdecydować się w późniejszym wieku na straszny czyn względem swego nieszczęśliwego ojca. W 1317 roku powraca Stefan Deczański do Serbji. Czas osłabia nienawiść i podejrzliwość ojca względem syna, który ze względu na swoje kalectwo nie mógł być niebezpiecznym. Ujmuje się też za nieszczęśliwym duchowieństwo. Opat Chilandarskiego klasztoru, Daniel, późniejszy arcybiskup serbski i pisarz, oraz arcybiskup Nikodem zwracając się do króla w imieniu soboru i swojem z prośbą o przebaczenie dla Stefana Deczańskiego.[1]) Milutyn spełnia prośbę i przebacza synowi, oddając mu zarząd Budimlu.

Wkrótce następuje na tronie serbskim bardzo ważna zmiana. Dnia 29 października 1320 r. umiera Milutyn, na tron wstępuje Stefan Urosz III (Deczański), a z nim koronuje się i syn jego „Stefan — młody król".[2]) Ta jednoczesna koronacja ojca i syna była nowością w historji serbskiej.

I tu zaznacza się wpływ Bizancjum, gdzie istniał oddawna zwyczaj, że cesarz miał przy sobie współrządcę państwa z tytułem cesarskim. Przyjmując do współrządów syna i oddając mu ziemię zetską na własność,[3]) zaszachował król Stefan Urosz III wielmożów, zyskujących coraz większe znaczenie w królestwie. Odebrał im też możność podżegania syna przeciwko sobie. Panowanie Stefana Deczańskiego upływało wśród wewnętrznych i zewnętrznych walk. W walce z królem Stefanem giną dwaj pretendenci do tronu: Konstanty, naturalny syn Milutyna i Władysław syn Dragutina.

W 1330 r. następuje zwycięska wyprawa Serbów do Bułgarji. W tym czasie król Stefan zaślubia Blankę, córkę Filipa, ks. Tarentu, tytularnego cesarza Latynów, a po jej śmierci — Marję, córkę Jana Paleologa, namiestnika salonickiego.[4]) Małżeństwa te nie przyczyniają się do wzmocnienia młodego państwa serbskiego. Małżeństwo z Blanką zbliża Stefana Deczańskiego do papieża Jana XXII, któremu władca serbski przysięga wierność, a małżeństwo z Marją

[1]) Daniczić, *Životi*, 166, 167, 168.

[2]) Ibid. 207.

[3]) Ibid. 207.

[4]) Gregoras, *Historia Byzantina*, VIII, c. 14. — Joannes Cantacuzenus, *Historia Byzantina*, I, c. 43.

wciąga go w wewnętrzne walki Bizancjum, które nie dawały Serbji żadnych korzyści. W 1330 r. Serbja walczy z Bułgarami, zadając im straszną klęskę pod Welbnidą. Zwycięstwo okrywa sławą bohaterskiego „młodego króla" Duszana, który głównie kieruje wyprawą, a Serbji zapewnia przewagę nad Bułgarją, gdzie panuje car Michał, b. bdiński despota. Car Michał łączył pod swojem panowaniem wszystkie ziemie bułgarskie,[1]) a tak wzmocniony postanawia powstrzymywać zaborczych Serbów, prących na południowy wschód. Dnia 1 maja 1330 król serbski zabrania kupcom weneckim przywozić towar z Bułgarji.[2]) W odpowiedzi na to car Michał rusza w pochód, wspomagany przez Iwana, wojewodę wołoskiego. Udaje się też do Macedonji cesarz Andronik Młodszy. Dnia 28 lipca przychodzi do spotkania pod Welbnidą.[3]) Bułgarzy ponoszą klęskę, a car Michał ginie. Próba powstrzymania naporu serbskiego załamała się, a młode królestwo serbskie staje się najpotężniejszem państwem na Bałkanach. Jakie ziemie Serbja przyłączyła po zwycięstwie, niewiadomo. Źródła nie podają tego. Łupy jednak były znaczne. Stefan Deczański upiększa po zwycięstwie kościół w Deczanach i ulepsza uzbrojenie wojska. Po powrocie ze zwycięskiej wyprawy Stefan Urosz III z Duszanem wyruszają do Macedonji przeciwko Andronikowi, który jednak na wieść o zwycięstwie serbskiem uchodzi z Macedonji do Bizancjum.[4]) Zgoda króla Stefana z synem i jednomyślność podczas wypraw zmieniają się jednak wkrótce w nienawiść i walkę. Królowi Stefanowi Uroszowi III urodził się z trzeciego małżeństwa syn Symeon, który mógł być współzawodnikiem do tronu.[5]) Wprawdzie Stefan Duszan, zabezpieczony był w swoich prawach przez wcześniejszą koronację, pamiętał on jednak dobrze, co uczynił Milutyn z ojcem.

Przyczynili się też do wojny domowej wielmoże. Bohaterski, energiczny Duszan wzbudzał ogólną sympatję, gdy

---

[1]) Iireczek, *Istorja Bołgar*, str. 382.

[2]) Ljubić, *Monumenta spectantia historiam Slavorum medidionalium* 1, 377.

[3]) *Żivoti*, 183.

[4]) Ibid. 193.

[5]) Gregoras, IX, c. 12.

tymczasem Stefan Deczański miał wielu przeciwników. Ulegając ogólnemu żądaniu, Stefan Duszan ogłosił się królem Serbji i rozpoczął walkę z ojcem.[1]) Poniósł jednak wkrótce klęskę i zmuszony był upokorzyć się.[2]) Wielmoże nadal nalegali na Duszana, ażeby zdetronizował ojca, a kiedy ten wahał się, zagrozili, iż tron zajmie Symeon, którego poprą. Ulegając groźbom, Duszan otoczył wojskiem królewski zamek w Nerodimlu, gdzie przebywał, nic nie wiedzący o nowym spisku, Stefan Deczański. Stamtąd król uciekł do Pietryczy,[3]) gdzie też został schwytany i zamknięty w Zwieczanie, a dnia 11 listopada uduszony.[4]) W *Żivotach*, żytje St. Deczanskoho, str. 214 znajdujemy wiadomość, iż król Stefan zmarł śmiercią naturalną, jest to jednak nieprawdopodobne. Inne źródła serbskie zgodnie oświadczają, iż Stefan Deczański umarł „udowoju ot syna swojego Stefana w gradu Zwieczanu",[5]) W takich to warunkach tron przechodził do Stefana Duszana.

Piękna powierzchowność króla łączyła się z wielką siłą fizyczną, a bogata przeszłość wyrobiła w nim spostrzegawczość, przebiegłość i silną wolę. Serbja zyskiwała teraz władcę, który mógł oddać wielkie usługi w rozwoju potęgi młodego państwa. Już w pierwszym roku panowania Stefan Duszan ujawnił swoje polityczne dążenia, które stały się fundamentem jego długoletniej działalności państwowej. Skierował on mianowicie całą siłę swego państwa na południowy wschód Bałkanów. Do Bizancjum ciągnęła go wspaniała kultura tej stolicy ówczesnego Wschodu, a upadająca potęga cesarstwa ośmielała do podbojów. Zwycięska wyprawa do Macedonji, odbyta jeszcze za życia ojca, była początkiem całego szeregu wypraw Stefana Duszana; wypełniły one niemal całe jego dwudziesto-czteroletnie panowanie. Korzyści tych wypraw były nadzwyczajne. Do Serbji przyłączona została niemal cała zachodnia połowa cesarstwa. Roszczenia Duszana wzrastają, przyjmuje on tytuł cara i marzy o podboju

[1]) Gregoras, IX, c. 12.
[2]) *Żivoti* 209.
[3]) Ibid. 212, 213.
[4]) Gregoras, IX, c. 12.
[5]) Safarzik, *Pamatki drewn. pisam jigosl.*, str. 71.

samego Carogradu. Już w 1331 r. przystępuje Duszan do podboju Macedonji, a w ciągu trzech lat staje się panem zachodniej połowy tej prowincji.[1]) W otwartem polu nikt z Serbami nie walczy, miasta same poddają się im,[2]) gdyż cesarz Andronik Młodszy, zajęty walką z Bułgarami i Turkami, nie mógł pomóc zachodnim prowincjom swego państwa. Olbrzymie usługi przy podboju Macedonji oddaje Stefanowi były strateg zachodniej części Bizancjum, Syrgjan, syn połowieckiego księcia Sytzigana, który obawiając się kary śmierci za swoje przestępstwa, przechodzi na stronę Serbów.[3]) Swojemi wielkiemi wpływami dopomaga on Serbom w zdobyciu całego szeregu miast i zwraca pochód Stefana Duszana w kierunku Salonik.[4]) Wkrótce jednak ginie Syrgjan wskutek skrytobójczego zamachu, wypróbowanego środka władców greckich w pozbywaniu się niebezpiecznych wrogów.[5]) Utrata tak cennego sojusznika oraz wiadomości o pochodzie na Serbję Karola Roberta, króla Węgier,[6]) powstrzymują Stefana Duszana od dalszych podbojów. W pobliżu Salonik miało miejsce spotkanie dwóch władców, zakończone zawarciem pokoju.[7]) Stefan Duszan zrzeka się południowych okręgów Macedonji, przyłączając do Serbji północną część z miastem Priljepem, gdzie buduje on nową rezydencję dla siebie.[8]) Władcy zaś rozstają się jako przyjaciele. Stefan Duszan powraca szybko do Serbji i zbiera wojska, ażeby wyruszyć na Węgrów. Do walki jednak nie doszło. Król Robert, widząc przygotowania Duszana, opuszcza Serbję, tracąc wielu ludzi przy przeprawie przez Sawę.[9]) Kantakuzen pisze, iż nie doszło wówczas do walnej bitwy między Serbami i Węgrami z powodu wielkiej pomocy, którą Serbowie otrzymali od Andronika.[10])

[1]) Gregoras IX c. 12.
[2]) *Životi*, 222, 223.
[3]) Parisot, *Cantacuzène homme d'etat et historien*, 122—125.
[4]) Cantacuzenus II, cc. 22—24.
[5]) Ibid. II c. 25.
[6]) Fejer, *Codex diplom.* VIII.
[7]) *Životi* 224.
[8]) Ibid. 224—226.
[9]) Ibid. 230.
[10]) Cantacuz. II, c. 25.

Czy jednak mogli Grecy udzielić pomocy Duszanowi, nie mając dostatecznej liczby wojska dla obrony własnych granic? Odwrót Węgrów wytłumaczyć można raczej tem, iż Karol Robert przekonał się, że z braku wolnej przestrzeni w górzystych okolicach nie będzie mógł w razie walki rozwinąć całej swej kawalerji, z której w przeważnej części składała się jego armja.

Duszan zajął wówczas w Maczwie (Machow)[1]) kilka grodów, o czem pisze historyk chorwacki Markowicz i potwierdza Klaier.[2])

W roku 1335 znajduje się Stefan Duszan znowu w Macedonji. Cesarz Andronik Młodszy, który wsławił się zwycięstwami w Tessalji i Albanji, nie dowierzał Duszanowi, widząc go w Macedonji, a walki z Latynami i Turkami wzywały go na wschód. Postanowił więc zabezpieczyć granice zachodnie cesarstwa przy pomocy dyplomacji. W mieście Radowiszcie odbywa się spotkanie władców.[3]) Król Stefan Duszan gościnnie przyjmuje cesarza i zawiera z nim przymierze. Dyplomatyczna podróż Andronika zabezpiecza więc Macedonję od najazdu Duszana, który walczy w środkowej Albanji, zdobywa Dracz, uznający nad sobą władzę Andegawenów i szerzy dalsze podboje w Albanji,[4]) jednocześnie Andronik stłumił powstanie plemion górskich w granicach Albanji, podległej cesarstwu i posunął się pod Dracz.[5]) Duszan uznał to za złamanie przymierza i wtargnął do podległej cesarzowi Albanji. Podczas, gdy Andronik łamał opór despoty Epiru, serbskie sztandary powiewały na murach Walony.

Władza Serbów rozszerzała się w Albanji coraz bardziej na południe, w r. 1340 zdobyta zostaje Janina, a Stefan Duszan przyjmuje tytuł króla albańskiego. Szczegółów tej walki historja prawie nie zachowała. Wodzowie cesarscy,

---

[1]) W 1319 r. Karol Robert zajął Maczwę (Maeśo), Belgrad i Kolumbarę (Fejer *Codex dipl.* VIII).

[2]) *Povjest Hrvata*, II. 68 i Daniczić *Životi* str. 231.

[3]) Cantacuz. I. c. 28.

[4]) Makuszew, *Istoriczeskija razyskiwanja o Sławianach w Albanji*, str. 46.

[5]) Parisot, 121.

nie mając pomocy ani od Bizancjum, ani od Andegawenów, stawili opór bardzo słaby, a ludność albańska nie mogła sprostać potężnym i zorganizowanym zastępom króla Serbji. W tym czasie zmarł cesarz Andronik Młodszy (15. VI. 1341), [1]) a jego następca, Jan Kantakuzen, [2]) zajęty walką w Peloponezie, odnowił pakt, zawarty przez jego poprzednika z królem Serbji. [3])

Wkrótce jednak w Carogrodzie wybuchła wojna domowa, [4]) a Jan Kantakuzen, wyparty ze stolicy, udał się do zachodnich prowincyj cesarstwa [5]) szukać pomocy serbskiej celem odzyskania tronu. Spotkanie odbywa się na terytorjum serbskiem w pobliżu Pristiny w miasteczku Tao, gdzie cesarz był przyjęty przez Stefana Duszana z wielkiemi honorami. Wszędzie, czy to za stołem, czy w podróży, zajmował Kantakuzen pierwsze miejsce, a przy spotkaniu Stefan Duszan schodził z konia, podczas gdy cesarz pozostawał na koniu. Królowa Helena nie ustępowała mężowi w honorowaniu gościa. [6])

Cesarz prosił o pomoc króla serbskiego, który wzamian żądał odstąpienia całej zachodniej części cesarstwa. [7]) Stefan Duszan marzył w razie zwycięstwa Kantakuzena, o przyłączeniu bez trudności do swego państwa południowej Macedonji, Tessalji i Epiru. Kantakuzen jednak nie mógł i nie chciał się zgodzić na to. Na naradzie, w której brała udział królowa Helena i dwudziestu czterech wielmożów, poparli cesarza królowa oraz brat jej, znakomity wielmoża Jan Oliwer. Ich zaś poparła większość bojarów, i król Stefan ustąpił. Został zawarty sojusz, mocą którego Stefan Duszan zobowiązuje się dać Kantakuzenowi pomoc wojskową w walce z Janem Paleologiem, [8]) cesarz zaś zrzeka się pretensyj do

---

[1]) Starszy syn zmarłego cesarza Jan Paleolog liczył zaledwie 11 lat. Gregoras, XI. c. 11.

[2]) Gregoras, XII, c. 2.

[3]) Cantacuz. III, c. 12.

[4]) Gregoras, XII, c. 10. — Parisot, str. 169.

[5]) Parisot, str. 173.

[6]) Cantacuz. III. c. 43.

[7]) Cantacuz. p. 264.

[8]) Gregoras, XIII, c. 3.

tych dzielnic cesarstwa, które zdobył król serbski.[1]) Wkrótce wyrusza Kantakuzen na czele licznych oddziałów serbskich do południowej Macedonji.[2]) Dwudziestu wielmożów, a między nimi najpotężniejszy Oliwer, kierują armją serbską. Wyprawa ta nie udała się, a dyzenterja, grasująca w armji, zniszczyła poważną część wojska w czasie bezskutecznego oblężenia Sarrai (po serbsku Ser).[3]) Ciężkie straty armji serbskiej, dezercja wielu Greków, nie chcących zimować w Serbji, oraz próby jakie czynili przeciwnicy Kantakuzena, aby przeciągnąć Duszana na swoją stronę, osłabiły znacznie jego zapał jako sprzymierzeńca Kantakuzena. Poselstwo współzawodników Kantakuzena, cesarzowej Anny i marszałka dworu Aleksego Apokaukosa, przybywające dwukrotnie, nie zdołało jednak nakłonić go do zerwania z cesarzem. Naprożno proponowano mu całą Macedonję aż pod Saloniki. Znaczne zastępy serbskie, znajdujące się pod dowództwem Kantakuzena, czyniły zerwanie niemożliwem. Miał też cesarz potężnych zwolenników na dworze serbskim w osobie królowej Heleny i wielu wielmożów.

Tymczasem wiosną roku 1343 nagła śmierć Hrelja księcia Strymońskiego, sławnego serbskiego rycerza owego czasu, współtowarzysza wypraw dziada i ojca Duszana, przyczyniła się do niepowodzenia drugiej wyprawy Kantakuzena,[4]) Duszan bowiem zajęty był przyłączeniem księstwa strzymońskiego z miastami Mielnikiem i Strumicą,[5]) używając do tego znacznych sił. To też wyprawa, przedsięwzięta przez Kantakuzena w owym czasie nielicznemi siłami[6]) zakończyła się znowu niepowodzeniem, co osłabiło znacznie autorytet cesarza. Położenie Kantakuzena w Serbji stawało się bardzo ciężkiem. Nie starczyło środków na opłacenie wojska,[7]) bojarowie odnosili się do niego wrogo. Trzeba

[1]) Cantacuz. c. 43.

[2]) Gregoras, XIII c. 3.

[3]) Cantacuz. XII, 49.

[4]) Datę śmierci Hrelja (1343), znajdujemy na grobowej płycie w ryl-skim klasztorze, Iireczek, *Geschichte der Serben.*

[5]) Hrelja zawładnął Strumicą w 1341 r. (Gregor. XII, c. 16), Mielnik zaś otrzymał od Kantakuzena (Anastasijewić, *Jovan Kantakuzin*).

[6]) Cantacuz. c. 55.

[7]) Ibid. III c. 57.

więc było myśleć o wyzwoleniu się z pod wpływu serbskiego. Porozumiewa się Kantakuzen potajemnie ze swymi stronnikami w mieście Berrhoï (słow. Ber.) i szybko je zajmuje. Dało mu to bezpieczne schronienie i punkt wyjścia dla dalszych podbojów w Macedonji.

W odpowiedzi na to Stefan Duszan porozumiewa się z Aleksym Apokaukosem, zaciekłym wrogiem Kantakuzena. Pośrednictwo Rzeczypospolitej Weneckiej w osobie posła Marcina Venerio oraz podarunki tegoż skłaniają ostatecznie króla Stefana do przejścia na stronę cesarzowej Anny i jej syna Jana Paleologa.[1]) Faktycznie jednak Stefan Duszan, zrywając z Kantakuzenem, nie związał się ściśle z cesarzową Anną. Dąży on bowiem stale do powiększenia swoich posiadłości kosztem cesarstwa; rozumiał dobrze, iż dalsza wojna domowa w Bizancjum ułatwi mu tylko zadanie. To też w lecie r. 1343, chociaż król Stefan otwarcie już opowiada się po stronie cesarzowej Anny i jej syna Jana, nie odrazu jednak bierze udział w wojnie domowej cesarstwa.

Dopiero, gdy Kantakuzen ze wspomagającemi go oddziałami tureckiemi, pozostającemi pod wodzą Emira Omara ze Smirny, znalazł się w Tracji, Stefan Duszan wkroczył do wschodniej Macedonji. Wtedy to zmierzyli się Serbowie z Turkami Omara, który, naciskany pod Palleną około półwyspu Lonos przez Ligę Katolicką, stracił całą flotę i przygotowywał się do powrotu do Azji Mniejszej suchą drogą przez Trację. Król Stefan postanowił zajść Omarowi drogę i wysłał przeciwko Turkom wyborowy oddział wojska pod dowództwem wojewody Preljuba. Serbowie i Turcy spotkali się na początku 1344 r. pod miasteczkiem Stefanjany.[2]) Bitwa zakończyła się klęską Serbów.[3]) Turcy zaś bez przeszkody dotarli do Tracji do Kantakuzena.

Klęska pod Stefanjanami powstrzymała na pewien czas podbój Macedonji. Dopiero w roku 1345 widzimy znowu Stefana Duszana, oblegającego Serrai, które poddało się przy końcu sierpnia.[4]) Kantakuzen nie mógł pomóc

[1]) Cantacuz. III. c. 61.
[2]) Cantacuz. III. c. 69.
[3]) Ibid. III. c. 69.
[4]) Ljubić, *Monumenta*, II, 278.

obleganemu miastu, gdyż wspomagający go Turcy odeszli do Azji.[1]) Upadek Serrai zdecydował o losach Macedonji. I ta prowincja cesarska, jak niedawno Albanja, stała się częścią królestwa serbskiego. Tylko Saloniki, dzięki nadmorskiemu położeniu i wspaniałym fortyfikacjom, nie dostały się pod władzę Serbji.

Tak więc kończy się pierwszy okres zdobywczej polityki Stefana Duszana, na który składają się podboje, dokonywane w ciągu 15 lat (1330—1345). Wszystkie ziemie od Chrystopola do Dracza i na południe do Janiny i północnej Tessalji uznały władzę króla Stefana. Smutny stan cesarstwa, bezbronność pogranicznych prowincyj, brak solidarności wśród różnoplemiennej ludności ułatwiały zwycięskie parcie Duszana i zbliżały Serbów bezpośrednio z ludnością grecką podbitych dzielnic. Dowiadują się Serbowie nietylko o smutnym stanie cesarstwa, ale i o bizantyjskiej kulturze, która olśniewa zaborczych Słowian. Absolutyzm zaś cesarzy greckich i przepych ich otoczenia pociąga Duszana i przygotowuje w nim skłonność do bizantynizmu, tak ujawniającego się w drugiej połowie jego panowania. Wzrasta w nim poczucie własnej potęgi. W liście do weneckiego doży Andrzeja Dandolo, podpisanym w Serrai dnia 15 października 1345 r., król Stefan po raz pierwszy w poczuciu swojej siły mianuje się „królem Serbji, Diokli, Chłuma, Zety, Albanji, i Pomorza", władcą niemałej części cesarstwa bułgarskiego i panem prawie całego bizantyjskiego cesarstwa".[2])

Wkrótce nie zadawalnia się już Duszan tytułem króla, lecz uważając się za pana poważnej części cesarstwa, postanawia ogłosić się carem, odmawiając tem samem uznania jakiejś wyższej władzy nad sobą i nad swojem państwem. Podpisywał się władcą Serbji jednak już i przedtem parokrotnie na greckich dokumentach, wystawionych

---

[1]) Cantacuz. III. c. 89.

[2]) Ljubić, *Monumenta*, II, p. 278. Stephanus dei gratia Servie, Dioclie, Chilminie, Zentae, Albaniae et maritimae regionis rex, nec non Bulgariae imperii partis non modicae, particeps, et fere totius imperii Romaniae dominus.

przez siebie jako *krales kai autokrator*[1]) lub *basileus kai autokrator Serbias kai Romanas*[2]) (car Serbji i Grecji). Szczegółów, omawiających sam fakt koronacji Stefana Duszana na cara pozostało bardzo mało. Z pamiętników króla Stefana wiadomo, że uroczysta koronacja odbyła się w Skoplje dnia 16 kwietnia 1346 r.[3]) W stołecznem mieście Serbji — Skoplje zebrali się znakomici wielmoże całego państwa, całe wyższe duchowieństwo z arcybiskupem serbskim Joannikiem na czele, patrjarcha trnowski Symeon, biskupi bułgarscy, arcybiskup ochrydzki, duchowieństwo greckie z Ochridy, oraz zakonnicy z góry Athos. W ten sposób zebrał się liczny sobór, który miał potwierdzić i uświęcić dokonany przez Duszana przewrót polityczny — stworzenie nowego cesarstwa.

Pierwszym czynem, jakiego dokonał sobór, było ustanowienie serbskiego patrjarchatu, akt zupełnie zrozumiały. Stworzenie pełnej niezależności państwowej, nie uznającej władzy cesarstwa konstantynopolitańskiego, wymagało też pełnej niezależności kościelnej od carogrodzkiego patrjarchy. Pojęcie carstwa, według pojęć owego czasu, kazało się domyślać nietylko cara, ale i patrjarchy. Car bez patrjarchy był nie do pomyślenia. Żywym przykładem dla Duszana było tutaj carstwo bułgarskie, którego twórcy, walcząc o tytuł cara, walczyli też zawsze o niezależność swojej cerkwi, zdobywając dla głowy Kościoła tytuł patrjarchy. Zresztą patrjarcha był potrzebny Duszanowi dla dokonania obrzędu koronacyjnego, gdyż z samej idei carstwa, jako doskonalszej formy państwa, wypływało, ażeby osoba, błogosławiąca cara, posiadała najwyższą duchowną jurysdykcję, ta zaś w kościele greckim należała do patrjarchy.

Wybór soboru padł na arcybiskupa peckiego Joannikija, który został obwołany pierwszym patrjarchą serbskim bez wiedzy nietylko patrjarchów wschodnich, ale i carogrodz-

---

[1]) Miklosich et Müller, *Acta et Diplomata monasteriorum et ecclesiarum Orientis*, II, 109—111.

[2]) Ibid. II, 115. Tytuł basileus kai autokrator Romanias przysługiwał dotychczas tylko cesarzom bizantyjskim.

[3]) Novaković, *Zakonnik*, XXII—XXVI. — Cantacuz. IV, 18—21.

kiego.[1]) Działalność soboru nie była uznana przez konstantynopolitańskiego patrjarchę Kalistosa, który rzucił klątwę na kościół serbski w 1352 r. Klątwa owa została zdjęta dopiero w r. 1375 za panowania cara Lazara.

Po wyborze patrjarchy nastąpiła uroczysta koronacja Stefana Duszana i żony jego Heleny,[2]) a dziesięcioletniemu synowowi Uroszowi nadany został tytuł „króla wszystkich ziem serbskich".[3]) Od tej pory caryca Helena i młody król biorą udział w rządach państwa, a imiona ich znajdują się obok imienia Stefana Duszana na wszystkich ważniejszych dokumentach. Zostaje ustanowiony też na pamiątkę koronacji order św. Stefana, nadany przez cara Duszana za osobiste zasługi.

Przy koronacji asystowali przedstawiciele Dubrownika w osobie Quinquiusa Derse, Quinquiusa de Calichio i Nicola de Gondola; Bułgarję reprezentowali członkowie carskiej rodziny, nie licząc patrjarchy z duchowieństwem. Wenecja zaś złożyła życzenia Stefanowi Duszanowi jeszcze przed koronacją (3 marca 1346 r.).[4]) Nadesłał poza tem list z życzeniami cesarz Karol IV.

Ale carska korona nie była ostatecznym celem Duszana, marzył on o podbiciu całego cesarstwa wschodniego i do urzeczywistnienia tego dąży całe dziesięciolecie swego „carstwowania", chociaż wyprawy jego do posiadłości cesarstwa nie są już tak częste, jak przed koronacją. Uwagę cara Stefana często odrywają walki z Węgrami, z Bośnią, jakoteż sprawa wewnętrznego uporządkowania utworzonego carstwa. Jednak wzrok i myśli Duszana zwracają się stale w kierunku cesarstwa. Rozumiał on, że sam takiemu zadaniu nie podoła, zapewnienie więc sobie postronnej pomocy było jedynym i niezbędnym środkiem do urzeczywistnienia tego olbrzymiego planu. Zwraca się więc do potężnej Rzeczypospolitej Weneckiej w mniemaniu, iż wzamian za pewne ustępstwa zawrze z nią sojusz i otrzyma potrzebną pomoc.

Chęć zbliżenia się cara Duszana do Wenecji tłumaczy

[1]) *Životi*, 380.
[2]) Novaković, *Zakonnik*.
[3]) Cantacuz, III, c. 89.
[4]) Ljubić, *Monumenta*, II, 326.

się wielkiemi wpływami, jakie ta Rzeczpospolita posiadała wówczas na poł.-zachodzie ziem słowiańskich. Odwieczne dążenie Wenecji do ugruntowania swojej potęgi na Adrjatyku przez opanowanie Dalmacji i serbsko-chorwackiego wybrzeża, — ujawnione już w X i XI w., kiedy to weneccy dożowie używają tytułu *dux Croaciae et Dalmatiae* po całym szeregu nieudałych prób, po długiej walce z Chorwatami, cesarzami wsch.-rzymskimi, Normanami i państwem węgierskiem, zaczęło się w 1204 r. szybko urzeczywistniać, a na początku w. XIV osiągnęło znaczne powodzenie. Ważniejsze politycznie i handlowe punkty na wybrzeżu od Istrji do Dubrownika, wszystkie niemal przylegające do tego pasa wyspy znajdowały się teraz w mniejszej lub większej zależności od Wenecji. Starożytne dalmackie miasta: Zara, Dubrownik, Skradin, Spalato (Split), wyspy Orsora, Krez, Bracz uznawały władzę Wenecji, miały na czele grafów weneckich, płaciły Rzeczypospolitej daninę i były związane z nią handlowemi i wojskowemi traktatami. Tym sposobem posiadłości Wenecji, obejmując nadmorskie ziemie słowiańskie, graniczyły z królestwem serbskiem. Duszan więc mógł patrzeć na Rzeczpospolitą Wenecką, jako na najbliższą swoją sąsiadkę, która posiadała olbrzymie środki, i dla której sojusz z silnem słowiańskiem państwem mógł być bardzo korzystny. Flota wenecka wprawdzie panowała na Adrjatyku,[1]) lecz handlowe znaczenie Rzeczypospolitej na ziemiach słowiańskich nie było ugruntowane. Jeżeli nawet kupcy weneccy odwiedzali Chorwację, Bośnię i Serbję, to nie odgrywali tam większej roli. Cały niemal handel w zachodniej części Bałkanów znajdował się w ręku kupców Dubrownika, który chociaż był zależny od Wenecji, zachował jednak dawne zdobyte szerokie prawa handlowe na ziemiach słowiańskich. Wpływy więc Wenecji faktycznie ograniczały się do nadmorskich posiadłości i nie rozpościerały się w głąb półwyspu, do czego dążyli weneccy kupcy.

Poza tem w samej Dalmacji władza Wenecji nie była zbyt mocna. Dalmacji ciężyła władza Rzeczypospolitej, a król węgierski rościł do niej pretensje. Mógł więc Stefan Duszan

[1]) Morze Adrjatyckie Wenecja uważała oddawna za swoją „wenecką zatokę" (N o w a k *L'alleanza veneto-serba*).

być wielce pomocnym Wenecji, co przewidująca Rzeczpospolita rozumiała bardzo dobrze i chętnie nawiązała przyjacielskie stosunki z królem Serbji.

Pierwsze kronikarskie wiadomości o stosunkach Wenecji z Królestwem Serbskiem datują się z drugiej połowy w. XIII. Dn. 12 września 1271 r. na wielkiej radzie Rzeczypospolitej postanowiono wysłać poselstwo do serbskiego króla (ad regem Raxie) z powodu ograbienia weneckich poddanych (pro Jacobo Colbo et Cance et alluis deraubatis).[1]) Chociaż brak dokumentów, stwierdzających istnienie już przedtem stosunków handlowych i politycznych pomiędzy Wenecją a młodem państwem serbskiem, nie znaczy to jednak, żeby ich nie było. Przeciwnie należy przypuszczać, iż stosunki między obu państwami nawiązały się na długo przed pierwszem znanem oficjalnem poselstwem Rzeczypospolitej do króla.[2]) Przez serbskie ziemie przechodziła droga handlowa, łącząca prowincje cesarstwa i Carogród z Adrjatykiem, a kupcy weneccy oddawna brali żywy udział w handlowych stosunkach między Wschodem i Zachodem, więc przechodząc przez Serbję, nie mogli nie nawiązać i tutaj handlowych stosunków. Ale stosunki te w ciągu w. XIII były bardzo nieznaczne, stanowisko Wenecji w Dalmacji nie było zbyt mocne, a handel w Serbji znajdował się w rękach Dubrownika, z którym konkurować tutaj nie mogła jego potężna protektorka.

Dopiero na początku w. XIV Wenecja zdobywa coraz większą przewagę na słowiańskich wybrzeżach Adrjatyku. Wkrótce po opanowaniu Zary, Dubrownik mocą trzech następujących po sobie umów (1232, 1236 i 1252 r.) uznaje swą zależność od Wenecji. Za jego przykładem idą znaczniejsze miasta i wyspy Dalmacji. Wzrastają siły polityczne Rzeczypospolitej, a wraz z niemi ożywiają się też stosunki handlowe Wenecji z Serbją. Opiekuje się Rzeczpospolita interesami kupców Dubrownika z Serbji, a wstawienie się za nimi, oraz handlowe pretensje wyczerpują wszystkie niemal stosunki Wenecji z Serbją za Milutyna.[3])

[1]) Ljubić, *Monumenta*, 1, 105.

[2]) Novaković, *Zakonski spomenicy Srpskich drżaba sredniego wieka.*

[3]) Ljubić, *Monumenta*, 1, 166, 167, 195, 196, 295, 363.

Potężny król niezbyt poważał Wenecję i niebardzo zwracał uwagę na jej prośby i żądania, a kupcy weneccy, znajdujący się w Serbji, często bywali narażeni na szykany i grabieże.

Stefan Deczański przyjaźniej odnosił się do Wenecji, nadając jej kupcom prawa wolnego handlu na ziemiach serbskich i możność przejazdu przez Serbję do Cesarstwa.[1]) Zdobycie tych praw zawdzięczała Rzeczpospolita walce Serbji z Michałem bułgarskim (do prowadzenia walki potrzebny był oręż, dostarczany zwykle przez porty adrjatyckie), jak również niezgodzie, panującej między Stefanem Deczańskim a Dubrownikiem. Wielokrotnie zmuszona była Raguza zwracać się o pośrednictwo do Wenecji, to do bana bośniackiego. Dopiero rozpoczynająca się wojna Serbji z Bułgarją i niebezpieczeństwo najazdu ze strony banów Bośni i Chorwacji zmusiło Stefana Deczańskiego do odnowienia przyjaznych stosunków z Dubrownikiem. Inaczej odnosi się do tej potężnej sąsiadki twórca cesarstwa serbskiego. Cenił on Dubrownik,[2]) podtrzymywał z nim przyjacielskie stosunki, otaczając opieką jego obywateli,[3]) lecz starał się zbliżyć też z Wenecją. Stosunki cara Duszana z Rzeczpospolitą są początkowo ściśle handlowe, stopniowo jednak rozszerzają się i obejmują sprawy polityczne, polegające na wzajemnych propozycjach pomocy w polityce zewnętrznej. Piersze próby Duszana, zmierzające do sojuszu z Wenecją, odnoszą się do r. 1340. W końcu maja 1340 r. udaje się do Wenecji poselstwo cara Stefana z listem do doży, w liście tym Duszan proponuje Rzeczypospolitej pomoc przeciwko wrogom zewnętrznym, a kupcom zapewnia wolny wjazd do Serbji[4]) oraz otwartą drogę przez państwo swoje do cesarstwa, gwarantując poszkodowanym wynagrodzenie z kasy królewskiej. Odpowiedź Wenecji była chłodna. Rzeczpospolita była gotowa zaprzyjaźnić się z państwem

[1]) Ljubić, *Monumenta*, 1, 377.

[2]) Według *Liber omnium reformationum*, Duszan otrzymywał od Dubrownika stały zasiłek w sumie 2.000 iperpirów rocznie.

[3]) Przywilej Duszana z dn. 20 września 1349 r., nadany faktorji handlowej Dubrownika.

[4]) Ljubić, II.

serbskiem pod warunkiem jednak, że car Stefan będzie bronił kanału weneckiego; od zawarcia wojskowego i politycznego przymierza uchyliła się. W ciągu następnych dwóch lat stosunki Duszana z Wenecją ograniczają się do mało znaczących wzajemnych przysług. Tak w czerwcu r. 1343 Wenecja wysyła na dwór serbski poselstwo z prośbą o zaopiekowanie się jej posiadłościami w Dalmacji i ujęcie się za jej poddanymi, których uciskano w Bośni, w posiadłościach ks. Nelipicza i innych wielmożów chorwackich.

Tymczasem potęga cara Duszana wzrasta. Car, korzystając z wojny domowej, wszczętej przez Kantakuzena, zagraża cesarstwu. Niepokoi to Wenecję; Rzeczpospolita nie życzyła sobie wzmocnienia Serbji kosztem słabego Carogrodu, nie mówiąc już o tem, iż przewroty i niepokoje w cesarstwie odbijały się ujemnie na handlu weneckim. Przytem zewnętrzne sprawy Rzeczypospolitej nie przedstawiały się świetnie. W Zarze wzrastało niezadowolenie z rządów weneckich grafów. Ban bośniacki Nelepić, książe kniński i inni książęta słowiańscy napastowali posiadłości weneckie nad Adrjatykiem, a Dalmacji groziło niebezpieczeństwo ze strony króla węgierskiego. W sierpniu 1345 r. wybuchło powstanie antyweneckie w Zarze, a Węgrzy wyruszyli na Dalmację, rozpoczynając długoletnią wojnę.

Trudności wynikłe dla Rzeczypospolitej nad Adrjatykiem skłaniają Stefana Duszana do ponownej próby zawarcia z Wenecją wojskowego przymierza. W liście, pisanym do doży Andrzeja Dandolo dnia 15 października z Serrai, Duszan oburza się na Zarę i proponuje pomoc wojskową w postaci świetnie wyekwipowanego oddziału. W odpowiedzi senat wenecki dziękuje Duszanowi za wyrażone w liście uczucie przyjaźni, odrzuca jednak proponowaną pomoc, zaznaczając iż posiada siły wystarczające dla zgniecenia powstania. [1])

Car Stefan nie zraża się i w końcu lutego 1346 r. poselstwo serbskie pojawia się znowu w Wenecji. Zawiadamiało ono Rzeczpospolitą o koronacji Stefana Duszana na

[1]) W walce Wenecji z Zarą wzięła też udział flota Dubrownicka, jako sprzymierzeniec Wenecji. Makuszew, *Izśledowanija ob istoricz. pamiatnikach Dubrownika.*

cara (de coronatione sua in Imperio Constantinopolitano) i proponowało jej w imieniu władcy sojusz w celu owładnięcia Bizantyjskiem Cesarstwem (pro aquisitione imperii Constantinopolis), a zarazem komunikowało, iż monarcha gotów jest pośredniczyć między Rzeczpospolitą a Zarą. Duszan spodziewał się, iż swoim wpływem uporządkuje weneckie kłopoty i razem z Rzeczpospolitą przystąpi do wykonania zamierzonego planu. Odpowiedź senatu weneckiego (3 marca) nie usprawiedliwiała jednak nadziei cara Stefana. Duszanowi doręczono list, wyrażający wielką radość Rzeczypospolitej z powodu jego koronacji oraz życzenia, ażeby jeszcze więcej wzrastała jego sława i potęga. Uchyla się jednocześnie Wenecja od sojuszu, mającego na celu walkę z cesarstwem. Rzeczpospolita jest zawsze gotowa wspomagać cara Duszana, ale obecnie nie godzi się na proponowany sojusz, gdyż po pierwsze zajęta jest wojną z Zarą i wieloma innemi sprawami, powtóre senat wenecki związany jest z cesarstwem układami, stwierdzonemi przysięgą, których złamanie jest niemożliwe. Pośrednictwo cara w celu pogodzenia Rzeczypospolitej z Zarą nie może być też przyjęte. Zara bowiem nie postanowi nic stanowczego bez wiedzy króla Węgier, poza tem prosić zbuntowanych o pokój jest rzeczą zbyt upokarzającą.

Istotnym jednak powodem odmowy Wenecji była niechęć jej do wspomagania w powiększeniu potęgi cara Stefana. Tego car nie zrozumiał, przeto odkładając projekt sojuszu na bardziej dogodną chwilę, utrzymywał nadal przyjacielskie stosunki z Rzeczpospolitą. Zresztą w zapatrywaniach senatu weneckiego dokonywa się wkrótce pod wpływem przedłużającej się wojny z Zarą poważna zmiana. Już w końcu lipca 1346 r. Rzeczpospolita była zmuszona przyjąć propozycję poselstwa serbskiego, które pojawiło się znowu w Wenecji, z propozycją pośrednictwa cara Stefana w jej ugodzie z królem Węgier.[1])

Do zgody jednak nie doszło. Uwaga Duszana zwróciła się znowu w kierunku południowego Epiru, znajdującego się pod władzą Bizancjum. Jeszcze jesienią, w parę miesięcy

[1]) Ljubić, *Monumenta* II, 365,

po swojej koronacji na cara, Duszan wtargnął do Epiru, którego północna część już przedtem była podbita. W ciągu następnego roku cały południowy Epir, Akarnanja i Etolja weszły w skład carstwa serbskiego. Tymczasem w Bizancjum rozgrywał się ostatni akt wojny domowej, oddający tron Konstantyna Wielkiego Janowi Kantakuzenowi.

W ciągu pierwszych lat swego panowania nowy cesarz był zmuszony poświęcić całą uwagę likwidacji wewnętrznych i zewnętrznych trudności, związanych z poprzedniemi smutnemi zdarzeniami i nie może przyjść z pomocą podbijanym prowincjom. Wenecję też zaniepokoił zwycięski pochód Duszana na południe. Rzeczpospolita, niezadowolona wogóle z istnienia silnego państwa na Bałkanach, obowiązała się poza tem, ażeby reszta posiadłości andegaweńskich na półwyspie w Akarnanji i Epirze nie została zdobyta przez Serbów. Pomimo to jednak w 1347 r. Wenecja zaopatruje Duszana w oręż[1]) i godzi się na zaproponowaną przez cara Serbji (w liście do doży Andrzeja Dandolo z dnia 1 kwietnia 1348 r. pośrednictwo) w rokowaniach Rzeczypospolitej z królem Węgier.

Stosunki między Wenecją i Ludwikiem węgierskim nie były przyjazne. Wprawdzie Zara ukorzyła się i poddała się Wenecji, lecz niebezpieczeństwo utraty Dalmacji nie zostało zażegnane.

Tymczasem na południu napór Serbów nie ustawał. Ulubiony wojewoda Duszana Preljub na czele silnych oddziałów zajął w krótkim czasie całą Tessalję i został mianowany jej wielkorządcą.[2]) Zdobyte posiadłości dostały się Serbom bez większych wysiłków. Kantakuzen, który prowadził w tym czasie ciężką walkę z galackimi genueńczykami, nie mógł nawet myśleć o wspomożeniu prowincji tak oddalonej od stolicy.[3])

W tym samym czasie w Serbji, prócz zewnętrznych sukcesów, dokonywuje się w roku 1349 fakt nadzwyczajnej doniosłości dla wewnętrznego życia państwa. 21 maja w Skoplje zbiera się sobór, na którym przez patrjarchę, arcybisku-

[1]) Ljubić, *Monumenta*, II, 453.
[2]) Cantacuz. IV, c. 20.
[3]) Ibid. c. 11, 12.

pów i duchowieństwo z jednej strony, a cara z wojewodami z drugiej, został opracowany słynny „Zakonnik" Duszana, najcenniejsza pamiątka prawodawstwa poł.-słowiańskiego.[1]) O „Zakonniku" Stefana Duszana P. Florinskij w swojem dziele p. t. *Pamiatniki zakonoaatielskoj diejatielnosti Duszana,* pisze: Fundament kodeksu serbskiego stanowi prawo bizantyjskie, znajdujące się na pierwszem miejscu w „Zakonniku", a zawierające najważniejsze prawa państwowe. Sam „Zakonnik" nie jest niczem innem, jak uzupełnieniem prawa bizantyjskiego. Stojan Novaković uważa, iż w skład *Zakonnika* Duszana weszły: Swetych Otaca Sbornik Własiarow, Justynjana prawa i Duszana prawa; jego zdaniem *Zakonnik* jest to zbiór, w skład którego weszły prawa z różnych stron, z prawa zwyczajowego, ze starych prawodawstw i z życia, t. j. co uważano za potrzebne i w czem byli zainteresowani ci, którzy uczestniczyli w pracy.[2])

Teraz należało oczekiwać, że zacznie się stopniowe wewnętrzne urządzenie nowostworzonego państwa, że car całkowicie poświęci się związaniu w jedną całość różnorodnych elementów, podbitych przez jego oręż; zdawaćby się mogło, że w ślad za *Zakonnikiem* pojawi się cały szereg postanowień, które dokładniej i lepiej określą państwowy i społeczny ustrój nowego carstwa. Serbja bowiem przeżywała nadzwyczaj ważny kryzys wewnętrzny. Polegał on na nierównomiernym wzroście władzy i znaczenia szlachty (vlastelów) oraz wyższego duchowieństwa z równoczesnem upośledzeniem i zbiednieniem masy słowiańskiej. Monarchja Stefana Duszana, jak wszystkie ówczesne państwa, posiadała trzy klasy ludności; szlachtę, duchowieństwo i lud; władztele posiadali tak wielkie prawa, iż czuli się na siłach prowadzić walkę z królami w obronie swych przywilejów. Historja nie podaje nam przykładu walki serbskiego duchowieństwa z władcami. Duchowieństwo podlega prawom szczególnym, które zawdzięcza królom; w *Zakonniku* cara Duszana czy-

[1]) Oryginały *Zakonnika* Duszana (z 1349 i 1351 r.) według Novakovića zaginęły, zachowały się tylko kopje. Został „zakonnik" dopełniony kilkoma nowemi statutami na soborze w Serrai w r. 1354. Stanojewić, *Istorja srpskiego naroda.*

[2]) Novaković, *Zakonnik,* str. XXXIX i XLVIII.

tamy, iż wszystkie cerkwie oswobodzone od *wsiech robot małych i wielikich*, pełnią powinność i to tylko wtedy, kiedy jedzie sam car. Na duchownych pracują ludzie kościelni. Królowie serbscy budują klasztory, czynią na ich rzecz różne zapisy; serbscy kronikarze bardzo szczegółowo opisują nadania władców. Wielmoże szli za przykładem królów; o tem mamy mniej danych, lecz niewątpliwie tak było z tą tylko różnicą, iż „właste1" nie mógł zapisać wsi bez zgody króla. [1])

Właste1e, dzięki swojej możności, byli w stanie bronić swoich interesów kastowych, lecz aż do czasów Duszana nie wykazywali chęci dążenia do niezależności; broniąc swych przywilejów, broniła wtedy szlachta jednocześnie serbskiej narodowości, na którą Grecy niejednokrotnie tak silnie oddziaływali, iż zdawała się zagrażać całemu narodowi hellenizacja. Stąd zrozumiałe protesty przeciwko polityce serbskich władców, ulegających greckiej kulturze, która przenikała na dwór królewski przez marjaże władców z greckiemi księżniczkami.

Co się tyczy ludu, to nie odgrywał on żadnej roli w życiu politycznem państwa, odsunięty ustalającemi się zwyczajami, które zczasem przeistoczyły się w prawo, od udziału w państwowych sprawach; lud serbski zajęty był rolnictwem i pasterstwem. Trzeba więc było oczekiwać, iż prawodawca, posiadający tak wielką władzę, jaką zdobył Duszan, zapomocą szeregu ustaw uzdrowi wewnętrzny stan państwa.

Lecz stało się inaczej. Wprawdzie car Stefan widział ujemne strony ustroju państwowego Serbji, rozumiał potrzeby naprawy i starał się w miarę możności zaradzić złemu. Nie przystąpił jednak do gruntownej reorganizacji państwa. Szlachta i duchowieństwo pozostają nadal klasą uprzywilejowaną, skupiającą w swych rękach władzę i polityczne prawa kraju. W soborach, zbierających się za panowania Duszana r. 1331, 1335, 1338, 1345, 1346, 1348, 1349, 1354, obok cara, patrjarchy i duchowieństwa uczestniczą tylko „właste1e wielcy i mali", Sebry, t. j. ludzie niewłastelskiego

[1]) Miklosich, *Monumenta Serbica*, c. XXV.

pochodzenia, nie mieli tam dostępu.[1]) Nietylko byli pozbawieni prawa brania udziału w życiu politycznem państwa, lecz oddani też zostali pod władzę kafalom, t. j. carskim urzędnikom lub właścicielom. Szlachta, — jako też klasztory i duchowieństwo, władali ogromnemi dobrami na mocy prawa dziedziczności (basztyny) lub prawa czasowego (pronji). Duszan, zdaje się, był zwolennikiem dziedziczności, przypominającej poczęści zachodnio-europejski feudalizm i nadawał chętnie ziemie w wieczyste posiadanie. Posiadacze basztyny zobowiązani byli tylko płacić gruntowy podatek i służyć w wojsku.

Wraz z rozwojem basztyny liczba serbów szybko malała. Masa ludu wiejskiego przechodziła do stanu „meropchów," t. j. ludzi zależnych, pracujących u właścicieli basztyn i podlegających ich władzy administracyjnej, a niekiedy i sądowi. Tracą też włościanie osiadli na cudzych ziemiach możność przenoszenia się z miejsca na miejsce. Ustawy cara Stefana pozbawiły ich tego. Zabraniały one meropchom opuszczać miejsce zamieszkania, karząc srogo zbiegłych.

Tak więc stojące przed Duszanem wysokie zadanie wyprowadzenia Serbji drogą radykalnych reform z tego smutnego socjalnego i ekonomicznego położenia, w jakiem znajdowała się w chwili wstąpienia na tron, okazało się dla cara ponad siły, nie do urzeczywistnienia. Stefan Duszan po dawnemu pochłonięty był stale myślami o podbojach i nie miał czasu zająć się urządzeniem i zabezpieczeniem i tak obszernych posiadłości.

---

[1]) Novaković, *Zakonnik*, § 69.

(Dokończenie nastąpi).

Zygmunt Okniński.

Mickiewicz jako krytyk pseudo-klasyczny.

(Dokończenie)

II.

Nieprędko jeszcze Mickiewicz zerwał więzy pseudoklasycznych przepisów, nie odrazu wszedł na nową drogę. Dowodem tego były dalsze jego recenzje w kółku Filomatów, o których różnostronności wspomnieliśmy już poprzednio.

Za kilka lat, jako romantyk już, lekceważąco będzie się wyrażać o poezji rzymskiej, teraz jeszcze wraz z kolegami nie przestał się nią z zamiłowaniem zajmować. W kwietniu 1818 r. oceniał zatem pracę Kowalewskiego o Herodocie, a 19 maja przekład Kowalewskiego z tegoż autora. Żartobliwy raczej nastrój skłonił go do układania wierszy okolicznościowych, pierwszych prób własnej poezji oryginalnej, lecz prócz tego naśladował również z Horacego *Odę do Pyrry*. W dniu 23 czerwca odczytał nową swą recenzję. Tematu do niej dostarczył mu wiersz *Do Anieli* pióra Jana Czeczota.

Upłynęło siedm miesięcy od chwili, gdy wypowiedział swe krytyczne uwagi o *Dumaniu* Pietraszkiewicza, lecz metody swej nie zmienił. Zaczął znów od klasyfikacji, podciągnął wiersz pod „rodzaj" dytyrambu. Dał poznać, iż rozumie znaczenie w liryce zapału i uczucia, nie zapominajmy jednak, iż już i Euzebjusz Słowacki w dziełach swych, dość zresztą nowożytnie, kilka rozdziałów poświęcił entuzjazmowi w poezji oraz uczuciu, połączonemu z imagi-

nacją. Nie pozwólmy się dziś uwieść brzmieniu wyrazów, gdyż i dawniejsi jeszcze estetycy pisali nieraz o uczuciu, lecz różniczkowali je po swojemu, upatrując w niem „szczytność" lub „górność", jeśli wypowiadało się w zwrotach podniosłych, a w obrazach śmiałych i silnych, lub też „tkliwość", jeśli autor starał się o rzewność i prostotę. „Podobać się i wzruszać to jest cel poety" — pisał Dmochowski. Szczerze niewątpliwie czułego serca żądał Karpiński.[1]) Nikt nie wątpi, iż w duszy młodego Mickiewicza paliły się ognie prawdziwego uczucia, lecz trudno nam byłoby zamknąć oczy na to, iż tak dbałość o rodzaje, jak i przeprowadzenie silnego rozdziału między lirykiem a poetą opisowym z dodaniem formułki, co u jednego lub drugiego jest pochwały godne, tchnęły jeszcze starą szkołą.

Przy ocenie utworu Czeczota, potępił zbyt tkliwy sentymentalizm, a natomiast wyróżnił kilka wierszy, w których zauważył żywość i zapał. Zestawił dzieło kolegi z odą tłumaczonego u nas wówczas często, zeszłowiecznego poety angielskiege Popa oraz z klasykami greckimi, a ton wiersza porównywał z tonem utworów Pindara i Anekreonta. Nie „natchnienia" większego zażądał, ale „sztuki i zręczności". Nie potępił częstego zwracania się do bóstw starożytnych Bachusa i Djany, Heby i Apolina, czego niewłaściwość wytknął już sam dawniej na historycznem tle *Jagiellonidy*, ale czynił natomiast uwagę, iż „smak" Czeczota czasami był „niezupełnie udoskonalony".

Jakże poważny to był zarzut i jak groźny dla poety! „Smakiem" nazywano naogół w tej epoce wykształcenie pisarza, uzyskane dzięki rozczytaniu się we „wzorach" i zapoznaniu się z regułami. Sam wyraz posiadał dzieje dość ciekawe. Zwano go najpierw z francuska „gustem", co dało sposobność Dmochowskiemu do napisania strofy:

> Guście! dzieł pięknych sędzio! Darze niebios drogi!
> Bez którego ozdoby sam dowcip ubogi!
> Gdyż, jeśli piórem twoje nie kieruje tchnienie,
> Twarde będzie najwyższe genjuszu pienie.[2])

---

[1]) *O wymowie w prozie albo wierszu* (1784), p. Franciszek Karpiński, *Dzieła*, wyd. z r. 1830, str. 308.

[2]) Według wyd. z r. 1820, str. 12.

Nie oparł się wszechwładnej, potężnej mocy tego słowa nawet ksiądz Piramowicz, który w pełnej gorącego zapału i szczerego patrjotyzmu *Wymowie i poezji dla szkół narodowych* (r. 1792) wyraził wprawdzie większy niż współcześni podziw dla genjuszu, niemniej jednak osądził, iż „rozsądek i dobry gust czuwać ma nad zapędami w tworzeniu imaginacji" oraz iż „gust wszystkim poruszeniom i władzom duszy nadaje łagodność, wszystkim sprawom i mowom człowieka wdzięk, przyjemność i wesołość". „Niemasz więc w wymowie i poezji genjuszu bez smaku... Są przecie autorowie, mający więcej genjuszu niż smaku" — miał wykładać Osiński.[1])

Znaczenie wyrazu rozrastało się jednak. W nowem jego brzmieniu i krytyka cała stała się dla Stan. Potockiego „logiką dobrego smaku", wobec czego jego zdaniem „twardy, dziki i potworny", ale pełen genjuszu i mocy był Dante, „słodszy" natomiast i „smakowniejszy" Petrarka.[2]) Euzebjusz Słowacki całej swej estetyce nadał wprost miano „teorji smaku".

Miało to oczywiście duże znaczenie i powodowało skutki doniosłe. Przeszkadzało nietylko zainteresowaniu się poezją ludową, którą tak bardzo cenili romantycy, ale i stało się źródłem przyszłych zarzutów przecim samemu Mickiewiczowi. Niezawsze też wiedzieli krytycy, co napisać o „twardym genjuszu", jak np. o Szekspirze. Zastanowiło ich to, iż uwielbiany Pope ogłosił twórcę *Króla Leara* jednym z największych pomników ludzkości, lecz bezpieczniejszem im się wydało iść za wzmianką o nim w *Lettres sur les Anglais* i w dziełach jego obok górnych piękności doszukiwali się także dzikości i nieokrzesania. Wprawdzie Golański w r. 1788 zrównał śmiało Szekspira z Kornelem, Rasynem i Wolterem,[3]) lecz krytycy inni, jak Krasicki, Dmochowski, Euz. Słowacki woleli pójść śladem Woltera niż autora *Pukla włosów Belindy*. I Potocki nawet nie odmówił wielkiemu dramaturgowi „szczytności i genjuszu", lecz obok tego wytknął mu „grube obłąkanie" oraz „odrażające po-

[1]) *Dzieła* z r. 1861—1862 t. IV str. 48.

[2]) *O wymowie i stylu* t. I, str. 118.

[3]) *O wymowie i poezji*, str. 424.

mieszanie scen najszczytniejszej tragiczności ze scenami najpodlejszej komiczności", „myśli dzikie" i „nędznych słów igrzyska".[1]) Zastanawiającą wydaje się nam dziś różnica zdań w *Sztuce rymotwórczej* Fr. Ks. Dmochowskiego, która w wydaniu z r. 1788 (str. 47) zarzucała jeszcze Szekspirowi „podłe błaznowania" obok „najżywszych myśli" i „najmocniejszych wyrazów", a w wydaniu z r. 1820, ogłoszonem w dwanaście lat po śmierci autora, głosiła ogólnikowo, lecz już odmiennie:

> Nikt lepiej nad Moliera ludzkich wad nie chwyci,
> Anglja sprawiedliwie Szekspirem się szczyci.[2])

Mickiewicz wyrazu „smak" użyje jeszcze w komentarzu do Zofjówki, znacznie później w rozprawie o Goethem i Byronie, wówczas już tylko w znaczeniu upodobania i później w przemowie „Do krytyków i recenzentów warszawskich", gdzie wspomni o „smaku wytrawionych znawców". Wyraz ten jednak z dodatkiem „ukształcony" lub „udoskonalony" w recenzji, która starała się przedewszystkiem zdefinjować „rodzaj" ocenianego utworu, nadawał jej charakter wybitnie pseudo-klasyczny.

Recenzja wiersza *Do Anieli* powstała w tym okresie twórczości krytycznej Mickiewicza, gdy ów jak udawadniano, wiele miał korzystać z *Ogólnej teorji sztuk pięknych* J. G. Sulzera.

Ogromne to, encyklopedyczne dzieło było u nas w swoim czasie znane i cenione. Wpływowi jego poważnie uległ Euzebjusz Słowacki, a jako jedno ze źródeł swego *Kursu poezji* podał je Józef Korzeniowski jeszcze w 1829 r. (str. III). Osiński w wykładach cytował Sulzera obok Lessinga i Schleglów,[3]) a Brodziński w rozprawie o krytyce[4]) obok Lessinga, Herdera i Winckelmanna, choć stwierdził bystro, iż ów nie wzniósł się do pojęć swych współzawodników.

Jeślibyśmy wpływy „Ogólnej teorji sztuk pięknych" chcieli odnieść także do żądania „obrazów" i „wyrażeń zmy-

[1]) *O wymowie i stylu*, t. I, str. 123 i t. IV, str. 528.
[2]) *Sztuka rymotwórcza* 1820 r., str. 59.
[3]) L. Osiński, *Dzieła* r. 1861—1862, t. IV, str. 7.
[4]) K. Brodziński: *O literaturze*, r. 1856, str. 117.

słowych", musielibyśmy przypuścić, iż Mickiewicz uległ im już w 1817 r. Tymczasem dopiero w rok później podał projekt, by ją zbiorowo przetłumaczyć. Zajęli się tem Filomaci, przekonani niewątpliwie, iż nauce dobrze się przysłużą, zadania swego nie dokończyli jednak nigdy.

Przedstawił Malewski ustęp o oddaniu muzycznem (zapewne „Musik", t. III, str. 264), Jeżowski o estetyczności i estetyce oraz o klasyczności i autorach klasycznych (prawdopodobnie „Aestethik", „Aestethisch" oraz „Classisch", t. I, str. 26 i 280), Kowalewski o górności („Erhaben", t. II, str. 76) oraz sam Mickiewicz w operze („Oper, Opern", t. III, str. 345).[1]) W całości przełożono wspólnym wysiłkiem część mniej niż trzydziestą, gdyż z 1700 zgórą stron oryginału zaledwie nieco więcej niż pięćdziesiąt. Na projektodawcę wypadło zaledwie stron 14!

Wykonanie pracy napotkało na ogromne trudności z powodu małej znajomości języka niemieckiego wśród Filomatów. Przecież Mickiewicz i w rok potem jeszcze, w październiku 1819 r., nie był natyle biegły w „niemczyźnie", by swobodnie mógł w niej czytać przekłady z literatury angielskiej.[2]) Ponieważ nadto przekonamy się z jego recenzji o *Małgorzacie z Zębocina*, iż choć tłumaczył z *Ogólnej teorji* artykuł o operze, to zdawał się nie znać nawet najbliższego artykułu o operetce, tem trudniej więc jest nam przypuścić, by już w 1817 r., lub w połowie następnego mógł zgłębić olbrzymie dzieło, dostępne sobie tylko w oryginale niemieckim.

Z tych zatem powodów w wyszukiwaniu bezpośrednich wpływów dzieła berlińskiego profesora na młodzieńcze recenzje Mickiewicza, czem zajmowano się nieraz, należy być ostrożnym, zwłaszcza wówczas, gdy młody autor mógł je przejąć z dzieł Euz. Słowackiego.

W określeniu dytyrambu, którym nazwał teraz wiersz Czeczota, popełniał nawet błąd ze stanowiska zarówno pol-

---

[1]) Lata uniwersyteckie Mickiewicza, Józef Kallenbach. *Bibl. Warsz.* r. 1910, t. I, str. 235 i 238.

[2]) Malewski do Kowna 9/21/X, r. 1819. Arch. Fil. Koresp. t. I, str. 174, 175.

skiego, jak niemieckiego estetyka. Twórca *Ogólnej teorji* wyprowadzał ten rodzaj ze śpiewów na cześć Djonizosa, (Bachusa), uważał, że w słowach jego, towarzyszących muzyce, wiele było ciemnego, tajemniczego i osądzał, że dytyramb należy współcześnie wogóle wykluczyć z rodzajów poetyckich,[1]) autor *Teorji smaku* uznawał za niewłaściwe nazywanie dytyrambem utworów, gdzie się radość żywa i pomieszanie maluje, gdyż w nim początkowo „człowiek, upojony radością i winem uwielbia Boga, dawcę tej rośliny i cześć swą tłumaczył w wyrazach podziwienia". [2])

„Dytyramb w poezji współczesnej był zatem zdaniem Sulzera anachronizmem, a według Słowackiego niestosowne byłoby określenie tą nazwą utworu, malującego radość z uzdrowienia kochanki, co Mickiewicz uczynił. Zdania dwóch ostatnich zbliżały się natomiast w czem innem. Pisał pierwszy z nich: „Liryczny nieporządek myśli, śmiałość obrazów, zmieszanie różnych miar wiersza są właściwe temu rodzajowi lirycznej poezji i przechodzą granice, innym zakreślone". Drugi z nich osądzał, iż w tym rodzaju „idzie więcej o uczucie niż imaginację" i ganił zbytnie zastanawianie się nad każdym obrazem. Myśl była zatem pokrewna.

Z czem innem natomiast zestawić należałoby opinję Mickiewicza, pisaną jakby pod hipnozą mocy i żywości, a potępiającą zbytni sentymentalizm: „Liryk albowiem... gwałtowne albo wspaniałe i wielkie obrazy maluje. Wolno mu nakształt orła ulatywać w chmury, rzucać się nagle w ciemną puszczę albo pomiędzy dzikie skały, zatrzymać się czasem nad upiększoną łąką. Ale za motylkami i kwiatkami uganiać się nie przystoi".

Słowa te piękne, a słuszne w potępieniu zbytniej czułostkowości, miały pewien wzór w dawniejszych polskich estetykach, nie przy określeniu dytyrambu jednak, lecz raczej ody. Dość przytoczyć zdanie Golańskiego: Należy w niej „nagłe i gwałtowne poruszenia serca wyrażać" i powinna się „wszędzie wydawać moc jakaś nakształt bystrej

[1]) *Allg. Theorie*, t. I, str. 367.
[2]) *Dzieła*, t. II, str. 79.

wody zalewów lub ognia, z wiatrem wybuchającego".[1]) Opinjował i Fr. Ks. Dmochowski:

Wszędzie oda właściwą cechę sobie nosi,
Że wspaniałość z zapędem myśli mieć powinna.

Zdania te dotyczyły jednak tylko jednego rodzaju twórczości, a przed lirykiem roztwierali estetycy szersze pole, niż to uczynił Mickiewicz. Przytoczmy teorje o tem zarówno Słowackiego, jak Sulzera. Wykładał pierwszy, iż poezja liryczna jest to „żywe i uroczyste wyrażenie uczuć i namiętności", „ton swój podnosi lub o b n i ż a, to górnemi myślami i śmiałem wyrażeniem dosięga nieba", to w przyjemnych obrazach i w s ł o d k i e m dumaniu rozlewa się po ziemi.[2]) Drugi do lirycznej poezji zaliczał nawet „die Uebung einer andächtigen oder verdriesslicher Laune",[3]) a istotę jej w tem upatrywał, że daje poznać uczucie ludzkie w najbardziej skrytych tajnikach.[4])

I tu więc młody krytyk, choć wykazał pewną jednostronność, nie naśladował ślepo swych poprzedników, a nawet od nich odbiegał. Większą zależność natomiast ujawnił w określeniu „kantaty", w którą chętnie snać radziłby przerobić wiersz Czeczotowi, przypisując jej „przejścia z mocy do czułości i z mocy do zapału", co mogłoby nadać „muzyce wielką rozmaitość". Słowa te stały już bardzo blisko teorji Słowackiego, iż w „kantacie" „miary wierszów odmieniają się w stosunku do muzyki", a „uczucie w niej może się zmniejszać, słabieć, powiększać się i wzmacniać",[5]) Niema zatem powodu zestawiania ich z odpowiedniemi uwagami Sulzera, które zresztą profesor wileński niemal dosłownie powtarzał.[6])

---

[1]) *O wymowie i poezji*, str. 409.

[2]) *Dzieła*, t. II, str. 74—75.

[3]) T. III, str. 190.

[4]) „verborgensten Winckeln",

[5]) T. II, str. 81.

[6]) By dowieść, jak błędne może być niekiedy szukanie wzajemnych wpływów w utworach, powstałych w tem samem środowisku, epoce i wśród zbliżonych pojęć, wystarczy podać dwa przykłady. Osiński podobnie jak Mickiewicz, a wbrew Sulzerowi nazwał wiersz Popa o muzyce dytyrambem, choć tłumacz (L. Kamiński) dał mu nazwę ody (L. Osiński: *Dzieła*, t. III, str. 233 i 239). Juszyński w *Dykcjonarzu poetów polskich* ża-

Gromadząc te wpływy i analogje, które i później nieraz jeszcze, choć nie tak już często będą się nasuwać, zbieramy ważne szczegóły o studjach Mickiewicza, dochodzimy jednak dość prędko do przekonania, iż ów nawet we wczesnej młodości rzadko kiedy obce poglądy żywcem przejmował.

Należał przecież do tych, o których wykładał Piramowicz, iż „samem tchnieniem i popędem natury uniesieni, bez prawideł, bez przykładów tworzą swoje dzieła, z których drudzy prawidła i przykłady brać mają". Nie przestawał nigdy myśleć i rozważać. Gdy znalazł w wierszu Czeczota obraz Apollina, jako boga słońca, plastyczny i należycie rozwinięty, przytoczył go, a nawet z uznaniem zakrzyknął: „Prawdziwa poezja".

W tym czasie też miał stworzyć dwa, znane nam oddawna wiersze, radosny, filomacki: „Już się z pogodnych niebios oćma zdarła smutna" i żartobliwą *Zimę miejską*. W pierwszy z nich zwłaszcza przelał uniesiony zapał młodości, zadowolenie z nowego pola pracy dla najświętszych celów, objawił śmiałość tworzyciela nowych dróg, który miał dawne więzy wkrótce rozerwać: „Gdy n o w e tworzym gmachy na n o w e j posadzie"...

W wierszu tym zatętnił młodzieńczością krwi, opromienił go szlachetnością, postawił wielkie przykłady greckich bohaterów, ale kazał też zwyciężać trud za trudem, zalecał u m i a r k o w a n i e i o s t r o ż n o ś ć. Dwie te zalety okazywał stale w młodzieńczym swym rozwoju, a konieczne one były w czasach trudnych dla poezji, trudniejszych, niż je mieli później Słowacki i Krasiński, i one to niewątpliwie rzuciły jego tęczy marzeń trwałą, pewną skałę pod stopy. Nie kwapił się zatem z tworzeniem natychmiast nowych teoryj.

Pociągała go ku sobie nieodparcie twórczość poetycka, ale zagadnieniami krytyczno-estetycznemi nie przestawał się

---

dał od poezji lirycznej, tak, jak recenzent wiersza Czeczota, przedewszystkiem „uniesienia i mocy". Żaden z nich jednak nie mógł znać recenzji Mickiewicza, która w r. 1818 odczytana była w ścisłem kółku Filomatów, a Mickiewicz również nie mógł ulec wpływowi ich opinji, gdyż Osiński wykładał od r. 1822, a dzieła jego wyszły drukiem w latach 1861—1862 „Dykcjonarz" Juszyńskiego wydany został w r. 1822.

zajmować. W październiku i listopadzie 1818 r. ocenił traktat Jeżowskiego o „oryginalności" i przedstawił pierwszą część własnej pracy p. t. *Przechadzki wiejskie* — „przechadzkę o piękności". Żałować należy, że zaginęła, wobec wyraźnego kierunku jego studjów można jednak z dość dużem prawdopodobieństwem przypuścić, czem mogła się zajmować.

Ciekawy temat dał mu pole do rozważań o stosunku piękna do natury, mógł stanowić niejako wstęp do estetyki. Może nie zatarły się w jego myśli słowa Słowackiego, iż „natura jest przewodnikiem, źródłem i materją sztuk pięknych", „wzorem i podporą genjuszu", który „musi zatem zapatrywać się na nią i naśladować jej prawa", a dzieła jego, więc i „dzieła pięknych nauk i sztuk są upięknionem naśladowaniem dzieł natury". [1]) Może także rozstrzygał tam na swój sposób spór, jaki wywołać mogły słowa wileńskiego profesora, iż „piękność" sama przez się może nie być użyteczną" i „prócz wewnętrznego ukontentowania żadnych nam nie przynosić korzyści" [2]) oraz utylitarystyczna bardziej opinja Piramowicza, iż niemasz „prawdziwego piękna bez pożytku". [3]) Może dał poznać, iż nie wierzy w zachwianą już teorję Fr. Ks. Dmochowskiego, iż jedna jest droga piękna, tą r o z u m iść radzi. [4]) Poetyczniej przecież o tem i bardziej przekonywująco pisał nawet Delille, iż jest coś piękniejszego nad naturę, to jest „ten wzór doskonały, który wzoru swojego niema, i na którego wyborze Berghen i Poussin tak daleko poznać się umieli". [5]) W każdym razie romantyczny temat przechadzek wiejskich dawał dosyć sposobności do rozważań w stylu pseudoklasycznych estetyków.

W dniu 12 grudnia wreszcie przedstawił Mickiewicz trzecią i przedostatnią z filomackich swych recenzyj: *Uwagi nad dumą* z powodu „Dumy nad mogiłami Francuzów" Jana Czeczota.

---

[1]) *Dzieła*, t. I. str. 18 i 20.

[2]) J. w. t. I, str. 5.

[3]) *Wymowa i poezja dla szkół narodowych*, 1792, str. 331—332.

[4]) *Sztuka rym.* 1820, str. 15.

[5]) D e l i l l e: *Ogrody*, pieśń I. Tłum. Fr. Karpińskiego, *Dzieła* z r 1830, str. 192.

Rozwinął nowe ogniwo z łańcucha swych studjów nad określaniem „rodzajów". Zrozumiał już dokładnie różnicę między pieśnią historyczną a dumą. Utwór kolegi uznał za typ nowy, który powstał w Polsce a nie uzyskał jeszcze własnej definicji. Nie bez usprawiedliwienia się pozwalał sobie na to rozszerzenie ram estetyki. Nie potrzebował powtarzać za innymi, iż „ludzie z genjuszem utworzyli wzory, ludzie z genjuszem wyciągnęli z tych wzorów przepisy". Prawda ta istotnie „pospolitą" była i „znaną powszechnie". Nie mogli tak oślepnąć najzaciętsi klasycy, by nie dostrzec, iż dzieła np. Homera powstały bez przepisów Boileana, a nawet bez „listu do Pizonów". Pisał o tem St. Potocki: „wzory uprzedziły prawidła, a raczej wzory są pierwszemi prawidłami".[1]) Zauważył i ks. Piramowicz, iż „we wszystkich prawie kunsztach i rzemiosłach przyrodzenie poprzedziło sztukę".[2]) Znany był też ów wiersz Dmochowskiego:

Górny genjusz lotne rozpuściwszy skrzydła.
Za nieprzestępne sztuki wyleci prawidła.

Naprawdę tę swobodę poety rzadko wówczas uznawano, a na nowe rodzaje godzono się i włączano je do podręczników z jak największą ostrożnością, toteż uwaga Mickiewicza dowodziła, jak zawsze u niego, zdrowego sądu i zmysłu rzeczywistości, a jego wzmianka o ideale, utworzonym „myślnie", a więc bez przepisów, przez artystów, szła już dalej niż opinja Potockiego, który przyznawał tylko, iż „pierwsi twórcy nie mieli innego wzoru, jak samą naturę, ani innego, jak smak przyrodzony przewodnika". Już jednak także Euz. Słowacki wiele pisał o „wzorze idealnym" i o „prawdziwej idealności", a podobnie jak Sulzer i Delille nie utożsamiał go z naturą.[3])

Żądanie „jedności", postawione przez młodego autora w tej recenzji przy „ideale i poezji lirycznej", aż nadto często było powtarzane przez poetyki. Oceniał i Słowacki, iż to, co „niema jedności, ani pięknem ani doskonałem być

[1]) *O wymowie i stylu*, r. 1815, t. IV, str. 501.

[2]) *Wymowa i poezja dla szkół narodowych*, r. 1792, str. 68.

[3]) *Dzieła*, p. Rozdział I, § 5 Teorji smaku, str. 29—37, oraz Sulzer: „Ideal".

nie może".[1]) Zasady „jedności w rozmaitości" nie należy też szukać zbyt daleko, gdyż ten sam autor ją formułował, podając: „Eschenburg i inni pisarze estetyk niemieckich piszą, że piękność zależy na zmysłowem wystawieniu jedności w rozmaitości".

Obok tych teoryj estetycznych jednak, przy których możnaby czynić dalsze, dość łatwe zestawienia, obok określenia „dumy" za wzorem wiersza Tymowskiego i Godebskiego *Do legjonów*, które posiadało wartość głównie ze stanowiska ówczesnych prawideł, kryło się w ocenie utworu Czeczota coś jeszcze ważniejszego, a bardziej nawet istotnego. Było tem żądanie wprost, by krytycy łączyli znajomość zasad z odczuciem ducha utworu, to znaczy z „przejęciem się mocnem duchem pisarza", gdyż „zimność i nieczułość krytyka staje się matką pochwał albo nagan przesadnych i niesłusznych".

Nie obalał Mickiewicz i tu jeszcze przepisów, ale wymierzył cios w powagi krytyczne i wyrażał swój wobec nich sceptycyzm. Zauważył już gdzieś snać ową „zimność i nieczułość", jak poprzednio ocenił „przesadne pochwały", oddawane *Jagiellonidzie*. Możnaby słowa jego zestawić z żądaniem krytyki „zwierzchniej" czyli formy i „wewnętrznej" t. j. ducha i treści, jakie postawił St. Potocki, ale jakże obce było temu pisarzowi obniżanie w jakikolwiek sposób powagi uczonego sądu estetyków. Wszakże to on ogłosił krytykę „strażą, nieustannie czuwającą", by sztuki i nauki od dobrych się nie oddalały prawideł.[2]) On to, wchodząc na najwyższą basztę warowni pseudoklasycznej, wołał obrazowo i patetycznie: „Szerzy się zwykle, jak pożar, wiatrami miotany, niebezpieczna nowości zaraza, chciwie się jej gmin płochych pisarzów i artystów chwyta; bo łatwiej jest wsławić się nowem szaleństwem, niż dawną mądrością. Otóż to najpiękniejsze prawo i najświętsza krytyki powinność hamować takowe zapędy".

Recenzent wiersza Czeczota wyznaczał krytykowi rolę nie sędziego, poskramiającego lekkomyślne porywy, ale to-

[1]) *Dzieła*, t. I, str. 53.
[2]) *O wymowie i stylu*, t. IV, str. 568—569.

warzysza raczej, będącego równocześnie pisarzem „drugiego rzędu", obowiązanego do przejęcia się duchem autora, nie odczuwającego nigdy piękności „do tyla, ile sam twórca", a błądzącego wskutek „zimności i nieczułości". Raczej zatem znów opinję tę możnaby zbliżyć do uwag Euz. Słowackiego, który silniej nawet niż Sulzer [1]) podkreślał uchybienia krytyków, a zarazem wykładał o ich błędach, pochodzących z „nieczułości i obojętności" [2]) i przyznawał, iż „rymotwórca czuje więcej słodyczy w poezji, niżeli ten, kto nie jest tyle z poezją obeznany", [3]) a „ocenienie stopnia piękności zależy wiele od umysłu i ciała, od zdolności c z u c i a i o g a r n i e n i a". Może także w słowach Mickiewicza poszukaćby raczej należało wpływu bardzo głośnego wówczas jeszcze wiersza o krytykach Popa, który sądził wprawdzie:

Przepisy niezmyślone, lecz wcześnie odkryte,
Są naturą, ujętą w szranki przyzwoite... [4])

lecz mimo to uważał, iż na jednego złego pisarza wypada dziesięciu złych krytyków, wyliczał przytem dziesięć ich wad od dumy i niedokładnej nauki do zazdrości, domagał się od nich:

Każdego zgłębcie powieść, przedmiot i zamiary,
Duch czasu, wpływ ojczystych zwyczajów i wiary... [5])

a aż wreszcie opinjował:

Sędzia bezstronny wszelkie odczytuje dzieło
Z równem uczuciem, jakiem pisarza natchnęło... [6])

Utwory Popa Mickiewicz choć częściowo musiał znać, skoro z odą jego porównywał utwór Czeczota. Natomiast nie użył on dość silnego argumentu, jakiego Sulzer mógł mu dostarczyć, iż po krytykach wielkich następowali inni już bez ich talentu. Jego zdaniem „właśnie n a j w i ę k s z y m i z nich byli „pisarze drugiego rzędu", „prawie zawsze nie wyrównywający rozbieranym przez nich wzorom".

---

[1]) Por. t. III, str. 87 i 4, artykuły „Kenner" i „Kunstrichter".
[2]) *Dzieła* t. I. str. 112.
[3]) Ib. t. I, str. 115.
[4]) Według tłum. Ludw. Kamińskiego: *Wybór poezji* Aleksandra P o p a, Warszawa, r. 1822, str. 123.
[5]) J. w. str. 124.
[6]) J. w. str. 130.

Ze stanowiska, że ideał musi być „doskonale jedny" zarzucił Czeczotowi, podobnie jak dawniej Tomaszewskiemu, użycie długich opisów historycznych, które się w całości nie wiązały. Co ważniejsze jednak, dawał określenie t o n u, jaki w dumie winien panować. Jak główne zalety dytyrambu — zdaniem jego — stanowić miały moc i żywość, tak życzył sobie obecnie, by w utworze Czeczota więcej było „tej ponurości i melancholji grobowej", jaka panowała w pięknym początku i końcu". Była to już jakby zachęta do pisania ballad. Tonu, wymaganego przez Mickiewicza, nie żądały poetyki ówczesne nawet od elegji.[1]) Gdy zaś zestawimy z tem niedawną uwagę poety o „Liryku, któremu wolno nakształt orła ulatywać w chmury, rzucać się nagle w ciemną puszczę lub dzikie skały", „który maluje gwałtowne uczucia albo wielkie obrazy",[2]) nie zdziwimy się, iż młody krytyk, którego duchowy rozwój i obserwacja wyprowadziły zwolna, lecz coraz dalej za utarte szlaki reguł, odczuje natychmiast piękno poezji romantycznej, gdy się z nią wkrótce spotka przy łączącym w sobie obrazy wielkie, grozę, dzikość i melancholję *The lady of the Lac,* poemacie Walter Scotta.

Nim to nastąpić miało, nim się miał pierwszym ogniem nieznanego zachwytu zapalić, kształcił się dalej pracowicie, nieustannie. W lipcu 1818 r. zajmował się przekładem[3]) *Conseil* (Conseils à ma fille) dramaturga francuskiego Bonilly'ego (1748—1805), znanej książki dla młodzieży, którą zamierzono przetłumaczyć dla zasilenia kasy towarzystwa. Od grudnia tegoż roku do marca roku następnego ogłosił kilka sprawozdań i pism perjodycznych. Posiadały charakter widocznie przypadkowy, związane były z zeszytami, które sprawozdawca dostał do ręki. Oświetlały poniekąd jego studja.

Baczniejszą uwagę zwrócił na rozprawę Eugenjusza Salweter i obszernie streścił jego wywody o nazwiskach

[1]) „Elegja" jest wyrazem żywego wzruszenia serca i w której się uczucie przyjemne z nieprzyjemnem i żałosnem jednoczy. Euz. Słowacki: *Dzieła* t. II str. 82.

[2]) *Nieznane pisma* str. 117.

[3]) Arch. Fil. Kor. t. I, str. 39,

Rzymian, ich „nomen", „cognomen" i „agnomen". Streścił również recenzję artykułu *l'abbé Dénin'a* o filozofji Kanta. Mogłoby to dowodzić, że zainteresował się filozofją, lecz znaczenie tego faktu blednie wobec tego, co napisał o sobie w dwa lata później, iż co się tyczy dzieł Arystotelesa, Dekarta, Mallebransza i Kanta, musi wierzyć zdaniom cudzym, gdyż sam w tej mierze z niczem odezwać się nie może.[1])

Zaznamiając kolegów z artykułami z *Bibljoteki Powszechnej Genewskiej*, wydanej zagranicą, wypełniał osobiście obowiązek, który i na nich nałożył. Nie kto inny przecież bowiem, lecz on sam w *Instrukcji dla pisania wiadomości naukowych*[2]) zobowiązywał członków obu wydziałów do zdawania sprawy z pism krajowych i cudzoziemskich. Ponieważ zaś pisma te rozdawano członkom, którzy władali odnośnym językiem zagranicznym,[3]) pozostała nam więc dalsza wskazówka, iż przewodniczący Wydziału I-go język francuski szczególnie dobrze posiadał.

Z wymienionej już instrukcji oraz drugiej, przyjętej na posiedzeniu w dniu 11 grudnia 1818 r.,[4]) nie trudno jest dziś dowieść, do jak drobiazgowej bibljograficznej dążył ścisłości. Sprawozdawca — jak polecał — musiał wymienić pisma „numer, rok, miesiąc, dzień, miejsce, gdzie się wydaje", nadto format, cel, układ i osoby redagujące,[5]) dzieła, których treść lub ocena w piśmie była zamieszczona, format, cenę, „naostatek wady i zalety, jużto z recenzji gazeciarskiej wyjęte, jużto własne", a spotykając gotowe sprawozdanie, obowiązany był także zebrać główniejsze rysy i uwagi recenzenta, poczem przysługiwało mu prawo czynić własne uwagi.[6])

Planowi temu możnaby zarzucić, iż mało rozwijał samodzielność, nadto oglądał się na gotowe już oceny, ale też głównym jego celem było tylko sumienne zaznajamianie Fi-

---

[1]) *Nieznane pisma*, str. 64. Uwagi, tyczące się założenia pisma perjodycznego (26 marca 1820 r.).

[2]) j. w. str. 5—6.

[3]) *Nieznane pisma*, str. 5.

[4]) j. w. str. 5—6 i 7—9.

[5]) j. w. str. 7.

[6]) j. w. str. 8.

lomatów z tem, co piszą po świecie i wzbogacenie ich wiedzy na pożytek ojczyzny. Może odbiła się w nim znana ścisłość i surowość Grodecka, którego uczniami było kilku z członków stowarzyszenia. Ciekawem też jest dzisiaj stwierdzić, w jak pedantycznej szkole kształcił się tworzyciel nowych dróg, nie bez znaczenia pozostaje poznanie przepisów, które sam układał. Równocześnie także wobec jego postępowania pełnego rozwagi i dążenia, by najpierw się uczyć, a potem dopiero innych poprawiać, nie można się dziwić, że wystąpił z nową teorją estetyczną wówczas dopiero, gdy stała się jego głębokiem przekonaniem.

Bezporównania większą wagę od innych sprawozdań, gdyż związaną z całym rozwojem przyszłego twórcy ballad i romansów posiadały dwie notatki o poemacie romantycznym, z którym spotkał się również w owej genewskiej *Bibliothèque universelle des sciences, belles lettres et arts*: *The Lady of the Lac* Walter Scotta.

W grudniu 1818 roku i 4 lutego roku następnego dwukrotnie wracał do tego dzieła, które przeczytał tylko w ułamku. Nie znając poprzedzających numerów, nie był nawet w stanie podać jego treści. Zrozumiał tylko, iż pisane jest „w duchu poezji kaledońskich bardów", zwrócił uwagę na „tęż samą ponurość i okropność, czułość przerażającą i dziką!". Już w pierwszej notatce podziwiał piękne sceny i wspaniałe opisy. Wykształcenie na regułach pseudoklasycznych nie przeszkodziło mu ulec wrażeniu jakiejś okropności „przy czytaniu" hymnu, który śpiewa Helenie w rozpadlinie skały przy dźwięku harfy Alan Bana". Za drugim razem zaznaczał już wyraźnie swe „zachwycenie", stwierdzał z zapałem, że spotkał „najpiękniejszy wzór poezji rycerskiej, poważnej i zarazem dodawał: „Moc wyrażeń i żywość porównań szczególniej zasługują na uwagę".[1])

Jak poprzednio treść formalna, wykonanie i opisy, tak tutaj n a s t r ó j i treść ujęły wrażliwą duszę młodego poety. W rok później napisał dopiero pierwszą balladę, w dwa i pół roku rozprawę o poezji romantycznej. Na nową poezję mogła mu już zwrócić uwagę wydana w r. 1818 rozprawa

[1]) *Nieznane pisma*, str. 133.

Brodzińskiego. Jeszcze nie czas był jednak na jego utwory romantyczne, choć w styczniu 1819 r. oddał w braterskie ręce Filomatów, a w lutym t. r. ogłosił w *Tygodniku Wileńskim* opartą na dziejach litewskich, powiastkę prozą *Żywilę*. Jeszcze pracować będzie nad Kartofla i Demostenesem, ale ten pierwszy zachwyt, który objawił nad wybitnym utworem nowej szkoły poetyckiej, podziw, przy którym nie starał się go bodaj na tle przeczytanych ułamków zaliczyć do jakiegoś „rodzaju", pozostał chwalebnym wynikiem oświecenia się Filomatów, poznawania się z obcem piśmiennictwem, które stało się następnie przyczyną, iż wielki talent, choć z trudem się wyzwalał, jako tworzyciel nowych dróg, nie dał się później nikomu wyprzedzić.

Tej dbałości o wiedzę i oświatę przypisać też należy jego ostrą niemiłosierną recenzję mowy Teodozego Sierocińskiego, wygłoszonej „przy otwarciu publicznego czytania książki w gimnazjum Krzemienieckiem.[1]) Wystąpił w niej przedewszystkiem przeciw błędom w logice i jasności, które surowo a naogół słusznie osądził. Stwierdzał, iż autor nie zdawał sobie sprawy z tego, co w tytule zamieścił. Obwiniał go, iż artykuł zbudował nieprawidłowo (str. 136). Zkolei udowadniał, że mówca zagadnienia, jakie sam sobie nałożył, wykładał pobieżnie lub nieściśle, używał „perjodów ciemnych" i zwrotów niejasnych, tak, iż — jak dodał sarkastycznie — „trzebaby bardzo szczęśliwego i nowego metodu czytania książek, żeby z tych wyrazów myśl wyczytać". Zresztą istota krytyki tej polegała na dowcipnem, często złośliwem przedstawieniu mętnych zwrotów, nienaukowości autora, zestawień tegoż mniej szczęśliwych, co wszystko uzupełniały trafne uwagi o tem, iż cofnięcie się naszej oświaty nie nastąpiło tylko skutkiem zapomnienia języka krajowego, lecz że przeciwnie „miało inne wielkie przyczyny", poczem skutkiem „cofnienia oświaty poszło" właśnie „języka zaniedbanie", oraz o tem, iż choć „śmierć usta zamknęła twórcom nikczemnej łaciny Jezuickiej — jak mówił Sierociński, lecz... toż się dzieje i z doskonałymi łacinnikami" i t. d.

[1]) *Nieznane pisma*, str. 134—140, czytana 30 marca 1819 r.

Wogóle w uwagach tych okazał wiele pedantyzmu i przesadnej nawet surowości, a zatem jasne jest, iż artykuł Sierocińskiego, nauczyciela w Krzemieńcu, sprawił na nim — przyszłym nauczycielu w Kosowie — niekorzystne wrażenie swą frazeologją. Stąd jedynie zrodzić się mógł ów ton napastliwy i ostry, żywy zarazem, ośmieszający i dowcipny, ton, który powtórzył się zczasem w przemowie do krytyków i recenzentów warszawskich, a którego Mickiewicz zdawał się używać wówczas zwłaszcza, gdy ganił zacofanie i nieuctwo.

Ostatnią z tych dochowanych „Wiadomości", przedłożonych przez twórcę *Żywili*, najbardziej pobieżną, pozostało streszczenie ważniejszych artykułów z czterech numerów paryskiego *Journal des Débats Politiques et Littéraires*. Z pisma tego przedstawił krótkie sprawozdanie o nowej tragedji p. Romagnie.[1]) Z samej już recenzji doszedł do przekonania, iż sztukę tę wypełniała melodramatyczna „dziwność". Przy tej sposobności on, który w listopadzie 1818 r. w liście do Lelewela dał wyraz po raz pierwszy niezadowoleniu z koterji literackiej, kierował teraz krytyczną uwagę w stronę naszych pism, iż „widać, że s m a k d o b r y i znajomość sztuki nie zawsze są udziałem a u t o r ó w oświeceńszego nawet narodu, a dziennikarze chwalący tę tragedję częstokroć t a k j a k n a s i o rzeczach sądzą". Zdaje się, iż w owej porze szybko formował się krytyczny sąd Mickiewicza o naszych recenzentach i stosunkach piśmienniczych. Powiążmy ogniwa tego zwrotu, który powodował w następstwie śmiałość i samodzielność poety.

Zarysowywała się w jego duszy coraz wyraźniej świadomość, że nie można bezwzględnie ufać sądom tych, którzy rządzili współczesnym aeropagiem literackim. Świadomość ta budzić się w nim poczęła zapewne przy krytycznych uwagach nad *Jagiellonidą*, cieszącą się uznaniem i rozgłosem.

Uczeń zdziwionym a badawczym zwrokiem spojrzał na swoich mistrzów. W mowie, zagajającej pierwsze posiedzenie wydziału I-go, na trzy miesiące przed *Uwagami nad*

[1]) Według Kallenbacha *Nieznane Pisma*, str. 140, nazwisko w końcowych literach nieczytelne.

Dumą, wypowiedział kilka cierpkich a bystrych spostrzeżeń o koterjach literacko-naukowych. Nie bez pewnej goryczy wyraził się o dumie i miłości własnej wielkich mężów, która „wstęp do nich zagradzać zwykła". Nie wystarczy Filomatom, zdaniem jego, „samo z wielkimi mężami obcowanie". Nie bez ironji w *Wiadomości o wydziale pierwszym*, czytanej w dniu 15 listopada 1818 roku, mówił o tych, którzy „wdarłszy się na trudną doskonałości opokę, już zapomnieli o drogach, któremi przechodzi(li)".

Ziarno śmiałości sądu, które padło w jego duszę, kiełkowało już, lecz nie odrazu miało się rozwinąć. Jeszcze domagał się „pilnowania najdrobniejszych nawet szczegółów w formalności" i rzucał przestrogę, iż „gwałtowne i częste powstawanie przeciwko przyjętym opinjom zaprowadziłoby u nas niebezpieczną zuchwałość". Instynkt jednak kierował go tam, gdzie, wbrew wygłaszanym przezeń zasadom, można było znaleźć więcej świeżego powietrza do oddechu. Przyszły autor *Ody do młodości* już wówczas upatrywał drogę doskonalenia się przez wymianę zdań wśród młodych, oświecanie się wśród współczesnych, wśród braci, którzy z nami do jednego celu postępując, częstokroć lepszą drogę przypadkiem wynajdą i niezbyt jeszcze oddaleni, rękę nam podać mogą. [1])

Ten objaw zdrowej żywotności i poczucia współczesności niemałe posiadały znaczenie. One to miały zwrócić oczy Filomatów na obcą literaturę współczesną, gdy się z nią spotkają. Budziły szacunek dla własnych myśli i energji, a pozwalały nietylko „kształcić smak, nabywać wiadomość", lecz i „samemu do czynienia nowych odkryć się sposobić".

Jakkolwiek też zbyteczne byłoby szukanie tutaj wpływów, nie da się jednak zaprzeczyć, iż Mickiewicz i sam tak postępował i innym czynić radził, jak wskazywał to w światłych słowach ksiądz Piramowicz, z którego dziełem bodaj podczas nauki szkolnej musiał się zapoznać. „Mieć oko i serce pożyczone do pięknych natury tworów, obcować z ludźmi, mającymi ten delikatny i prędki zmysł duszy, czytać najlepszych w każdym rodzaju

[1]) Mowa na I posiedzeniu wydziału I.

autorów, zapatrywać się na dzieła przewyborne kunsztów, porównywać piękność prawdziwą z fałszywą okrasą, te są sposoby nabycia dobrego gustu".[1]) A gust ten przecież zdaniem ks. Piramowicza, pseudo-klasyka w teorji, lecz mądrego męża i zasłużonego obywatela, mógł zastąpić nawet prawidła.[2])

Nie wszystkie recenzje Mickiewicza dochowały się do tej epoki. Według Kallenbacha[3]) oceniał on jeszcze do lata 1819 r. nowy utwór Czeczota p. t. *Kupała* (28 grudnia 1818 r.), tłumaczenie Kowalewskiego z historji Herodota (24 stycznia 1819 r.), związane widocznie z jego przekładem poprzednim, odczytaną przedtem jeszcze na dni dwanaście pracę Dominika Chodźki o pismach Trembeckiego, dalej pismo Zana p. t. *Początek i postęp dramatyki u starożytnych* (17 kwietnia 1819 r.), pracę Piaseckiego *Rzut oka na religję* (21 kwietnia) i 27 tegoż miesiąca opracowanie Jeżowskiego p. t. *Jakim sposobem wybierać należy naukę.*

Niewątpliwie, gdybyśmy posiadali w całości owe pisma zaginione, pogląd nasz na młodzieńcze zapatrywania Mickiewicza bardziej byłby wyczerpujący, ale należy wątpić, byśmy doszukali się w nich poważniejszych odchyleń od zasadniczej linji estetycznej. Dnia 29 maja 1819 r. zakończył krytyk i poeta swoje nauki w uniwersytecie wileńskim pierwszym egzaminem na magistra w oddziale literatury. Przy tej sposobności odpowiedział Grodkowi obszernie na kilkadziesiąt pytań z filologji klasycznej i musiał niewątpliwie dać dowód gruntownej znajomości przedmiotu i języka łacińskiego, w którym odpowiadał. Wiadomości te, pozyskane w uniwersytecie, miały mu się zczasem bardzo przydać, gdy sam objął katedrę w Lozannie. Borowski, profesor literatury polskiej, egzaminował go z wymowy, poezji i estetyki. Z historji piśmiennictwa pytał go zaledwie o Skargę, Birkowskiego, Karpowicza i Kalińskiego. W egzaminie piśmiennym odpowiedział kandydat na pytania, które rozstrzygnąć zależało oczywiście w myśl obowiązujących zasad estetyki pseudo-

[1]) *Wymowa i poezja dla szkół narod.*, str. VIII.

[2]) J. w. str. 108.

[3]) *Lata uniwersyteckie Mickiewicza. Bibl. Warsz.* 1910 r., t. I str. 228—249 i 457—473.

klasycznej. „Wymienić przyczyny różnego stopnia natchnienia w różnych rodzajach poezji lirycznej" oraz „O dziwności w epopei: do czego służy i wielorakie jej źródło?" Zagadnienie to nie było obce twórcy *Uwag nad Jagiellonidą*, o czem profesor zgóry wiedział niewątpliwie.

A jednak w owym czasie, od grudnia 1818, Mickiewicz, choć czas zaprzątały mu prace filomackie i nauki uniwersyteckie, nie zaniedbywał także poezji. Na obchodach wśród przyjaciół wytrysnęły jego szczere, żartobliwe improwizacje, w których przebijała się swoboda i niedbałość o rodzaj i formę, gdyż miały charakter zabawy koleżeńskiej. Zasady nie położyły na nich wędzidła.

Inaczej było w pieśni pierwszej *Kartofli*, wstępie do poemka w czterech pieśniach. Mimo pięknych obrazów wiosennej przyrody i wspaniałych nieraz opisów, jak odjazdu statku Kolumba, poemat ów heroikomiczny, zaprawiony „dziwnością" w myśl *Uwag o Jagiellonidzie*, obfitował jeszcze w postacie ze świata klasycznego, Neptuna, radę starożytnych bogów, Ereb, Atlasa, Zefira i Fawoniego, „trackie panienki" i „ogiera, z dyktejskiego wyciosanego drewna". Znalazły się tu i reminiscencje z tłumaczonej *Pucelle* Woltera, ale przedewszystkiem zbytnia dbałość o język, stawiała go daleko poza prostotą romantyków, a zbliżała do sztucznych wyrażeń *Zimy miejskiej*. Na dowód jednak, co tliło w głębi duszy poety, przytoczyć nam tutaj należy wyjątek z powstałych za wzorem *Szachów* Widy, a pod wpływem toku wiersza i stylu Trembeckiego *Warcabów*. Przedstawił je 19 kwietnia 1819 roku w kółku Filomatów i także w nich rady dawał Franciszkowi Malewskiemu:

Ale po cóż szeroko p r z e p i s y rozwodzę?
Nie przepisy stanowią zwycięstwo, lecz w o d z e,
Oni początkiem bojów, dają bojom prawa,
Od nich zależy cała w warcaby zabawa,
Nie prędko do potyczki bohater przywabi,
C o się p o w o l n i e w l e c z e, jak ów togat Fabi.
Nie śmiejąc ni uciekać, ani stawić czoła,
Wyda rozkazy, znowu wydane odwoła.
To wprzód, to w tył podjeżdża, patrzy, głową kręci,
Myśli: w tem, co myśli, wypadło z pamięci,
I przegrawszy nareszcie, po rozwagach długich,
Pozna, iż sam się znudził i nie bawił drugich.

Równie śmieszny, kto drobnych obyczajem dzieci
B e z n a m y s ł u, b e z c e l u ośleр w ogień leci,
Biją go, jeśli natrze, łowią, jeśli zmyka,
Ginie wreszcie, nie ciesząc zgonem przeciwnika.
Ten tylko słusznie wielkie gracza imię bierze,
Kto męstwo i rozwagę w jednej trzyma mierze,
Czyja głowa i ręka z bojem oswojona,
Kto i d o b r z e u m y ś l i i p r ę d k o wykona.

Wszystko dowodzi do tej pory, że Mickiewicz i estetykę pojmował wówczas w ten sposób, jak określał Malewskiemu grę w warcaby. Przyjmował jeszcze, iż są przepisy nałożone zgóry, lecz rozumiał też, iż [1]) nie „przepisy", lecz „wodze dyktują bojom prawa". W *Warcabach* też przypominał poniekąd zasadę jedności, zalety kompozycji nie zbyt powolnej, bezładnej, nie zbyt pośpiesznej i nierozważnej, ale śmiałej, choć planowo obmyślonej. Nad przepisami stawiał indywidualność.

Z końcem swego wileńskiego okresu, mając lat dwadzieścia jeden, pozostawił już za sobą plon recenzyj, zdumiewający różnostronnością. Prócz dochowanych było ich więcej, znanych tylko z tytułu. Z jedną z ocen o *Jagiellonidzie* wystąpił publicznie, sprzeciwiając się niezasłużonej sławie dzieła, które też wkrótce zostało słusznie zupełnie zapomnianem. W innych osądzał młodzieńcze utwory przyjaciół, musiał wiele zastanawiać się nad poezją, estetyką, historją, moralnością, pisał instrukcje i przedstawiał swoje wymagania, dokładności i ścisłości, wiedziony niepospolitym instynktem, ale też zapałem i pracą, kształcił g ł o w ę, zastanawiając się, i próbował r ę k i, pisząc pierwsze poetyckie utwory. Narazie zmianę w życiu, choć nie odrazu w poglądach na sztukę, przyniesie rozpoczynający się jego okres kowieński.

[1]) Podobnie, jak pisał w *Uwagach nad Dumą*.

Mieczysław Smolarski.

Z życia rodziny wiejskiej i robotniczej.[1)]

Obszerny tom prof. Mysłakowskiego powstał jako wynik pracy w Instytucie Pedagogicznym w Katowicach dla nauczycieli szkół powszechnych. Składają się nań prócz wstępu prof. M. zawierającego program badań, trzy następujące studja: J. Płatka „Wieś, jako środowisko wychowawcze", oraz mające charakter monograficzny „Obserwacje" nad kilkunastu rodzinami włościańskiemi i robotniczemi ze Śląska Górnego i Opolskiego, A. Michny T. Siwonia. Studja te przeprowadzone na postawie jednolitego planu inicjatora, przekraczają znacznie zapasem wiadomości, które przynoszą, temat ściśle pedagogiczny w tytule wyrażony, owszem są to prace o szerokim zakroju socjologicznym, co zawdzięczać należy nietylko bystrej i nieraz głębokiej obserwacji swych autorów, lecz przedewszystkiem planowi zakreślonemu przez inicjatora.

Pobudkę do inicjatywy swej znalazł prof. Mysłakowski w autobiograficznej rozprawie prof. Bujaka, który opisuje środowisko rodzinne, a zadanie badania pojmuje prof. M. jako przyczynek do ogólnej teorji rodziny, idąc w tem za pracami L. Wiesego, poza tem powołuje się na kierunek monograficzno-psychologiczny Janeta, Boasa, Adlera oraz monograficzno-socjologiczny, idąc w tem za Le Play'em, szkołą La Science Sociale, Znanieckim i Thomasem. Ja wskażę tu, że na naszym gruncie już Bujak w swym budżecie chłopa nie ograniczył się tylko do ilościowo-gospodarczych danych, lecz podał też charakterystykę

[1)] Na marginesie książki: Z. Mysłakowski *Rodzina wiejska jako środowisko wychowawcze*. Nakł. Naukowego Tow. Pedagogicz. Skład główny: „Książnica Atlas", Warszawa - Lwów 1931.

jakościowo - psychologiczną danej rodziny. Natomiast prof. M. w programie swym unika raczej ujęcia kwantytatywnego, danych statystycznych, (choć coprawda i one się znajdą, jeśli np. dowiadujemy się z opisów zwłaszcza Michny dokładnie, ile dzieci w danych rodzinach rodziło się i umierało, jakie duże izby, ile zarabiają, dat antropometrycznych i t. d.). Nie ulega wątpliwości, że monografja, jak prof. Bujaka, ilościowo - jakościowa daje znacznie dokładniejszy wgląd w stosunki, o które idzie, niż czysto jakościowa. Z tem wszystkiem trudno z tego czynić zarzut inicjatorowi tych wysoce zajmujących badań, gdyż dokładne zbadanie ilościowe wymaga specjalnych warunków: naprz. rodzina, którą badał prof. Bujak, była to rodzina jego zamężnej siostry. Ale przedewszystkiem i cyfry uzyskują znaczenie dopiero w świetle badania jakościowego, a znów te dane, które badanie jakościowe może przywieść, mogą być tak znamienne i decydujące, iż wkońcu obejdzie się bez cyfr statystyki.

Ale tutaj też dotykamy pewnej interesującej kwestji z zakresu metodologji opisu socjologicznego, który jest opisem humanistycznym — człowiek mówi o człowieku — i dlatego decydującą w nim rzeczą jest, nie tyle może sam aparat naukowy, sam choćby najdokładniejszy schemat opisu, ile indywidualność badacza, bogactwo jego zainteresowań, jego talent interpretacji psychologicznej, znawstwo życiowe danego środowiska, wreszcie jego zasadnicza postawa oceny naprz. pesymistyczna czy optymistyczna. Toteż ważyłbym się na twierdzenie, że opis socjologiczny tem bardziej jest zajmujący im mniej w nim „izmów", skrótów abstrakcyjnych, im bardziej w nim artyzm pochłania naukowość, im bardziej intuicyjne wczucie się w stosunki przerasta ścisły schemat, a raczej może, wypełnia życiem jego kratki: opis bez żadnych ściśle naukowych, socjologicznych pretensyj, publicystyczny lub artystyczny, jak naprz. Orkana „Listy ze wsi", byle robiony przez człowieka o obfitych i ciekawych punktach widzenia, obdarzonego intuicją duszoznawczą i bystrego obserwatora, wcale nie ustępuje, owszem może przewyższać opis „czysto naukowy" robiony przez człowieka bez tych zalet. Wszak nieraz, przy czytaniu fachowych interpretacyj jakiegoś np. pamiętnika, ma się wrażenie, że te rzeczy nic nie dodają do materjału, są tylko czystą transkrypcją scholastyczną tego żywego życia, i naodwrót, u socjologów najciekawsze bywają same materjały, lub spo-

strzeżenia, ale nie te „fachowe", lecz spostrzeżenia bystrych znawców życia, „artystyczne" raczej.

Trzeba przyznać, że współpracownicy prof. Mysłakowskiego okazali się ludźmi z talentem i z własnym wyrazem; jak naprz. ciekawe są barwne charakterystyki Michny, jak wiele osobistej oceny dodającej prawdziwego życia opisywanym stosunkom, mają w sobie studja Siwonia, i jak znów, w jednych i drugich, wyraża się optymistyczny temperament pierwszego, pesymistyczny drugiego. Ten ton osobisty nie jest ujmą dla tych opisów, owszem ich zaletą, gdyż (poza tem co się w stosunkach międzyludzkich daje ująć w cyfrę) n a g i e g o („surowego") f a k t u międzyludzkiego, w tem znaczeniu aby dał się wyrazić i wogóle postaciować ściśle „objektywnie" t. j. bez żadnej zgoła domieszki o c e n y, — zasadniczo niema. To też prof. Mysłakowski słusznie, jak sam zaznacza, dał swym współpracownikom dość szeroką swobodę, wskazówki raczej ogólne, choć obfite, niż dokładny numerowany schemat pytań. Zaznacza też w przedmowie, że w takich opisach jest coś, co może dać satysfakcję nietylko naukową, lecz i artystyczną.

Program opisu, przedstawiony przez inicjatora badań, był ściśle socjologiczny, to znaczy szło o zbadanie tego, co grupę rodzinną wiąże wewnętrznie, co ją odosabnia od otoczenia, o charakterystykę, otoczenie i stosunek rodziny do otoczenia, o wyznaczenie czynników wewnątrz rodziny w stosunku do układu rodzinnego destruktywnych, a wreszcie o zbadanie roli dziecka w rodzinie, przedewszystkiem zaś kwestji „świadomej pedagogji", t. j., o ile zgóry rodzice wytyczają dla dziecka jakiś plan życiowy, tak w znaczeniu praktycznem jak i moralnem i o ile postępowanie swoje do tego planu stosują; to wszystko poprzedzone opisem geograficznym, gospodarczym i antropometrycznym. Zaznaczam tu naturalnie najogólniejszy zarys planu, osoby, któreby chciały podobne badania u siebie, w swem otoczeniu, przeprowadzić, do czego autor zachęca i oświadcza się z gotowością poparcia takich prac, znajdą w samej książce wskazówki bliższe i dokładniejsze. Naturalnie, jak już powyżej naznaczyliśmy, każdy z obserwatorów, zależnie od swoich indywidualnych zainteresowań i akcentów uwagi zawsze znajdzie jakieś własne punkty szczególnej obserwacii, których może być niezmiernie wiele, a w tej uwadze też idę za intencją wydawcy, który stwierdza, że wogóle

sam materjał obserwacyjny dochodzi do głosu dopiero na podstawie danych zgóry pytań. Rozwój takich badań, któryby wkońcu doprowadził do „zdjęcia psychologicznego", jak sobie zamierza prof. M., ludu całej Polski, przyniesie bardzo wiele dla polityka, kapłana, nauczyciela, ekonomisty, antropologa, geografa, historyka i wielu innych badaczy, nie wyłączając nawet krytyka literackiego. Przyczem zawsze należy mieć na uwadze, że na pełne zdjęcie złożą się dopiero i opisy jakościowe i badania ilościowe i to zarówno analityczne (budżety gospodarstw) jak i statystyka operująca wielkiemi liczbami, monografje rodzin i miejscowości, jak Bujaka, i monografje środowisk socjalno-geograficznych (jak np. dawniejsza już Smoleńskiego o szlachcie zaściankowej mazowieckiej) — a wreszcie i ankiety masowe, przeprowadzane pod specjalnemi kątami widzenia. Dopiero przy współdziałaniu tych kilku metod, cyfry nabiorą życia jakościowego, a oceny jakościowe nieraz czysto „intuicyjne" sprawdzą się — w miarę możności — na cyfrach.

Materjały dostarczane przez autorów są tak obfite i różnorodnie ciekawe, że nie sposób streszczać ich, tem bardziej krótko. Wydobędę więc tutaj tylko niektóre momenty dla mnie osobiście najciekawsze.

P. Jan Płatek, który w pracy swej będącej nie monografją, ale studjum syntetycznem „kultury ludowej" („Wieś jako środowisko wychowawcze") opiera się na obserwacjach czynionych w rodzinnej wiosce w wojew. kieleckiem, podnosi, że wychowanie wiejskie w niewielkim tylko stopniu jest świadomem. Znacznie większą rolę grają tam „czynniki samowychowawcze", więc naprz. samodzielne zaznajamianie się z przyrodą, roślinami, zwierzętami i t. p., ale przedewszystkiem praca dorosłych, w której dziecko od maleńkości bierze udział, zaczynając od kołysania młodszego braciszka. Skutkiem tego „dziecko szybko wrasta w poważne i realne życie rodziny, znacznie szybciej niż w mieście", tak iż, jak autor twierdzi, wpływ osób dorosłych na jego duszę, ojca, matki, sąsiadów, jest o wiele potężniejszy niż u dziecka miejskiego, zwłaszcza ze sfer zamożnych; w porównaniu z temi wpływami najbliższemi, wpływy szkoły, inaczej niż w mieście, mają wedle autora znaczenie „daleko skromniejsze". Dziecko wiejskie zarówno przez tę współpracę ze starszymi, jak i przez przebywanie pośród natury, jak i przez brak zabawek sztucznych,

skutkiem czego samo sobie wymyśla różne zabawki, ma warunki dobrego rozwoju psychicznego, dostosowanego do tego życia, jakiem w przyszłości ma żyć. To jednak niestety w ostatnich czasach, w miarę wpływów na wieś industrjalizacji, ustępuje zmianie na gorsze. Dziecko wiejskie coraz częściej, zamiast pomagać rodzicom w gospodarstwie, wysyłane jest na jakieś roboty zarobkowe, gdzie zmuszone do jednostajnej pracy, nie może rozwijać swoich wrodzonych zainteresowań, a naskutek tego, iż „jego zajęcia nie są wcale związane z jego osobowością i tendencjami, wyrasta i wytwarza się z niego nowoczesny, tak nam znany, człowiek niesumienny, leniwy, zbywający swoją pracę zawodową, człowiek posiadający swój świat niezdrowych marzeń".

W przedstawieniu autora życie psychiczne wieśniaka ukazuje się jako ściśle zależne od rodzaju jego gospodarowania, a nawet rzekłbym, nacechowane znacznym utylitaryzmem.

Podnosi więc przedewszystkiem uporczywość w wykonywaniu postanowień, pewnego rodzaju zaciętość wypływającą z nieustannej walki z siłami przyrody, z uporczywego wyrywania ziemi chleba. „Konsekwentny i uporczywy w pracy, jest też wieśniak konsekwentnie wytrwały w zawiści i gniewie, w raz powstałym stosunku do kogoś". Stąd i konserwatyzm chłopski, który zresztą w tem przedewszystkiem ma swą przyczynę, iż na wsi zachodzi znacznie mniej zmian gospodarczych niż w mieście. Jednakże ten konserwatyzm chłopski ma swoje bardzo wyraźne granice, a mianowicie: „skoro tylko w grę wchodzi czynnik gospodarczy cały konserwatyzm chłopa odrazu znika. Wiecznie głodny ziemi gotów iść za najskrajniejszą doktrynę polityczno-społeczną, byle mu to przyniosło nowe zagony, jedyny cel jego marzeń". Chłop zatem nie jest wcale konserwatystą z natury, jest nim o tyle o ile to mu nie przeszkadza w jego gospodarczych dążeniach.

Przywiązany jest do religji katolickiej, jednakże gotów jest przechodzić do sekt, nie ze względów atoli dogmatyczno-religijnych, ale przedewszystkiem utylitarnych. Podobnież i miłość wiejska „w znacznie wyższym stopniu niż w mieście nosi na sobie znamię ekonomiczne", co zresztą jest bardzo zrozumiałe: młodzieniec wiejski żeniący się z o wiele biedniejszą proletaryzuje się, jeśli nie otrzyma za żoną posagu w ziemi, bo sam albo po rodzicach otrzymał całe gospodarstwo, ale wtedy musi spłacać ro

dzeństwo, albo też otrzymał tylko cząstkę zagonów ojcowskich, ale wtedy właśnie potrzebny mu jest grunt żony. Ponadto konieczność posiadania w żonie silnej i wytrwałej robotnicy, nie zawsze pozwala na kierowanie się względami estetycznemi. Z tem wszystkiem ten utylitaryzm przy zawieraniu małżeństwa wcale nie przeszkadza, że małżeństwa wieśniacze żyją naogół zgodnie, połączone wspólną pracą. Podobnyż utylitaryzm cechuje stosunek do dziadków. Ponieważ rodzina wiejska jest wspólnotą pracy, przeto wszyscy członkowie rodziny muszą pracować, dziadkowie używani są do bawienia dzieci „ale tylko wtedy, gdy już stracili siły, w innym wypadku używa się ich do najcięższych prac w polu".

Taki utylitaryzm nie oznacza jednak egoizmu we wzajemnych stosunkach na wsi. Owszem autor podnosi wysoki stopień solidarności sąsiedzkiej w rozmaitych ciężkich chwilach zwłaszcza w wypadku klęsk żywiołowych. A solidarność ta płynie według autora, nie tyle z jakichś uczuciowych pobudek sympatji, ile z nakazów jakiegoś „niepisanego prawa", do którego się wszyscy stosują w obawie przed opinją wsi, na której zależy nawet najbogatszym; naprz. dwaj sąsiedzi w jakichś nagłych wypadkach pomagają sobie pomimo, że się poza tem nie znoszą. W stosunkach do innych warstw społecznych chłop zachowuje „zimną obojętność".

Tutaj najciekawszą rzeczą byłaby kwestja czy faktycznie istnieje na wsi to „niepisane prawo", pewna objektywna, przez opinję wspólnoty podtrzymywana, stosowana surowo moralność solidarności, wyższej ponad indywidualne niechęci i zarazem niezawisłej od sympatji uczuciowej, od naturalnych odruchów współczucia. Zarazem interesującą staje się kwestja naturalnej, wrodzonej uczuciowości humanitarnej wieśniaka, oraz zdolności jego do aktów nieutylitarnych, bezinteresownych („idealizm"). Gdyby bowiem moralność wiejska utrzymywała się li tylko i wyłącznie przez opinję grupy (moralność „statyczna"), grupy pojętej jako ściśle wyspecjalizowane środowisko gospodarcze, — to możnaby mieć duże wątpliwości: czy jednostki, które grupę tę opuściły i weszły w inne stosunki kulturalne, zdołają w sobie wytworzyć nową wyższym jakimś wymaganiom odpowiadającą moralność (moralność „dynamiczną"), czy w szczególności prawdą jest, że masowo w szeregi inteligencji napływające żywioły wiejskie są

faktycznie tym żywiołem świeżym, mającym zastąpić rzekomo zużytą elitę dotychczasową? [1]) Bo przecież do odrodzenia kultury potrzeba wielkich zasobów bezinteresowności w duszach, pewnej, żeby tak rzec, „niepraktyczności" życiowej, nieutylitaryzmu. Z pytania tego okazuje się, że należytego pojęcia o „kulturze ludowej" nie można sobie wyrobić bez wcielania w nie elementu oceny — i to oceny uzyskanej przez badanie porównawcze innych jeszcze środowisk i jednostek i to w pierwszym rzędzie tych, które pochodząc ze wsi, wieś opuściły. I tutaj, możnaby, tak na oko, powiedzieć, że jeżeli przesadą demagogiczną byłoby twierdzić, iż masowy napływ do zawodów miejskich młodzieży wiejskiej wpływa specjalnie pobudzająco na poziom kultury i idealizm życia miejskiego, to jednak niemniej dużo wśród pochodzących ze wsi inteligentów napotykamy ludzi natchnionych najczystszym idealizmem i osobistości bardzo wyraziste, czasem potężne. A stąd znowuż, retrospektywnie, wolno przypuścić, że jeśli faktycznie większość grupy wiejskiej kieruje się moralnością „statyczną", i tu przeważa utylitaryzm i formalizm (religijny), to jednak niemniej napotykają się na wsi jednostki, które żyją życiem moralnem i religijnem bardziej osobistem, niekoniecznie zależnem od opinji publicznej, i że właśnie ze względu na te, może nie tak rzadkie jednostki, czysty humanitaryzm, porywy bezinteresowne, mają więcej na wsi miejsca, niżby to z przedstawień p. Płatka zdawało się wynikać. Właśnie taki głęboki i doświadczony jak Orkan, znawca wsi, czyni tematem swych opowiadań konflikty wynikające ze zderzenia się jednostek delikatniejszych z twardą przeciętnością wiejską. Poza tem, wolno zauważyć, że pewne bardzo wyraźne

[1]) Tak przynajmniej twierdzi prof. Mysłakowski: „D z i e d z i c z n a elita dawnej Polski się kończy. Wyczerpana w niefortunnych powstaniach i walkach, zrujnowana materjalnie, niedostosowana do nowych zadań, traci ona szybko swe dawne znaczenie. Na miejsce jej ustrój demokratyczny wprowadza elementy l u d o w e" (str. X). Budzi to wątpliwości: dla ścisłego zbadania jak się ta sprawa przedstawia należałoby przeprowadzić obfite próbne ankiety genealogiczne pośród środowisk inteligencji: uniwersyteckich, biurokratycznych, przemysłowych, lekarskich, adwokackich literackich, oficerskich, duchowieństwa wiejskiego i t. d. Na oko biorąc, trzeba, zdaje się, stwierdzić, że obok dość licznych pośród e l i t y umysłowej nazwisk ludowych, przeważają nazwiska o brzmieniu szlacheckiem (nb. nie pomijając względu, że wiele nazwisk było wspólnych ludowi i sferom „wyższym" t. j. szlachcie i zamożniejszemu mieszczaństwu, i znowuż, szlachtę drobną należy liczyć do ludu).

akcenty bezinteresownej humanitarności wchodzą w „nie pisane prawo" wsiowe, np. we wsi niedotkniętej jeszcze zblazowaniem i niechęcią do mieszczuchów niezawsze przystojnie się zachowujących, kwitnie gościnność w stosunku do ludzi obcych wszystkich warstw. W każdym razie biednemu człowiekowi na wsi łatwiej wyżyć niż w mieście. Coprawda, takie znowuż wypadki jak wynoszenie chorych ojców do budynków gospodarskich, gdzie powoli zamierają, jak okrutne czasem katowanie idjotów lub zwierząt, znów w wątpliwość podają tę humanitarność „niepisanego prawa"!...

Przytaczam te wątpliwości, żeby okazać, że rzeczywiście dopiero większa ilość badań, które dostarczą znaczniejszej liczby nietylko faktów, lecz i uchwytów interpretacyjnych, rzuci należyte światło na świat, tak zdawałoby się bliski, a mimo to dość tajemniczy — świat wsi. W tem miejscu jeszcze zauważę, że autorowie albo pominęli, albo też całkiem pobieżnie przesunęli się nad zagadnieniem socjalno-obyczajowem, a zarazem wychowawczem, jakiem jest stosunek do służby. Takie „drobnostki", jak np. czy gospodyni obdzielając swe dzieci jakiemiś łakociami obdarzy dziewczynę służebną lub chłopca pastucha, czy chora służąca jest pielęgnowana, i t. p. — to są momenty wychowawcze całkiem poważne; takie zaś kwestje jak np. czy chłopiec gospodarski w gospodzie podczas zabawy zatańczy ze służebnicą i t. p., mogą rzucić znamienne światło na stosunki socjalne wewnątrz grupy wiejskiej. [1])

Następny z autorów p. A. Michna, kierownik szkoły w Wilkowicach, pow. pszczyński, dostarcza kilka monografij rodzinnych z rozmaitych warstw wiejskich począwszy od proletarjusza a skończywszy na urzędniku prywatnym, i sylwetek osób, kreślonych jak widać, prawdziwie con amore, z przenikliwością psychologiczną i nie pozbawionych pewnego czasem humoru i dyskretnej ironji. Ponadto dostarcza pewnej ilości dat statystycznych, gospodarskich i antropologicznych, z których ostatnie zwłaszcza dotyczące śmiertelności dzieci na wsi, skłaniają do optymizmu. [2])

[1]) Ciekawy przykład hierarchicznego poczucia i grupowania się warstwowego u dzieci wiejskich (gospodarskich i służby dworskiej) podaje jeden z autorów (p. Siwoń).

[2]) Np.: W 6 rodzinach opisywanych przez p. Michnę było razem 48-oro dzieci, z tego umarło 2-oje dziewcząt, w jednej 20-letnia w jed-

W ogólności obraz wsi, który się w tych ze wszystkich warstw zaczerpniętych studjach rysuje, jest raczej pogodny, pomimo samolubstwa lub nawet zepsucia,[1]) a niestety i nędzy w pewnych wypadkach. Większość tych rodzin, które według autora mają być „typowe" — (i tu sęk, tu właśnie wkracza moment subjektywny, wyboru imperatywnie dokonanego przez badacza — i to może w monograficznych badaniach nieuniknione, skoro rzeczywistość jest z natury rzeczy tem mniej „typową", im bliżej jej jesteśmy, im indywidualniej ją traktujemy!) — otóż większość tych rodzin żyje uczciwie, dba o dzieci, dostarczyła dzieci pojętnych i udanych, rokujących dobre nadzieje.

Smutną jest na tem tle nędza rodziny proletarjackiej S., tem smutniejszą, że dane przyrodzone tej rodziny są nader sympatyczne. Przytoczymy dla próbki jej charakterystykę w streszczeniu: Rodzina ta liczy osób 12 (rodzice i dziesięcioro dzieci od 5—24 lat jedno głuchonieme, jedno umarło w wieku lat 20). Dwoje dzieci na służbie (pomagają rodzicom), w domu więc osób 10. Wszyscy mieszkają w jednym (wynajętym) pokoju, długim na 6, szerokim na 5, wysokim na 2 (sic!) metrów. Łóżko jedno, podłoga gliniana. Prócz ludzi mieszkają tam i króliki i prosiak. S. jako bezrobotny otrzymuje 85 zł. na miesiąc, latem dorabia jakichś 50 zł. miesięcznie, prócz tego dzierżawi $^1/_2$ ha lichego pola (za odrobek 20 dni w roku). Sieje na niem żyto i ziemniaki. Jajka od 6 kur gospodyni sprzedaje co do jednego. Krowa licha, dawała ostatnio 1 litr mleka na dobę. S. jest synem kowala, ale sam kowalem nie jest, na wszystkiem się trochę zna, jest „majstrem do wszystkiego", ostatnio pracował w kopalni, na wierzchu. Żona była wiejską pasterką, nie nauczyła się niczego co do gospodarstwa domowego. Jedzą kartofle nieomaszczone, żur („ugotowana zakwa-

---

nej 4-letnia, (o jednej rodzinie nie podaje, czy które nie umarło); żyje więc w chwili opisu dzieci 46 (2 rodz. po 10, 3 po 7, jedna 5). Byłaby pożądana szersza ankieta na ten temat, ze względu na dysputowaną obecnie kwestję kontroli urodzeń.

[1]) Żona podurzędnika prywatnego (funkcjonarjusz browaru książęcego) poucza córki: „Miłości się nie najesz, teraz se popuseraj, a potem patrz chłopa, który ci srogi geltag przyniesie, bo chłop się lągł, żeby ciągł, a baba się rodziła, żeby se fajnie chodziła i nic nie robiła" (185). Jedna z tych dziewcząt jest doskonałą uczennicą i wartościową dziewczyną.

szona mąka bez tłuszczu"), z pola mają trochę zboża, które mielą na żarnach. W niedzielę zjawia się nieraz funt mięsa, w piątek 2 śledzie na całą rodzinę; dzieci w lecie mają trochę owoców poobijanych w sąsiednich ogrodach i t. d. — dzieci wszystkie anemiczne, od wagi przeciętnej dziecka w tym wieku odbiegają o 5—7 kg, mimo to bardzo wytrwałe na głód i chłód, np. ślizgają się podczas wysokiego mrozu w lichem okryciu letniem i nawpół boso. Leniwe i nieposłuszne; rodzice wobec dzieci „wprost bezsilni". Kochają jednak dzieci, „ojciec dzieli się najmniejszą rzeczą z całą rodziną". Dzieci między sobą zgodne i wesołe. Mimo, że nie brak im wrodzonych nawet „nieprzeciętnych" zdolności, uczą się źle, gorzej niż wiele innych dzieci z tej wioski, pochodzących z domów zamożniejszych; niechlujne, owszone, niedożywione, żyjące w przeludnionem i dusznem mieszkaniu, niewyspane, nie mogą normalnie pracować. Do kościoła nie chodzą, bo nie mają w co się ubrać, zwłaszcza obuwia brak. „Z tych dzieci będą więc jednostki uległe, nie stawiające oporu w życiu z powodu niedorozwoju fizycznego i braku inicjatywy, jednostki, które swoją biedę, niezaradność i niechlujstwo będą przekazywały następnemu pokoleniu, o ile nowe otoczenie, w które wcześnie przechodzą, nie zdoła ich pod pewnemi względami przeformować". Coprawda trudno się tego spodziewać, skoro te dzieci ponad stan nędznych wyrobników dziennych i co najwyżej — dziewczęta — służby, nie wyjdą... Sympatyczne i wzruszające szczegóły podaje autor o ojcu tej rodziny: Szczupły i bardzo niski (dlaczego podany wzrost ani tu, ni indziej ważniejszy wiek rodziców?) Trzeźwy i mimo biedy naogół w dobrym humorze, usuwa się od ludzi, obawiając się lekceważenia, jednakże — zręczny i pomysłowy, o otwartej głowie, — będąc człowiekiem „ciekawym", chodzi na wszelkie zebrania publiczne i gminne, należał do N. P. R. będąc robotnikiem; obecnie nie ma z czego opłacać wkładek, z tego też względu nie kupuje gazet, mimo iż się żywo zajmuje polityką. „Jest dobrym Polakiem, a nawet teraz, gdy go bieda trapi, silniej się poczuwa za Polaka. — Odnosi się życzliwie do państwa i interesuje się dużo sprawami budżetu handlowego, rozwoju przemysłowego i t. d. Wiem, że był kuszony przez „Volkskbund", żeby zgłosił swoje dzieci do szkoły mniejszości i byłby pod względem materjalnym dobrze na tem wyszedł, ale odrzucił wszystkie propozycje i klepie polską biedę". Szkoda tylko, że mu się te jego

dzieci pomarnują... Myślę, że taki zuch, cierpliwy i lojalny, o dobrych instynktach i jakiemś heroicznem zacięciu, nie jest jednakże zbytnią rzadkością, pośród naszego ludu. Jest może faktycznie dosyć „typowym".

Najobfitszą we wiadomości jest praca p. Siwonia, który jedną tylko rodziną zajmuje się szczegółowo (małorolną w Mozmowie na Śląsku Opolskim), poza tem daje studjum kilku środowisk śląskich, a mianowicie robotników małorolnych w Mozmowie, służby dworskiej tamże, a po polskiej stronie górników i kolejarzy (środ. robotnicze.). To studjum ma zakrój najszerszy i może służyć jako moralna, gospodarcza i polityczna charakterystyka ludu śląskiego. Poza tem ponieważ w synu nauczyciela rodziny mozmowskiej domyśleć się możemy samego autora, jest ta praca zarazem i autobiografją inteligentnego człowieka z ludu. Podamy dla próbki kilka ustępów, w skróceniu, przedewszystkiem tych, które obrazują stosunki narodowe.

„Psychika dzieci górników jest silnie zmaterjalizowana i „zrzeszona". Interesują się zasadniczo tylko dniem dzisiejszym, tylko tem, co może sprawić przyjemność, a jest to: dobre jadło, picie, przyjemności płciowe i obcowanie w grupach; to wszystko co widzą i słyszą od rodziców i w otoczeniu. Psychika tej warstwy jest wogóle nastawiona zasadniczo konsumpcyjnie — („z ręki do gęby") — nie konstrukcyjnie, bo praca zawodowa zbyt szybko mechanizuje, możliwości snadniejszej poprawy bytu są minimalne a grożace niebezpieczeństwo utraty życia ciągłe. Kto jednak jest samoistny od kilku pokoleń, kto ma jakiś dom, ten stara się zwykle powiększyć swój stan posiadania, tego psychika zdolna jest otrząsnąć się z zabójczego mechanizmu pracy, z konsumpcyjnej atmosfery, panującej wogóle w tej warstwie. Dzieci takich „burżuazyjnych" górników muszą często pilnie pracować, są odpowiedzialne za różne rzeczy i fakty w domu, a w związku z tem interesują się bardziej nauką szkolną. Wszystko to sprawia, że są ruchliwi, przewidujący, orjentują się dobrze w różnych możliwościach rozwoju swego dobrobytu, często zamierzając w przyszłości wykorzystać odmienną psychikę swoich współkolegów".

„Psychika dzieci kolejarzy zasadniczo jest nastawiona w kierunku zabawy w gronie kolegów. Po co bowiem wiele myśleć o pracy i przyszłości? Bez trudności dostał ojciec ongiś posadę, obecnie każdego pierwszego automatycznie przychodzi pensja

więc i w przyszłości tak będzie. Posady dla chłopców znowu jakoś się znajdą, dziewczyny wyjdą za kolejarzy. Młodzież gimnazjalna tej grupy, chcąca zdobyć coś lepszego, również nie widzi trudności pietrzących się w życiu, a więc — wszyscy bawmy się. To hasło ogarnia i dzieci tych, którzy posiadają lub chcą powiększyć swą posiadłość. Ale tak długo aż się „wyszumią" i wyjdą z rodziny, aż w starszym wieku ogarnie ich znowu drugi szał: powiększenie posiadłości, zarażają nim często kolegów-lokatorów, którzy na gwałt budują sobie domy mieszkalne, aby koło nich zakładać dalsze objekty gospodarcze". Takich wglądów charakterystycznych, które rozważnemu czytelnikowi nasuną niejedną myśl polityczno-socjalną, znajdzie się w tej pracy dość. Ciekawym np. jest wywód, że stan materjalny robotników małorolnych (mężczyźni na robotach, kobiety uprawiają niewielkie półka) jest lepszy niż gospodarzy i t. p.

Kilka faktów dotyczących stosunków narodowych na Śląsku Opolskim i naszym: Gospodarze wioski na Śląsku Opolskim „zasadniczo są Polakami z pochodzenia i nawet z poczucia. Ale uważać się za Polaków chcą zwykle tylko gospodarze o średniej wielkości majątku". Małorolni i robotnicy, zależni są od niemieckich pracodawców, a „wędrówki po świecie nastroiły ich na jakąś nutę niemiecką tak, że nie rzadko występują wrogo wobec gospodarzy-Polaków, pod płaszczykiem niby różnic w poglądach narodowych, a jak mnie się wydaje, naprawdę z powodu zazdrości majątku". Poza tem w tej grupie jest „duch grupowy" [raczej: stadny], który nie pozwala jednostce na żadne samodzielne zdanie. Zwłaszcza robotnicy dworscy popisują się fanatyzmem antypolskim, żeby się przypodobać swoim „panom". Z drugiej zaś strony, najzamożniejsi, germanizują się pod wpływami swoich dzieci, które ukończyły szkoły i są „zasadniczo renegatami, z wyjątkiem najinteligentniejszych", a w każdym razie to co niemieckie wydaje im się „fajniejsze" i nie chcą narażać się Niemcom. Kobiety są przystępniejsze germanizacji, zwłaszcza szkodliwe są mieszane małżeństwa, w których Polki ulegają renegatom mężom, a Niemki t. zw. „Niemki!" — germanizują Polaków. Podczas plebiscytów walki narodowe były tu zaciekłe, zamordowano nawet księdza, który był Polakiem. Właściwi Niemcy byli spokojniejsi niż owe „masy ciemne i renegackie", nawet „stare kobiety tych grup wściekały się głośno za niemczyzną".

Obecnie germanizuje nowy ksiądz, Ślązak, pochodzenia polskiego należący do Centrum. Zarazem jednak religja jest czynnikiem narodowo-konserwatywnym, a to dlatego, że lud śpiewa w kościele po polsku (pieśni niemieckich b. mało jest) i odbywa pielgrzymki do polskich miejsc odpustowych, nawet do Krakowa. Średnio zamożni głosują jednak na listy polskie. Autor obawia się, że nasz stan posiadania i u tej warstwy zaniknie. Rodzina będąca przedmiotem monografji jest usposobioną narodowo, właśnie przez to, iż synowie jej są urzędnikami w Polsce i patrjotami.

Górnicy w Radzionkowie pod Bytomiem, w czasach plebiscytowych i powstań śląskich okazali niebywały patrjotyzm. Ostatnie jednak wybory do Sejmu Śląskiego wykazały tu jedną trzecią głosów niemieckich, jedną trzecią za i jedną trzecią przeciw partjom rządowym. Agitacja niemiecka tak się wzmogła, że doprowadziła do otwarcia szkoły mniejszości. Separatyzm zakwitł na całej linji. Autor — który jak widać z jego wynurzeń jest zwolennikiem nie „narodowej", ale „państwowej" ideologji — stwierdza, iż „w ostatnich czasach rozbicie związków doszło do zenitu. Z reguły ma każdy związek swój antyzwiązek. Cała wieś jest rozpolitykowana. Nikomu się już tu nie wierzy, kto głosi hasła, mające na celu dobro Państwa czy robotnika. Ostatnio przejawia się niechęć do związków, wszelkich ideałów, polityki. Żąda się tylko pracy, porządku i sprawiedliwości". Wprawdzie poczucie narodowe jest, to jednak „stosunek do Państwa zależy od konjunktury gospodarczej: jeśli mają suty zarobek i tani zarobek, jeśli widzą wszędzie postęp i dobrobyt, to dobrze jest w Polsce, lepiej jak za Niemca. Ilekroć jest odwrotnie, to odrazu w Niemczech było i jest lepiej. Ostatnie zdanie zaczyna w ostatnich czasach przeważać. Trwale można zdobyć tę warstwę, tylko pracą i chlebem, postępem, porządkiem i sprawiedliwością". Dzieci się chętnie polonizują; skuteczniejsze jednak jest oddziaływanie nauczycieli pochodzących z tamtych stron, umiejących dobrze po niemiecku, co tamtejszym ludziom imponuje. Tak samo działają Niemcy na Śląsku Opolskim, używając do niemczenia tylko Ślązaków-renegatów. Źle oddziaływa na świadomość narodową fakt, że wielu górników pracuje za kordonem. „Frazes „Ślask jako samodzielny kraj, dla Ślązaków", znajduje i dzisiaj jeszcze wielu zwolenników nawet wśród inteligentniejszych". Dryl pruski,

który kiedyś tak nienawidzili; w gruncie rzeczy przeszedł do ich krwi, dziś za nim tęsknią i nazywają go porządkiem".

Kolejarze w Tarnowskich Górach, choć są pochodzenia polskiego i przeważnie w domu mówią po polsku, są nacechowani silnym separatyzmem — gorzej niż ktokolwiek inny na Śląsku. Nawet dzieci niechętnie odnoszą się do nauczycieli, jeśli się „zbyt ostro krytykuje Niemcy". Kolejarze ci „kiedyś byli to fanatyczni zwolennicy obecnego rządu, dziś są" — jak się właśnie rzekło — „krańcowymi separatystami".

Zanotuję tu dość paradoksalną uwagę, że fakt, iż „języka niemieckiego uczy się za mało, bardzo szkodzi dodatniemu stosunkowi do polonizacji", co czytelnik zdoła zrozumieć, wmyśliwszy się w te stosunki. Niechęć też budzi polski system szkolny, mniej praktyczny niż niemiecki. „Szkoła niemiecka przerabiała szczupły zakres, ale bardzo gruntownie i wszechstronnie, stosownie do wymogów życia praktycznego tej grupy — co też umieją wytykać nam niechętni". Szkodliwie też oddziaływują na stosunek ludności do szkoły, swary pomiędzy nauczycielstwem a duchowieństwem, (co przypisuje z jednej strony nauczycielstwu, które złożone z osób młodych i obcych tamtejszym stosunkom, nie zawsze umie zachować się taktownie, z drugiej duchowieństwu, które to młodociane „wolnomyślicielstwo" bierze nieraz zbyt na serjo, a nieraz znów ulega jeszcze reminiscencjom przedwojennych pobismarkowskich „centrowych" czasów): „O ile w b. Galicji i b. Kongresówce zwalczanie Kościoła zepchnie nasze ciemne masy w zamrocze komunizmu, na Śląsku wpycha je w objęcia Niemców. O tem musi pamiętać myślący nawet ateista".

To są, jak się wyżej rzekło, tylko wyjątki ze studjów, które ostatnie zwłaszcza, co też już zaznaczałem, znacznie zakresem swych danych przekraczają ściśle pedagogiczny temat oznaczony w tytule książki. Możnaby się z autorami spierać o jakieś małe niedokładności czy sprzeczności, stylistyczne raczej niż rzeczowe; p. Siwoniowi wypomniałbym małe i rzadkie zresztą niedokładności językowe. Ale całość pracy przynosi nietylko prawdziwy pożytek, lecz i radość i szczerą otuchę — a to ze względu na tych nauczycieli, i to kresowców, co lata szkolne spędziwszy w niemieckiej szkole, umieli zdobyć sobie taką formę językową i naukowe przygotowanie do badań tak żmudnych i wymagających niemałej pomysłowości, a którzy z taką inteligencją i umiłowa-

niem badają swój lud i pracują nad nim. Wątpliwości nie ulega, że część niemała w naukowym względzie zasługi, przypada inicjatorowi i wydawcy tych studjów, które powinny, zwłaszcza pośród nauczycieli, kapłanów wiejskich i ludowej młodzieży inteligentnej znaleźć licznych czytelników oraz naśladowców. Choćby nawet nie wszystkie takie ewentualne studja, miały zostać przyczynkami naukowemi zasługującemi na druk, to wszystkie rozszerzą inteligencję badaczy i otworzą im oczy na wiele potrzeb i niedomogów życia, pośród którego przyszło im żyć. Należy jeszcze, wraz z prof. M., podnieść, że w ostatnich czasach jawią się coraz częściej pamiętniki ludowe i monograficzne badania psycho- i antropogeograficzne. Siew z przed paru dziesiątek lat prof. Bujaka, wydaje plon. Sprzyja tu współczesna atmosfera zainteresowaniom indywidualnemi i konkretnemi kształtami życia — co widać na niejednem polu nauki i piśmiennictwa. Tak, jakby się żywiołowo budziły siły przeciwwagi innym znów tendencjom, które prą do niwelacji kształtów życia, szczególnych, różnolitych.

K. L. Koniński.

Materjały do biografji Stanisława Wyspiańskiego.

Pamiętnik ciotki Janiny Stankiewiczowej.

(Dokończenie).

Nie uważałam, aby pisał, raczej próbował pisać poezje [1]) tylko jeden fakt dał mi bardzo wiele do myślenia i objęło mię przeczucie, że zbudzi się w nim duch i żądza poezji.

Był w ósmej klasie profesor języka niemieckiego w gimn. św. Anny, kazał napisać studentom, jako zadanie domowe, treść z „Hermana i Doroty", wtenczas zamiast streścić, Staś napisał, raczej dodał, nową ostatnią pieśń wierszem w języku niemieckim. Za to zuchwalstwo wyszydził go profesor wobec klasy i kazał mu zdawać gramatykę niemiecką. To go bardzo zabolało, z goryczą opowiedział mi to nietaktowne znalezienie się profesora. [2])

Z Janem Matejką łączyła mego męża bardzo dawna przyjaźń i bardzo serdeczny stosunek, toteż ten prawdziwy przyjaciel otaczał Stasia szczególniejszą sympatją, oceniając w tym młodzieńcu niezwykłe zdolności rysunkowe i olbrzymią pracę i wróżył nam z niego wielką pociechę dla serca, a dla narodu pożytek i ukochanie. Żona zaś ś. p. Jana Matejki, Teodora z Gebułtowskich psuła go swoją dobrocią i oznakami prawdziwego przywiązania. Był prawie ulubieńcem ich domu, bo wszyscy go tam witali z radością.

Namiętnie lubił teatr, od którego nie było sposobu go powstrzymać. Już od trzeciej klasy na każdej premierze być musiał. Gdy powrócił, opowiadał treść, krytykował lub chwalił grę aktorów, a jeśli sztuka mu odpowiadała, musieliśmy pójść do teatru na drugie lub trzecie przedstawienie. Już u trzynastoletniego dziecka byliśmy w poddaństwie, bo musieliśmy zadość uczynić jego życzeniu. Wrażliwy niesłychanie: dramat i tragedja odpowiadały najwięcej jego duszy. Cóż powiedzieć, gdy występowała która z wiel-

[1]) Parę prób jednak odnaleziono i ogłoszono. Zob. T. Sinko: *Antyk Wyspiańskiego*. wyd. II, str. 28—32 i Jan Dürr: *Wiersze gimnazjalne Wyspiańskiego. Ruch Literacki*, nr. 5, 1931.

[2]) Omawia to zadanie i inne wiersze niemieckie T. Sinko: *Antyk Wyspiańskiego*, wyd. II, str, 19—22.

kich artystek, jak Modrzejewska, wielka sztuka objęła go wszechwładnie, poszły w kąt książki szkolne, rysunki, czytanie pamiętników, na tapecie były te dramaty i tragedje, w których występowała Modrzejewska, czytał je, uczył się wyjątków, w których artystka dochodziła do zenitu i młodziutka jego dusza gięła się pod grozą bohaterów sztuki. [1])

Mój mąż cieszył się nim nadzwyczajnie, dogadzał każdej jego zachciance, stąd fantazja jego rozbudziła się, rozrastała się w zdumiewający sposób. Napróżno tłumaczyłam, błagałam, że ten rodzaj prowadzenia i wychowania chłopca jest wprost zły, że charakter wyrabia się absolutny, że chłoca trzeba realniej kształcić, że życie nie da mu róż, ale że jest ciężkie przy najlepszych warunkach, cóż dopiero z jego idealnemi pojęciami o świecie, o ludziach, o życiu. Wszystko to nie miało znaczenia, bo Staś o wszystkiem decydował i od swojego nie ustępował. Ale, że kochał bardzo mego męża, więc przestałam płynąć przeciw prądowi i zostawiłam przeznaczeniu jego przyszłość, prosząc Boga, byle szedł drogą prawą, uczciwą i nie zmarnował darów Bożych. Swoją pracą i charakterem wywierał wpływ na młodszych od siebie kolegów. Oto i przykład. Kazimierz Brudzewski, syn naszych wielkich i drogich sercu przyjaciół, był w domu naszym lat kilka, chłopiec roztargniony, nie lubiący bardzo książki, ale za to wycieczki za miasto, ślizgawkę, towarzystwo kolegów, pod wpływem Stasia w oczach się przemieniał, poważniał, jął się do nauki, do czytania, do pracy. Chodzili razem po Wawelu, po świątyniach, uczył się rysować i szedł za wskazówkami swojego młodego mentora. Ukończył chlubnie szkoły, a już od lat kilku pracuje jako inżynier w Ministerjum w Wiedniu. [2]) Obaj serdeczni przyjaciele, przed którym Staś tajemnic nie miał, bo go bardzo kochał.

Maturę zdawał w tym roku, gdy arcyksiążę Rudolf wraz z żoną byli w Krakowie. Miasto huczało od ruchu, życia, wesołości, gdy on ślęczał nad matematyką i t. d. i rano zastałam go często ubranego przy stoliku, bo umysł, zmęczony pracą, wyczerpany, zaskoczony został snem, aż serce cierpło na ten widok i to młodzieńcze nierachowanie się z siłami. [3])

Gdy uporał się z maturą [4]), pod naciskiem jego prośby,

---

[1]) Zdanie ciotki o teatromanji Wyspiańskiego cytuje Sinko: *Antyk Wyspiańskiego* str. 23—4. dodając uwagę: „Wartoby z archiwum teatru w Krakowie wyciągnąć repertuar tragiczny z lat 1882—1897, by wiedzieć, które to utwory oddziaływać wtedy mogły na fantazję chłopca od lat 13—18". — Częściowo można poznać ten repertuar z książki I. H. Błeszyńskiego: *Rządy Pana Gliksona w teatrze krakowskim*, Kraków 1889.

[2]) Później został radcą namiestnictwa we Lwowie. Zmarł śmiercią samobójczą w r. 1912.

[3]) W przerobieniu materjału do matury, w którym ukazały się znaczne braki, pomagał mu kolega Jan Radomyski.

[4]) Wspomnienia ciotki o latach gimnazjalnych uzupełniają: Stanisław Estreicher: *Z lat szkolnych Wyspiańskiego*, *Tygodnik Ilustrowany*,

trzeba było zdecydować się na to, aby wyjechał w podróż po Galicji w celu zwiedzenia miast, miasteczek, kościołów, cerkwi, synagog, aby rozpoznał różne zabytki, związane z architekturą i sztuką.

Młodzieniec osiemnastoletni, nieprzywykły pamiętać o sobie, niepraktyczny, zapatrzony tylko w przeszłość świątyń, puszczony sam, nie wróżył, że podróż tę odbędzie szczęśliwie. Odprowadziliśmy go do Lwowa i wróciliśmy. On pojechał dalej, ale przyrzekł pisać co dwa dni. I zwiedził też po miastach świątynie, zbierał plany, rysunki ołtarzy, pomników, z rzeźb, ornamentyk kościelnych, śledził po strychach kościelnych, szukając w starych rupieciach rzeczy cennych, które bardzo często odnajdywał, o które wówczas mało kto się troszczył. Kościółki wiejskie były jego upodobaniem, zapełniały się też zeszyty cennemi rysunkami, a on tak jechał z miasteczka do miasteczka i miasta. W wielu miejscowościach natrafił na księży światłych, rozumnych, którzy mu ułatwiali pracę i stanęła drabina, gdy chodziło o szczegół wysoko umieszczony, lub nawet rusztowanie, jak np. w Tarnowie, które biskup tarnowski mu urządził. [1])

Początkowo podług umowy przychodziły listy, potem coraz rzadziej. Już pięć tygodni było tej podróży i dotarł aż do Halicza. Tam wskutek wyczerpania i nieodpowiedniego pożywienia i panującej w tych stronach dysenterji, rozchorował się. [2]) Otrzymawszy tę wiadomość, tego samego dnia, na nasz telegram, wyjechał ze Lwowa nadinspektor kolei Karola Ludwika, p. Edward Heppe, oddany mężowi memu przyjaciel; zabrał go z Halicza z wielkiemi ostrożnościami i wygodami do Lwowa i w ich domu leżał parę tygodni, zanim go można było przewieźć do Krakowa. Nasze przerażenie, boleść i wyrzuty, że pozwalamy tak sobą rządzić były bardzo wielkie. Leżał jeszcze w domu dni kilkanaście, leczony przez dra Paszkowskiego. [3]) Chore to chłopię, drżącemi rękami przewracało karty w zeszytach i pokazywał, co przywiózł, wiele narysował, „jakie tu są rzeczy piękne, wszystko wam pokażę, opowiem“ i zeszyty musiały być obok niego, pod poduszką, aby każdej chwili mógł je wyjąć i przeglądać. Cóż to była za praca olbrzymia. Trzeba było siedzieć całemi dniami po kościołach, kościółkach wiejskich i cerkwiach, aby tyle zebrać

---

nr. 57, 1907 r.; Tad. Sinko: *Antyk Wyspiańskiego,* wyd. II, rozdział I, Jerzy Turnau: *Wyspiański w gimnazjum, Czas* 31 stycznia 1925, nr. 25; Wincenty Korolewicz: *Wyspiański w gimnazjum, Naprzód,* nr. 297. 25. XII. 1927.

[1]) Rysunki z podróży Wyspiańskiego po b. Galicji Wschodniej, głównie ze Lwowa, Bohorodczan i Halicza, posiada p. Włodzimierz Żuławski w Krakowie. Dopiero w r. 1889 na innej wycieczce był w Tarnowie, skąd szkicownik jego z rysunkami zakupiony został przez b. Grono Konserwatorów b. Galicji Zachodniej. Biskup Tarnowski ks. Ignacy Łobos.

[2]) Napiwszy się złej wody w Haliczu na stacji kolejowej.

[3]) Dr. Stanisław Paszkowski (mieszkał przy ul. św. Anny, l. 7).

rysunków. Były tam plany kościołów, odrysowana zewnątrz sylweta, ołtarze, stalle, odrzwia, okna, organy, ściany z polichromją, monumenta, stare napisy na nagrobkach, słowem skarby sztuki, odkradzione z próchniejących już zabytków, które, nie otaczane opieką, marniały.

Obojętny był mu deszcz, zimno, wicher, wilgoć kościelna, opromieniony takiem szczęściem i radością, że zachwyt było patrzeć na tę jego wielką miłość do starych murów przeszłości. Gdy wrócił do zdrowia, zaniósł tę pracę Dyrektorowi Matejce, który obejrzawszy wszystko dokładnie, ściskał go, jak syna, mówiąc: Ja, Stasiu, taką samą szedłem drogą i przeszłość była mi ukochaniem. I prof. Łuszczkiewicz nie mógł się nacieszyć takim uczniem. W następnym roku dr. Paszkowski kazał, aby wysłać go do Szczawnicy, gdyż był wątły, nerwowy, a ponieważ matka jego umarła na suchoty, więc obawa była, aby choroba nie była dziedziczną. Wyjechaliśmy w lipcu i zatrzymaliśmy się na noc w Starym Sączu. Dzień był chmurny, a wieczorem deszcz padał, zimno przejmujące, a tu wieczór się zbliża, a naszego Stasia niema. Zaniepokojeni poszliśmy go szukać i to wprost do klasztoru i kościoła Klarysek, bo gdzież mógłby być o tej porze. W otoczeniu klasztornem pustka, cisza, ciemno, lęk jakiś idzie po nerwach, a my obchodzimy kościół posmutniali i szukamy go. Aż słyszymy śmiech i wołanie: No chodźcie, tu jestem. Nazewnątrz kościoła, w niszy na piętro wysoko umieszczonej w ścianie, w głębi stoi Staś, przytulony do muru, a robiąc różne pozy, odpowiednie figurom świętym, prawdziwie po młodzieńczemu cieszy się, że tam się wydrapał i że go tak szukamy. Nie było dla niego nigdy zawcześnie, nigdy zapóźno, gdy chciał przestudjować lub przerysować upodobany sobie przedmiot.

Powieści żadnych nie czytał prócz Sienkiewicza, którego nowelami się zachwycał i zaraz je ilustrował.[1]) Dramaty Szujskiego często miał w ręku, a już z literaturą starożytną, mitologją grecką i tem klasycznem światłem — żył.

Uczył się języka francuskiego od starego emigranta Erarda,[2]) a nawet muzyki od p. Opieńskiej. Do języków miał ogromną łatwość i wkrótce go opanował.

Po maturze, z początkiem roku szkolnego zapisał się Stan. Wyspiański do Szkoły Sztuk Pięknych i równocześnie na Uniwersytet Jagielloński na wydział filozoficzny i literacki.[3]) W szkole

[1]) Nawet do Paryża przysyłano mu (Stryjeński Tad.) w r. 1890 *Bez dogmatu* Sienkiewicza. Por. Muz. Nar. N. I. 73345. — W bibljotece jego (obecnie w Muz. Nar.) znajdują się tomy „Trylogji" Sienkiewicza.

[2]) Wiktor Erard Ciechomski, lektor Uniw. Jagiell., uczył języka francuskiego nadobowiązkowo w gimnazjum Nowodworskiego (św. Anny).

[3]) O studjach uniwersyteckich, o których p. Stankiewiczowa pisze, zob. Jan Dürr: *Lata uniwersyteckie Wyspiańskiego, Przegląd Warszawski*, nr. 27, r. 1923 i nr. 37 r. 1924, oraz *Wyspiański a książka w latach młodzieńczych, Ruch Literacki*, nr. 3, 1930 r.

Sztuk Pięknych dyrektorem był Jan Matejko. W tym czasie, gdy on miał lat dwadzieścia, odbywała się restauracja presbiterjum kościoła Panny Marji. Kierował restauracją architekt Tadeusz Stryjeński, a polichromję komponował i dział artystyczny objął Jan Matejko. Dwudziestoletni młodzieniec powołany został przez obydwóch, tak wysoko stojących artystów, do pomocy a raczej pracy około drogiej świątyni.[1]) Jak się wywiązał, z jakim zapałem oddał, jak wnikał w myśl Matejki, jak całą duszę tam włożył, że Matejko oddał mu ze spokojem artystyczny dozór nad wszystkimi tam pracującymi artystami, a Stan. Wyspiański nie pozwolił nic lekceważyć, staczał walkę z dużo, dużo starszymi artystami, jeżeli nie wykonali artystycznie i sumiennie powierzonej im pracy, dzień cały na rusztowaniu wszystkiego doglądał, nie pozwolił fuszerować i żądał przemalowania, a wskazówki, które brał od swego mistrza, musiały być z całą dokładnością wykonane. Starzy artyści nie chcieli się powodować i słuchać dwudziestoletniego kierownika, stąd niechęci i przykrości najrozmaitszych odcieni, ale ukochana świątynia przykuła młodego artystę całą duszą i całą potęgą przeszłości historycznych, dziełami wysokiego artyzmu, że na jego usługi oddał swe młode siły, duszę i serce. Tak pracując, prawie dniem i nocą, bo w nocy przygowywał rysunki, kalki, bo rano czekało już kilkanaście rąk i trzeba je było zająć i wytłumaczyć, jak ma być zrobione, biegł do swego mistrza zdać sprawę i dalsze wziąć rozporządzenia. A jaki był przytem wesoły, zadowolony, jak promieniał szczęściem. Dyrektor Muzeum Narod. Wład. Łuszczkiewicz, opisując restaurację presbiterjum kościoła Panny Marji, opisał zasługi i olbrzymią pracę Stanisława Wyspiańskiego.[2]) A gdy wrócił do domu, opowiadał jak cudnie polichromja postępuje, z kwiatonów wychodzą postacie aniołów, bolało go tylko bardzo, że pracujący malarze nie rozumieją swego zawodu, lekceważą i bez miłości, tak jak rzemieślnicy, byle zarobić, pracują.

Mówił do nas: „Przyjdźcie na rusztowanie, ja was wyprodzę i wszystko pokażę". Nie było to tak łatwo, bo mąż mój, mając przeszło 60 lat, nie mógł po deskach i belkach się wspinać. Za to ja byłam prawie co tygodnia. Jednego dnia o umówionej godzinie wchodzę do kościoła, podchodzę pod zasłonę i słyszę jakieś podniesione głosy,[3]) hen w górze, około tęczy ko-

[1]) Zapomniała p. Stankiewiczowa opowiedzieć o wycieczkach naukowych Wyspiańskiego z prof. Władysławem Łuszczkiewiczem do Królestwa Polskiego, w Opoczyńskie i do Kielc w r. 1888 (opisana przez J. Dürra: *Nieznana karta z życia St. Wyspiańskiego, Przegląd Warszawski*, nr. 50 r. 1925) i o wycieczce w następnym roku do Nowego Sącza, Biecza i okolicy oraz samotnie do Tarnowa.

[2]) W Józefa Czecha Kalendarzach Krakowskich za r. 1890, 1891 i 1892, artykułach p. t. *Roboty w kościele P. Marji.*

[3]) Restaurowane presbiterjum oddzielono kotarą od reszty świątyni, gdzie odbywały się nabożeństwa.

ścioła, a między tym gwarem wyraźny głos Stasia. Przelękniona, co tam pod sklepieniem stać się mogło, oczekuję w trwodze, aż rumot nóg daje mi poznać, że cała afera przenosi się na dół i widzę, jak kilku malarczyków, rozpyżonych jak koguty, wychodzi z kościoła. Wchodzę za kotarę i proszę podmajstrzego, aby powiadomił pana Wyspiańskiego, że tutaj na niego czekam. Schodzi i Staś, a podniecony nerwowo opowiada mi: „Wyobraź sobie ciocia, dzisiaj miał być oczyszczony i pomalowany Chrystus, rozpięty w tęczy. Jak oni zabierali się do tej czynności lekceważąco, terpali tego Chrystusa, bez żadnego uszanowania to czynili, śmiejąc się i dowcipkując, że nie mogłem tego przenieść i wyrzuciłem ich, zabierając wszystkie farby i nie pozwolę im robić. Sam to zrobię, sam z pyłu oczyszczę, przemaluję całą passję wraz z emblematami, które są dodane.[1]) Już nazajutrz, uczepiony jak ptak, wisiał u rozpiętych ramion Chrystusa, na postawionej drabince i własnoręcznie sam to uczynił, a Łuszczkiewicz i Matejko cieszyli się nim i kochali go bardzo. Dyrektor Łuszczkiewicz nieraz do nas powtarzał: Cóż wy nie boicie się, że ten Staś zawieszony w oknach, u szczytu kościoła, maluje we wnękach aniołów, a pod nogami jego przepaść. Cóż moglibyśmy na to poradzić, jego dobre duchy pilnowały i piastowały.

W czasie tej restauracji zawiązała się wielka przyjaźń między architektem kościoła, Tadeuszem Sfryjeńskim a Stan. Wyspiańskim. Mężczyzna czterdziestoletni, na stanowisku wybitnem z dwudziestoletnim młodzieńcem, którego bardzo oceniał i szczególniejszą miłością otaczał. Razem na rusztowaniach, razem w kościele, razem u Jana Matejki w pracowni, nie rozstawali się z sobą, bo byli sobie potrzebni do przeprowadzenia takiego dzieła, dom go już mało widział, a wieczór to go też zabierał architekt Stryjeński.

I tak się zdarzało, że w nocy w czasie karnawału około jedenastej dzwonił pan Stryjeński i zabierał go z sobą na bale i ten rzucał wszystko nad czem pracował, ubierał się, śmiał, cieszył i wyelegantowany jechał ze Stryjeńskim na Saską Salę. Nie byliśmy radzi temu balowaniu, bo wyczerpany pracą, niesypianiem po nocach, mizerniał, słabł, i trzeba było myśleć o wypoczynku, o wyjeździe, aby wróciły siły i wycieńczenie się nie rozwijało.

To też nie czekał już na poświęcenie presbiterjum,[2]) tylko d. 2-go marca wyjechał w podróż po Środkowej Europie. Zaczął od Wiednia, skąd na imieniny ś. p. męża mego d. 4 marca zatelegrafował. Stolicy Austrji nie znał, pozostał tam tydzień,[3]) otrzy-

[1]) Według projektu Jana Matejki.

[2]) Rekoncyljacji odnowionego presbiterjum dokonał bardzo uroczyście kardynał Dunajewski 31 marca 1890 r.

[3]) W każdym razie już 5 marca był w Wenecji, jak wynika z listu do Stryjeńskiego, pisanego dnia 6. II (w Muz. Nar, N. I. 73343). Por. też

mywaliśmy kartę prawie co dzień. Następnie pojechał do Włoch północnych, zwiedzał bazyliki, świątynie, gmachy średniowieczne, bibljoteki, muzea, galerje, rysując, studjował style, a zapełniwszy zeszyty cennemi zabytkami sztuki, znakomitemi zabytkami architektury, zdejmował ołtarze, pomniki, nagrobki, szczegóły ornamentyki, wzorów, rzeźby, całemi dniami pracował, — wieczór pisał listy, co widział, co robił, gdzie był i zawsze prosił o wiadomości z domu i z kraju. Potem przebywał w Szwajcarji, Bawarji, Francji, nad morzem Niemieckiem, udał się do Niemiec, zajmowały go bardzo katedry średniowieczne, styl gotycki odpowiadał najbardziej jego duszy, studjował te świątynie, tak francuskie jak niemieckie, a listy, które wówczas do nas pisał, były nadzwyczaj ciekawe, bo były relacją, gdzie jest, gdzie mieszka, jakie wrażenia odnosi, jak obserwuje ludzi, ich zwyczaje i obyczaje, ile piękności i głębokiej myśli zawiera jakiś zabytek sztuki, jak nieraz sam o zmroku w świątyni rozmawia z jej twórcami i przeszłością, jak szuka tych wielkich umysłów i serc, które planowały i budowały te katedry, te arcydzieła, jakie te listy były cudne, ile tam było skarbów, wyjętych z tej duszy młodej, a tak głębokiej, kochającej piękno i tak bardzo szlachetnej. A prawie, że każdy list kończył temi słowy: „Czemu wy tego nie znacie, nie widzicie, ale ja wam pokażę, bo ja was tu przywiozę. Co za szkoda. Będziecie tylko u mnie spokojni, bo ja się wyuczę i wy się mną cieszyć będziecie". Chowałam te listy tak drogie mojemu sercu, gdy razu jednego odnalazł je wszystkie i zniszczył. [1]) Natura jego od najmłodszego chłopięcia samoistna, pełna fantazji, poezji, podsycana ciągle nowemi wrażeniami, nie znała zapory. Wczytując się w coraz to nowe nieznane mu arcydzieła, przejęty ich pięknością, rozgorączkowany, prawie że chory, duch jego przebywał w innych krainach, w innych sferach, nie dla wszystkich dostępny.

Ulubionemi jego książkami, z któremi się nie rozstawał, oprócz trzech naszych wielkich poetów, był Dante, Szekspir, Schiller, Goethe, Milton, Tasso, Ariost, [2]) a już nie mówię o greckiej literaturze, jak Homer, Sofokles, Eurypides i cała grecka mitologja, klasycy francuscy, jak Corneille, Racine, uczył się w oryginale na pamięć całych aktów, deklamował i pytał mię zawsze, czy ja czuję to piękno, które jemu porywa duszę. Często

---

Włodzimierz Żuławski, *Stanisław Wyspiański: List z Włoch. Czas* 25. XII. 1919.

[1]) Zachowały się jednak listy do Lucjana Rydla, Tadeusza Stryjeńskiego, Zygmunta Hendla.

[2]) O Dantem, Szekspirze, Schillerze, Goethem była już mowa poprzednio. Natomiast o rozczytywaniu się w Tassie i Arioście świadczy plan wykonania według nich kompozycyj gobelinowych, o czem pisał do Rydla, 16 listop. 1894. W *Życiu* zaś reprodukował „Szatanów Miltona", kompozycję znaną bardziej pod nazwą „żywiołu powietrza".

bardzo powtarzał do nas: „Nie żałujcie mi nic, nie gniewajcie się na mnie, kochajcie mnie, bo zobaczycie, co ja wymaluję, jak się wyuczę — tylko żebyście mnie rozumieli — tego jednego się boję. A chciałbym, żeby Bóg pozwolił doczekać się wujowi (miał lat 70), panu Heppemu i panu Brudzewskiemu (umarł 23/8 1908 r. w Świerzu na Podolu Galicyjsk.). Ale wyroki Boże były inne, mąż mój umarł 5/8 1895 r., a pan Heppe w kilka lat później.

W domu naszym na Zaciszu, L. 2 bywał „Stary Kraków", bo mąż mój urodzony 1818 r. do tej epoki należał, bywali — jak Władysław Łuszczkiewicz, Jan Matejko, Edward Brudzewski, P. Heppe i tylu innych, więc rozmowy toczyły się o dawno minionych latach, o roku 30—31, o 1846, o 48-ym i wszystkie wypadki były na tapecie, słuchał je Staś, notował ukradkiem urywki z tej żywej historji i był bardzo szczęśliwy, gdy takie towarzystwo się zebrało.[1])

Ale mąż mój lubił ogromnie i młode towarzystwo, więc w domu zawsze było rojno, huczał nieraz salon od śmiechu młodego pokolenia, kochał mój mąż tę młodzież, która, patrząc na świat różowo, nie zna troski, goryczy, bólu, nienawiści, lecz cały świat przycisnęłaby do serca. Ponieważ życie ma swoje prawa, obserwowałam, czy w Stasiu nie budzi się jakie uczucie, czy go nie ogarnie, nie spali tej wątłej i nikłej tkaniny zewnętrznej, ale zamknięta jego dusza, zapatrzona w swoje wnętrze duchowe, nie dała przystępu, aby można było podpatrzeć, jakie to uczucia tam się rodzą, kołują, ścierają, cierpią i wypełniają to młode serce. Najchętniej jeździł z nami do Korabnik pod Skawinę, była to własność pp. Brudzewskich. Miejscowość prześliczna. Były tam cudne dwie córki Anna i Adela, a dobre i szlachetne, rozumne, bawiali się razem, tańczyli, panny grały i śpiewały, Staś je malował, lubił bardzo, gdy przyjechały z rodzicami do Krakowa, zwykle u nas zostawały dni kilka, więc znów humor, wesołość, młode życie; może i złota nić uczucia go wiązała, lecz któż tę duszę, jak ocean głęboką by przejrzał.[2])

Po całorocznej prawie podróży wrócił do Krakowa.[3]) Wprost z kolei poszedł do Kasy Oszczędności Miasta Krakowa przy ul.

---

[1]) W saloniku wujostwa Stankiewiczów można się doszukiwać genezy: *Warszawianki, Lelewela. Nocy Listopadowej*, planu dramatu o roku 46 (por. Artur Górski: *Ze wspomnień o Wyspiańskim. Ruch Literacki*, nr. 3, 1931), do którego gromadził już literaturę, np. Leonarda Chodźki: *Les Massacres de Galicie et Krakovie confisquée par l'Autriche.* Paris 1861. (w bibljotece poety w Muz. Nar.)

[2]) Pamiętniczek jego w Muz. Narodowem w Krakowie, nr. XXXIV wskazuje, choć niejasno, że kochał się bez wzajemności w pannie Adeli Brudzewskiej. Koledzy Wyspiańskiego opowiadają o jego miłości do panny Zofji Pietraszkiewiczówny. Żywił podobno uczucie i do p. Franciszki Muszyńskiej.

[3]) Pamięć nie dopisała p. Stankiewiczowej. Podróż Wyspiańskiego trwała pół roku, od marca do września 1890 r.

Szpitalnej, przywitać się z wujem, podziękować i przeprosić, jeżeli za mało pisał. Potem dopiero przyszedł do domu, aby mnie zobaczyć i mną się — jak mawiał — nacieszyć. Rok niewidzenia go, gdy stanął przedemną — cała tęsknota, niepokój, jaki mnie trawił, wybuchnęła tłumiona tak długo i ani się utulić, ani opanować nie mogłam, tak trzęsło mną spazmatyczne łkanie. Ale wrócił zdrowy, kontent, swobodny, z kufrem wypełnionym rysunkami i listami. A tak umiał zrobić przyjemność. Pp. Brudzewscy posiadali jako swoją własność Ładnogórze nad Gopłem. Pojechał w Księstwo Poznańskie, odnalazł ich dwór, odrysował całą miejscowość, zabudowania, cały brzeg jeziora i dał im jako pamiątkę. Co to była za uciecha, jak cała rodzina mu dziękowała. Wyładowaliśmy kufer, oprócz papierów z rysunkami i książek niema literalnie nic,[1]) to też garderoba wyglądała bardzo smutnie, trzeba było pana artystę zabrać do krawca, szewca et consortes, ubrać, aby się mógł na ulicach Krakowa pokazać. Niesłychanie niepraktyczny, zawsze w kolizji z pieniędzmi, bo nie potrafił sobie odmówić żadnej zachcianki, bądź to kwiatów,[2]) bądź jakiejkolwiek niepotrzebnej fraszki, która kształtem, formą lub pomysłem zwróciła jego uwagę, a którą potem porzucił, chłonęła dużo pieniędzy, więc każdy list obracał się około jednej osi, potrzeba mi pieniędzy. Ale mój zacny mąż rozumiał go zupełnie, że to jest inny zupełnie człowiek, inny ma ustrój nerwowy, inne też ma potrzeby i każdy fundusz przeznaczał dla niego, odmawiał sobie wszystkiego, byle ten drogi Staś nie znał braku i nie krępował sobie fantazji. Zabrał mu Bóg matkę, gdy miał lat 6, ale w moje serce tyle wlał do niego miłości, że można nią było obdzielić liczną rodzinę, a mąż mój ubóstwiał go i otaczał nawet zbytkiem.

Oto przykład, jak się z niczem nie liczył. Miał lat 21 i przychodził czas służby wojskowej. Pewnego dnia przyszedł i z całym humorem i spokojem powiada: „Wzięty jestem do wojska, do 13-go pułku piechoty". Jak grom z jasnego nieba, tak spadła na nas ta klęska, naprzód pomylił niespodziewanie wszystkie szyki i starania o uwolnienie go z wojska, powtóre delikatny, szczupły, z matki chorej piersiowo, wycieńczony pracą, podróżą, fantastyczny, nerwowy, dusza nawskróś artystyczna, charakter samowładny, nie chcący się poddać pod żaden kierunek, nie ro-

---

[1]) Rysunki z podróży zachowały się we Lwowie w Muzeum Miejskiem i w Muzeum Narodowem w Krakowie. Dużo rysunków rozprószonych w zbiorach prywatnych. O podróży tej pisze w wywiadzie z Wyspiańskim F. Hoesick, *Sienkiewicz i Wyspiański*, Warszawa. Gebethner, str. 315—317. Nie wspomina jednak o ważnym pobycie na Śląsku i w Wielkopolsce. O pamiętniku z tej podróży pisze Jan Dürr, *Zapomniane autografy Wyspiańskiego*, str. 34, nr. XXXVI.

[2]) Nawet ten drobny szczegół znajduje potwierdzenie w jednym z listów Wyspiańskiego do Stryjeńskiego z Wenecji. (W Muz. Nar. Nr. In. 73343).

zumiejący wyrazu posłuszeństwo, ma pójść w szkołę karności, obowiązku, ślepego posłuszeństwa, dochodzącego aż do idjotyzmu. Objęliśmy całą straszną sytuację i pobyt jego w wojsku uznaliśmy za niemożliwy. Zacny, szlachetny Jan Matejko jeździł do ówczesnego prezydenta miasta Krakowa Szlachtowskiego, prosząc go, aby użył swoich wpływów na miarodajne osobistości, aby go można uwolnić pod jakim bądź pozorem, bo ta natura artystyczna się zmarni, złamie, a nie nagnie się, aby słuchać byle bałwana. Ale z wojskowością to bardzo ciężko, raz wzięty i uznany za zdolnego, to musi iść do koszar i poddać się warunkom i rozkazom. Lecz tyle zrobiono, że przydzielono go do rezerwy i zamiast rok cały, miał służyć cztery tygodnie. I on sam zrozumiał, jaką popełnił niedorzeczność, że nie powiedział, że ma się stawić do asenterunku i kiedy, którego dnia, ale bardzo posmutniał, powtarzając ustawicznie: „Zróbcie, co chcecie, ja nie pójdę, mnie szkoda czasu". Więc tą przemianą i złagodzeniem ucieszyliśmy się bardzo i nuż jemu perswadować, aby pogodził się z tym losem, że cztery tygodnie miną prędko, że byle sztorcem nie stawał, że mu znów tak źle nie będzie, że w miejscu jesteśmy i każdej chwili, czego będzie potrzebował, to mu dostarczymy. I pójść musiał.[1]) Ale, że są wszędzie zacni i dobrzy ludzie i on trafił na majora bardzo szlachetnego i na innych przełożonych, ludzi dobrze wychowanych, łagodzili mu wszyscy ten pobyt w kasarni Rudolfa, wolno mu było spać w domu, jeść w domu, byle na pewną godzinę powrócił. Ćwiczenia odbywał, a że był grzeczny, bystry, zręczny, wnet się mustry nauczył. Ruch fizyczny ogromnie dobrze wpłynął na jego zdrowie, zmężniał, rozrósł się i z tego szczupłego młodzieńca stał się dobrze zbudowanym mężczyzną.

---

[1]) W listopadzie 1890 roku. O służbie wojskowej poety pisze Wincenty Trojanowski: *Wyspiański — artysta — człowiek — życie*, Warszawa 1927, str. 30—31. Rysunki kolegów z wojska znajdują się w Muzeum Miejskiem we Lwowie.

Podał: *Jan Dürr.*

Przegląd piśmiennictwa.

Powieści i nowele.

Marja Dąbrowska: Wieczne zmartwienie (Mortkowicz). — Zofja Kossak-Szczucka: Nieznany kraj (Rój). — Kornel Makuszyński: Człowiek znaleziony w nocy (Gebethner). — Jerzy Kossowski: Biały folwark (Gebethner). — Wanda Miłaszewska: „Na cztery wiatry" (Św. Wojciech). — Jan Wiktor: Czarna Rózia i Eros na podwórzu (Wyd. Literacko-naukowe). — Eustachy Czekalski: Duży wójt i mały Wojtuś (Gebethner). — Kazimierz Wybranowski: Dwie drogi (Gebethner). — Nadzieja Drucka: Niepotrzebne dzieci (Dom książki polskiej). — Józef Relidzyński: Miłość Renaty Jazłowieckiej (Gebethner). — Irena Szczepańska: Słońce w białym dworze (Gebethner).

Ukazał się świeżo drugi tom cyklu Marji Dąbrowskiej p. t. „Wieczne zmartwienie". Szeroko omawialiśmy na tem miejscu tom pierwszy tej epopei, „Bogumił i Barbara". Niema więc celu wracać do powtarzania, jak ważnym ewenementem literackim jest ta ze wszech miar świetna epopeja i jak wielkim i potężnym jest talent Dąbrowskiej. Coprawda mieliśmy trochę nadziei, że po opisanem w tomie pierwszym bezbarwnem życiu Bogumiła i Barbary, po znakomitem postawieniu ich charakterów, po subtelnem oddaniu historji ich małżeństwa i ich stosunku do różnych uprupowań społecznych, po świetnem i wiernem opisaniu marazmu epoki popowstaniowej, w tomach następnych posuniemy się naprzód, że na tem podrysowanem tle ujrzymy może w kontraście młodsze pokolenia inaczej się do życia ustosunkowujące, inaczej to życie pojmujące i budujące. Ale powtarzam, tak myśleliśmy my, czytelnicy. Autorka miała widocznie swoje racje, mało posuwając się w czasie i zostając niejako przy tym samym temacie i tych samych problemach, co w tomie pierwszym, a mianowicie przy dalszym ciągu historji małżeńskiej Bogumiła i Barbary i przy dalszym rozwoju ich charakterów. Wbrew naszym projektom autorka raczej się zacieśniła. W tomie drugim mniej mamy postaci drugoplanowych, mniej perspektyw t. zw. społecznych. Bogumił i Barbara przygnieceni troską dnia

codziennego, coraz mniej wybiegają myślą do zagadnień ogólnych, szarzeją jeszcze bardziej, zamykają się w domu, odsuwają od ludzi. I oczywiście musimy przyznać, że rację miała autorka a nie my. Jeśli książka nie poszła wszerz i wzwyż, jak my projektowaliśmy, to poszła ogromnie wgłąb. My myśleliśmy kategorjami powieści, a więc chcieliśmy nowych zawikłań, nowych postaci i problemów. Autorka myślała kategorjami życia i zadała sobie literacko niewdzięczny trud śledzenia i oddania życia nie w jego chwilach przełomowych, lecz w prawdziwej potoczystości „Nocy i dni", nie na stacjach „węzłowych" lecz na „przestrzeni". A wiadomo, że na przestrzeni życia człowiek posuwa się rzadko wśród romantycznych i barwnych pejzażów, lecz najczęściej mija tereny równe i monotonne, i tylko dusza sama z siebie bogata umie na szarych niwach życia dostrzegać wypukłości i barwy, tylko oko głębokiej mądrości umie z nich czytać wielkie i odwieczne prawa życia, a tylko wielki talent śmie tę pospolitość życia wziąć za materjał artystycznej twórczości.

Drugi tom „Nocy i dni" jest może jeszcze większym triumfem literackim p. Dąbrowskiej niż pierwszy, bo może w jeszcze większym stopniu przezwyciężyła tu wszelkie już nietylko szablony, ale poprostu elementy powieści. To już nie książka o Bogumile (świetnie utrzymanym w pewnej rosnącej z latami ociężałości, w zacnej poczciwości i iście anielskiej cierpliwości) i Barbarze (może lekko przesadzonej w swej zrzędnej nieznośnej drobiazgowości); to książka o mężczyźnie, dźwigającym odpowiedzialność za byt rodziny, patrzącym trzeźwo, ciężko pracującym, biorącym życie poprostu, godzącym się z faktem dokonanym, szukającym największej dozy szczęścia i spokoju — i o kobiecie ustawicznie to życie wikłającej, kierującej się nerwami, urojeniami, zawsze czegoś szukającej, pogardzającej rzeczywistością, której opanować nie może, wnoszącej w życie mężczyzny zamęt i szczęście, kobiety — życie mężczyzny zdobiącej i zatruwającej, będącej jego celem, troską, radością i trudnością — to książka o człowieku, wprzągniętym w nieubłagany kierat codziennego życia, to nasza ludzka, a więc wielka i doniosła i ważna prawda, prawda okiem mądrości głębokiej dostrzeżona i zrozumiana, a piórem niezrównanego talentu odtworzona.

W tym tomie drugim, w porównaniu z pierwszym istnieje jakieś lepsze wyczucie i oddanie wiejskich nastrojów i krajobrazów, a te delikatne światła i smugi pewnej poezji dodają jeszcze wiele uroku książce p. Dąbrowskiej.

Z prawdziwą niecierpliwością oczekiwać będziemy tomów następnych.

Zofja Kossak-Szczucka w swoim „Nieznanym kraju" przedstawia nam w szeregu krótkich szkiców dzieje Śląska, a właściwie dzieje polskości Śląska i jego walki z niemczyzną. Pierwsze

szkice, dotyczące walk Chrobrego i dziejów śląskich Piastów, choć jak wszystkie rzeczy Szczuckiej pisane świetnie i barwnie, mniej przedstawiają interesu, bo właściwie nic bardzo nowego w historyczne nasze wiadomości nie wnoszą. Natomiast z wielkiem zaciekawieniem czytamy szkice, odnoszące się do czasów późniejszych; w nich przesuwają się przed nami żywe postacie ks. Londzina, pastora Michejdy, Lompy, Cienciały, ks. Brzóski, Korfantego. W tych rozdziałach czytamy o rzeczywiście mniej dokładnie nam znanych dziejach walki polskiego Śląska z germanizacją, a właściwie dzieje śląskiej martyrologji i śląskiego bohaterstwa. Szczucka ze swoim nieporównanym darem stwarzania żywego barwnego epizodu pisze krótkimi obrazami, stwarza z faktów historycznych rodzaj nowel. Z tych nowel występują dziwnie żywo i prawdziwie postacie działaczy śląskich i cały charakter śląskiego ludu. Gdy dołączymy do tych szkiców historycznych rozdziały opisowe, które jak „Pod ziemią i nad ziemią" dają nam niezmiernie piękny i plastyczny opis śląskich fabryk, hut i kopalń, — to rzeczywiście mamy po przeczytaniu tej książki bardzo kompletny obraz całego Śląska, jego pejzażu, bogactw, ludności, zwyczajów, zabytków, jego myśli politycznej i historji, jego przywiązań i dążeń, a wszystko podane bez cienia pedantyzmu, w formie pociągającej, w postaci barwnego krwią i życiem pulsującego obrazu.

Jakkolwiek ciekawa i świetnie pisana książka Szczuckiej jest, jak zresztą wszystkie jej dzieła, przepojona jak najlepszemi zasadami religijnemi, etycznemi i patrjotycznemi, to jednak nasuwa nam pewne wątpliwości, związane z zagadnieniem chrześcijańskiego pacyfizmu. Idea pacyfizmu zrobiła już takie postępy w opinji społecznej, że czytając o kwestjach dotyczących zagadnień narodowości i przynależności państwowych nie możemy o niej nie myśleć. A jeśli ją mamy na myśli, to jednak pewnym zgrzytem odzywają się w nas opisy przez Niemców nam wyrządzanych krzywd, zniewag i obelg, bo czytając te opisy, nie możemy się powstrzymać od odruchów nietylko niechęci, ale i nienawiści przeciw krzywdzicielom. Nie piszę tego, aby stawiać jakiekolwiek zarzuty p. Szczuckiej, książka jej daleka jest od wszelkiej agresywności, jest raczej przepojona głęboką miłością dla Śląska i zbolała jego cierpieniem. Ale właśnie barwne i żywe przedstawienie doznanych przez śląskich Polaków krzywd musi wzbudzić, jeśli już nawet nie uczucia nienawiści przeciw krzywdzicielom, to w każdym razie słuszne pragnienie, aby te krzywdy usunąć i do cierpiącego ludu śląskiego pomocną wyciągnąć rękę. A wiemy niestety dobrze, że takie dążenie do wyrównania krzywd nie jest niczem innem jak szczękiem broni. Z drugiej strony czyż można spokojnie i milcząco patrzeć na gwałt i ucisk, jaki cierpi polska ludność na niesprawiedliwie podzielonym Śląsku? Nie umiem znaleźć odpowiedzi na to bolesne pytanie. Stwier-

dzam więc tylko, że książka musi przejąć każde serce współczuciem dla jego cierpień i czcią dla jego bohaterstwa i wiernej polskości, ale z drugiej strony musi nasunąć myśl, że jeśli pacyfizm chce się oprzeć na idealnej sprawiedliwości, to niestety będzie zapewne hasłem nieziszczalnem. Może pracownicy pacyfizmu potrafią znaleźć wyjście z tego rodzaju dylematów i połączyć dążenie do utrwalenia stałego pokoju na ziemi z dążeniem przywrócenia Śląskowi warunków pełnego i swobodnego rozwoju po linji jego historycznych tradycyj i zgodnie z jego obecnemi uczuciami polskiego patrjotyzmu.

„Człowiek znaleziony w nocy" Kornela Makuszyńskiego jest powieścią o dobroci i przez to jest książką bardzo sympatyczną.

Naogół jesteśmy przyzwyczajeni, że współczesna powieść maluje nam typy przeważnie ujemne. Na kartkach książek defilują przeważnie przed nami wszelkiego rodzaju opryszki, oszusty, szulery, kobiety-jędze i kobiety demony, typy zdeprawowane, patologiczne, zwyrodniałe. To też najczęściej zamykając tom powieści współczesnej mamy wrażenie, że wychodzimy z ponurej brudnej spelunki, gdzie zmuszeni byliśmy obracać się w towarzystwie najgorszem. Może zło jest wdzięczniejszym, a w każdym razie łatwiejszym tematem literackim, może zaś autorzy, opisując nam wszystkie ludzkie szumowiny, brudy i deprawacje, mają poczucie, że trzeźwo patrzą na człowieka, że oddają nam wiernie nagą prawdę „dnia dzisiejszego". Jedni robią to dlatego, że się poprostu w brudzie lubują, inni dlatego, aby przedstawieniem zła przed złem przestrzegać, aby jak się to mówi „zło demaskować". Skutek jest często podobny: mianowicie w powieściach grzebiemy stale we wszystkich ludzkich podłościach i przewrotnościach. To też z prawdziwą ulgą i przyjemnością czytamy nową powieść Makuszyńskiego, który w tym wypadku zerwał z tym łatwym i utartym zwyczajem i miał odwagę przedstawić nam całą galerję ludzi dobrych, zacnych, uczciwych i czystych.

Słyszy się zarzuty, że bohater tej książki, tajemniczy Juljusz, nędzarz, filozof i filantrop, jest nieprawdziwy, że tak kryształowo dobrych i szlachetnych ludzi wogóle niema. To jest możliwe, ale czyż pisarz jest zawsze obowiązany do fotografowania życia, do stwarzania postaci wyłącznie według ścisłych norm psychologji doświadczalnej? Czyż mu nie wolno, kojarząc w jednej postaci rysy u kilku ludzi obserwowane, tworzyć t. zw. typów, czyż nie wolno wysnuwać z fantazji wyśnionych, czyż nie wolno ich używać jako rodzaju symbolów, mających wcielać myśli i pragnienia autora? Postać Juljusza rzeczywiście nie całkiem prawdopodobna przez swoją doskonałość, a jednak żywa i dziwnie sympatyczna, wydaje mi się rodzajem takiego symbolu, jest jakiemś wcieleniem

i odtworzeniem dowolnem wzruszającej postaci św. Wincentego à Paulo.

Jądrem powieści jest duchowe odrodzenie się pisarza Henryka Stalińskiego pod wpływem Juljusza i pod wpływem miłości do dobrej i dzielnej Elżuni. Na upartego możnaby tej powieści zarzucić pewną naiwną sielankowość, ale trudno przypuszczać, aby pisarz tej miary co Makuszyński nie wprowadził tej pewnej naiwności w swoją powieść świadomie i dobrowolnie, a my, powtarzam, wolimy raz tę przesadę w kierunku odwrotnym. Co rzeczywiście psuje powieść Makuszyńskiego, to strzał dawnej kochanki Stalińskiego Iny Torres, strzał z rewolweru wyciągniętego wraz z pudrem z torebki podczas dancingu. Ten incydent przypomina trochę sceny z kiepskich melodramatów. Drugoplanowa para panny Umanowskiej i Garsza jest kapitalna i wnosi w całość nutę życia i humoru.

Z prawdziwem wzruszeniem opisuje Makuszyński w swej powieści ocean istniejącej w świecie nędzy i woła głośno o pomoc i współczucie dla niej. To też choć nie jesteśmy pewni, czy jego bohaterowie są tak idealnie dobrzy i szlachetni, jak twierdzi, wierzymy bez trudu, że autor jest człowiekiem bardzo dobrym i choćby już to samo dobrze nas usposabia do jego sympatycznej książki.

Jerzy Kossowski musi być zaliczony do lepszych naszych powieściopisarzy, choć twórczość jego jest bardzo nierówna, trudno bowiem pojąć, że ten sam człowiek pisał „Zieloną kadrę“ i „Cyrk“. Obecnie wydany „Biały folwark“ należy stanowczo do tej lepszej twórczości Kossowskiego. Duża fantazja, łatwość opowiadania, bogata, może nawet w niezwykłe perypetje zbyt bogata fabuła, plastyczna wizja lokalna, wnikliwe, często głębokie refleksje o życiu, jego prawach i przemianach — to wszystko są poważne zalety Kossowskiego, i wszystkie występują żywo w „Białym folwarku“.

„Biały folwark“ jest dalszym ciągiem powieści „Ceglany dom“. Stanowi jednak całość w sobie zamkniętą i odrębną. Podejmuje historję rodziny Zameyciów, mieszkających w ceglanym domu i rodziny Wildeckich, mieszkającej na białym folwarku. Bogata treść tomu pierwszego jest zgrabnie wpleciona w fabułę obecnie wydanej książki i odsłaniając się nam stopniowo przez cały tok opowiadania z krótkich słów i napomknień, stanowi tajemnicze jej tło. To operowanie dwoma niejako fabułami, przeszłą i obecną, jest przeprowadzone świetnie, dodaje wiele interesu czytanej książce i świadczy o wysokiem opanowaniu techniki powieściowej przez autora.

Czasem, wśród ustawicznej i wciąż ożywającej tragedji obu rodzin, nie możemy nadążyć za biegiem katastrofalnych wypadków i wtedy z rodzajem tęsknoty myślimy o spokojnem, równem

życiu bohaterów p. Dąbrowskiej. Porównanie nasuwa się głównie dlatego, że powieść Kossowskiego odbywa się w podobnem do „Nocy i dni" środowisku. I myślimy, jak mądrze i sprawiedliwie ustosunkowała p. Dąbrowska wszystkie elementy życia między sobą, nie pozwalając miłości zająć więcej miejsca w książce, niż go zajmuje w normalnem życiu. U Kossowskiego natomiast (tak jak zresztą w większej części powieści) miłość i jej tragiczne powikłania i tych powikłań następstwa stanowią główny *spiritus movens* całej akcji, wypaczając w ten sposób prawdę życia w prawdę powieści. Może niesłusznie o to autora szykanuję, ale to już wina p. Dąbrowskiej, że nauczyła nas szukać w książce pełni prawdziwego, niefałszowanego człowieka i życia, a nie każda książka może być epopeją, muszą być i powieści zwykłe, a każdy pisarz musi iść uczciwie po linji swego własnego talentu i dostępnych mu możliwości.

Pod względem ideowym „Biały folwark" jest książką zdrową, bo choć (na szczęście) nie ma t. zw. tendencji, zdrowo sądzi ludzi i wypadki, zło nazywając złem, a dobro dobrem. Autor ma widocznie trzeźwy sąd o tem, czem jest i być powinna praca, obowiązek, rodzina, a widząc jasno czem być powinna droga ludzkiego życia, ma jednak jakąś mądrą i pełną współczucia wyrozumiałość dla ludzi, którzy te drogi mylą i plączą. Dlatego to interesująca ta książka choć nie jest ani moralizatorska, ani ciasna, jest jednak stanowczo dobra.

Historja rodziny Nideckich, opisana w książce Wandy Miłaszewskiej „Na cztery wiatry", jest bardzo smutna.

Rodzina ta składa się z czworga rodzeństwa, które po śmierci matki traci wszelki duchowny kontakt między sobą, i mieszkając pod jednym dachem, staje się sobie obce, a nawet prawie wrogie. Dobrym duchem domu jest najmłodsza, chora na oczy Jadwinia, która wszystkich kocha, wszystkim wierzy, wszystkim pomaga i robi bezskuteczne wysiłki, aby rozpadającą się rodzinę w jedności utrzymać. Jadwinia jest ulubienicą bogatego wuja, dziwaka, który ją kształci, a potem zapisuje jej majątek. Jeden z braci jest spekulantem giełdowym i chce jej te pieniądze wyrwać, aby niemi grać na giełdzie i robić mętne interesa, ale uprzedza go drugi brat, szuler, który naprzód wyciąga, a potem kradnie siostrze większe sumy, a wkońcu strzela sobie w łeb. Ale najsmutniejszy los jest najstarszej siostry, pięknej Ireny, która uwiedziona obietnicą małżeństwa, nawiązuje romans ze swoim biurowym szefem, a potem widząc, że ten ją opuszcza dla jej przyjaciółki aktorki, oddaje się młodemu sublokatorowi Nideckich, poecie Wesołowskiemu. Z tym poetą biedna Jadwinia była w zażyłej i serdecznej przyjaźni, podświadomie ale gorąco w nim się kochając. Ugodzona podwójnym ciosem, zdradą przyjaciela i postępowaniem siostry, ucieka z domu i wstępuje do

klasztoru. Rodzeństwo jest skonsternowane, przekonują się wszyscy, czem była dla nich cicha Jadwinia. Teraz rodzina pójdzie już w prawdziwą rozsypkę.

Czytając te smutne dzieje rodziny Nideckich, zadajemy sobie pytanie, co było powodem tak zupełnego moralnego i życiowego ich bankructwa. Ponieważ autorka przyczyn tych nie tłumaczy i nie stawia żadnej t. zw. „tezy", musimy przyjąć, że chciała poprostu dać nam obraz dzisiejszego społeczeństwa. Obraz ten wypadł bardzo czarno. Obok głównych bohaterów powieści, znajdujemy w niej szereg innych, równie zresztą ujemnych postaci: wyrachowanej, cynicznej aktorki Romy, skąpej wstrętnej ciotki, pozbawionego wszelkich zasad Łąckiego. Jest to obraz społeczeństwa, opętanego chęcią zysku i karjery, pozbawionego wszelkich zasad, zmysłu etycznego i religji. Takie społeczeństwo nie może zrozumieć szlachetnego marzyciela Erazma, a musi zniszczyć i złamać dobrą i cichą Jadwinię.

Powieść pisana jest żywo, stylem poprawnym, czyta się gładko i z zainteresowaniem. Pod względem moralnym książka ta, jak wszystkie zresztą dzieła p. Miłaszewskiej, jest bez zarzutu.

„Czarna Rózia" Jana Wiktora to historja biednej dziewczynki z trojgiem nieślubnych dzieci, zepchniętej na samo dno nędzy i zarabiającej w bohaterskim trudzie na życie i wychowanie tych nad wszystko umiłowanych dzieci, które mimo obarczającej ją powszechnej pogardy, mimo jej straszliwego życiowego położenia uważa za swoje najwyższe szczęście i błogosławieństwo.

Jest w tej książce coś silnego i przejmującego, a mianowicie pewna gorąca namiętność w piętnowaniu wielkiej społecznej niesprawiedliwości, każącej de facto jedynie kobiecie ponosić cały ciężar moralny i materjalny nieślubnego dziecka, i w ten sposób obarczającej wyłącznie kobietę wszystkiemi konsekwencjami grzechu. Jest to książka, jak mało która, oskarżająca mężczyznę za jego brutalność i niesumienność w usuwaniu się od ponoszenia konsekwencji jego czynów, przedstawiająca straszliwą, stąd płynącą, krzywdę dziecka i kobiety przez niego oszukanej i porzuconej; kobieta zaś, odważnie dźwigająca swoje nieszczęśliwe macierzyństwo, jest przedstawiona jako ofiara, a nawet jako bohaterka, okupująca życiem męki, pracy i upokorzeń swoje błędy.

Mimo tej nuty, piętnującej społeczne krzywdy, książka Wiktora jest dziwnie brutalna i ordynarna i nie nadaje się bynajmniej do rozpowszechniania, nietylko dla swoich jaskrawości słów i opisów, ale i dla wielu rozsianych w niej fałszywych moralnych i ideowych zasad.

Nowele Jana Wiktora „Eros na podwórzu" są nowelami z życia zwierząt. Jeśli chodzi o stronę moralną tej książki, to można użyć tylko jednego wyrażenia, mało wprawdzie literackiego, ale dokładnie i jasno oddającego wrażenie z tej lektury, a mianowicie trzeba powiedzieć, że jest to książka obrzydliwa. Oprócz wstrętnego i z jakąś dziwną lubością ciągle wałkowanego erotyzmu razi w niej jeszcze bardzo przypisywanie zwierzętom instynktów religijnych. Te ich westchnienia i modlitwy do „prakoguta" czy „pralisa", które tak mądrze świat dla kogutów i lisów obmyśliły, jest w najwyższym stopniu niesmaczne.

Wogóle antropomorfizm, z którym Wiktor opisuje zwierzęta, przekracza wszelką dopuszczalną miarę. Wskutek tego jego świat zwierzęcy przestaje być interesującym, bo trudno rzeczywiście nawet „na niby", nawet po literacku, uwierzyć w te wszystkie najzupełniej ludzkie myśli, uczucia, filozofowania i psychiczne powikłania zwierząt. Ma się wrażenie, że autor, kochając zwierzęta, nie ma najmniejszego ich wyczucia i zrozumienia, żadnej intuicji, która pozwoliłaby mu wniknąć w ich rzeczywiście ciekawe i tajemnicze życie. O zwierzętach można pisać albo symbolicznie, jak to robił Rostand w *Chanteclair*, albo nawet po części Kipling w *Księdze Dżungli*, albo też niejako przyrodniczo-objektywnie, t. zn. starać się na podstawie obserwacji przeniknąć tajemnice ich dziwnego instynktu, ich napół wegetatywnego, napół w swoisty, a tak nam mało znany sposób świadomego życia, ich tak nam mało dostępnej a jednak bezwątpienia istniejącej jakiejś psychologji. W ten sposób studjowana historja „naszych braci zwierząt i ptaków" może być bardzo ciekawa. Ale przenoszenie żywcem na zwierzęta ludzkich uczuć i myśli nie może nas zająć, nie przyczynia się w niczem do poznania zwierząt, a często robi poprostu wrażenie groteski. Jedynie zewnętrzny opis zwierząt jest żywy, ładny i plastyczny. Niewiadomo też z jakiej przyczyny wszystkie kaczki, kury i wrony seplenią z mazurska i mówią chłopskim dialektem.

Odkładając niesmaczną tę książkę myślimy z żalem, że pisał ją autor „Tęczy nad sercem".

„Duży wójt i mały Wojtuś" Eustachego Czekalskiego to zbiór nowel. Autor nie trzymał się w nich modnego dziś systemu cyklowego. Nowele są niejednolite i nie stanowią żadnej ani ideologicznie ani nawet tematycznie związanej całości. Pod względem wartości są też dziwnie nierówne. Niektóre, jak n. p. „Pod kogutkiem" i „Kierat" są pisane z dużą swadą i zacięciem, odznaczają się dobrą znajomością psychologji chłopa i drobnego mieszczanina, mają w sobie pewien komizm filozoficzny, komizm płynący z bardzo prostego ujmowania skomplikowanych i drażliwych sytuacyj życiowych. Większa jednak część tych nowel jest bardzo słaba, są to jakieś fragmentaryczne obrazki, robiące wrażenie

rzeczy niedokończonych i wogóle zbytecznych, gdyż ani strona ideowa, ani psychologiczna, ani sytuacyjna nie jest dostatecznem umotywowaniem ich literackiego typu. Wielka lekkość, z jaką autor traktuje zagadnienia moralne i zbytnia swoboda wyrażeń sprawiają, że nowele te musi się zaliczyć może nie do książek złych, ale w każdym razie do mocno frywolnych.

Kazimierz Wybranowski, pisząc „Dwie drogi", miał zdaje się raczej cele polityczne, jak artystyczne na oku. Chciał najwidoczniej przedstawić obecnie panujący „régime" w najczarniejszych barwach, mówiąc a częściej sugerując, że w wysokich sferach rządowych panuje najdalej idąca korupcja, zbrodnia i przekupstwo, i że wszystko w obecnym ustroju jest złe i głupie. Temu przez siebie znienawidzonemu porządkowi rzeczy przeciwstawia jakiś rodzaj konspiracji narodowej, ludzi wedle jego pojęć idealnie czystych i szlachetnych. Przekładając myśl powieści na język potoczny, mają te dwie drogi w myśli autora oznaczać czarną mafję „Bebeków" i kryształowe ugrupowanie „Endeków". Normy etyczne dla tych dwóch grup są różne: gdy partja rządowa knuje rzekomo spiski na cudze życie i nasyła zbirów, są to oczywiście w oczach autora czyny podłe i karygodne, jednakowoż gdy „narodowcy" wciągają ludzi w pułapki i zabijają ich jak psów, to oczywiście jest sprawiedliwym i szlachetnym samosądem. Tego rodzaju przykładanie z klucza partyjnego do sądzenia cudzych czynów jest zwykłym skutkiem politycznego roznamiętnienia.

Nie będę się tu wdawać w dysputę polityczną, wolno każdemu mieć swoje przekonania, mojem zdaniem jest tylko ocenienie książki z punktu artystycznego i moralnego. Otóż punkt artystyczny w „Dwóch drogach" nie istnieje wcale. Postacie są słabe i szablonowe, charaktery dzielą się na charaktery czarne i idealne, bohater, jak na taką powieść przystoi, jest naprzód usidlony przez kobietę-demona i otoczony złemi wpływami rządowemi, potem wraca na dobrą drogę pod wpływem kobiety-anioła i mądrych a szlachetnych przyjaciół endeckich. Fabuła jest naciągnięta, pod koniec wprost groteskowa.

O punkcie etycznym też trudno mówić w książce tak przepojonej nienawiścią. Prawdopodobnie dla tem skuteczniejszej propagandy politycznej ozdobił autor swoją powieść dość wyraźnemi scenami erotycznemi.

Prawdziwy morał tej książki jest taki, że jak ktoś chce pisać o polityce, to powinien się trzymać artykułów i gazet, bo powieść należy do działu sztuki i na propagandę publicystyczną bezkarnie przerobić się nie da. Propaganda tego rodzaju jest prawdopodobnie mało skuteczna, a powieść jest stanowczo słaba.

Powieść N. Druckiej „Niepotrzebne dzieci" jest wogóle niepotrzebną książką.

Pod względem artystycznym jest niepotrzebną, bo choć znajdują się w niej pewne sceny, sytuacje i momenty żywe, zdające się świadczyć o możliwościach talentu autorki, to naogół fabuła jest naciągnięta, postacie papierowe, przesadzone i nieprawdopodobne. Nagromadzenie czarnych charakterów i czarnych sytuacyj jest zupełnie niewiarogodne, i mogące się jedynie tłumaczyć tem, że autorka nie tyle patrzała na otaczające ją życie, ile na postulat, który chciała przeprowadzić.

Tezą M. Druckiej jest, że ludzie, którzy nie umieją dzieci wychowywać, nie powinni ich mieć. Pod tym względem nie warto dodawać, że książka jest nietylko fałszywa, ale i zupełnie zbyteczna. Naprzód nie dowodzi niczego, a po drugie teza jej, pomijając już wszystkie inne względy, jest wprost absurdalna. Do jakich nonsensów doprowadziłoby takie postawienie kwestji, mówić i tłumaczyć wogóle nie warto.

Kwestję można odwrócić (o co zdrowy rozsądek sam się doprasza) i z książki N. Druckiej wyczytać zasadę, że dzieci należy dobrze wychowywać, gdyż inaczej, tak jak w tej powieści, schodzą na złe drogi i marnują się. Zasada bezwątpienia słuszna, ale czyż warto było przez 250 stron wałkować stek brudów, wprowadzać czytelnika w atmosferę najwyższej „moral insanity", opisywać typy i sytuacje wstrętne i obrzydliwe, aby ją udowodnić? Myślę, że i bez tego wszyscy zasadę tę podzielają w teorji, a do wprowadzenia w praktykę lepszych systemów pedagogicznych brudna książka N. Druckiej napewno się nie przyczyni.

Uderzają w tej książce dziwnie częste błędy stylistyczne, a nawet poprostu językowe i gramatyczne. Nie wiadomo, czy trzeba je przypisać autorce, czy wyjątkowo niedbałej korekcie.

Powieść Józefa Relidzyńskiego „Miłość Renaty Jazłowieckiej" jest pisana ściśle wedle recepty sensacyjnej powieści, obliczonej na tani efekt i gusta mało wybrednej publiczności. Jest w niej i kobieta - demon, i kradzież pereł przez międzynarodowego oszusta, i wojna, są i duchy plątające się wśród ludzi jak psy, i romans z upiorem, i dumna hrabianka, i zasuszona duariera, i mnóstwo pieniędzy, i uczty z szampanem. Jest też oczywiście i sporo zmysłowości i scen erotycznych, bo czyż bez wprowadzenia drażniących opisów mogłaby taka powieść nawet z duchami liczyć na szerszą poczytność?

Niczego oprócz sensacji i erotyzmu nie można się dopatrzeć w tym ponurym filmie, nie liczącym się z żadnemi prawdopodobieństwami, ani życiowemi, ani psychologicznemi. Samobójstwa, zabójstwa, ataki furji, stany patologiczne, no i romanse bohaterki z miłości nieprawdziwej i prawdziwej — oto wszystkie środki artystyczne i całe bogactwo myślowe autora.

„Słońce w białym dworze" Ireny Szczepańskiej jest książką błahą, o jakby dziwnie lekkim ciężarze gatunkowym. Czytając ją, nie zdajemy sobie właściwie sprawy, dlaczego wogóle napisaną została. Są to wspomnienia z dzieciństwa, prawda, że pełne szczerego i miłego sentymentu, ale taki sentyment do wspomnień z dzieciństwa nie jest jeszcze ani wystarczającym powodem, ani wystarczającą kwalifikacją do napisania książki. Prawdopodobnie młoda autorka chce tą zwykłą bramą wspomnień osobistych wejść na ścieżki literatury. Jeśli jej książka miała być rodzajem próby pióra, to trzeba jej doradzić, aby w sposobie pisania pozbyła się pewnej robionej sztuczności, stylu wzorowanego zbyt widocznie na p. Kuncewiczowej. Ten styl wyszukany, usiany naciągniętemi porównaniami, zdaje się w szczególny sposób nie licować z jej możliwościami pisarskiemi. Bo prawdziwą wartością tej książeczki jest właśnie pewna szczerość, pewna świeżość i wewnętrzna prostota, które z trudem przebijają się przez zewnętrzną a niepotrzebną komplikację formy.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Tomasz Mann: Pan i pies. Przekład autoryzowany Leopolda Staffa, Przedmowa St. Wasilewskiego. Wyd. Polskie Poznań.

Istnieją książki, w których szczególniej silnie zaznacza się niewola człowieka w uścisku ziemi. Niema w nich odetchnienia, niema podniesienia rąk ku gwiazdom dalekim i możliwościom duchowym. Oto gromady ludzi i jednostki kłopoczą się, cierpią, tęsknią odtrącające i odtrącane w swych wzajemnych stosunkach, raniące i zkolei zranione.

Ludzie Galthworthy'ego, Tomasza Mann'a, Romain Rolland'a kręcą się wciąż po tym samym deptaku, wśród stworzonych przez siebie murów więziennych i nie umieją otworzyć bramy, by wyjść w szeroki świat.

Takie wrażenie duszności, jakby brakło oddechu w powietrzu, zbyt przeładowanem wyziewami ziemi, robi książka Mann'a „Pan i Pies".

Dlaczego „oni", cudzoziemcy w krainach ducha, tak bardzo lubią zwierzęta? Czemu studja o nich piszą zawsze ci, którzy nie mają wyczucia wieczności? Humanitaryzm u nich przechodzi w „bestjaryzm", czułość dla zwierząt wywołuje znieczulenie dla ludzi.

Jest to wynik tego „witalizmu", który wszędzie szuka nie idei i prawdy, lecz objawów życia, niezależnie od stopnia ich uduchowienia. Dlatego szczególną uwagę przyciągają istoty, nie objęte procesem człowieczo-bożym, ewolucją duszy ku doskonałości i światłu. Takie właśnie nastawienie kazało ludziom szukać nierozwiązalnej na ziemi tajemnicy życia w objawach jego niższych, pierwotnych. Dusza pogłębiona i pracująca nie może się

skazać na życie wśród zjawisk moralnie obojętnych. A pomimo wielu zaobserwowanych objawów inteligencji zwierząt, nawet pewnego prawa zbiorowego u nich, nie stoją one na poziomie, dopuszczającym współpracę duchową. Zdrową jest dobroć człowieka dla zwierzęcia-pracownika, dla zwierzęcia, jako istoty cierpiącej i bezbronnej. Ale jest wypaczeniem normalnego trybu życia robienie ze zwierzęcia zabawki i udzielanie mu w duszach swych miejsca, należącego się istotom nieśmiertelnym.

Mann ujął zda się głęboko swój stosunek do psa. Jego obserwacje mają pozór prawdy. Ale jest nie uczłowieczył zanadto swego psa? Czy nie podsunął mu uczuć, zgoła niemożliwych?

Poza nowelą „Pan i pies" książka obejmuje jeszcze dwie nowele. Jedna z nich jest szkicem do „Buddenbroków". Wspomnienie pierwszej miłości i pierwszej przyjaźni. Mann porusza motyw niezmiernie oryginalny i wprost odwrotny, niż autorzy romantyczni: tęsknotę artysty do zwyczajności. „Najgłębsza i najskrytsza miłość moja należy do jasnowłosych i błękitnookich, do jasnych, żywych, szczęśliwych, miłych i zwyczajnych".

Czy szczęście daje wytężone dążenie ku wyższemu typowi, czy odprężenie się w pospolitej przyziemności, kiedy twórcza wzniosłość zaczyna się wydawać kalectwem i upośledzeniem? Jest to jeszcze raz witalizm.

Trzecia nowela jest doskonałym obrazkiem powojennym, uwydatniającym różnicę między dwoma pokoleniami. Świetna, głęboka psychologja, ogromna skala przeżyć i obserwacji.... Życie w różnorodnych objawach przepływa tęczującą falą pod piórem Manna. A jednak nad wszystkiem jest tchnienie głębokiej melancholji.

A. Z.

Witold Łaszczyński: Wysoki próg. Poezje. Warszawa, nakładem Komitetu jubileuszowego.

Świat intelektualny Warszawy dobrze zna wysokiego pana o charakterystycznej postaci i zarzuconych w tył głowy włosach, już nieco wysrebrzonych. Mówi się o nim najczęściej jako o inicjatorze i twórcy olbrzymich akademij, gromadzących wiele tysięcy osób ku czci Krasińskiego, Sobieskiego, Szymona Konarskiego i in. Żywotny autor „Wysokiego progu" jest pożądanym, ruchliwym członkiem zarządów towarzystw literackich, prowadzi sekcję literacką w kole rozmiłowanej w sobie młodzieży, oddaje się prócz tego sumiennie ciężkiej i odpowiedzialnej pracy w jednej z instytucyj państwowych. Tak jest dziś, a kiedyś...

Kilkunastoletni poeta zaczął tworzyć wiersze jako niemal „cudowne dziecko" za czasów salonu Deotymy. Drukował je tu i tam. W „Kłosach", „Kurjerze Warszawskim", „Tygodniku Ilustrowanym". Dorabiali do nich nieraz melodję Niewiarowski,

Starczewski, Münchheimer, Mikulski, Elertowicz, Rapacki... Razem z Konopnicką i Zagórskim przetłumaczył Cyrana de Bergérac Rostanda. W r. 1906 założył teatr Młodzieży Pracy. Był prezesem, dyrektorem, reżyserem Towarzystwa Teatralnego Warszawskiego, objeżdżał z młodymi aktorami, których sam kształcił, całą prowincję, wystawiał w 90% sztuki polskie, przedewszystkiem oczywiście poetyckie i patrjotyczne, by budzić ducha, tęsknotą do wolności zapalać. Kłócił się z cenzorami i naczelnikami powiatu, znał sposoby, by uśpić ich surowość. Zorganizował przez ten czas bez żadnej subwencji z górą 500 przedstawień i 100 koncertów. Współpracował nieraz z „Macierzą", „Towarzystwem Kultury Polskiej", „Towarzystwem Wpisów Szkolnych" i t. d. Trudno to zresztą wyliczać.

Jest szlachetnym romantykiem, poetą z głębi serca w czynach i twórczości. Rok temu młodzież i wszystkie niemal związki literackie urządziły jego jubileusz. Zebrał się na nim świat najwyższej warszawskiej inteligencji. Posłyszano wówczas w wielkiej sali sztandarowej wiersze jego w pełnym dźwięku, brzmiące w deklamacji doskonale, nieraz poetycznie. Działały silnie treścią, uczuciem... Oklaskiwano je z wielkiem uznaniem i sympatją.

Są dziś jakąś romantyczną wyspą na morzu poezji. Wiele z nich, jak „Zdobycie Warszawy", „Odezwa W. Ks. Mikołaja Mikołajewicza", „Do posłów polskich w Dumie", ma i będzie miało wartość dokumentu. Opisywał w nich autor to, co go przejmowało, poruszało. Trzeba wioślarzom polskim pieśni i oto jest: „Na łódź, na łódź!" Prosi o hymn korporacja akademicka i oto zaraz: „Karmazyn, biel i zieleń, trójtęczę Patrji barw, śpiewajmy wśród weseleń na strunach piersi harf. Podajmy bratnie dłonie, śród druhów dobrze tak, karmazyn niech nam płonie, hej na przyjaźni znak".

Myśl w tych wypadkach idzie pierwsza, budzi uczucie, forma przychodzi sama, nieszukana. Mimo to są wśród utworów Łaszczyńskiego dzieła świadczące o jego wysokim kunszcie artystycznym, jak „Amfiteatr w Łazienkach" i wiele innych. Dzięki zakrojowi epickiemu wywierają silne i piękne wrażenie w deklaklamacji. Jednem ze świadectw jego formalnego artyzmu jest też piąty akt „Cyrana de Bergérac". Ale najciekawsza, choć dziś zwykle najmniej doceniana, jest w tonie jego głęboka nuta uczuciowa, patrjotyczna, społeczna, religijna. Ukazuje się sam w nim szczerze jako człowiek, jakim jest, czuły na wydarzenia życia, wrażliwy na melodje. „Wysoki próg" wydał swoim nakładem Komitet jubileuszowy, któremu przewodniczył w imieniu literatów Witold Bunikiewicz, a w imieniu młodzieży prezes „Młodej Polski Społecznej" p. Henryk Janczewski.

Miecz. Sm.

Marja Cecylja Łubieńska: Pierwotna forma Towarzystwa Św. Anieli Merici, czyli Apostolstwo dziewicy chrześcijańskiej. Kraków 1932, nakł. SS. Urszulanek polskich. Str. 121.
Taż: Ustawy Towarzystwa Św. Anieli Merici. Kraków 1932, nakł. jak wyżej, str. 161.

Urszulanki polskie zaznaczają się coraz wybitniej swoją działalnością na polu wychowania. Według katalogu Zgromadzenia na r. 1932 liczą one wraz z nowicjuszkami 191 sióstr chórowych i 282 siostry pomocnice; w ich domach w liczbie 20 (w tem dwa w Charbinie w Mandżurji) kształci się i wychowuje 4731 uczennic; ponadto w ich internatach znajduje się 80 słuchaczek szkół wyższych, a w Krakowie istnieją Kursy katechetek, liczące 45 słuchaczek. Od kilku lat zaznaczają się Urszulanki nasze także na polu piśmiennictwa. Założyły i wydają dwa czasopisma, dla młodzieży średniej *Dziś i Jutro* i dla dziatwy *Mały Światek*. Opracowały także bogaty katalog książek dla młodzieży, wydany przez Wydawnictwo Ks. Jezuitów.

Żywotność tego Zgromadzenia uwydatnia się jeszcze w inny sposób: z niego, jak z pnia o pełni soków, wyrastają nowe poboczne organizacje zakonne czy nawpół zakonne. W r. 1919 wyłoniła się zeń i ukonstytuowała odrębnie Kongregacja tak zw. „Urszulanek od konającego Serca Jezusa" (popularnie: Urszulanki Matki Ledóchowskiej), pracująca przeważnie na polu charytatywnem i społecznem; obecnie pod bokiem „Urszulanek polskich" tworzy się „Towarzystwo świętej Anieli Merici", organizacja panien (lub wdów) pozostających w świecie na różnych stanowiskach, mających wszakże prowadzić życie doskonalsze i poświęcać się różnym dziełom użyteczności społecznej.

Dla wymienionego „Towarzystwa św. Anieli" wydane zostały świeżo dwie książeczki, napisane przez Matkę M. Cecylję Łubieńską, generalną przełożoną Urszulanek polskich. Pierwsza z nich: „Pierwotna forma Tow. św. Anieli Merici", opracowana naukowo na podstawie mozolnie pozbieranych źródeł historycznych, odtwarza pierwotne dzieło św. Anieli, z którego dopiero stopniowo drogą ewolucji wytworzył się właściwy Zakon Urszulanek. Powstające obecnie w Krakowie „Towarzystwo św. Anieli" jest wskrzeszeniem tylko (na ziemiach polskich, bo gdzieindziej istnieje ono bez przerwy) owego pierwotnego dzieła Wielkiej Prawodawczyni włoskiej. Praca ta stanowi wyjątek z przygotowywanej przez M. Łubieńską do druku większej całości naukowej p. t. „Święta Aniela i jej dzieło". Książeczka druga zawiera Ustawy dla powstającego Towarzystwa, mianowicie pierwotną „Regułę św. Anieli", „Ricordi" tejże świętej dla kierowniczek Towarzystwa, „Testament św. Anieli", nowo opracowane i dostosowane do warunków miejsca i czasu przez M. Łubieńską „Ustawy Towarzystwa św. Anieli w Polsce", wreszcie ceremonjał liturgiczny Towarzystwa.

Obie książeczki, poza swojem bezpośredniem przeznaczeniem, mają także znaczenie ogólniejsze: zwłaszcza „Pierwotna forma" jest przyczynkiem do historji rozwoju form zakonnych w Kościele i przydać się może każdemu, kto chce zapoznać się z duchem św. Anieli i czerpać z jej mądrych i praktycznych wskazówek duchownych.

Ks. J. Urban.

A. Auffray: Pedagogja Świętego. Przekład Anny Zahorskiej. Wydawnictwo Salezjańskie, Warszawa 1932.

„Wychowaniu, które ma odwagę oprzeć koniec dźwigni o serce dziecka, udaje się podnieść wole najoporniejsze". Zasadę tę wcielił w życie jeden z największych pedagogów 19 wieku, bł. Jan Bosco, założyciel Zgromadzenia OO. Salezjanów. Na tle rozważań o różnych kierunkach myśli pedagogicznej książka A. Auffray poddaje treściwej analizie całą pedagogiczną konstrukcję systemu ks. Bosco.

Dwie zwłaszcza metody — zaznacza Auffray — wytknęły kierunek wychowawczej myśli ludzkości: system żelaznej dyscypliny i represji, wychodzący z pesymistycznego założenia o zepsuciu natury ludzkiej i potrzebie tamowania każdego samorzutnego jej odruchu i djametralnie przeciwny system pobłażliwości bezwzględnej. Owocem pierwszego systemu, to niewolnicze poddawanie się młodzieży autorytetowi starszych, obłuda albo bunt. Owocem drugiego, anarchja wewnętrzna.

Inny kierunek nakreślił wychowawcom ks. Jan Bosco. Metodą zapobiegawczą, nadzorem czujnym, „nie spuszczającym oczu z ucznia", a jednak nie uciążliwym, ani drobiazgowym, nadzorem zbliżającym wychowawcę do wychowanków i „podczas rekreacji i w studjum i w kaplicy", sprowadza ks. Jan Bosco „autorytet" do poziomu dziecka, nie przynosząc przez to ujmy nauczycielowi. Powolność wychowanków dla ks. Bosco, ich chętne posłuszeństwo, to „hołd rozumu dla porządku rzeczy, które uznało się i pokochało". Przy takim systemie uprzedzania winy, uzasadniania rozkazów, większe wykroczenia i kary, są wyjątkiem. „Metoda ks. Bosco ma więcej zaufania do higjeny, niż do medycyny", woli ochraniać, niż leczyć. Sztuka nauczania w systemie ks. Bosco „to zdolność budzenia zainteresowań u młodzieży, by móc je następnie zaspokoić". Radość, zadowolenie „to sojusznik najlepszy wychowawcy", „najmilszy po miłości twór Bożej ręki". *In hymnis et canticis* wychowywał ks. Bosco dzieci. Muzyka we wszystkich formach była uprawiana, teatr umiejętnie stosowany, praca urozmaicana. Atmosfera radości umacniała dusze, była już interesującym objawem oddziaływania strony moralnej na fizyczną.

Co się tyczy wychowania religijnego, ks. Bosco 1) ogarnia całą istotę wychowanka; 2) szanuje swobodę duszy; 3) opiera się na gruntownej wiedzy religijnej.

Książeczkę A. Auffray czyta się ze wzrastającem zainteresowaniem i zadowoleniem — to dowód umiejętnego jej skonstruowania i dobrego przystosowania myśli autora do form języka polskiego, czyta się ją z pożytkiem — to racja propagowania dziełka w szerokich kołach nauczycieli wychowawców.

Niestety, wygodny dla nauczyciela system „idealnego pokoju" w szkole, ujmujący w karby bezwzględnej dyscypliny temperamenty dzieci i całe ich życie duchowe, nie został jeszcze zlikwidowany współczesnemi metodami pedagogicznemi. Tragedja dziecka, padającego ofiarą bezwzględnej, bezkrytycznej, często subjektywnej oceny nauczyciela-wychowawcy, rozgrywa się jeszcze w naszych uczelniach. Jeszcze te słabe, bezbronne istoty, któremi są uczęszczające do szkoły dzieci, nie znalazły swego obrońcy. Brak nam bezstronnych sędziów w rodzaju ks. Bosco. Wczytanie się w cenną książeczkę A. Auffray i zapoznanie z żywotem ks. Bosco, pióra tegoż autora, będzie zasługującym czynem społecznym.

Dr. C. Łubieńska.

Nauka Polska, Tom. XV. Wydawnictwo Kasy im. Mianowskiego, Warszawa 1932, str. 450.

Najnowszy tom „Nauki Polskiej" jest tomem specjalnym, jubileuszowym, poświęconym półwiekowej działalności Kasy im. Mianowskiego. Pierwszy, obszerny artykuł (str. 1—202) Z. Szweykowskiego przedstawia nam genezę Kasy, jej powstanie, wewnętrzne przemiany i całą działalność. Zrodzona w gronie profesorów i słuchaczy warszawskiej Szkoły Głównej, w okresie największego tamowania rozwoju życia narodowego w zaborze rosyjskim, położyła wielkie zasługi około rozwoju nauki polskiej i propagandy wiedzy. Setki tomów wydawnictw ze wszystkich dziedzin nauki, a wśród nich cenne tomy „Poradnika dla samouków" i tomy „Nauki Polskiej", poświęconej jej potrzebom i organizacji, setki stypendjów i zapomóg, udzielanych młodym adeptom nauki i jej mistrzom, stanowią najwspanialszy tytuł chwały tej instytucji. W odrodzonej Polsce, gdy państwo przyjęło na siebie część zadań, które pełniła Kasa, przeprowadzono zmianę statutu i reorganizację instytucji w duchu założeń, którym służą i których są wyrazem tomy „Nauki Polskiej", a więc idealnemu, bezinteresownemu badaniu zjawisk życia naukowego w Polsce, jego potrzeb i niedomagań i jego organizacji świadomej, programowej.

Doskonałem uzupełnieniem, czy raczej tłem dla dziejów półwiekowej działalności Kasy im. Mianowskiego jest treściwy,

ale bardzo instruktywny artykuł prof. Bujaka: „Rozwój Nauki polskiej w latach od 1800 do 1880", a więc mniej więcej do roku założenia Kasy. Autor nie ogranicza się do podania pewnej ilości nazwisk, faktów i zestawień, ale przedewszystkiem wnika w warunki rozwojowe nauki polskiej, jej kierunki i dążenia, zależne oczywiście od tamtych warunków, zastanawia się nad udziałem w tworczości kulturalno-naukowej poszczególnych warstw społecznych, zarówno jako bezpośrednich działaczy, jak i w roli mecenasów. Na początku omawianego okresu dominuje oczywiście inicjatywa magnackich rodów, słabnąca po roku 1860 i przechodząca powoli w ręce państwa (zwłaszcza w zaborze austrjackim), uniwersytetów, towarzystw naukowych i sfer mieszczańsko-przemysłowych. Zwykle bardzo interesującą częścią tomów „Nauki Polskiej" są *Życiorysy uczonych polskich*, mające dawać materjał do badań twórczości naukowej. Dwa życiorysy, zamieszczone w tomie omawianym, tym razem zawodzą nadzieje, oba są wyłącznie wspomnieniem z czasów studjów średnich i nie przynoszą ani jednego szczegółu do właściwej psychologji twórczości naukowej, nie odsłaniają indywidualnych metod pracy autorów; pierwszy z omawianych życiorysów wykazuje prócz tego ogromny brak wyrobienia filozoficznego u autora, dochodzącego do skrajnie materjalistycznego światopoglądu rozumowaniem tak naiwnem, że aż rozbrajającem.

Ważne znaczenie dla dalszego rozwoju nauki naszej powinno odegrać urzeczywistnienie programu tzw. *polityki bibljotek państwowych*, przedstawionego przez K. Dobrowolskiego. Jądro zagadnienia stanowi sprawa racjonalnego pomnażania zbiorów bibljotecznych, zależna najpierw od ostatecznego unormowania wedle potrzeb nauki ustawy o obowiązkowym egzemplarzu bibljotecznym, a powtóre od porozumienia się między państwowemi bibljotekami uniwersyteckiemi w obrębie całego państwa, i między poszczególnymi zakładami każdego uniwersytetu z osobna, co do celowych zakupów naukowych wydawnictw zagranicznych.

Obecna sytuacja przedstawia obraz zupełnego chaosu i typowo polskiej samowoli; poszczególne seminarja, kliniki i zakłady, każde na swoją rękę zakupują (a raczej zakupywały, bo obecnie nie zakupują nic, lub prawie nic) bez żadnego porozumienia a nawet nieraz bardzo drogie wydawnictwa na terenie jednego uniwersytetu w dwu i więcej egzemplarzach. Wzajemne porozumienie i mądra polityka bibljoteczna, posunięta aż do podziału zakupów dzieł różnych dziedzin wiedzy między poszczególne bibljoteki uniwersyteckie (polityka przeprowadzona konsekwentnie w Niemczech), napewno nauce naszej przyniosłaby wielkie korzyści.

Resztę tomu zajmuje kronika naukowa polska (wyjątkowo tym razem uboga) i zagraniczna, korespondencja i dział recenzyjny.

Ks. St. Bednarski.

Tadeusz Mańkowski: Lwowskie kościoły barokowe, (Prace Sekcji Historji, Sztuki i Kultury Tow. Przyiaciół N. we Lwowie. T. II zeszyt 2) Lwów 1932, str. 152 i 68 rycin w tekście.

Serja cennych prac Mańkowskiego z zakresu historji sztuki w Polsce powiększyła się o nową bardzo poważną pozycję. Autor należy do tej grupy badaczy, którzy ze szczególniejszem zamiłowaniem zajmują się historją rodzimej twórczości artystycznej i ściśle z nią złączonego mecenasostwa. Najbujniejszym okresem takiej rodzimej twórczości, pozostającej zawsze w związku i pod wpływem sztuki zachodniej, a zwłaszcza włoskiej, był polski barok tak niedawno jeszcze zapoznany i pogardliwie przezywany jezuickim stylem, a dziś tylu mający entuzjastów.

Stwierdzenie rodzimości dzieł budownictwa, plastyki i malarstwa może być dokonane dwoma drogami, jedną łatwiejszą, przez badania archiwalne ogólną metodą historyczną, drugą metodą właściwą historji sztuki, t. j. drogą analizy stylistycznej. Droga ta, zasadniczo sama dla siebie wystarczająca, nie pogardza jednak nigdy danemi, zdobytemi przez badania archiwalne, które winne potwierdzać i konkretyzować wyniki metody analizy stylistycznej. Mańkowski stara się łączyć umiejętnie obie drogi i dlatego w swoich pracach dochodzi do wyników nowych i cennych, chociaż znać u niego przewagę materjału archiwalnego nad analizą stylistyczną, która w poszczególnych wypadkach zawodzi, a przynajmniej nie jest przekonywującą.

Wszystkie wyżej wymienione zalety i ten jeden dość ściśle z zaletami złączony brak, ma i ostatnie studjum Mańkowskiego. Ogólny wstęp o epoce baroku we Lwowie, jako epoce kontrreformacji, jest nieco powierzchowny i płytki, brak mu pogłębienia, zbyt łatwo sprowadza ducha tej epoki do pewnych objawów zewnętrznej pobożności, małoznaczne szczegóły (o napisach nad bramami miasta) urastają do przesadnych w znaczeniu rozmiarów. Jest to jednak drobne tylko niedomaganie, wobec innych cennych wyników, przedstawionych w pracy. Autor barokowe lwowskie kościoły podzielił na trzy grupy; pierwszą stanowią kościoły oparte na wzorach rzymskich z jezuickim kościołem na czele, drugą kościół Dominikanów i św. Marji Magdaleny, trzecią katedra św. Jura. W każdej grupie odkrywa całą masę nieraz bardzo cennych szczegółów, odnoszących się zwłaszcza do twórców omawianych kościołów. I tak np. po raz pierwszy ogłasza nazwisko architekta kościoła jezuickiego, był nim brat zakonny, Włoch, Jakób Briano, który pracował w Polsce kilka lat, budował kilka wielkich jezuickich kościołów i był kierownikiem prac budowniczych prowincji polskiej. Dzięki badaniom Mańkowskiego poznajemy również bliżej działalność Jana de Witte i Marcina Urbanika, budowniczych kościoła dominikańskiego i Bernarda Meretyna, twórcy katedry świętojurskiej. Szkoda tylko, że autor zajął się w swej pracy wyłącznie architekturą lwowskich barokowych

kościołów, pozostawiwszy na boku ich wewnętrzne urządzenie i przyozdobienie, tak znamienne właśnie dla baroku; ten brak sprawia, że studjum nie jest jeszcze pełną monografją pomienionych zabytków. To nasze „ale" nie jest oczywiście zarzutem, ale tylko życzeniem; rzeczą autora jest wybór tematu i jego ograniczenie.

Ks. St. Bednarski.

Orbis terrarum. Südamerika. Westindien, Zentralamerika. — Landschaft, Volksleben, Baukunst. — Einleitung und Erläuterungen: Karl von Schumacher. — Photos: Fr. Ahlfeld, H. Brehme, Martin Gusinde, E. O. Hoppé, W. Kissenbert, Th. Koch—Grünberg, H. Meisser, A. Schalek, R. N. Wegner u. a. — Atlantis Verlag, Berlin 1931, folio. Str. XLVIII+256 rycin.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że jeśli chodzi o przeciętnego „zjadacza książek", to więcej się dowie o charakterze i pięknie jakiegoś krajobrazu z albumu dobrze dobranych fotografij i umiejętnie objaśnionych, aniżeli z jak najdokładniejszego atlasu geograficznego z wszelkiemi wykresami i pomiarami, z antropologicznemi czy etnologicznemi rozprawami na dodatek. Pierwsze do drugiego ma się tak jak żywy, wonny kwiat do — jego zasuszonych płatków, słupków i t. d. Fotografja fotografji nierówna, a tem bardziej jej techniczne reprodukcje; są tandetne, w celach czysto kupieckich wydawane publikacje, ale na szczęście i takich nie brak, które zrodziło umiłowanie piękna. Do rzędu tych ostatnich należy *Südamerika.* Artyzm w ujęciu krajobrazu czy „typu", — mistrzostwo w technicznem wykonaniu i zawodowe znawstwo w objaśnianiu, oto jej najważniejsze plusy.

Dzięki tym zaletom omawianego albumu możemy dopiero ocenić niesłychaną trafność takiego powiedzenia, jak że Indje Zachodnie to „olbrzymia cieplarnia i równocześnie sanatorjum Stanów Zjednoczonych", że Argentyna jest „jednym z największych folwarków świata" i t. p. Obok tego jednomianownikowego ujmowania fizjognomji poszczególnych krajów występuje dość często drugie, wręcz odmienne, któreby można nazwać kontrastowem, a które pragnie podkreślić właśnie ową dziwną symbiozę przeciwieństw, jakiej napróżno szukalibyśmy w Europie. Oto, obok miljonowych miast, tętniących ogłuszającym rytmem współczesnej techniki, drzemią odwiecznym snem nieprzejrzane równie, a w głębi dziewiczych lasów kryją się trwożliwie nadwodne sadyby Indjan (stąd np. nazwa Wenezueli czyli minjaturowej Wenecji), tych Indjan co w epoce wszechwładnego maszynizmu posługują się kamiennym młotkiem i drewnianą strzałą. Potężnych zwalisk ruiny w cieniu renesansowych i barokowych fasad opiewają minioną świetność, dziś tylko archeologom znanych Czimów, Inków i Majów, ruiny strukturą swoją i rzeźbą dziwnie przypominające Egipt i Babilon.

„Nieostatnią" zaletę książki stanowi również ów życzliwy ton, jaki przybrali wydawcy, kiedy mówią o roli katolickich, hiszpańskich misjonarzy, niosących nowemu światu kościoły i uniwersytety. Ale też tem bardziej żałujemy, że ze względu na parę „zbyt wiernych" zdjęć typów antropologicznych albumu tego nie można, a w każdym razie nie powinno się dawać do rąk dzieciom i młodzieży.

J. K.

Jan Dihm: Trzeci Maj. Kraków 1932. Wydawnictwo Literacko-Naukowe. Str. 56.

Mała ta książeczka jest rozdziałem z obszerniejszej pracy, którą autor przygotowywuje o sejmie czteroletnim, omówiona zaś jest w niej głównie historja samego dnia trzeciego maja. Poważne studja archiwalne pozwoliły autorowi ten tak ważny moment w dziejach polskich przedstawić w nowem świetle i odmiennie niż dotychczasowa historjografja przedstawić rolę króla oraz siłę i znaczenie opozycji. Wyniki tych badań nie mogą pozostać bez wpływu na nasz dotychczasowy sąd o tem epokowem w dziejach Polski zdarzeniu, jakiem jest konstytucja 3 maja. Z tej chociażby racji życzyćby należało, by ta książeczka znalazła się w rękach każdego Polaka, intesującego się naszą przeszłością. Jasny i gładki styl ułatwia zapoznanie się z treścią.

Dr. W. Cz.

Dr. Valerij Vilinskij: Unionizmus. Spolok Sv. Vojtecha, Trnava 1932, str. 353.

Wybitny pisarz rosyjski na emigracji, Dr. Walery Wiliński, świeżo wydał w języku słowackim pod powyższym tytułem nowe dzieło, poświęcone sprawie jedności Kościołów wschodniego z zachodnim. Żywo, barwnie, z wielką erudycją i pietyzmem autor kolejno omawia potrzebę utrzymania jedności w Kościele, powszechne uznawanie prymatu papieża przed schizmą grecką, powody i zgubne skutki tej schizmy, późniejsze dzieje poszczególnych Cerkwi schizmatyckich, zwłaszcza rosyjskiej, dawniejsze, niedoszłe do skutku próby pojednania i obecna akcja unijna. Autor uważa, że w czasach obecnych zjednoczenie Kościołów jest najbardziej możliwe do osiągnięcia, do czego mogą najbardziej się przyczynić katolicy-Słowianie, zwłaszcza Polacy. Książka Dr. Wilińskiego, wydana przez katolicką firmę słowacką, może być uważana poniekąd za antytezę w stosunku do nagonki, jaką u nas uprawiają sfery „katolickie" przeciwko tej akcji u nas, którą pobratymcy nasi i sami Rosjanie uważają za nasze powołanie.

A. Z.

Antoine de Sérent: La Spiritualité chrétienne d'après la liturgie. Paris 1932. Desclée. 8⁰ str. XIII+900.

Książka niniejsza zwraca się do wszystkich chrześcijan wykształconych, by im dopomóc w spożytkowaniu skarbów Liturgji, zawartych w Mszale, tej księdze ofiary eucharystycznej; w brewjarzu i martyrologjum, w tych księgach chwalby Bożej i kultu świętych, w rytuale i pontyfikale wreszcie, księgach sakramentów i sakramentaljów. Taki cel wytycza sobie autor we wstępie. W coraz silniejszym ruchu liturgicznym ostatnich czasów, można jego książkę uważać nietylko za cenny przyczynek, ale poniekąd nowy.

Spożytkowanie bowiem skarbów Liturgji może mieć różne zadania na oku. Wiemy, że pierwszorzędnym celem Liturgji jest oddawanie czci Bogu, *adorare Deum*, toteż pierwszorzędnem zadaniem ruchu liturgicznego jest kształtowanie czcicieli Boga przez wprowadzanie wiernych w zrozumienie, ukochanie i przyswojenie sobie oficjalnego kultu Kościoła. Czy o to autorowi chodzi? Także i o to, ale nie na pierwszym planie. Chodzi mu raczej o drugoplanowy cel Liturgji — a mianowicie, jak budować osobistą doskonałość na podstawach liturgicznych. W tym celu stara się stworzyć w XVI obszernych rozdziałach z tekstów liturgicznych pewnego rodzaju zarys, a może raczej pełny kodeks życia wewnętrznego. Praca to bardzo pożyteczna. Może służyć jako lektura duchowna i materjał do przemówień. Przyczyni się napewno do przeniknięcia życia chrześcijańskiego na jego różnych stopniach słodkim a poważnym duchem Liturgji katolickiej.

Trochę niemile uderza niedocenianie przez autora tak zwanych nowożytnych, *modernes*, metod życia wewnętrznego, powstałych w czasach potrydenckich. A przecież na tej rzekomej *déviation* wyrośli wielcy Święci, a Kościół nietylko je toleruje, ale oficjalnie zaleca.

J. Andrasz.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków.

Stanisław Kulczyński: Atlas flory polskiej. Tomu II, zeszyt 2 (38 tablic) i tomu IV zeszyt 1 (29 tablic).

Wład. Konopczyński: Kazimierz Pułaski. Życiorys. 1931, str. XII+420.

Jan Śniadecki: Korespondencja. Listy z Krakowa. Do druku przygotował L. Kamykowski. Tom I (1780—1787). Str. XLIV+532.

Jan Ziłyński: Opis fonetyczny języka ukraińskiego. Str. XVI+168.

T. Maccius Plautus: Komedje. Przełożył, wstępem i streszczeniami zaopatrzył G. Przychocki. Tom I. Str. XXI+462.

Sprawozdania z czynności i posiedzeń Polskiej Akademji Umiejętności. Zeszyty: czerwiec, lipiec - wrzesień, październik, listopad, grudzień 1931 I styczeń 1932.

M. Ramułt: Z badań nad fauną wioślarek Pomorza. Str. 70 i tablice.
St. Smreczyński: Badania embrjologiczne nad rozwojem głowy Omarlicy. Str. 29 i tablica.
Z. Zakrzewski: Badania nad odpornością na szczurzego mięsaka Jensena w hodowli poza ustrojem. Str. 24.
Jan W. Supniewski: Własności farmakologiczne bizmutowych pochodnych benzenu. Str. 37 i rysunki.
Bulletin International... Série: Sciences naturelles, février 1931. — Classe de Médicine: Avril - junin 1931 i octobre - décembre 1931. — Classe de Philologie, classe d'Histoire et de Philosophie: Juillet - décembre 1930, janvier - mars 1931, avril - juin 1931. — Serie B: Sciences naturelles (II): mars - mai 1031, Sciences naturelles (I) janvier - mai 1931. — Sciences mathématiques: avril - mai 1931, junin 1931.

Nakładem różnych:

Płk. B. J. Mond i kpt. J. Gintel: Historja 205 pułku piechoty ochotniczej im. Jana Kilińskiego. Warszawa, Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy, 1932, str. XVI+286, ilustracje i mapy.
J. U. Niemcewicz: Smutki J. U. Niemcewicza w więzieniu moskiewskiem, pisma do przyjaciela. Z rękopisu wydał Dr. L. Kamykowski. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie, 1932, str. 45.
Encyklika o chrześcijańskiem wychowaniu młodzieży Przekład ks. J. Korzonkiewicza. Książnica Akcji katolickiej. N 16. Nakładem Kancelarji Prymasa Polski 1932, str. XVIII+103.
Ks. Dr. Ludwik Wasilkowski: Nauka Badaczów Pisma św. o przyjściu Chrystusa P. na sąd w oświetleniu katolickiem. Lwów 1932, nakł. Tow. „Bibljoteka religijna", str. 48.
O. Konstanty Żukiewicz Zak. Kaz.: Salve Regina. Rozważania majowe. Lwów, Wydawn. OO. Dominikanów, 1932, str. 190.
Ks. Aleksander Żychliński: Sacerdos. Rozważania teologiczne o kapłaństwie i jego zadaniu. Poznań, nakł. Związku kapłanów, „Unitas", 1932, str. 182.
Zdzisław Kleszczyński: Białe noce. Powieść. Poznań, nakł. *Dziennika Poznańskiego*, 1932, str. 150.
Maciej Loret: Italja współczesna. Rzym 1932, str. 260.
Msgr. Dr. Tihamér Toth: Christus und die Probleme unserer Zeitpredigten. II Aufl. Ferd. Schöningh, Paderborn, 1932, str. 269.
Wacław Bitner: Pewniki prawa. Studjum o koniecznych zasadach prawa i państwa. Warszawa, nakł. Księg. F. Hoesicka, 1932, str. 151.
Ks. Józef Bielicki: Przemówienia okolicznościowe. Nakładem autora, Brodnica nad Drwęcą 1932, str. 152.
Witold Zechenter: Niebieskie i złote. Poezje. Wydawn. *Dwutygodnika Literackiego*, Poznań 1932, str. 23.
Tenże: Linja prosta. Poezje. Wydawn. jak wyżej, str. 31.
O. Marjan Pirożyński: Co to jest Akcja katolicka. Księg. św. Wojciecha, Poznań, 1932, str. 40.
Dziesięciolecie działalności Instytutu badań Spraw narodowościowych (1922—1932). Warszawa, Nowy Świat 21, m. 3, str. 45.
Marja Czeska - Mączyńska: Otworzyło się okno na świat. Opowiadanie. Księg. i Drukarnia katolicka, Katowice, 1932, str. 154.
Kazimierz Laskowski: Boks. Główna Księg. Wojskowa, Warszawa 1932, str. 123.
Witold Pulst: Nauka gry Lawn-Tennisa. Główna Księg. Wojskowa, Warszawa 1932, str. 74.

Dr. Gerhard Kleeberg: Die polnische Gegenreformation in Livland. Leipzig 1931, M. Heinsius Nachf. Str. VIII+128.

Czesław Gutry: Karta tytułowa, katalogowa i okładka. Warszawa 1932. Str. 18.

Semaine Internationale d'Ethnologie Religieuse. V Session. Luxembourg, 16—22 Sept. 1929. Paris 1931, P. Geuthner. str. 366.

Studja Augustyńskie. Praca zbiorowa. Warszawa 1931, str. 124.

Czesław Lechicki: Mecenat Zygmunta III i życie umysłowe na jego dworze. Wydawn. Kasy im. Mianowskiego. Warszawa 1932, str. VIII+326.

Prof. J. Donat S. J.: Über Psychoanalyse und Indyvidualpsychologie. Innsbruck, Druck und Verlag von F. Rauch, 1932, str. VII+303.

Aleksander Brückner: Dzieje kultury polskiej. Tom III, Kraków 1932, nakł. Krakowskiej Spółki wydawniczej. Str. 778.

Stanisław Pigoń: Corollaria Mickiewiczowskie. Odbitka z księgi pamiątkowej Koła polonistów słuchaczów U. S. B. Wilno 1932, str. 24.

Pamiętnik II Konferencji kapłańskiej w sprawie unji kościelnej w Pińsku. Pińsk, Kurja biskupia, wydział wschodni. Str. 154.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika *Caritate Christi.* — List prymasowski o zasadach życia państwowego. — Rozbrojenie moralne a katolicyzm. — Około akcji unijnej na Kresach wschodnich.

Przeciągające się światowe przesilenie gospodarcze jest przedmiotem żywej troski nietylko polityków i ekonomistów. Nie może wobec niego pozostać obojętnym Kościół, przedstawiający przecież Tego, który rzekł: „Żal mi tego ludu"! Dlatego we wszystkich krajach, gdzie bezrobocie i kryzys się srożą, biskupi katoliccy raz po raz powracają w swoich orędziach pasterskich do przyczyn tego nieszczęścia, odsłaniają braki i przestępstwa gospodarczego systemu, a zwłaszcza nawołują do niesienia doraźnej pomocy ofiarom przesilenia. Zwłaszcza z watykańskiej centrali chrześcijaństwa padają raz po raz podobne przestrogi i wezwania, znajdujące żywy oddźwięk w sercach wiernych Chrystusowych. Tak w październiku roku ubiegłego, listem okólnym *Nova impendet,* Pius XI wezwał świat katolicki do zorganizowania „krucjaty miłosierdzia" na rzecz ofiar bezrobocia i rzeczywiście jeśliśmy przeżyli zimę ostatnią bez gwałtownych wstrząśnień, to w niemałej mierze zawdzięczać to należy doraźnej pomocy potrzebującym, zorganizowanej przez instytucje i stowarzyszenia religijne, jakoteż kojącemu oddziaływaniu Kościoła na rozgoryczone dusze. Lecz nieszczęściu, które świat nawiedziło, końca jeszcze nie widać i dlatego oto Ojciec św. zwraca się do społeczności katolickiej z nową encykliką w tym przedmiocie *Caritate Christi compulsi,* datowaną 3 maja r. b.

Nowy ten głos Najwyższego Pasterza, „zniewolonego miłością Chrystusa", niewiele się wysila na malowanie obrazu panującej nędzy materjalnej, zbyt ona bowiem jest wszystkim

znana — Pius XI mówi o niej jako o nieszczęściu tak powszechnem, jakiego od potopu nie było. Natomiast wnika w przyczyny tego nieszczęścia i z bólem wskazuje na inne zło, gorsze i zgubniejsze a z nędzą materjalną się wzmagające — na szerzenie w świecie przez głosicieli przewrotu zupełnego ateizmu. Przyczyną ostateczną i uniwersalną zaburzeń gospodarczych jest wskazana już przez Apostoła Pawła „chciwość", *auri sacra fames* rzymskiego poety, ona to bowiem sprawia, że dostatkowi materjalnemu przypisuje się jakąś absolutną wartość, że stronę gospodarczą życia wyzwala się z pod supremacji celów i nakazów etycznych. To zaś doprowadza do zbyt nierównego podziału dóbr między ludźmi, do panowania kapitału i małej garstki jego posiadaczy nad pozostałą masą ludności, do jej zubożenia, co jednak prowadzi w rezultacie do tego, iż sam kapitał kopie dla siebie grób, w który zapadają się największe nawet fortuny. Obok „chciwości" stawia Pius XI także wybujały nacjonalizm, który także wpływa na zaostrzenie trudności ekonomicznych, najdłużej wszakże zatrzymuje się papież nad propagandą bezbożności, wykorzystującą ogólną nędzę, by odpowiedzialność za nią przerzucić na religję, na wiarę w Boga. Ateizm, ukrywający się dawniej w duszach niewielu, dzisiaj już jako szatańska nienawiść do religji wszelkiej rozlewa się na szerokie masy ludowe, zatruwa w bezbożnej szkole dusze dzieci i młodzieży.

Ogarniając wzrokiem ten cały ogrom zła materjalnego i moralnego, Ojciec św. wzywa katolików do przeciwstawienia szeregom bezbożnym zwartego frontu. I jako duchowy oręż do zwalczania zła wskazuje modlitwę i pokutę.

Modlitwa będzie odpowiedzią na szerzącą się niewiarę, jak również na panujące między ludźmi rozdwojenie. Piękny ustęp encykliki poświęca znaczeniu modlitwy dla powszechnego pokoju narodów. „Ci, pisze, którzy w każdej publicznej potrzebie proszą tego samego Boga o pokój na ziemi, ci nie będą siać między ludźmi zarzewia niezgody; ci, co modląc się uznają najwyższy majestat Boży, ci nie ulegną żądzy panowania nad swoim narodem, ani nie będą podsycać owej nieuporządkowanej miłości ojczyzny, która z własnego narodu i własnego państwa czyni sobie Boga; ci wreszcie, co na Boga pokoju i miłości ustawicznie się oglądając, do niego się kornie uciekają przez Chrystusa, który jest pokojem naszym, ci zaiste nie spoczną, aż pokój ów, jakiego świat dać nie może, przyjdzie wreszcie do ludzi dobrej woli od Dawcy dóbr wszelkich."

Z modlitwą każe Ojciec św. połączyć i pokutę, którą niestety świat gardzi i której nie rozumie. W pokucie człowiek stawia wszystko na właściwe miejsce, uznaje panowanie

nad sobą porządku moralnego, którego społeczeństwom żadna siła brutalna nie zastąpi. Pokuta, polegająca na odmawianiu sobie nawet rzeczy dozwolonych, na naśladowaniu surowego życia Chrystusa, będzie źródłem pokoju wewnętrznego dla jednostek, a przez nie dla społeczeństw.

Do modlitwy i pokuty wzywa Ojciec św. przedewszystkiem na czas zbliżającego się święta Serca Jezusowego wraz z oktawą, które w tym roku ma się obchodzić szczególnie uroczyście. Mamy modlić się za Kościół i jego pasterzy, za chrześcijan wiernych Kościołowi i za błądzących, za wrogów nawet Kościoła, by się nawrócili i żyli. W tymże czasie należy się powstrzymać od uciech i widowisk światowych, od biesiad i innych przyjemności, choćby skądinąd uczciwych, a zaoszczędzony w ten sposób grosz ma być złożony na ratowanie nędzy ludzkiej. Ci zaś, co tę nędzę cierpią, mają w tym czasie wpatrywać się w cierpiącego i ukrzyżowanego Chrystusa i uczyć się cierpliwości, by wybłagać u niego miłosierdzie i pokój. Temi nadprzyrodzonemi środkami trafi Kościół do Boskiego Serca Jezusa i zasłuży na to, by usłyszeć Jego słowa jakby do siebie zwrócone: „Wielką jest wiara twoja. Niechaj ci się stanie, jako chcesz"

Jak wiadomo, oprócz przesilenia gospodarczego, świat przeżywa inny jeszcze kryzys, nazywany „kryzysem państwowości". I tutaj źródło złego kryje się w tem, że ludzie zapoznali prawo Boże, które winno rządzić wszelkiemi instytucjami ludzkiemi. To prawo Boże, „chrześcijańskie zasady życia państwowego" postanowił przypomnieć naszemu narodowi najwyższy dostojnik polskiego Kościoła, Ks. Kardynał Prymas Hlond. W dniu 23 kwietnia, t. j. w święto św. Wojciecha i od jego grobu, z Gniezna, z kolebki naszej organizacji kościelnej i naszej państwowości, śle spadkobierca dawnych w Rzeczypospolitej *interrexów* swoje do narodu „wskazanie", „jaką treść duchową i jaką prawdę moralną wlać należy w polskie Państwo i jego politykę".

Nauka Prymasa Polski nie jest świeżym wynalazkiem. Podstawy jej znajdują się w Piśmie św., rozbudowana zaś została przez teologję katolicką, a skrystalizowany wyraz znalazła w encyklikach Leona XIII i przypominana była już kilkakrotnie przez obecnego papieża.

Według tej nauki państwo nie jest tworem jakiejś dowolności czy umowy ludziej; wywodzi się ono z natury ludzkiej, jest nakazem odwiecznego zakonu moralnego, a ponieważ w państwie konieczna jest władza, przeto i ona z tego źródła wypływa i jest odnoszona do Boga, bez względu na formę rządów i na sposób przychodzenia danych jednostek do rządów. Zatem „stosunek człowieka do państwa

i do władzy państwowej jest objęty moralnością katolicką". Pochodząc od Boga, jako Twórcy ludzkiej natury, państwo, podobnie jak jednostka, powinno Boga znać i uznawać, zatem państwo nie może być ateistycznem, ani tem bardziej — walczyć z Bogiem i religją. „Wojnę przeciwko Bogu narody przegrać muszą, a nieraz przegrywają ją wśród straszliwych wstrząsów i kataklizmów dziejowych". Państwo jest powołane do stanowienia praw, ale nie jest samo Bogiem, a zatem nie jest źródłem prawa obyczajowego, nie stwarza moralności; samo ono ulegać ma prawu moralnemu przyrodzonemu i dekalogowi. Nie może ono uczynić dobrem, co jest moralnie złem; zło także nie przestaje być złem, dlatego, „że się go dopuszcza państwo, albo że się popełnia z ramienia lub na rzecz państwa" i musi być odrzucone zapatrywanie jakoby polityka wogóle stała poza dziedziną praw moralnych. Rządy, któreby takiemu zapatrywaniu hołdowały, podkopywałyby swój własny autorytet i straciłyby prawo do odwoływania się do sumienia obywateli. Państwo jest suwerenne, ale nie wszechwładne; władza jego ograniczona jest względem na dobro ogólne obywateli, na przyrodzone prawa jednostki, która jest starsza od państwa. Kardynał Prymas nie waha się zawrzeć to w maksymie: „państwo jest dla obywateli, a nie obywatele dla państwa", jak to głoszą dość popularne teorje. Przytacza cały szereg przykładów, w których zbytnia ingerencja państwa jest nieusprawiedliwiona i zgubna: jak to zbytni etatyzm w gospodarstwie, gwałcenie sumień, zamachy na rodzinę, na wychowanie religijne i t. d. Podobnież ograniczoną jest władza państwowa „na terenie międzynarodowym prawami innych państw i względami na ogólne dobro ludzkości" i „niczem nie jest uzasadniona owa egoistyczna polityka międzynarodowa, która bez żadnego względu na cudze prawa mogła dla osiągnięcia pewnych korzyści niepokoić inne państwa, szantażować je, krzywdzić, zawojowywać". „Zatem celem polityki międzynarodowej powinno być nietylko zapewnienie własnemu państwu odpowiedniego stanowiska w rodzinie narodów, lecz także ogólne dobro ludów, uzgodnienie ich spraw i interesów, utrwalenie ich spokojnego współżycia i ich serdeczne zbliżenie w duchu wzajemnego zaufania, sprawiedliwości i miłości braterstwa".

Państwo spotyka się z Kościołem katolickim na tym samym terenie, posiada wspólnych poddanych. List prymasowski wykazuje, że państwo nie ma prawa Kościoła wchłaniać w siebie, uzależniać go od siebie, wyzyskiwać do celów swojej polityki, wkraczać w dziedzinę spraw kościelnych. Kościół, jako stróż moralności życia publicznego, oddaje wielkie usługi państwu, ale tylko wtedy, kiedy mu się pozostawia

ten zakres władzy i wolności, jaką od Chrystusa otrzymał. Musi więc być przeprowadzone rozgraniczenie zadań Kościoła od zadań państwa, w sprawach mieszanych należy dojść do uzgodnienia — wtedy istnieje normalna współpraca państwa i Kościoła.

Z tych zasad wyprowadza ks. Prymas praktyczne wskazania. Katolicy są obowiązani do szacunku dla prawowitej władzy państwowej, do posłuszeństwa sprawiedliwym prawom i rozporządzeniom państwowym, do ponoszenia ciężarów publicznych, do udziału w życiu państwowem i do przeprowadzania we wszystkich jego przejawach postulatów etyki katolickiej. Rządy winny być silne ale i sprawiedliwe, dające przykład w szanowaniu i przestrzeganiu prawa. Prawom niesprawiedliwym, ustawom niezgodnym z nauką katolicką należy zapobiegać, a gdyby były uchwalone, zwalczać je. „Bo za czyjąż sprawą, zapytuje Dostojny Autor listu, jeżeli nie przez katolików, zapanuje duch Chrystusowy w polityce Polski katolickiej?" Od spełniania nieetycznych rozkazów należy się uchylić, bo „katolik nie powinien pod żadnym warunkiem być narzędziem grzechu i krzywdy".

Końcowe uwagi poświęca Ks. Prymas dwom wielkim przywarom naszej „polityki": zdziczeniu politycznemu i nadużywaniu powagi Kościoła do walk partyjnych. „Klęską dzisiejszego życia publicznego jest nienawiść, która dzieli obywateli państwa na nieprzejednane obozy, postępuje z przeciwnikami politycznymi jak z ludźmi złej woli, poniewiera ich bez względu na godność człowieczą i narodową, zniesławia i ubija moralnie. Zamiast prawdy panoszą się kłamstwo, demagogja, oszczerstwo, nieszczery i niski sposób prowadzenia dyskusji i polemiki." Bezwzględna walka o rząd i stanowiska, namiętności polityczne, osądzanie wszystkiego z własnego stanowiska partyjnego i tym podobne „szkodliwe przejawy powinny ustąpić pod działaniem etyki chrześcijańskiej". Co do wciągania Kościoła do polityki, to „wystrzegać się należy utożsamiania pewnych kierunków i interesów partyjnych z Kościołem, nadużywania jego powagi dla celów wyborczych, partyjnych i wciągania go do sporów na korzyść tego lub owego odłamu politycznego". Kościół bowiem „nie pozostaje na usługach stronnictw politycznych, z nikim w związek polityczny nie wchodzi i zostawia katolikom swobodę należenia do stronnictw, które nie są sprzeczne z etyką katolicką". „Stronnictwa mają bronić wiary i etyki chrześcijańskiej w życiu publicznem... z jasnego i zdecydowanego sumienia katolickiego bez wciągania Kościoła do walk partyjnych."

Takie „wskazania" daje Polsce jej Prymas na jej „daleką drogę" „w władną przyszłość". Wskazania tak jasne,

że wszelkie komentarze mogłyby je tylko zaciemnić. W tych wskazaniach, których Dostojny Autor nie pozwala „nadużywać do szerzenia nieporozumień i sporów", winienby każdy, według swego stanowiska w państwie, od władzę dzierżących do najpospolitszych szeregowych obywateli, przejrzeć się, jak w zwierciadle. Ale wiadomo, że przed zwierciadłem można tak się ustawić, że się samego siebie w niem nie zobaczy, tylko swoich sąsiadów. Niestety, tak zdaje się ustawiło się w stosunku do orędzia prymasowskiego wielu. Sądząc po komentarzach prasy codziennej, list J. Em. Ks. Kardynała przyjęty został przez wszystkie jej odłamy z uznaniem, ale dlatego, że każdy wyszukał w nim jakiś ustęp, którym mógł cisnąć w politycznego przeciwnika. Zapewne oświadczyny uznania dla arcypasterskiego orędzia, z jakiejkolwiek strony pochodzące, są objawem pocieszającym, ale zapewniłoby się większy pożytek dla Polski z listu, gdyby każdy, zamiast bić nim po cudzych głowach, uderzył się w własne piersi z cichem *mea culpa!*

Katolicyzm zarówno z nazwy swej (powszechność), jak i z natury swych celów jest religją nawskroś pacyfistyczną. Można wprawdzie wykazać, że w poszczególnych chwilach dziejowych i w poszczególnych krajach katolicy dawali się unosić psychozie nienawiści do obcych narodów i temperamentowi bojowemu, ale ich sumienie religijne albo wprost potępiało podobne uczucia, albo przynajmniej łagodziło je. Wojny napastnicze spotykały się zawsze z ogólnem potępieniem (inaczej niż np. u ludów Islamu), wojny obronne były uważane może za „zło konieczne", w każdym razie za jakieś zło. Chrześcijaństwo z natury swej jest nastawione bojowo jedynie względem błędów fałszujących prawdę Bożą i względem moralnego zła — grzechu; każe i wtedy jednak kochać błądzących i życzyć im dobrze; co się zaś tyczy uczucia nienawiści do obcych narodowości, a chociażby uczucia swojej wyższości nad niemi dlatego, że są obce, i nie służą naszym interesom lecz swoim, takie uczucie jest wręcz niezgodne z duchem chrześcijaństwa, jako religji uznającej wszystkich ludzi i wszystkie narody za pochodzące od tegoż Ojca niebieskiego i przeznaczone do tegoż samego ostatecznego celu. Niema chyba nic bardziej sprzecznego z duchem Chrystusowym, jak ów przesadny nacjonalizm, zwyrodnienie patrjotyzmu, który z narodu swego „czyni własnego boga" (słowa Piusa XI) i w imię jego interesów rozgrzesza siebie z wszelkiej niegodziwości, przeszłej i zamierzonej, popełnianej na narodach innych.

Ten przesadny nacjonalizm, z różnem natężeniem objawiający się w różnych krajach zwłaszcza wśród młodszego

pokolenia, grozi rozpętaniem nowej wojny, której się świat obawia jako katastrofy, mogącej przynieść zagładę dotychczasowej kulturze. Nic dziwnego przeto, że wszelkie usiłowania dyplomatów, szczere czy nieszczere, by państwa rozbroić, wszelkie układy o nieagresji i konferencje międzynarodowe nie prowadzą do konkretnych wyników. Zresztą nie uzbrojenie materjalne samo przez się, nie armaty i gazy, są niebezpieczne, niebezpieczną jest psychika ludzi, którzy się narzędziami morderczemi posługiwać chcą. Dlatego po stronie prawdziwych pacyfistów coraz lepiej zdawano sobie sprawę, że wszelkie wysiłki w kierunku rozbrojenia materjalnego będą przeważnie wysiłkami w kierunku obejścia politycznego przeciwnika, dopóki nie nastąpi w świecie powszechnie to, co nazwano — niedość fortunnie — „rozbrojeniem moralnem", t. j. wyplenienie z psychiki ludzkiej uczuć nienawiści, zawiści i napastniczości względem obcych narodów i państw. Tę prawdę podkreślali tylokrotnie papieże, aż do ostatniej encykliki Piusa XI włącznie; ona przeziera z przytoczonego powyżej ustępu listu Ks. Kardynała Prymasa, odnoszącego się do zasad polityki międzynarodowej.

To też należało ze strony katolickiej przyjąć z gorącem uznaniem urzędowe wystąpienia Polski na terenie Ligi Narodów w sprawie przeprowadzenia rozbrojenia moralnego. Już 17 września 1931 złożył nasz rząd umotywowane „Memorandum" w tej sprawie, 13 lutego r. b. wniósł na Konferencję rozbrojeniową w Genewie formalne „Propozycje", odnoszące się do stopniowej realizacji rozbrojenia moralnego, wreszcie 14 marca zgłosił gotowy projekt międzynarodowej „Konwencji o rozbrojeniu moralnem". Jak dotąd, wszystkie te akty stanowią dopiero przedmiot rozpatrywania podkomisji i niewiadomo czy prędko zamienią się w obowiązującą ustawę. Nie ulega jednak wątpliwości, że jeżeli zawarcie proponowanej konwencji dojdzie do skutku, będzie ona niemałym hamulcem na wybujałości nacjonalizmów. Polski projekt bowiem przewiduje wprowadzenie do kodeksów karnych wszelkich wystąpień w prasie, teatrze, kinie, radjo, owszem w wychowaniu szkolnem młodzieży, podżegających do wojny, do gwałcenia umów międzynarodowych, wszelkiego wzniecania nienawiści do cudzoziemców. Dlatego rzeczywiście w sferach kościelnych katolickich, których rzecznikiem jest *Osservatore Romano,* powitano wystąpienie Polski z dużem uznaniem, nie spotkało się ono też z zasadniczym sprzeciwem ze strony innych rządów (czy tylko przez wzgląd na opinję publiczną?).

Oczywiście pomysł takiego, uregulowanego ustawowo, „rozbrojenia moralnego" nie może się podobać tym odłamom społeczeństw, w których szowinizm i wojowniczość

uważane są za najwyższe cnoty obywatelskie. Dlatego i u nas w pewnym odłamie prasy znalazły się wystąpienia przeciwko inicjatywie polskiego rządu. Dopatruje się w nich rezygnacji z suwerenności państwowej, ponieważ ideologja „patrjotyczna" i jej objawy stałyby się przedmiotem międzynarodowej kontroli. Z przekąsem mówi się o ludziach, nie mających nic pilniejszego do roboty, jak moralne rozbrajanie narodu, albo pobłażliwie uważa się posunięcie rządu polskiego jako jeden więcej „fortel polityczny". Samo hasło „rozbrojenia moralnego" uważa się widać za karygodne, skoro pewien dziennik na wiadomość o jakimś temacie, zadanym do opracowania w szkole (inna rzecz czy temat był mądry), podnosi okrzyk zgrozy: ależ to jest rozbrajanie moralne młodego pokolenia!

Otóż nas, katolików, hasło takie i kroki pod niem podjęte ani przerażać, ani gorszyć nie powinny — są one bowiem zgodne z zasadami i duchem naszej świętej wiary. Jesteśmy także przekonani, że pacyfizm, rozbrojenie moralne własne, tak jak je pojmuje Kościół, a choćby i rządowy projekt, nie zaszkodzą prawdziwej dodatniej miłości Ojczyzny, ukochaniu politycznej niezależności własnego kraju, gotowości wreszcie do odparcia własną piersią wszelkiej napaści na Polskę ze strony zaborczych sąsiednich nacjonalizmów.

By zdyskredytować rozbrojenie moralne w oczach naszego katolickiego społeczeństwa, podniesiono, — w ślad za pewnym autorem z pod znaku Hitlera — że jest to pomysł żydowski i masoński. Na to niechaj służy taka odpowiedź: nawet chociażby tak było, nie może to przeszkodzić życzliwemu stanowisku naszemu wobec akcji, która jest niewątpliwie zgodna z duchem katolicyzmu. Owszem, chyba cieszyć się można z tego, że zasady chrześcijańskie docierają nawet do umysłów ludzi, uważających się za wrogów chrześcijaństwa, a jednocześnie smucić się trzeba, że niedostępnemi się okazują dla tychże zasad głowy ludzi, głośno przyznających się do katolicyzmu.

Ataki na akcję unijną na kresach wschodnich, o których niejednokrotnie pisaliśmy na tem miejscu, zostały odparte ze strony autorytatywnej w liście ks. biskupa H. Przeździeckiego z Siedlec do duchowieństwa diecezji z dnia 15 kwietnia b. r. [1]) Biskup podlaski uważał się za szczególnie powołanego do zabrania głosu w tej sprawie ze względu na to, że właśnie pod jego jurysdykcją i kierunkiem rozpoczęła się akcja unijna w r. 1924.

Niesposób streszczać tutaj całe obszerne pismo ks.

[1]) Zob. *Wiadomości Diecezjalne Podlaskie,* miesiąc kwiecień 1932, str. 154—173.

biskupa Przeździeckiego, powiemy tylko, że doskonale wskazuje ono na źródło ataków na akcję unijną i wszechstronnie rozprawia się z wszystkiemi zarzutami, podnoszonemi przeciwko tej akcji. Źródłem ataków jest „polityka niezdrowego nacjonalizmu", którą Dostojny Autor listu zowie „złą i przewrotną", polityka, która wołała wskazując na Kościół: „ukrzyżuj go", „bo on nas zdradza, nie chce razem z nami innym narodom wydzierać ich języka macierzystego, gwałcić ich zwyczaje, tradycje, przywiązania". Polska przez długie lata była wolna od tej zarazy, była tolerancyjna dla innych narodowości, dziś zaraza i do niej się wciska... Ks. Biskup kreśli historję powstania misji pomiędzy b. unitami na Podlasiu, znaną chyba dobrze naszym czytelnikom. Akcja unijna dokonywa się pod kierunkiem i opieką polskich biskupów według wskazówek Stolicy Apostolskiej. Zarzuty przeciwko tej akcji ujmuje ks. Biskup w 11 punktach i naprawdę żadnego nie pominął i wszystkie je odpiera. Rozprawia się zatem z takiemi zdaniami, jak: że „cała praca unijna jest niepotrzebna", że „bardzo nikłe wydaje owoce", że jest wyrazem „złudzeń" Rzymu co do nawrócenia Rosji, że szerzy nowy niepotrzebny obrządek, że rusyfikuje czy też ukrainizuje kresową ludność, że posługuje się apostołami o wątpliwej wartości moralnej, że „konkordat nie zna obrządku wschodnio-słowiańskiego", — wyjaśnia obszernie sprawę rewindykacji świątyń, sprawę nominacji ks. biskupa Czarneckiego na wizytatora apostolskiego, wreszcie rozprasza obawy co do działalności papieskiej Komisji *pro Russia*. Nie rozwijamy szczegółowo wszystkich tych odpowiedzi, gdyż co do rzeczy pokrywają się one z tylokrotnemi wyjaśnieniami naszemi w tej sprawie. Nową rzeczą jest tutaj okoliczność, że głos zabiera nie publicysta, przemawiający prywatnie w swojem imieniu czy też w imieniu napastowanego zakonu, lecz pasterz diecezji, urzędowo, w imieniu Kościoła katolickiego. Szkoda tylko, że orędzie to nie zostało — o ile nam wiadomo — udostępnione dla szerokiego ogółu w postaci osobnej broszury.

Czy po orędziu ks. biskupa Przeździeckiego ustaną napaści na akcję unijną, czy uspokoją się poruszone nią namiętności? Jak dotąd, taki zwrot jeszcze się nie zapowiada. Dzienniki, które się „wyspecjalizowały" w zwalczaniu akcji unijnej, jak krakowski „kurjerek" lub wileńskie *Słowo*, jeszcze od czasu do czasu powracają do tego samego tematu, powtarzając w kółko te same zarzuty, tylokrotnie już wyjaśnione i odparte. *Ilustr. Kurjer Codzienny* już raz umieścił rozsądniejszą korespondencję z Rzymu, wyjaśniającą charakter i uprawnienia Komisji *pro Russia*, ale niebawem (12 maja r. b.), jakby dla ratowania swojej reputacji wobec

czytelników żądnych sensacyj i emocyj, powrócił na swe dawne stanowisko i woła do kapłanów-misjonarzy: idźcie od nas do bolszewickiej Rosji! Rzecz charakterystyczna, nasuwająca podejrzenie co do dobrej wiary polemistów antyunijnych, że milczeniem pominęli dzielną odprawę, jaką dał kilku z nich Superjor misji jezuickiej, O. Piątkiewicz, w swojej broszurze „Prawda o Albertynie". Ci, którym została doręczona lub przesłana, wolą udawać, że nie wiedzą o jej istnieniu. *Słowo* wileńskie zobaczyło w niej tylko „pół prawdy" (dziękować i za to!), ale nawet ta połowa uznana nie zdołała zredukować o 50% wrogiego stosunku dziennika do zwalczanej akcji. Czy większą łaskę znajdzie w oczach tych panów list ks. biskupa Przeździeckiego? Dotąd milczą o nim.

Natomiast dają miejsce na łamach swych dzienników dalszym wystąpieniom wrogim akcji unijnej. Mamy na myśli opublikowany w *Słowie* i w *Gazecie Warszawskiej* „Głos Ziemian pow. słonimskiego", opatrzony podobno 47 podpisami. Wystosowany został przez podawców w formie prośby do ks. arcybiskupa wileńskiego R. Jałbrzykowskiego, aby ten przedstawił papieżowi, iżby polecił „OO. Jezuitom zaprzestania propagandy obrządku wschodniego na naszych kresach i pozostawienia opieki nad chcącymi powrócić na łono Kościoła katolickiego kapłanom obrządku łacińskiego". Głos ten jest wielce charakterystyczny z wielu względów. Wyszedł on niechybnie z tych samych kół, z których pochodził znany memorjał „Towarzystwa opieki nad kresami wschodniemi", złożony ks. biskupowi Łukomskiemu. Styl, budowa, treść zarzutów dowodzą, że to wszystko dzieła jednej i tej samej ręki — rozmaitość firm widać potrzebną jest dla stwarzania pozorów powszechności niezadowolenia z akcji unijnej. Nowy ten „głos", datowany 5 maja r. b., jest odpowiedzią na broszurę O. Piątkiewicza, która niechybnie znana jest wśród ziemian słonimskich, nie wspomina wszakże o niej ani słowem, a powtarza zbite w niej zarzuty, jak zarzut rusyfikowania. Jest to metoda walki starych Rzymian przeciwko Kartaginie: *caeterum censeo...* Zamiast dyskutować, bić wciąż w to samo miejsce! Wreszcie to jest charakterystyczne, że ziemianie zwracają się jedynie przeciwko Jezuitom albertyńskim, jakby oni wyłącznie prowadzili akcję unijną w obrządku wschodnim, jakby oprócz ich trzech placówek nie było 30 innych, na których prowadzą tę samą pracę kapłani zależni nie od Jezuitów, ale od pięciu polskich biskupów odnośnych diecezyj. Czy to parafjańszczyzna, nie wiedząca wcale, co się dzieje poza powiatem słonimskim, czy też wyrachowanie jakieś przedowcipne, a do odgadnięcia trudne?

Nie będziemy tutaj analizować „Głosu Ziemian słonimskich", gdyż powtórzyć musielibyśmy wiele rzeczy znanych naszym czytelnikom, bez nadziei na porozumienie się z autorami memorjału. Wszak nie raczyli wziąć pod uwagę odpowiedzi ks. Piątkiewicza. Jeśli są ludźmi prawdziwie szukającymi tylko dobra Kościoła katolickiego i dbałymi o bezpieczeństwo państwa, jak to podkreślają, może ich przekona list ks. biskupa Przeździeckiego, że ich obawy są płonne, zarzuty nieusprawiedliwione, a motywacja memorjału daleka od zasad Kościoła i ducha prawdziwego katolicyzmu. A może po zapoznaniu się z treścią listu podlaskiego biskupa, większość podpisanych pod „Głosem" spostrzeże się, że stali się ofiarami niezbyt pięknej agitacji paru upartych jednostek.

Ks. Jan Urban T. J.

Albert Thomas i Międzynarodowa Organizacja Pracy.

Dnia 8 maja b. r. rozstał się z tym światem Dyrektor Międzynarodowego Biura Pracy, Albert Thomas, w 54-ym roku życia. Śmierć zaskoczyła go nagle w Paryżu, dokąd przybył celem wzięcia udziału w wyborach do Izby deputowanych.

Był to człowiek nieprzeciętnej miary. Syn piekarza, urodzony dn. 16 czerwca 1878 r. we Francji, w Champigny-s-M. (Seine), odznaczał się niezwykłemi zdolnościami i pracowitością i ukończył chlubnie studja w Ecole Normale Supérieure. Już w tym czasie odbył podróż do Rosji i napisał potem broszurę „Rosjanie jako rasa kolonizatorska"; rok spędził również w Niemczech, gdzie uczęszczał na uniwersytet i równocześnie badał tamtejsze organizacje górnicze. Po powrocie do Francji został naprzód nauczycielem historji, potem współpracownikiem socjalistycznej *Humanité*; mając lat 26 założył czasopismo *Revue Sindicale,* a w r. 1910 został wybrany do Izby deputowanych, gdzie pozostawał w ścisłym związku z zamordowanym w r. 1914 Janem Jaurès. Z początkiem wojny światowej przeszedł, jak przeważna część francuskich socjalistów, ewolucję w kierunku narodowym i został sekretarzem stanu dla spraw amunicji, a w r. 1916 ministrem tego działu; na tej pozycji wytrwał do r. 1917, do przyjścia do steru gabinetu Clemenceau'a. W r. 1919 wybrany ponownie z ramienia partji socjalistycznej (prawicy), został niedługo potem, jeszcze tego samego roku, mianowany Dyrektorem nowo utworzonego Międzynarodowego Biura Pracy, *Bureau International du Travail,* w Genewie. Stanowisko to piastował aż do zgonu.

Nie będziemy tu wchodzili w szczegóły tej, po Lidze Narodów najpoważniejszej i najbardziej wpływowej, instytucji międzynarodowej, ponieważ zostały one już dawniej omówione obszer-

nie w *Przeglądzie Powszechnym.*[1]) Przypomnimy tylko w streszczeniu najważniejsze dane w tej mierze i uzupełnimy je garścią wiadomości o obecnym stanie organizacji.

Sprawą polepszenia losu klasy pracującej zajmowano się teoretycznie już oddawna, a w r. 1900 zawiązało się w Paryżu Międzynarodowe Stowarzyszenie dla sprawy opieki nad robotnikiem, lecz prace i obrady jego nie miały wpływu na życie. Dopiero wojna światowa, która poruszyła sumienie wszystkich narodów i wszystkich warstw społeczeństwa i która obudziła głębokie pragnienie pokoju i sprawiedliwości, miała utorować drogę do praktycznego rozwiązania tego zagadnienia.

Już I-a część Traktatu Wersalskiego, zawierająca umowę Ligi (Związku) Narodów (Pacte de la Société des Nations), poleca jej członkom, ażeby zarówno na swych własnych terytorjach jak i w innych krajach dołożyli „wszelkich starań, aby ustanowić i utrzymać słuszne i ludzkie warunki pracy. . . oraz utworzyć i utrzymywać potrzebne w tym celu organizacje międzynarodowe" (art. 23. a). Szczegółowe zaś postanowienia w tym względzie ujęto w XIII części Traktatu, poświęconej w całości kwestji pracy i jej organizacji. Wobec tego, że „celem istnienia Związku Narodów jest ustalenie powszechnego pokoju, oraz że pokój ten może być zbudowany jedynie na zasadach sprawiedliwości społecznej", zostaje ułożony program zrealizowania jej w świecie pracy, oraz powstaje „stała organizacja, która ma pracować nad urzeczywistnieniem" tego programu (art. 387).

Ta nowa instytucja — Międzynarodowa Organizacja Pracy — musi naturalnie być powszechną, jeśli ma odpowiedzieć powyższemu zadaniu. Toteż art. 387 Traktatu określa, że ktokolwiek będzie członkiem Ligi Nar., „będzie tem samem członkiem pomienionej organizacji". Funkcje jej zasadnicze można streścić w dwóch słowach: praca ustawodawcza i informacyjna, a do wykonania ich służyć mają:

1) Konferencja ogólna przedstawicieli członków (państw), zbierająca się przynajmniej raz na rok. Biorą w niej udział delegaci poszczególnych państw, a obrady i uchwały dotyczą przedewszystkiem ustawodawstwa pracy, międzynarodowego i w poszczególnych krajach, oraz zagadnień i sporów na tem tle wynikłych.

2) Międzynarodowe Biuro Pracy, jako instytucja stała, na której właściwie spoczywa całe dzieło i które dlatego musi się znajdować w siedzibie Ligi Nar. i stanowi „część składową organizacji" tejże (art. 392). Ono to ma zbierać i udzielać wszelkich informacyj dotyczących położenia robotników i warunków pracy, ono ma przygotowywać materjał dla obrad Konferencyj, załatwiać sprawy przez nie zlecone oraz spory międzynarodowe,

[1]) Por. artykuły ks. Ferd. Chmury T. J.: *Przegląd Powszechny* r. 1920 t. 147/8 str. 366; r. 1921 t. 149/50 str. 202 i 287.

utrzymywać stosunki z poszczególnemi krajami, przeprowadzać ankiety, opracowywać i ogłaszać publikacje (art. 396). Do tego celu musi oczywiście posiadać nietylko rozległy aparat administracyjny i utrzymywać nieprzerwanie stosunki z wszystkiemi częściami świata, ale musi również zajmować się naukową stroną odnośnych zagadnień. Dla spełnienia tych mnogich zadań posługuje się Biuro nietylko gronem stale pracujących fachowców, ale korzysta także z pomocy specjalnych Komisyj. Komisyj takich jest obecnie 22, o różnym charakterze i różnym składzie osób (od trzech poczynając).

Cała ta olbrzymia maszyna — której członkami jest dziś 55 państw i która zatrudnia prawie 400 funkcjonarjuszów — pozostaje pod kierownictwem Rady Administracyjnej, złożonej z 24 osób: 12 reprezentujących Rządy, 6 przedsiębiorców i 6 pracowników. Na czele zaś M. Biura Pracy stoi Dyrektor, mianowany przez Radę Adm., od której otrzymuje instrukcje i przed którą odpowiada za prawidłowy bieg spraw Biura, oraz za wykonanie wszystkich powierzonych mu zadań (art. 393, 394). I oto na to stanowisko niezmiernie odpowiedzialne, a tem trudniejsze wówczas, że właściwie należało dopiero całą instytucję dźwigać z fundamentów, powołała I-a Międzynarodowa Konferencja pracy, zebrana w Waszyngtonie w r. 1919, Alberta Thomas'a.

Stanowisko to przyjął i — jeżeli mamy sądzić z głosów, jakie dotychczas nas doszły — spełnił godnie. Okazał się tu człowiekiem ogromnej wiedzy, świetnym znawcą zagadnień społecznych i gospodarczych, obdarzonym umysłem jasnym i trzeźwym, darem szybkiego orjentowania się w najzawilszych sytuacjach i odwagą w wypowiadaniu swych sądów. Jego sprawozdania doroczne i przemówienia na Międz. Konferencjach pracy świadczyły o niezwykłej znajomości wszystkich spraw i szczerej trosce o wszechstronnie pomyślne ich załatwienie. Oczywiście mógł się w niejednej rzeczy pomylić i zarówno ze strony przedsiębiorców jak pracowników spotykały go też nieraz zarzuty, raz przesady kiedyindziej niedociągnięcia; lecz pomyłki takie są nieuniknione i nie umniejszają jego zasług, ani nie uwłaczają jego dobrej woli. Dla Międz. Organizacji Pracy położył niespożyte zasługi, był jej duszą, a bezwątpienia właściwym twórcą i organizatorem Międz. Biura Pracy.

Wielką inicjatywę osobistą i niezłomną energję potrafił łączyć zawsze z bezstronnością, czego najlepszym chyba dowodem są świadectwa, jakie jemu, Francuzowi, złożono ze strony niemieckiej. „Alb. Thomas — pisała po jego zgonie *Germania* (nr. 129) — był człowiekiem nadzwyczajnym i wartościowym... Tu w Genewie, jak to już nieraz stwierdziliśmy przy innych sposobnościach, był wzorem postępowania i starał się być prawdziwie międzynarodowym urzędnikiem; i możemy powiedzieć, że w porównaniu z przeważającą liczbą innych Francuzów, którzy zajmują wpływowe sta-

nowiska w międzynarodowym urzędzie, dbał o prowadzenie polityki międzynarodowej, a nie wysuwał na pierwszy plan swych czysto francuskich interesów".

Toteż pod takiem kierownictwem stało się M. Biuro Pracy instytucją cenioną i po Lidze Nar. najbardziej wpływową, której dziś nikt w świecie nie odmawia prawa i obowiązku troszczenia się o dobro świata pracy, bez względu na rasę, klimat czy rodzaj zajęcia. W ciągu tych dwunastu lat, w których kierował niem Alb. Thomas, zdołało też ono — poza teoretycznemi pracami i akcją wydawniczą — zdziałać wiele na terenie międzynarodowym i w poszczególnych krajach, na polu warunków pracy, ubezpieczeń społecznych, polepszenia doli pracowników wszelkiej kategorji. Wyliczyć wszystkie te zdobycze niepodobna, nawet zwięzłe zestawienie ich w publikacji, wydanej z okazji 10-lecia M. Organizacji Pracy, zajmuje przeszło 200 stron.[1])

Troska o sprawiedliwość społeczną, jako podstawę pokoju powszechnego, była stałą dewizą działania A. Thomas'a. Czy była nią także troska o socjalizm? Czy prawdą jest, jak pisał u nas *Robotnik* (z dnia 10 maja b. r.), że A. Thomas „traktował zawsze swoją pozycję w Genewie jako rodzaj okresu przejściowego; oczekiwał chwili przemyślanej przez siebie do końca, gdy problem realizacji socjalizmu stanie na porządku dziennym, jako zadanie praktyczne świadomej, konsekwentnej polityki państwowej?" — Sądzimy, że przedwczesną byłoby rzeczą dawać dziś odpowiedź na to pytanie. Socjalizm, reprezentowany przez II-ą Międzynarodówkę, a u nas przez P. P. S., lubi — choć kierownicy jego wiedzą dobrze, że tak nie jest — podawać się masom robotniczym, jako jedyny ich przedstawiciel i obrońca interesów świata pracy. Toteż i A. Thomas musiał być u nich „jedną z najwybitniejszych postaci świata socjalistycznego". Ale czy ten, dawniej rzeczywiście socjalista, pozostał nim aż do końca, pozostaje jeszcze do zbadania. Narazie faktem jest, że ani w znanych nam oficjalnych przemówieniach na Konferencjach pracy, ani w przedmowie do wspomnianego powyżej sprawozdania z 10-lecia M. Organizacji Pracy, A. Thomas tego nie zaznacza.

A drugim niezaprzeczalnym faktem, który socjaliści stale dyskretnie przemilczają, jest silny zwrot A. Thomas'a na prawo. Coraz bardziej umiarkowany w swych poglądach na kwestję społeczną, zrobił wiele dla usunięcia przeszkód, jakie stały na drodze do współpracy chrześcijańskich i socjalistycznych Związków Zawodowych na terenie międzynarodowym (całkowitemu porozumieniu przeszkadzały właśnie socjalistyczne organizacje). Coraz więcej uwagi poświęcał on również katolickim teorjom społecznym, a zwłaszcza enuncjacjom Stolicy Św., oraz biskupów róż-

[1]) *Dix ans d'Organisation Internationale du Travail.* Préface par Albert Thomas. Genève 1931, Bureau International du Travail Str.XV+499.

nych krajów, i z rosnącem uznaniem wyrażał się o nich w swych rocznych sprawozdaniach i przy innych okazjach. Dzięki temu zrozumieniu zacieśniały się też z roku na rok węzły współpracy pomiędzy chrześcijańskiemi Związkami zawodowemi i innemi pokrewnemi organizacjami a M. Biurem Pracy, czego zwięzły obraz podaje nadmieniona publikacja na 10-lecie tej instytucji (str. 429—32, 461—64). „Wielki ruch — czytamy tam — zrodzony w łonie Kościoła katolickiego od czasu encykliki *Rerum Novarum*, wykazał płodność: ta katolicka Karta pracy przeniknęła swym duchem wysoką liczbę związków, które pracują usilnie nad zaprowadzeniem sprawiedliwego porządku społecznego".

Nie może więc nikogo dziwić, że Albert Thomas cieszył się z roku na rok coraz żywszą sympatją w kołach katolickich, a *Osservatore Romano* poświęcało sporo czasem miejsca jego sprawozdaniom, podkreślając ich rzetelność i przedmiotowość, świadczące tak dodatnio o osobie „Dyrektora wielkiej międzynarodowej organizacji pracy".

Czy i nadal dobre te stosunki pozostaną? — Zależeć to będzie od dalszego rozwoju wypadków, a w niemałej mierze od osoby następcy A. Thomas'a. A nominacja tego następcy, jak już podnoszono, nie będzie łatwą, ze względów nietylko rzeczowych ale i politycznych. Wobec zgłoszonego bowiem ustąpienia Gen. Sekretarza Ligi Narodów, sir Eric Drummond'a, wyłoni się drażliwa kwestja narodowości ludzi, którzy będą mieli — po Angliku i Francuzie — objąć te dwa najwyższe międzynarodowe stanowiska.

Ks. St. Podoleński.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 1 czerwca 1932.

Spis rzeczy tomu 194.

Artykuły.

Str.

Ks. Dr. F. Sawicki: Człowiek a wszechświat w świetle nauki i wiary 3
J. Art: Pieśń bezimiennego krzyżowca 16
L. Halban: Chrześcijańskie postulaty prawne 20
Z. Falkowski: Ogień i łzy Wertera 48
Dr. J. M. Święcicki: Psychoanaliza w literaturze polskiej (Dokończenie) 77
F. Bielak: Motywy Delille'a w Panu Tadeuszu 90
Ks. J. Urban: Ideologja bolszewizmu 129
M. Smolarski: Mickiewicz jako krytyk pseudoklasyczny 144, 312
Ks. St. Podoleński: Eugenika dzisiejsza, jej drogi i bezdroża 166
Z. Ciechanowska: Goethe, poeta nastroju 187
Ks. K. Konopka: Z problemów afrykańskich 196
Dr. M. Kasterska: Andrzej Thérive 204
J. Dürr: Materjały do biografji Stanisława Wyspiańskiego 210, 348
J. Matyasik: Konferencja rozbrojeniowa w Genewie . . . 257
Ks. J. Urban: O. Marjan Morawski 277
Z. Okniński: Stefan Duszan, car Serbów i Greków 288
K. L. Koniński: Z życia rodziny wiejskiej i robotniczej . 333

Przegląd piśmiennictwa.

St. Kętrzyński: Na marginesie genealogji Piastów (Dr. K. Krotoski) 103
Polska. (Dr. M. Pelczar) 107
Wiadomości Numizmatyczno-Archeologiczne. T. XII. (Dr. M. Pelczar) 109
Wierchy. Rocznik poświęcony górom i góralszczyźnie. Rok IX. (Dr. M. Pelczar) 109

Str.

Paul de Jaegher S. J.: Confiance. (Ks. J. Andrasz) 110
Brat Jan de Caulibus: Rozmyślania o życiu Jezusa Chrystusa. (Ks. H. Weryński) 111
Ks. R. Mäder: Wielka Tajemnica. (Ks. St. Podoleński) . 112
Józef St. Czarnecki: Zmysły na licytacji. (Ks. St. Podoleński) 113
Kardinal Faulhaber: Rufende Stimmen in der Wüste der Gegenwart. (J. G.) 113
Obertyński Zdzisław Ks.: Pontificale Arcybiskupa lwowskiego Jana Rzeszowskiego w Bibljotece Kapitulnej w Gnieźnie. (S. B.) . . 114
Powieściowe Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha. (Z. St. M.) 114
Concilium Tridentinum. Tom III, część I. (Ks. M. Morawski) 221
Wład. Konopczyński: Kazimierz Pułaski. (E. W.) 223
Konst. Szymonolewicz: Miraże mandżurskie. (J. K.) 225
Stephany Max: Konversion und Rekonversion in Livland. (S. B.) 226
Ant. Waśkowski: Szela. (K. L. Koniński) 227
Helena Boguszewska: Świat po niewidomemu. (Zofja Staro-wieyska-Morstinowa) 231
Hugo Wast: Kamienna Pustynia. — Ta, która nie przebaczyła. — Kwiat duraceny. (A. Zahorska) 233
Emil Droonberg: Śmiejąca się woda. (A. Zahorska) 234
Juljusz Verne: Hector Servadac. — Antoni Marczyński: Nowa Atlantyda. (Z. St. M.) 235
Antoni Marczyński: Straszna noc. (Z. St. M.) 236
Janusz Milski: Na odcinku (Z. St. M.) 236
Józef Spillmann T. J.: Miłujcie nieprzyjaciół waszych! (Z. St. M.) 236
Ks. Jan Ślósarczyk: August Czartoryski — Książę-salezjanin (Ks. J. Urban) 237
Illemo Camelli: Od socjalizmu do kapłaństwa. Przeł. Kryst. Szczucka. (Ks. J. Urban) 238
Ks. Jan Piwowarczyk: Kryzys społeczno-gospodarczy w świetle katolickich zasad. — Ks. Dr. Ant. Roszkowski: Katolicyzm społeczny (Ks. J. U.) 238
Raoul Plus S. J.: Face au Mariage. (Ks. St. Podoleński) 239
Z Wydawnictw Wojskowego Instytutu Naukowo-Wyd.: Olgierd Żukowski: Współczesne okręty wojenne. — Marjusz Zaruski: Nawigacja. — Z. Wojnicz-Sianożęcki: Zbiorowa obrona przeciwgazowa większych skupień ludzkich. — Wład. Nekrasz: Harcerze w bojach. Część II. (M.) 240
H. G. Wells: The country of the blind and other stories. (S.) 241
Powieści i nowele. Marja Dąbrowska: Wieczne zmartwienie. — Zofja Kossak-Szczucka: Nieznany kraj. — Kornel Makuszyński: Człowiek znaleziony w nocy. — Jerzy Kossowski: Biały folwark. — Wanda Miłaszewska: Na cztery wiatry. — Jak Wiktor: Czarna Rózia i Eros na podwórzu. — Eustachy Czekalski: Duży wójt i mały Wojtuś. — Kaz. Wybranowski: Dwie drogi. — Nadzieja Drucka: Niepotrzebne dzieci. — Józef Relidzyński: Miłość Renaty Jazłowieckiej. — Irena

Str.

Szczepańska: Słońce w białym dworze. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 358
Tomasz Mann: Pan i pies. Przekł. Leop. Staffa, przedm. St. Wasilewskiego. (A. Z.) 368
Witold Łaszczyński: Wysoki próg. Poezje. (Miecz. Sm.) . 369
Marja Cecylja Łubieńska: Pierwotna forma Towarzystwa Św. Anieli Merici. — Taż: Ustawy Towarzystwa Św. Anieli Merici. (Ks. J. Urban) 371
A. Auffray: Pedagogja Świętego. Przekł. Anny Zahorskiej. (Dr. C. Łubieńska) 372
Nauka Polska. Tom XV. (Ks. St. Bednarski) 373
Tadeusz Mańkowski: Lwowskie kościoły barokowe. (Ks. St. Bednarski) 375
Orbis-Terrarum. Südamerika. Westindien. Zentralamerika. (J. K.) 376
Jan Dihm: Trzeci Maj. (Dr. W. Cz.) 377
Dr. Valerij Vilinskij: Unionizmus. (A. Z.) 377
Antoine de Sérent: La Spiritualité chrétienne d'après la liturgie (J. Andrasz) 378
Nadesłane 116, 241, 378

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Kwiecień: Z okazji ustawy o świadczeniach na rzecz Kościoła katolickiego. — Jeszcze o obrządku „bizantyńskim". (Ks. J. Urban) 118
Maj: Niemieckie wybory a sprawy religji. — Śmierć ś. p. biskupa Łozińskiego (Ks. J. Urban) 243
Czerwiec: Encyklika Caritate Christi. — List prymasowski o zasadach życia państwowego. — Rozbrojenie moralne a katolicyzm. — Około akcji unijnej na kresach wschodnich. Ks. J. Urban) 381
„Iuventus Christiana". (M. Niwiński) 123
Przegląd współczesnej poezji rumuńskiej. (Dusza Czara) . 249
Harcerstwo w Polsce i w świecie. (P.) 253
Albert Thomas i Międzynarodowa Organizacja Pracy (Ks. St. Podoleński) 391

W sprawie artykułu „Jak bronić małżeństwa?"

Habent sua fata libelli. To rzymskie przysłowie można zastosować także do mojego skromnego artykułu, umieszczonego na tem miejscu w grudniu 1931 r. pod tytułem: „Jak bronić małżeństwa?"

Obronę katolickiej nauki o małżeństwie uważałem za jedno z najważniejszych zadań chwili obecnej w Polsce wobec ujawnionego projektu prawa małżeńskiego, który tę naukę w wielu punktach gwałcił, i dlatego nie chciałem milczeć w tej sprawie, z drugiej strony zauważyłem już wcześniej, że w naszej publicystyce sprawa ta jest omawiana nie dość gruntownie, że niektórzy katolicy, zabierający w niej głos, posługują się argumentacją o wątpliwej sile dowodowej. Powodowany tedy troską, aby tego rodzaju obrona, zamiast pomóc, nie zaszkodziła sprawie, wypowiedziałem w pierwszej części swego artykułu kilka krytycznych uwag co do wartości używanych często argumentów, w drugiej zaś części zwróciłem uwagę na to, co najbardziej w projekcie Komisji Kodyfikacyjnej jest zgubne. Artykuł mój był gotów przed ogłoszeniem „Orędzia Episkopatu Polski" w tej sprawie z dn. 10 listopada, które to orędzie Katolicka Agencja Prasowa rozesłała dopiero 21 listopada. Nie miałem już czasu na to, by artykułowi swemu nadać formę komentarza do orędzia Księży Biskupów, zdołałem wszakże w korekcie umieścić o niem choć krótką wzmiankę, zaznaczając to, co w niem najsilniej było podkreślone, mianowicie potrzebę obrony nierozerwalności małżeństwa.

Ponieważ artykuł mój pojawił się w druku w kilką

dni po ogłoszeniu orędzia Episkopatu, a bezpośrednio przed dniem, wyznaczonym przez nie na protesty przeciwko szkodliwemu projektowi, zawierał zaś krytykę używanych niekiedy przez katolików dowodzeń, powstały w pewnych kołach podejrzenia, jakoby stanowił on krytykę enuncjacji Episkopatu. Uznano go też za szkodliwy dla zarządzonej akcji protestacyjnej. Tem łatwiej to przyszło, że w obozie obrońców projektu Komisji wyrwano z kontekstu parę moich zdań, przedstawiając je w swoim duchu i nie szczędząc mi pewnego uznania, co nie znającym całości artykułu mogło podsunąć nawet podejrzenie, że wystąpiłem w obronie zwalczanego przez Kościół projektu. Tu i ówdzie podsunięto mi jeszcze trochę jakichś motywów politycznych, i tak artykuł stał się poniekąd sensacją chwili.

Skoro tylko dowiedziałem się o fałszywej interpretacji celu artykułu, nie omieszkałem natychmiast oznajmić publicznie (*Czas* z dn. 8 grudnia 1931), że tak „monstrualna myśl", jak chęć przeciwdziałania akcji Episkopatu, nie postała w mojej głowie. To jednak nie zdołało zapobiec dalszemu szerzeniu się insynuacyj. Pod koniec grudnia Katolicka Agencja Prasowa ogłosiła moją deklarację, złożoną w tej sprawie w ręce Księży Biskupów. Celem tej deklaracji było odparcie krążących podejrzeń i mylnego rozumienia artykułu przez wyszczególnienie oskarżeń, do których w nim nie było rzeczowych podstaw. Oświadczenie to, nie mieszczące, co do s a m e j r z e c z y, potępienia ani odwołania żadnego z moich twierdzeń, wyrażało tylko, w formie warunkowej, żal i odwołanie niejasności, jakie mogły się znajdować w s p o s o b i e wypowiedzenia moich myśli. W pewnym jednak odłamie prasy nie zadowolono się ogłoszeniem mojej deklaracji, ale opatrzono ją komentarzami, w których krok mój był przedstawiony jako „odwołanie błędów", „pójście do Kanossy" i t. p. W tychże dziennikach szerzono także wiadomości o mojem ustąpieniu w związku ze sprawą artykułu z redakcji *Przeglądu Powszechnego* pomimo zaprzeczeń z kompetentnej strony.

Obecnię, kiedy wrzawa około mojego artykułu podniesiona już przycichła, pragnę do niego jeszcze raz powrócić, by możliwie jasno i dobitnie określić swoje stano-

wisko w sprawie projektowanej reformy prawa małżeńskiego w przekonaniu, że to nietyle dla obrony mojej osoby, ile dla dobra ogólnej sprawy jest wskazane.

Najpierw tedy oświadczam, że stanowisko moje względem projektu Komisji Kodyfikacyjnej, jako całości, było i jest negatywne. Stanowisko takie zajmuję głównie dla dwóch przyczyn. — Po pierwsze fałszywą jest podstawa ideowa, na której ów projekt się wspiera, mianowicie zasada suwerenności państwowej tak rozumiana, jakoby w dziedzinie stanowienia ustaw, a zatem i ustawy małżeńskiej, państwo mogło kierować się wyłącznie własną wolą bez oglądania się na wymagania wyższego prawa, Bożego, zarówno naturalnego, jak i podanego przez Chrystusa Pana. Liczenie się bowiem z tem prawem jest konieczne, zwłaszcza kiedy chodzi o instytucję tak głęboko wkraczającą w życie religijne i moralne, jaką jest instytucja małżeństwa. Powtóre, najgorszą stroną opracowanego projektu jest jego część, dopuszczająca rozwody. Niektóremi artykułami, jak naprz. artykułem o rozwodzie bez podania przyczyn w razie bezdzietności chcących się rozwieść, projekt ów sąsiaduje bezpośrednio z najradykalniejszemi pomysłami „reformatorów małżeństwa“, z pomysłami małżeństw czasowych, na próbę.

Następnie stwierdzam, że jestem przeciwnikiem dopuszczenia przez państwo r o z w o d ó w nietylko dla katolików [1]), ale rozwodów wszelkich i dla kogokolwiek. Albowiem, według nauki Kościoła katolickiego, małżeństwa chrześcijan niekatolików, jeżeli tylko były ważnie zawarte, są tem samem — podobnie jak katolickie — małżeństwami sakramentalnemi, a zatem absolutnie nierozerwalnemi. Następnie oprócz tej teologicznej podstawy nierozerwalności istnieje jeszcze podstawa druga w samem prawie naturalnem, mocą której nierozerwalnemi są małżeństwa wszelkie, prawnie zawarte, a zatem nawet małżeństwa niechrześcijan. Takiej bowiem stałości domaga się dla związków małżeńskich sama ich istota i cele im przez Stwórcę natury zakreślone,

---

[1]) Oczywiście suponuję tu władzę papieża dyspensowania *a matrimonio rato non consummato* i wypadek tak zw. *privilegium paulinum.*

jak to ostatnio magistralnie zostało wyłożone w encyklice papieża Piusa XI *Casti connubii.* Tutaj owych argumentów na korzyść nierozerwalności wszelkich prawdziwych małżeństw nie rozwijam, odsyłając czytelników do swoich prac poprzednich w tym przedmiocie.[1]) Tamże rozprawiłem się także z zarzutami, przytaczanemi zwykle przeciwko zasadzie nierozerwalności małżeństw.

Podczas polemiki, jaka się wywiązała przeciwko mojemu artykułowi, ktoś ze strony katolickiej uczynił mi zarzut, że żądanie moje, aby ustawa państwowa wykluczyła wszelkie rozwody nietylko dla katolików, ale także protestantów i niechrześcijan, jest postulatem nierealnym wobec wielkiej ilości w Polsce różnowierców, których wyznaniowe zasady dopuszczają rozwody. Na to muszę zaznaczyć, że stawiając ów postulat nie mogłem się kierować nauką wyznań innych, której Kościół katolicki nie uznaje za prawdziwą, ale tylko pewną dla mnie nauką naszego Kościoła, a także przekonaniem o szkodliwości jakichkolwiek rozwodów dla moralności publicznej i dla pomyślności społeczeństw, szkodliwości popartej doświadczeniem tych krajów, które rozwody u siebie dopuściły. Co się tyczy „nierealności" postulatu katolickiego w tej dziedzinie, to jedynie chyba to mogę odpowiedzieć, że nawet najsłuszniejsze żądania nie zawsze zwyciężają — zależy to bowiem od układu i gry decydujących sił — nie przestają wszakże przez to być żądaniami słusznemi i zbawiennemi i katolicy mogą i powinni stawiać je i drugich o ich słuszności i zbawienności przekonywać. Do takich właśnie zasad należy zasada nierozerwalności wszystkich, prawnie i ważnie zawartych, małżeństw. Że ponadto trudno będzie bronić dowodami z prawa naturalnego nierozerwalności małżeństw katolickich w razie zrezygnowania z tejże nierozerwalności w stosunku do małżeństw innych, to zdaje mi się wykazałem dobitnie w poprzednich swych pracach.

Główne podejrzenia dotyczyły tego ustępu mojego artykułu, w którym dotknąłem f o r m y, w jakiej małżeństwa powinny być zawierane.

[1]) Zob. moje książki: *Na wejście w świat* i *Na ślubny kobierzec,* Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, jak również broszurę: *O zdrowe ustawodawstwo małżeńskie,* Kraków, 1929.

Wiadomo, że projekt Komisji Kodyfikacyjnej (art. 25 i 26) pozostawia wszystkim obywatelom Rzeczypospolitej wolność zawarcia małżeństwa już to przed państwowym urzędnikiem stanu cywilnego, już to przed duchownym wyznania, do którego należy przynajmniej jedna ze stron. Tym sposobem projektuje się ustanowienie dla wszystkich obywateli Rzeczypospolitej małżeństw cywilnych, w postaci tak zwanej fakultatywnej. Osiąga się to przez uchylenie zarówno obowiązkowości ślubów cywilnych, istniejącej dotąd w jednej dzielnicy Rzeczypospolitej (b. zabór pruski), jak obowiązkowości formy wyznaniowej, istniejącej w pozostałych częściach kraju. Kwestji tej w artykule: „Jak bronić małżeństwa?" dotknąłem tylko mimochodem, odsyłając czytelników do dawniejszych swoich na ten temat uwag.

Ta krótkość, być może, spowodowała podejrzenie jakobym był zwolennikiem ślubów cywilnych, ignorując prawo Kościoła katolickiego. Otóż muszę stwierdzić, że nietylko znam, ale całkowicie uznaję stanowisko prawa kanonicznego w tym względzie. Zgodnie z niem z całym naciskiem stwierdzałem już w poprzednich swych pracach, że katolików (uwzględniając przewidziane w samemże prawie kanonicznem wyjątki) obowiązuje przy zawieraniu małżeństwa forma, przepisana przez prawo kanoniczne czyli forma ślubu kościelnego i że niezachowanie jej czyni zawarte inaczej związki nieważnemi. Nie taiłem i tego, że ten przepis Kościoła odnosi się także do małżeństw mieszanych, w których jedna strona jest katolicką, jak również do osób ochrzczonych i wychowanych w Kościele katolickim lub do niego nawróconych, chociażby potem wiarę katolicką porzuciły.

Co dotyczy kwestji jakie stanowisko powinniby zająć katoliccy członkowie Komisji Kodyfikacyjnej oraz posłowie do ciał prawodawczych na wypadek, gdyby państwo nie uważało za swój obowiązek zmuszać obywateli katolickich jak również odstępców od Kościoła do zachowania formy religijnej przy zawieraniu małżeństwa, to w tej kwestji nie sformułowałem swego osobistego zapatrywania, ale wyraziłem życzenie, aby dla oświecenia sumień w tak ważnej a delikatnej sprawie rozstrzygnęły ją kompetentne władze kościelne.

Jak pobieżnie mój artykuł z grudnia r. u. był czytany przez tych, którzy czynili mi z powodu niego zarzuty, świadczyć mogą jeszcze następujące insynuacje.

Imputowano mi, naprzykład, jakobym d o w o d z i ł, że w Komisji Kodyfikacyjnej, przygotowującej państwowe prawo małżeńskie, niema miejsca dla katolików. Tymczasem właśnie stwierdzałem rzecz przeciwną, a mianowicie, że katolicy w Polsce, w kraju w większości katolickim, nie mogą się uchylać od współpracy w tej dziedzinie i pozostawiać jej żywiołom niekatolickim, i właśnie ze względu na ten obowiązek przytoczyłem owe trudności czy kazusy, domagające się autorytatywnej wskazówki ze strony Kościoła, aby ci katoliccy prawnicy i prawodawcy nie zbłądzili ze szkodą sprawy katolickiej.

Inny przykład. Odniosłem się z pewnym sceptycyzmem do argumentu, używanego przy obronie katolickiego prawa małżeńskiego, a czerpanego z ilości katolików w państwie, sądząc, że p r a k t y c z n ą wartość takie powoływanie się na ilość miałoby tylko w tym razie, gdyby ci wszyscy katolicy nominalni byli zarazem katolikami dość uświadomionymi w nauce Kościoła i oddanymi jej, co niestety o wielu trudno powiedzieć. Pilnem zadaniem jest wytworzyć taką rzeczywistą, a nie nominalną większość katolicką w kraju. Nadto, biorąc rzecz z a s a d n i c z o, powiedziałem, że prawdziwość nauki katolickiej i słuszność postulatów katolickich nie zależy od ilości katolików w danym kraju, lecz opiera się na prawie Bożem i kościelnem, że zatem postulaty te nie straciłyby na swej wartości nawet w tym wypadku, gdyby katolicy stanowili ilościową mniejszość. Przypuśćmy, że mój sceptycyzm co do uświadomienia i gorliwości katolików polskich nie był całkowicie uzasadniony, czy jednak można było dopatrzeć się w tym ustępie artykułu jakobym podsuwał myśl przeprowadzenia plebiscytu w kwestji prawa małżeńskiego? A tego się właśnie w nim dopatrzono.

Wreszcie zarzucano mi, że ani w Konstytucji ani Konkordacie nie znajduję ż a d n e j podstawy do obrony małżeństwa chrześcijańskiego. Rzecz się miała jak następuje. Stałem wobec faktu, że z jednej strony niektórzy publicyści katoliccy z różnych tekstów owych zasadniczych ustaw za-

rzucali projektowi Komisji Kodyfikacyjnej, że jest z niemi niezgodny; z drugiej zaś strony sam redaktor projektu, prof. Lutostański, dowodził, że jego stanowisko nie gwałci żadnego z przytaczanych artykułów, natomiast jest wymagane przez inne artykuły Konstytucji. Wobec takiej rozbieżności w wykładni tych samych tekstów przez jedną a drugą stronę, powstrzymawszy się od wypowiedzenia własnego zdania, z braku kompetencji, uważałem za lepsze, ze względów taktycznych, zaniechać powoływania się na poszczególne teksty przy obronie katolickiego stanowiska. Nawet pomijąc artykuł pierwszy Konkordatu, w którym wyraźnie zostały uznane przez państwo prawo Boże i prawo kanoniczne, jasnem jest — i to zaznaczałem w swych artykułach, — że tak ważnej sprawy mieszanej, jaką jest prawodawstwo małżeńskie, nie powinno rozstrzygać państwo jednostronnie bez porozumienia się z Kościołem. Zdaje mi się, że pomiędzy tem stwierdzeniem, a przypisanem mi twierdzeniem, że Konstytucja i Konkordat nie dają ż a d n e j podstawy do obrony małżeństwa, zachodzi różnica. Co się tyczy specjalnie interpretacji Konkordatu w razie powstania jakiejś wątpliwości, to należy ona do obu układających się stron, to jest Rządu i Stolicy Świętej.

Tuszę sobie, że w niniejszym artykule rozwiałem ostatnie wątpliwości, jakie, pod wpływem polemiki i posądzań, mógł ktoś jeszcze posiadać co do treści mojego grudniowego artykułu „Jak bronić małżeństwa". Zdaje mi się także, że w o g ó l e dość jasno obecnie określiłem moje stanowisko w sprawie prawodawstwa małżeńskiego w Polsce. Przewiduję, że w miarę jak sprawa ta będzie postępowała, nieraz jeszcze będę zmuszony mojem stanowiskiem publicysty katolickiego zabrać w niej głos. Jak dotąd, tak i w przyszłości powodować się będę jedynie interesami religji katolickiej i dobrem własnego narodu i państwa. W obronie stanowiska katolickiego miarodajnemi będą zawsze dla mnie wskazówki nauczającego Kościoła, t. j. Episkopatu i Stolicy Apostolskiej, i jeślibym czasem przez ułomność ludzką w czemkolwiek zbłądził, każdej decyzji się potem poddam. Wreszcie jeszcze jedno uważam za obowiązek swój, jako publicysty katolickiego. Zwalczając wrogie religji i mo-

ralności katolickiej zakusy nieprzyjacielskiego obozu, usiłuję nawet względem niego kierować się prawdą i lojalnością, nie powiększając jego błędów i unikając namiętnych przeciwko niemu wycieczek, pomny na słowa: *Veritas liberabit vos.* Mam nadzieję, że taka taktyka skuteczniej służy zwycięstwu dobrej sprawy. Pragnąłbym, stosując ją, przyczynić się także do obrony drogiej nam wszystkim katolikom sprawy — świętości i nierozerwalności małżeństwa.

Ks. Jan Urban T. J.